

Stephen King

Rose Madder

Rose Madder

Przełożył Zbigniew A. Królicki

Stephen King uchodzi za najpopularniejszego współczesnego autora powieści i opowiadań z gatunku horroru. Urodził się w 1947 roku w Portland, w stanie Maine. Po ukończeniu studiów na University of Maine podjął pracę jako nauczyciel języka angielskiego. Jako pisarz debiutował pod koniec lat sześćdziesiątych opowiadaniem w *Startling Mystery Stories*. W 1973 roku ogromny sukces komercyjny i literacki odniosła jego pierwsza powieść „Carrie”; znacznym powodzeniem cieszyła się także jej filmowa adaptacja dokonana trzy lata później przez Briana de Palmę. Kolejne powieści Kinga, jak m.in. „Miasteczko Salem” (1975), „Lśnienie” (1977), „Strefa śmierci” (1979), „Cujo” (1981), „Christine” (1983), „To!” (1986), „Misery” (1987), *The Tommyknockers* (1988), „Sklepik z marzeniami” (1991), „Gra Geralda” (1992), „Dolores Claiborne” (1993) sprzedano w wielomilionowych nakładach i przełożono na kilkanaście języków. W połowie lat osiemdziesiątych King osiągnął status najbardziej popularnego, a zarazem najbogatszego współczesnego amerykańskiego pisarza. Jego najnowsze książki to zbiór opowiadań zatytułowany „Marzenia i koszmary” (1993) oraz powieści *Insomnia* („Bezsennosc”) (1994) i *Rose Madder* (1995). W 1996 roku ukażą się *Desperation* („Desperacja”) i (pod pseudonimem Richard Bachman) *The Regulators* („Regulatorzy”).

O swojej twórczości pisarz mówi:

„Choć piszę o własnych lękach, własne książki mnie nie przerażają. Ich fabuły wymyślam nie w środku ciemnej nocy, ale za dnia, na przykład gdy jadę autostradą w piękny, słoneczny dzień”.

King jest autorem niezwykle płodnym: na swoim koncie ma dwadzieścia cztery powieści wydane pod własnym nazwiskiem i kilka pod pseudonimem Richard Bachman, a także zbiory opowiadań, scenariusze filmowe i sztuki teatralne. Większość powieści Kinga została przeniesiona na ekran filmowy. Do najbardziej znanych ekranizacji należą „Lśnienie” Stanleya Kubricka (z Jackiem Nicholsonem w roli głównej), „Christine” Johna Carpentera, „Strefa śmierci” Davida Cronenberga, „Cujo” Levisa Teague, „Misery” Roba Reinerja (Oscar dla odtwórczyni głównej roli, Cathy Bates), „Dolores Claiborne” Taylora Hackforda oraz „Skazani na Shawshank” Franka Darabonta (siedem nominacji do Oscara w 1995 roku).

Wraz z żoną Tabithą (także pisarką) i trójką dzieci pisarz mieszka w domu nad brzegiem jeziora w Bahgor, w stanie Maine.

Ta książka jest dla Joan Marks

I'm really Rosie

And Fm Rosie Real

You better believe me

I'm a great big deal...

Maurice Sendak

Krwawe

żółtko jaja. Dziura wypalona

w prześcieradle. Rozgniewana

róża grożąca rozkwitem.

May Swenson

PROLOG

ZŁOWIESZCZE POCAŁUNKI

Siedzi w kącie, usiłując nabrać powietrza, którego w tym pokoju zaledwie kilka minut temu wydawało się mnóstwo, a teraz widocznie nie ma wcale. Jak gdyby z daleka słyszy słabe chrr–chrr i wie, że to powietrze wpadające do jej gardła, a potem wydostające się z powrotem licznymi gwałtownymi sapnięciami, a jednak wciąż się jej wydaje, iż tonie tutaj, w rogu swojej bawialni, spoglądając na poszarpane resztki powieści w miękkich okładkach, książki, którą czytała, kiedy mąż wrócił do domu.

Niewiele ją to obchodzi. Ból jest zbyt silny, aby martwić się o taki drobiazg, jak oddychanie, zastanawiać się nad tym, dlaczego powietrze, które wciąga do płuc, zdaje się pozbawione tlenu. Ból połknął ją, podobnie jak ów biblijny wieloryb pochłoniął Jonasza, tego świątobliwego męża uchylającego się od poboru. Pulsuje jak zdradzieckie słońce, płonące głęboko w jej ciele, w miejscu, gdzie do dziś wieczór było tylko spokojne uczucie rosnącego życia.

Jeszcze nigdy nie zaznała takiego bólu, a przynajmniej nie pamiętała nic podobnego. Kiedy miała trzynaście lat, skręciła rowerem omijając dziurę i wywaliła się, uderzając głową o asfalt, tak że rana wymagała dokładnie jedenastu szwów. Zapamiętała tylko srebrzysty rozbłysk bólu, a po nim rozgwieżdżony mrok zdziwienia, które w rzeczywistości było krótkim omdleniem... lecz tamtego bólu nie dało się porównać z tą męczarnią. Z tą straszliwą udręką. Jej ręka na brzuchu czuje ciało, które teraz wcale nie przypomina ciała; jakby rozpięto zamek błyskawiczny i żywe dziecko zastąpiono gorącym kamieniem.

Och, Boże, proszę — myśli. — Proszę, niech dziecku nic nie będzie.

Kiedy jej oddech w końcu uspokaja się trochę, pojmuje, że dziecku coś jest, że on jednak postarał się o to. W czwartym miesiącu ciąży dziecko wciąż jest bardziej częścią matki niż sobą, a gdy się siedzi w kącie, z kosmykami włosów przylepionymi do wilgotnych policzków, z uczuciem, jakby się połknęło gorący kamień...

Coś składa złowieszcze, śliskie pocałunki na wewnętrznych stronach jej ud.

— Nie — szepcze — nie. Och, dobry słodki Boże, nie. Dobry Boże, słodki Boże, mój Boże, nie.

Niech to będzie pot — błaga w myślach. — Niech to będzie pot... a może zmoczyłam się. Tak, to pewnie to. Bolało tak bardzo, kiedy uderzył mnie trzeci raz, że zmoczyłam się i nawet tego nie czułam. Na pewno.

Tyle że to nie pot ani mocz. To krew. Siedzi tam w kącie bawialni, patrząc na porwaną książkę, której część leży na sofie, a część pod ławą, i czuje, że jej macica jest gotowa oddać dziecko, które do tej pory nosiła bez sprzeciwu i bez żadnych problemów.

— Nie — jęczy — nie. Boże, proszę, powiedz nie.

Widzi cień męża, wykrzywiony i wydłużony jak strach na wróble albo cień wisielca, tańczący i podskakujący na ścianie korytarza wiodącego z bawialni do kuchni. Widzi cień telefonu, przyciśnięty do cienia ucha, i długi korkociąg przewodu. Widzi nawet cienie palców prostujących zwoje kabla, przytrzymujących go przez chwilę, a potem puszczających, żeby wrócił do poprzedniego kształtu — jak paskudny nawyk, którego nie można się pozbyć.

W pierwszej chwili pomyślała, że telefonuje na policję. Zabawne oczywiście, przecież policja to on.

— Tak, to nagły wypadek — słyszy. — Masz cholerną rację, ślicznotko, ona jest w ciąży.

Milczy, przesuwając przewód między palcami, a kiedy ponownie się odzywa, w jego głosie słychać irytację. To lekkie rozdrażnienie wystarcza, aby znów poczuła przerażenie i metaliczny smak w ustach. Kto naraziłby się mu, któż by się sprzeciwił? Och, kto byłby tak

głupi, żeby to zrobić? Oczywiście tylko ktoś, kto by go nie znał, ktoś, kto nie znałby go tak, jak ona.

— Oczywiście, że nie będę jej ruszał, masz mnie za idiotę? Jej palce pełzną pod sukienkę i w górę uda, do nasiąkniętej, gorącej bawełny majteczek. Proszę — błaga. Ile razy powtórzyła w myślach to słowo, od kiedy wyrwał jej książkę z rąk?

Nie wie, lecz słowo powraca znowu: Proszę, niech ten płyn na moich palcach będzie przezroczysty. Proszę, Boże. Niech będzie przezroczysty.

Kiedy jednak wyjmuje rękę spod sukienki, czubki jej palców są czerwone od krwi. Przygląda się im i potworny skurecz przechodzi przez jej ciało, szarpiąc niczym ostrze piły. Musi zacisnąć zęby, żeby zdusić krzyk. Wie, że w tym domu lepiej nie krzyżeć.

— Dajcie spokój z tymi pierdołami, po prostu przyjeżdżajcie! I to szybko!

Z trzaskiem rzuca słuchawkę na widelki.

Jego cień pęcznieje i podskakuje na ścianie, a potem on pojawia się w przejściu, kierując ku niej swoją czerwoną i przystojną twarz. Oczy w tej twarzy są pozbawione wyrazu, jak odłamki szkła migoczące przy wiejskiej drodze.

— Tylko spójrz na to — mówi, rozkładając na moment ręce, a potem pozwalając im opaść z cichym kłaśnięciem. — Spójrz na ten bałagan.

Ona wyciąga do niego swoją rękę, pokazując mu zakrwawione czubki palców — jedyne oskarżenie, na jakie może się zdobyć.

— Wiem — oznajmia, jakby to, że wie, wszystko wyjaśniało, stawiało całą sprawę w koherentnym, racjonalnym kontekście. Odwraca się i patrzy nieruchomym spojrzeniem na podartą książkę. Podnosi część leżącą na kanapie, potem schyla się po tę pod ławą. Kiedy wyprostowuje się, ona widzi okładkę przedstawiającą kobietę w białej wieśniaczej koszuli, stojącą na dziobie statku. Jej włosy dramatycznie powiewają na wietrze, odsłaniając kremowe ramiona. Tytuł — *Podróż Misery* — został podkreślony przez jasnoczerwone tło.

— Na tym polega problem — oświadcza on i potrząsa resztkami książki, jak człowiek grożący zrolowaną gazetą szczeniakowi, który nasusiał na podłogę. — Ile razy ci mówiłem, co myślę o takich duperelach?

Odpowiedź brzmi nigdy. Ona wie, że siedziałaby w tym kącie roniąc, gdyby nawet po powrocie do domu zastał ją oglądającą wiadomości telewizyjne, przyszywającą guzik do jednej z jego koszul albo drzemającą na kanapie. Po prostu kiepsko mu szło, niejaka Wendy Yarrow sprawiała mu kłopoty, a jedyne lekarstwo Normana na kłopoty, to podzielić się nimi. „Ile razy ci mówiłem, co myślę o takich duperelach? — wrzasnęłyby, bez względu na to, co uznałyby za te duperELE. A potem, zanim puściłby w ruch pięści: — Chcę z tobą porozmawiać, kochanie. W cztery oczy”.

— Nie rozumiesz? — szepcze do niego. — Tracę dziecko! Niewiarygodne, ale on się uśmiecha.

— Możesz mieć inne — mówi. Jakby pocieszał malca, który upuścił wafelek z lodami. Potem wynosi podartą książkę do kuchni, gdzie na pewno rzuci ją do śmieci.

Ty draniu — myśli ona, nawet nie wiedząc, że tak myśli. Znowu czuje skurecz, tym razem chwytą ją wiele skurczów atakujących jak rój straszliwych owadów, więc odchyła głowę, wciskając ją w kąt, i jęczy. — Ty draniu, jak ja cię nienawidzę.

Wraca korytarzem i podchodzi do niej. Ona przebiera nogami, usiłując wcisnąć się w ścianę, patrząc na niego oszalałym wzrokiem. Przez chwilę jest pewna, że tym razem zamierza ją zabić, nie tylko zranić czy pozbawić dziecka, którego pragnęła od tak dawna, ale naprawdę zabić. Jest w nim coś nieludzkiego, gdy tak idzie ku niej z opuszczoną głową, rękami zwisającymi po bokach, prężąc mięśnie długich nóg. Zanim dzieciaki zaczęły nazywać takich jak jej mąż glinami, używały innego słowa i to słowo przychodzi jej na myśl teraz, gdy on kroczy przez pokój, ze spuszczoną głową i dłońmi kołyszącymi się na końcach ramion przypominających mięsiste wahadła, ponieważ właśnie tak wygląda: jak rozjuszony

byk.

Ona jęczy, potrząsając głową, i przebiera nogami. Jeden bucik spada i leży na boku. Powraca ból; skurcze wbijają się w brzuch jak kotwice z zardzewiałymi zębami, czuje, że wypływa z niej więcej krwi, ale nie może przestać ruszać nogami. W takich chwilach jak ta nie widzi w nim nic, zupełnie nic; rodzaj straszliwej nieobecności.

Staje nad nią, ze znużeniem potrząsając głową. Potem kuca i obejmuje ją ramionami.

— Nic ci nie zrobię — mówi klękając, żeby ją podnieść — więc nie zachowuj się jak gęś.

— Krwawię — szepcze do niego pamiętając, że powiedział przez telefon, iż nie będzie jej ruszał. Oczywiście, że nie będzie.

— Tak, wiem — odpowiada bez zainteresowania. Obrzuca spojrzeniem pokój, zastanawiając się, gdzie wydarzył się wypadek; ona dobrze wie, o czym on myśli, jakby siedziała w jego głowie. — Wszystko w porządku, powstrzymają krwotok. Powstrzymają.

A czy zdołają powstrzymać poronienie? — krzyczy w duchu, nie zdając sobie sprawy z tego, że on także może czytać w jej myślach, i nie dostrzegając jego czujnego spojrzenia. I jeszcze raz nie pozwala sobie usłyszeć tego, co podpowiada umysł: nienawidzę cię. Nienawidzę.

On przenosi ją przez pokój, do schodów. Klęka i układa u ich podnóża.

— Wygodnie? — pyta troskliwie.

Ona zamyka oczy. Nie może już na niego patrzeć, nie teraz. Czuje, że oszalałaby, gdyby to zrobiła.

— Dobrze — mówi on, jakby mu odpowiedziała, i kiedy ona otwiera oczy, widzi ten wyraz, jaki czasem pojawia się na jego twarzy, tę nieobecność. Jakby jego umysł uleciał, pozostawiając ciało.

Gdybym miała nóż, mogłabym go dźgnąć — przychodzi jej do głowy... lecz stara się nie dopuszczać do siebie tego pomysłu, a już tym bardziej nie rozważać go. To tylko odległe echo, może odbicie szaleństwa jej męża, ciche jak szmer skrzydeł nietoperzy w jaskini.

Jego twarz ożywia się i męczyzna wstaje, z cichym trzaskiem stawów kolanowych. Ogląda swoją koszulę upewniając się, że nie ma na niej śladów krwi. Wszystko w porządku. Patrzy w kąt, gdzie ona upadła. Tam jest krew, kilka niewielkich kropli i plamek. Teraz wypływa z niej szybciej i obficie; ona czuje, jak krew oblewa ją niezdrowym, dziwnie chciwym ciepłem. Pędzi, jakby przez cały czas chciała wymyć coś obcego z maleńkiego mieszkanka. Jak gdyby... och, co za okropna myśl... sama jej krew stanęła po stronie męża w tym... jakkolwiek określić to szaleństwo.

On znów idzie do kuchni i pozostaje tam przez blisko pięć minut. Ona słyszy jego krzątanie, gdy następuje właściwe poronienie, kiedy ból osiąga szczyt, a potem ustępuje z pluskiem, który daje się zarówno wyczuć, jak i usłyszeć. Nagle ma wrażenie, że siedzi w wannie pełnej ciepłej, gęstej cieczy. Jak w krwawym sosie.

Jego wydłużony cień podskakuje w przejściu, słysząc dźwięk otwieranej i zamykanej lodówki, a potem otwieranej i zamykanej szafki (po cichym skrzyknięciu ona poznaje, że to ta pod zlewozmywakiem). Puszczą wodę do zlewu, a potem — niewiarygodne — zaczyna sobie podśpiewywać, chyba *When a Man Loves a Woman*, kiedy wypada z niej dziecko.

Gdy znów wyłania się z korytarza, ma w jednej ręce kanapkę — oczywiście, jeszcze nie jadł kolacji i na pewno jest głodny — a w drugiej mokrą szmatę z wiadra pod zlewem. Kuca w kącie, w którym upadła po tym, jak wyrwał jej książkę z rąk i zadał trzy mocne ciosy w brzuch — bach, bach, bach, żegnaj, przybyszu — i zaczyna wycierać szmatą czerwone rozbryzgi oraz krople; większość krwi i wszystkiego będzie tutaj, u stóp schodów, dokładnie tam, gdzie on chce.

Wycierając, je kanapkę. Mięso między kromkami chleba pachnie jak ta resztką pieczonej wieprzowiny, którą miała zamiar mieszać z makaronem na sobotni wieczór, by sporządzić lekki posiłek, coś, co mogliby zjeść, siedząc przed telewizorem i oglądając wiadomości.

On spogląda na szmatę, teraz lekko różowawą, potem patrzy w kąt pokoju i znów na szmatę. Kiwa głową, odgryza wielki kęs kanapki i wstaje. Zanim ponownie wróci z kuchni, słyszc w oddali narastające wycie syreny. Zapewne karetka, którą wezwał.

Idzie przez pokój, klęka przy niej i bierze ją za ręce. Marszczy brwi czując, jakie są zimne, i zaczyna delikatnie rozcierać je, mówiąc do niej:

— Przepraszam. Po prostu... dzieją się różne... ta suka z motelu...

Urywa, na chwilę odwraca wzrok, a potem znów patrzy na nią. Ma na ustach ten dziwny, pogardliwy uśmiech. Spójrzcie, komu ja usiłuję to tłumaczyć — zdaje się mówić ten uśmiech. Tak już źle ze mną.

— Dziecko — szepcze ona. — Dziecko.

Ściska jej dłonie, ściska dostatecznie mocno, żeby zabolalo.

— Daj spokój z dzieckiem, słuchaj, co mówię. Będą tu za minutę czy dwie.

Tak, ambulans jest już bardzo blisko, wyje w ciemności jak potworny pies.

— Schodziłaś po schodach i poślizgnęłaś się. Spadłaś. Rozumiesz?

Patrzy na niego, nie wypowiadając słowa. Ból w jej wnętrzu trochę ustępuje, więc kiedy tym razem on ściska jej dłonie — mocniej niż kiedykolwiek — ona naprawdę czuje to i jęczy.

— Rozumiesz?

Patrzy w jego zapadnięte, nieobecne oczy i kiwa głową. Wokół niej unosi się zapach słonej wody i miedzi. To już nie jest krwawy sos, teraz wydaje jej się, że siedzi w kałuży odczynników.

— Dobrze — oznajmia jej. — Czy wiesz, co się stanie, jeśli powiesz coś innego?

Ona znowu kiwa głową.

— Odpowiadaj. Będzie lepiej dla ciebie, jeśli odpowiesz. Bezpieczniej.

— Zabiłbyś mnie — szepcze.

Wygląda na zadowolonego. Wygląda jak nauczyciel, który uzyskał odpowiedź na trudne pytanie od ociężałego ucznia.

— Zgadza się. I zrobiłbym to powoli, tak wolno, że wszystko, co zdarzyło się dzisiaj, byłoby przy tym jak skaleczenie palca.

Na zewnątrz, na podjeździe, pulsują czerwone światła.

On przeżuwa ostatni kęs kanapki i zaczyna wstawać. Podejdzie do drzwi, żeby ich wpuścić, zatroskany mąż, którego ciężarna żona miała nieszczęśliwy wypadek. Zanim zdąży się odwrócić, ona łapie go za mankiet koszuli. Spogląda na nią.

— Dlaczego? — szepcze ona. — Dlaczego dziecko, Normanie?

Przez chwilę na jego twarzy pojawia się taki wyraz, jakiego ona nie potrafi nazwać — jakby strach. Tylko dlaczego miałby obawiać się jej? Albo dziecka?

— To był wypadek — odzywa się. — To wszystko. Zwyczajny wypadek. Ja nie miałem z tym nic wspólnego. I lepiej, żeby tak pozostało, kiedy będziesz z nimi rozmawiała. Inaczej niech Bóg ma cię w swej opiece.

Niech Bóg ma mnie w opiece — myśli ona.

Na zewnątrz trzask drzwi; tupot nóg biegnących do domu, potem zgrzytliwy metaliczny trzask i grzechot noszy, na których zostanie przetransportowana do pojazdu z syreną. On znowu odwraca się do niej, z głową pochyloną jak u byka i nieprzeniknionymi oczami.

— Będziesz miała inne dziecko i to się nie zdarzy. Z następnym dzieckiem wszystko będzie dobrze. Dziewczynka. A może ładny chłopczyk. Płeć nie ma znaczenia, no nie? Jeśli będzie chłopczyk, kupimy mu strój baseballisty. Jeśli dziewczynka...

Robi nieokreślony gest ręką.

— Kapelusik albo coś. Zaczekaj, a zobaczysz. Tak będzie.

Potem uśmiecha się, a na ten widok ona ma ochotę wrzeszczeć. Wydaje jej się, że patrzy na trupa uśmiechającego się w trumnie.

— Jeśli mnie posłuchasz, wszystko będzie dobrze. Masz to jak w banku, kochanie.

Później otwiera drzwi obsłudze karetki i mówi, żeby się pośpieszyli, że straciła wiele krwi. Ona zamyka oczy, kiedy do niej podchodzą, nie chce, by w nie spojrzeli; ich głosy dochodzą do niej z daleka.

Nie martw się, Rose, nie przejmuj się, to nic groźnego, to tylko dziecko, możesz mieć inne.

Wbijają jej igłę w ramię, a potem podnoszą. Nie otwiera oczu, myśli: No, dobrze. Tak. Pewnie mogę znów mieć dziecko. Mieć i zabrać je gdzieś, gdzie on go nie dosięgnie. Gdzie nie dosięgnie go ten morderca.

A jednak, wraz z upływem czasu, myśl o opuszczeniu go, myśl jeszcze nie całkiem sformułowana, umyka tak, jak we śnie umyka świadomość racjonalnego, rzeczywistego świata; stopniowo nie ma już dla niej jawy, jest jedynie świat snu, w którym on żyje; snu takiego, jakie miała będąc dziewczyną, kiedy biegła i biegła przez ciemny las albo mroczny labirynt, słysząc za plecami tętent kopyt jakiegoś wielkiego zwierzęcia, przerażającego oszalałego stworzenia, przybliżającego się coraz bardziej, by w końcu ją dopaść, bez względu na to, ile razy skręci, umknie, uskoczy czy zawróci.

Człowiek na jawie rozróżnia pojęcie snu, lecz dla śniącego nie ma jawy, nie ma realnego świata ani zdrowych zmysłów, jest tylko głębokie szaleństwo sennych majaków. Rose McClendon Daniels spała pogrążona w szaleństwie męża jeszcze przez dziewięć lat.

I

JEDNA KROPLA KRWI

1

To było jak piekło... jak czternaście lat piekła, ale ona ledwie zdawała sobie z tego sprawę. Przez większość czasu pozostawała w oszłomieniu tak głębokim, że przypominało śmierć. Niejeden raz miała wrażenie, że to złudzenie, że w końcu się przebudzi, ziewając i przeciągając się wdzięcznie niczym bohaterka kreskówki Walta Disneya. Ta myśl nawiedzała ją najczęściej wtedy, kiedy pobił ją tak bardzo, że musiała na jakiś czas położyć się, aby wydobrzeć. To zdarzało się trzy, może cztery razy w roku. W 1985 — w roku Wendy Yarrow, w roku oficjalnej nagany, w roku „poronienia” — zrobił to prawie dwanaście razy. We wrześniu tego roku odbyła swoją drugą i ostatnią podróż do szpitala na skutek starań Normana... Przynajmniej ostatnią do tej pory. Pluła krwią. Przez trzy dni zwlekał z oddaniem jej pod opiekę lekarską, mając nadzieję, że wszystko samo przejdzie. Kiedy jednak jej stan zaczął się pogarszać, pouczył ją, co ma mówić (zawsze tak postępował) i zabrał do szpitala St. Mary. Zawiózł ją tam, ponieważ po „poronieniu” pogotowie odwiozło ją do City General. Okazało się, że miała złamane żebro, które mogło przebić płuco. Po raz drugi w ciągu dwóch miesięcy opowiedziała bajeczkę o upadku ze schodów i tym razem chyba nie uwierzył w nią nawet praktykant obserwujący badanie i zabiegi, lecz nikt nie zadawał żadnych kłopotliwych pytań; po prostu zatamowali krwawienie i odesłali ją do domu. Ale Norman zrozumiał, że miał szczęście, i zaczął bardziej uważać.

Czasem, kiedy nocą leżała w łóżku, obrazy roiły się w jej wyobraźni niczym przedziwne komety. Najczęściej widziała mężowską pięść, z krwią plamiącą knykie i rozmazaną po jego złotym sygnecie Akademii Policyjnej. Bywało, że dostrzegała słowa na tym pierścieniu — Służba, Wierność, Społeczeństwo — odbite na jej brzuchu lub odcisnięte na jednej z piersi. To często przywodziło jej na myśl niebieskie pieczęcie weterynarzy, takie jakie widzi się na kawałkach mięsa pieczeniowego lub na surowych stekach.

Te wizje nachodziły ją zawsze w chwili, gdy była gotowa zapaść w sen, odprężona i rozluźniona. Wówczas widziała nadlatującą ku niej pięść i gwałtownie się budziła, by leżeć drżąc u jego boku, mając nadzieję, że on się nie odwróci, aby przez sen wymierzyć jej cios w brzuch lub w udo za to, że mu przeszkadza.

Wpadła w to piekło mając osiemnaście lat i obudziła się ze snu miesiąc po swoich trzydziestych drugich urodzinach, niemal pół życia później. Przebudziła ją jedna kropla krwi, nie większa niż dziesięciocentówka.

2

Zobaczyła ją, ścieląc łóżko, na poszwie po jej stronie, blisko miejsca, gdzie leżała poduszka, kiedy łóżko było posłane. Prawda, że mogła przesunąć poduszkę nieco w lewo i zakryć plamkę, zaschniętą i brudnokasztanową. To byłoby najłatwiejsze i miała ochotę tak właśnie zrobić, szczególnie dlatego, że nie mogła zmienić tylko poszwy; nie miała już czystej białej pościeli, a gdyby położyła jedną z kwiciastych poszewek zamiast tej białej z plamką krwi, musiałaby zmienić również prześcieradło. W przeciwnym razie byłby niezadowolony.

Spójrz na to — już słyszała. — Ta cholerna pościel jest nie dobrana, prześcieradło dałaś białe, a poszwę w kwiaty. Jezu, dlaczego ty jesteś taka leniwa? Chodź tutaj, musimy

porozmawiać w cztery oczy.

Stała po swojej stronie łóżka, w smudze wiosennego słonecznego blasku, leniwa flądra, która całymi dniami sprzątała ten mały domek (mogła oberwać nawet za jeden ślad palca pozostawiony na lustrze w łazience), i obsesyjnie zastanawiała się, co zrobić mu na obiad; stała tam, patrząc na maleńką plamkę krwi na pościeli, z twarzą tak nieruchomą i pozbawioną wyrazu, że ktoś, kto obserwowałby ją w tym momencie, mógłby sądzić, iż jest niedorozwinięta umysłowo. Myślałam, że ten mój przeklęty nos przestał krwawić — mówiła do siebie. Byłam pewna, że przestał.

Nieczęsto bił ją po twarzy; był na to zbyt sprytny. Bicie po twarzy było dla pijanych dupków, których aresztował setkami, pracując jako umundurowany policjant, a potem jako detektyw. Biję się kogoś — na przykład żonę — po twarzy zbyt często i po jakimś czasie bajeczki o spadaniu ze schodów, wpadnięciu w nocy na otwarte drzwi od łazienki lub nadeptaniu na leżące na podwórku grabie przestają działać. Ludzie wiedzieli. Ludzie gadali. I w końcu ściągali kłopoty, jeśli nawet kobieta trzymała buzię na kłódkę, gdyż najwidoczniej minęły już czasy, kiedy ludzie nie wtrącali się w cudze sprawy.

To jednak w najmniejszym stopniu nie wpłynęło na jego charakter, który był paskudny, naprawdę paskudny, i czasem ponosiło go. Tak jak zeszłej nocy, kiedy podawała mu drugą szklankę herbaty z lodem i wylała trochę na rękę. Buch, i z nosa lało jej się jak z kranu, zanim uświadomił sobie, co robi. Zobaczyła na jego twarzy obrzydzenie, gdy krew spłynęła na jej usta i brodę, a potem dostrzegła lekki niepokój — co będzie, jeśli złamał jej nos? To oznaczałoby następną wycieczkę do szpitala. Przez chwilę myślała, że czeka ją prawdziwe bicie, jedno z tych, po których kulila się w kącie, dysząc, płacząc i usiłując złapać oddech, by wymiotować. W fartuch. Zawsze w fartuch. W tym domu nie płakało się, nie skarżyło na nic, a już na pewno nie wymiotowało na podłogę, jeśli chciało się zachować głowę.

A jednak zwyciężył jego wysoko rozwinięty instynkt samozachowawczy; przyniósł jej lód zawinięty w ścierkę do naczyń i zaprowadził ją do bawialni, gdzie położyła się na kanapie, przykładając prowizoryczny okład między załzawione oczy. Właśnie tu należy go przyłożyć, powiedział jej, jeżeli chce się szybko powstrzymać krwawienie i zmniejszyć późniejszą opuchliznę. Oczywiście najbardziej niepokoił się o tę opuchliznę. Nazajutrz miała iść na targ, a nie można ukryć spuchniętego nosa za przeciwsłonecznymi okularami, tak jak skrywa się podbite oko.

Poszedł dokończyć kolację: gotowaną rybę z podsmażonymi młodymi ziemniakami.

Opuchlizna nie była wielka, co stwierdziła rano, spoglądając przelotnie w lustro (on już obrzucił ją uważnym spojrzeniem i odprawił kiwnięciem głowy, zanim wypił filiżankę kawy i wyszedł do pracy). Krwawienie ustało po mniej więcej piętnastu minutach przykładania kompresu... przynajmniej tak sądziła. A jednak w nocy, kiedy spała, jedna zdradziecka kropelka krwi kapnęła jej z nosa i pozostawiła tę plamkę, co oznaczało, że będzie musiała zmienić pościel i ponownie posłać łóżko mimo bolącego krzyża. Ostatnio wciąż bolał ją krzyż; nawet lekki skłon czy podniesienie niewielkiego ciężaru powodowało cierpienie. Plecy były jego ulubionym celem. W przeciwieństwie do tego, co nazywał „biciem po twarzy”, bić po plecach można było bezpiecznie... jeśli ofiara umiała trzymać dziób na kłódkę, oczywiście. Norman zajmował się jej nerkami przez czternaście lat i ślady krwi, jakie coraz częściej widziała w swoim moczu, przestały ją zaskakiwać czy niepokoić. To był jeszcze jeden nieprzyjemny aspekt małżeństwa, nic więcej, i zapewne milionom kobiet było gorzej. Tysiącom — tylko w tym mieście. A przynajmniej tak na to patrzyła do tej pory.

Spoglądała na tę plamkę krwi, czując w głowie jakąś dziwną, pulsującą niechęć i jeszcze coś, jakiegoś denerwujące mrowienie. Nie wiedziała, że tak się czuje, kiedy się budzi z długiego snu.

Po jej stronie łóżka stał mały wiklinowy bujak, który w myślach zawsze, z przyczyn, jakich nie potrafiłaby wyjaśnić, nazywała Fotelem Puchatka. Teraz cofnęła się do niego, nie

odrywając oczu od małej kropki krwi widniejącej na białej poszewce, i usiadła. Siedziała w Fotelu Puchatka przez prawie pięć minut, a potem podskoczyła, kiedy w pokoju rozległ się jakiś głos — z początku nie zorientowała się, że to jej własny głos.

— Jeśli tak dalej pójdzie, on mnie zabije — powiedziała, a gdy przewyciężyła chwilowe zdumienie, doszła do wniosku, że mówi do kropli krwi, do tej odrobiny, która kapnęła z jej nosa i umarła na pościeli.

Odpowiedź pojawiła się natychmiast: była nieskończenie straszniejsza od tego, co powiedziała głośno:

Chyba że nie zdoła. Czy pomyślałaś o tym? Może nie zdoła.

3

O tym nie pomyślała. Obawa, że któregoś dnia uderzy ją za mocno albo w niewłaściwe miejsce, towarzyszyła jej często (choć nie wypowiedziała jej głośno, nawet do siebie, aż do dziś), a przecież nigdy nie brała pod uwagę ewentualności, że mogłaby żyć...

Mrowienie mięśni i stawów narastało. Zazwyczaj tylko siedziała w Fotelu Puchatka z rękami złożonymi na podolku, patrząc nad łóżkiem i przez drzwi łazienki na swoje odbicie w lustrze, ale tego ranka zaczęła się bujać, kołysząc fotelem w przód i w tył krótkimi, gwałtownymi ruchami. Musiała się kołysać. Mrowienie i klucie w mięśniach zmuszało do kołysania. A ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, było oglądanie swojego odbicia — nieważne, że jej nos nie był bardzo spuchnięty.

„Chodź tu, kochanie, chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy”.

Czternaście lat słuchała tego. Sto sześćdziesiąt osiem miesięcy, począwszy od szarpnięcia za włosy i ugryzienia w ramię za trzaśnięcie drzwiami w noc poślubną. Jedno poronienie. Uszkodzone płuco. Ta straszna rzecz, jaką zrobił jej rakieta tenisowa. Stare blizny na częściach ciała zakrytych ubraniem. Przeważnie ślady ugryzień. Norman uwielbiał gryźć. Z początku próbowała wmawiać sobie, że to miłosne ukąszenia. Aż dziwnie poczuła się na myśl, że kiedyś była taka młoda, ale najwidoczniej była.

„Chodź tu, chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy”.

Nagle rozpoznała to mrowienie, które teraz rozeszło się po całym ciele. To była złość, wściekłość, a zrozumienie tego faktu wywołało zdumienie.

Wynoś się stąd — odezwała się nagle głęboko ukryta część jej świadomości. — Wynoś się stąd natychmiast, w tej chwili. Nie trać czasu nawet na czesanie włosów. Po prostu wyjdź.

— To śmieszne — powiedziała, kołysząc się gwałtowniej niż kiedykolwiek. Plamka krwi na pościeli razila ją w oczy. Z fotela wyglądała jak kropka pod wykrzyknikiem. — To śmieszne, dokąd miałabym pójść?

Dokądkolwiek, tam gdzie go nie ma — podpowiadał wewnętrzny głos. — Lecz musisz to zrobić zaraz. Zanim...

Zanim co?

To proste. Zanim znów zapadniesz w sen.

Część jej jaźni — przyzwyczajona i zastraszona — pojęła nagle, że ona poważnie rozważa tę myśl, i podniosła krzyk. Opuścić dom, w którym mieszkała od czternastu lat? Dom, w którym wszystkiego mogła dotknąć? Męża, który — choć porywczy i skory do użycia pięści — zawsze dobrze zarabiał? To śmieszne. Musi o tym zapomnieć, i to natychmiast.

I zrobiłaby to, niemal na pewno zrobiłaby to, gdyby nie plamka krwi na pościeli. Ta jedna, ciemnoczerwona kropka.

Zatem nie patrz na nią! — krzyczała nerwowo ta jej część, która uważała się za praktyczną i rozsądną. — Rany boskie, nie patrz na nią, ona narobi ci kłopotów!

A jednak stwierdziła, że nie może już oderwać oczu od tej kropki. Wbiły się w nią, a bujak

kołysał się mocniej niż kiedykolwiek. Jej stopy w białych laczkach stukały o podłogę w coraz szybszym rytmie (mrowienie objęło teraz przede wszystkim głowę, wywołując zamęt w myślach, pogłębiając wzburzenie). Rozmyślała: Czternaście lat. Czternaście lat rozmów w cztery oczy. Poronienie. Rakieta tenisowa. Trzy zęby, z których jeden połknęłam. Złamane żebro. Uderzenia. Uszczyplnięcia. I ugryzienia, oczywiście. Mnóstwo. Mnóstwo tych...

Przestań! Nie ma sensu myśleć w ten sposób, ponieważ nigdzie nie pójdziesz; on dogoniłby cię i sprowadził z powrotem, znalazłby cię, jest policjantem i znajdowanie ludzi jest częścią jego pracy, jedną z rzeczy, jakie dobrze...

— Czternaście lat — mruknęła, ale teraz nie myślała o minionych, lecz o następnych czternastu latach. Tamten głos, płynący z głębi podświadomości, miał rację. Może jej nie zabije. Może nie. Ale czym ona się stanie po kolejnych czternastu latach takich rozmów w cztery oczy? Czy będzie mogła się schylić? Czy choć przez godzinę — a nawet przez kwadrans — jej nerki nie będą jak dwa gorące kamienie wbite w plecy? A może uderzy ją dostatecznie mocno, żeby uszkodzić jakiś nerw, tak że nie będzie mogła ruszyć ręką czy nogą lub jedna połowa jej twarzy pozostanie nieruchoma i pozbawiona wyrazu, jak tej biednej pani Diamond, która sprzedaje w sklepie Numer 24 u podnóża wzgórza?

Wstała nagle tak energicznie, że oparcie Fotela Puchatka uderzyło w ścianę. Stała tak przez chwilę, ciężko dysząc, szeroko otwartymi oczami wciąż patrząc na kasztanową plamę, a potem ruszyła w kierunku drzwi prowadzących do bawialni.

Dokąd idziesz?! — wrzeszczała w jej głowie pani Praktycznie–Rozsądna, ta część jaźni, która zdawała się chętnie godzić z perspektywą okaleczenia czy zabicia w zamian za wyłączną wiedzę o tym, w której szufladce jest herbata ekspresowa i w której szafce są zmywaki do naczyń. — Dokąd, do cholery, chcesz...

Zamknęła usta temu głosowi — do tej pory nie miała pojęcia, że potrafi to zrobić. Wzięła swoją torebkę ze stolika przy sofie i poszła przez pokój stołowy do frontowych drzwi. Nagle ten pokój wydał jej się bardzo duży, a droga bardzo długa.

Muszę robić tylko jedną rzecz. Jeśli zacznę namyślać się nad każdym krokiem, stracę odwagę.

Prawdę mówiąc, nie sądziła, żeby to był jakiś problem. Przede wszystkim dlatego, że to, co robiła, miało w sobie coś z halucynacji — przecież nie mogła tak po prostu, pod wpływem nagłego impulsu, porzucić domu i małżonka! To musiał być sen, nieprawdaż? I było jeszcze coś: brak namysłu przed każdym kolejnym krokiem, jaki stał się jej zwyczajem od owej nocy poślubnej, kiedy zbił ją jak psa za to, że trzasnęła drzwiami.

No, przecież nie możesz tak wyjść, jeśli nawet miałabyś dojść tylko do następnej przecznicy, zanim stracisz rezon — radziła pani Praktycznie–Rozsądna. — Przynajmniej zdejmij te dzinsy, w których widać, jaki wielki masz tyłek. I przeczesz sobie włosy.

Przystanąła i przez chwilę była bliska poniechania wszystkiego, nim zdążyła dojść do drzwi. Potem pomyślała, że ta rada to rozpaczliwy podstęp mający zatrzymać ją w domu. Sprytnie. Zamiana dzinsów na spódnice czy przyglądanie i przeczesanie włosów nie zabrałyby jej wiele czasu, lecz dla kobiety w jej sytuacji z pewnością byłoby to dostatecznie długo.

Na co? Aby znów zapaść w sen, oczywiście. Zanim zasunęłyby zamek spódniczki, już zaczęłyby mieć poważne wątpliwości, a nim skończyłyby się cesać, doszłyby do wniosku, że po prostu na chwilę odebrało jej rozum — przejściowy stan zapewne wywołany miesiączką.

Potem wróciłyby do sypialni i zmieniała pościel.

— Nie — mruknęła. — Nie zrobię tego. Nie zrobię.

Trzymając rękę na klamce, znów przystanąła.

Nabiera rozumu! — zawołała Praktycznie–Rozsądna z mieszaniną ulgi, zadowolenia i — czy to możliwe? — lekkiego rozczarowania. Hura, dziewczyna nabrała rozumu! Lepiej późno niż wcale!

Zadowolenie i ulga w tym głosie zmieniły się w nieme przerażenie, gdy podeszła szybko do półki nad gazowym kominkiem, który Norman zainstalował przed dwoma laty. Tego, czego szukała, pewnie tam nie będzie — z zasady nie zostawiał tam tego pod koniec miesiąca („żeby mnie nie kusiło” — mówił), ale nie zaszkodzi sprawdzić. A ona знаła jego hasło: numer ich telefonu, z przestawioną pierwszą i ostatnią cyfrą.

Będzie bolało! — wrzasnęła Praktycznie–Rozsądna. — Jeśli weźmiesz coś, co należy do niego, będzie bardzo bolało, wiesz o tym! BARDZO!

— I tak jej tam nie będzie — mruknęła. A jednak była. Jasnozielona karta kredytowa Banku Handlowego z wytłoczonym jego nazwiskiem.

Nie bierz tego! Nie waż się!

Mimo wszystko doszła do wniosku, że może ważyć się na to. Wystarczyło przywołać wspomnienie tej plamki krwi. Poza tym to była także jej karta, to były również jej pieniądze; czy nie wynikało to z przysięgi małżeńskiej?

Tyle że wcale nie chodziło o pieniądze, naprawdę. Chodziło o to, żeby uciszyć panią Praktycznie–Rozsądna, aby ten nagły, nieoczekiwany pęd ku wolności stał się koniecznością, a nie wyborem. W pewnym stopniu zdawała sobie sprawę, że jeśli tego nie zrobi, dotrze najwyżej do najbliższej przecznicy, zanim niepewna przyszłość stanie przed nią jak ściana mgły, a wtedy ona odwróci się i pobiegnie z powrotem do domu, szybko zmieni pościel, tak żeby zdążyć do południa umyć podłogi na dole... i chociaż trudno w to uwierzyć, tylko o tym myślała tego ranka, kiedy wstała. O myciu podłóg.

Ignorując jazgotliwy głos w swojej głowie, podniosła z półeczki kartę kredytową, wrzuciła ją do torebki i pośpiesznie znów ruszyła do drzwi.

Nie rób tego! — skowyczał głos pani Praktycznie–Rozsądnej. — Och, Rosie, on za to nie tylko cię zbije, ale pośle do szpitala, może nawet zabije, czyżbyś nie wiedziała?

Zapewne wiedziała, lecz mimo to szła, ze spuszczoną głową i pochylonymi ramionami, jak kobieta idąca pod wiatr. Pewnie zrobiłby to... jednak najpierw musiałby ją złapać.

Tym razem, kiedy jej dłoń zacisnęła się na klamce, nie było chwili wahania. Przekreśliła gałkę, otworzyła drzwi i wyszła. Był piękny słoneczny dzień w połowie kwietnia, a gałęzie drzew aż nabrzmiały od pączków. Jej cień układał się na przygiętej, bladej, świeżej trawie jak sylwetka wycięta z czarnej kalki ostrymi nożyczkami. Stała, głęboko oddychając wiosennym powietrzem, wdychając zapach ziemi odświeżonej (i może pobudzonej do życia) deszczem, który padał w nocy, kiedy ona spała z jednym nozdrzem nad tą zasychającą plamką krwi.

Budzi się cały świat — pomyślała. — Nie tylko ja.

Człowiek w stroju do joggingu biegł chodnikiem, gdy zamykała za sobą drzwi. Pozdrowił ją uniesioną ręką, a ona odpowiedziała mu tym samym. Czekala, aż głos w jej głowie znów podniesie jazgot, lecz ten głos milczał. Może odebrało mu mowę na widok kradzieży karty kredytowej, a może uspokoiło go kojące działanie tego kwietniowego poranka.

— Idę — mruknęła. — Naprawdę, naprawdę odchodzę.

A jednak pozostała w miejscu jeszcze przez chwilę, jak zwierzę, które tak długo trzymano w klatce, że nie może uwierzyć w wolność, jaką mu wreszcie ofiarowano. Sięgnęła za siebie i dotknęła klamki drzwi... drzwi prowadzących do jej klatki.

— Nigdy więcej — szepnęła. Wepchnęła torebkę pod pachę i zrobiła pierwszy tuzin kroków w ścianę mgły, która teraz była jej przyszłością.

Ten tuzin kroków zaprowadził ją tam, gdzie betonowy chodnik zbiegał się z poboczem, do miejsca, które przed minutą minął amator joggingu. Zaczęła skręcać w lewo, ale zatrzymała

się. Norman powiedział jej kiedyś, że ludzie, którym wydaje się, że przypadkowo wybierają kierunek marszu — na przykład zabłąkani w lesie — niemal zawsze kierują się w stronę wyznaczoną przez dominującą rękę. Zapewne nie miało to znaczenia, jednak odkryła, że nie chce, aby on miał rację choćby co do tego, w którą stronę Westmoreland Street udała się po opuszczeniu domu.

Choćby co do tego.

Skręciła w prawo zamiast w lewo, w kierunku wyznaczonym przez tę głupią rękę, po czym poszła w dół wzgórza. Minęła sklep Numer 24, powściągnąwszy chęć podniesienia ręki i zakrycia twarzy dłonią, kiedy przechodziła obok. Już czuła się jak zbieg i okropna myśl zaczęła drażnić jej umysł, podobnie jak szczerz gryzie ser: a jeśli on będzie wracał wcześniej z pracy i spotka ją? Co będzie, jeśli zobaczy ją idącą ulicą w dżinsach i laczkach, z torebką pod pachą i rozczochranymi włosami? Zdziwiłby się myśląc: co, do diabła, ona robi tu tak rano, kiedy powinna myć podłogi na dole, prawda? I chciałby, żeby do niego podeszła, prawda? Tak. Chciałby, żeby podeszła do niego, tak żeby mógł z nią porozmawiać w cztery oczy.

To głupota. Jaki miałby powód, żeby teraz wracać do domu? Wyszedł zaledwie przed godziną. To bez sensu.

Owszem... Ludzie czasem robili jednak różne bezsensowne rzeczy. Na przykład ona — spójrzcie tylko, co ona teraz robi. A jeśli on będzie miał jakieś przeczucie? Ile razy mówił jej, że u gliniarzy po pewnym czasie rozwija się szósty zmysł, tak że wiedzą, kiedy zdarzy się coś dziwnego? „Czuje się takie lekkie kłucie u nasady karku — powiedział jej kiedyś. — Nie potrafię tego opisać. Wiem, że większość ludzi uśmiełaby się z tego, ale spytaj gliniarza, on nie będzie się śmiał. To lekkie ukłucie kilka razy uratowało mi życie, kochanie”.

A jeśli czuł to kłucie przez ostatnie dwadzieścia minut lub coś koło tego? A jeżeli wsiadł do samochodu i pojechał do domu? Jechałby właśnie tędy; przeklęła się w duchu za to, że opuszczając dom, skręciła w prawo zamiast w lewo. Wtedy wpadła jej do głowy jeszcze mniej przyjemna myśl, odrażająco prawdopodobna... nie wspominając o ironii losu mogącego stworzyć taką sytuację. A jeśli on w drodze na komisariat zatrzymał się przy bankomacie dwie przecznicie dalej, potrzebując dziesięciu lub dwudziestu dolców na obiad? I jeśli postanowił, przekonawszy się, że karty nie ma w portfelu, wrócić po nią do domu?

Weź się w garść. Nic takiego się nie zdarzy. Niczego takiego nie będzie.

Kawałek dalej jakiś samochód skręcił w Westmoreland Street. Był czerwony, co za zbieg okoliczności, przecież oni mają czerwony samochód... a raczej on go ma; auto nie należało do niej, tak samo jak karta kredytowa czy pieniądze, które mogła na nią pobrać. Ich czerwony samochód to nowa sentra i — kolejny zbieg okoliczności! — czy nadjeżdżający wóz to nie czerwona sentra?

Nie, to honda!

Tylko że to nie była honda, w co ona bardzo chciała uwierzyć. To była sentra, zupełnie nowa, czerwona sentra. Jego czerwona sentra. Najgorszy koszmar urzeczywistnił się niemal w tej samej chwili, gdy o nim pomyślała.

Przez chwilę jej nerki stały się niewiarygodnie ciężkie, niewiarygodnie obolałe, niewiarygodnie pełne, tak że była przekonana, iż zaraz zmoczy spodnie. Czy naprawdę sądziła, że zdoła przed nim uciec? Chyba zwariowała.

Teraz za późno, żeby przejmować się tym — powiedziała Praktycznie–Rozsądna. Przestała już histeryzować; teraz była jedyną częścią jej umysłu, potrafiącą myśleć i przemawiała tym zimnym, rozważnym tonem stworzenia stawiającego na pierwszym miejscu przetrwanie. — Lepiej wymyśl coś, co mu powiesz, kiedy zatrzyma się obok i zapyta cię, co tu robisz. I niech to będzie dobra wymówka. Wiesz, jaki jest bystry i spostrzegawczy.

— Kwiaty — mruknęła. — Wyszłam na spacer zobaczyć, u kogo już zakwitły kwiaty, to wszystko.

Stała, zaciskając uda, usiłując powstrzymać parcie. Czy on w to uwierzy? Nie wiedziała,

ale musiała spróbować. Nie potrafiła wymyślić nic innego.

— Zamierzałam dojść do rogu St. Mark's Avenue, a potem wrócić i umyć...

Urwała, patrząc szeroko otwartymi, pełnymi niedowierzania oczami na samochód — jednak honda, wcale nie nowa i bardziej pomarańczowa niż czerwona — powoli przejechał obok. Kobieta za kierownicą rzuciła jej zaciekawione spojrzenie, a kobieta na krawężniku pomyślała: Gdyby to był on, nie pomogłaby żadna wymówka, choćby nie wiem jak wiarygodna, wyczytałby prawdę z twojej twarzy, widoczną jak światło neonu. Czy teraz już wrócisz? Pójdiesz po rozum do głowy i wrócisz?

Nie. Gwałtowna potrzeba oddania moczu minęła, lecz pęcherz miała ciężki i przepelniony, nerki pulsujące, nogi drżące, a serce tak mocno tłukło się jej w piersi, że aż ją to przerażało. Nigdy nie zdołałaby wejść z powrotem na wzgórze, chociaż droga wznosiła się pod niewielkim kątem.

Zdołasz. Wiesz, że możesz. Robiłaś trudniejsze rzeczy w czasie tych lat małżeństwa i przeżyłaś je.

No dobrze, może zdołałaby wspiąć się na wzgórze, ale teraz przyszła jej do głowy nowa myśl. On czasem telefonował. Zwykle pięć czy sześć razy w miesiącu, ale czasem częściej. Tylko cześć, jak leci, czy mam przynieść do domu karton half-n-half albo ćwiartkę śmietany, dobra, cześć. Tyle że w tych telefonach nie wyczuwała żadnej troskliwości, żadnej czułości. Sprawdzał ją, to wszystko, a jeśli nie podnosiła słuchawki, telefon dzwonił. Nie mieli automatycznej sekretarki. Kiedyś zapytała go, czy nie powinni sobie jej sprawić. Szturchnął ją nie całkiem nieprzyjaźnie i powiedział, żeby zmądrzała. „Ty jesteś automatyczną sekretarką” — oznajmił.

A co, jeśli zatelefonował, a jej nie było w domu?

Pomyśli, że wcześniej poszłam na targ, to wszystko.

Nie, nie pomyśli. O to chodzi. Podłogi z rana, targ po południu. Tak było do tej pory i oczekiwał, że zawsze tak będzie. Spontaniczność nie była mile widziana na Westmoreland pod numerem 908. Jeżeli telefonował...

Znów zaczęła iść wiedząc, że na następnym rogu powinna zejść z Westmoreland Street, chociaż nie była wcale pewna, dokąd prowadzi Tremont Street. Lecz w tym momencie nie było to istotne; liczyło się tylko to, że teraz znajdowała się na trasie, którą wracał z miasta, zazwyczaj jadąc drogą I-295, więc czuła się tak, jakby znalazła się na środku tarczy strzelniczej.

Skręciła w lewo, w Tremont, i minęła spacerem kolejne, ciche podmiejskie domki oddzielone od siebie niskimi żywopłotami lub szpalerami ozdobnych drzewek — najwidoczniej szczególnie modne były tu oleandry. Mężczyzna podobny do Woody Allena, w okularach o grubych oprawkach, z piegami i w bezkształtnym kapeluszu wciśniętym na czubek głowy, oderwał wzrok od podlewanych kwiatków i pomachał jej ręką. Wyglądało na to, że dziś wszyscy chcą być dobrymi sąsiadami. Podejrzewała, że to przez pogodę, ale wolałaby obejść się bez tego. Zbyt łatwo mogła sobie wyobrazić, jak on idzie później jej śladem, cierpliwie tropiąc, zadając pytania, używając swoich pobudzających pamięć sztuczek i pokazując każdemu jej fotografię.

Pomachaj do niego. Nie chcesz, żeby zapamiętał cię jako nieuprzejmą; nieuprzejmy łatwo utkwii w pamięci, więc pomachaj mu i idź swoją drogą.

Odpowiedziała machnięciem i poszła swoją drogą. Potrzeba oddania moczu powróciła, ale jakoś będzie musiała ją opanować. Nigdzie nie było widać przybytku — nic tylko kolejne domy, kolejne żywopłoty, kolejne bladezielone trawniki, kolejne oleandry.

Za plecami usłyszała samochód i była pewna, że to on. Odwróciła się i ujrzała rdzawego chevroleta wlokącego się środkiem jezdni z szybkością niewiele większą od idącego mężczyzny. Stary człowiek za kółkiem miał słomkowy kapelusz na głowie i zdeterminowane spojrzenie. Odwróciła twarz, zanim zdążył dostrzec jej strach, potknęła się i zdecydowanym

krokiem poszła dalej, ze spuszczoną głową. Ćmiący ból w nerkach wrócił i w pęcherzu również czuła pulsowanie. Oceniała, że wytrzyma jeszcze minutę, najwyżej dwie. Jeśli do tego dojdzie, może pożegnać się z jakimikolwiek szansami na nie zauważone zniknięcie. Ludzie mogą nie pamiętać bladej mieszczyki idącej chodnikiem w piękny wiosenny ranek, ale nie wyobrażała sobie, jak mogliby nie zapamiętać bladej mieszczyki z ciemną, powiększającą się plamą w kroku džinsów. Musiała jakoś rozwiązać ten problem, i to zaraz.

Dwa domy dalej, po tej samej stronie ulicy, stał bungalow czekoladowej barwy. Okienne były zamknięte; na ganku wały się trzy gazety. Czwarta leżała na chodniku u stóp frontowych schodów. Rosie szybko rozejrzała się wokół, stwierdziła, że nikt jej nie obserwuje, więc pośpiesznie przeszła przez trawnik przed domkiem i wzdłuż bocznej ściany. Podwórko na tyłach było puste. Na gałce aluminiowych, opuszczanych drzwi wisiał ośmiokąt papieru. Podeszła bliżej, drobnymi kroczkami, po czym przeczytała wydrukowaną wiadomość: *Pozdrowienia od Ann Cosso, waszej miejscowej przedstawicielki Avonu! Tym razem nie zastałam was w domu, ale przyjdę znowu! Dzięki! I zadzwońcie do mnie pod 555-1731, jeśli chcecie porozmawiać o wspaniałych wyrobach Avonu!* Pod spodem widniała nagryziona data 17 kwietnia — dwa dni temu.

Rosie ponownie rozejrzała się wokół, zobaczyła, że z jednej strony osłaniają ją żywopłoty, a z drugiej oleandry, więc rozpięła guzik oraz zamek swoich džinsów i przykucnęła w niszce między tarasem a zbiornikiem paliwa. Za późno było martwić się tym, że ktoś może patrzeć z górnych pięter sąsiednich budynków. A ponadto potrzeba czyniła te problemy — przynajmniej w tym momencie — zupełnie trywialnymi.

Jesteś stuknięta, wiesz.

Tak, oczywiście, wiedziała... Gdy jednak ucisk w pęcherzu osłabł i strumyk moczu popłynął zygzakowatą strużką między cegłami patio, poczuła, że jej serce wypełnia nagle szalona radość. W tym momencie wiedziała, jak to jest, kiedy pokonuje się rzekę w obcym kraju, a potem pali za sobą most i stoi na brzegu, ciężko dysząc i patrząc na jedyną szansę odwrotu idącą z dymem.

5

Szła przez prawie dwie godziny, mijając nieznaną okolicę, zanim dotarła do krótkiej promenady, która — jak przypuszczała — leżała w zachodniej części miasta. Przed sklepem z farbami i wykładzinami była budka telefoniczna i kiedy skorzystała z niej, żeby wezwać taksówkę, ze zdumieniem odkryła, że już wcale nie znajduje się w mieście, lecz na przedmieściu Mapleton. Na obu piętach miała spore odciski, czemu pewnie nie powinna się dziwić — chyba przeszła dobre jedenaście kilometrów.

Taksówka przyjechała po piętnastu minutach; do tej pory Rosie zdążyła wpaść do sklepiku na końcu pasażu, gdzie kupiła tanie okulary przeciwsłoneczne i kolorową szyfonową apaszkę. Przypomniała sobie, jak pewnego razu Norman mówił, że jeśli chce się odwrócić uwagę od swojej twarzy, najlepiej włożyć coś jaskrawego, co będzie przyciągało wzrok.

Taksówkarz był grubym facetem. Miał przetłuszczone włosy, nabiegłe krwią oczy i nieświeży oddech. Na workowatym, spłowiałym podkoszulku widoczna była mapa Wietnamu Południowego. **KIEDY UMRE, PÓJDE DO NIEBA, PONIEWAŻ BYŁEM W PIEKLE** — głosił napis pod mapą. — **ŻELAZNY TRÓJKĄT, 1969.** Paciorkowate czerwone oczka zmierzyły ją szybkim spojrzeniem, od warg przez piersi po biodra, zanim najwidoczniej stracił zainteresowanie.

— Dokąd jedziemy, moja droga? — zapytał.

— Czy może pan zawieźć mnie na przystanek greyhoundu?

— Do Portside?

— Czy to dworzec autobusowy?

— Taa. — Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie we wstecznym lusterku. — Na drugim końcu miasta. Kurs za dwadzieścia dolców, jak nic. Stać panią na tyle?

— Oczywiście — powiedziała, po czym odetchnęła głęboko i dodała: — Jak pan sądzi, czy zdoła pan znaleźć po drodze bankomat Banku Handlowego?

— Żeby wszystko w życiu było takie łatwe — oznajmił i złamał chorągiewkę taksometru. Dwa dolary pięćdziesiąt — odczytała. — OPLATA STAŁA.

Moment, w którym cyfry w taksometrze z cichym szelestem zmieniły się z dwóch pięćdziesiąt na dwa siedemdziesiąt pięć, a słowa OPLATA STAŁA zniknęły, uznała za początek jej nowego życia. Już nie będzie nazywała się Rose Daniels, chyba że coś ją do tego zmusi. I nie dlatego, że Daniels było jego nazwiskiem, lecz dlatego, że postanowiła go porzucić. Znowu będzie Rosie McClendon, dziewczyną, którą w wieku osiemnastu lat pochłonęło piekło. Przypuszczała, że czasami będzie zmuszona posłużyć się nazwiskiem męża, lecz nawet wtedy w sercu i duszy pozostanie Rosie McClendon.

Naprawdę jestem Rosie — myślała, gdy taksówkarz jechał po Trunkatawny Bridge i uśmiechnęła się, kiedy słowa Maurice'a Sendaka i głos Carole King przemknęły jej przez głowę jak para duchów. „Jestem Rosie Real”.

Czy naprawdę? Czy była prawdziwa?

Teraz dopiero się dowiem — myślała. — Dopiero teraz.

6

Taksówkarz zatrzymał wóz na Iroquois Square i wskazał na rząd automatów stojących na placu ozdobionym fontanną i chromowaną rzeźbą nie przedstawiającą niczego konkretnego.

Automat na końcu, po lewej, był jasnozielony.

— Może być? — spytał taksówkarz.

— Tak, dzięki. Za minutkę wracam.

Zajęło jej to trochę więcej czasu. Najpierw nie umiała wystukać właściwego numeru kodu na dużej klawiaturze urządzenia, a kiedy wreszcie uporała się z tą czynnością, nie potrafiła zdecydować, ile ma podjąć. Nacisnęła siedem–pięć–przecinek–zero–zero, zawahała się, z palcem nad przyciskiem TRANSAKCJA, po czym cofnęła rękę. Jeżeli ją złapie, pobije za to, że uciekła, nie ma co do tego wątpliwości. Jeśli jednak pobije ją tak ciężko, że konieczny będzie szpital (albo zabije — mamrotał cichy głosik — on naprawdę może cię zabić, Rosie, i jesteś głupia, jeżeli o tym zapominasz), to dlatego, że ośmieliła się ukraść jego kartę kredytową... i skorzystać z niej. Czy miała ryzykować za marne siedemdziesiąt pięć dolarów? Czy to wystarczy?

— Nie — mruknięła i ponownie wyciągnęła rękę. Tym razem wystukała trzy–pięć–zero–przecinek–zero–zero... a potem znowu zawahała się. Nie wiedziała dokładnie ile tego, co nazywał „gotówką”, znajdowało się na koncie, do którego podłączał się bankomat, ale trzysta pięćdziesiąt dolarów musiało stanowić całkiem sporą część tych zasobów. Będzie tak zły...

Sięgnęła ręką do przycisku KASUJ/POWTÓRZ i ponownie zadała sobie pytanie, co to za różnica. On i tak będzie zły. Już nie ma dla niej odwrotu.

— Czy to jeszcze długo potrwa, proszę pani? — usłyszała głos za plecami. — Bo już kończy mi się przerwa na kawę.

— Och, przepraszam! — powiedziała, lekko drgnąwszy ze strachu. — Nie, ją tylko... zbierałam myśli.

Wcisnęła przycisk TRANSAKCJA. Na wyświetlaczu pojawiły się słowa PROSZĘ CZEKAC. Chwila oczekiwania nie trwała długo, ale Rosie zdążyła wyobrazić sobie

przerażającą scenę, w której maszyna wydaje nagle przenikliwy sygnał ostrzegawczy, a mechaniczny głos ryczy: TA KOBIETA TO ZŁODZIEJKA! ZATRZYMAĆ JĄ! TA KOBIETA TO ZŁODZIEJKA!

Zamiast nazwać ją złodziejką, automat wyświetlił „dziękuję”, życzył jej miłego dnia i wypuł siedemnaście dwudziestek oraz jedną dziesiątkę. Rosie obdarzyła stojącego za nią młodego człowieka nerwowym uśmiechem, nie nawiązując kontaktu wzrokowego, po czym pośpieszyła do taksówki.

7

Dworzec Portside okazał się niskim, szerokim budynkiem o gładkich ścianach koloru piaskowca. Autobusy wszelkiego rodzaju — nie tylko greyhoundy, ale linii Trailways, American Pathfinders, Eastern Highways i Continental Express — otaczały dworzec, wciskając głęboko w zatoki przystanków swoje wysokie, tępe pyski. Dla Rosie wyglądały jak tłuste chromowe warchlaki cisnące się do okropnie brzydkiej maciory.

Stała przed głównym wejściem i zajrzała do środka. Terminal nie był tak zatłoczony, jak oczekiwała (bezpieczeństwo w tłumie), a czego jednocześnie się obawiała (po czternastu latach niewidywania nikogo oprócz męża i jego kolegów, których czasem przyprowadzał na obiad, nabawiła się dotkliwej agorafobii). Zapewne dlatego, że był środek tygodnia i zbliżały się wakacje. Mimo to oceniła, że w środku przebywało kilkaset osób kręcących się bez celu, siedzących na staroświeckich drewnianych ławkach z wysokimi oparciami, grających na automatach, pijących kawę w drink-barze lub stojących w kolejkach po bilety. Małe dzieci trzymały matki za ręce, odchylały głowy i ryczały jak zagubione cieleta do wyblakłych fresków na suficie. Głośnik budzący echa, niczym głos Boga w biblijnych opowieściach Cecila B. deMille’a, zapowiadał odjazdy do kolejnych miejsc przeznaczenia: Erie w Pensylwanii, Nashville w Tennessee, Jackson w Missisipi, Miami na Florydzie (bezciesny, wibrujący głos wymawiał to jak Miama), Denver w Kolorado.

— *Lady* — usłyszała zmęczony głos. — Hej, *lady*, drobne wsparcie. Drobne wsparcie, co pani na to?

Obróciła głowę i zobaczyła młodego człowieka o bladej twarzy i grzywie brudnych włosów, siedzącego pod ścianą obok wejścia. Na podołku trzymał kawałek tektury. BEZDOMNY, CHORY NA AIDS — głosił napis — PROSI O POMOC.

— Ma pani trochę drobnych, prawda? Żeby mi pomóc? Będzie pani pływać swoją motorówką po Saranac Lake, kiedy ja już dawno pójdę do piachu. Co pani na to?

Poczuła się dziwnie i słabo, na krawędzi psychicznego i emocjonalnego załamania. Terminal zdawał się rosnąć w oczach, aż osiągnął wielkość katedry, a falowanie tłumy w nawach i bocznych kaplicach miało w sobie coś przerażającego. Mężczyzna z pomarszczonym, pulsującym wolem, zwisającym z boku szyi, przemknął obok ze zwieszoną głową, ciągnąc za sobą worek na sznurku. Worek syczał jak wąż, ślizgając się po brudnych kafelkach podłogi. Spoglądała z niego mordka Myszki Miki, szczerząc zęby w uśmiechu. Boski głos spikera obwieszczał podróżnym, że pośpieszny autobus linii Trailways do Omaha odjeżdża ze stanowiska siedemnastego za dwadzieścia minut.

Nie mogę tego zrobić — pomyślała nagle. — Nie potrafię żyć w tym świecie. Tu nie wystarczy wiedzieć, gdzie jest herbata ekspresowa i zmywaki do naczyń; drzwi, za którymi mnie bił, były również drzwiami do tego zamętu i szaleństwa. I nigdy przez te drzwi nie wrócę.

Przez chwilę oczami duszy ujrzała zdumiewająco żywy obraz ze szkółki niedzielnej w jej dzieciństwie — Adam i Ewa noszący figowe liście, ich miny wyrażające wstyd i upokorzenie, kiedy kroczyli boso kamienistą ścieżką ku nędznej, sterylnej przyszłości. Za nimi został rajski

ogród, sielski i pełen kwiatów. Skrzydlaty anioł stał przy jego zamkniętej bramie, a miecz w jego dłoni płonął straszliwym blaskiem.

— Ani się waż tak myśleć! — krzyknęła nagle, a człowiek siedzący przy wejściu cofnął się tak gwałtownie, że prawie zgubił swój karton. — Ani się waż!

— Jezu, przepraszam! — powiedział mężczyzna, robiąc wielkie oczy. — Proszę iść, jeśli tak pani to odbiera!

— Nie, ja... nie chodziło o pana... myślałam o moim...

Nagle pojęła absurdalność swojego zachowania — tłumaczyła się przed żebrakiem siedzącym obok wejścia na dworzec autobusowy. Wciąż trzymała w ręce dwa dolary — resztę wydaną przez taksówkarza. Rzuciła je do pudełka po papierosach, ustawionego tuż przy młodym człowieku z kartonikiem, i umknęła w głąb terminalu Portside.

8

Na tyłach dworca inny młodzieniec — z wąsikiem Errola Flynna i urodziwą, nie budzącą zaufania twarzą — demonstrował na wieku swojej walizki coś, co z pokazów w telewizji rozpoznała jako grę w trzy karty.

— Znaleźć asa pikowego? — zachęcał. — Chce pani trafić piątkę, *lady*?

W myślach zobaczyła nadlatującą pięść. Ujrzała sygnet na środkowym palcu, sygnet z wygrawerowanymi słowami: Służba, Wierność, Społeczeństwo.

— Nie, dziękuję — powiedziała. — Nigdy nie miałam z tym problemu.

Kiedy go mijała, jego wyraz twarzy zdradzał, iż uznał, że brak jej paru klepek, ale to nieważne. To nie jej kłopot. Tak samo jak mężczyzna przy wejściu, który mógł mieć lub nie mieć AIDS, czy mężczyzna z wolem zwisającym u szyi i Myszka Miki stercząca z worka, który ciągnął. Jej problemem była Rose Daniels... uważaj, raczej Rosie McClendon... i to był jej jedyny problem.

Ruszyła głównym przejściem i nagle przystanęła, widząc kosz na śmieci. Na jego obłym zielonym brzuchu widniał kategoryczny nakaz: NIE ŚMIECIĆ. Otworzyła torebkę, wyjęła kartę kredytową, spoglądała na nią przez chwilę, po czym wepchnęła ją do szczeliny kosza. Zrobiła to niechętnie, a jednocześnie z ulgą. Gdyby zatrzymała kartę, mogłaby nie oprzeć się pokusie i skorzystać z niej ponownie... a Norman nie był głupi. Brutalny — tak. Głupi — nie. Jeśli pozostawi mu ślad, po którym mógłby ją wytropić, on to zrobi. Powinna o tym pamiętać.

Nabrała powietrza w płuca, przetrzymała je przez sekundę czy dwie, po czym wypuściła i ruszyła ku monitorom PRZYJAZDÓW/ODJAZDÓW wiszącym w centralnej części dworca. Nie obejrzała się. Gdyby to zrobiła, zobaczyłaby młodzieńca z wąsikiem Errola Flynna, grzebiącego w koszu, szukającego tego, co wyrzuciła ta trzepnięta *lady* w okularach przeciwsłonecznych i jaskrawoczerwonej apaszce. Wyglądało mu to na kartę kredytową. Pewnie się mylił, jednak człowiek nigdy nie może być pewny, dopóki nie sprawdzi. I czasem ma się szczęście. Czasem? Do diabła, często. Nie na darmo nazywają ten kraj Krainą Możliwości.

9

Następne duże miasto leżało zaledwie czterysta kilometrów na zachód, co wydawało jej się za blisko. Wybrała jeszcze większe, oddalone o prawie dziewięćset kilometrów. Leżało na brzegu jeziora, tak jak to, ale w innej strefie czasowej. Autobus Continental Express odjeżdżał w tym kierunku za pół godziny. Podeszła do kas biletowych i stanęła w kolejce. Serce waliło

jej mocno w piersi i miała sucho w ustach. Na moment przed tym, zanim osoba stojąca przed nią zapłaciła za bilet i odeszła od kasy, Rosie przycisnęła dłoń do ust, tłumiąc czknięcie, które paliło w przełyku i niosło smak porannej kawy.

Nie waż się używać tu żadnego z tych dwóch nazwisk — przestrzegła się w duchu. — Jeśli zapytają o nazwisko, musisz podać jakieś inne.

— W czym mogę pani pomóc? — spytał kasjer, patrząc znad pary ciemnych okularów zsuniętych ryzykownie na koniec nosa.

— Angela Flyte — powiedziała. To było nazwisko jej najlepszej koleżanki w szkole średniej i ostatniej przyjaciółki, jaką kiedykolwiek miała. W Aubreyville High School Rosie chodziła z chłopcem, który poślubił ją tydzień po maturze i razem stworzyli dwuosobowe państwo... którego granice były przeważnie zamknięte dla turystów.

— Proszę?

Zrozumiała, że podała nazwisko zamiast celu podróży, co z pewnością zabrzmiało bardzo dziwnie (ten facet pewnie ogląda moje przeguby i szyję, usiłując dojrzeć jakieś ślady po kaftanie bezpieczeństwa). Zaczerwieniła się ze zmieszania i niepokoju, usiłując zebrać myśli, uporządkować je jakoś.

— Przepraszam — powiedziała, mając ponure przeczucie, że cokolwiek przyniesie jej przyszłość, to jedno krótkie słowo będzie jej towarzyszyło jak puszka przywiązana do psiego ogona. Od czternastu lat odgradzały ją od reszty świata zamknięte drzwi i teraz była jak przerażona mysz, której brakuje dziury w ścianie kuchni.

Kasjer wciąż patrzył na nią i w jego oczach nad połówkami szkieł czało się zniecierpliwienie.

— Mogę pani w czymś pomóc, czy nie?

— Tak, proszę. Chcę kupić bilet na autobus o jedenastej pięć. Czy są jeszcze wolne miejsca?

— Och, chyba ze czterdzieści. Bilet w jedną stronę czy w dwie?

— W jedną — odparła i znów poczuła palenie rumieńca na policzkach, kiedy dotarło do niej znaczenie tego, co powiedziała. Spróbowała uśmiechnąć się i dodała z nieco większym przekonaniem: — W jedną stronę, proszę.

— To będzie pięćdziesiąt dziewięć dolarów i siedemdziesiąt centów — oznajmił.

Miała wrażenie, że kolana uginają się pod nią. Spodziewała się, że bilet będzie znacznie droższy; była przygotowana na to, że wyda nań wszystkie pieniądze.

— Dziękuję — odrzekła i w jej głosie musiał usłyszeć prawdziwą wdzięczność, gdyż oderwał wzrok od wypełnianego formularza i uśmiechnął się do niej. Z jego oczu zniknęło zniecierpliwienie i rezerwa.

— Cała przyjemność po mojej stronie — oświadczył. — Ma pani jakiś bagaż?

— Ja... nie mam żadnego bagażu — wyrzuciła z siebie, nagle obawiając się jego spojrzenia. Usiłowała wymyślić jakieś wytłumaczenie — przecież to musiało wydać mu się podejrzane: samotna kobieta wyruszająca do odległego miasta bez żadnego bagażu oprócz torebki. Nic nie przychodziło jej do głowy. I przekonała się, że tak było dobrze. Kasjer nie zdradzał ani podejrzliwości, ani zaciekawienia. Po prostu kiwnął głową i zaczął wypisywać bilet. Nagle z przykrością uświadomiła sobie, że nie była niczym nowym w Portside. Ten mężczyzna wciąż widywał takie jak ona: kobiety kryjące się za czarnymi okularami, kobiety kupujące bilety do innych stref czasowych, kobiety wyglądające, jakby zapomniały, kim są, co robią i dlaczego.

ponownie przejechał Trunkatawny, a potem pojechał na zachód trasą I-78. Gdy mijali ostatni z rozjazdów na przedmieściach, ujrzała trójkątny budynek o szklanych ścianach, będący nową kwaterą policji. Pomyślała, że jej mąż może stać teraz za jednym z tych olbrzymich okien, że może nawet patrzeć na ten wielki, błyszczący autobus sunący międzystanową autostradą. Zamknęła oczy i policzyła do stu. Kiedy znów je otworzyła, budynek zniknął. Miała nadzieję, że na wieki.

Wybrała miejsce w tylnej części autobusu, więc za plecami słyszała miarowy pomruk diesla. Znowu zamknęła oczy i oparła głowę o szybę. Nie zaśnie, była na to zbyt wzburzona, ale może trochę odpocznie. Miała wrażenie, iż będzie potrzebować wszystkich sił, jakie zdoła zebrać. Ciągle dziwiła się, jak nagle zdarzyło się to wszystko — przypominało bardziej atak serca lub wylew niż zmianę życia. Zmiana? To delikatne określenie. Ona nie tylko zmieniła swoje życie, lecz wywróciła je do góry nogami, jak kobieta wyrwijająca fiołek alpejski z doniczki. Zmiana życia, akurat. Nie, nigdy nie zdoła zasnąć. O śnie nie ma mowy.

Tak myśląc zapadła nie w sen, lecz w ten pośredni stan między snem a jawą. Poruszała się tam i z powrotem jak bańka mydlana, ledwie świadoma monotonnego szumu silnika, odgłosu opon na asfalcie, obecności dzieciaka cztery rzędy dalej, pytającego matkę, kiedy dojadą do cioci Normy. Ale zdawała sobie sprawę z tego, że wyzwoliła się z pęt, a jej umysł otworzył się jak kwiat (jak róża, oczywiście), otworzył się tak, jak to się dzieje tylko wtedy, gdy ktoś nie znajduje się ani tu, ani tam.

I'm really Rosie...

Głos Carole King, śpiewający słowa Maurice'a Sendaka. Słowa nadlatywały tunelem, w którym była, z jakiejś odległej komnaty, rezonując echem, przy wtórce szklistych, ulotnych dźwięków pianina.

...and I'm Rosie Real...

A jednak mimo wszystko zasnę — pomyślała. — Chyba naprawdę zasnę. Wyobraźcie sobie!

You better believe me... I'm a great big deal...

Już nie była w szarym korytarzu, lecz w jakiejś ciemnej przestrzeni. Jej nos, jej głowę wypełniły zapachy lata, tak słodkie i silne, że niemal obezwładniające. Dominował wśród nich zapach wiciokrzewu, snujący się gęstymi smugami. Słyszała świerszcze, a kiedy uniosła głowę, zobaczyła tarczę księżyca, płynącą hen wysoko. Jego biały blask był wszędzie, zmieniając w dym mgłę wstającą z gęstej trawy wokół jej bosych nóg.

I'm really Rosie... and Fm Rosie Real...

Podniosła dłonie. Rozstawione palce niemal stykały się kciukami; obramowała nimi księżyc, niczym obraz, a gdy nocny wiatr popieścił jej nagie ramiona, poczuła swoje serce pęczniejące szczęściem, a potem kurczące się ze strachu. Wyczuwała czające się tu zagrożenie, jakby w tym wonnym gąszczu kryły się niebezpieczne, drapieżne zwierzęta.

„Rose. Chodź tu, kochanie, chcę porozmawiać z tobą w cztery oczy”.

Obróciła głowę i zobaczyła jego pięść wylaniającą się z ciemności. Lodowate błyski księżycowego blasku lśniły na wypukłych literach sygnetu Akademii Policyjnej. Ujrzała groźnie skrzywione wargi, ściągnięte w grymasie przypominającym uśmiech...

...i podskoczyła na fotelu budząc się, dysząc, z czołem mokrym od potu. Musiała ciężko oddychać już od jakiegoś czasu, gdyż jej oddech skroplił się na szybie i niemal całkowicie ją zaparował. Kantem dłoni starła długi pas pary i spojrzała za okno. Miasto już niemal całkiem zniknęło; mijali peryferyjne stacje benzynowe i bary szybkiej obsługi, ale za nimi widziała otwartą przestrzeń.

Uciekłam mu — pomyślała. — Obojętnie, co teraz się stanie ze mną, uciekłam mu. Jeśli nawet będę musiała sypiać pod schodami czy pod mostami, uciekłam mu. Już nigdy mnie nie uderzy, bo mu uciekłam.

A jednak czuła, że jeszcze nie całkiem w to wierzy. On będzie wściekły i spróbuje ją

odszukać. Była tego pewna.

Tylko jak mógłby to zrobić? Przecież zatarłam za sobą ślady; nie musiałam nawet podać nazwiska szkolnej koleżanki, żeby kupić bilet. Wyrzuciłam kartę kredytową, to najważniejsze. A więc jak mógłby mnie znaleźć?

Nie wiedziała... Lecz znajdowanie ludzi to jego zawód, zatem będzie musiała bardzo, bardzo uważać.

I'm really Rosie... and I'm Rosie Real...

Tak, przypuszczalnie oba te stwierdzenia były prawdą, ona jednak nigdy w życiu nie czuła się wielka. Raczej miała wrażenie, że jest źdźbłem pośród bezkresnego oceanu. Wciąż czuła przerażenie, jakie owładnęło nią pod koniec krótkiego snu, ale też odrobinę radości i szczęścia; poczucie... jeśli nie siły, to przynajmniej wolności.

Oparła się wygodnie w fotelu i patrzyła, jak ostatnie bary szybkiej obsługi oraz sklepy z częściami znikają w tyle. Teraz pozostał już tylko wiejski krajobraz — świeżo zaorane pola i szpalery drzew pokrywających się tą bajeczną mgiełką zieleni, spotykaną jedynie w kwietniu. Z rękami luźno splecionymi na podołku obserwowała, jak to wszystko przesuwa się za oknem, pozwalając, by wielki srebrny autobus wiozł ją na spotkanie przeznaczenia.

II UPRZEJMOŚĆ OBCYCH

1

W ciągu pierwszych tygodni nowego życia musiała poradzić sobie z wieloma trudnymi chwilami, jednak, nawet w najtrudniejszej z nich wszystkich — kiedy wysiadła z autobusu i znalazła się na dworcu cztery razy większym od Portside — nie żałowała podjętej decyzji.

Była tylko przerażona.

Rosie stała w przejściu do stanowiska 62, ściskając obiema rękami torebkę i spoglądając szeroko otwartymi oczami na przepływające obok fale ludzi wlokących walizki, taszczących na ramionach owiązane sznurkiem kartony, obejmujących ramiona przyjaciółki lub talie przyjaciół. Widziała, jak jakiś mężczyzna podbiegł do kobiety, która właśnie wysiadła z autobusu Rosie, złapał ją i zakreślił nią tak, że stopami nie dotykała ziemi. Kobieta pisnęła z przestachu i zachwyty; jej krzyk był niczym błysk flesza w zatłoczonym, zgiełkliwym terminalu.

Na prawo od Rosie stał rząd automatów do gry i mimo wczesnych godzin rannych dzieciaki — przeważnie w czapkach baseballowych, włożonych daszkiem do tyłu i z włosami zgolonymi co najmniej w osiemdziesięciu procentach — zajmowały wszystkie.

— Jeszcze raz, Kosmiczny Kadecie! — przynaglał stojący najbliżej Rosie zgrzytliwym, nieludzkim głosem. — Jeszcze raz, Kosmiczny Kadecie! Jeszcze raz, Kosmiczny Kadecie!

Powoli przeszła wzdłuż automatów, udając się w głąb terminalu, pewna tylko jednej rzeczy: nie ośmieli się wyjść stąd tak wcześnie rano. Czowała, że gdyby to zrobiła, miałyby spore szanse na to, że zostanie zgwałcona, zabita i wepchnięta do pierwszego lepszego pojemnika na śmieci. Zerknęła w lewo i zobaczyła dwóch umundurowanych policjantów, zjeżdżających ruchomymi schodami z piętra. Jeden zręcznie żonglował pałką. Drugi uśmiechał się w chłodny, pozbawiony wesołości sposób, przypominający jej człowieka, którego pozostawiła setki kilometrów stąd. Uśmiechał się, lecz uśmiechu nie było w jego nieustannie błędzących oczach.

Co się stanie, jeśli oni mają sprawdzać to miejsce co godzina i wyrzucać każdego, kto nie ma biletu? Co zrobisz wtedy?

Poradzi sobie, jeżeli będzie musiała — oto co zrobi. Na razie odeszła od ruchomych schodów do niszy, gdzie tuzin lub więcej podróżnych siedziało na twardych, plastikowych fotelach. Do poręczy tych foteli były przymocowane małe telewizorki uruchamiane przez wrzucenie monety. Idąc, Rosie nie spuszczała policjantów z oczu i z ulgą zobaczyła, że poszli w głąb terminalu, oddalając się od niej. Za dwie i pół godziny, najwyżej trzy, nadejdzie świt. Wtedy mogą ją złapać i wykopać stąd. A do tego czasu chciała zostać tutaj, gdzie są światła i mnóstwo ludzi.

Usiadła na jednym z foteli. Dwa miejsca dalej po lewej drzemała dziewczyna w wyblakłej dżinsowej kurtce, z plecakiem na kolanach. Jej gałki oczne poruszały się pod umalowanymi na purpurowo powiekami, a z dolnej wargi zwieszała się długa, srebrzysta nitka śliny. Na grzbiecie prawej ręki miała wytatuowane trzy słowa krzywymi sinymi literami, tworzącymi napis: KOCHAM MOJEGO LÓBEGO. I gdzie jest teraz twój luby? — pomyślała Rosie. Spojrzała na pusty ekran telewizora, a potem na wykafelkowaną ścianę po prawej. Ktoś nabazgrał tam czerwonym flamastrem: POSSIJ MEGO AIDSOWEGO PTAKA. Pośpiesznie odwróciła wzrok, jakby te słowa mogły wypalić się w siatkówkach jej oczu, gdyby patrzyła za długo, po czym spojrzała na hol dworca. Na przeciwległej ścianie wisiał ogromny podświetlany zegar. Była trzecia szesnaście rano.

Dwie i pół godziny, a potem mogę stąd pójść — pomyślała i postanowiła czekać.

2

Zjadła cheeseburgera i wypła lemoniadę podczas postoju autobusu, około szóstej wieczorem poprzedniego dnia. Od tego czasu nie miała nic w ustach, więc była głodna. Kiedy wskazówki wielkiego zegara przesunęły się na czwartą, postanowiła coś zjeść. Poszła do małej kafejki koło kas biletowych, omijając śpiących na podłodze ludzi. Wielu z nich tuliło do siebie wypchane, posklejane taśmą plastikowe worki na śmieci i zanim Rosie dostała swoją kawę, sok i special K, zrozumiała, jak bezzasadne okazały się jej obawy, że policjanci mogą wyrzucić ją z terminalu. Ci śpiący nie byli podróżnymi; to bezdomni koczujący na dworcu autobusowym. Rosie żałowała ich, a jednocześnie czuła przewrotne zadowolenie — dobrze było wiedzieć, że dziś w nocy znajdzie się dla niej jakieś miejsce, jeżeli będzie jej potrzebne.

A jeśli on przyjedzie tutaj, do tego miasta, to gdzie sprawdzi przede wszystkim? Jak sądzisz, gdzie zajrzy najpierw?

To głupota, on jej nie znajdzie, w żaden sposób nie zdoła jej odszukać, a jednak na samą myśl o tym czuła zimny palec strachu przesuwający się po kręgosłupie.

Po posiłku poczuła się lepiej. Kiedy niespiesznie popijała kawę, zobaczyła, że meksykański kelner spogląda na nią z jawnym zniecierpliwieniem. Powoli ruszyła z powrotem do foteli z telewizorami. Po drodze zwróciła uwagę na niebiesko-biały krąg nad kioskiem, w pobliżu stoisk firm wynajmujących samochody. Na niebieskim obwodzie koła widniały słowa: POMOC PODRÓŻNYM. W przyływie dobrego humoru Rosie pomyślała, że jeśli kiedykolwiek w historii ludzkości jakiś podróżny potrzebował pomocy, to bezsprzecznie ona.

Zrobiła krok w kierunku okrągłego neonu. Dostrzegła w budce jakiegoś człowieka, faceta w średnim wieku, o rzadziejących włosach, w rogowych okularach. Czytał gazetę. Zrobiła następny krok w tamtą stronę i znów przystanęła. Przecież nie podejdzie do niego, prawda? Co, na miłość boską, mogłaby mu powiedzieć? Że opuściła męża? Że odeszła, nie zabierając niczego prócz swojej torebki, jego karty kredytowej i rzeczy, które miała na sobie?

A dlaczego nie? — spytała pani Praktycznie–Rozsądna. Ten głos wewnętrzny był dla Rosie jak policzek. — Skoro miałaś odwagę porzucić go, to miej odwagę i teraz!

Nie wiedziała, czy ma ją, czy nie, lecz była pewna, że wyjawienie komuś obcemu, o czwartej rano, najważniejszego wydarzenia w jej życiu będzie bardzo trudne. A on pewnie każe mi spadać. Jego praca zapewne polega na pomaganiu ludziom, którzy zgubili bilety lub informowaniu przez megafony o zagubionych dzieciach — rozmyślała.

Pomimo to nogi same niosły ją w kierunku budki z napisem: POMOC PODRÓŻNYM. Zrozumiała, że naprawdę chce porozmawiać z tym obcym o rzadziejących włosach, w rogowych okularach, a zamierzała to zrobić z najprostszego powodu pod słońcem: nie miała innego wyjścia. W przyszłości zapewne będzie musiała mówić wielu ludziom, że odeszła od męża, że przez czternaście lat żyła jak w transie, za zamkniętymi drzwiami, że ma skromne umiejętności i żadnych kwalifikacji, że potrzebuje pomocy i musi liczyć na uprzejmość obcych ludzi.

A przecież to nie moja wina, prawda? — pomyślała zdziwiona, niemal ogłuszona swoim spokojem.

Podeszła do budki i położyła na kontuarze rękę, w której nie ścisnęła w tym momencie torebki. Spojrzała z nadzieją i obawą na pochyloną głowę mężczyzny w rogowych okularach. Wpatrywała się w jego brązową, piegowaną czaszkę widoczną przez kosmyki rzadkich, równo zaczesanych włosów. Czekwała, aż na nią spojrzy, ale był zaabsorbowany gazetą w jakimś

obcym języku, przypominającym grecki lub rosyjski. Powoli odwrócił stronę i zmarszczył brwi, patrząc na zdjęcie dwóch zawodników walczących o piłkę.

— Przepraszam... — odezwała się cichutko i mężczyzna w budce podniósł głowę.

Proszę, niech jego oczy będą łagodne — pomyślała nagle. — Jeśli nawet nie może nic zrobić, niech jego oczy będą łagodne... i niech zobaczą mnie, mnie, prawdziwą osobę, która stoi tutaj, nie mając się czego trzymać, poza paskiem tej torebki z Kmartu.

I zobaczyła, że jego oczy są łagodne. Słabe i rozmazane za grubymi szklami okularów... ale łagodne.

— Przepraszam, czy mógłby mi pan pomóc? — zapytała.

3

Mężczyzna pomagający podróżnym przedstawił się jako Peter Słowik, po czym uważnie i w milczeniu wysłuchał opowieści Rosie. Powiedziała tyle, ile mogła, doszedłszy do wniosku, że nie może liczyć na uprzejmość obcych, jeśli z dumy czy wstydu zatrzyma prawdę dla siebie. Nie wspomniała jednak o pewnej ważnej sprawie, ponieważ nie wiedziała, jak to wyrazić, a mianowicie o tym, jak bardzo czuła się bezbronna, jak kompletnie nie przygotowana do życia. Do chwili opuszczenia domu nie miała pojęcia, że aż w tak wielkim stopniu zna świat jedynie z telewizji lub codziennej gazety, którą przynosił do domu mąż.

— Rozumiem, że odeszła pani pod wpływem nagłego impulsu — powiedział pan Słowik — ale czy jadąc autobusem myślała pani o tym, co zamierza robić albo dokąd pójść, kiedy już pani tu dotrze? Miała pani jakieś pomysły?

— Myślałam, że może na początek mogłabym znaleźć jakiś hotel dla kobiet — wyjaśniła. — Czy są jeszcze takie?

— Tak, wiem o co najmniej trzech, ale najtańszy z nich kosztuje tyle, że pewnie zbankrutowałaby pani po tygodniu. To przeważnie hotele dla zamożnych pań, dla dam, które zamierzają spędzić tu tydzień na zakupach lub odwiedzić krewnych nie mających dla nich miejsca w mieszkaniu.

— Och — westchnęła. — No cóż, a co z YWCA?

Pan Słowik potrząsnął głową.

— Zamknęli ostatni ze swoich domów noclegowych w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym roku. Roilo się w nich od wariatek i narkomanek.

Poczuła lekkie ukłucie strachu, lecz zaraz przypomniała sobie o ludziach śpiących tu na podłodze, obejmujących rękami swój dobytek w workach na śmieci. Zawsze pozostaje to — pomyślała.

— A czy pan ma jakieś pomysły? — spytała.

Patrzył na nią przez chwilę, stukając końcem długopisu w dolną wargę, mężczyzna o pospolitej twarzy i wodnistych oczach. A przecież dostrzegł ją i rozmawiał z nią, a nie kazał jej po prostu spadać. I, oczywiście, nie kazał mi się nachylić, żeby porozmawiać ze mną w cztery oczy — pomyślała.

Słowik zdawał się ważyć jakąś decyzję. Rozpiął marynarkę (nie dopasowany garnitur z poliestru pamiętał lepsze czasy), sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął wizytówkę. Starannie napisał adres po tej stronie, na której widniało jego nazwisko i emblemat POMOCY PODRÓŻNYM. Potem odwrócił kartonik i złożył podpis, stawiając litery, które wydały jej się zabawnie wielkie. Ten zbyt duży podpis przypomniał jej coś, o czym mówił im w szkole średniej nauczyciel historii: dlaczego John Hancock podpisał się takimi dużymi literami pod Deklaracją Niepodległości? „Żeby król Jerzy mógł to przeczytać bez okularów” — miał podobno powiedzieć Hancock.

— Czy zdoła pani odczytać adres? — spytał, podając jej wizytówkę.

— Tak — odparła. — Durham Avenue dwieście pięćdziesiąt jeden.

— Dobrze. Proszę włożyć tę kartkę do torebki i nie zgubić jej. Ktoś pewnie zechce ją zobaczyć, kiedy już pani tam dotrze. Wysłałam panią do miejsca zwanego Córki i Siostry. To schronisko dla maltretowanych kobiet. Jedyne w swoim rodzaju. Sądząc z pani opowieści, myślę, że to odpowiednie miejsce dla pani.

— Jak długo pozwolą mi tam zostać?

Wzruszył ramionami.

— Przypuszczam, że to zależy od tego, jak poważny jest ten przypadek.

A więc tym jestem teraz — pomyślała. — Przypadkiem.

Wydawało się, że czyta w jej myślach, bo uśmiechnął się. Zęby, które przy tym odsłonił, wcale nie wyglądały pięknie, ale jego uśmiech był szczerzy. Poklepał ją po ręce. To było przelotne dotknięcie, niezgrabne i trochę nieśmiałe.

— Jeśli mąż bił panią tak mocno, jak pani mówi, pani McClendon, to cokolwiek się zdarzy i tak poprawiła pani swoją sytuację.

— Tak — powiedziała. — Ja też tak uważam. A jeżeli wszystko inne zawiedzie, zawsze pozostaje mi podłoga tutaj, prawda?

Wyglądał na zaskoczonego.

— Och, nie sądzę, żeby do tego doszło.

— Może. Zdarza się.

Ruchem głowy wskazała na dwóch bezdomnych śpiących obok siebie na rozłożonych płaszcach, koło ławki. Jeden z nich naciągnął sobie na twarz brudną pomarańczową czapkę, aby osłonić oczy przed bezlitosnym światłem.

Słowik patrzył na nich przez chwilę, a potem znów na nią.

— Nie dojdzie do tego — powtórzył, tym razem znacznie pewniejszym tonem. — Autobusy miejskie zatrzymują się tuż przed głównym wyjściem; skręci pani w lewo i zobaczy przystanek. Krawężnik jest pomalowany na różne kolory w zależności od linii autobusowej. Pani pojedzie pomarańczową, więc musi pani stanąć przy krawężniku pomalowanym na pomarańczowo. Rozumie pani?

— Tak.

— Bilet kosztuje dolara i kierowca przyjmuje tylko odliczone pieniądze. Będzie zły, jeżeli ich nie dostanie.

— Mam mnóstwo drobnych.

— Dobrze. Wsiądzie pani na rogu Dearborn i Elk, przejdzie dwa kwartały Elk... a może trzy, nie pamiętam dokładnie. W każdym razie dojdzie pani do Durham Avenue. Będzie pani musiała iść lewą stroną. To jest jakieś cztery kwartały dalej, ale małe kwartały. Duży drewniany dom. Powiedziałbym, że wygląda, jakby wymagał malowania, lecz może już to zrobili. Zapamięta pani to wszystko?

— Tak.

— Jeszcze jedno. Proszę zostać na dworcu, aż będzie jasno. Wcześniej proszę nigdzie nie wychodzić, nawet na przystanek.

— Wcale nie zamierzałam — odparła.

4

W autobusie Continental Express, którym tu przyjechała, przespała zaledwie dwie, może trzy godziny, tak więc to, co zdarzyło się jej, kiedy wysiadła z autobusu pomarańczowej linii, nie było niczym niezwykłym: po prostu się zgubiła. Później doszła do wniosku, że wszystko zaczęło się od tego, iż poszła w złym kierunku Elk Street, jednak rezultat — prawie trzygodzinny spacer nie znaną jej okolicą — był znacznie ważniejszy niż przyczyna. Mijała

kwartał za kwartałem, szukając Durham Avenue i nie znajdując jej. Bolały ją nogi. Kłuło w krzyżu. Łupało w głowie. I tutaj z pewnością nie było żadnego Petera Słowika: twarze, które nie ignorowały jej, spoglądały na nią nieufnie, podejrzliwie lub z otwartą pogardą.

Niedługo po opuszczeniu autobusu mijala brudny, podejrzanie wyglądający bar The Wee Nip. Żaluzje były opuszczone, reklamy piwa wygaszone, a drzwi osłonięte kratą. Kiedy wróciła pod ten sam bar jakieś dwadzieścia minut później (dopiero wtedy zdała sobie sprawę z tego, że krąży w kółko, że wszystkie domy wyglądają podobnie), żaluzje w dalszym ciągu były opuszczone, ale reklama piwa świeciła, a kratę już odsunięto. Mężczyzna w roboczym kombinezonie stał w drzwiach, trzymając w ręku na pół opróżniony kufel piwa. Spojrzała na zegarek i zobaczyła, że dochodzi szósta trzydzieści.

Rosie spuściła głowę tak, że widziała mężczyznę tylko kątem oka, ścisnęła mocniej pasek torebki i trochę przyspieszyła kroku. Domyślała się, że ten człowiek w drzwiach wiedziałby, gdzie jest Durham Avenue, ale nie miała zamiaru pytać go o drogę. Przypominał faceta lubiącego rozmawiać z ludźmi — szczególnie z kobietami — w cztery oczy.

— Cześć mała, cześć mała! — zawołał, gdy mijala The Wee Nip. Jego głos był zupełnie pozbawiony intonacji, jak głos robota. I chociaż nie chciała na niego patrzeć, nie mogła powstrzymać się, by nie obrzucić go szybkim spojrzeniem przez ramię. Miał początki łysiny, bladą skórę, na której liczne szramy odznaczały się jak nie zagojone oparzenia, oraz rudawe sumiaste wąsy przypominające jej Davida Crosby'ego. Zauważyła na nich krople piany z piwa. — Hej, mała, masz ochotę, nieźle wyglądasz, nawet całkiem klawo, ładne cycki, masz ochotę na małą przejażdżkę, zabawimy się, co ty na to?

Odwróciła głowę i zmusiła się, żeby iść dalej równym krokiem, ze spuszczoną głową, jak muzulmanka w drodze na targ; usiłowała wcale nie zwracać na niego uwagi, inaczej mógłby pójść za nią.

— Hej, mała, zrobim zara bara–bara, co ty na to? Chodźmy zabawić się, zabawić.

Skręciła za róg i odetchnęła głęboko. Do tej pory wcale nie brakowało jej dawnego miasta czy sąsiedztwa, lecz teraz strach przed mężczyzną w drzwiach baru i brak orientacji (dlaczego te domy muszą wyglądać tak samo, dlaczego?) połączyły się w uczucie zbliżone do tęsknoty za domem. Nigdy nie czuła się tak przeraźliwie samotna, tak pełna obaw, że wszystko skończy się źle. Przyszło jej do głowy, że może nigdy nie uwolni się od tego koszmaru, a to, co czuje teraz, stanowi przedsmak jej przyszłego życia. Zaczęła nawet podejrzewać, że może nie ma żadnej Durham Avenue, że pan Słowik, który wydawał się taki miły, w rzeczywistości był sadystycznym psycholem czerpiącym radość z udzielania złych wskazówek i tak już zagubionym ludziom.

O ósmej piętnaście, według wskazań jej zegarka, długo po wschodzie słońca, zapowiadającym niezwykle skwarny dzień, natknęła się na grubą kobietę w fartuchu. Powolnymi, oszczędnymi ruchami ładowała ona na wózek puste kubły od śmieci.

Rosie zdjęła okulary przeciwsłoneczne.

— Przepraszam?

Tamta obróciła się na pięcie. Miała opuszczoną głowę i zawzięty wyraz twarzy kobiety, do której często wołano „pontonie” z drugiej strony ulicy albo z przejeżdżających samochodów.

— Czego chcesz?

— Szukam Durham Avenue dwieście pięćdziesiąt jeden — powiedziała Rosie. — Miejsca nazywanego Córci i Siostry. Mówiono mi, gdzie to jest, ale chyba...

— Co, te dobrotoczne lesbije? Nie znam ich adresu, dziewczyno. Ja nie potrzebuję ich zakichanego wsparcia. Spadaj. Spieprzaj stąd.

Odwróciła się z powrotem do swojego wózka i zaczęła pchać go podjazdem w ten sam powolny, ceremonialny sposób, przytrzymując kubły pulchną białą dłonią. Jej pośladki podskakiwały pod spranym fartuchem. Kiedy dotarła do schodów, obejrzała się.

— Nie słyszałaś? Spieprzaj stąd, zanim zawołam gliny. Ostatnie słowo było jak mocne

uszczyplenie w czule miejsce.

Rosie znów założyła ciemne okulary i szybko odeszła. Gliny? Nie, dziękuję. Nie chciała mieć nic wspólnego z glinami. Jakimikolwiek glinami. Kiedy oddaliła się trochę od grubej baby, poczuła się nieco lepiej. Przynajmniej się dowiedziała, że Córki i Siostry (znane w niektórych kręgach jako dobroczynne lesbije) naprawdę istnieją, co było krokiem we właściwym kierunku. Dwa kwartały dalej natrafiła na sklepik spożywczy z witryną, na której widniał napis: BUŁECZKI PROSTO Z PIECA. Weszła, kupiła jedną (była jeszcze ciepła i sprawiła, że Rosie pomyślała o matce), po czym spytała starszka za ladą, czy mógłby wskazać jej, jak dojść do Durham Avenue.

— Trochę zbczyła pani z drogi — rzekł.

— Och? Jak bardzo?

— Dwa, może trzy kilometry. Proszę ze mną.

Położył kościstą dłoń na jej ramieniu, zaprowadził do drzwi i pokazał ruchliwe skrzyżowanie zaledwie kawałek dalej.

— Tam jest Dearborn Avenue.

— O Boże, naprawdę? — Rosie nie wiedziała, czy śmiać się, czy płakać.

— Ta jest. Jedyny kłopot ze znajdowaniem czegoś według Wielkiej D polega na tym, że ona biegnie prawie przez całe miasto. Widzi pani to nieczynne kino?

— Tak.

— Przy nim skręci pani w prawo, w Dearborn. Musi pani przejść szesnaście, może osiemnaście kwartałów. To kawał drogi. Lepiej pojechać autobusem.

— Pewnie tak — powiedziała Rosie wiedząc, że tego nie zrobi. Nie miała już ćwiartek i dziesiątek, a gdyby kierowca autobusu robił jej trudności z rozmienieniem dolara, wybuchnęłyby płaczem. (Myśl, że człowiek, z którym rozmawiała, z przyjemnością rozmieniłby dolara na drobne, nawet nie zaświtała w jej zmęczonej, oszołomionej głowie).

— W końcu dojedzie pani do...

— Elk Street.

Spojrzał na nią z niedowierzaniem.

— Proszę pani! Jeśli pani wie, jak tam dojść, to po co pani pyta?

— Nie wiedziałam — odparła i chociaż głos starszka nie brzmiał szczególnie nieuprzejmie, była bliska łez. — Nic nie wiedziałam! Błądziłam godzinami, jestem zmęczona i...

— Dobrze, dobrze — próbował ją uspokoić. — Wszystko w porządku, proszę nie płakać, poradzi sobie pani. Trzeba wysiąść przy Elk. Stamtąd dwie czy trzy przecznice do Durham. To proste. Zna pani adres?

Kiwnęła głową.

— No dobrze, proszę iść tędy — rzekł. — Nie powinna mieć pani więcej problemów.

— Dziękuję.

Z tylnej kieszeni wyjął zmiętą, lecz czystą chusteczkę. Podał ją Rosie swą artretyczną ręką.

— Wytrzyj nosek, moja droga — powiedział. — Oczy ci się pocą.

5

Powoli szła po Dearborn Avenue, ledwie zauważając przemykające z warkotem autobusy, co kwartał lub dwa odpoczywając na ich przystankach. Ból głowy, wywołany głównie zdenerwowaniem z powodu zgubienia drogi, minął, lecz stopy i krzyż bolały ją bardziej niż kiedykolwiek. Uplęnęła godzina, zanim dotarła do Elk Street. Skręciła w prawo i zapytała pierwszą napotkaną osobę — młodą kobietę w ciąży — czy dobrze idzie do Durham Avenue.

— Odczep się — syknęła młoda kobieta w ciąży, a na jej twarzy odmalowała się taka

wściekłość, że Rosie cofnęła się o dwa kroki.

— Przepraszam — powiedziała.

— Przepraszam, sraszam. Kim ci się zdaje, że jesteś, żeby mnie pytać, co? Zejdź mi z drogi!

I ominęła Rosie z takim impetem, że prawie wepchnęła ją do rynsztoka. Rosie popatrzyła za nią ze zdumieniem, po czym odwróciła się i ruszyła dalej.

6

Szła wolniej niż kiedykolwiek. Była na Elk Street, ulicy sklepików papierniczych, pralni chemicznych, kwiaciarni i delikatesów, przed którymi wystawiono stragany z owocami. Była tak zmęczona, że nie wiedziała, jak długo utrzyma się na nogach, nie mówiąc już o maszerowaniu. Poczowała lekkie uniesienie, kiedy dotarła do Durham Avenue, ale tylko chwilowo. Czy pan Słowik mówił, żeby teraz skręcić w prawo, czy w lewo? Nie mogła sobie przypomnieć. Poszła w prawo i znalazła numery rozpoczynające się od czterystu.

— W tył zwrot — mruknęła do siebie i zawróciła. Dziesięć minut później stała przed bardzo dużym drewnianym domem (który istotnie wymagał malowania), dwupiętrowym, wznoszącym się za rozległym, dobrze utrzymanym trawnikiem. Rolety w oknach były spuszczone. Na ganku stały wiklinowe fotele, prawie tuzin, ale wszystkie były puste. Nie dostrzegła szyldu Córki i Siostry, lecz na kolumnie po lewej stronie schodów wiodących na ganek widniał numer 251. Powoli przeszła brukowaną dróżką i wspięła się po schodach; torebka luźno wisiała jej na ramieniu.

Splawią cię — szeptał jakiś głos. — Splawią cię, a wtedy możesz wracać na dworzec. Musisz być tam wcześniej, żeby zająć znośny kawałek podłogi.

Dzwonek u drzwi był pokryty kilkoma warstwami taśmy klejącej, a w dziurce od klucza tkwiła metalowa zaślepka. Po lewej stronie drzwi dostrzegła szczelinę na kartę magnetyczną — wyglądała na zupełnie nową — a nad nią skrzynkę domofonu i niewielką tabliczkę z napisem: NACISNAĆ I MÓWIC.

Rosie nacisnęła. W trakcie długiej porannej wędrówki układała różne przemowy, jakie mogła wygłosić, i wymyślała rozmaite sposoby przedstawienia się, ale teraz, kiedy już tu była, zapomniała wszystkie przygotowane mowy, nawet te najgłupsze i najprostsze. Miała kompletną pustkę w głowie. Po prostu puściła przycisk i czekała. Mijały sekundy, a każda ciążyła jak mały kawałek ołowiu. Znów sięgała do dzwonka, kiedy z głośnika popłynął kobiecy głos. Był metaliczny i beznamiętny.

— W czym mogę pomóc?

Chociaż mężczyzna z wąsami przed The Wee Nip wystraszył Rosie, a ciężarna kobieta wprawiała ją w zdumienie, żadne z nich nie doprowadziło jej do płaczu. Teraz, na dźwięk tego głosu, zalała się łzami i w żaden sposób nie mogła ich powstrzymać.

— Mam nadzieję, że ktoś może — zaczęła mówić Rosie, ocierając wolną ręką policzki. — Przepraszam, ale jestem w tym mieście całkiem sama, nikogo nie znam, a potrzebuję noclegu. Jeśli macie komplet, zrozumiem, ale czy mogłabym chociaż wejść, posiedzieć chwilę i może dostać szklanek wody?

Znów cisza. Rosie już wyciągała rękę do dzwonka, kiedy kobieta o metalicznym głosie spytała, kto ją przysłał.

— Mężczyzna z POMOCY PODRÓŻNYM na dworcu autobusowym. David Słowik.

Zastanowiła się, a potem potrząsnęła głową.

— Nie, nie tak. Peter. Miał na imię Peter, nie David.

— Czy dał pani wizytówkę? — rozległ się znowu metaliczny głos.

— Tak.

— Proszę ją pokazać.

Otworzyła torebkę i grzebała w niej przez chwilę, która zdawała się godziną. Kiedy nowe łyzy zaczęły już cisnąć się jej do oczu i oślepiać, w końcu natrafiła na wizytówkę. Leżała niewidoczna pod paczką chusteczek higienicznych.

— Mam ją — oznajmiła. — Czy chce pani, żebym wrzuciła ją przez otwór na listy?

— Nie — usłyszała. — Nad pani głową jest kamera. Zdziwiona popatrzyła w górę. Rzeczywiście nad drzwiami była zamocowana kamera spoglądająca na nią okrągłym, czarnym okiem.

— Proszę podnieść ją do kamery. Nie wierzch, ale spód wizytówki.

Kiedy to robiła, przypomniała sobie, jak Słowik składał swój podpis, starając się pisać jak największymi literami. Teraz zrozumiała, dlaczego.

— W porządku — padła odpowiedź. — Teraz nacisnę brzęczyk i wpuszczę panią do środka.

— Dziękuję — powiedziała Rosie. Wylała chusteczką higieniczną policzki, lecz nic jej to nie dało; płakała rozpaczliwiej niż kiedykolwiek i nie mogła przestać.

7

Tego wieczoru, gdy Norman Daniels leżał na sofie w swojej bawialni, patrząc w sufit i zastanawiając się, od czego zacząć poszukiwania tej suki (jakiś ślad — myślał — potrzebny mi jakiś ślad, żeby zacząć, wystarczy nawet najmniejszy), jego żonę zaprowadzono do Anny Stevenson. Rosie ogarnął dziwny, lecz długo oczekiwany spokój — taki rodzaj spokoju, jaki można znaleźć we śnie. Na pół wierzyła, że naprawdę śni.

Podano jej późne śniadanie (a może wczesny lunch), a potem umieszczono w jednej z sypialni na dole, gdzie spała jak kamień przez sześć godzin. Potem, zanim trafiła do gabinetu Anny, znów ją nakarmiono — dostała pieczonego kurczaka, ziemniaki piure, groszek. Jadła z poczuciem winy, ale łapczywie, nie potrafiąc pozbyć się wrażenia, że zapycha się niekalorycznym jedzeniem ze snu. Zakończyła posiłek galaretką, w której pływały kawałki owoców z puszki, jak muchy w bursztynie. Widziała, że inne kobiety przy stole gapią się na nią, lecz ich zainteresowanie wyglądało na przyjazne. Rozmawiały, ale Rosie nie nadążała za ich rozmową. Ktoś wspomniał o Indigo Girls i wiedziała przynajmniej, o kogo chodzi — oglądała je kiedyś w *Austin City Limits* czekając, aż Norman wróci z pracy do domu.

Kiedy jadły galaretkę, jedna z kobiet nastawiła płytę Little Richarda, a dwie inne zatańczyły *jitterburga*, kołysząc biodrami i wijąc się. Powitano to śmiechem i brawami. Rosie patrzyła na tancerki z tępym brakiem zainteresowania, zastanawiając się, czy naprawdę są dobroczynnymi lesbijkami. Później, kiedy sprzątano ze stołu, Rosie chciała im pomóc, ale nie pozwoliły jej.

— Chodź — powiedziała jedna z kobiet. Rosie zdawało się, że pozostałe mówiły do niej Consuelo. Miała długą, szpecącą bliznę pod lewym okiem, biegnącą przez policzek. — Anna chce cię widzieć.

— Kim jest Anna?

— Anna Stevenson — odparła Consuelo, prowadząc Rosie krótkim korytarzem wychodzącym z kuchni. — Szefowa.

— Jaka ona jest?

— Zobaczysz — ucięła krótko Consuelo. Otworzyła drzwi pomieszczenia, które zapewne niegdyś było spiżarnią, ale nie zamierzała wejść do środka.

Większość pokoju zajmowało biurko tak zagracone, że Rosie czegoś takiego jeszcze nie widziała. Siedząca za nim kobieta była poważna i wydawała się przystojna. Jej krótkie, ale starannie uczesane siwe włosy przypomniały Rosie aktorkę Beatrice Arthur, która grała

Maude w starym serialu telewizyjnym. Proste połączenie białej bluzki z czarnymi spodniami jeszcze bardziej podkreślało to podobieństwo. Rosie nieśmiało podeszła do biurka. Była przekonana, że teraz, kiedy nakarmiono ją i pozwolono przespać się kilka godzin, zostanie z powrotem wyrzucona na ulicę. Powiedziała sobie, iż nie będzie się kłócić ani prosić; w końcu to ich dom i już zjadła dwa darmowe posiłki. Nie będzie też musiała skorzystać z podłogi na dworcu, przynajmniej jeszcze nie, gdyż miała dość pieniędzy na kilka nocy w tanim hotelu lub motelu. Mogło być gorzej. O wiele gorzej.

Wiedziała, że to wszystko prawda, lecz energiczny sposób bycia tej kobiety i przenikliwe spojrzenie jej niebieskich oczu — oczu, które przez lata musiały oglądać setki takich jak Rosie — onieśmiały ją.

— Usiądź — zachęciła Anna, a kiedy Rosie usadowiła się w drugim fotelu (musiała zdjąć z siedzenia stertę papierów i położyć je obok na podłodze, gdyż najbliższa półka była pełna), Anna przedstawiła się, a potem zapytała Rosie, jak się nazywa.

— Tak naprawdę to Rose Daniels — odparła pytana — ale wróciłam do McClendon, czyli do mojego panińskiego nazwiska. Sądzę, że to nie jest legalne, ale już nie chcę używać nazwiska męża. Bił mnie, więc go zostawiłam.

Zrozumiała, że zabrzmiało to tak, jakby zostawiła go po tym, jak pobił ją po raz pierwszy, i odruchowo dotknęła ręką nosa, wciąż trochę obolałego.

— Byliśmy małżeństwem wiele lat, zanim zebrałam się na odwagę.

— O jak długim czasie mówimy?

— Czternaście lat.

Rosie odkryła, że nie może już dłużej patrzeć w niebieskie oczy Anny Stevenson. Wbiła wzrok w swoje dłonie na podolku, zaciśnięte tak mocno, że zbieleły jej knykcie.

Pewnie zapyta, dlaczego dopiero teraz się obudziłam — pomyślała. — Nie powie, że może w jakiś chory sposób lubiłam być bita, ale na pewno tak pomyśli.

Zamiast zapytać dlaczego, kobieta spytała, kiedy Rosie opuściła męża.

Rosie doszła do wniosku, że musi się dobrze zastanowić nad odpowiedzią i nie tylko dlatego, że znalazła się w innej strefie czasowej. Godziny spędzone w autobusie, połączone z drzemką w środku dnia, do czego nie była przyzwyczajona, zakłóciły jej poczucie czasu.

— Prawie trzydzieści sześć godzin temu — oznajmiła, obliczywszy to w myślach. — Mniej więcej.

— Uhm.

Rosie wciąż oczekiwała na jakieś formularze, które Anna wręczy jej lub sama zacznie wypełniać, tymczasem tamta tylko mówiła, spoglądając na nią zza swego ogromnego biurka. To było denerwujące.

— Opowiedz mi o tym. Opowiedz mi wszystko.

Rosie nabrała tchu w płuca i zaczęła mówić o kropli krwi na poszwie. Nie chciała sprawiać wrażenia ani tak leniwej, ani tak szalonej, by po czternastu latach zostawić swojego męża, gdyż nie chciało jej się zmienić pościeli, ale obawiała się, że tak to musiało wyglądać. Nie była w stanie wyrazić skomplikowanych uczuć, jakie obudziła w niej ta plamka, i nie potrafiła przyznać się do gniewu, jaki czuła, gniewu, który teraz zdawał się starym przyjacielem. Opowiedziała jednak Annie, że kołysała się na Fotelu Puchatka tak silnie, iż mogła złamać jego oparcie.

— Tak nazywam mój bujak — wyjaśniła, czerwieniąc się coraz mocniej. — Wiem, że to głupie...

Anna Stevenson przerwała jej machnięciem ręki.

— Co zrobiłaś, kiedy już postanowiłaś odejść?

Rosie opowiedziała jej o karcie kredytowej i o tym, jak się bała, że Norman wyczuje, co ona robi, i zatelefonuje albo przyjedzie do domu. Nie potrafiła wyznać tej poważnej i przystojnej kobiecie, że była tak wystraszona, iż musiała wysiusiać się na czyimś podwórku,

lecz wytłumaczyła, jak skorzystała z karty kredytowej i powiedziała, iż wybrała to miasto dlatego, że leżało dostatecznie daleko, a autobus odjeżdżał niebawem. Słowa wydobywały się z jej ust urywanymi zdaniami, przeplatany mi chwilkami milczenia, kiedy zastanawiała się, co jeszcze powiedzieć, a także ze zdumieniem i niedowierzaniem rozmyślała o tym, co zrobiła. Na zakończenie opowiedziała o swoim zagubieniu się i podała Annie wizytówkę Petera Słowika. Anna ledwie spojrzała na wizytówkę i oddała ją Rosie.

— Dobrze go pani zna? — spytała Rosie. — Pana Słowika? Anna uśmiechnęła się, a Rosie dostrzegła w uśmiechu odrobinę goryczy.

— Och tak — stwierdziła. — To nasz przyjaciel. Naprawdę.

— W każdym razie wreszcie dotarłam tutaj — podsumowała Rosie. — Nie wiem, co będzie dalej, ale przynajmniej dotarłam aż tutaj.

Kąciki ust Anny Stevenson uniosły się w leciutkim uśmiechu.

— Tak. I zrobiłaś kawałek dobrej roboty.

Zbierając resztki swojej odwagi, która bardzo się zmniejszyła w ciągu ostatnich trzydziestu sześciu godzin, Rosie zapytała, czy będzie mogła zostać na noc u Córek i Sióstr.

— Znacznie dłużej, jeśli chcesz — odparła Anna. — Ściśle mówiąc, to jest schronisko, prywatny dom opieki. Możesz pozostać tu przez osiem tygodni, a nawet dłużej. My tu, w Córkach i Siostrach, jesteśmy bardzo elastyczne.

Stwierdziła to z lekką dumą (zapewne bezwiedną) i Rosie przypomniała sobie coś, czego uczyła się tysiąc lat wcześniej, na lekcjach francuskiego w drugiej klasie: *L'état, c'est moi*. Później ta myśl ustąpiła miejsca zdumieniu, gdy Rosie w pełni pojęła, co powiedziała ta kobieta.

— Osiem... osiem...

Pomyślała o bladym młodym człowieku, który siedział przed wejściem na dworzec Portside, trzymającym na kolanach tekturkę z napisem: BEZDOMNY CHORY NA AIDS i nagle zrozumiała, jak by się czuł, gdyby jakiś przechodzień rzucił mu do pudełka po papierosach studolarowy banknot.

— Przepraszam, czy powiedziała pani osiem tygodni? Przeczyść sobie uszy, panienko — odpowie szorstko Anna Stevenson. — Dni, powiedziałam osiem dni. Myślisz, że pozwoliłybyśmy ci tu zostać osiem tygodni? Bądźmy rozsądne, dobrze? Zamiast tego, Anna skinęła głową.

— Prawdę mówiąc, bardzo niewiele przychodzących do nas kobiet zostaje aż tak długo. I jesteśmy z tego dumne. Oczywiście będziesz musiała zapłacić za łóżko i wyżywienie, chociaż lubimy myśleć, że nasze ceny są bardzo umiarkowane.

Znów uśmiechnęła się tym przelotnym, dumnym uśmiechem.

— Powinnaś zdawać sobie sprawę z tego, że warunki tutaj są dalekie od komfortowych. Większa część pierwszego piętra została przerobiona na sypialnię. Znajduje się w niej trzydzieści łóżek, a raczej prycz, i jedna z nich jest akurat wolna, dlatego możemy cię przyjąć. Pokój, w którym dziś spałaś, należy do jednej z mieszkających tu radczyń prawnych. Mamy ich trzy.

— Czy nie musi pani kogoś zapytać? — szepnęła Rosie. — Może trzeba podać moje nazwisko jakiejś komisji albo komuś?

— Ja jestem komisją — odparła Anna i Rosie pomyślała później, że w głosie tej kobiety zabrzmiała nuta arogancji. — Córkę i Siostrę zostały założone przez moich rodziców, którzy byli dobrze sytuowani. Stworzyli spory fundusz dobroczynny. Ja decyduję, kogo przyjąć, a kto jest tu niepożądany... chociaż reakcja innych kobiet na potencjalną pensjonariuszkę naszego domu jest również ważna. Może nawet decydująca. Na ciebie zareagowały doskonale.

— To dobrze, prawda? — spytała Rosie słabym głosem.

— Istotnie. — Anna szperała na biurku, przekładając dokumenty, aż w końcu znalazła to,

czego szukała, za stojącym po lewej komputerem PowerBook. Pomachała do Rosie kartką papieru z niebieskim nadrukiem Córek i Sióstr. — Masz. Przeczytaj i podpisz. Ogólnie rzecz biorąc, musisz płacić szesnaście dolarów dziennie za łóżko i wyżywienie. Opłata w razie potrzeby może zostać odroczone. To nawet nie ma mocy prawnej; po prostu obietnica. Chcielibyśmy, żebyś połowę płaciła na bieżąco, przynajmniej jeśli możesz.

— Mogę — odparła Rosie. — Mam jeszcze trochę pieniędzy. Nie wiem, jak pani za to dziękować, pani Stevenson.

— Stevenson w kontaktach zawodowych, a dla ciebie Anna — powiedziała patrząc, jak Rosie składa podpis u dołu strony. — I nie musisz dziękować ani mnie, ani Peterowi Słowikowi. To Opatrzność sprowadziła cię tutaj. Opatrzność przez duże O, tak jak w powieści Charlesa Dickensa. Naprawdę w to wierzę. Widziałam zbyt wiele kobiet, które przywlokły się tu załamane i odeszły uleczone, lecz nie wierzyły w to. Peter jest jednym z dwóch tuzinów ludzi w tym mieście, którzy kierują do mnie kobiety, lecz siła, która skierowała cię do niego, Rose... to była Opatrzność.

— Przez duże O.

— Właśnie.

Anna spojrzała na podpis Rosie, po czym umieściła papier na półce po prawej, gdzie — Rosie była pewna — miał zniknąć w stercie dokumentów przed upływem kolejnych dwudziestu czterech godzin.

— A teraz — rzekła Anna tonem kogoś, kto zakończył wreszcie nudne formalności i może zająć się tym, co naprawdę lubi. — Co możesz robić?

— Robić? — powtórzyła Rosie. Nagle znów poczuła się słabo. Wiedziała, co teraz będzie.

— Tak, robić, co umiesz robić? Na przykład stenografować?

— Ja... — przełknęła ślinę. W liceum w Aubreyville miała kurs stenografii pierwszego oraz drugiego stopnia i oba ukończyła z oceną bardzo dobrą, teraz jednak nie odróżniała tych ogonków od świńskich ogonów. Potrząsnęła głową. — Nie. Nie stenografuję. Kiedyś tak, ale nie teraz.

— Jakieś inne umiejętności sekretarki?

Potrząsnęła głową. Zapiekły ją oczy. Zamrugnęła gwałtownie. Jej knykcie znów pobieleły.

— Urzędniczki? Może umiesz pisać na maszynie?

— Nie.

— A księgowanie? Prowadzenie ksiąg?

— Nie!

Anna Stevenson natrafiła w stercie papierów na ołówek, wyłowiła go, po czym postukała zakończonym gumką końcem w swoje śnieżnobiałe zęby.

— Możesz być kelnerką?

Rosie rozpaczliwie pragnęła powiedzieć tak, ale pomyślała o wielkich tacach, z jakimi kelnerki musiały balansować między stolikami przez cały dzień... a potem przypomniała sobie o swoich nerkach i krzyżu.

— Nie — szepnęła. Przegrywała bitwę ze łzami; pokoik i kobieta po drugiej stronie biurka zaczęły się zacierać i zamazywać. — Przynajmniej na razie. Może za miesiąc czy dwa. Mój krzyż... teraz nie jest zbyt silny.

Och, to zabrzmiało jak kłamstwo. Kiedy Norman słyszał, jak ktoś w telewizji mówi coś takiego, śmiał się cynicznie i przypominał o cadillacach należących do ludzi na zasiłku oraz milionerach stojących po darmowe zupki.

Anna nie wyglądała na zaniepokojoną.

— To co potrafisz robić, Rose? Zupełnie nic?

— Potrafię! — wykrzyknęła, przerażona szorstkim, gniewnym tonem swego głosu, ale nie mogła się powstrzymać ani uspokoić. — Naprawdę potrafię! Umiem ścierać kurze, umiem myć naczynia, umiem ścielić łóżka, umiem odkurzać podłogę, umiem ugotować posiłek dla

dwóch osób, umiem spać z mężem raz na tydzień. I umiem przyjmować ciosy. To jeszcze jedna moja umiejętność. Jak sądzisz, czy w którejś z miejscowych sal gimnastycznych potrzebny jest *sparring partner*?

A potem wybuchnęła płaczem. Płakała, zasłaniając twarz rękami, jak to często robiła po wyjściu za męża; szlochała i czekała, aż Anna każe jej wynosić się stąd, mówiąc, że to wolne łóżko na górze dadzą komuś mniej pyskatemu.

Coś dotknęło grzbietu jej lewej ręki. Popatrzyła i ujrzała paczkę chusteczek higienicznych. Anna Stevenson trzymała je w wyciągniętej ręce. I niewiarygodne, ale uśmiechała się.

— Nie sądzę, żebyś musiała być czymś *sparring partnerem* — stwierdziła. — Wszystko się ułoży, prawie zawsze tak jest. Masz, wytrzyj oczy.

Kiedy Rosie ocierała je, Anna powiedziała jej o hotelu Whitestone, z którym Córki i Siostry łączyła długa i owocna współpraca. Whitestone należał do korporacji, w której zarządzie zasiadał niegdyś zamożny ojciec Anny. W tym hotelu wiele kobiet ponownie odkryło zadowolenie z pracy zarobkowej. Anna powiedziała Rosie, że będzie pracować tylko w takim stopniu, w jakim będzie mogła ze względu na obolały krzyż. Jeśli jednak jej stan nie poprawi się w ciągu dwudziestu jeden dni, zostanie zabrana na badania do szpitala.

— Ponadto będziesz pracowała razem z kobietą, która zna robotę. Ona nauczy cię wszystkiego i będzie za ciebie odpowiedzialna. Gdybyś coś ukradła, to kłopoty spadną na nią, nie na ciebie... Ale ty nie jesteś złodziejką, prawda?

Rosie potrząsnęła głową.

— Ukradłam jedynie kartę kredytową mojego męża, to wszystko, i skorzystałam z niej tylko raz. Żeby móc uciec.

— Będziesz pracować w Whitestone, aż znajdziesz coś, co ci będzie bardziej odpowiadało. A na pewno znajdziesz... Opatrzność, pamiętasz?

— Przez duże O.

— Tak. Zależy nam na tym, abyś starała się najlepiej, jak potrafisz, choćby po to, by zapewnić pracę tym wszystkim kobietom, które przyjdą po tobie. Rozumiesz?

— Nie odebrać szansy innym.

— Właśnie, nie odebrać szansy innym. Dobrze, że tu jesteś, Rose McClendon.

Anna wstała i wyciągnęła obie ręce. W tym geście była więcej niż odrobina bezwiednej arogancji, którą Rosie wyczuła u niej przedtem. Rosie zawahała się, po czym wstała i uściśnęła jej ręce. Ich dłonie splotły się nad zaśmieconym biurkiem.

— Mam ci do powiedzenia jeszcze trzy rzeczy — rzekła Anna. — To ważne, więc chcę, żebyś skupiła się i słuchała uważnie. Zrobisz to?

— Tak — odparła Rosie. Była zafascynowana jasnym spojrzeniem niebieskich oczu Anny Stevenson.

— Po pierwsze, zabranie karty kredytowej nie czyni cię złodziejką. To były tak samo twoje pieniądze, jak jego. Po drugie, nie ma niczego nielegalnego w powrocie do panińskiego nazwiska. Ono należy do ciebie przez całe twoje życie. Po trzecie, możesz być wolna, jeśli tego chcesz.

Przerwała, patrząc na Rosie swoimi niezwykłymi, niebieskimi oczami.

— Rozumiesz? Możesz być wolna, jeśli tego chcesz. Wolna od jego rąk, wolna od jego pomysłów, wolna od niego. Chcesz tego? Chcesz być wolna?

— Tak — wyszeptała Rosie drżącym głosem. — Pragnę tego bardziej niż czegokolwiek na świecie.

Anna Stevenson pochyliła się nad biurkiem i lekko pocałowała Rosie w policzek. Jednocześnie uściśnęła jej ręce.

— A zatem przyszedłeś we właściwe miejsce. Witaj w domu, moja droga.

Był początek maja, prawdziwa wiosna, czas, gdy młody człowiek powinien interesować się miłością; cudowna pora i niewątpliwie wspaniałe uczucie, ale Norman Daniels myślał o innych rzeczach. Potrzebował śladu, jednego małego śladu, a teraz znalazł go. To trwało zbyt długo — prawie trzy cholerne tygodnie — ale w końcu znalazł go.

Siedział na ławce w parku, setki kilometrów od miejsca, gdzie jego żona właśnie zmieniała pościel w hotelu, wielki mężczyzna w czerwonej koszulce polo i szarych spodniach z gabardyny. W jednej ręce trzymał świecąca zieloną piłkę tenisową. Mięśnie przedramienia napinały mu się rytmicznie, kiedy ją ścisnął.

Drugi mężczyzna przeszedł przez ulicę, przystanął na skraju chodnika, spoglądając na park, po czym zauważył mężczyznę na ławce i ruszył w jego kierunku. Uchylił się przed przelatującym blisko ringo, a potem stanął jak wryty, kiedy tuż obok przemknął duży owczarek alzacki w pogoni za krążkiem. Ten drugi mężczyzna był młodszy i szczuplejszy od tego na ławce. Miał urodziwą, nie budzącą zaufania twarz i wąsik Errola Flynna. Stanął przed człowiekiem z piłką tenisową i spojrzał na niego niepewnie.

— Pomóc ci, bracie? — spytał ten z piłką tenisową.

— Pan nazywa się Daniels?

Mężczyzna z piłką przytaknął skinieniem głowy. Ten z wąsikiem Errola Flynna wskazał na nowy wieżowiec ze szkła i stali, wznoszący się po drugiej stronie ulicy.

— Facet stamtąd kazał mi przyjść tu i zobaczyć się z panem. Powiedział, że pan może mi pomóc.

— Czy to był porucznik Morelli? — zapytał ten z piłką.

— Tak. Tak się nazywał.

— A jaki ma pan problem?

— Przecież pan wie — odparł właściciel wąsika.

— Powiem ci coś, bracie, może wiem, a może nie. Jakkolwiek na to patrzeć, ja jestem człowiekiem, a ty tylko nędznym, małym kombinatorem, który ma poważne kłopoty. Chyba lepiej będzie, jeśli powiesz mi to, co chcę usłyszeć, no nie? A chcę usłyszeć, i to zaraz, na czym polega ten twój problem. Mów głośno.

— Oskarżono mnie o handel narkotykami — rzekł mężczyzna z wąsikiem Errola Flynna. — Sprzedałem działkę agentowi od narkotyków.

— Uuu — zamruczał ten z piłką tenisową. — To przestępstwo. A przynajmniej to może być przestępstwo. Ale jest jeszcze gorzej, no nie? W twoim portfelu znaleźli coś mojego, prawda?

— Taak. Pańską pierdoloną kartę kredytową. Zwyczajny pech. Człowiek znajduje kartę kredytową w koszu na śmieci, a ona należy do jakiegoś pierdolonego gliniarza.

— Siadaj — zachęcił go uprzejmie Daniels, ale kiedy mężczyzna z wąsikiem Errola Flynna zaczął przesuwac się na prawą stronę ławki, niecierpliwie potrząsnął głową. — Po drugiej stronie, tępaku, po drugiej.

Wąsaty cofnął się, a potem ostrożnie usiadł po lewej ręce Danielsa. Patrzył, jak dłoń tamtego w miarowym, szybkim rytmie ścisną piłeczkę tenisową. Raz... dwa... trzy... Grube niebieskie żyły wiły się niczym węże pod białą skórą przedramienia policjanta.

Opodal przeleciał krążek. Obaj mężczyźni patrzyli na owczarka alzackiego, który gonił za nim, przebijając długimi łapami jak galopujący koń.

— Piękny pies — rzekł Daniels. — Owczarki to piękne psy. Zawsze lubiłem owczarki, a ty?

— Jasne — odparł ten z wąsikiem, chociaż uważał, że pies jest paskudny i wygląda tak, jakby z przyjemnością mógł wygryźć komuś nową dziurę w dupie, gdyby tylko miał okazję.

— Musimy odbyć długą pogawędkę — powiedział gliniarz z piłeczką tenisową. — Prawdę mówiąc sądzę, że to będzie jedna z najważniejszych rozmów w twoim młodym życiu, przyjacielu. Jesteś na to gotowy?

Mężczyzna z wąsikami przełknął coś, co stało mu w gardle, i pożałował — chyba po raz osiemsetny tego dnia — że nie pozbył się tej przeklętej karty kredytowej. Dlaczego? Dlaczego był takim przeklętym, kompletnym idiotą?

A przecież wiedział, dlaczego był takim przeklętym, kompletnym idiotą: bo miał nadzieję, że w końcu zdoła wymyślić jakiś sposób, żeby z niej skorzystać. Był optymistą. Mimo wszystko to Ameryka, Kraina Możliwości. A ponadto (co było chyba najbliższe prawdy) właściwie zapomniał o tym, że nosi ją w portfelu, wepchniętą pod plik wizytówek, które zbierał, gdzie mógł. Koka tak właśnie działa. Człowiek robi coś, ale za cholerę nie pamięta dlaczego.

Gliniarz patrzył na niego i uśmiechał się, ale w jego oczach nie było uśmiechu. W jego oczach czał się... głód. I nagle mężczyzna z wąsikami poczuł się jak jedna z trzech świnek, siedząca na ławce w parku obok bardzo złego wilka.

— Słuchaj, człowieku, nigdy nie użyłem twojej karty kredytowej. Zaczniemy od tego. Powiedzieli ci o tym, prawda? Nigdy jej, kurwa, nie użyłem.

— Oczywiście, że nie — rzekł gliniarz z półuśmiechem. — Nie znałeś kodu. Jest oparty na moim numerze telefonu, zastrzeżonym, jak u większości policjantów. Lecz założę się, że już o tym wiesz, prawda? Założę się, że to sprawdziłeś.

— Nie! — upierał się ten z wąsikami. — Nie sprawdzałem! Oczywiście sprawdzałem. Sprawdzałem w książce telefonicznej, wyszukując numery osób o takim nazwisku, pod różnymi adresami, bez skutku. Z początku wciskał guziki we wszystkich bankomatach w mieście. Wciskał guziki, aż rozbolewały go palce i poczuł się jak dupek grający na najgorszym automacie.

— Ciekawe, co będzie, jeśli sprawdzimy w komputerze Banku Handlowego zapisy operacji w bankomatach? — pytał glina. — Czy nie znajdziemy numeru mojej karty, powtarzającego się miliard razy w kolumnie SKASUJ/PONÓW? Hej, jeśli nie, stawiam ci obiad. Co ty na to, bracie?

Człowiek z wąsem nie wiedział, co ma myśleć i o tym, i o czymkolwiek innym. Miał bardzo niedobre przecucia. Okropnie złe przecucia. Tymczasem palce gliniarza zaczęły zaciskać się na piłeczce tenisowej: raz i dwa, raz i dwa, raz i dwa.

Niesamowite, że nawet na chwilę nie przestawał tego robić.

— Nazywasz się Ramon Sanders — ciągnął gliniarz nazwiskiem Daniels. — Twój rejestr przestępstw jest tak długi jak moje ramię. Kradzież, oszustwo, narkotyki, dziwki. Wszystko oprócz napaści, pobicia i tym podobnych przestępstw. Nie mieszasz się w takie sprawy, co? Wy, pędzie, nie lubicie obrywać, no nie? Nawet ci, którzy wyglądają jak Schwarzenegger. Och, nie mają nic przeciwko noszeniu kuloodpornych kamizelek czy prężeniu mięśni na użytek facetów w limuzynach przed jakimś klubem dla pedałów, ale jeśli ktoś wszczyna bójkę, padacie plackiem. No nie?

Ramon Sanders nic nie powiedział. W tym momencie wydawało się to najrozsądniejsze.

— Ja nie mam nic przeciw biciu — wyznał gliniarz nazwiskiem Daniels. — Ani kopaniu. A nawet gryzieniu.

Mówił jakby w zadumie. Wydawało się, że patrzy jednocześnie gdzieś w dal i na owczarka alzackiego, który teraz biegł ku nim, trzymając w pysku krążek.

— I co ty na to, anielskooki?

Ramon w dalszym ciągu nic nie mówił i usiłował zachować pokerową twarz, lecz w jego głowie zapaliło się mnóstwo czerwonych światełek, a pień nerwowy ogarnęło dziwne, niepokojące drżenie. Serce przyśpieszyło jak pociąg wjeżdżający na otwartą przestrzeń. Co rusz zerkał na wielkiego mężczyznę w czerwonej koszulce polo i z każdą chwilą mniej

podobało mu się to, co widział. Prawe przedramię faceta było teraz mocno napięte, żyły nabiegły krwią, a mięśnie sterczały jak świeżo wyrosłe bochenki.

Daniels zdawał się nie zważać na brak odpowiedzi. Twarz, którą zwrócił do niego, była uśmiechnięta... a przynajmniej wydawała się uśmiechnięta, jeśli zignorować oczy. Te były puste i lśniące jak dwie nowe ćwierćdolarówki.

— Mam dla ciebie dobre wieści, mały bohaterze. Możesz wywinąć się od oskarżenia o handel narkotykami. Pomożesz mi trochę, a będziesz wolny niczym ptak. I co o tym myślisz?

Myślał, że najchętniej w dalszym ciągu trzymałby dziób na kłódkę, lecz to już nie wydawało się możliwe. Tym razem gliniarz nie gadał do siebie; czekał na odpowiedź.

— To wspaniale — rzekł Ramon, mając nadzieję, że odezwał się właściwie. — To wspaniale, naprawdę świetnie, dzięki, że daje mi pan szansę.

— No cóż, może cię lubię, Ramonie — rzekł gliniarz i zrobił coś zdumiewającego, coś, czego Ramon nigdy nie spodziewałby się po takim pieprzniętym zafajdanym sztywniaku jak ten facet; opuścił lewą rękę na krocze Ramona i zaczął go pocierać, na oczach wszystkich, dzieciaków na placu zabaw, na oczach każdego, kto zechciałby popatrzeć. Przesuwał dłoń delikatnie, zgodnie z ruchem wskazówek zegara, tam i z powrotem, w górę i w dół, po tym niewielkim kawałku ciała, które właściwie kierowało życiem Ramona, od kiedy dwaj koledzy jego ojca, wujek Bill i wujek Carlo, po kolei obciągnęli mu, gdy miał dziewięć lat. A teraz zdarzyło się coś, co pewnie wcale nie było dziwne, chociaż w tym momencie wydawało się bardzo dziwne: stanął mu.

— Taak, może podobaś mi się, może bardzo mi się podobaś, ty nędzny mały lachociągu w błyszczących czarnych spodniach i spiczastych butach, czemu by miało być inaczej?

Mówiąc, gliniarz w dalszym ciągu pieścił jego koguta. Od czasu do czasu ścisnął go lekko, przy czym z gardła Ramona wyrывało się przeciągłe westchnienie.

— I to dobrze, że cię lubię, Ramonie, lepiej w to uwierz, ponieważ tym razem naprawdę cię mają. Ciężkie przestępstwo. A wiesz, co mnie niepokoi? Lessington i Brewster, ci gliniarze, którzy cię przytknęli, śmiali się dziś rano w komisariacie. Śmiali się z ciebie, co jest w porządku, ale miałem wrażenie, że śmiali się również ze mnie, a to nie jest w porządku. Nie lubię, kiedy ludzie śmieją się ze mnie i zwykle nie pozwalam na to. A dziś rano musiałem, więc tego popołudnia jestem twoim najlepszym przyjacielem. Zamierzam oddalić zarzut o handel narkotykami, mimo że miałeś moją pierdoloną kartę kredytową. A wiesz dlaczego?

Krażek przeleciał obok, a tuż za nim goniący go owczarek alzacki, lecz tym razem Ramon Sanders ledwie to zauważył. Siedział z fiutem sztywnym jak drut w rękę gliniarza, przestraszony niczym mysz w pazurach kota.

Tym razem ręka ścisnęła go mocniej i Ramon wydał chrapliwy jęk. Jego *café-au-lait* skóra spływała potem; wąsik wyglądał jak zdechła dżdżownica po ulewnym deszczu.

— Wiesz dlaczego, Ramonie?

— Nie.

— Ponieważ kobieta, która wyrzuciła tę kartę, była moją żoną — oznajmił Daniels. — To dlatego Lessington i Brewster się śmiali, tak przypuszczam. Ona bierze moją kartę kredytową, używa ją do podjęcia kilkuset dolarów z mojego konta, pieniędzy zarobionych przeze mnie, a kiedy karta znajduje się ponownie, ma ją nędzny, śniadoskóry lachociąg imieniem Ramon. Nic dziwnego, że oni się śmiali.

Proszę — chciał powiedzieć Ramon — proszę, nie rób mi krzywdy, powiem ci wszystko, tylko nie rób mi krzywdy. Chciał to powiedzieć, ale nie mógł wymówić słowa. Ani jednego. Jego zwieracz kurczył się gwałtownie, aż zdawał się nie szerszy od średnicy kropłówki.

Wielki gliniarz przysunął się do niego, przysunął się tak blisko, że Ramon czuł jego oddech przesycony papierosami i szkocką.

— Teraz, kiedy podzieliłem się z tobą informacjami, chcę, żebyś i ty podzielił się ze mną.

Głaskanie ustało i silne palce uchwyciły jądra Ramona przez cienki materiał spodni. Kształt wzwiedzonego penisa był wyraźnie widoczny nad dłonią policjanta, wyglądał jak jeden z tych miniaturowych kijów baseballowych, jakie można kupić pod stadionem na stoiskach z pamiątkami.

— I lepiej, żebyś podzielił się właściwymi informacjami, Ramonie. Czy wiesz dlaczego?

Ramon tępo potrząsnął głową. Czuł się tak, jakby ktoś odkręcił gdzieś w jego wnętrzu kran z ciepłą wodą, która teraz sączyła się całą powierzchnią ciała.

Daniels wyciągnął prawą rękę, tę z piłką tenisową, i podsunął ją pod nos Ramona. Potem nagłym, gwałtownym ruchem zacisnął dłoń. Rozległ się trzask i chrapliwy świst — pfff! — gdy palce gliniarza przebiły świecąca zieloną, kosmatą powierzchnię. Piłka wklęsa i pozostała częściowo spłaszczona.

— Lewą ręką też potrafię to zrobić — oznajmił Daniels. — Wierzysz mi?

Ramon próbował przytaknąć, ale słowa nie przechodziły mu przez gardło. Kiwnął głową.

— Będziesz o tym pamiętał? Ramon ponownie skinął głową.

— W porządku. A oto co chciałbym od ciebie usłyszeć, Ramonie. Wiem, że jesteś tylko śmierdzącym, małym, zawszonym pedałem, który niewiele wie o kobietach, może oprócz tego, jak wsadzić w tyłek matce, kiedy była młoda. Nie wiem czemu, ale wyglądasz mi na takiego. Mimo to postaraj się wysilić swoją wyobraźnię. Czy wiesz, jakie to uczucie, kiedy wracasz do domu i stwierdzasz, że twoja żona, kobieta, która ślubowała ci miłość, wierność i kurewskie posłuszeństwo, uciekła z twoją kartą kredytową? Jakie to uczucie przekonać się, że skorzystała z niej, żeby zrobić sobie pierdolone wakacje, a potem wepchnęła ją do śmietnika na dworcu autobusowym, by mógł ją tam znaleźć taki zawszony mały kutas jak ty?

— Niezbyt przyjemne — szepnął Ramon. — Założę się, że to niezbyt przyjemne, proszę nie robić mi krzywdy, proszę...

Daniels powoli zacisnął dłoń; zaciskał ją, aż ścięgnięta na jego przegubie napięły się niczym struny gitary. Fala bólu, ciężka jak płynny ołów, przetoczyła się po brzuchu Ramona, który próbował wrzasnąć. Nie zdołał wydobyć z siebie nic prócz ochryplego jęku.

— Niezbyt przyjemne? — syknął Daniels. Jego oddech był ciepły i duszący, papierosowo — wódczany. — Tylko na to cię stać? Ależ z ciebie pierdolony tępak! A jednak... to chyba nie jest całkiem zła odpowiedź.

Uchwyt zelżał, ale tylko trochę. Podbrzusze Ramona stało się jednym jeziorem bólu, ale jego penis był równie twardy jak przedtem. Nigdy nie podniecał go ból i to, co wyprawiali miłośnicy wiązania, wcale go nie ruszało, tak więc podejrzewał, iż stoi mu tylko dlatego, iż krew w jego ptaku jest uwięziona uciskiem palców gliniarza. Poprzysiągł sobie, że jeśli wyjdzie z tego cało, to pójdzie prosto do kościoła Świętego Patryka i odmówi pięćdziesiąt zdrowasiek. Pięćdziesiąt? Sto pięćdziesiąt.

— Śmiali się tam ze mnie — rzekł gliniarz, wskazując ruchem brody nowiutki komisariat po drugiej stronie ulicy. — Śmiali się, tak, naprawdę. Wielki twardy Norman Daniels i wiecie co? Żona uciekła od niego... ale zanim sobie poszła, zdążyła jeszcze wyczyścić mu konto!

Daniels wydał nieartykułowany ryk, dźwięk, jaki słyszy się tylko w czasie zwiedzania zoo, po czym znów ścisnął jądra Ramona. Ból był nieznośny. Ramon pochylił głowę między nogi i zwymiotował — białe kawałki twarogu przetykane brązowymi pasmami, które zapewne były resztkami *quesadilla*, którą jadł na lunch. Daniels zdawał się tego nie zauważać. Spoglądał w niebo nad asfaltową dżunglą, zagubiony we własnym świecie.

— Może powinienem pokazać cię wszystkim, żeby i inni mogli się pośmiać? — zapytał. — By chichotali nie tylko na posterunku, ale i w sądzie? Nie wydaje mi się.

Odwrócił się i spojrzał Ramonowi w oczy. Uśmiechnął się. Na widok tego uśmiechu Ramon miał ochotę wrzasnąć.

— I tu dochodzimy do najważniejszego pytania — ciągnął gliniarz. — A jeśli mi skłamiesz, mój mały bohaterze, wyrwę ci jaja i każę je zeżreć.

Daniels znów ścisnął krocze Ramona, któremu pociemniało w oczach. Rozpaczliwie walczył z falami ciemności. Jeśli zemdleje, gliniarz może zabić go po prostu ze złości.

— Rozumiesz, co mówię?

— Tak! — zaszlochał Ramon. — Rozumiem! Rozumiem!

— Byłeś na dworcu i widziałeś, jak wepchnęła kartę do śmieci. To wiem. Muszę się natomiast dowiedzieć, dokąd poszła potem.

Ramon był gotów łkać w przyływie nagłej ulgi, bo chociaż nie miał żadnych powodów, by odpowiedzieć na to pytanie, tak się złożyło, że mógł to zrobić. Popatrzył za tą kobietą, aby się upewnić, że ona go nie obserwuje... a potem, pięć minut później, kiedy już miał tę jej zieloną kartę kredytową w portfelu, znów ją zobaczył. Trudno było jej nie zauważyć, z tym czerwonym czymś na głowie; rzucała się w oczy jak świeżo pomalowana ściana stodoły.

— Była przy kasach! — krzyknął Ramon, czując, że ciemności pochłaniają go coraz bardziej. — Przy kasach!

Ten wysiłek został nagrodzony kolejnym bezlitosnym uciśnięciem. Ramon miał wrażenie, że jego jądra zostały rozszarpane, skropione płynnym gazem do zapalniczek i podpalone.

— Wiem, że była przy kasach! — na pół zaśmiał się, a na pół wrzasnął Daniels. — Co innego mogła robić w Portside, jak nie jechać gdzieś autobusem? Przeprowadzać badania socjologiczne nad takimi śmieciami jak ty? Przy jakiej kasie, to chcę wiedzieć... przy jakiej pierdolonej kasie i o której pierdolonej godzinie?

Och, dzięki Bogu, dzięki ci Jezu i Matko Boska, znał odpowiedzi również na te dwa pytania.

— Continental Express! — krzyknął, oddalony od swego głosu chyba o kilometry. — Widziałem ją przy okienku Continental Express między dziesiątą trzydzieści a dziesiątą czterdzieści pięć.

— Continental? Jesteś pewien?

Ramon Sanders nie odpowiedział. Osunął się bokiem na ławkę, ze zwieszoną jedną ręką i wyciągniętymi smukłymi palcami. Twarz miał śmiertelnie bladą, ale na policzkach pojawiły się dwie małe purpurowe plamy. Obok przeszli młody mężczyzna z młodą kobietą; popatrzyli na człowieka leżącego na ławce, a potem na Daniela, który zdążył już zdjąć rękę z krocza Ramona.

— Nie ma powodu do obaw — odezwał się Daniels, obdarzając parę szerokim uśmiechem. — To epileptyk.

Przerwał i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

— Zajmę się nim. Jestem policjantem. Przyspieszyli kroku i nie odwracali się.

Daniels objął Ramona ramieniem. Kości jego barków były kruche jak ptasie skrzydła.

— Hop, i siadamy, chłopie — rzekł, sadzając Ramona na ławce.

Głowa nieprzytomnego kołysała się bezwładnie jak kwiat na złamanej łodyżce. Natychmiast zaczął osuwać się na ziemię, wydając ciche, charczące pomruki. Daniels ponownie wyprostował go i tym razem Ramon utrzymał się w pozycji siedzącej.

Daniels siedział przy nim patrząc, jak owczarek alzacki radośnie ugania się za krążkiem. Zazdrościł psom, szczerze zazdrościł. Nie musiały ponosić odpowiedzialności, nie musiały pracować — przynajmniej tak było w tym kraju — a jedzenie podsuwano im pod nos. Miały gdzie spać i nie było ich zmartwieniem to, czy po wszystkim pójda do nieba, czy do piekła. Kiedyś, jeszcze w Aubreyville, spytał o to ojca O'Briana i ten powiedział mu, że zwierzęta nie mają duszy — kiedy zdychają, to tak jakby zgasła rasa wystrzelona czwartego lipca. To prawda, że ten owczarek zapewne stracił swoje jaja niecałe sześć miesięcy po urodzeniu, jednak...

— A jednak pod pewnymi względami i to jest błogosławieństwem — mruknął Daniels. Poklepał krocze Ramona, którego penis wiotczał, w miarę jak jądra zaczęły nabrzmiwać. — Prawda, chłopie?

Ramon zamruczał coś z głębi gardła. Taki dźwięk wydaje człowiek dręczony koszmarnym snem.

Mimo to — pomyślał Daniels — jest, jak jest, i trzeba zadowolić się tym. Może dopisze mu szczęście i w następnym życiu będzie owczarkiem alzackim, nie mającym nic innego do roboty prócz ugania się po parku za krążkami i wystawiania pyska przez tylne okienko samochodu po drodze z obfitej kolacji w Purina Dog Chow; lecz teraz był mężczyzną i miał swoje problemy.

Przynajmniej był mężczyzną, w przeciwieństwie do tego pętaka.

Continental Express. Ramon widział ją przy kasie Continental Express między dziesiątą trzydzieści a dziesiątą czterdzieści pięć. Na pewno nie czekała długo, zbyt obawiała się spotkania z nim, żeby długo czekać, dałby za to głowę. Tak więc powinien szukać autobusu, który odjechał z Portside między — powiedzmy — jedenastą rano a pierwszą po południu. Zapewne udała się do dużego miasta, gdzie miała nadzieję zniknąć w tłumie.

— Nie uda ci się — rzekł Daniels. Patrzył, jak owczarek podskakuje i długimi białymi zębami chwyta krążek w powietrzu. Nie, nie uda jej się to. Może myśleć inaczej, ale pomylił się. Na początek zacznie pracować nad tym w weekendy, głównie za pomocą telefonu. Musi tak zrobić; zbyt dużo dzieje się w firmie, zbliża się zakończenie dużej sprawy (jego sprawy, jeśli dopisze mu szczęście). Lecz wszystko potoczy się dobrze. Niebawem będzie mógł poświęcić czas na poszukiwania Rose i niedługo ona pożałuje tego, co zrobiła. Tak. Będzie tego żałowała do końca życia, przez okres, który może będzie krótki, ale niezwykle... no...

— Niezwykle intensywny — powiedział głośno. To było odpowiednie słowo. Bardzo odpowiednie słowo.

Wstał i z wawo udał się z powrotem na posterunek policji po drugiej stronie, nie tracąc nawet sekundy, by zerknąć na półprzytomnego mężczyznę siedzącego ze spuszczoną głową i rękami zwieszonymi bezwładnie po bokach. W myślach detektywa-inspektora drugiego stopnia Normana Danielsa Ramon przestał istnieć. Daniels myślał o swojej żonie i o tym wszystkim, czego powinna się nauczyć. O tym wszystkim, o czym powinni porozmawiać. I porozmawiają, jak tylko ją wytropi. O wszystkim — samotnych żaglach i przysięgach, a przede wszystkim o tym, co należy zrobić z żonami, które ślubują miłość, wierność i posłuszeństwo, a potem ulatniają się z kartą kredytową męża w torebce. O wszystkim.

Porozmawiają w cztery oczy.

9

Słała łóżko, lecz tym razem wszystko było w porządku. To inne łóżko, inny pokój, inne miasto. Jeszcze lepiej: to łóżko, w którym nigdy nie spała i nigdy nie miała spać.

Minał miesiąc, od kiedy opuściła dom leżący setki kilometrów na wschód, i sprawy wyglądały znacznie lepiej. Obecnie największym problemem był jej krzyż, a prawdę mówiąc i on mniej jej dokuczał. To fakt, że w tej chwili czuła silny i nieprzyjemny ból wokół nerek, ale to już osiemnasty pokój tego dnia, a kiedy zaczynała pracę w Whitestone, już po dwunastu była bliska omdlenia, a po czternastu nie mogła zrobić nic więcej — musiała prosić o pomoc Pam. Rosie odkryła, że w ciągu czterech tygodni człowiek może się zmienić... szczególnie że w tym czasie nikt go nie bije po nerkach ani po brzuchu.

Mimo to na razie miała dosyć.

Podeszła do drzwi, wystawiła głowę i rozejrzała się na boki. Na korytarzu nie zobaczyła nikogo. Stało jedynie kilka stolików na kółkach, pozostałych po śniadaniu, wózek Pam na końcu, przy apartamencie Lake Michigan, oraz jej własny wózek tuż przed pokojem 624.

Rosie podniosła stosik czystych ściereczek ułożonych na wózku, odsłaniając banana. Wzięła go, przeszła przez pokój do wypchanego fotela pod oknem apartamentu 624 i usiadła.

Obrała owoc ze skórki i zaczęła powoli jeść, spoglądając na jezioro, które w to nieruchome, majowe popołudnie lśniło jak lustro. Jej serce i duszę wypełniało ogromne, proste uczucie — wdzięczność. Życie nie było doskonałe, przynajmniej jeszcze nie, ale lepsze, niż mogła sobie wyobrazić owego dnia w połowie kwietnia, kiedy stanęła na progu budynku Córek i Sióstr, patrząc na skrzynkę domofonu i dziurkę od klucza z metalową zaślepką. W tamtej chwili nie oczekiwała od przyszłości niczego prócz mroku i udreki. Teraz bolały ją nerki, bolały ją stopy i wiedziała, że nie ma zamiaru spędzić reszty życia jako pomocnica pokojówki w hotelu Whitestone, ale banan smakował wspaniale, a fotel był cudownie miękki. W tym momencie nie zamieniłaby swojej sytuacji na inną. W ciągu tych paru tygodni od chwili, gdy opuściła Normana, Rosie nauczyła się korzystać z drobnych przyjemności: półgodzinnej lektury przed snem, rozmowy z innymi kobietami o filmach lub programach telewizyjnych przy zmywaniu naczyń, czy pięciu minut odpoczynku połączonego z jedzeniem banana.

To wspaniałe uczucie wiedzieć, co będzie, i mieć pewność, że nie chodzi o nic gwałtownego lub bolesnego. Na przykład wiedzieć, że zostały jeszcze tylko dwa pokoje do posprzątania, a potem razem z Pam zjadą służbową windą i wyjdą tylnymi drzwiami. W drodze na przystanek (teraz umiała już odróżniać autobusy pomarańczowej linii od czerwonej czy niebieskiej) zapewne wpadną na kawę do Hot Pot. Proste czynności. Proste przyjemności. Świat może być dobry. Pewnie wiedziała o tym jako dziecko, ale później zapomniała. Teraz uczyła się tego na nowo i to była słodka nauka. Nie miała wszystkiego, czego pragnęła, na pewno nie, ale na razie miała dość... szczególnie że nie wiedziała, czego jeszcze pragnie. To będzie musiało poczekać, aż opuści Córki i Siostry, ale przeczuwała, że nastąpi to wkrótce, może następnym razem, kiedy zwolni się miejsce na wykazie, który pensjonariuszki przytułku nazywały Listą Anny.

W otwartych drzwiach hotelu pojawił się jakiś cień i zanim Rosie zdążyła pomyśleć o jakimś schowku dla swojego nie dojedzonego banana, nie mówiąc już o zerwaniu się na nogi, do pokoju zajrzała Pam.

— A kuku, mała — powiedziała i zachichotała, kiedy Rosie podskoczyła ze strachu.

— Nigdy więcej tego nie rób, Pam! O mało nie dostałam zawału.

— Eee, przecież nie wylaliby cię za to, że siedzisz i jesz banana — uspokoiła ją Pam. — Powinnaś zobaczyć, co się tu czasem dzieje. Co ci zostało, numer dwadzieścia dwa i dwadzieścia?

— Tak.

— Pomóc ci?

— Och, nie chcę cię...

— Nie ma sprawy — rzekła Pam. — We dwie załatwimy te pokoje w piętnaście minut. Co ty na to?

— Zgoda — odparła z wdzięcznością Rosie. — A po pracy ja stawiam w Hot Pot ciastko i kawę, jeśli chcesz.

Pam uśmiechnęła się.

— Jeżeli w dalszym ciągu dają tam ten krem czekoladowy, to chcę, możesz mi wierzyć.

10

Dobre dni, cztery tygodnie dobrych dni, mniej więcej.

Tej nocy, leżąc na swojej pryczy z rękami splecionymi pod głową, patrząc w ciemność i słuchając cichego płaczu kobiety, która przyszła poprzedniego wieczoru i leżała dwa łóżka dalej, Rosie pomyślała, że te dni były dobre głównie dlatego, że nie było w nich Normana. Czuła jednak, iż niebawem będzie jej potrzeba do szczęścia czegoś więcej niż tylko jego nieobecności.

Jeszcze nie teraz — pomyślała i zamknęła oczy. Na razie to, co mam, zupełnie mi wystarczy. Te proste dni pracy, jedzenia, snu... i żadnego Normana Danielsa.

Zaczęła dryfować, wyzwalać się z pęt świadomości, a w jej głowie Carole King znów poczęła śpiewać kołysankę, która usypiała ją przez większość wieczorów: *I'm really Rosie... and I'm Rosie Real... you bet ter believe me... I'm a great big deal...*

Potem zapadła ciemność i noc... jedną z tych, które zdarzały się coraz częściej, noc bez żadnych złych snów.

III OPATRZNOŚĆ

1

Kiedy w następną środę Rosie i Pam Haverford zjeżdżały po pracy służbową windą, Pam była blada i wyglądała niezdrowo.

— Mam okres — powiedziała, gdy Rosie okazała niepokój. — Dokuczają mi skurcze jak cholera.

— Chcesz wpaść na kawę?

Pam zastanowiła się, po czym potrząsnęła głową.

— Idź beze mnie. Ja marzę tylko o tym, żeby wrócić do Córek i Sióstr i zastać pustą sypialnię, zanim wszystkie wrócą z pracy i zaczną paplać. Połknę tabletkę i prześpię się kilka godzin. Może po tym znów poczuję się jak człowiek.

— Pójdę z tobą — zaproponowała Rosie, gdy drzwi windy otworzyły się, by je wypuścić.

Pam potrząsnęła głową.

— Nie, nie pójdziesz — odparła, a jej twarz rozjaśnił przelotny uśmiech. — Sama sobie poradzę, a ty jesteś już tak duża, że możesz iść na kawę bez przyzwotki. Kto wie... może spotkasz kogoś interesującego.

Rosie westchnęła. Dla Pam ktoś interesujący zawsze oznaczał mężczyznę, zwykle jednego z tych, którym mięśnie sterczały pod opiętym podkoszulkiem jak geologiczne punkty orientacyjne. Jeśli chodziło o Rosie, to chętnie do końca życia obyłyby się bez takich mężczyzn.

Poza tym była mężatką.

Kiedy wychodziły na ulicę, zerknęła na swoją obrączkę i pierścionek zaręczynowy z diamentem. Nigdy nie była pewna, w jakim stopniu to, co zdarzyło się wkrótce potem, miało związek z tym zerknięciem, lecz na pewno w wyniku tego spojrzenia pierścionek, o którym zazwyczaj nie pamiętała, nagle zajął pierwsze miejsce w jej myślach. Z osadzonym w nim ponadkaratowym diamentem, był najkosztowniejszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymała od męża, i do tej pory nigdy nie przyszło jej do głowy, że ten pierścionek należy do niej² tak więc może go sprzedać, gdy tylko zechce.

Rosie zaczęła z Pam na przystanku autobusowym za najbliższym rogiem — mimo jej protestów, że to zupełnie niepotrzebne. Naprawdę nie podobał jej się wygląd Pam, której policzki straciły kolor, pod oczami pojawiły się ciemne smugi, a z kącików ust biegły w dół cienkie linie bólu. Ponadto dobrze było troszczyć się o kogoś, a nie być obiektem troski. Już prawie zdecydowała się pojechać z Pam i upewnić, że koleżanka bez przygód dotarła na miejsce, lecz w końcu chętna na filiżankę kawy (i może kawałek ciasta) okazała się silniejsza.

Stała na chodniku i machała do Pam, gdy ta usiadła przy jednym z okien autobusu. Pam pomachała jej z odjeżdżającego pojazdu. Rosie przez moment stała w miejscu, a potem odwróciła się i poszła bulwarem Hitchens w kierunku Hot Pot. Myślami wróciła oczywiście do swojej pierwszej przechadzki po tym mieście. Niewiele pamiętała z tamtych godzin — poza tym, że była przestraszona i zagubiona — ale dwie postacie pozostały jak głązy w kłębiącej się mgłę zapomnienia: kobieta w ciąży i mężczyzna z wąsami Davida Crosby'ego. Szczególnie on. Oparty o drzwi tawerny, z kuflem piwa w rękę i patrzący na nią. Mówił do niej „hej mała, hej mała”.

A może o niej. Przez chwilę te wspomnienia pochłoneły ją całkowicie, tak jak to potrafią tylko złe wspomnienia o dniach, gdy byliśmy zagubieni i bezradni, kompletnie nie mogąc pokierować swoim życiem. Rosie minęła Hot Pot, nawet nie dostrzegając kawiarni,

spoglądając nie widzącymi oczami pełnymi niepokoju. Wciąż rozmyślała o mężczyźnie w drzwiach baru, o tym, jak bardzo ją wystraszył i jak bardzo był podobny do Normana. Nie chodziło o jego twarz, raczej o sylwetkę.

Wydawało się, że miał mięśnie sprężone do skoku, że wystarczyłoby tylko jedno jej spojrzenie, by zaatakował...

Czyjaś ręka złapała ją za ramię i Rosie o mało co nie wrzasnęła. Obejrzała się, przekonana, że zobaczy Normana albo mężczyznę z rudym wąsem. Ujrzała młodego człowieka w konserwatywnie skrojonym, letnim garniturze.

— Przepraszam, że panią wystraszyłem — powiedział — ale przez chwilę miałem wrażenie, że zaraz wejdzie pani prosto na jezdnię.

Rozejrzała się i dostrzegła, że stoi na rogu Hitchens i Watertower Drive, jednym z najruchliwszych skrzyżowań w tym mieście, co najmniej trzy, a może nawet cztery przecznice za Hot Pot. Samochody mknęły jak metalowa rzeka. Nagle przyszło jej do głowy, że ten młody człowiek być może uratował jej życie.

— Dz — dziękuję panu. Bardzo.

— Nie ma za co — odparł. Po drugiej stronie Watertower zapalił się biały napis IDŻ. Młody mężczyzna obrzucił Rosie pożegnalnym, zaciekawionym spojrzeniem, po czym zszedł z krawężnika i wmieszał się w tłum.

Rosie nie ruszyła się z miejsca, czując chwilowe oszołomienie i głęboką ulgę, jak ktoś, kto budzi się z koszmarne snu. I właśnie tak było — pomyślała. — Nie spałam i szłam ulicą, a jednak miałam zły sen. Albo złe wspomnienia. Spojrzała w dół i zobaczyła, że oburącz mocno przyciska do brzucha swoją torebkę, tak samo jak podczas tamtej długiej, męczącej wędrówki w poszukiwaniu Durham Avenue, przed pięcioma tygodniami. Założyła torebkę na ramię, obróciła się i poszła z powrotem.

Najbardziej ekskluzywne sklepy znajdowały się za Watertower Drive; teraz, kiedy szła w przeciwnym kierunku, mijała znacznie skromniejsze witryny. Wiele z nich świadczyło o tym, że rozpaczliwie walczą o byt. Rosie szła wolno, przyglądając się wystawom sklepów z używaną odzieżą, usiłujących uchodzić za butik cyganerii, sklepikom obuwniczym z napisami: KUPUJ AMERYKAŃSKIE lub WYPRZEDAŻ PRZED LIKWIDACJĄ, magazynowi zwanemu Nie Więcej Niż 5 z witryną zasypaną lalkami zrobionymi w Meksyku lub Manili, sklepowi kaletniczemu o nazwie Motocyklowa Mama oraz sklepowi Avec Pleisir ze zdumiewającym asortymentem towarów — sztucznych członków, kajdanek i bielizny bez kroku — ułożonych na czarnym aksamicie. Patrzyła na to przez dłuższą chwilę, dziwiąc się, że tego rodzaju towar eksponowano tak, żeby każdy mógł go widzieć, aż wreszcie przeszła przez ulicę. Pół kwartału dalej widziała Hot Pot, ale postanowiła zapomnieć o kawie i ciastku. Złapie autobus i wróci do Córek i Sióstr. Dość przygód jak na jeden dzień.

A jednak nie wytrwała w postanowieniu. Po przeciwnej stronie skrzyżowania, przez które właśnie przechodziła, znajdował się niepozorny sklepik z neonem głoścącym: ZASTAW, POŻYCZKI, BIŻUTERIA. KUPNO I SPRZEDAŻ. To ostatnie słowo zwróciło uwagę Rosie. Znów spojrzała na swój pierścionek zaręczynowy i przypomniała sobie coś, co Norman powiedział jej tuż przed ślubem: „Jeśli będziesz nosić to na ulicy, to noś kamieniem do spodu, Rose. To piekielnie duży kamyk, a ty jesteś tylko małą dziewczynką”.

Kiedyś zapytała go (zanim zaczął uczyć ją, że bezpieczniej nie zadawać pytań), ile kosztował ten pierścionek. Odpowiedział potrząsając głową i uśmiechając się wyrozumiale, zupełnie jak rodzic, którego dziecko chce wiedzieć, dlaczego niebo jest niebieskie albo ile śniegu jest na biegunie północnym. „Nieważne — rzekł. — Wystarczy, jeśli powiem, że wybierałem między tym kamykiem a nowym buickiem. Wybrałem kamyk. Ponieważ cię kocham, Rose”.

Teraz, stojąc na rogu ulicy, przypomniała sobie, jak się wtedy poczuła. Była wystraszona, ponieważ trzeba obawiać się człowieka zdolnego do takiej ekstrawagancji, mężczyzny

wolącego pierścionek od nowego samochodu, ale także szczęśliwa i pożądana. To wydawało się takie romantyczne. Kupił jej diament tak wielki, że niebezpiecznie było pokazywać go na ulicy. Diament wielki jak góra. „Ponieważ cię Kocham, Rose”.

Może naprawdę kochał... ale to było przed czternastu laty i tamta dziewczyna miała jasne oczy, sterczące piersi, płaski brzuch oraz długie, silne uda. A kiedy szła do łazienki, w jej moczu nie było krwi.

Rosie stała na rogu opodal sklepu z neonem w witrynie i spoglądała na swój pierścionek zaręczynowy. Chciała sprawdzić, czy coś poczuje — jakieś słabe echo strachu lub romantycznego uczucia — a kiedy nie poczuła niczego, odwróciła się i poszła w stronę lombardu. Wkrótce opuści Córki i Siostry, więc jeśli w środku siedzi ktoś, kto da jej dobrą cenę za tę błyskotkę, może odejdzie na czysto, bez długu za jedzenie i spanie, a może nawet z kilkuset dolarami gotówki.

A może po prostu chce pozbyć się pierścionka — pomyślała. — Może nie chce już ani dnia dłużej nosić tego „buicka”, którego nigdy sobie nie kupił, na środkowym palcu lewej ręki.

Napis na drzwiach głosił: MIASTO WOLNOŚCI — POŻYCZKI POD ZASTAW. To ją trochę zdziwiło. Słyszała, jak obdarzano to miasto różnymi nazwami, ale wszystkie miały coś wspólnego z jeziorem lub pogodą. Odepchnęła tę myśl od siebie, otworzyła drzwi i weszła do środka.

2

Spodziewała się, że w środku będzie ciemno, i tak właśnie było, lecz wewnątrz lombardu okazało się także nieoczekiwanie złociste. Słońce wisiało już nisko na horyzoncie, świecać prosto wzdłuż Hitchens i wpadając przez zachodnie okna sklepu długimi, ciepłymi smugami. Jedna z tych smug sprawiła, że wiszący na ścianie saksofon wyglądał jak zrobiony z ognia.

To nie jest przypadkowe — pomyślała Rosie. — Ktoś celowo powiesił tam ten saksofon. Ktoś sprytny. Zapewne miała rację, lecz wciąż była lekko zauroczona. Nawet zapach tego miejsca dodawał mu czaru — woń kurzu, wieków i tajemnicy. Z lewej rozlegało się ciche tykanie wielu zegarków.

Powoli poszła głównym przejściem, między rzędami gitar równo ustawionych z jednej strony a szklanymi szafkami z nagraniami i aparaturą stereo z drugiej. Wydawało się, że stoi tu mnóstwo takich przerośniętych, wieloczynnościowych zestawów muzycznych nazywanych w telewizji „kombajnami”.

Na odległym końcu przejścia mieścił się długi kontuar, a nad nim kolejny, łukowaty neon. ZŁOTO, SREBRO, BIŻUTERIA — głosił niebieski napis, a czerwony informował: KUPUJEMY, SPRZEDAJEMY, ZAMIENIAMY.

A może także pełzacie na brzuchach jak węże? — pomyślała Rosie z cieniem uśmiechu na ustach i podeszła do lady. Za nią, na stołku, siedział mężczyzna. Miał w oku lupę jubilerską.

Oglądał przez nią coś, co leżało na miękkiej podkładce. Kiedy Rosie podeszła bliżej, zobaczyła, że badany przedmiotem jest kieszonkowy zegarek. Mężczyzna za kontuarem grzebał w nim stalową igłą tak cienką, że ledwie było ją widać. Młody — pomyślała Rosie — może jeszcze przed trzydziestką. Włosy miał długie, prawie do ramion i nosił niebieską jedwabną kamizelkę narzuconą na zwykły biały podkoszulek. Pomyślała, że to dość nietypowa, ale ciekawa kombinacja.

Po lewej usłyszała jakiś szmer. Obróciła się w tym kierunku i ujrzała przykucniętego starszego człowieka, przeglądającego sterty tanich broszur, ułożone pod napisem DOBRA STARA KSIĄŻKA. Płaszcz rozpostarł się wokół niego jak wachlarz, a walizeczka — czarna, staromodna, prująca się w szwach — stała cierpliwie obok niego, jak wierny pies.

— Pomóc w czymś, proszę pani?

Zwróciła się do mężczyzny za ladą, który wyjął lupę i patrzył na nią z przyjaznym uśmiechem. Jego oczy były orzechowe, z lekko zielonkawym odcieniem, bardzo ładne, i Rosie przez moment zastanawiała się, czy Pam uznałaby go za „kogoś interesującego”. Pewnie nie. Za mało płyt tektonicznych przesuwających się pod tym podkoszulkiem.

— Może będzie pan mógł — powiedziała.

Zsunęła z palca pierścioneł zaręczynowy i obrączkę, którą schowała do kieszeni. Dziwnie było nie mieć ich na palcu, ale pewnie przywyknie do tego. Kobieta, która potrafiła porzucić swój dom, nie zabierając nawet zmiany bielizny, zapewne mogła przyzwyczać się do wielu rzeczy. Położyła pierścioneł, diamentem w dół, na aksamitnej podkładce, obok starego zegarka, nad którym pracował jubiler.

— Jak pan ocenia, ile to jest warte? — zapytała go. A potem, jakby dopiero o tym pomyślała, dodała: — I ile mógłby mi pan za niego zapłacić?

Wsunął sobie pierścioneł na czubek kciuka i podniósł go do zakurzonej smugi słonecznego światła wpadającego przez trzecie z okien wychodzących na zachód. Sypnęło mu w oczy iskrami różnobarwnego ognia i przez moment Rosie poczuła ukłucie żalu. Potem jubiler rzucił jej szybkie spojrzenie, ledwie zerknięcie, jednak wystarczająco długie, aby w jego piwnych oczach dostrzegła coś, czego z początku nie mogła zrozumieć — wydawały się mówić: Czy to żart?

— Co takiego? — spytała. — O co chodzi?

— O nic — rzekł. — Jeszcze chwilę.

Znowu wcisnął lupę w oczodół i przez dłuższą chwilę oglądał kamień w jej pierścionku zaręczynowym. Kiedy spozjrzał na nią ponownie, jego oczy patrzyły pewniej i łatwiej było zrozumieć ich wyraz, a raczej trudno było nie wyczytać z nich prawdy. I nagle Rosie wiedziała już wszystko, choć nie poczuła zdziwienia, gniewu ani żalu, jedynie lekkie zmieszanie: dlaczego nie zorientowała się wcześniej? Jak mogła być taką naiwną gęsią?

Nie byłaś — odpowiedział jej ten głos z głębi. — Naprawdę nie byłaś, Rosie. Gdybyś podświadomie nie wiedziała, że pierścioneł jest fałszywy — przypuszczała to niemal od początku — o wiele wcześniej przyszłabyś do takiego lombardu jak ten. Czy naprawdę wierzyłaś, szczególnie od czasu, kiedy skończyłaś dwadzieścia dwa lata, że Norman Daniels dałby ci pierścioneł wart nie setki, lecz tysiące dolarów? Naprawdę?

Nie, raczej nie. Po pierwsze nigdy jej nie cenił. Po drugie człowiek instalujący trzy zamki we frontowych drzwiach, trzy w tylnych, wykrywacze ruchu na podwórku i alarm dotykowy w swojej nowej sentrze, nigdy nie puściłby po zakupy żony noszącej na palcu diament wielki jak góra.

— Jest fałszywy, prawda? — spytała jubilera.

— No cóż — rzekł — to zupełnie prawdziwa cyrkonია, ale na pewno nie diament, jeżeli o tym pani mówi.

— Oczywiście, że o tym — powiedziała. — A o czym innym mogłabym mówić?

— Dobrze się pani czuje? — zaniepokoił się jubiler. Wydawał się szczerze zatroskany i teraz, kiedy widziała go z bliska, doszła do wniosku, że ma raczej dwadzieścia pięć niż trzydzieści lat.

— Do diabła — odparła. — Nie wiem. Chyba tak.

Wyjęła z torebki paczkę chusteczek higienicznych, na wypadek gdyby zalała się łzami — ostatnio zdarzały się jej niespodziewane napady płaczu. Albo przeraźliwego śmiechu — te również przytrafiły jej się kilkakrotnie. Byłoby miło, gdyby zdołała powstrzymać się od obu tych skrajnych reakcji, przynajmniej w tej chwili. Miło byłoby opuścić to miejsce, zachowując chociaż resztki godności.

— Mam nadzieję — rzekł — bo jest pani w dobrym towarzystwie. Proszę mi wierzyć. Zdziwiłaby się pani, jak wiele dam, takich jak pani...

— Och, niech pan przestanie — przerwała mu. — Jeśli oklapnę, kupię sobie dobry biustonosz.

Nigdy w życiu nie powiedziała czegoś takiego do mężczyzny, czegoś tak sugestywnego, ale też nigdy w życiu nie czuła się tak... jakby unosiła się w kosmosie albo chodziła po linie bez siatki zabezpieczającej. I czyż nie było to wspaniałe — w pewien sposób? Czy to nie idealne zakończenie jej małżeństwa? „Wybrałem kamyk — słyszała go w myślach; jego głos drżał ze wzruszenia, szare oczy naprawdę lekko zwilgotniały. — Ponieważ cię kocham, Rose”.

Przez chwilę była bardzo bliska ataku śmiechu. Powstrzymała się całą siłą woli.

— Czy to jest w ogóle coś warte? — zapytała. — Cokolwiek? Czy też nabył to w automacie z gumą do żucia?

Tym razem jubiler nie potrzebował lupy, po prostu znów podniósł pierścionek do światła.

— Właściwie jest coś wart — stwierdził z wyraźną ulgą, że może przekazać jakąś pomyślną wiadomość. — Kamień to błyskotka za dziesięć dolców, ale sam metal... ten mógł kosztować nawet dwieście dolców, w detalu. Oczywiście nie mógłbym dać pani tyle — dorzucił pośpiesznie. — Ojciec pokazałby mi, gdzie raki zimują. Prawda, Robbie?

— Twój ojciec wciąż pokazuje ci, gdzie raki zimują — rzekł starszek przykucnięty nad książkami. — Od tego są rodzice.

Nie podniósł głowy.

Jubiler zerknął na niego, potem znów na Rosie i wetknął palec w półotwarte usta, udając odruch wymiotny. Rosie nie widziała tego gestu od szkolnych czasów, uśmiechnęła się. Mężczyzna w kamizelce odpowiedział jej uśmiechem.

— Mogę dać pani pięćdziesiąt — oznajmił. — Interesuje to panią?

— Nie, dzięki.

Podniosła pierścionek, obejrzała go w zadumie, po czym owinęła w nie używaną chusteczkę, którą trzymała w ręce.

— Proszę sprawdzić w innych pobliskich lombardach — dodał. — Jeśli ktoś zaproponuje pani więcej, przebiję najlepszą ofertę. To polityka taty i uważam, że jest dobra.

Wrzuciła chusteczkę do torebki i zatrzasnęła ją.

— Dziękuję, ale chyba nie skorzystam — odparła. — Zatrzymam go.

Zdawała sobie sprawę z tego, że mężczyzna przeglądający książki, ten, którego jubiler nazywał Robbie, patrzy na nią z dziwnym skupieniem na twarzy, ale uznała, że nic ją to nie obchodzi. Niech patrzy. To wolny kraj.

— Człowiek, który dał mi ten pierścionek, powiedział, że jest wart tyle, ile fabrycznie nowy samochód — wyznała. — Może pan w to uwierzyć?

— Tak — rzekł bez wahania.

Przypomniała sobie, jak mówił, że znalazła się w dobrym towarzystwie, że mnóstwo dam przychodzi tu i dowiaduje się nieprzyjemnej prawdy o swoich kosztownościach. Domyślała się, że ten mężczyzna, chociaż jeszcze młody, musiał wysłuchać już wielu wariantów tej samej historii.

— Pewnie tak — stwierdziła. — No cóż, powinien pan zrozumieć, dlaczego chcę zatrzymać ten pierścień. Jeśli kiedyś zacznę zakochiwać się w kimś innym albo choć pomyślę, że to robię, wyjmę go i będę się weń wpatrywać, aż mi przejdzie.

Myślała o Pam Haverford, która miała długie, kręte blizny na obu przedramionach. W lecie 1992 roku pijany mąż wyrzucił ją przez oszklone drzwi. Pam uniosła ręce, zasłaniając twarz przed odłamkami szkła; rezultatem było sześćdziesiąt szwów na jednym, a sto pięć na drugim ramieniu. A mimo to rozklejała się ze szczęścia, jeśli jakiś robotnik budowlany lub malarz zagwizdał na widok jej nóg, kiedy przechodziła obok. I jak to nazwać? Wytrzymałością czy głupotą? Odpornością czy amnezją? Rosie nazwała to syndromem Haverford i miała nadzieję, że zdoła tego uniknąć.

— Jak pani uważa — odrzekł jubiler. — Przykro mi, że byłem zwiastunem złych wieści. Myślę, że właśnie dlatego lombardy mają taką złą reputację. Niemal zawsze musimy oznajmiać ludziom, że rzeczy nie są takimi, jakimi się wydają. Nikt tego nie lubi.

— Tak — przyznała. — Nikt tego nie lubi, panie...

— Steiner — rzekł. — Bill Steiner. Mój ojciec to Abe Steiner. Oto nasza wizytówka.

Podał jej jedną, lecz z uśmiechem potrząsnęła głową.

— Na nic mi się nie przyda. Miłego dnia, panie Steiner. Ruszyła z powrotem do drzwi, tym razem bocznym przejściem, gdyż starszy pan zrobił kilka kroków w jej kierunku, trzymając w jednej ręce walizeczkę, a w drugiej kilka starych książek. Nie miała pewności, czy chciał z nią porozmawiać, lecz była zupełnie pewna, że ona nie chce mówić z nim. W tej chwili pragnęła jak najszybciej opuścić to miejsce, wsiąść do autobusu i zająć się czymś, żeby zapomnieć, że kiedykolwiek tu była.

Ledwie uświadamiała sobie, że przechodzi przez tę część lombardu, gdzie znajdowały się gromady małych statuetek i obrazów, w ramach i bez, ustawione obok siebie na zakurzonych półkach. Szła z uniesioną głową, ale nie rozglądała się; nie była w nastroju do podziwiania dzieł sztuki, dobrych czy złych. Tym bardziej zdumiewające było to, że nagle stanęła jak wryta. Miała wrażenie, że właściwie nie zauważyła tego obrazu, przynajmniej za pierwszym razem.

Wydawało się, że to obraz zobaczył ją.

3

Tak potężne oddziaływanie było w jej życiu czymś bez precedensu, Rosie nie widziała jednak w tym niczego niezwykłego — już przeszło miesiąc pędziła zupełnie bezprecedensowy żywot. Nie uznała też (przynajmniej z początku) tego oddziaływania za nienormalne. Powód był oczywisty: po czternastu latach małżeństwa z Normanem Danielsem — latach, w ciągu których została odcięta od reszty świata — nie zgromadziła „narzędzi” pozwalających oddzielić normalne od nienormalnego. Miarę, jaką przykładała do danych sytuacji, stanowiły wzorce zaczerpnięte ze sztuk telewizyjnych i filmów, na które sporadycznie zabierał ją do kina (Norman Daniels chodził na wszystkie filmy z Clintem Eastwoodem). Według zasad obserwowanych w środkach przekazu jej reakcja na obraz zdawała się niemal normalna. W kinie i telewizji ludzi zawsze ścinało z nóg.

Poza tym to nie miało żadnego znaczenia. Ważna była świadomość, że obraz ją wzywał, każąc zapomnieć o tym, czego właśnie dowiedziała się w związku z pierścionkiem, i o tym, że chciała wyjść z lombardu, i o tym, jak szczęśliwe byłyby jej obolałe nogi w autobusie linii niebieskiej, zajeżdżającym pod Hot Pot. Obraz kazał jej zapomnieć o wszystkim. Myślała tylko: Spójrzcie na to! Czyż ten obraz nie jest po prostu cudowny?

Był olejny, w drewnianej ramie, mógł mieć metr długości i pół metra wysokości. Opierał się na krzywym zegarze po lewej stronie i gołym cherubinku po prawej. Wszędzie wokół stały różne obrazy (stara kolorowana fotografia katedry Świętego Pawła, akwarela z owocami na paterze, gondole o świcie na Canal Grande, scena z polowania ukazująca zgraję nieudaczników ścigających coś niejadalnego po mglistych, angielskich wrzosowiskach), ale ledwie obdarzyła je spojrzeniem. Zainteresował ją portret kobiety na wzgórzu — tylko on. Zarówno tematem, jak i jego ujęciem nie różnił się zbyt od obrazów butwiejących w lombardach, antykwariatach i przydrożnych kramach spotykanych w całym kraju (a nawet na całym świecie), lecz wypełnił jej oczy i umysł rodzajem czystego, radosnego podniecenia, wywoływanego jedynie przez głęboko poruszające nas dzieła sztuki — pieśń doprowadzającą do łez, opowiadanie każące nam spojrzeć na świat z innej perspektywy, poemat budzący chęć do życia, taniec pozwalający na chwilę zapomnieć, że kiedyś nas nie będzie.

Ta emocjonalna reakcja była tak nagła, tak nieoczekiwana i kompletnie oderwana od życia Rosie, że z początku oniemiała, nie mając pojęcia, jak uporać się z tym zaskakującym wybuchem uczuć. Przez chwilę była niczym mechanizm, w którym nagle ześlizgnął się pas napędowy, przestawiając go na jałowy bieg — chociaż silnik pracował jak szalony, nic się nie działo. Potem zadziało tarcie i układ napędowy gładko zaskoczył z powrotem.

Coś takiego chciałabym powiesić w moim nowym mieszkaniu, dlatego jestem taka poruszona — pomyślała. — Właśnie dlatego chcę to mieć.

Natychmiast z ulgą uczepliła się tej myśli. Oczywiście ma być tylko jeden pokój, ale obiecano jej, że będzie duży, z niewielką niszą kuchenną i łazienką. W każdym razie będzie to pierwsze w jej życiu samodzielne mieszkanie i ten fakt sprawiał, że stawała się kimś ważnym. Podobnie ważne stawały się rzeczy, które tam wstawi, a najważniejszy będzie pierwszy przedmiot, gdyż nada ton wszystkim następnym.

Tak. Obojętnie jaki się okaże ten pokój, pozostanie miejscem, gdzie tuziny samotnych ludzi o niewielkich dochodach mieszkały przed nią i będą mieszkać po niej. Lecz mimo wszystko to będzie prawdziwe mieszkanie. Ostatnie pięć tygodni było stanem tymczasowym, przerwą między starym a nowym życiem. Kiedy przeprowadzi się do pokoju, który jej obiecano, zacznie się naprawdę nowe samotne życie. Ten obraz zaś, którego Norman nigdy nie widział i nie mógł ocenić, należący wyłącznie do niej, może być symbolem tego nowego życia.

W ten sposób jej umysł — trzeźwy, rozsądny i zupełnie nie przygotowany do analizowania tego, co nadprzyrodzone lub nadmysłowe — wyjaśnił, zracjonalizował i usprawiedliwił gwałtowną reakcję na widok obrazu ukazującego kobietę na wzgórzu.

4

Wśród eksponatów wystawionych w przejściu ten jeden obraz był za szkłem (Rosie wydawało się, że obrazów olejnych się nie szkli, bo muszą oddychać czy coś takiego) i w lewym dolnym rogu miał przyklejoną karteczkę z napisem: \$75 lub ?

Wyciągnęła obie lekko drżące ręce i chwyciła malowidło za ramę. Ostrożnie zdjęła obraz z półki i poszła z powrotem przejściem. Staruszek z podniszczoną walizeczką wciąż tam był i w dalszym ciągu na nią patrzył, ale Rosie ledwie go zauważyła. Podeszła prosto do lady i ostrożnie położyła obraz przed Billem Steinerem.

— Znalazła pani coś ciekawego? — zapytał.

— Tak. — Postukała cenę naklejoną na rogu ramy. — Tu napisano siedemdziesiąt pięć dolarów albo znak zapytania. Powiedział pan, że może dać mi pięćdziesiąt za mój pierścionek zaręczynowy. Czy pójdzie pan na wymianę, panie Steiner? Mój pierścionek za ten obraz?

Steiner przeszedł na koniec kontuaru, podniósł ruchomy blat i podszedł do Rosie. Obejrzał obraz równie starannie jak przedtem jej pierścionek... lecz tym razem spoglądał z pewnym rozbawieniem.

— Nie pamiętam go. Chyba nigdy go nie widziałem. Pewnie przyjął go mój ojciec. On jest w naszej rodzinie miłośnikiem sztuki; ja jestem tylko słynnym panem Załatwto.

— Czy to oznacza, że nie może pan...

— Targować się? Proszę ugryźć się w język! Mogę targować się w nieskończoność, jeśli mi na to pozwolić. Tym razem jednak nie muszę. Chętnie pójdę pani na rękę i zdecyduję się na zamianę. Wtedy nie będę musiał patrzeć, jak wychodzi pani stąd z nosem spuszczonej prawie do podłogi.

I znów zrobiła coś, co zdarzyło się jej pierwszy raz: zanim się zorientowała, co robi, Rosie zarzuciła Billowi Steinerowi ręce na szyję i uściskała go z entuzjazmem.

— Dziękuję! — zawołała. — Bardzo dziękuję! Steiner roześmiał się.

— O rany, nie ma za co — rzekł. — Myślę, że chyba pierwszy raz zostałem wyściskany przez klienta tego ponurego przybytku. Może widzi pani jeszcze jakieś obrazy, które bardzo chciałaby pani mieć?

Starszy gość w płaszczu — ten, do którego Steiner zwracał się Robbie — podszedł i popatrzył na obraz.

— Wziąwszy pod uwagę to, jak wygląda większość klientów lombardu, należałoby chyba dziękować Bogu — stwierdził.

Bill Steiner kiwnął głową.

— Masz rację.

Ledwie ich słyszała. Grzebała w torebce, szukając chusteczki z zawiniętym w nią pierścionkiem. Odnalezienie go zabrało jej więcej czasu, niż powinno, gdyż wciąż zerkała na leżący na kontuarze obraz. Jej obraz. Po raz pierwszy z niecierpliwością pomyślała o pokoju, do którego miała się przeprowadzić. Własne mieszkanie, a nie jedna z wielu prycz. Jej własne mieszkanie i należący do niej obraz wiszący na ścianie. To pierwsza rzecz, jaką zrobię — pomyślała, gdy jej palce zacisnęły się na zwiłku ligniny. — Pierwsza. Odwinęła pierścionek i podała go Steinerowi, lecz ten na razie nie zwrócił na to uwagi — oglądał obraz.

— To prawdziwy obraz olejny, nie oleodruk — stwierdził — i chyba niezbyt dobry. Pewnie dlatego jest oszklony. Ktoś uważał, że w ten sposób podniesie jego wartość. Co to za budynek u stóp wzgórza? Wypalone ruiny farmy?

— Sądzę, że to mogą być ruiny jakiejś świątyni — podsunął cicho starszy pan z wylachaną walizeczką. — Może greckiej. Chociaż trudno powiedzieć, prawda?

Rzeczywiście trudno było o jednoznaczną opinię, ponieważ rzeczony budynek był niemal po sam dach pokryty roślinnością. Pnącza wiły się po pięciu frontowych kolumnach. Szósta leżała rozbita na kilka części. Obok strzaskanej kolumny widoczny był obalony posąg, tak zarośnięty, że z zieleni wystawała jedynie gładka biała twarz spoglądająca na błyskawice, którymi malarz entuzjastycznie zapełnił niebo.

— Taak — przytaknął Steiner. — Tylko wydaje mi się, że nie zachowano tu proporcji. Budynek wydaje się zbyt duży.

Staruszek skinął głową.

— To konieczna deformacja. Inaczej nie byłoby widać niczego oprócz dachu. A jeśli chodzi o obaloną kolumnę i posąg, trzeba zapomnieć o nich, gdyż okazałyby się całkowicie niewidoczne.

Rosie nie interesowało tło; całą uwagę skierowała na centralną postać obrazu. Na szczycie wzgórza stała kobieta przyglądająca się świątyni. Miała jasne włosy, zaplecione w warkocz opadający na plecy. Na jednym z kształtnych ramion — dokładnie na prawym — nosiła szeroką złotą bransoletę. Unosiła lewą rękę i chociaż nie było tego widać, miało się wrażenie, że osłania sobie oczy dłonią. To wydawało się dziwne, ze względu na błyskawice i zachmurzone niebo, lecz właśnie tak to wyglądało. Była ubrana w krótką szatę — togę, domyślała się Rosie — odsłaniającą jedno kremowe ramię. Jej tunika miała barwę jaskrawej purpury. Trudno powiedzieć, jakie obuwie miała na nogach, i czy w ogóle je miała, gdyż trawa, w której stała, sięgała niemal kolan, gdzie kończyła się toga.

— Jaki to styl? — zapytał Steiner. Zwracał się do Robbiego. — Klasycyzm? Neoklasycyzm?

— Nazwałbym to kiczem — odparł Robbie z uśmiechem — ale chyba rozumiem, dlaczego ta kobieta tak chce go kupić. Ten obraz ma zdumiewającą wymowę emocjonalną. Może jego elementy są klasyczne, takie motywy spotyka się na starych grawiurach, lecz ujęcie jest gotyckie. Ponadto centralna postać stoi odwrócona plecami. Uważam, że to bardzo dziwne. Ogólnie rzecz biorąc... no cóż, trudno powiedzieć, że ta młoda dama wybrała najlepszy z wystawionych tu obrazów, ale jestem przekonany, iż wybrała najdziwniejszy z nich.

Rosie ledwie ich słyszała. Ciągłe jakieś nowe szczegóły obrazu zwracały jej uwagę. Na

przykład ciemnofioletowy sznur opasujący talię kobiety, dobrany kolorem do rąbka szaty, czy maleńki skrawek lewej piersi, odsłonięty przez podniesione ramię. Ci dwaj mężczyźni gadali trzy po trzy. Czują, że może wpatrywać się w obraz godzinami i pewnie zrobi to, kiedy będzie miała własne mieszkanie.

— Brak tytułu, brak podpisu — stwierdził Steiner. — Chyba że...

Odwrócił obraz. Skreślone łagodnymi, lekko rozmazanymi pociągnięciami węgla na papierowej okleinie widniały słowa: ROSE MADDER.

— No cóż — rzekł z powątpiewaniem — to chyba nazwisko artystki. Zabawne nazwisko. Może to pseudonim.

Robbie potrząsnął głową, otwierając usta, ale spostrzegł, że kobieta, która wybrała obraz, również wie lepiej.

— To tytuł tego obrazu — oznajmiła, a potem dodała z jakiegoś powodu, jakiego nigdy nie umiała wyjaśnić: — Ja mam na imię Rose. — Steiner spojrział na nią ze zdumieniem. — Nieważne, to tylko zbieg okoliczności.

Czy rzeczywiście? — zastanawiała się. — Czy rzeczywiście? Patrzcie.

Delikatnie odwróciła obraz z powrotem. Postukała w szkło nad szatą kobiety.

— Ten kolor, ten intensywny szkarłat nazywa się jaskraworóżowy*.

— Ona ma rację — rzekł Robbie. — Artysta albo ostatni właściciel obrazu, co jest bardziej prawdopodobne, ponieważ ślad węgla bardzo szybko się ściera, nazwał tak obraz od koloru chitonu tej kobiety.

— Proszę — Rose zwróciła się do Steinera — czy możemy zakończyć interesy? Śpieszę się. Już jestem spóźniona.

Steiner chciał jeszcze raz zapytać, czy jest pewna swojego wyboru, ale zrezygnował widząc, że tak. Stwierdził także, że na twarzy kobiety maluje się smutek, jakby ostatnio miała ciężkie przejścia. To była twarz kobiety, która mogła uznać szczerze zainteresowanie i troskę za kpiny, a może nawet za próbę zmiany warunków transakcji na swoją niekorzyść. Kiwnął głową.

— Zamiana. Pierścionek za obraz. I oboje będziemy szczęśliwi.

— Tak — przytaknęła Rosie, obdarzając go cudownym uśmiechem. To był pierwszy prawdziwy uśmiech, jakim obdarzyła kogoś od czternastu lat, i ten uśmiech otworzył dla niej jego serce. — I oboje będziemy szczęśliwi.

5

Przez chwilę stała na zewnątrz, głupawo mrugając oczami na widok śmigających obok samochodów, czując się tak jak w dzieciństwie, kiedy wychodziła z ojcem z kina — oszołomiona, tkwiąca wciąż w świecie fikcji. Obraz jednak był jak najbardziej realny; w razie jakichkolwiek wątpliwości wystarczyło spojrzeć na paczkę, którą niosła pod lewą pachą.

Za jej plecami otworzyły się drzwi lombardu i wyszedł z nich starszy mężczyzna. Teraz nawet on wydał się miły, więc obdarzyła go uśmiechem, jaki ludzie przeznaczają dla tych, z którymi łączą ich jakieś dziwne lub cudowne przeżycia.

— *Madam* — powiedział — czy zechciałaby pani wyświadczyć mi drobną przysługę?

Jej uśmiech ustąpił miejsca czujności.

— Zależy jaką. Nie mam zwyczaju wyświadczać przysług nieznajomym.

To oczywiście za mało powiedziane. Nie miała zwyczaju nawet rozmawiać z nieznajomymi. Wyglądał na zakłopotanego, co dodało jej pewności siebie.

— Tak, no cóż, to pewnie zabrzmiało dziwnie, ale może się okazać korzystne dla nas obojga.

* W oryginale *Rose madder* to barwnik z marzanny, kolor jasnoczerwony (przyp. tłum.).

Nawiasem mówiąc, nazywam się Lefferts. Rob Lefferts.

— Rosie McClendon — powiedziała. Zastanawiała się, czy podać mu rękę, ale zrezygnowała z tego pomysłu. Pewnie nie powinna nawet podawać mu swojego nazwiska. — Naprawdę nie mam czasu na żadne przysługi, panie Lefferts... Jestem trochę spóźniona i...

— Proszę.

Odstawił swoją steraną walizeczkę, sięgnął do małej brązowej torebki, którą trzymał w drugiej ręce, i wyjął jedną ze starych książek, jakie znalazł w lombardzie. Na okładce był stylizowany rysunek mężczyzny w więziennym, czarno-białym pasiaku. Wchodził w głąb czegoś, co mogło być jaskinią lub wylotem tunelu.

— Chcę tylko, żeby przeczytała pani pierwszy akapit tej książki. Na głos.

— Tutaj? — rozejrzała się na boki. — Tu, na ulicy? Na Boga, dlaczego?

Powtórzył tylko „proszę”, więc wzięła książkę myśląc, że jeśli zrobi to, o co prosił, może uwolni się od niego bez dalszych komplikacji. Byłoby dobrze, ponieważ zaczęła nabierać przekonania, iż ma do czynienia z lekkim świrem. Może nie niebezpiecznym, ale jednak świrem. A gdyby okazał się niebezpieczny, to lepiej, aby nastąpiło to teraz, kiedy mogła uciec do lombardu, do Billa Steinera.

Książka miała tytuł *Mroczne przejście*, a jej autorem był David Goodis. Przewracając stronę z jego biografią, Rosie doszła do wniosku, że nie ma nic dziwnego w tym, że nigdy o nim nie słyszała (choć tytuł powieści z czymś jej się kojarzył). *Mroczne przejście* zostało wydane w 1946 roku, siedemnaście lat przed jej narodzinami.

Spojrzała na Roba Lefferts. Energicznie pokiwał głową, niemal dygocząc z niecierpliwości... i nadziei? Dlaczego? Rzeczywiście wyglądało to na nadzieję.

Czując również lekkie wzburzenie (kto z kim przestaje, takim się staje, jak często powiadała jej matka), Rosie zaczęła czytać. Ten pierwszy akapit był przynajmniej krótki.

To zwykły pech. Parry był niewinny. A przede wszystkim to porządny facet, który nigdy nikogo nie skrzywdził i chciał żyć w spokoju. A jednak zbyt wiele przemawiało przeciwko niemu, a niemal nic za nim. Sąd uznał, że jest winien. Sędzia skazał go na dożywocie i wsadzono go do San Quentin.

Podniosła oczy, zamknęła książkę i oddała mu ją.

— Dobrze?

Uśmiechał się z widocznym zadowoleniem.

— Bardzo dobrze, pani McClendon. Proszę zaczekać... jeszcze jedno... chwileczkę...

Szybko przekartkował książkę, po czym podał ją Rosie.

— Jeszcze ten dialog, proszę. Rozmowa między Parrym a taksówkarzem. Od słów: *No cóż, to dziwne. Znalazła pani?*

Znalazła i tym razem nie protestowała. Uznała, że Lefferts nie jest niebezpieczny i nie musi być wariatem. Ponadto wciąż czuła to dziwne podniecenie, jakby miało się zdarzyć coś naprawdę interesującego... albo już się zdarzyło.

No pewnie, nie pamiętasz? — odezwał się głos w jej głowie. — Ten obraz, Rosie, pamiętasz?

Tak, oczywiście. Obraz. Sama myśl o nim dodała jej ducha i napełniła szczęściem.

— To szczególne wymagania — zauważyła, ale uśmiechnęła się. Nie mogła się powstrzymać.

Kiwnął głową i miała wrażenie, że tak samo kiwnąłby, gdyby powiedziała mu, że nazywa się *Madame Bovary*.

— Tak, tak, wiem, że tak to wygląda, ale... czy znalazła pani to miejsce, od którego ma pani czytać?

— Uhm.

Szybko przejrzała dialog, usiłując odczytać z kontekstu, kim byli rozmówcy. Z taksówkarzem nie miała kłopotów: w myślach szybko przywołała obraz Jackiego Gleasona

jako *Ralph Kramdena* w powtórkach *Honeymooners*, pokazywanych popołudniami na kanale 18. Z *Parrym* było trochę trudniej — prawdziwy bohater, jak sądziła, powinien być bez skazy. Ech, co tam, to i tak bez znaczenia. Odchrząknęła i zaczęła czytać zapominając, że stoi na rogu ruchliwej ulicy z pakunkiem po pachą, nieświadoma zaciekawionych spojrzeń, jakie ona i *Lefferts* ściągali na siebie.

— *No cóż, to zabawne — rzekł kierowca. — Czytam z twarzy ludzi, co myślą. Mogę też stwierdzić, czym się zajmują. A czasem nawet mogę stwierdzić, kim są... na przykład pan.*

— *Tak, ja. Co ze mną?*

— *Ma pan kłopoty.*

— *Nie mam żadnych kłopotów — zaprzeczył Parry.*

— *Nie opowiadaj takich rzeczy, bracie — rzekł kierowca. — Ja wiem. Znam się na ludziach. Powiem panu coś. Ma pan kłopoty z kobietami.*

— *Pierwsze pudło. Jestem szczęśliwie żonaty.*

Nagle, tak po prostu, znalazła głos dla *Parry'ego*: był *Jamesem Woodsem*, nerwowym i spiętym, lecz ze wspaniałym poczuciem humoru. To ucieszyło ją, więc czytała dalej z większym zainteresowaniem, oczyma duszy widząc scenę z nigdy nie nakręconego filmu: *Jackie Gleason* i *James Woods* gawędzący w taksówce mknącej nocą ulicami jakiegoś anonimowego miasta.

— *Raczej strzał w dychę. Nie jest pan żonaty. Chociaż był pan, ale niezbyt szczęśliwie.*

— *Och, rozumiem. Przebywał pan tam. Przez cały czas krył się pan w szafie.*

— *Opowiem panu o niej — ciągnął taksówkarz. — Ona nie była łatwa w pożyciu. Pragnęła różnych rzeczy. Im więcej dostawała, tym więcej chciała. I zawsze dostawała to, czego pragnęła. Oto cała historia.*

Rosie dotarła do końca strony. Czując dziwny dreszcz przebiegający po plecach, w milczeniu podała książkę *Leffertsowi*, który teraz wyglądał na ogromnie zadowolonego z siebie.

— *Ma pani cudowny głos! — powiedział jej. — Cichy, ale nie usypiający, melodyjny i bardzo czysty, bez śladu obcego akcentu. To zauważyłem od razu, ale sam głos bardzo niewiele znaczy. Pani jednak umie czytać! Naprawdę umie pani czytać!*

— *Oczywiście, że umiem czytać — odparła Rosie. Nie wiedziała, czy ma śmiać się, czy gniewać. — Czy wyglądam tak, jakbym wychowała się w buszu?*

— *Nie, jasne, że nie, lecz często nawet wprawni czytelnicy nie są w stanie czytać głośno; jeśli nie zacinają się na słowach, to ich głos nie ma ekspresji. A dialog jest o wiele trudniejszy niż narracja... można rzec, że to próba ogniowa. Tymczasem słyszałem dwóch ludzi. Naprawdę ich słyszałem!*

— *Tak, ja też. Panie Lefferts, naprawdę muszę już iść. Ja...*

Wyciągnął rękę i lekko dotknął jej ramienia, zanim zdążyła odwrócić się i odejść. Kobieta bardziej obyta w świecie domyśliłaby się, że to rozmowa wstępna, mimo że przeprowadzana na rogu ulicy, i nie byłaby zdziwiona tym, co potem powiedział *Lefferts*. *Rosie* jednak oniemiała ze zdumienia, kiedy odchrząknął i zaproponował jej pracę.

6

W chwili gdy jego zbiegła żona czytała *Robowi Leffertsowi* na rogu ulicy, *Norman Daniels* siedział w swoim maleńkim boksie na trzecim piętrze komisariatu policji, z nogami na biurku i dłońmi splecionymi za głową. Po raz pierwszy od wielu lat mógł położyć nogi na biurku — zwykle było ono zasypane formularzami, opakowaniami po kanapkach, nie dokończonymi raportami, służbowymi okólnikami, notatkami oraz innym śmieciem. *Norman* nie był typem człowieka, który odruchowo sprząta po sobie (w ciągu zaledwie trzech tygodni

dom, który Rosie utrzymywała przez te wszystkie lata w idealnym porządku, zaczął wyglądać niemal jak Miami po przejściu huraganu Andrew) i zazwyczaj biuro zdradzało tę cechę charakteru gospodarza, teraz jednak panował tu porządek. Przez większość dnia sprzątał je. Wyniósł trzy wielkie plastikowe worki na śmieci, pełne makulatury, do spalarni odpadków, znajdującej się w piwnicy, nie chcąc pozostawiać tego czarnym sprzątaczkom, pracującym tu przez cały tydzień, od północy do szóstej rano. „To, co pozostawia się czarnuchom, nigdy nie zostaje zrobione” — tego nauczył Normana ojciec i miał rację. To był podstawowy fakt, którego politycy i rozmaici dobroczyńcy nie mogli lub nie chcieli pojąć; czarnuchy nie umieją pracować. To nie leży w ich afrykańskiej naturze.

Norman powoli powiódł wzrokiem po blacie biurka, na którym teraz znajdowały się tylko jego nogi i telefon, po czym spojrzął na ścianę po prawej. Przez całe lata była wytapetowana listami gończymi, rysopisami, wynikami badań laboratoryjnych i jadłospisami barów szybkiej obsługi — nie wspominając o kalendarzach z zaznaczonymi na czerwono datami stawienia się w sądzie — lecz teraz była zupełnie naga. Zakończył oględziny, patrząc na stos kartonowych pudeł po trunkach, piętrzący się obok drzwi. Jednocześnie myślał o tym, jak przedziwnie układa się życie. Miał wybuchowy charakter — pierwszy by się do tego przyznał. Równie chętnie wyznałby, że ten wybuchowy charakter wciąż pakował go w kłopoty, które trwały nieustannie. I gdyby rok wcześniej ujrzał swój pokój w takim stanie, w jakim widział go teraz, doszedłby do wniosku, że porywczy charakter w końcu wpakował go w tarapaty, z których nie zdołał się wywinąć, i wywalili go z roboty. Albo zebrał już tyle nagan, że zwolniono go zgodnie z przepisami obowiązującymi w policji. Albo że przyłapano go na robieniu komuś krzywdy... Zapewne wyrządził ją temu małemu pedrylowi, Ramonowi Sandersowi. Myślenie o tym, że mogłoby mieć jakiegokolwiek znaczenie to, czy takiemu pedałkowi jak Ramon coś się stanie, było oczywiście śmieszne — przecież nie był świętym Antonim — lecz należało przestrzegać reguł gry... a przynajmniej nie dać się złapać na ich łamaniu. Podobnie jak nie należało głośno mówić, że czarnuchy nie umieją pracować, chociaż każdy (a przynajmniej każdy biały) o tym wiedział.

Nie, nie został wylany. Przeprowadzał się, to wszystko. Przenosił się z tej gównianej, małej nory, która była jego domem od pierwszych dni prezydentury Busha. Przeprowadzał się do prawdziwego biura, awansował. Jak w piosence Chucka Berry'ego, tej zaczynającej się od *C'est la vie*. I okazuje się, że nigdy nic nie wiadomo.

Doszło do aresztowania, tego wielkiego, i sprawy nie mogłyby potoczyć się lepiej nawet wtedy, gdyby osobiście ułożył scenariusz wydarzeń. Nastąpiła niemal niewiarygodna zmiana: jego tyłek nagle okazał się szczerozłoty, przynajmniej dla niektórych.

To była szajka handlarzy narkotyków, obejmująca całe miasto, organizacja, jakiej nigdy nie da się rozpracować całkowicie i do końca... tyle że tym razem się udało. Wszystko wskoczyło na swoje miejsce, tak jakby ktoś wyrzucił tuzin siódemek pod rząd przy jednym ze stołów gry Atlantic City, za każdym razem podwajając swój majątek. Jego grupa przymknęła przeszło dwadzieścia osób, z których pół tuzina to naprawdę grube ryby, a aresztowania były bez zarzutu — nie ma mowy o jakichkolwiek nieprawidłowościach. Prokurator okręgowy pewnie dostał niebywałego orgazmu, jakiego nie miał od szkolnych czasów, kiedy dymał swojego cocker spaniela. Norman, który kiedyś uważał, że może skończyć karierę, stając przed obliczem tego oślizłego popaprańca, jeśli nie okielzna swojego poryw — czego charakteru, stał się pieszczoskiem prokuratora. Chuck Berry miał rację: nigdy nic nie wiadomo.

— Lodówka była zapchana przekąskami i piwem imbirowym — mruknął Norman i uśmiechnął się. To był miły uśmiech, na który większość ludzi chciałaby odpowiedzieć uśmiechem, ale Rosie ścierpłaby ze strachu i gwałtownie zapragnęłaby stać się niewidzialna. Myślała o nim jako o krokodylim uśmiechu Normana.

Bardzo dobry początek wiosny, istotnie, bardzo dobry, a jednak w rzeczywistości bardzo

kiepski. Dokładnie mówiąc, całkiem gówniany, a wszystko przez Rose. Spodziewał się, że dopadnie ją dawno temu, ale nie zdołał. Rose ciągle ukrywała się gdzieś. Ciągle gdzieś tam była.

Pojechał do Portside tego samego dnia, kiedy przesłuchał swego dobrego przyjaciela Ramona w parku przed komisariatem. Wziął zdjęcie Rose, ale niewiele mu ono pomogło. Kiedy wspomniał o okularach przeciwsłonecznych i jasnoczerwonej chustce (cenne szczegóły, jakie znalazł w stenogramie z policyjnego przesłuchania Ramona Sandersa), jeden z dwóch bileterów Continental, pracujący na dziennej zmianie, zawołał *bingo!* Jedyne problem polegał na tym, że ten kasjer nie pamiętał, dokąd pojechała, a nie można było sprawdzić w rejestrach, ponieważ takowych nie prowadzono. Zapłaciła gotówką i nie miała bagażu.

Rozkład jazdy Continental dawał trzy możliwości, ale Norman uznał trzecią — autobus jadący na południe o 1.45 — za nieprawdopodobną. Nie chciałyby czekać tu tak długo. Pozostały więc dwie: miasto leżące czterysta kilometrów dalej oraz inne, większe, w sercu Środkowego Zachodu.

Wtedy — powoli dochodził do wniosku — popełnił błąd, który kosztował go co najmniej dwa tygodnie; założył, że ona nie zechciałaby zbyt oddalać się od domu, od miejsc, w których dorastała. Nie taka wystraszona myszka jak ona. Teraz jednak...

Dłonie Normana pokrywała siatka ledwie widocznych, białych blizn. Pozostawiły je jego paznokcie, lecz ich prawdziwe źródło kryło się głęboko w głowie, w tym kotle wrzącym na granicy wybuchu przez całe jego życie.

— Lepiej, żebyś się bała — mamrotał. — A jeśli jeszcze się nie boisz, to zapewniam cię, że niedługo zaczniesz.

Tak. Musiał ją mieć. Bez Rose wszystko, co wydarzyło się tej wiosny — słynne aresztowanie, dobra prasa, reporterzy zadający teraz pytania z najwyższym szacunkiem, bliskim uwielbienia — nie było ważne. Kobiety, z którymi spał, od kiedy odeszła Rose, również nie były ważne. Liczyło się tylko to, że ona go zostawiła. Jeszcze ważniejsze było to, że nie miał zielonego pojęcia, iż ona zamierza to zrobić. A już najważniejsze było to, że wzięła jego kartę kredytową. Skorzystała z niej tylko raz, żeby podjąć jakieś nędzne trzysta pięćdziesiąt dolarów, ale nie o to chodzi. Chodziło o to, że wzięła coś, co należało do niego, zapominając, kto jest najgorszym sukinsynem w dżungli, i za to musi mu zapłacić. I to drogo.

Drogo.

Uduślił jedną z kobiet, z którymi spał, po tym jak odeszła Rose. Zadusił, a potem rzucił za elewator zbożowy na zachodnim końcu jeziora. Czy tę sprawę też powinien złożyć na karb swego porywczego charakteru? Nie wiedział, ale czy to miało jakieś znaczenie? Kogo to obchodzi? Pamiętał, że wybrał tę kobietę ze stada dziwek przechadzających się po Fremont Street — małą, rudowłosą panienkę w pomarańczowych szortach, z tymi wielkimi cyckami Daisy Mae, sterczącymi z opiętego stanika. Nie zauważył, jak bardzo była podobna do Rose (a przynajmniej teraz tak sobie mówił i może nawet w to wierzył), dopóki nie dobrał się do niej na tylnym siedzeniu swojego obecnego służbowego wozu, niepozornego czteroletniego chevroleta. A wtedy ona odwróciła głowę i światła na wierzchołku najbliższego silosu przez chwilę oświetliły jej twarz, oświetliły w pewien sposób, i w tym momencie kurwa stała się Rose, tą suką, która odeszła od niego, nie zostawiwszy nawet listu, nawet jednego pierdolonego słowa, i zanim pojął, co robi, kurwa już miała stanik zaciśnięty na szyi, a język wystawał tej kurwie z ust i oczy wychodziły tej kurwie z orbit, jak szklane kule. A najgorsze było to, że kiedy już nie żyła, kurwa wcale nie była podobna do Rose.

No cóż, nie wpadł w panikę... a właściwie dlaczego miałby wpaść? W końcu to nie pierwszy raz.

Czy Rose wiedziała o tym? Wyczuwała?

Czy właśnie dlatego uciekła? Ponieważ obawiała się, że mógłby...

— Nie bądź dupkiem — mruknął i zamknął oczy.

Kiepski pomysł. Natychmiast zobaczył to, co ostatnio często widywał w snach: zieloną kartę kredytową Banku Handlowego, powiększoną do potwornych rozmiarów i unoszącą się w mroku jak sterowiec w kolorze pieniędzy. Pośpiesznie otworzył oczy. Bolały go dłonie. Rozluźnił palce i bez zdziwienia spojrzął na puchnące skaleczenia. Przyzwyczyił się do takich oznak swojego charakteru i wiedział, jak sobie z tym radzić: trzeba opanować kryzys. To oznaczało myślenie i planowanie, a wymagało uprzedniego przeglądu sytuacji.

Zatelefonował na policję w bliższym z tych dwóch miast, przedstawił się, a potem nazwał Rose główną podejrzaną w sprawie o fałszowanie kart kredytowych na dużą skalę (ta karta była najgorsza i nigdy nie mógł o niej zapomnieć; na myśl o tym, że ona ośmieliła się wziąć tę kartę z półki nad kominkiem, dostawał kurwicy). Podał jej nazwisko — Rose McClendon — pewny, że powróciła do swojego panińskiego nazwiska. Gdyby się okazało, że jest inaczej, uznałby za zwykły zbieg okoliczności fakt, że podejrzana i policjant prowadzący dochodzenie mają identyczne nazwisko. Takie rzeczy się zdarzają. A chodziło o Danielsa, nie o Trzewskiego czy Beauschatza.

Przefaksował im również zdjęcia Rose. Jedno z nich, zrobione we wrześniu ubiegłego roku przez Raya Fostera, znajomego gliniarza, ukazywało ją siedzącą na tylnych schodach domku. Nie należało do nadzwyczajnych — przede wszystkim widać było, jak obrosła tłuszczem po skończeniu trzydziestki — lecz za to wyraźnie odzwierciedlało jej twarz. Na drugim zdjęciu był rysunkowy portret (Al Kelly, ten utalentowany skurwysyn, sporządził go po godzinach pracy na prośbę Normana) tej samej kobiety, tylko z chustką na głowie.

Gliniarze zadali wszystkie właściwe pytania i zajrzeli wszędzie, gdzie trzeba — do schronisk dla bezdomnych, hoteli na godziny, zajazdów, w których czasem można sprawdzić listę gości, jeśli się wie, jak i kogo poprosić — bez skutku. Sam Norman również przeprowadził wiele rozmów telefonicznych, z narastającą frustracją poszukując choćby najmniejszego papierowego śladu. Zapłacił nawet za przesłanie faksem listy osób ostatnio ubiegających się tam o wystawienie prawa jazdy — także bez skutku.

To, że Rose mogłaby mu uciec i uniknąć sprawiedliwej kary (szczególnie za zabranie karty kredytowej), w dalszym ciągu nie przyszło mu do głowy, ale niechętnie doszedł do wniosku, że może jednak udała się do tego drugiego miasta. Możliwe, że tak bardzo obawiała się go, iż czterysta kilometrów nie było dla niej dostatecznie dużą odległością.

Wkrótce się dowie, iż dziewięćset kilometrów też nie jest bezpieczną odległością.

Na razie jednak siedzi tu już dostatecznie długo — upomniał siebie. Czas znaleźć jakiś wózek albo taczkę i zacząć przewozić te graty do nowego gabinetu, dwa piętra wyżej. Zdjął nogi z biurka i w tej samej chwili zadzwonił telefon. Podniósł słuchawkę.

— Czy to inspektor Daniels? — usłyszał głos po drugiej stronie.

— Tak — odparł myśląc (bez specjalnej przyjemności): detektyw inspektor pierwszego stopnia Daniels.

— Mówi Olivier Robbins.

Robbins. Robbins. Nazwisko było znajome, ale...

— Z Continental Express. Sprzedałem bilet kobiecie, której szukacie.

Daniels wyprostował się w fotelu.

— Tak, panie Robbins, pamiętam pana bardzo dobrze.

— Widziałem pana w telewizji — rzekł Robbins. — To cudownie, że schwytał pan tych przestępców. Narkotyki to okropna rzecz. Wie pan, na dworcu wciąż widzimy, jak ludzie je zażywają.

— Tak — przytaknął Daniels, nie pozwalając, aby w jego głosie dał się słyszeć choć cień niecierpliwości. — Jestem tego pewny.

— Czy oni naprawdę pójdą do więzienia?

— Sądzę, że większość z nich tak. W czym mogę panu dziś pomóc?

— Właściwie to mam nadzieję, że ja pomogę panu — powiedział Robbins. — Prosił pan, bym zatelefonował, jeśli przypomnę sobie coś jeszcze. To znaczy o kobiecie w ciemnych okularach i czerwonej chustce.

— Tak — odrzekł Norman. Jego głos był spokojny i przyjazny, ale dłoń, w której nie trzymał słuchawki, znowu zacisnęła się w pięść, a paznokcie wbijały się i wbijały.

— No cóż, dziś rano, kiedy brałem prysznic, coś przyszło mi do głowy. Myślałem o tym przez cały dzień i jestem pewny, że się nie mylę. Ona naprawdę powiedziała to w ten sposób.

— Co powiedziała, w jaki sposób? — zapytał Daniels. W dalszym ciągu mówił spokojnym, a nawet miłym głosem, ale w zagłębieniach jego zaciśniętej dłoni pokazała się krew. Norman otworzył jedną z szuflad pustego biurka i trzymał nad nią pięść. Pamiątka dla przyszłego użytkownika tej głównianej małej nory.

— Widzi pan, ona nie wymieniła miejscowości, do której chciała jechać. Pewnie dlatego nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy mnie pan pytał, inspektorze Daniels, chociaż zazwyczaj mam głowę do takich spraw.

— Nie rozumiem.

— Ludzie kupujący bilet zazwyczaj podają cel podróży — wyjaśnił Robbins. — Mówią na przykład: Proszę w obie strony do Nashville. Albo: W jedną stronę do Lansing, proszę. Rozumie pan?

— Tak.

— Ta kobieta nie zrobiła tego. Nie podała mi celu podróży; podała mi czas odjazdu. Właśnie to przypomniałem sobie dziś pod prysznicem. Powiedziała: „Chcę kupić bilet na autobus o jedenastej pięć. Czy są jeszcze wolne miejsca?” Jakby cel podróży nie miał żadnego znaczenia, jakby chciała tylko...

— Odjechać najszybciej jak się da i najdalej jak się da! — wykrzyknął Norman. — Tak! Tak, oczywiście! Dziękuję, panie Robbins!

— Cieszę się, że mogłem pomóc — Robbins był wyraźnie zaskoczony tym nagłym wybuchem emocji na drugim końcu. — Widzę, że naprawdę bardzo chcecie złapać tę kobietę.

— Chcemy — rzekł Norman, a na jego twarzy pojawił się uśmiech, który mroził krew w żyłach Rosie i kazał jej opierać się plecami o ścianę, żeby osłonić nerki. — Może pan założyć się o to. Ten autobus o jedenastej pięć, panie Robbins, dokąd on jedzie?

Robbins powiedział mu, a potem zapytał:

— Czy ona należała do tej szajki handlarzy narkotyków? Ta kobieta, której szukacie?

— Nie, chodzi o nadużycia z kartami kredytowymi — odparł Norman, a Robbins chciał coś dodać, zapewne zamierzając nawiązać towarzyską pogawędkę, lecz Norman rzucił słuchawkę na widelki, wyłączając się w pół zdania. Znow położył nogi na biurku. Wózek i przenoszenie gratów mogą zaczekać. Odchylił się w fotelu i spojrzał w sufit. — Nadużycia z kartami kredytowymi, pewnie — mruknął do siebie. — A jednak wiesz, co mówią o długim ramieniu prawa.

Wyciągnął lewą rękę i otworzył pięść, odsłaniając usmarowaną krwią dłoń. Wyprostował palce, które też były zakrwawione.

— Długie ramię prawa, ty suko — prychnął i nagle wybuchnął śmiechem. Przebierał palcami patrząc, jak kropelki krwi pryskają na blat, nie dbając o to, śmiejąc się, czując się znakomicie.

Wszystko znów toczyło się tak, jak powinno.

Wróciwszy do Córek i Sióstr, Rosie zastała Pam siedzącą na składanym krześle w sali gimnastycznej na parterze. Pam trzymała na kolanach książkę, ale obserwowała Gert Kinshaw

i to chude coś, co przyszło mniej więcej dziesięć dni wcześniej, czyli Cynthię Jakość. Cynthia nosiła ekstrawagancką fryzurę punka — zielono — pomarańczową, pół na pół — i wyglądała tak, jakby ważyła nie więcej niż czterdzieści pięć kilogramów. Miała gruby opatrunek na lewym uchu, które jej chłopak usiłował — z niejakim sukcesem — oderwać. Nosiła podkoszulek bez rękawów, z Peterem Toshem w centrum wirującej, niebieskozielonej, psychodelicznej erupcji Słońca. NIE ZAMIERZAM TEGO RZUCIĆ! — oznajmiał napis na koszulce. Przy każdym ruchu przyduże otwory na ramiona odsłaniały jej piersi wielkości filiżanek i małe sutki truskawkowej barwy. Sapała i pot spływał jej po twarzy, ale wydawała się niemal niebotycznie zadowolona z siebie i z tego, że jest tu, gdzie jest.

Gert Kinshaw różniła się od Cynthii jak noc od dnia. Rosie nigdy nie była pewna, czy Gert jest radczynią prawną, długoletnią mieszkanką przytułku, czy też tylko damą dworu — umownie mówiąc. Pojawiała się, zostawała na kilka dni, a potem znów znikwała. Często brała udział w sesjach terapeutycznych (u Córek i Sióstr odbywały się one dwa razy dziennie, przy czym mieszkanki były obowiązane uczestniczyć w nich cztery razy w tygodniu), lecz Rosie nigdy nie słyszała jej zabierającej głos. Była wysoka — miała co najmniej sto osiemdziesiąt dwa centymetry — i postawna: ramiona miała szerokie, miękkie i ciemnobrązowe, piersi jak melony, a jej brzuch był wielką, wystającą fałdą tłuszczu, wylewającą się z podkoszulków rozmiaru XXXL i zwisającą nad spodniami od dresu, które zawsze nosiła. Jej włosy były gąszczem drobnych loczków (bardzo kręconych). Wyglądała jak jedna z tych kobiet, które przesiadują w pralniach samoobsługowych, zajadają twinkies i czytają ostatni numer „National Enquirer”, więc łatwo było przeoczyć jej potężne bicepsy, zgrabny zarys ud pod starymi spodniami od dresu i to, że jej wielki zad nie trząsał się, kiedy szła. Była gadatliwa tylko w sali gimnastycznej.

Gert uczyła szlachetnej sztuki samoobrony wszystkie mieszkanki Córek i Sióstr, które chciały się uczyć. Rosie też wzięła kilka lekcji i w dalszym ciągu przynajmniej raz dziennie ćwiczyła to, co Gert nazywała Sześcioma Wspaniałymi Sposobami Upierdolenia Dupka. Niezbyt dobrze jej szło i nie mogła sobie wyobrazić, że mogłaby je wypróbować na prawdziwym mężczyźnie — na przykład na facecie z wąsami Davida Crosby’ego, stojącym w drzwiach The Wee Nip — ale lubiła Gert. Szczególnie lubiła patrzeć, jak zmieniała się szeroka, ciemna twarz, kiedy Gert uczyła kogoś; jej zwykle nieruchome oblicze nabierało wtedy wyrazu i inteligencji. Stawało się po prostu ładne. Rosie zapytała ją kiedyś, czego właściwie uczy — taekwondo, dżiu-dżitsu czy karate? A może jakiejś innej sztuki. Gert tylko wzruszyła ramionami.

— Trochę tego i trochę tamtego — powiedziała. — Takie resztki.

Teraz stół do ping-ponga odsunięto na bok, a na środku pokoju poukładano szare maty. Wzdłuż jednej ściany, obitej sosnową boazerią, między starym zestawem stereo a prehistorycznym telewizorem, w którym wszystko było bladozielone albo bladoróżowe, ustawiono osiem lub dziewięć składanych krzesel. Zajęte było jedynie to, na którym siedziała Pam. Z książką na kolanach, włosami związanymi z tyłu kawałkiem niebieskiej wstążki, ze skromnie podwiniętymi nogami wyglądała jak królowa „pietruszek” ściany na gimnazjalnej potańcówce. Rosie usiadła przy niej, opierając zapakowany obraz o łydki.

Gert, ważąca co najmniej sto dwadzieścia kilogramów, i Cynthia, która może ważyłaby pięćdziesiąt w wojskowych buciorach i z wypchanym plecakiem, krążyły wokół siebie. Cynthia dyszała i uśmiechała się szeroko. Gert była spokojna i cicha, lekko zgięta w nie istniejącej talii, z rękami wysuniętymi naprzód. Rosie patrzyła na nie, jednocześnie ubawiona i zaniepokojona. To było tak, jakby obserwowała wiewiórkę lub chomika podchodzących niedźwiedzia.

— Zaczynałam martwić się o ciebie — odezwała się Pam. — Już chodziła mi po głowie myśl, żeby zwołać grupę poszukiwawczą.

— Miałam naprawdę zdumiewające popołudnie. A co u ciebie? Jak się czujesz?

— Lepiej. Moim zdaniem, midol jest rozwiązaniem wszystkich problemów tego świata. Nieważne. Co ci się przytrafiło? Promieniejesz!

— Naprawdę?

— Naprawdę. Gadaj. Co jest?

— No cóż, po kolei — powiedziała Rosie. Zaczęła liczyć na palcach. — Najpierw dowiedziałam się, że mój pierścionek zaręczynowy jest fałszywy, potem zamieniłam go na obraz, który zamierzam powiesić w moim mieszkaniu, kiedy je dostanę, no i zaproponowano mi pracę... — Urwała dla większego efektu, a później dodała: — I spotkałam kogoś interesującego.

Pam popatrzyła na nią okrągłymi ze zdziwienia oczami.

— Zmyślasz!

— Nie. Przysięgam na Boga. Nie napalaj się jednak, on ma sześćdziesiąt pięć lat jak nic. — Mówiła o Robbiem Leffertsie, lecz umysł podsunał jej na chwilę obraz Billa Steinera, z jego błękitną kamizelką i interesującymi oczami. Przecież to śmieszne. W tym momencie życia sercowe komplikacje były jej potrzebne tak samo, jak rak wargi. A ponadto, czy nie doszła do wniosku, że Steiner jest co najmniej siedem lat młodszy od niej? Po prostu dzieciak. — To on zaproponował mi pracę. Nazywa się Robbie Lefferts. Lecz dajmy mu teraz spokój, chcesz zobaczyć mój nowy obraz?

— No, dalej! — zawołała Gert na środku pokoju. — To nie szkoła tańca, kochanie.

Ostatnie słowo zabrzmiało jak „koanie”.

Cynthia ruszyła na nią, łopocząc przydużą koszulką. Gert odsunęła się na bok, złapała drobną przeciwniczkę za ramiona i rzuciła na matę. Cynthia nakryła się nogami, lądując na plecach. „liiii!” — pisnęła i skoczyła na równe nogi, odbijając się od maty jak piłka.

— Nie, nie chcę oglądać twojego obrazu — powiedziała Pam. — Chyba że przedstawia tego faceta. Rzeczywiście ma sześćdziesiąt pięć lat? Nie wierzę!

— Może więcej — odparła Rosie. — Ale był tam jeszcze jeden. To on powiedział mi, że diament w moim pierścionku zaręczynowym to tylko cyrkonია. Potem zamienił mi go na ten obraz. — Urwała. — On nie był sześćdziesięciolatkiem.

— Jak wyglądał?

— Miał piwne oczy — stwierdziła Rosie i schyliła się po obraz. — Nie wydusisz ze mnie ani słowa więcej, dopóki nie powiesz mi, co o tym sądzisz.

— Rosie, nie zachowuj się jak „piła”!

Rosie uśmiechnęła się — prawie zapomniała, ile przyjemności może dać chwilka niewinnych przekomarzań — i dalej rozwijała papier, którym Bill Steiner starannie opakował pierwszy ważny zakup w jej nowym życiu.

— W porządku! — krzyknęła Gert do Cynthii, która znów krążyła wokół niej. Gert kołysała się powoli na swych wielkich brązowych nogach. Jej piersi pod białym obcisłym podkoszulkiem unosiły się i opadały niczym fale oceanu. — Widziałas, jak się to robi, a teraz powtórz. Pamiętaj, nie możesz mną rzucić, takie chuchro jak ty wbiłoby się w ziemię, usiłując ruszyć taki czołg jak ja, ale możesz sprawić, że upadnę. Gotowa?

— Gotowa jak nowa — zażartowała Cynthia. Uśmiechnęła się jeszcze szerzej, pokazując drobne, krzywe, białe zęby. Rosie uznała, że wyglądają jak kły jakiegoś małego, ale niebezpiecznego zwierzątka — może mangusty. — Gertrudę Kinshaw, ruszaj!

Gert skoczyła. Cynthia złapała ją za grube przedramiona i podstawiała szczupłe, chłopiące biodro pod tłusty bok Gert. Zrobiła to z pewnością siebie, na jaką Rosie — była tego świadoma — nigdy nie będzie stać... I nagle Gert uniosła się i poleciała w powietrze, jak fatamorgana w białej koszulce i szarych spodniach dresowych. Koszulka podwinęła się, odsłaniając największy biustonosz, jaki Rosie widziała w życiu: miski z cielistej lycry wyglądały jak pociski artyleryjskie z pierwszej wojny światowej. Kiedy Gert upadła na matę, pokój zadygotał.

— Taak! — wrzasnęła Cynthia, podskakując w miejscu i potrząsając złączonymi nad głową rękami. — Wielka mama pada na matę! Tak! TAAK! Będzie liczona! Będzie, kurwa, liczona i...

Z uśmiechem, który rzadko gościł na jej twarzy, zmieniając ją w groźną maskę, Gert podniosła Cynthię, przez chwilę trzymała ją nad głową, a potem zaczęła nią kręcić jak śmigłem helikoptera.

— Auuu, będę rzygać! — wrzeszczała Cynthia, ale i ona śmiała się przy tym. Wirowała jak rozmazana smuga zielono — pomarańczowych włosów i psychodelicznej koszulki. — Auuu, bo puszcze PAWIA!

— Gert, wystarczy — rozległ się spokojny głos. To Anna Stevenson stanęła u podnóża schodów. Znow była odziana w czerń i biel (Rosie widywała ją w innych kombinacjach barw, ale niezbyt często), tym razem w wąskie czarne spodnie i białą jedwabną bluzkę z długimi rękawami i wysokim karczkiem. Rosie zazdrościła jej elegancji. Zawsze zazdrościła jej elegancji.

Wyglądając na lekko zawstydzoną, Gert delikatnie postawiła Cynthię na ziemi.

— Nic mi nie jest, Anno — zapewniła Cynthia. Zrobiła cztery chwiejne kroki po macie, potknęła się, usiadła i zaczęła chichotać.

— Widzę — zauważyła sucho Anna.

— Rzuciłam Gert — mówiła Cynthia. — Szkoda, że tego nie widziałas. To była najwspanialsza chwila w moim życiu. Naprawdę.

— Jestem tego pewna, ale Gert powie ci, że upadła sama — tłumaczyła Anna. — Ty tylko pomogłaś zrobić to, co jej ciało już chciało zrobić.

— Taak, chyba tak — przyznała Cynthia. Ostrożnie wstała i natychmiast pacnęła z powrotem na tyłek (a raczej na to, co tam miała) i znow zachichotała. — Boże, jakby ktoś postawił cały ten pokój na odtwarzaczu płyt.

Anna przeszła przez pokój do Rosie i Pam.

— Co tam masz? — zapytała Rosie.

— Obraz. Kupiłam go dzisiaj. To do mojego nowego mieszkania, kiedy je dostanę. Do mojego pokoju. — A potem z lekką obawą dodała: — I co o nim myślisz?

— Jeszcze nie wiem, obejrzymy go przy świetle.

Anna wzięła obraz za ramię, przeniosła go przez pokój i postawiła na stole do ping — ponga. Pięć kobiet stanęło wokół półokręgiem. Nie, teraz było ich siedem, dostrzegła Rosie, zerknąwszy na boki. Robin St. James i Consuelo Delgado zeszły na dół i dołączyły do nich. Stały za Cynthia, zaglądając przez jej wąskie ramiona. Rosie czekała, aż ktoś przerwie ciszę — stawiała na Cynthię — a kiedy nikt tego nie robił i milczenie się przedłużało, poczuła lekkie zdenerwowanie.

— No? — spytała w końcu. — Co myślicie? Niech ktoś coś powie.

— To dziwny obraz — odezwała się Anna.

— Taak — przytaknęła Cynthia. — Niesamowity. Chyba jednak widziałam już coś takiego.

Anna spojrzała na Rosie.

— Dlaczego go kupiłaś?

Rosie wzruszyła ramionami, jeszcze bardziej zdenerwowana.

— Naprawdę nie wiem, czy potrafię to wyjaśnić. Czuję się tak, jakby do mnie coś mówił.

Anna zaskoczyła ją — i znacznie uspokoiła — uśmiechając się i kiwając głową.

— Tak. Myślę, że na tym rzeczywiście polega oddziaływanie wszelkiej sztuki bez względu na to, czy chodzi o literaturę, rzeźbę czy nawet zamki z piasku. Pewne rzeczy po prostu przemawiają do nas. Tak jakby ludzie, którzy je zrobili, mówili do nas w naszych myślach. Ten obraz jednak... czy on wydaje ci się piękny, Rosie?

Rosie spojrzała nań, usiłując zobaczyć go takim, jakim widziała go w sklepie, gdy przemówił do niej bezgłośnie z taką siłą, że stanęła jak wryta, mając pustkę w głowie. Popatrzyła na blondynkę w jasnoczerwonej todze (czy też chitonie, jak nazwał szatę pan Lefferts), stojącą w wysokiej trawie na szczycie wzgórza, ponownie zauważając warkocz opadający jej na plecy i złotą bransoletkę powyżej odsłoniętego prawego łokcia. Potem pozwoliła spojrzeniu powędrować do zrujnowanej świątyni i posągu (boga) u stóp wzgórza. Ku temu, na co spoglądała kobieta w todze.

Skąd wiesz, na co ona patrzy? Jak możesz być pewna? Przecież nie widać jej twarzy!

To, oczywiście, prawda... ale na co innego mogła patrzeć?

— Nie — odparła Rosie. — Nie kupiłam go dlatego, że uznałam go za piękny. Nabyłam go dlatego, że wydał mi się potężny. Stałam jak wryta, ponieważ wywarł na mnie tak wielkie wrażenie. Uważacie, że obraz musi być piękny, żeby był dobry?

— Skądże — powiedziała Consuelo. — Pomyśl o Jacksonie Pollocku. W jego dziełach nie było piękna, ale energia. Albo Diane Arbus, prawda?

— Kto to taki? — spytała Cynthia.

— Kobieta-fotografik. Zdobyła sławę, robiąc zdjęcia brodatych kobiet i karłów palących cygara.

— Och. — Cynthia zastanowiła się chwilę i nagle się rozpromieniła... — Widziałam kiedyś taki obraz na ekskluzywnym przyjęciu koktajlowym. To było w jakiejś galerii sztuki. Namalował go facet nazwiskiem Applethorpe, Robert Applethorpe, i wiecie, co przedstawiał? Faceta obciążającego drugiemu facetowi! Poważnie! I nie było w tym żadnego udawania, tak jak w magazynach porno. Chcę powiedzieć, że ten facet starał się, przykładał się do roboty i pracował po godzinach. Nikt nie uwierzyłby, że facet może wziąć tyle dzidy do...

— Mapplethorpe — powiedziała sucho Anna.

— Hmm?

— Mapplethorpe, nie Aapplethorpe.

— Ach tak. Chyba tak.

— Już nie żyje.

— Ach tak? Na co umarł? — spytała Cynthia.

— Na AIDS. — Anna w dalszym ciągu patrzyła na obraz Rosie i odpowiedziała z roztargnieniem. — W pewnych kręgach określa się to chorobą dzidy.

— Napomknęłaś, że widziałaś już taki obraz jak ten — zagrzmiała Gert. — Gdzie to było, mała? W jakiejś galerii sztuki?

— Nie. — Mówiąc o obrazie Mapplethorpe'a, Cynthia wyglądała jedynie na zainteresowaną; teraz jej policzki zaróżowiły się, a w kącikach ust pojawiły się dołeczki uśmiechu. — I nie był to dokładnie ten sam, ale...

— Mów dalej — zachęciła ją Rosie.

— No cóż, mój ojciec był pastorem metodystów w Bakersfield — wyznała Cynthia. — Pochodzę z Bakersfield, w Kalifornii. Mieszkaliśmy na plebanii, a w małej salce na dole złożono wszystkie stare obrazy. Na jednych byli prezydenci, na innych kwiaty, a na jeszcze innych psy. Te nie miały znaczenia. Były po prostu rzeczami, jakie wiesz się na ścianach, żeby nie wyglądały goło.

Rosie kiwnęła głową, myśląc o obrazach, które otaczały ją na tych zakurzonych półkach lombardu — weneckich gondolach, owocach na paterach, psach i lisach. Po prostu przedmioty do wieszania na ścianach, żeby nie wyglądały goło. Usta bez języków.

— Wśród nich znajdował się jeden... nazywał się... — Zmarszczyła brwi, usiłując przypomnieć sobie. — Chyba nazywał się *De Soto spogląda na zachód*. Przedstawiał podróżnika w blaszanych gaciach, z miską na głowie, stojącego na szczycie urwiska w otoczeniu Indian. Stał tam i spoglądał ponad kilometrami lasów ku naprawdę wielkiej rzece. Chyba Missisipi. Lecz wiecie... chodzi o to...

Spojrzała niepewnie. Jej policzki były bardziej różowe niż kiedykolwiek i uśmiech zniknął z twarzy. Gruby bandaż na uchu wydawał się bardzo biały, bardzo na miejscu, jak jakaś szczególna ozdoba przypięta z boku głowy i Rosie zadała sobie pytanie — nie pierwszy raz od czasu przybycia do Córek i Sióstr — dlaczego jest tylu tak niedobrych mężczyzn. Co jest z nimi nie tak? Czy to coś, co w nich zostało, czy też coś paskudnego, co mimowolnie w nich wbudowano, jak wadliwy układ komputera?

— Mów dalej, Cynthia — powiedziała Anna. — Nie będziemy się śmiać. Prawda?

Kobiety potrząsnęły głowami.

Cynthia założyła ręce za plecy, jak dziewczynka, której kazano recytować wiersz przed całą klasą.

— No cóż — zaczęła, znacznie ciszej niż zwykle. — Wydawało się, że ta rzeka płynie, i to mnie fascynowało. Ten obraz wisiał w pomieszczeniu, w którym ojciec prowadził czwartkowe spotkania katechetyczne, a ja przychodziłam tam i czasem siedziałam przed tym obrazem przez godzinę czy dwie, wpatrując się weń jak w telewizor. Obserwowałam, jak rzeka płynie... albo czekałam, czy popłynie. Teraz już nie pamiętam, bo miałam tylko dziewięć czy dziesięć lat. Zapamiętałam jedną swoją myśl. Otóż sądziłam, że jeśli rzeka płynie, to prędzej czy później zobaczę tratwę albo indiańskie kanoe, a wtedy będę pewna. Tymczasem któregoś dnia zeszedłam na dół, a obrazu nie było. Bach. Myślę, że matka musiała zajrzeć i zobaczyć, jak siedzę wpatrzona w obraz, więc...

— Zaniepokoiła się i schowała go — dopowiedziała Robin.

— Taak, pewnie wyrzuciła go na śmietnik — rzekła Cynthia. — Byłam wtedy dzieckiem. Lecz twój obraz, Rosie, przypomina mi tamten.

Pam obejrzała go z bliska.

— Jasne — stwierdziła. — Nic dziwnego. Widać, jak ta kobieta oddycha.

Wszystkie się roześmiały, a Rosie z nimi.

— Nie, nie o to chodzi — zaprzeczyła Cynthia. — Po prostu... po prostu wygląda trochę staroświecko, no wiecie... jak szkolny rysunek... i jest wyblakły. Oprócz chmur i jej sukni wszystkie kolory są blade. Na obrazie *De Soto* wszystko z wyjątkiem rzeki było wyblakłe. Rzeka połyskiwała srebrzyście i wydawała się bardziej związana z krajobrazem niż reszta obrazu.

Gert zwróciła się do Rosie.

— Powiedz nam o twojej pracy. Słyszałam, jak mówiłaś, że zaproponowano ci pracę.

— Opowiedz nam wszystko — dodała Pam.

— Tak — potwierdziła Anna. — Opowiedz nam wszystko, a potem może znalazłabyś czas, żeby wpaść na chwilę do mojego biura?

— Czy to... czy to jest to, na co czekałam?

Anna uśmiechnęła się.

— Prawdę mówiąc, tak.

8

— To ładne mieszkanie, jedno z najlepszych na naszej liście i mam nadzieję, że będziesz nim równie zachwycona jak ja — wyjaśniała Anna. Na jednym rogu jej biurka niebezpiecznie przechylał się stos ulotek zapowiadających nadchodzący „Piknik i koncert Córek i Sióstr” — wydarzenie stanowiło okazję do zbiórki funduszy, częściowo było imprezą towarzyską, a częściowo świętem. Anna wzięła jedną karteczkę, odwróciła i zaczęła szybko rysować. — Tutaj kuchnia, tu składane łóżko i mały pokoik. To jest łazienka. Ledwie można się w niej obrócić, a siadając na tronie będziesz musiała chyba trzymać nogi pod prysznicem, ale jest twoja.

— Tak — szepnęła Rosie. — Moja.

Znów ogarnęło ją uczucie, jakiego nie doznała od tygodni — że wszystko to cudowny sen i lada chwila znowu obudzi się obok Normana.

— Widok z okna jest piękny. Nie jest to oczywiście Lakę Drive, lecz Bryant Park wygląda bardzo ładnie, szczególnie w lecie. Pierwsze piętro. Okolica trochę podupadła w latach osiemdziesiątych, ale teraz znów odzyskuje wygląd.

— To brzmi tak, jakbyś tam bywała — rzekła Rosie.

Anna wzruszyła ramionami — delikatny, ładny gest — i narysowała przedpokój, a potem schody. Robiła to z wprawą zawodowego kreślarza. Nie podnosząc głowy powiedziała:

— Byłam tam wiele razy, ale przecież nie to miałas na myśli, prawda?

— Nie.

— Jakaś częśćka mojej osobowości odchodzi z każdą kobietą, która nas opuszcza. Pewnie brzmi to sentymentalnie, ale nic sobie z tego nie robię. To prawda i tylko to się liczy. Co o tym myślisz?

Rosie impulsywnie uściśnęła ją i natychmiast tego pożałowała czując, jak Anna zeszywniała. Nie powinnam tego robić — pomyślała, puszczając ją. — Przecież wiem. I wiedziała. Anna Stevenson była miłą — a może nawet świętą — osobą, Rosie nie miała co do tego wątpliwości, lecz wyczuwała w niej jakąś dziwną arogancję i to, że nie lubiła być blisko ludzi. Szczególnie nie lubiła być dotykana.

— Przepraszam — powiedziała, odsuwając się.

— Nie bądź głupia — zareagowała szorstko Anna. — I co o tym myślisz?

— Uwielbiam je — odparła Rosie.

Anna uśmiechnęła się i nieprzyjemny moment należał już do przeszłości. Narysowała małe „x” na ścianie pokoiku, naprzeciw małego prostokąta symbolizującego jedyne okno.

— Twój nowy obraz... Założę się, że powiesz go tutaj.

— Ja też jestem tego pewna. Anna odłożyła ołówek.

— Cieszę się, że mogę ci pomóc, Rosie, i jestem bardzo zadowolona, że przyszedł do nas. Hej, znów oczy ci się pocą.

Ponownie poszły w ruch chusteczki higieniczne, lecz Rosie wątpiła, aby była to ta sama paczka, którą Anna poratowała ją podczas pierwszej rozmowy w tym pokoju, miała wrażenie, że tutaj zużywa się mnóstwo chusteczek.

Wzięła jedną i otarła oczy.

— Uratowałaś mi życie, wiesz — powiedziała ochryplym głosem. — Uratowałaś mi życie, a ja nigdy, nigdy tego nie zapomnę.

— Pochlebiające, ale nieprawdziwe — odparła Anna suchym, spokojnym głosem. — Ocaliłam ci życie tak samo, jak Cynthia rzuciła Gert na matę w sali gimnastycznej na dole. Uratowałaś się sama, kiedy zaryzykowałaś i odeszłaś od mężczyzny, który cię krzywdził.

— Mimo to dziękuję. Za to, że tu jestem.

— Serdeczne dzięki — powiedziała Anna i właśnie wtedy Rosie ujrzała w jej oczach łzy po raz pierwszy od czasu pobytu u Córek i Sióstr. Z uśmiechem oddała jej paczkę chusteczek.

— Skorzystaj — powiedziała. — Wygląda na to, że i ty masz przeciek.

Anna roześmiała się, wzięła chusteczkę, posłużyła się nią i wrzuciła do kosza.

— Nienawidzę swojego płaczu. To mój największy, najstraszliwszy sekret. Wciąż wydaję mi się, że już z tym skończyłam, że muszę z tym skończyć, a potem znów płaczę. Chyba tak reaguję na myśl o mężczyznach.

I Rosie ponownie przyłapała się na tym, że wspomina Billa Steinera i jego piwne oczy.

Anna wzięła do ręki ołówek i napisała coś pod szkicem planu mieszkania. Potem podała kartkę Rosie. Pod rysunkiem widniał adres: Trenton Street 897.

— Tam będziesz mieszkać — rzekła Anna. — To spory kawałek stąd, ale umiesz już jeździć autobusami, prawda?

Śmiejąc się i jeszcze trochę płacząc, Rosie kiwnęła głową.

— Możesz podać ten adres przyjaciółkom, jakie tu masz, a później tym, jakie poznasz gdzie indziej, ale na razie nie zna go nikt oprócz nas dwóch.

Jej słowa brzmiały w uszach Rosie jak podsumowanie, jak mowa pożegnalna.

— Nikt inny nie dowie się tutaj, gdzie mieszkasz. Taką mamy zasadę u Córek i Sióstr. Po dwudziestu pięciu latach pracy z nieszczęśliwymi kobietami jestem przekonana, że to jedyny sposób.

Pam wyjaśniła to Rosie; tak samo jak Consuelo Delgado i Robin St. James. Stało się to podczas Godziny Radości, jak mieszkanki nazywały wieczorne porządki w przytułku, ale Rosie wcale nie potrzebowała wyjaśnień. Wystarczyły trzy lub cztery sesje terapeutyczne w salce na dole, żeby przeciętnie inteligentna osoba dowiedziała się większości tego, co powinna wiedzieć o zasadach obowiązujących w schronisku. Była Lista Anny i były Prawa Anny.

— Jak bardzo boisz się go? — spytała Anna.

Przez chwilę coś innego zaprzętało uwagę Rosie; teraz pośpiesznie usiłowała się skupić. Z początku nie wiedziała, o czym Anna mówi.

— Twój mąż, jak bardzo boisz się go? Wiem, że przez pierwsze dwa lub trzy tygodnie żyłaś w obawie, że on przyjdzie tu za tobą... że cię „wytropi”, jak to ujmowałaś. A co myślisz o tym teraz?

Rosie rozważyła pytanie. Po pierwsze, „obawa” nie była odpowiednim słowem na wyrażenie jej uczuć wobec Normana podczas pierwszych tygodni pobytu w schronisku; nawet przerażenie niezupełnie je oddawało, ponieważ sens związanych z jego osobą uczuć zacierały — i w pewnym stopniu zmieniały — inne emocje: wstyd z powodu nieudanego małżeństwa, tęsknota za nielicznymi przedmiotami, jakie lubiła (na przykład za Fotelem Puchatka), euforyczne poczucie wolności, powracające każdego dnia, i ulga tak wielka, że aż straszna — w rodzaju tej, jaką mógłby czuć linoskoczek, który był bliski utraty równowagi podczas przechodzenia nad głębokim kanionem... ale utrzymał ją.

To strach był kluczem wszystkiego; nie było co do tego wątpliwości. Przez pierwsze dwa tygodnie spędzone u Córek i Sióstr wciąż miała ten sam sen: siedziała na jednym z wiklinowych foteli na ganku, kiedy przy krawężniku zatrzymała się fabrycznie nowa sentra. Otwierały się drzwi po stronie kierowcy i wysiadał Norman. Nosił czarny podkoszulek z mapą Wietnamu Południowego. Czasami napis pod mapą głosił: TAM DOM TWÓJ, GDZIE SERCE TWOJE, a czasem: BEZDOMNY Z AIDS. Jego spodnie były zbrzyzgane krwią. Kawałki kości — wyglądające jak paliczki palców — zwisały mu z uszu. W jednej ręce trzymał jakąś maskę, która była zbroczona krwią i zanieczyszczona ciemnymi kawałkami mięsa. Rosie usiłowała wstać z fotela i nie mogła; była jak sparaliżowana. Musiała siedzieć i patrzeć, jak powoli idzie do niej podjazdem, a kościane ozdoby w jego uszach podskakują miarowo. Mogła tylko siedzieć tam i czekać, aż porozmawia z nią w cztery oczy. Uśmiechał się i widziała, że jego zęby również są zakrwawione.

— Rosie? — spytała łagodnie Anna. — Jesteś tu?

— Tak — powiedziała szybko, bez tchu. — Jestem tu i... tak, wciąż się go boję.

— No wiesz, nie ma w tym niczego niezwykłego. Sądzę, że w pewien sposób zawsze będziesz obawiała się go. Jednak nic ci nie grozi, jeśli zapamiętasz, że coraz dłuższe i dłuższe będą okresy, kiedy nie będziesz obawiała się niczego... gdy nawet o nim nie pomyślisz. Lecz nie o to pytałam. Chciałam wiedzieć, czy w dalszym ciągu obawiasz się, że on po ciebie przyjdzie.

Tak, wciąż się obawiała. Nie, właściwie to nie była obawa. Przez czternaście lat wielokrotnie wysłuchiwała rozmów telefonicznych owiązanych z jego pracą i była świadkiem tego, jak omawiał z kolegami różne sprawy, czasem w pokoju na dole, czasem siedząc na patio. Ledwie ją zauważali, kiedy przynosiła im ciepłe zakąski do kawy albo kolejne butelki

piwa. Niemal zawsze Norman kierował dyskusją, mówił szybko i niecierpliwie, pochylał się nad stołem z butelką piwa na pół ukrytą w potężnej pięści, poganiając innych, tłumiąc ich wątpliwości, nie przyjmując do wiadomości ich opinii. Sporadycznie omawiał swoje sprawy nawet z nią. Oczywiście nie interesowały go jej poglądy; była tylko cierpliwym audytorium, przed którym mógł roztaczać swoje. Był niecierpliwym, zawsze chciał wiedzieć od razu i zazwyczaj tracił zainteresowanie sprawami trwającymi dłużej niż trzy tygodnie. Nazywał je tak, jak Gert swoje chwytły: resztkami.

Czy ona była teraz dla niego taką resztką?

Jak bardzo chciała w to uwierzyć. Jak mocno próbowała. A mimo wszystko... nie mogła.

— Nie wiem — odparła. — Właściwie uważam, że gdyby miał się pojawić, już by tu był. Czasem myślę, że ciągle mnie szuka. A on nie jest kierowcą ciężarówki ani hydraulikiem. To gliniarz. Wie, jak szukać ludzi.

Anna kiwnęła głową.

— Tak, rozumiem. To czyni go szczególnie niebezpiecznym. Musisz być bardzo ostrożna. Ważne jest także, byś pamiętała, że nie jesteś sama. Te dni bezpowrotnie minęły, Rosie. Nie zapomnisz o tym?

— Nie, nie zapomnę.

— Na pewno?

— Tak.

— A jeśli on się zjawi, co zrobisz?

— Zatrzasnę mu drzwi przed nosem i zamknę na klucz.

— A potem?

— Zadzwonię pod dziewięćset jedenaście.

— Bez wahania?

— Najmniejszego — odrzekła zdecydowanie i to była prawda, ale będzie przestraszona. Dlaczego? Ponieważ Norman to gliniarz i oni też będą gliniarzami, ci, do których zadzwoni. Ponieważ wiedziała, że Norman umie postawić na swoim, jest perfekcjonistą. I dlatego, że pamiętała słowa, które wciąż powtarzał: „wszyscy policjanci są braćmi”.

— A kiedy już zadzwonisz pod dziewięćset jedenaście, to co zrobisz wtedy?

— Zatelefonuję do ciebie.

Anna skinęła głową.

— Wszystko będzie dobrze. Naprawdę dobrze.

— Wiem.

Mówiła z przekonaniem, lecz w duchu w dalszym ciągu się zastanawiała... Zawsze będę się zastanawiać — pomyślała — póki on nie pokaże się i ta kwestia przestanie być czysto teoretyczna. A jeśli to nastąpi, czy wszystko, co składało się na jej życie przez ostatnie półtora miesiąca — Córki i Siostry, hotel Whitestone, Anna, nowe przyjaciółki — rozwieje się jak sen po przebudzeniu, gdy pewnego wieczoru otworzy drzwi i zobaczy w nich Normana? Czy to możliwe?

Rosie spojrzała na obraz oparty o ścianę obok drzwi biura i nagle zrozumiała, że nie. Obraz był odwrócony, tak że widać było jedynie spód, lecz według niej mogła dostrzec wszystko; postać kobiety na wzgórzu, przecinane błyskawicami niebo i ruiny świątyni wyryły się w jej pamięci z krystaliczną czystością, w najmniejszym stopniu niepodobną do snu. Nie sądziła, aby cokolwiek mogło zmienić jej obraz w sen.

A przy odrobinie szczęścia być może jej pytania pozostaną na zawsze bez odpowiedzi — pomyślała i uśmiechnęła się lekko.

— Co z czyszem, Anno? Ile?

— Trzysta dwadzieścia dolarów miesięcznie. Czy wystarczy ci co najmniej na dwa miesiące?

— Tak. — Anna, rzecz jasna, wiedziała o tym; gdyby Rosie nie była w stanie zapewnić

sobie spokojnego startu, nie rozmawiałyby teraz. — Cena wydaje się rozsądna. Jeśli chodzi o czynsz, to na razie dam sobie radę.

— Dasz sobie radę — powtórzyła Anna. Splotła dłonie pod brodą i uważnie spojrzała na Rosie zza zaśmieconego biurka. — To przypomina mi sprawę twojej nowej pracy. Wydaje się wprost cudowna, a jednocześnie...

— Niekonkretna? Niestala?

Takie określenia przysły jej do głowy w drodze do domu... a poza tym, mimo entuzjazmu Robbiego Leffertsza, nie wiedziała, czy naprawdę może wykonywać tę pracę, i nie dowie się tego aż do następnego wtorku.

Anna kiwnęła głową.

— Nie są to słowa, jakich użyłabym, nawet nie wiem, jak bym to ujęła, ale mogą być. Chodzi o to, że jeśli opuścisz Whitestone, nie mogę zagwarantować, że zdołam umieścić cię tam z powrotem, szczególnie poza kolejką. Jak dobrze wiesz, u nas są zawsze nowe dziewczęta, które mają absolutne pierwszeństwo.

— Oczywiście. Rozumiem to.

— Zrobię, co będę mogła, rzecz jasna, ale...

— Jeśli praca zaproponowana mi przez pana Leffertsza nie wypali, poszukam posady kelnerki — rzekła spokojnie Rosie. — Mój krzyż jest już w znacznie lepszym stanie i myślę, że sobie poradzę. Dzięki Dawn w razie potrzeby mogę liczyć na nocną zmianę w Seven-Eleven lub Piggly-Wiggly.

Dawn to Dawn Verecker, prowadząca podstawowe szkolenie obsługi kasy sklepowej, znajdującej się w jednym z pokoiów na tyłach. Rosie była jej pilną uczennicą.

Anna domyślnie spojrzała na Rosie.

— Mimo wszystko nie sądzisz, aby do tego doszło, prawda?

— Nie. — Znów skierowała wzrok na swój obraz. — Myślę, że uda mi się. A na razie tyle ci zawdzięczam...

— Wiesz, co masz z tym zrobić, prawda?

— Przekazać dalej.

— Zgadza się. Jeśli któregoś dnia zobaczysz na ulicy kogoś, kto będzie wyglądał jak ty w dawnych dniach, kobietę zagubioną i lękającą się własnego cienia, po prostu przekaz to dalej.

— Czy mogę zapytać cię o coś, Anno?

— O co tylko chcesz.

— Mówiłaś mi, że twoi rodzice założyli Córki i Siostry. Dlaczego to zrobili? I dlaczego ty je prowadzisz? Albo dlaczego przekazujesz tę sprawę dalej, jeśli wolisz takie określenie.

Anna otworzyła jedną z szuflad biurka, pogrzebała w niej i wyjęła grubą książkę w miękkich okładkach. Pchnęła ją po blacie do Rosie, która wzięła ją do ręki, spojrzała na okładkę i wszystko powróciło do niej nagle, jak w gwałtownym rozbłysku wspomnień, jakie często nawiedzają weteranów wojennych. W tej chwili nie tylko przypomniała sobie wilgoć na wewnętrznej stronie ud i wrażenie lekkich, złowrogich pocałunków, lecz poczuła się, jakby ponownie to przeżywała. Widziała cień Normana stojącego w kuchni i rozmawiającego przez telefon. Widziała cień jego palców niezmiernie rozciągających sznur telefonu. Słyszała, jak mówi osobie po drugiej stronie, że oczywiście to nagły wypadek, jego żona jest w ciąży. A potem zobaczyła go, jak wrócił do pokoju i zaczął zbierać kawałki książki, którą wyrwał jej z rąk, zanim zaczął ją bić. Na okładce książki, którą podsunęła jej Anna, widniała ta sama rudowłosa piękność. Tym razem kobieta była w sukni balowej i w objęciach przystojnego Cygana, który miał błyszczące oczy i — najwyraźniej — nosił pończochy oraz bryczesy. „Na tym polega problem — powiedział Norman. — Ile razy ci mówiłem, co myślę o takich duperelach?”

— Rose? — to głos Anny, zatroskany. A także bardzo daleki, niczym głosy, jakie czasem słyszymy we śnie. — Rose, nic ci nie jest?

Oderwała wzrok od książki (*Kochanek Misery*, głosił tytuł na takim samym czerwonym tle, a poniżej: *Najbardziej porywająca powieść Paula Sheldona!*) i zmusiła się do uśmiechu.

— Tak, wszystko w porządku. To wygląda na ostre dzieło.

— Kiepskie romansidła to jeden z moich skrywanych nałogów — przyznała się Anna. — Bezpieczniejsze od czekoladek, ponieważ nie tuczą, a mężczyźni w nich są lepsi od rzeczywistych, gdyż nie dzwonią do ciebie o czwartej rano, pijani i skamlący o jeszcze jedną szansę. Ale to śmieci, a wiesz dlaczego?

Rosie potrząsnęła głową.

— Ponieważ cały świat jest w nich dokładnie wyjaśniony. Wszystko ma swoją przyczynę. Może ona być tak naciągana jak historyjki w broszurach reklamowych i może kłócić się ze wszystkim, co ćwierćinteligentny czytelnik wie o postępowaniu ludzi w realnym życiu, ale jest podana, na Boga! W książce takiej jak *Kochanek Misery* Anna Stevenson niewątpliwie prowadziaby Córkę i Siostry dlatego, że sama była maltretowaną kobietą... albo była nią jej matka. Tymczasem ja nigdy nie byłam maltretowana i, o ile wiem, moja matka też nie. Mój mąż często mnie ignorował, a jeśli nie powiedziała ci o tym Pam czy Gert, to jesteśmy rozwiedzeni od prawie dwudziestu lat, lecz nigdy mnie nie bił. W życiu, Rosie, ludzie często robią różne rzeczy, dobre i złe, po prostu dlatego, że mają taką ochotę. Wierzysz mi?

Rosie powoli pokiwała głową. Myślała o wszystkich tych sytuacjach, kiedy Norman bił ją, ranił, doprowadzał do płaczu... a potem, któregoś wieczoru, bez żadnego powodu potrafił przynieść jej pół tuzina róż i zabrać ją na kolację. Kiedy pytała dlaczego, co to za okazja, zazwyczaj wzruszał ramionami i mówił, że miał ochotę ją zaprosić. Innymi słowy — dlatego. Mamusiu, dlaczego muszę iść do łóżka o ósmej, chociaż jest lato i jasno na dworze? Dlatego. Tatusiu, dlaczego dziadek musiał umrzeć? Dlatego. Norman niewątpliwie sądził, że te sporadyczne kolacje i szalone wieczory mają ogromne znaczenie, wynagradzają jej to, co pewnie uważał za swój „porywczy charakter”. Nigdy nie domyślał się (i nie zrozumiałby, gdyby nawet mu powiedziała), że one przerażały ją bardziej niż gniew i napady szału. Z tymi ostatnimi przynajmniej wiedziała, jak sobie radzić.

— Nienawidzę stwierdzenia, że wszystko, co robimy, wynika z tego, co zrobili nam inni ludzie — powiedziała ponuro Anna. — To nas ubezwłasnowolnia, ponadto nie tłumaczy istnienia świętych i diabłów, jakich czasem dostrzegamy obok siebie, a co najważniejsze, takie wyjaśnienie do mnie nie przemawia. Za to brzmi dobrze w takich książkach, jak ta, Paula Sheldona, jest pocieszające. Uwierzcie przynajmniej przez chwilę, że Bóg jest przy zdrowych zmysłach i nic złego nie przytrafi się waszym ulubionym bohaterom powieści. Możesz mi oddać moją książkę? Mam zamiar dokończyć ją wieczorem. Przy kilku filiżankach gorącej herbaty. Przy kilku galonach herbaty.

Rosie uśmiechnęła się, a Anna odwzajemniła uśmiech.

— Przyjdiesz na piknik, prawda, Rosie? Odbędzie się na Ettinger's Pier. Przyda nam się każda para rąk do pomocy. Jak zawsze.

— Och, możesz być tego pewna — obiecała Rosie. — Chyba że pan Lefferts uzna mnie za cudowne dziecko i każe pracować nawet w soboty.

— Wątpię.

Anna wstała i wyszła zza biurka; Rosie również się podniosła. I teraz, kiedy ich rozmowa niemal dobiegła końca, przypomniała sobie o najważniejszej sprawie.

— Kiedy mogę się wprowadzić, Anno?

— Jutro, jeśli chcesz.

Anna schyliła się i podniosła obraz. W zadumie spojrzała na słowa skreślone węglem na odwrocie, a potem obróciła go.

— Powiedziałaś, że jest dziwny, Anno. Dlaczego? Anna postukała paznokciem w szkło.

— Ponieważ ta kobieta jest centralnym punktem obrazu, a jednak jest odwrócona plecami. To wydaje się szczególnym ujęciem jak na obraz tego typu, skądinąd zupełnie

konwencjonalny. — Zerknęła na Rosie i mówiła dalej nieco przeproszającym tonem: — Nawiasem mówiąc, budowla u stóp wzgórza ma zniekształcone proporcje.

— Tak. Człowiek, który sprzedał mi ten obraz, wspominał o tym. Pan Lefferts stwierdził, że prawdopodobnie zrobiono to celowo. Inaczej zniknęłyby niektóre szczegóły.

— Chyba miał rację. — Anna wpatrywała się jeszcze przez chwilę. — Ma w sobie coś, prawda? Jakieś brzemienne znaczenie.

— Nie rozumiem, co masz na myśli. Anna roześmiała się.

— Ja też nie... tyle że jest w nim coś, co przypomina mi te romansidła. Silni mężczyźni, namiętne kobiety, powódź hormonów. Brzemienne znaczenie to jedyne określenie, jakie przychodzi mi do głowy i w miarę dokładnie oddaje sens tego, o czym myślę. Cisza przed burzą. Pewnie z powodu nieba.

Ponownie obróciła obraz i obejrzała słowa wypisane węglem na odwrocie.

— Czy to zwróciło twoją uwagę? Twoje imię?

— Nie — odparła Rosie. — Zanim zobaczyłam na spodzie napis *Rose Madder*, wiedziałam już, że chcę mieć ten obraz. — Uśmiechnęła się. — Sądzę, że to tylko zbieg okoliczności, z rodzaju tych nie zdarzających się w romansidłach, jakie lubisz czytać.

— Rozumiem.

Mimo to Anna nie wydawała się w pełni przekonana. Przesunęła kciukiem po literach napisu. Rozmazały się.

— Tak — powiedziała Rosie. Nagle, bez żadnego powodu, poczuła niepokój. Miała wrażenie, że gdzieś, w innej strefie czasowej, gdzie już zapadał wieczór, jakiś człowiek myślał teraz o niej. — W końcu Rose to dość popularne imię, nie tak jak Evangeline czy Petronella.

— Pewnie masz rację — Anna oddała jej obraz. — A mimo to zabawna sprawa z tym napisem skreślonym węglem.

— Zabawna?

— Węgiel tak łatwo się rozmazuje. Jeżeli nie jest przykryty szkłem, a słowa na odwrocie twojego obrazu nie były pod szkłem, w krótkim czasie napis zmienia się w czarną smugę. Tytuł *Rose Madder* musiał zostać skreślony całkiem niedawno. Tylko dlaczego? Sam obraz nie wygląda na nowy, musi mieć co najmniej czterdzieści lat, a równie dobrze może liczyć sobie osiemdziesiąt czy sto. I jeszcze jedna rzecz mnie dziwi.

— Co?

— Brak podpisu artysty — odrzekła Anna.

IV PŁASZCZKA

1

Norman opuścił rodzinne miasto w niedzielę, dzień przedtem nim Rosie miała zacząć nową pracę... pracę, co do której nie była jeszcze pewna, czy jej podoła. Wyjechał o jedenastej pięć autobusem Continental Express. Nie była to kwestia kosztów, ale kwestia — bardzo istotna — wejścia w położenie Rose. Norman w dalszym ciągu nie chciał przyznać się do tego, jak bardzo wstrząsnęła nim jej niespodziewana ucieczka. Próbował wmawiać sobie, że jest wściekły z powodu karty kredytowej — tylko z tego i żadnego innego — lecz w głębi duszy wiedział, że to nieprawda.

Chodziło o to, że niczego nie zauważył. Nie dostrzegł żadnego ostrzeżenia.

Przez długie lata ich małżeństwa poznał wszystkie jej myśli i większość snów. Świadomość, że to uległo zmianie, doprowadzała go do szaleństwa. Najbardziej obawiał się tego, że planowała swoją ucieczkę tygodniami, miesiącami, a może nawet przez rok. Gdyby znał prawdę o tym, jak i dlaczego odeszła (innymi słowy, gdyby wiedział o tej jednej kropli krwi), może poczułby się lepiej. A może byłby jeszcze bardziej niespokojny niż kiedykolwiek.

W każdym razie zrozumiał, że pierwsza reakcja: zdjąć kapelusz męża, a włożyć kapelusz detektywa, była kiepskim pomysłem. Pod wpływem rozmowy telefonicznej z Olivierem Robbinsem udało mu się pojąć, że powinien od razu włożyć jej kapelusz. Powinien myśleć tak, jak ona, a podróż autobusem, którym jechała, była pierwszym krokiem w tym kierunku.

Z neseserem w ręce wszedł po stopniach i stanął przy fotelu kierowcy, spoglądając na przejście.

— Chcesz tu zapuścić korzenie, koleś? — spytał idący za nim mężczyzna.

— Chcesz przekonać się, jak boli złamany nos? — odciął się Norman bez wahania. Facet za nim nie znalazł na to odpowiedzi.

Jeszcze przez chwilę zastanawiał się nad miejscem, które (ona) wybierze, a potem ruszył tam przejściem. Ona nie poszła aż na koniec autobusu; jego grymaśna Rose nie wybrałaby fotela w pobliżu toalety, chyba że wszystkie pozostałe byłyby zajęte, lecz dobry przyjaciel Normana, Olivier Robbins (od którego kupił bilet, tak samo jak ona), zapewnił go, że ten o jedenastej pięć rzadko kiedy był przepelniony. Nie chciałyby też siedzieć na kołach (zbyt trzęsie) ani na samym przodzie (zbyt rzucałaby się w oczy). Nie, wybrała miejsce w połowie kabiny i po lewej stronie, ponieważ była leworęczna, a ludzie, którym wydaje się, że przypadkowo wybierają kierunek marszu, bardzo często podążają w kierunku swojej dominującej ręki.

W ciągu wielu lat pracy w policji Norman zaczął wierzyć, że telepatia jest zupełnie możliwa, chociaż bardzo trudna... a nawet niemożliwa, jeśli włożyło się zły kapelusz. Trzeba znaleźć drogę do umysłu ściganej osoby, jak jakieś maleńkie ryjące zwierzątko, i nasłuchiwać czegoś, co jest zaledwie falą myślową, a ściśle mówiąc, nie jest myślą, lecz sposobem myślenia. A kiedy w końcu się to ma, można pójść na skróty, można przeciąć kręte szlaki myśli ofiary i pewnej nocy, kiedy najmniej się tego spodziewa, zaskoczyć ją, wychodząc zza drzwi... albo leżąc pod łóżkiem z nożem w ręku, by dźgnąć nim przez materac w chwili, gdy zaskrzypią sprężyny i biedny frajer (w tym wypadku frajerka) położy się spać.

— Kiedy najmniej się tego spodziewa — mruknął Norman, siadając na fotelu i mając nadzieję, że to było jej miejsce. Spodobało mu się to zdanie, więc powtórzył je, gdy autobus wycofał się ze stanowiska, gotowy ruszyć na zachód. — Kiedy najmniej się tego spodziewa.

To była długa podróż, ale dość przyjemna. Dwukrotnie wysiadał na postojach, by skorzystać z toalety, chociaż wcale nie musiał. Wiedział jednak, że ona musiała, a na pewno nie skorzystała z toalety w autobusie. Rose była wybredna, ale Rose miała też słabe nerki. Zapewne genetyczny prezencik od jej świętej pamięci mamusi. Mamusia zawsze wyglądała Normanowi na sukę, która nie może przejść obok kępy bżów, żeby ich nie podlać.

Na drugim postoju zobaczył pół tuzina ludzi zebranych wokół popielniczki przy rogu budynku. Przez chwilę patrzył tęsknie w tym kierunku, a potem minął ich i wszedł do środka. Umierał z braku dymka, ale Rose nie paliła; nigdy nie wpadła w ten nałóg. Zamiast tego przystanął i pomacał puszyste wypchane zabawki, gdyż Rose lubiła takie duperele, a potem na stoisku obok wejścia kupił kryminał, bo ona czasem czytała takie gówny. Milion razy mówił jej, że prawdziwa praca policjanta nie ma nic wspólnego z duperełami w tych książkach, a ona zawsze mu przytakiwała — skoro tak mówi, to na pewno prawda — ale mimo to czytała je. Wcale nie byłby zdziwiony, gdyby okazało się, iż Rose obracała ten sam stojak, z którego on wyjął książkę... a potem niechętnie odłożyła, nie chcąc wydawać pięciu dolarów na trzy godziny rozrywki, skoro miała tak mało pieniędzy i tak wiele pytań bez odpowiedzi.

Zjadł sałatkę, zmuszając się przy tym do czytania książki, a potem wrócił na swoje miejsce w autobusie. Gdy autobus ruszył, Norman wciąż siedział z kryminałem na kolanach patrząc, jak pola rozpościerają się dalej i dalej, w miarę jak wschód rozluźniał swój uścisk. Cofnął zegarek, gdy kierowca oznajmił, że czas to zrobić, nie dlatego że przejmował się jakimiś pieprzonymi strefami czasowymi (przez następne trzydzieści dni był panem swego czasu), ale dlatego, że tak zrobiłaby Rose. Podniósł książkę, poczytał o wikarym znajdującym trupa w ogrodzie, po czym odłożył ją, znudzony, lecz tylko pozornie. W głębi duszy wcale nie był znudzony. W głębi duszy czuł się jak Złotowłosa z tej starej bajki dla dzieci. Siedział w fotelu Niedźwiadka, na kolanach miał książkę Niedźwiadka i miał zamiar znaleźć mały domek Niedźwiadka. Niedługo, jak wszystko dobrze pójdzie, będzie leżał pod łóżeczkiem Niedźwiadka.

— Kiedy najmniej się tego spodziewa — powiedział. — Kiedy najmniej się tego spodziewa.

Wysiadł z autobusu wczesnym rankiem następnego dnia i stanął tuż przy wejściu na stanowisko, spoglądając na dudniący echami terminal o wysokim sklepieniu, usiłując nie patrzeć okiem policjanta na alfonsów i dziwki, pedałów i żebraków, próbując zobaczyć ich tak, jak ona musiała ich widzieć, wysiadłszy z tego samego autobusu o tej samej godzinie, w porze, kiedy ludzka natura zawsze pokazuje swoją najgorszą stronę.

Stał tam pozwalając, aby wypełnił go ten dudniący echem świat — jego wygląd, zapach, smak i dotyk.

Kim jestem? — pytał.

Rose Daniels.

Jak się czuję?

Mała. Zagubiona. I przerażona. Tak, właśnie tak.

Jestem krańcowo przerażona.

Przez moment owładnęła nim okropna myśl: a co będzie, jeśli pod wpływem strachu i paniki Rose zwróciła się do niewłaściwej osoby? To było całkiem możliwe: dla niektórych przestępców takie miejsca jak to były terenem łowieckim. A jeśli ta niewłaściwa osoba zaprowadziła ją w ciemny zaułek, a potem obrabowała i zamordowała? Nie mógł wmawiać sobie, że to niemożliwe — był policjantem i wiedział, że tak nie jest. Na przykład, jeśli jakiś ćpun zobaczył ten jej głupi pierścienek z automatu...

Zrobił kilka głębokich wdechów, usiłując coś zmienić w tej części swego umysłu, która próbowała być Rose. Co innego mógł zrobić? Jeśli została zamordowana, to trudno. Nic nie mógł na to poradzić, więc lepiej się nad tym nie zastanawiać... a poza tym nie mógł znieść

myśli, że mogłaby wymknąć mu się w taki sposób, że jakiś naćpany palant mógł wziąć to, co należało do Normana Daniela.

Nieważne — powiedział sobie. — Nieważne, rób to, co powinienes. A teraz trzeba chodzić jak Rosie, mówić jak Rosie, myśleć jak Rosie.

Powoli przeszedł przez dworzec, trzymając w jednej ręce portfel (to był substytut torebki), patrząc na przepływające obok fale ludzi wlokących walizki, taszczących na ramionach owiązane sznurkiem kartony, obejmujących ramiona przyjaciółek lub talie przyjaciół. Widział, jak jakiś mężczyzna podbiegł do kobiety i chłopca, którzy właśnie wysiedli z autobusu Normana. Mężczyzna pocałował kobietę, a potem złapał chłopca i podrzucił go wysoko nad głowę. Chłopczyk pisnął z przestachu i zachwytu.

Boję się, wszystko jest nowe, wszystko jest inne i śmiertelnie się boję — mówił sobie Norman. — Czy jest tu coś pewnego? Coś, czemu mogłabym zaufać? Cokolwiek?

Przeszedł po szerokiej wykafelkowanej podłodze, wolno, wolno, słuchając echa własnych kroków i usiłując patrzeć na wszystko oczami Rose, próbując czuć wszystko jej skórą. Zerknął na szklistookie dzieciaki (u niektórych to tylko zmęczenie o trzeciej rano, u innych skutek prochów) we wnęce z monitorami, a potem wrócił do głównej hali. Ona patrzy na rząd automatów telefonicznych, ale do kogo miałaby zatelefonować? Nie ma przyjaciół, nie ma rodziny, żadnej opatrnościowej ciotki w teksaskim worku czy w górach Tennessee. Wygląda przez drzwi na ulicę, może zamierzając wyjść, znaleźć pokój na noc, drzwi, którymi mogłaby odgrodzić się od wielkiego, niepokojącego, obojętnego, niebezpiecznego świata — dzięki jego karcie kredytowej ma dość pieniędzy, żeby zapłacić za pokój, ale czy to zrobi?

Norman przystanął u podnóża ruchomych schodów, marszcząc brwi i inaczej formułując pytanie: Czy ja to zrobię?

Nie — zdecydował, wczuwając się w rolę Rose — nie zrobię. Po pierwsze, nie chcę zameldować się w motelu o trzeciej trzydziści i zostać wykopana w południe: nie mam za dużo pieniędzy. Jeżeli będę zmuszona, mogę jeszcze przez jakiś czas pozostać na nogach. Lecz jeszcze coś zatrzymuje mnie tutaj: jestem w obcym mieście, a do świtu zostało co najmniej dwie godziny. Widziałam wiele filmów sensacyjnych w TV, czytałam wiele kryminałów i mam męża gliniarza. Wiem, co może przytrafić się kobiecie, która błąka się sama po zmroku, więc chyba zaczekam na wschód słońca.

A zatem co robię? Jak spędzam ten czas?

Brzuch burczeniem odpowiedział za niego na to pytanie.

Tak, muszę coś zjeść. Ostatni postój był o szóstej wieczorem i jestem głodna.

Niedaleko kas biletowych dostrzegł kafejkę i poszedł tam, przestępując przez włóczęgów i opanowując chęć skopania kilku paskudnych, zawszonych łbów, tak żeby odbiły się od stalowych nóg najbliższych foteli. Ostatnio coraz częściej musiał powstrzymywać takie odruchy. Nienawidził bezdomnych, byli dla niego chodzącymi kupami psiego łajna. Nienawidził ich skamlących wymówek i nieudolnego udawania szaleństwa. Kiedy jeden z nich w półśnie uniósł się i zapytał, czy nie ma drobnych na zbyciu, Norman ledwie zdołał pohamować chęć złapania włóczęgi za ramię i strzelenia go w pysk. Zamiast tego rzekł łagodnym głosem: Proszę dać mi spokój — ponieważ ona powiedziałyby tak i właśnie w taki sposób.

Już chciał wziąć jajecznicę na boczku z samoobsługowego stoiska, kiedy przypomniał sobie, że ona nie jadła tego, chyba że nalegał, co czasem robił (nie obchodziło go, co jadła, ale to, żeby nie zapomniała, kto tu rządzi, było ważne, bardzo ważne). Zamiast tego zamówił zimną owsiankę oraz kubek paskudnej kawy i połówkę grejpfruta, który wyglądał tak, jakby przywieziono go na *Mayflowerze*. Po jedzeniu poczuł się lepiej, bardziej rozbudzony. Kiedy skończył, odruchowo sięgnął po papierosa, dotknął paczki w kieszonce koszuli, a potem opuścił rękę. Rose nie paliła, tak więc nie czułaby ssania, jakie teraz go dręczyło. Medytował nad tym przez chwilę czy dwie i ssanie ustąpiło — wiedział, że tak będzie.

Pierwszą rzeczą, jaką ujrzał po wyjściu z kafejki, kiedy stanął, wpychając koszulę do spodni tą ręką, w której nie trzymał portfela, był wielki niebiesko-biały krąg neonu z bieżącym na obwodzie napisem POMOC PODRÓŻNYM.

W głowie Normana rozbłysło jasne światelko.

Czy idę tam? Czy podchodzę do tej budki pod wielkim, ładnym neonem? Sprawdzam, czy jest tam coś dla mnie?

Oczywiście, bo cóż mi pozostaje?

Podszedł tam, ale ostrożnie; najpierw przeszedł koło budki, a potem zawrócił, żeby dobrze obejrzeć siedzącego wewnątrz człowieka. Był to Żyd o cienkiej szyi, wyglądający na pięćdziesiąt lat i na równie niebezpiecznego jak przyjaciel Bamiego — Thumper. Czytał gazetę, w której Norman rozpoznał „Prawdę”, i co jakiś czas podnosił głowę, obrzucając terminal obojętnym, nie widzącym spojrzeniem. Gdyby Norman w dalszym ciągu udawał Rose, Thumper na pewno zauważyłby go, ale Norman znów stał się Normanem, detektywem inspektorem Danielsem na tropie, a to oznaczało, że wtopił się w tłum. Przechadzał się tam i z powrotem za budką (pozostawanie w ciągłym ruchu było niezwykle ważne; w takich miejscach prawdopodobieństwo zauważenia było niewielkie, chyba że stało się w jednym miejscu), trzymając się poza polem widzenia Thumpera, ale w zasięgu jego głosu.

Mniej więcej piętnaście po czwartej do budki podeszła jakaś zapłakana kobieta. Powiedziała Thumperowi, że jechała greyhoundem z Nowego Jorku i kiedy spała, ktoś ukradł jej portfel z torebki. Nastąpiło długie ple-ple-ple, kobieta zużyła kilka chusteczek higienicznych Thumpera, który w końcu znalazł jej hotel, gdzie przyjmą ją na kilka nocy, do czasu aż mąż przyśle jej trochę pieniędzy.

Gdybym był twoim mężem, *lady*, sam przywiózłbym ci pieniądze — myślał Norman, krążąc wahadłowym ruchem za budką. — I dałbym ci porządnego kopa w dupę, za głupotę.

W trakcie rozmowy telefonicznej Thumper przedstawił się jako Peter Słowik. To wystarczyło Normanowi. Gdy Żyd znów zaczął rozmawiać z kobietą, udzielając jej wskazówek, jak dotrzeć do hotelu, Norman przestał spacerować za budką i podszedł do automatów telefonicznych, gdzie znalazł dwie książki telefoniczne, które jeszcze nie zostały spalone, podarte na strzępy czy skradzione. Potrzebną mu informację mógł zdobyć później, telefonując na swój posterunek policji, ale wolał tego nie robić. Zależnie od tego, jak pójdzie mu z czytującym „Prawdę” Żydem, telefonowanie mogło okazać się niebezpieczne; takie rzeczy czasem potrafią się mścić. Ponadto okazało się to niepotrzebne. W książce było zaledwie trzech Słowików i jakiś Slowick, i tylko jeden z nich miał na imię Peter.

Daniels zapisał adres Thumpersteina, opuścił dworzec i poszedł na postój taksówek. Facet w pierwszej był biały — na szczęście — i Norman zapytał go, czy w tym mieście został jeszcze jakiś hotel, w którym można dostać pokój za gotówkę i nie słuchać, jak karaluchy ścigają się po ścianach po zgaszeniu światła. Kierowca zastanowił się, a potem kiwnął głową.

— Whitestone. Dobry, tani, przyjmują gotówkę, nie zadają pytań.

Norman otworzył tylne drzwi taksówki i wsiadł.

— Jedźmy tam — powiedział.

2

Robbie Lefferts czekał w umówionym miejscu, tak jak obiecał, kiedy w poniedziałek rano Rosie weszła do Studia C Tape Engine za wspaniałą rudowłosą z długimi nogami modelki. Był dla niej równie miły jak wtedy na rogu ulicy, gdy namówił ją, żeby przeczytała mu na głos urywki z książek, które właśnie kupił. Rhoda Simons, czterdziestoletnia kobieta, która miała być reżyserem, także wydawała się miłą, ale... Reżyser! Co za dziwne słowo w połączeniu z Rose McClendon, która nie występowała nawet w szkolnych przedstawieniach.

Curtis Hamilton, inżynier dźwięku, również traktował ją uprzejmie, chociaż z początku był zbyt zajęty przy swojej konsoli, aby obdarzyć ją czymś więcej niż krótkim, roztargnionym uściskiem dłoni. Rosie dołączyła do Robbiego i pani Simons na filiżankę kawy „przed rozwinięciem żagli” (jak ujął to Robbie) i zdołała wypić swój napój, nie rozlewając ani kropli. A jednak kiedy przeszła przez podwójne drzwi do małej, przeszklonej kabiny nagrań, wpadła w taką potworną panikę, że niemal upuściła plik kserokopii, które Rhoda nazywała „ściąga”. Czuła się prawie tak samo jak wtedy, kiedy ujrzała czerwony samochód jadący w jej kierunku po Westmoreland Street i myślała, że to sentra Normana.

Zobaczyła, że patrzą na nią z drugiej strony szyby — teraz spoglądał nawet poważny Curtis Hamilton — a ich twarze były zniekształcone i rozmyte, jakby widziała je przez wodę, a nie szkło. W ten sposób złota rybka postrzega ludzi, którzy pochylają się nad akwarium — pomyślała i zaraz potem: — Nie potrafię. Jak, na Boga, mogłam sądzić, że potrafię?

Podsłuchiwała, słysząc głośny trzask.

— Pani McClendon? — To głos inżyniera dźwięku. — Czy może pani usiąść przed mikrofonem, bym zmierzył poziom?

Nie była pewna, czy może. Nie była pewna, czy zdoła ruszyć się z miejsca. Stała jak wryta, spoglądając na pomieszczenie, gdzie sterczał mikrofon niczym łeb jakiegoś groźnego, futurystycznego węża. Jeśli nawet zdoła tam podejść i usiąść, nie będzie w stanie wydobyć z siebie żadnego dźwięku, choćby jednego cichego piśnięcia.

W tym momencie Rosie ujrzała, jak wali się w gruzy wszystko, co budowała — szereg obrazów przemknął jej przed oczami z koszmarną szybkością starych slapstikowych filmów. Widziała, jak kończą się jej pieniądze i zostaje wyrzucona z tego miłego mieszkanka, do którego sprowadziła się przed czterema dniami; widziała, jak wszystkie lokatorki Córek i Siostr odwracają się od niej, nawet Anna.

Przecież nie mogę umieścić cię tam z powrotem, prawda? — usłyszała w myślach głos Anny. — Jak dobrze wiesz, w schronisku są zawsze nowe dziewczęta, które mają absolutne pierwszeństwo. Dlaczego byłaś taka głupia, Rosie? Skąd przyszło ci do głowy, że możesz być artystką, choćby występującą w tak skromnej roli? — Widziała też, jak odmawiają jej posady kelnerki w kawiarniach na przedmieściu, nie ze względu na jej wygląd, ale zapach — klęski, wstydu i straconych złudzeń.

— Rosie? — to Rob Lefferts. — Zechcesz usiąść, żeby Curt mógł zmierzyć głośność?

On nie wiedział, żaden z mężczyzn nie wiedział, ale Rhoda Simons tak... a przynajmniej podejrzewała. Wzięła do ręki ołówek, który sterczał jej za uchem, i kreśliła coś w notatniku. Nie patrzyła jednak na to, co rysuje, lecz ściągając brwi, wpatrywała się w Rosie.

Nagle, jak tonąca, która rozpaczliwie usiłuje chwycić się jakichś pływających szczątków, by jeszcze chwilę utrzymać się na wodzie, Rosie stwierdziła, że myśli o swoim obrazie. Powiesiła go dokładnie tam, gdzie sugerowała Anna — naprzeciw okna w pokoju — nawet tkwił tam w ścianie gwóźdź, pozostawiony przez poprzedniego lokatora. To było idealne miejsce, szczególnie wieczorem: można było przez jakiś czas wyglądać za okno, na słońce zachodzące za ciemnozieloną gęstwiną Bryant Parku, potem znów na obraz i znowu na park. Te dwa widoki wydawały się idealnie współgrać — okno i obraz, obraz i okno. Nie wiedziała dlaczego, ale tak było. Jeśli stracę ten pokój — przyszło jej do głowy — obraz trzeba będzie...

Nie, on powinien tam zostać — pomyślała. — On musi tam zostać!

I to w końcu zmobilizowało ją do działania. Powoli podeszła do stołu, położyła przed sobą ściągę (powiększone odbitki stron powieści opublikowanej w 1951 roku) i usiadła. Tylko że miała raczej ochotę upaść, jakby ktoś unieruchomił jej kolana zatyczkami, a teraz je wyrwał.

Przecież potrafisz to zrobić, Rosie — zapewniał ją ten głos z głębi jaźni, ale brzmiał trochę fałszywie. — Zrobiłaś to na rogu ulicy przed lombardem i możesz to zrobić tutaj.

Nie zdziwiła się zbytnio tym, iż nie była przekonana. Natomiast zdumiała ją następna

myśl: Kobieta na obrazie by się nie bała, ta kobieta w jasnoróżowym chitonie wcale nie obawiała się tej próby.

Oczywiście ten pomysł był śmieszny; gdyby kobieta na obrazie naprawdę istniała, to żyłaby w starożytnym świecie, kiedy uważano, że komety zwiastują nieszczęście, bogowie zamieszkują na szczytach gór, a większość ludzi żyła i umierała i nigdy nie widziała książki. Gdyby kobietę z tamtych czasów przenieść do takiego pomieszczenia, do pokoju o szklanych ścianach, zimnych światłach, z głową stalowego węża sterczącą z jedyne go stołu, rzuciłaby się z wrzaskiem do drzwi albo padłaby zemdlona.

Tyle że Rosie miała wrażenie, że ta jasnowłosa w jasnoczerwonym chitonie nigdy w życiu nie zemdlła i trzeba by znacznie więcej niż studia nagrań, żeby wrzasnęła ze strachu.

Myślisz o niej, jakby istniała naprawdę — odezwał się znów ten głos z głębi. Brzmiał trochę nerwowo. — Jesteś pewna, że mądrze robisz?

Jeśli to mi pomoże, to tak — odpowiedziała w myślach.

— Rosie? — w głośnikach rozległ się głos Rhody Simons. — Dobrze się czujesz?

— Tak — powiedziała i poczuła ulgę stwierdzając, że może mówić, chociaż trochę ochryple. — Zaszło mi w gardle, to wszystko. I okropnie się boję.

— Pod stołem, z lewej strony, jest pudło z wodą mineralną i sokami owocowymi — oznajmiła Rhoda. — A co do strachu, to zupełnie normalne. Przejdzie.

— Powiedz coś jeszcze, Rosie — zachęcił Curtis. Miał teraz na głowie słuchawki i manipulował pokrętłami konsoli.

Strach rzeczywiście ustępował dzięki kobiecie w jasnoróżowej szacie. Myśl o niej była nawet lepszym środkiem uspokajającym niż bujanie się w Fotelu Puchatka.

Nie, to nie jej zasługa — powiedział znowu ten głęboki głos. — Udało ci się, dziewczyno, przynajmniej na razie, lecz to wyłącznie twoja zasługa. I sprawisz mi przyjemność, bez względu na to, jak skończy się ta sprawa, dobrze? Spróbuj zapamiętać, kim jest ta Rosie, a kim jest Rosie Real.

— Mów cokolwiek — zachęcał Curtis. — Obojętnie co. Przez chwilę była kompletnie zbита z tropu. Spuściła oczy i zobaczyła leżącą przed nią ściągę. Pierwsza kartka była reprodukcją okładki. Ukazywała skąpo odzianą kobietę, której groził potężny, nie ogolony zbir z nożem. Miał wąsy i chociaż wszystko działo się zbyt szybko, by zdołała skojarzyć („mała zrobim zara bara–bara, co ty na to”), owiał jej świadomość nieświeżym oddechem.

— Przeczytam fragment książki pod tytułem *Płaszczka* — powiedziała, mając nadzieję, że mówi normalnym głosem. — Została wydana w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym roku przez niewielkie wydawnictwo Lion Books. Choć napis na okładce głosi, że autorem jest... Wystarczy?

— Zmierzyłem dla analogowego — rzekł Curtis, przesuwając nogami swój fotel na kółkach z jednego końca pulpitu na drugi. — Daj mi jeszcze coś dla cyfrówki. Masz dobry głos.

— Tak, cudowny — wtrąciła Rhoda i Rosie była pewna, że nie wyobraziła sobie ulgi w głosie pani reżyser.

Podniesiona na duchu, znów zaczęła mówić do mikrofonu.

— Napis na okładce głosi, że książka została napisana przez Richarda Racine’a, lecz pan Lefferts — Rob — twierdzi, że w rzeczywistości jej autorką jest Christina Bell. To część nowego cyklu audycji *Kobiety w przebraniu*, a ja dostałam tę pracę, ponieważ kobiecie, która miała czytać powieści Christiny Bell, zaproponowano udział w...

— Jestem gotowy — rzekł Curtis Hamilton.

— Mój Boże, ona brzmi tak jak Liz Taylor w *Butterfield 8* — stwierdziła Rhoda Simons i naprawdę zatarła ręce.

Robbie kiwnął głową. Uśmiechał się z wyraźnym zadowoleniem.

— Rhoda pomoże ci w razie potrzeby, ale jeśli przeczytasz to tak, jak czytałaś mi przed

lombardem *Mroczone przejście*, to wszyscy będziemy bardzo szczęśliwi.

Rosie schyliła się, o mało nie uderzając głową o kant stołu, po czym wyjęła z chłodziarki butelkę wody mineralnej. Kiedy odkręcała zakrętkę, zauważyła, że drżą jej ręce.

— Postaram się najlepiej, jak potrafię. Obiecuję.

— Wiem — odparł.

Pomyśl o kobiecie na wzgórzu — mówiła sobie Rosie. — Pomyśl, że stoi tam teraz, nie bojąc się niczego, co nadchodzi ku niej z jej strony świata lub zbliża się za jej plecami, od mojej strony. Ona nie jest uzbrojona, lecz nie boi się. Nie musisz oglądać jej twarzy, żeby to wiedzieć, świadczy o tym jej wyprostowana sylwetka. Ona jest...

— ...gotowa na wszystko — mruknęła Rosie i uśmiechnęła się.

Robbie pochylił się po drugiej stronie szyby.

— Słucham? — zapytał. — Nie dosłyszałem.

— Powiedziała, że jestem gotowa.

— Poziom w normie — rzekł Curtis i odwrócił się do Rhody, która położyła swoją kserokopię tekstu powieści obok notatnika. — Możemy zaczynać, pani profesor.

— W porządku, Rosie, pokaż im, jak to się robi — zachęciła ją Rhoda. — To *Płaszczka* Christiny Bell. Producent Audio Concepts, reżyseruje Rhoda Simons, a czyta Rose McClendon. Taśma w ruchu. Zaczynaj, jak powiem już... Już.

O Boże, nie mogę — pomyślała jeszcze raz Rosie, a potem udało jej się skoncentrować na jednym szczególe: złotej bransolecie, którą kobieta z obrazu nosiła na prawym ramieniu. Kiedy zobaczyła ją wyraźnie, ten nowy przyptyw paniki również zaczął ustępować.

Rozdział pierwszy.

Nella nie zdawała sobie sprawy z tego, że jest śledzona przez człowieka w podartym szarym płaszczu, do czasu gdy znalazła się w cieniu między kolejnymi latarniami i po jej lewej ręce rozwarł się wylot zaśmieconej uliczki — jak usta starca, który umarł, nie zdążywszy przełknąć posiłku. Wtedy jednak było już za późno. Za plecami usłyszała zbliżający się łomot podkutych butów na bruku i z ciemności wyłoniło się wielkie, brudne łapsko...

3

O siódmej piętnaście Rosie włożyła klucz do zamka swojego mieszkania na drugim piętrze domu przy Trenton Street. Była zmęczona i spocona — tego roku lato zawitało wcześniej — ale także bardzo szczęśliwa. Jedną ręką obejmowała torbę z zakupami. Wystawał z niej plik żółtych ulotek reklamujących „Piknik i koncert Córki i Sióstr”. Rosie poszła do schroniska, by opowiedzieć, jak minął jej pierwszy dzień pracy (wprost pękała z radości) i kiedy wychodziła, Robin St. James zapytała ją, czy nie zechciałaby zabrać trochę ulotek i spróbować rozlepić je w okolicznych supermarketach. Rosie, usiłując nie pokazać po sobie, jak cieszy ją to, że ma jakieś sąsiedztwo, zgodziła się wziąć tyle, ile zdoła unieść.

— Ratusz mi życie — powiedziała Robin. W tym roku ona kierowała sprzedażą biletów i nie ukrywała, że na razie nie idzie jej zbyt dobrze. — A gdyby ktoś cię pytał, Rosie, powiedz im, że nie ma tu żadnych nastolatek, które uciekły z domu, i że nie jesteśmy lesbijkami. Te historie mają największy wpływ na sprzedaż. Zrobisz tak?

— Pewnie — odparła Rosie wiedząc, że nie zrobi niczego podobnego. Nie wyobrażała sobie, żeby mogła wyjaśniać sklepikarzowi, którego nigdy przedtem nie widziała na oczy, kim są Córki i Siostry... i kim nie są.

Mogę jednak powiedzieć, że to miłe kobiety — pomyślała — włączając wentylator w rogu. Otworzyła lodówkę, by schować zakupy, i dodała głośno: — Nie, nie kobiety, lecz damy. Miłe damy.

Jasne, to chyba lepszy pomysł. Mężczyznom — szczególnie tym po czterdziestce — z

jakiegoś powodu bardziej się podobało to określenie niż słowo kobiety. To było głupie (a sposób, w jaki niektóre kobiety zżymały się i opluwały tę semantykę, był, według Rosie, jeszcze większą głupotą), lecz myśl o tym przywołała inne wspomnienie: to, co Norman mówił o prostytutkach, które czasem aresztował. Nigdy nie nazywał ich damami (tego słowa używał, mówiąc o żonach kolegów, na przykład: „Żona Billa Jessupa to prawdziwa dama”) ani nawet kobietami. Nazywał je panienkami. Panienki to i panienki tamto. Do tej pory nie uświadamiała sobie, jak nienawidziła tego paskudnego, przeciągłego słowa. Panienki. Dźwięk podobny do tego, jaki wydaje się, usiłując powstrzymać wymioty.

Zapomnij o nim, Rosie, nie ma go tu. I nigdy nie będzie.

Jak zwykle, ta myśl napełniła ją radością, zdumieniem i wdzięcznością. Mówiono jej — najczęściej podczas zajęć terapeutycznych — że ta euforia minie z czasem, ale nie mogła w to uwierzyć. Była sama. Uciekła potworowi. Stała się wolnym człowiekiem.

Rosie zamknęła drzwi lodówki, obróciła się i spojrzała na pokój. Był umeblowany po spartańsku i pozbawiony jakichkolwiek dekoracji oprócz obrazu, a jednak patrząc na swoje mieszkanko, miała ochotę skakać z radości. Były tu pomalowane na kremowo ściany, których Norman Daniels nigdy nie widział, był fotel, z którego Norman Daniels nigdy nie zepchnął jej za „wymądrzanie się”, był telewizor, przed którym Norman Daniels nigdy nie zasiadał, szydząc z wiadomości lub śmiejąc się z powtórek *All in Family* albo *Cheers*. A co najważniejsze, w żadnym z tych kątów nie siedziała, płacząc i przypominając sobie, że musi zwymiotować w fartuch, jeśli ją zemdli. A wszystko dlatego, że jego tu nie było. Jego tu nie będzie.

— Jestem wolna — mruknęła Rosie... i poczuła niepohamowaną radość.

Przeszła przez pokój i stanęła przed obrazem. Kobieta w chitonie zdawała się prawie płonąć w popołudniowym słońcu. I była kobietą — pomyślała Rosie. — Nie damą i niemal na pewno nie panienką. Stała tam, na wzgórzu, spoglądając bez lęku na zrujnowaną świątynię obalonych bogów...

Bogów? Przecież tam jest tylko jeden... prawda?

Nie, teraz spostrzegła, że było ich dwóch — ten patrzący na błyskawice ze swojego miejsca obok zwalonej kolumny i jeszcze jeden, trochę na prawo. Ten spoglądał w bok z wysokiej trawy. Widać było tylko biały łuk kamiennego czoła, jedno oko i małżowinę uszną; reszta pozostawała niewidoczna. Nie zauważyła go do tej pory, ale co z tego? Na tym obrazie zapewne było mnóstwo rzeczy, których jeszcze nie dostrzegła, mnóstwo drobnych szczegółów — tak jak na rysunkach z cyklu *Gdzie jest Waldo*, pełnych drobiazgów, początkowo niewidocznych, ale...

...ale to bzdura. Przecież ten obraz był bardzo prosty.

— No właśnie — szepnęła Rosie. — Był.

Złapała się na tym, że wspomina opowiedzianą przez Cynthię historię o obrazie na plebanii, gdzie dorastała... *De Soto spogląda na zachód*. O tym, jak Cynthia siedziała przed nim godzinami, oglądając go niczym telewizję, wpatrując się w rzekę płynącą w dal.

Udając, że śledzi jej bieg — pomyślała Rosie i otworzyła okno, mając nadzieję wpuścić do pokoju powiew świeżego powietrza. Z oddali dochodziły głosiki dzieci bawiących się na placu zabaw i krzyki większych chłopców grających w baseball.

— Udając — mruknęła. — Tak robią wszystkie dzieci. Sama to robiłam.

Podparła okno listewką, gdyż w przeciwnym razie przez chwilę pozostałoby otwarte, a potem zamknęłoby się z trzaskiem, i ponownie odwróciła się do obrazu. Nagle doznała dziwnego wrażenia, tak silnego, że graniczącego z pewnością. Fałdy i załamania jaskraworóżowej szaty nie były takie same. Zmieniły położenie. Zmieniły położenie, ponieważ kobieta nosząca tę togę, czy też chiton, również zmieniła pozycję.

— Chyba oszalałaś, jeśli tak uważasz — szepnęła Rosie. Serce waliło jej w piersi. — Naprawdę jesteś stuknięta. Wiesz o tym, prawda?

Wiedziała. Mimo to podeszła do obrazu i spojrzała nań z bliska. Stała tak przez jakieś pół minuty, patrząc z odległości nie większej niż pięć centymetrów na kobietę na szczycie wzgórza, wstrzymując oddech, żeby nie zaparowało szkło. W końcu cofnęła się i z głośnym westchnieniem ulgi wypuściła powietrze z płuc. Fałdy i załamania chitonu nie zmieniły się ani trochę. Była tego pewna. (No, prawie pewna). To tylko wyobraźnia płatała jej figle po długim dniu, dniu, który był zarówno cudowny, jak i strasznie stresujący.

— Taak, ale jakoś przetrwałam — zwróciła się do kobiety w chitonie. Przemawianie do kobiety z obrazu wydało jej się już zupełnie normalnym zachowaniem. Może odrobinę ekscentrycznym, ale co z tego? Komu to szkodzi? Kto będzie wiedział? A to, że jasnowłosa była odwrócona tyłem, w jakiś sposób pozwalało uwierzyć, że naprawdę słucha.

Rosie podeszła do okna, oparła dłonie o parapet i wyjrzała. Po drugiej stronie ulicy dzieciaki ćwiczyły rzuty. Przed domem zatrzymał się jakiś samochód. Kiedyś widok podjeżdżającego w ten sposób wozu przeraziłby ją, podsunął obraz pięści Normana z jego policyjnym sygnetem, zbliżającej się do niej, tak że słowa Służba, Wierność, Społeczeństwo stawały się coraz większe i większe, aż zdawały się wypełniać cały świat... Lecz to minęło. Dzięki Bogu.

— Prawdę mówiąc uważam, że nie tylko przetrwałam — mówiła do obrazu. — Myślę, że zrobiłam naprawdę dobrą robotę. Wiem, że Robbie też tak sądził, ale musiałam przekonać Rhodę. Wydaje mi się, że ona była nastawiona na to, iż nie spodoba mi się jej, ponieważ znalazł mnie Robbie, wiesz?

Znów zwracała się do postaci na wzgórzu, jak kobieta mówiąca do przyjaciółki, usiłująca wyczytać z jej twarzy to, co naprawdę myśli o jakimś pomysle czy stwierdzeniu, ale oczywiście kobieta z obrazu tylko spoglądała na zrujnowaną świątynię, odwrócona plecami, które nie zdradzały Rosie niczego.

— Wiesz, jakie paskudne potrafimy być, my, panienki — powiedziała Rosie i uśmiechnęła się. — Myślę jednak, że ją zawojowałam. Przeczytaliśmy tylko pięćdziesiąt stron, ale pod koniec byłam coraz lepsza, a poza tym wszystkie te stare powieści są krótkie. Założę się, że skończymy w środę po południu, a wiesz, co jest w tym najlepsze? Zarabiam prawie sto dwadzieścia dolarów dziennie — nie tygodniowo, lecz dziennie — i są jeszcze trzy powieści Christiny Bell. Jeśli Rob — bie i Rhoda dadzą mi je...

Urwała, patrząc na obraz szeroko otwartymi oczami, już nie słysząc głosików dzieci z piaskownicy, a nawet kroków kogoś, kto wchodził z parteru na piętro. Ponownie spojrzała na prawą stronę obrazu — łuk czoła, łuk ślepego oka bez powieki, łuk małżowiny usznej. W nagłym przeblasku intuicji pojęła pewien fakt. Miała rację, a jednocześnie myliła się — miała rację, że głowa tego drugiego obalonego posągu nie była poprzednio widoczna, i myliła się sądząc, że kamienna głowa jakimś cudem zmaterializowała się na płótnie, kiedy ona nagrywała *Płaszczkę*. Myśl, że zmieniło się ułożenie fałd szaty tej kobiety, mogła być podświadomą próbą poparcia pierwszego, błędnego wrażenia przez stworzenie takiego złudzenia. W każdym razie miało to sens, w przeciwieństwie do tego, co zauważyła teraz.

— Obraz jest większy — stwierdziła Rosie. Nie. Nie całkiem tak.

Podniosła rękę, rozstawiając je w powietrzu przed obrazem, aby potwierdzić to, że w dalszym ciągu zajmował taki sam fragment ściany. Widziała również tej samej wielkości pasek białego tła wewnątrz ramy, więc o co chodzi?

Tej drugiej kamiennej głowy nie było tam przedtem, i właśnie o to chodzi — pomyślała. — Może...

Nagle poczuła znużenie i lekkie mdłości. Zaciśnęła powieki i próbowała masować sobie skronie, pod którymi zaczynał pulsować ból. Kiedy otworzyła oczy i znów spojrzała na obraz, zobaczyła go tak, jak za pierwszym razem. Nie dostrzegła odrębnych elementów — świątyni, zwalonych posągów, jaskraworóżowego chitonu, podniesionej ręki — lecz widziała jedną całość, coś, co przemawiało do niej swoim własnym, nagłym, niemym głosem.

Teraz ukazywał więcej szczegółów. Była niemal pewna, że to nie halucynacja, lecz niezbity fakt. Obraz nie był wcale większy, ale widziała więcej po obu stronach... jak również u góry i na dole. To było tak, jakby operator w kabinie projekcyjnej zorientował się, że używa niewłaściwego obiektywu i zmienił kwadratowy trzydziestopięciomilimetrowy na szerokoekranową cineramę 70. Teraz widać było nie tylko Clintę, ale także kowbojów jadących po jego bokach.

Zwariowałaś, Rosie. Obrazy się nie powiększają.

Nie? To jak wyjaśnić obecność drugiego boga? Była pewna, że znajdował się tam przez cały czas, a nie zauważyła go tylko dlatego...

— Dlatego, że teraz na obrazie widać więcej z prawej — szepnęła. Otworzyła szeroko oczy, chociaż trudno powiedzieć, czy malował się w nich niepokój czy zachwyt. — A także z lewej i z góry, i z d...

Nagle usłyszała pukanie do drzwi za jej plecami, tak szybkie i lekkie, że dźwięki zdawały się nakładać na siebie. Rosie obróciła się na pięcie, czując się jak na zwolnionym filmie lub pod wodą.

Nie zamknęła drzwi.

Pukanie powtórzyło się. Przypomniała sobie samochód zatrzymujący się przy krawężniku pod domem — mały wóz z rodzaju tych, jakie samotnie podróżujący człowiek mógłby wynająć u Hertza czy Avisa — i rozważania o jej obrazie ustąpiły innej myśli, przepojonej rezygnacją i rozpaczą: Norman jednak ją znalazł. Zabrało mu to trochę czasu, ale jakoś dokonał tego.

Przypomniała sobie fragment ostatniej rozmowy z Anną, która zapytała, co zrobi, jeżeli Norman naprawdę się pojawi. Zamknę drzwi i zadzwonię pod dziewięćset jedenaście — powiedziała wtedy, ale zapomniała zamknąć drzwi i nie miała telefonu. Ten ostatni fakt był istną ironią losu, gdyż w rogu pokoju mieściło się gniazdko telefonu, w dodatku sprawne, i właśnie dziś podczas przerwy na lunch udała się do firmy telekomunikacyjnej i wniosła opłatę. Od obsługującej ją kobiety otrzymała nowy numer telefonu na białym kartoniku, który Rosie włożyła do torebki, a potem pomaszerowała do drzwi. I wychodząc przeszła obok stoiska z aparatami telefonicznymi. Myślała, że przy okazji pójdzie do Lakeview Mail, gdzie kupi co najmniej dziesięć dolarów taniej. A teraz, tylko dlatego, że chciała zaoszczędzić nędzne dziesięć dolarów...

Po drugiej stronie drzwi panowała cisza, kiedy jednak Rosie spojrzała przez szparę nad progiem, dostrzegła zarys butów. To będą wielkie, czarne, lśniące buciorzy. Już nie nosił munduru, ale wkładał te czarne buty. Twarde. Wiedziała o tym doskonale, bo w ciągu lat, jakie z nim spędziła, często nosiła ich ślady na nogach, brzuchu i pośladkach.

Pukanie powtórzyło się — trzy razy po trzy szybko następujące po sobie stuknięcia: puk-puk-puk, przerwa, puk-puk-puk, przerwa, puk-puk-puk.

I jeszcze raz, tak jak w przyływie tej okropnej, zapierającej dech w piersi paniki, jaka ogarnęła ją tego ranka w studiu nagraniowym, myśli Rosie pobiegły do kobiety z obrazu, stojącej na szczycie zarośniętego wzgórza, nie obawiającej się nadciągającej burzy, nie bojącej się, że ruiny na dole mogą być nawiedzane przez jakieś upiory, trolle czy choćby bandy wędrownych złoczyńców, nie lękającej się niczego. Można to było poznać po wyprostowanej sylwetce, po nonszalancko uniesionej dłoni, a nawet (przynajmniej tak sądziła Rosie) po kształcie jej ledwie widocznej piersi.

Nie jestem taka jak ona, boję się — tak bardzo, że prawie sikam w majtki — ale nie pozwolę ci się zabrać, Normanie. Przysięgam Bogu, że nie pozwolę.

Przez moment próbowała przypomnieć sobie chwyt, jaki pokazała jej Gert Kinshaw: łapiasz napastnika za ręce, a potem obracasz się bokiem. Na nic — gdy usiłowała wyobrazić sobie decydujący ruch, widziała tylko atakującego ją Normana, ze ściągniętymi wargami, odsłaniającymi zęby (ściągniętymi w grymasie, który w myślach nazywała jego krokodylim

uśmiechem), chcącego porozmawiać z nią w cztery oczy.

W cztery oczy.

Torba z zakupami wciąż stała na kuchennej szafce, obok żółtych ulotek reklamujących piknik. Rosie wyjęła nietrwałe artykuły i włożyła je do lodówki, ale w torbie pozostało jeszcze kilka konserw. Podeszła do szafki, jej nogi były bez czucia, jak drewniane kołki, po czym wyciągnęła rękę.

Kolejne trzy stuknięcia: puk — puk — puk.

— Idę — powiedziała Rosie. Własny głos wydał jej się zadziwiająco spokojny. Wyjęła największą puszkę, jaka pozostała w torbie: litrową puszkę z koktajlem owocowym. Chwyciła ją najmocniej jak umiała i na zdrtwiałych, drewnianych nogach ruszyła do drzwi. — Już idę, proszę chwilę zaczekać.

4

Kiedy Rosie robiła zakupy, Norman Daniels leżał w bieliźnie na łóżku w hotelu Whitestone, paląc papierosa i gapiąc się w sufit.

Wpadł w nałóg jak wielu chłopców, podkradając ojcu jego pall maile, ryzykując lanie w razie wpadki, uważając tę ewentualność za rozsądną cenę statusu, jaki uzyskiwało się, będąc widzianym w mieście, tam gdzie zbiegała się szosa 49 i stanowa, przed drugstore'em i urzędem pocztowym Aubreyville, z postawionym kołnierzem kurtki i tym papierosem zwisającym z dolnej wargi: szalej, dziecino, jestem prawdziwym twardzielem. Kiedy znajomi przejeżdżali w swoich starych wozach, skąd mieli wiedzieć, że pet został buchnięty z paczki leżącej na szafce twojego starego, że gdy raz zebrałeś się na odwagę i próbowałeś kupić sobie paczkę w drugstorze, to stary Gregory prychnął i kazał wrócić, kiedy wyrosną ci wąsy?

Palenie było dużą sprawą w wieku piętnastu lat, bardzo dużą sprawą, czymś, co zastępowało wszystko to, czego nie mógł mieć (na przykład starego samochodu, choćby takiego starego gruchota, jakim jeździł jeden z jego znajomych — z klekoczącymi zaworami, reflektorami z białej „plastikowej stali” i zderzakami przymocowanymi drutem), więc zanim skończył szesnaście lat, wpadł w nałóg: dwie paczki dziennie i *bona fide* kaszel palacza z rana.

Trzy lata po tym, jak poślubił Rose, cała jej rodzina — ojciec, matka, szesnastoletni brat — zginęła na tej samej szosie 49. Wracali z popołudniowej kąpieli w Philo Quarry, kiedy wywrotka ze zwiernem wpadła na skrzyżowanie i zmiażdżyła ich jak packa muchy. Oderwaną głowę starego McClendona znaleziono w rowie trzydzieści metrów od miejsca wypadku, z otwartymi ustami i sporym bryzgiem krowiego łajna w oku (wtedy Daniels był już gliniarzem, a gliniarze wiedzą o takich rzeczach). To wydarzenie w najmniejszym stopniu nie zmartwiło Daniela; prawdę mówiąc, był nim zachwycony. Jeśli o niego chodziło, to ten wścibski stary skurwiel dostał dokładnie to, na co sobie zasłużył. McClendon miał skłonność do zadawania córce pytań, jakich nie powinien zadawać. W końcu Rose nie była już córką McClendona — przynajmniej w oczach prawa. W oczach prawa stała się żoną Normana Daniela.

Głęboko zaciągnął się dymem, wydmuchał trzy kółka i patrzył, jak powoli unoszą się rzędem pod sufit. Z zewnątrz dochodziło trąbienie i szum ulicznego ruchu. Spędził tu tylko pół dnia, a już nienawidził tego miasta. Było za duże. Miało za wiele dogodnych kryjówek, chociaż w jego wypadku nie odgrywało to większej roli. Sprawy znów dobrze się układały i niebawem bardzo twarda i bardzo ciężka ściana z cegieł przywali zabłąkaną córeczkę Craiga McClendona, Rosie.

Na pogrzebie McClendona — wielkim wydarzeniu, w którym uczestniczyli niemal wszyscy mieszkańcy Aubreyville — Daniels zaczął kaszleć i nie mógł przestać. Ludzie

odwracali się i patrzyli na niego, a on nienawidził takich spojrzeń bardziej niż czegokolwiek na świecie. Czerwony, wściekły i zawstydzony (ale wciąż nie mogący powstrzymać kaszlu), Daniels przepchnął się obok szlochającej młodej żony i wypadł z kościoła, bezskutecznie zatykając usta dłonią.

Kaszlał tak silnie, że musiał pochylić się i oprzeć dłonie na kolanach, żeby nie zemdleć. Patrzył zażalonymi oczami na kilka innych osób, które wyszły na papierosa — trzech mężczyzn i kobietę, nie potrafiących wytrzymać nawet przez głupie pół godziny mszy żałobnej — i nagle postanowił, że rzuca palenie. Tak po prostu. Wiedział, że ten atak kaszlu mógł być spowodowany letnią alergią, ale to nie miało znaczenia. To był głupi pieprzony nałóg, może najgłupszy pieprzony nałóg na tej planecie i niech go szlag, jeśli jakiś koroner okręgowy wpisze pall maile jako przyczynę śmierci na jego świadectwie zgonu.

W dniu kiedy wrócił do domu i stwierdził, że Rosie odeszła — a właściwie tej nocy gdy odkrył, że zniknęła karta kredytowa i już nie mógł dłużej udawać, że nic się nie stało — poszedł do sklepu Numer 24 u stóp wzgórza i kupił pierwszą paczkę papierosów od jedenastu lat. Wrócił do ulubionego niegdyś gatunku, jak morderca powracający na miejsce zbrodni. *In hoc signo vinces* widział na każdej krwawoczerwonej paczce — pod tym znakiem zwyciężysz, jak mówił jego stary, który odnosił zwycięstwa nad matką Daniela w wielu kłótniach rodzinnych, ale w niczym innym, przynajmniej jeśli chodzi o sprawy znane Normanowi.

Pierwsze sztachnięcie zaszumiało mu w głowie i zanim skończył papierosa, wypalając go aż do filtra, był pewny, że zwymiotuje, zemdleje albo dostanie ataku serca. A może wszystko naraz. Tymczasem wrócił do dwóch paczek dziennie i, wychodzącego z głębi płuc kaszlu, kiedy rankiem gramolił się z łóżka. Tak jakby nigdy nie rzucał palenia.

To nie miało znaczenia; przechodził stresujące doświadczenie życiowe, jak lubili mówić parszywi psychologowie, a kiedy ludzie doznają stresujących doświadczeń życiowych, często powracają do dawnych nawyków. Szkodliwe nałogi, takie jak palenie czy picie, są protezami — mówili. I co z tego? Jeśli się kuleje, to co złego w używaniu kuli? Kiedy już zajmie się Rosie (można powiedzieć, że upewni się, iż doszło do nieformalnego rozwodu, na jego warunkach), odrzuci wszystkie protezy.

Tym razem na dobre.

Norman odwrócił głowę i wyjrzał za okno. Jeszcze nie było ciemno, ale wkrótce będzie. Odpowiednia pora, żeby iść. Nie chciał spóźnić się na spotkanie. Zdusił papierosa w przepełnionej popielniczce na nocnym stoliku obok telefonu, zdjął nogi z łóżka i zaczął się ubierać.

Nie musiał się śpieszyć, to było najprzyjemniejsze; miał wiele dni urlopu, a kapitan Hardaway wcale nie wzdragał się przed tym, by mu go udzielić. Z dwóch powodów — pomyślał Norman. — Po pierwsze, gazety i stacje telewizyjne zrobiły z niego sensację miesiąca; po drugie, kapitan Hardaway nie lubił go, dwukrotnie nasłał na niego tych kapusiów z Wydziału Spraw Wewnętrznych za nieuzasadnione użycie siły. Niewątpliwie z zadowoleniem pozbył się go na jakiś czas.

— Dziś wieczór, suko — mruzczał Norman, zjeżdżając windą w towarzystwie swojego odbicia w lustrze na ścianie kabiny. — Dziś wieczór, jeśli dopisze mi szczęście. A czuję, że dopisze.

Przy krawężniku stał rząd taksówek, ale Daniels minął je. Taksówkarze zapisują kursy, a czasem zapamiętują twarze. Nie, znów pojedzie autobusem. Tym razem miejskim. Energicznie pomaszerował w kierunku przystanku na rogu, zastanawiając się, czy nie oszukiwał sam siebie myśląc, że szczęście mu sprzyja. Doszedł do wniosku, że nie. Był blisko, wiedział to. Wiedział to, ponieważ zdołał wczuć się w jej położenie.

Autobus linii zielonej wyjechał z rogu i potoczył się w kierunku przystanku. Norman wsiadł, zapłacił swoje cztery dolce, zajął miejsce z tyłu — dziś wieczór nie musiał udawać

Rose, co za ulga — i patrzył przez okno na mijane ulice. Szyldy barów. Szyldy restauracji. DELIKATESY. PIWO. PIZZA NA WYNOS. SEKSOWNE DZIEWCZYNY TOPLESS.

To nie twoje miejsce, Rose — pomyślał, gdy autobus mijał witrynę restauracji Pop's Kitchen. „Prawdziwy stek z Kansas City” głosił krwawoczerwony neon w oknie. — To nie twoje miejsce, ale nic nie szkodzi, bo jestem tutaj. Przyszedłem zabrać cię do domu. A w każdym razie zabrać cię gdzieś.

Gmatwanina neonów i ciemniejący fiolet nieba przypomniały mu starą piosenkę Boba Segera, tę o dawnych dobrych czasach, kiedy życie nie wydawało się takie upiorne i klaustrofobiczne, jak ściany pokoju, które wciąż się kurczą, powoli zaciskając się wokół człowieka. *Gdy neony barów nową noc przyniosą* — brzmiały słowa piosenki — *szybko umkną w ciemność i szybko ci znikną*. Jakże prawdziwe. Był policjantem przez całe swe dorosłe życie i wiedział, że te słowa były prawdziwe. A przecież i on mógł umknąć w ciemność. Umknąć w ciemność i zniknąć. Gliniarz, który nie nauczy się biegać tak, jak inne karaluchy — uliczne szumowiny — nie pożyje długo.

Patrzył, jak neony zostają w tyle, i ocenił, że już powinien zbliżyć się do Carolina Street. Wstał, przeszedł na przód autobusu i stanął tam, trzymając się uchwyty. Kiedy autobus stanął i drzwi się rozsunęły, zszedł po schodkach i bez słowa umknął w ciemność.

Kupił plan miasta w kiosku hotelowym, za sześć dolarów i pięćdziesiąt centów. Zdzierstwo, ale koszt pytania o drogę mógłby być większy. Ludzie, nie wiedząc czemu, zapamiętują tych, którzy pytają o drogę; czasem pamiętają ich nawet po pięciu latach — zadziwiające, lecz prawdziwe. Dlatego lepiej nie pytać. Na wszelki wypadek, gdyby coś się stało. Coś złego.

Pewnie nic się nie stanie, lecz NNNW i PSD zawsze były najlepszymi życiowymi zasadami.

Według mapy Carolina Street łączyła się z Beaudry Place mniej więcej cztery kwartały na zachód od przystanku autobusowego. Przyjemny spacer w ciepły wieczór. Przy Beaudry Place mieszkał żydek z POMOCY PODRÓŻNYM.

Daniels szedł powoli, naprawdę jak na przechadzce, z rękami w kieszeniach. Na twarzy miał uśmiezek, lekko głupawy, który nie zdradzał napięcia wszystkich zmysłów. Rejestrował każdy przejeżdżający samochód, każdego mijanego przechodnia, szczególnie wypatrując takich, którzy przyglądaliby się jemu. Dostrzegali go. Nikt nie zwracał na niego uwagi, co było dobre.

Kiedy dotarł do domu Thumpera — dokładnie tak, do domu, nie mieszkania, więc znów łut szczęścia — dwukrotnie przeszedł obok, obserwując samochód na podjeździe i światło w oknie na parterze. W oknie pokoju stołowego. Zasłony były rozsunięte, ale rolety spuszczone. Widział przez nie miękki kolorowy blask tego, co zapewne było ekranem telewizora. Thumper nie spał, Thumper był w domu, Thumper gapił się w maleńki telewizor i może zajadał marchewkę, zanim pojedzie na dworzec autobusowy, gdzie spróbuje pomóc innym kobietom, zbyt głupim, by zasługiwały na pomoc. Albo zbyt złym.

Thumper nie nosił obrączki, a poza tym wyglądał Normanowi na pedzia, ale lepiej dmuchać na zimne. Cicho podszedł podjazdem i zerknął do pięcioletniego forda, szukając jakichkolwiek dowodów na to, że Thumper nie mieszka sam. Nie dostrzegł niczego, co włączyłoby w jego mózgu sygnał alarmowy.

Zadowolony, rozejrzał się po wąskiej uliczce i nie dostrzegł nikogo.

Nie masz żadnej maski — pomyślał. — Nie masz nawet nylonowej pończochy, którą mógłbyś naciągnąć na twarz, prawda, Norm?

Nie, nie mam.

Zapomniałeś, tak?

No... prawdę mówiąc, nie. Nie zapomniał. Miał wrażenie, że kiedy nazajutrz wszędzie słońce, na tym świecie będzie o jednego żydka mniej. Ponieważ czasami nawet w takich

miłych miejscach jak to zdarzają się paskudne wypadki. Czasem ktoś włamuje się — przeważnie świry i ćpuny oczywiście — i zaczyna się zabawa. Przykre, lecz prawdziwe. Możesz wdepnąć, jak piszą na koszulkach i nalepkach samochodowych. I czasem, chociaż trudno w to uwierzyć, wdeptują właściwe osoby, zamiast niewłaściwych. Na przykład czytujące „Prawdę” żydki, które pomagają żonom uciekać od mężów. Nie wolno pozwalać na coś takiego; w ten sposób nie można kierować społeczeństwem. Gdyby każdy tak postępował, nie byłoby żadnego społeczeństwa.

Takie zachowanie było bardzo rozpowszechnione i większości tych mięczaków uchodziło na sucho. Ale większość tych mięczaków nie popełniła błędu, pomagając jego żonie... tak jak ten człowiek. Norman był tego równie pewien, jak swojego nazwiska. Ten mężczyzna pomógł jej.

Wszedł na schody, jeszcze raz szybko rozejrzał się na boki i nacisnął przycisk dzwonka. Zaczekał i zadzwonił ponownie. Teraz jego uszy, już nastawione na najcichszy dźwięk, wychwyciły odgłos zbliżających się kroków, nie klap–klap–klap, lecz szur–szur–szur. Thumper w skarpetkach, jak schludnie.

— Idę, idę — zawołał Thumper.

Drzwi otworzyły się. Thumper spojrzał na niego oczami rozplywającymi się za szklami rogowych okularów.

— W czym mogę pomóc? — spytał.

Rozpięta i wyciągnięta ze spodni koszula ukazywała pasiasty podkoszulek, taki sam podkoszulek, jaki nosił Norman, i nagle to było nie do zniesienia, okazało się ostatnim źdźbłem, tym, pod którym pękł kręgosłup przysłowiowego wielbłąda, i Norman wpadł w szal. Żeby taki facet nosił taki podkoszulek! Podkoszulek białego człowieka!

— Myślę, że możesz — rzekł Norman i coś w jego twarzy lub głosie zaalarmowało Słowika, ponieważ jego piwne oczy rozszerzyły się i zaczął się cofać, jednocześnie sięgając ręką do drzwi, pewnie chcąc je zatrzasać Normanowi przed nosem. Jeżeli tak, to się spóźnił. Norman złapał go za koszulę i wepchnął w głąb domu. Potem podniósł nogę i kopniakiem zatrzasał za sobą drzwi, czując się jak Gene Kelly w starym musicalu *MGM*.

— Tak, tak myślę — powtórzył. — Mam nadzieję, dla twojego własnego dobra. Zadam ci kilka pytań, Thumper, właściwych pytań, i lepiej módl się do swego wielkonosego żydowskiego Boga, żebyś mógł udzielić mi właściwych odpowiedzi.

— Wynoś się stąd! — krzyknął Słowik. — Bo wezwę policję!

Norman Daniels rozeźmiał się, a potem obrócił Słowika, wykręcając mu lewą rękę na plecy, aż pięść dotknęła chudej prawej łopatki. Słowik zaczął wrzeszczeć. Norman sięgnął mu między nogi i złapał za jądra.

— Przestań — rozkazał. — Natychmiast przestań albo zgniotę je jak winogrona. Usłyszysz, jak pękają.

Thumper przestał. Dyszał i wydawał zduszone jęki, ale to Normanowi nie przeszkadzało. Wepchnął go do pokoju stołowego, gdzie za pomocą pilota leżącego na stoliku nastawił telewizor głośniejsze.

Zawłókł swojego nowego kolegę do kuchni i puścił.

— Stań przy tej lodówce — rzekł. — Chcę, żebyś przycisnął do niej swój tyłek i łopatki, a jeśli odsuniesz się od niej choćby na centymetr, urwę ci łeb. Kapujesz?

— T–t–tak — wydyszał Thumper. — K–k–kim jesteś? Wciąż wyglądał jak Thumper — przyjaciel Bambiego — ale teraz mówił jak Woodsy Pieprzona Sowa.

— Irving R. Levine z NBC News — odparł Norman. — Tak zabawiam się, kiedy mam wolne.

Zaczął otwierać szuflady szafek, nie spuszczać przy tym Thumpera z oka. Nie sądził, aby stary próbował uciekać, ale kto wie. Ludzie, którzy przekroczą pewien poziom lęku, stają się nieobliczalni jak tornado.

— Co... Nie wiem co...

— Nie musisz wiedzieć co. — oznajmił Norman. — W tym cały urok, Thump. Nie musisz wiedzieć ni cholery, masz tylko odpowiedzieć na kilka prostych pytań. Wszystko inne możesz pozostawić mnie. Jestem zawodowcem. Uważaj mnie za członka bractwa Niewidzialnej Ręki.

W piątej i ostatniej szufladzie znalazł to, czego szukał: dwie rękawice kuchenne ze wzorem w kwiatki. Ślicznie. Właśnie coś takiego używa dobrze ubrany żydek do wyjmowania swoich koszernych przemyślnych półmisek ze swojej przemyślanej koszerniej duchówki. Norman włożył je, po czym szybko przetarł uchwyty szuflad, ścierając odciski palców, jakie mógł na nich zostawić. Potem zaprowadził Thumpera z powrotem do stołowego, gdzie wziął pilota i wytarł go o przód swojej koszuli.

— Pogawędzimy sobie twarzą w twarz, Thumper — powiedział. Zatykało go; dźwięki wydobywające się z jego gardła nawet jego właścicielowi nie przypominały ludzkiego głosu. Norman bez specjalnego zdziwienia stwierdził, że dostał potwornego wzrodu. Rzucił pilota na sofę i odwrócił się do Słowika, który stał ze zwieszonymi ramionami. Łzy spływały spod grubych szkieł w rogowej oprawie. Stał w tym podkoszulku białego człowieka. — Zamierzam porozmawiać z tobą w cztery oczy. W cztery oczy. Wierzysz mi? Lepiej uwierz, Thump. Lepiej, kurwa, uwierz.

— Proszę — jęknął Słowik. Wyciągnął drżące ręce do Normana. — Proszę, nie rób mi krzywdy. Mylisz się, o kogokolwiek ci chodzi, to nie ja. Nie mogę ci pomóc.

A przecież w końcu pomógł, i to bardzo. Ale wtedy byli już w piwnicy, ponieważ Norman zaczął gryźć i nawet nastawiony na cały regulator telewizor nie mógł całkowicie zagłuszyć wrzasków. Wrzeszcząc czy nie, pomógł — i to bardzo.

Skończywszy zabawę, Norman znalazł pod kuchennym zlewem worki na śmieci. Włożył do jednego rękawice i swoją koszulę, w której teraz nie mógł pokazać się publicznie. Weźmie worek ze sobą i pozbędzie się go później.

Na górce, w sypialni Thumpera, znalazł tylko jedną część garderoby, która prawie zakrywała jego, znacznie szerszą, górną połowę ciała: workowatą, wyblakłą koszulkę z emblematem Chicago Bulls. Norman położył ją na łóżku, a potem poszedł do łazienki Thumpera i włączył jego prysznic. Czekając, aż popłynie gorąca woda, zajrzał do apteczki Thumpera, znalazł słoiczek adwilu i połknął cztery tabletki. Bolały go zęby i szczęki. Całą dolną część twarzy miał pokrytą krwią, włosami i kawałeczkami skóry.

Wszedł pod prysznic i wziął mydło Thumpera, starając się zapamiętać, że musi wrzucić je później do worka. Nie wiedział, na co zdadzą się te wszystkie środki ostrożności, gdyż nie miał pojęcia, ile dowodów pozostawił na dole, w piwnicy. Tam doznał jakby chwilowej amnezji.

Myjąc głowę, zaczął śpiewać:

— *Dzika różo.... dziitka różo.... gdzie ty pniesz się... nie wie nikt... rośniesz sobie... w polu, w lesie... któż przytuli... różo cię?*

Zakręcił wodę, wyszedł spod prysznica i spojrzał na swoje słabe, widmowe odbicie w zaporowanym lustrze nad umywalką.

— Ja — powiedział spokojnie. — Właśnie ja.

5

Bill Steiner uniósł wolną rękę, żeby zapukać jeszcze raz, w duchu przeklinając swoje zdenerwowanie — nie był człowiekiem, który robi się nerwowy, gdy chodzi o kobiety — kiedy usłyszał jej głos. „Idę! Idę, proszę chwilę zaczekać”. W tym głosie nie słyszał urazy, dzięki Bogu, więc może nie wyciągnął jej z łazienki.

A co ja tu właściwie robię? — zadał sobie pytanie, gdy usłyszał kroki po drugiej stronie

drzwi. — To jak scena z jakiejś niedowarzonej romantycznej komedii, w której trudno sobie wyobrazić nawet Toma Hanksa.

Może to i prawda, lecz jedno wiedział na pewno: kobieta, która w zeszłym tygodniu odwiedziła jego lombard, mocno utkwiała mu w pamięci. A w miarę upływu czasu to wrażenie zamiast słabnąć, jeszcze się wzmacniało. Był pewny dwóch rzeczy: po raz pierwszy w życiu przynosił kwiaty kobiecie, której nie znał, i jeszcze nigdy nie denerwował się tak przed żadną randką, od kiedy skończył szesnaście lat.

Tak rozmyślając zauważył, że jedna z margerytek prawie wypada z bukietu. Pośpiesznie poprawił ją, zanim otworzyły się drzwi, a kiedy oderwał wzrok od kwiatów, ujrzał kobietę, która zamieniła pierścionek z fałszywym diamentem na kiczowaty obraz. Stała w progu, ze śmiercią w oczach i trzymała w dłoni puszkę czegoś, co wyglądało na koktajl owocowy. Zastygła z ręką uniesioną do ciosu, z widocznym trudem dostrzegając, że mężczyzna nie jest tą osobą, której się spodziewała. Bill uznał później, że to była jedna z najdziwniejszych i najważniejszych chwil w jego życiu.

Oboje spoglądali na siebie, stojąc w progu mieszkanca Rosie na pierwszym piętrze domu przy Tremont Street, on z bukietem wiosennych kwiatów z kwaciarni dwa domy dalej na Hitchens Avenue, ona z litrową puszką uniesioną nad głową. Chociaż ten moment nie trwał dłużej niż dwie, może trzy sekundy, wydał się Billowi niezwykle długi. W każdym razie dostatecznie długi, by pojął coś, co było niepokojące, zatrważające, denerwujące, zdumiewające i po prostu cudowne. Wbrew dotychczasowym obawom, jej widok wcale nie zmienił jego uczuć; wprost przeciwnie, jeszcze je pogłębił. Nie była piękną, przynajmniej nie taką, jaką promują środki przekazu, ale dla niego była piękna. Zarys jej warg i owal twarzy z jakiegoś powodu przyśpieszył bicie jego serca, a spojrzenie kocioskośnych, niebieskawoszarych oczu rozczuliło go. Krew uderzyła mu do głowy i policzki zarumieniły się. Doskonale wiedział, o czym świadczą te objawy, i zarejestrował je z niechęcią, ponieważ czyniły go więźniem.

Wręczył jej kwiaty, uśmiechając się z nadzieją, ale czujnie obserwując rękę z puszką.

— Zawrzemy pokój? — zapytał.

6

Zaprosił ją na obiad tak szybko, że ledwie zdążyła uświadomić sobie, że nie jest Normanem i — zaskoczona — zgodziła się. Uznała, że poczucie ulgi również odegrało w tym swoją rolę. Dopiero kiedy usiadła na fotelu pasażera w jego samochodzie, pani Praktycznie–Rozsądna, od pewnego czasu pozostająca w uśpieniu, obudziła się i zapytała, co ona wyprawia, wychodząc gdzieś z mężczyzną (o wiele młodszym mężczyzną), którego nie zna? Czyżby zwariowała? W tych pytaniach pobrzmiwał strach, ale Rosie zrozumiała ich prawdziwy sens — były zwykłym kamuflażem. To najważniejsze pytanie było tak przerażające, że Praktycznie–Rozsądna nie odważyła się go zadać.

A jeśli złapie cię Norman? To było najważniejsze pytanie. Jeśli Norman przyłapie ją jedzącą obiad z innym mężczyzną? Młodszym, dobrze wyglądającym mężczyzną? Fakt, że Norman znajdował się daleko, setki kilometrów na wschód, nie miał znaczenia dla Praktycznie–Rozsądnej, która wcale nie była ani Praktyczna, ani Rozsądna, tylko Przestraszona i Zmieszana.

Poza tym nie chodziło tylko o Normana. Przez całe życie nigdy nie była sama z innym mężczyzną oprócz męża i teraz targały nią rozmaite emocje. Zjeść z nim obiad? Och, pewnie. W porządku. Ścisnęło ją w gardle, a w żołądku wywracało się jak w pralce automatycznej.

Gdyby miał na sobie coś lepszego niż czyste, wytarte dżinsy i koszulę, gdyby spojrzął choć z odrobiną powątpiewania na jej bezpretensjonalną kombinację spodnicy i swetra,

powiedziałyby „nie”; gdyby lokal, do którego ją zabrał, wyglądał zbyt sztywnie (to jedyne słowo, jakie przyszło jej do głowy), chyba nie byłaby w stanie wysiąść z jego buick. Lecz restauracja wyglądała raczej zachęcająco niż groźnie: jasno oświetlony lokal nazywany Pop’s Kitchen, z wentylatorami nad głową i obrusami w czerwono-białą kratkę na kwadratowych stolikach. Zgodnie z tym, co głosił neon w witrynie, w Pop’s Kitchen podawano prawdziwe steki z Kansas City. Kelnerami byli sami starsi dżentelmeni w czarnych butach i długich fartuchach zawiązanych pod pachami. Rosie uznała, że wyglądają jak w białych sukienkach przepasanych szarfami. Ludzie jedzący przy stolikach byli podobni do niej i Billa... no, w każdym razie do Billa — osoby z klasy średniej, o średnich dochodach, bez przesadnej elegancji. Rosie czuła się w tej restauracji przyjemnie i swobodnie, to było miejsce, w którym można odetchnąć.

Możliwe, ale oni nie są podobni do ciebie — szepnęła jej świadomość — i nie próbuj udawać, że są. Wyglądają na pewnych siebie, na szczęśliwych, a co więcej, wyglądają tak, jakby tu było ich miejsce. Ty tak nie wyglądasz i nigdy nie będziesz wyglądała. Zbyt wiele lat spędziłaś z Normanem, zbyt wiele razy siedziałaś w kącie, wymiotując w fartuch. Zapomniałaś, jacy są ludzie, o czym rozmawiają... jeśli w ogóle kiedyś to wiedziałaś. Jeżeli spróbujesz być taka jak ci ludzie, jeśli choć zamarzysz, żeby być jak oni, skończysz ze złamanym sercem.

Czy to prawda? Strasznie pomyśleć, że to mogło być prawdą. Część Rosie była bowiem szczęśliwa — szczęśliwa, że Bill Steiner przyszedł ją zobaczyć, szczęśliwa, że przyniósł jej kwiaty, szczęśliwa, że zaprosił ją na obiad. Nie miała zielonego pojęcia, co do niego czuje, ale zaproszono ją na randkę... a to sprawiało, że czuła się młoda i pociągająca. Nic nie mogła na to poradzić.

No już, bądź szczęśliwa — usłyszała szept Normana, gdy razem z Billem przekraczali próg Pop’s Kitchen. Rozległ się tak blisko i wyraźnie, jakby przechodził obok. Ciesz się, póki możesz, ponieważ potem on pociągnie cię z powrotem w ciemność i zechce porozmawiać z tobą w cztery oczy. A może nawet nie będzie tracić czasu na rozmowę. Może po prostu zaciągnie cię w najbliższą ciemną uliczkę i załatwi gdzieś pod ścianą.

Nie — pomyślała. Nagle światła w restauracji stały się zbyt jasne i słyszała wszystko, wszystko, nawet głośne, leniwe westchnienia wirników wentylatorów. Nie, to kłamstwo, kłamstwo — on jest miły!

Odpowiedź była natychmiastowa i nieunikniona — pierwsza zasada Normana: „Nikt nie jest miły, kochanie, ile razy mam ci to powtarzać? W głębi duszy każdy jest śmieciem. Ty, ja, każdy”.

— Rose? — spytał Bill. — Dobrze się czujesz? Błado wyglądasz.

Nie, nie czuła się dobrze. Wiedziała, że głos w jej głowie kłamie, dobywając się z tej części jej duszy, która pozostawała pod wpływem trucizny Normana. Lecz to, co wiedziała, i to, co czuła, to dwie różne sprawy. Po prostu nie zdoła usiedzieć wśród tych wszystkich ludzi, nie może wdychać zapachu ich mydeł, perfum i szamponów, słuchać gwaru ich rozmów. Nie potrafi zachować się wobec kelnera, który pochylił się nad nią z jadłospisem, częściowo napisanym w obcym języku. A przede wszystkim nie poradzi sobie z Billem Steinerem — rozmawiając z nim, odpowiadając na jego pytania i przez cały czas zastanawiając się, jakie okazałyby się w dotyku jego włosy.

Otworzyła usta, żeby powiedzieć mu, że nie czuje się dobrze, że boli ją brzuch i niech lepiej odwiezie ją do domu, może zjedzą obiad innym razem. Potem, tak jak w studiu nagrań, pomyślała o kobiecie w jasnorożowym chitonie, stojącej na szczycie zarośniętego wzgórza, z podniesioną ręką i jednym gołym ramieniem lśniącem w dziwnym, pochmurnym blasku tamtego miejsca. Stojąc bez śladu lęku nad zrujnowaną świątynią... Wyobraziwszy sobie blond włosy zaplecione w warkocz, złotą bransoletę i ledwie widoczną wypukłość piersi, Rosie uspokoiła się.

Poradzę sobie z tym — pomyślała. — Nie wiem, czy zdołam coś zjeść, ale na pewno mogę znaleźć dość odwagi, żeby posiedzieć z nim chwilę w tym dobrze oświetlonym miejscu. I czemu miałabym niepokoić się o to, że on może mnie później zgwałcić? Myślę, że gwałt to ostatnia rzecz, jaka przyszlaby mu do głowy. To tylko jedna z obsesji Normana, Normana, który uważa, że nigdy żaden Murzyn nie miał przenośnego radia, które nie zostało ukradzione białemu człowiekowi.

Ta prosta refleksja sprawiła, że poczuła lekką ulgę i uśmiechnęła się do Billa. To był słaby i trochę niepewny uśmiech, ale lepszy niż żaden.

— Nic mi nie jest — powiedziała. — Czuję się trochę przestraszona, to wszystko. Będziesz musiał jakoś to znieść.

— Chyba nie boisz się mnie?

„Masz cholerną rację, że ciebie” — usłyszała głos Normana z tego miejsca w jej głowie, gdzie żył jak złośliwy nowotwór.

— Nie, raczej nie. — Spojrzała mu w twarz. To wymagało wysiłku i czuła, że czerwieni się przy tym, ale jakoś się udało. — Po prostu jesteś dopiero drugim facetem w moim życiu, z którym gdzieś poszłam, a jeśli to jest randka, to moja pierwsza od czasu, gdy byłam maturzystką, czyli od osiemdziesiątego pierwszego roku.

— Boże święty — rzekł. Mówił łagodnie, bez cienia kpiny. — Teraz ja jestem trochę przestraszony.

Szef — Rosie nie była pewna, czy nazywać go *maitre d'* czy też był to ktoś inny — podszedł i spytał, czy chcą miejsce dla palących, czy niepalących.

— Palisz? — zapytał ją Bill, a Rosie szybko potrząsnęła głową. — Gdzieś na uboczu byłoby wspaniale — powiedział Bill do mężczyzny w smokingu i Rosie dostrzegła szarozielone mignięcie pięciodolarowego banknotu przechodzącego z jego ręki do ręki szefa. — Może w rogu?

— Oczywiście, proszę pana.

Poprowadził ich przez jasno oświetloną salę, pod leniwie obracającymi się łopatkami wentylatorów.

Kiedy usiedli, Rosie zapytała Billa, jak ją odnalazł, chociaż podejrzewała, że zna już odpowiedź. Naprawdę ciekawiło ją to, dlaczego ją odnalazł.

— To Robbie Lefferts — odparł. — Robbie zagląda co kilka dni, żeby sprawdzić, czy mamy jakieś nowe książki... no, właściwie to stare książki, wiesz, co mam na myśli...

Przypomniała sobie tę Davida Goodisa: *To był zwykły pech. Parry był niewinny* i uśmiechnęła się.

— Wiem, że zatrudnił cię do czytania powieści Christiny Bell, ponieważ wpadł specjalnie po to, żeby mi powiedzieć. Był bardzo podekscytowany.

— Naprawdę?

— Oznajmił, że masz najlepszy głos od czasu, gdy Kathy Bates nagrała *Milczenie owiec*, a to wiele znaczy. Robbie podziwia to nagranie, tak samo jak *Śmierć najemnika* w wykonaniu Roberta Frosta. Ma tę starą płytę długogrająca na trzydzieści trzy obroty. Jest porysowana, ale zdumiewająca.

Rosie milczała. Odebrało jej mowę.

— Tak więc zapytałem go o twój adres. No, to może za słabo powiedziane. Muszę się przyznać, że właściwie marudziłem, aż mi go dał. Robbie nie znosi marudzenia. I trzeba przyznać, Rosie, że...

Reszty już nie dosłyszała. Rosie — myślała. — Nazwał mnie Rosie. Nie prosiłam go o to; sam na to wpadł.

— Czy może państwo chcieliby napić się czegoś? — u boku Billa pojawił się kelner. Starszawy, dystyngowany i przystojny, wyglądał jak wykładowca literatury z college'u.

Mający słabość do sukni w stylu empire — pomyślała Rosie i miała ochotę zachichotać.

— Wezmę mrożoną herbatę — rzekł Bill. — A ty, Rosie? Znów. Znów to powiedział. Skąd wiedział, że nigdy nie byłam Rose, że zawsze byłam Rosie?

— Dla mnie to samo.

— A zatem dwie mrożone herbaty, doskonale — rzekł kelner i wyrecytował krótką listę dań. Ku ogromnej uldze Rosie, wszystkie miały angielskie nazwy i przy słowach „pieczeń londyńska” naprawdę poczuła lekki przyptyw głodu.

— Namyślimy się i za moment powiemy panu — oznajmił Bill.

Kelner odszedł, Bill odwrócił się do Rosie.

— Muszę powiedzieć, że Robbie nie poddał się łatwo. Proponował, żebym wpadł do studia... Jesteście w Corn Building, prawda?

— Tak. Studio nazywa się Tape Engine.

— Uhm. W każdym razie proponował, żebym wpadł któregoś popołudnia do studia, to wszyscy troje wybierzemy się gdzieś na drinka. Był bardzo opiekuńczy, prawie ojcowski. Kiedy powiedziałem, że wołałbym po prostu spotkać się z tobą, kazał mi obiecać, że najpierw do ciebie zatelefonuję. I próbowałem to zrobić, Rosie, ale nie mogłem znaleźć twojego numeru w książce telefonicznej. Czy masz zastrzeżony numer?

— Właściwie jeszcze nie mam telefonu — odparła, robiąc lekki unik. Oczywiście miała zastrzeżony numer; kosztowało ją to dodatkowe trzydzieści dolarów, na co niezbyt mogła sobie pozwolić, lecz jeszcze mniej mogła sobie pozwolić na to, żeby numer jej telefonu pojawił się w policyjnym komputerze Normana. Z jego utyskiwań wiedziała, że policja nie może swobodnie przeszukiwać listy zastrzeżonych numerów, tak jak to robi z tymi, które są w książkach telefonicznych. To było nielegalne, gdyż stanowiło naruszenie prywatności, z której rezygnowali ludzie pozwalający towarzystwu telekomunikacyjnemu zamieścić ich numery w spisie. Tak zadecydowały sądy, a Norman, podobnie jak większość policjantów, których poznała w czasie swego małżeństwa, zaciekle nienawidził wszystkich instytucji sądowych i ich decyzji.

— Dlaczego nie wpadłeś do studia? Nie było cię w mieście?

Wziął serwetkę, rozwinął ją i starannie ułożył sobie na kolanach. Kiedy znów spojrzął na nią, jego twarz jakoś się zmieniła, lecz dopiero po chwili Rosie zorientowała się, na czym polega ta zmiana — zaczerwienił się.

— No cóż, chyba nie chciałem iść gdzieś z tobą całą bandą — odparł. — W ten sposób nie można naprawdę porozmawiać. Po prostu chciałem... no... chciałem cię poznać.

— I jesteśmy tutaj — powiedziała łagodnie.

— Tak, zgadza się. I jesteśmy tu.

— Ale dlaczego chciałeś mnie poznać? Umówić się ze mną? — Urwała na moment, a potem dodała: — Myślę, że chyba jestem dla ciebie trochę za stara, prawda?

Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem, a potem uznał, że to żart, i roześmiał się.

— Tak — powiedział. — No to przy okazji, ile masz lat, babciu? Dwadzieścia siedem? Dwadzieścia osiem?

Z początku pomyślała, że to on żartuje — w dodatku niezbyt udanie — ale zaraz pojęła, że mimo lekkiego tonu mówił poważnie. Nawet nie usiłował jej pochlebić, tylko stwierdził oczywisty fakt. A przynajmniej oczywisty dla niego. To ją zaszokowało i jej myśli znów rozbiegły się na wszystkie strony. Tylko jedna pozostała względnie zrozumiała: zmiany w jej życiu nie zakończyły się na znalezieniu pracy i własnego mieszkania, one dopiero się zaczęły. Czuli się tak, jakby wszystko, co zdarzyło się do tej pory, było zaledwie seria wstępnych wstrząsów, a teraz nadchodziło prawdziwe trzęsienie ziemi. Tyle że ono nie zmieni krajobrazu, lecz jej życie... Nagle Rosie poczuła jakąś dziwną nadzieję i niezrozumiałe wzburzenie.

Bill zaczął coś mówić, ale wtedy nadszedł kelner z ich mrożoną herbatą. Bill zamówił stek, a Rosie pieczeń londyńską. Kiedy kelner zapytał, jaka ma być, Rosie już chciała

odpowiedzieć, że średnio wysmażona — jadła takie befsztyki, ponieważ lubił je Norman — ale powstrzymała się.

— Słabo wypieczona — odparła. — Bardzo słabo.

— Wspaniale! — rzekł kelner, jakby naprawdę tak uważał, i kiedy odszedł, Rosie pomyślała, jaki wspaniały musi być utopijny świat kelnera — miejsce, gdzie każdy wybór jest wspaniały, bardzo dobry, cudowny.

Kiedy znów spojrzała na Billa, zobaczyła, że w dalszym ciągu nie odrywa od niej oczu — tych niepokojących oczu z lekko zielonym zabarwieniem. Bardzo sexy.

— Czy było niedobre? — zapytał. — Twoje małżeństwo?

— O czym mówisz? — odparła niezręcznie.

— Wiesz o czym. Spotykam kobietę w lombardzie mojego ojca, rozmawiam z nią może przez dziesięć minut i przydarza mi się najdziwniejsza rzecz na świecie — nie mogę o niej zapomnieć. To coś, co widziałem na filmach i o czym czasem czytałem w takich gazetach, jakie zawsze znajduje się w poczekalniach gabinetów lekarskich, ale nigdy naprawdę w to nie wierzyłem. A tu bach, i jest. Widzę jej twarz w ciemności, kiedy zgaszę światło. Myślę o niej, kiedy jem śniadanie. Ja... — urwał, rzucając jej uważne, zaniepokojone spojrzenie. — Mam nadzieję, że cię nie przestraszyłem.

Wystraszył ją okropnie, ale jednocześnie pomyślała, że nigdy nie słyszała tak cudownych słów. Była cała rozpalona (oprócz stóp, które pozostały zimne jak lód) i wciąż słyszała wentylatory. Wydawało się, że jest ich co najmniej tysiąc, cały batalion śmigieł.

— Ta kobieta przychodzi sprzedać swój pierścionek zaręczynowy, o którym myśli, że jest z diamentem... ale w głębi serca wcale tak nie uważa. A potem, kiedy dowiaduję się, gdzie ona mieszka, i idę z wizytą, można rzec, że z kwiatami w ręce i sercem w zębach, mało brakuje, by rozbiła mi głowę puszką koktajlu owocowego.

Podniósł prawą rękę, trzymając palec wskazujący mniej więcej na centymetr od kciuka.

Rosie też podniosła rękę — lewą — z palcem wskazującym o dwa centymetry od kciuka.

— Prawdę mówiąc, to było raczej tyle — powiedziała. — Jestem jak Roger Clemens, mam świetne oko.

Roześmiał się. To był dobry śmiech, szczery i donośny. Po chwili przyłączyła się do niego.

— W każdym razie dama raczej nie używa tej broni, tylko z przestraszeniem opuszcza ją i chowa za plecami, jak dzieciak egzemplarz „Playboya” skradziony z ojcowskiego biurka. Mówi: „Och, mój Boże, przepraszam”, a ja zastanawiam się, kim jest ten wróg, ponieważ nie jestem nim ja. A potem zastanawiam się, jak bardzo były jest ten mąż, skoro dama przyszła do lombardu mojego ojca jeszcze z pierścionkiem na palcu. Możesz mi powiedzieć?

— Tak — odparła. — Chyba tak.

— To dla mnie ważne. Jeśli się okaże, że jestem wścibski, dobrze, pewnie jestem, ale... od razu bardzo spodobała mi się ta kobieta i bardzo zależy mi na tym, aby nie była związana. Z drugiej strony nie chcę, żeby powodowana strachem łapała za puszkę koktajlu owocowego z porcją dla słonia za każdym razem, kiedy ktoś zapuka do drzwi. Czy w tym, co mówię, widzisz jakiś sens?

— Tak — odparła. — Mąż jest bardzo były. — A potem, bez żadnego powodu, dodała: — Ma na imię Norman.

Bill poważnie skinął głową.

— Teraz rozumiem, dlaczego go opuściłaś.

Rosie zaczęła chichotać i zakryła sobie usta dłonią. Zaczerwieniła się jeszcze bardziej. W końcu zdołała opanować śmiech, ale musiała wytrzeć oczy rogiem serwetki.

— W porządku? — zapytał.

— Tak. Chyba tak.

— Chcesz mi o tym opowiedzieć?

Nagle oczami duszy ujrzała pewien obraz, z wyrazistością spotykaną w sennyh

koszmarach. To była stara rakieta tenisowa Prince z rączką owiniętą czarną taśmą. Należała do Normana. Jeśli dobrze pamiętała, rakieta w dalszym ciągu wisiała na ścianie u stóp schodów do piwnicy. W pierwszych latach małżeństwa kilkakrotnie zbił nią Rosie. Potem, jakieś sześć miesięcy po poronieniu, za jej pomocą zgwałcił ją analnie. Podczas terapii grupowej u Córek i Sióstr podzieliła się wieloma wspomnieniami o swoim małżeństwie (tak to nazywano, dzieleniem się, to określenie uznała za odrażające i odpowiednie), lecz to jedno zatrzymała dla siebie: co czujesz, kiedy masz rączkę rakiety tenisowej Prince wepchniętą w tyłek przez mężczyznę, który siedzi na tobie, obejmując kolanami twoje uda; co czujesz, kiedy on nachyla się nad tobą i mówi, że jeśli będziesz się szarpać, to zbije szklanę z wodą stojącą na stoliku i poderżnie ci nią gardło. Co czujesz, leżąc tak, wdychając dentynę z jego oddechu i zastanawiając się, jak bardzo porani cię w środku.

— Nie — powiedziała, dziękując losowi, że jej głos nie zdrzał. — Nie chcę rozmawiać o Normanie. Był brutalny i porzuciłam go. Koniec opowieści.

— To mi wystarczy — rzekł Bill. — I na dobre zniknął z twego życia?

— Na dobre.

— Czy on o tym wie? Pytam o to tylko dlatego, że... no wiesz... chodzi o to, jak otworzyłaś mi drzwi. Na pewno nie oczekiwałaś przedstawiciela Kościoła Świętych Dnia Ostatniego.

— Nie wiem, czy on o tym wie, czy nie — odparła, zastanowiwszy się chwilę. To rzeczywiście było dobre pytanie.

— Boisz się go?

— Och, tak. Możesz być tego pewny. Ale to niekoniecznie coś oznacza. Obawiam się wszystkiego. Wszystko jest dla mnie nowe. Moje przyjaciółki w... moje przyjaciółki mówią, że to mi przejdzie, ale ja nie wiem.

— Nie bałaś się pójść ze mną na obiad.

— Och tak, byłam przerażona.

— To dlaczego poszłaś?

Otworzyła usta, żeby powiedzieć to, o czym myślała wcześniej — że zaskoczył ją — a potem znów je zamknęła. To była prawda, ale nie cała prawda, a w tej sprawie nie chciała robić żadnych uników. Nie miała pojęcia, czy mają przed sobą jakąś przyszłość poza tym jednym posiłkiem w Pop's Kitchen (to, że przyszła tu z nim tak szybko po opuszczeniu Normana, uznała za irracjonalne, a nawet zwariowane postępowanie), lecz jeśli tak, to kluczenie byłoby złym początkiem tej podróży.

— Ponieważ chciałam — odpowiedziała cicho, ale wyraźnie.

— W porządku. Koniec z tym.

— I koniec z pytaniami o Normana.

— Naprawdę tak miał na imię?

— Tak.

— Jak Bates*.

— Jak Bates.

— Czy mogę cię jeszcze o coś zapytać, Rosie?

Uśmiechnęła się lekko.

— Jeśli nie muszę obiecywać, że odpowiem.

— Może być. Myślałaś, że jesteś ode mnie starsza, prawda?

— Tak — przyznała. — Tak myślałam. Ile ty masz lat, Bill?

— Trzydzieści. Pod względem wieku mieszkamy pod sąsiednimi numerami... no, przynajmniej na tej samej ulicy. Ty jednak niemal odruchowo założyłaś, że nie jesteś tylko trochę, ale o wiele starsza ode mnie. I tu dochodzimy do pytania. Czy jesteś gotowa?

* Norman Bates, bohater filmu Alfreda Hitchcocka *Psychoza* (przyp. tłum.).

Rosie wzruszyła ramionami.

Pochylił się do niej, patrząc tymi fascynującymi oczami o zielonkawym zabarwieniu.

— Czy wiesz, że jesteś piękna? — zapytał. — To nie jest zachęta ani taka sobie gadka... a przynajmniej sądzę, że nie jest. Pytam z czystej ciekawości. Czy wiesz, że jesteś piękna? Nie wiesz, prawda?

Otworzyła usta. Nie wydobył się z nich żaden dźwięk, tylko lekkie, zdyszane sapnięcie. Bardziej przypominające świst niż westchnienie.

Nakrył jej dłoń swoją ręką i lekko uściśnął. Dotknięcie było przelotne, lecz poraziło jej nerwy jak elektrowstrząs i przez chwilę widziała tylko jego włosy, usta, a przede wszystkim oczy. Reszta świata zniknęła, jakby pozostali na scenie we dwoje i zgaszono wszystkie reflektory oprócz jednego.

— Nie drwij ze mnie — powiedziała. Głos jej drżał. — Proszę, nie żartuj sobie. Nie zniosłabym tego.

— Nie, nigdy nie odważyłbym się na to. — Mówił roztargnionym tonem, jakby ten temat był już zamknięty i nie podlegał dyskusji. — Powiedziałem tylko to, co myślę. — Uśmiechnął się i wyciągnął rękę, żeby ponownie dotknąć jej dłoni. — Zawsze będę mówił ci to, co myślę. Obiecuję.

7

Tłumaczyła mu, że nie musi odprowadzać jej na górę, ale nalegał, z czego była zadowolona. Kiedy w restauracji podano posiłek, rozmowa zeszła na mniej osobiste tematy. Z zadowoleniem przekonał się, że jej wzmianka o Rogerze Cle — mensie nie była przypadkowa, że rozprawiała o baseballu ze znajomością rzeczy prawdziwego kibica, więc jedząc rozmawiali o różnych drużynach, przechodząc od baseballu do koszykówki. Prawie w ogóle nie myślała o Normanie, dopiero w drodze powrotnej zaczęła zastanawiać się, co zrobi, jeśli otworzy drzwi mieszkania, a on, Norman, będzie tam, będzie siedział na jej łóżku, może pijąc filiżankę kawy i wpatrując się w obraz ze zrujnowaną świątynią i kobietą na wzgórzu.

Potem, kiedy wchodzili po wąskich schodach, Rosie na przedzie, a Bill krok czy dwa za nią, znalazła sobie nowy powód do zmartwienia. A jeśli on zechce pocałować ją na dobranoc? A jeśli po pocałunku zapyta, czy może wejść?

Jasne, że zechce wejść — znowu słyszała głos Normana, niebywale spokojny, taki jakim mówił, kiedy usiłował nie denerwować się, ale mimo to był zdenerwowany. — A nawet będzie nalegał. Po co wydawałby pięćdziesiąt dolców na obiad? Jezu, powinno ci to pochlebiać. Po ulicy chodzą panienki ładniejsze od ciebie, które nie dostają pięćdziesiątki za szybki numer. On zechce wejść i zechce cię wypieprzyć. Może to dobrze, może tego trzeba, żebyś zeszła z obłoków.

Zdołała wyjąć z torebki klucz, nie upuszczając go, ale stuknęła nim wokół szczelinki w metalowym kręgu, nie mogąc w nią trafić. Bill przytrzymał jej rękę i pomógł wetknąć klucz w otwór. Kiedy poczuła jego dotknięcie, znów doznała elektryzującego wstrząsu i nie zdołała powstrzymać skojarzenia, jakie budził widok klucza wślizgującego się do dziurki.

Otworzyła drzwi. W środku nie było Normana, chyba że czaił się w łazience lub w szafie, jedynie zaciszny pokój z kremowymi ścianami, obraz wiszący koło okna i lampka nad umywalką. Nie dom, jeszcze nie, ale bardziej do niego podobny niż zbiorowa sypialnia w schronisku Córek i Sióstr.

— Wiesz, ono nie jest takie złe — powiedział w zadumie. — To nie bliźniak na przedmieściu, ale całkiem niezłe.

— Wejdziesz? — spytała zupełnie zdrewniałymi wargami, jakby ktoś zrobił jej zastrzyk z nowokainy. — Zrobię ci filiżankę kawy...

Dobrze! — wykrzyknął Norman ze swej warowni w jej głowie. — Pójdźmy na całość, no nie, kochanie? Ty dasz mu kawę, a on ci śmietankę. Niezły interes!

Bill zdawał się poważnie zastanawiać, zanim potrząsnął przecząco głową.

— To mógłby być całkiem niezły pomysł — rzekł. — Ale nie dziś. Wydaje mi się, że ty nie masz zielonego pojęcia, jak na mnie działasz.

Roześmiał się odrobinę nerwowo.

— Wydaje mi się, że ja nie mam zielonego pojęcia, jak na mnie działasz.

Zerknął jej przez ramię i dostrzegł coś, co sprawiło, że uśmiechnął się i podniósł kciuk do góry.

— Miałaś rację co do obrazu, wtedy nigdy bym w to nie uwierzył, a jednak miałaś. Sądzę, że wybrałaś go z myślą o tym miejscu, prawda?

Potrząsnęła głową i też się uśmiechnęła.

— Kiedy kupowałam ten obraz, nawet nie wiedziałam, że taki pokój istnieje.

— A zatem musisz być jasnowidzem. Założę się, że w tym miejscu wygląda szczególnie dobrze późnym popołudniem i wczesnym wieczorem. Kiedy słońce oświetla go z boku.

— Tak, wtedy jest ładny — zgodziła się Rosie, nie dodając jednak, że jej zdaniem obraz wygląda dobrze, wprost idealnie o każdej porze dnia.

— Rozumiem, że jeszcze ci się nie znudził?

— Nie, wcale nie.

Miała zamiar dodać: potrafi kilka sprytnych sztuczek.

Podejdź i spojrzysz z bliska, dobrze? Może zobaczysz coś, co bardziej cię zaskoczy niż dama zamierzająca rozbić ci głowę puszką koktajlu owocowego. Powiedz mi, Bill, czy ten obraz w jakiś sposób zmienił się w panoramiczny, czy też to tylko moja wyobraźnia?

Oczywiście nie powiedziała tego głośno.

Bill położył ręce na jej ramionach, a ona spojrzała na niego poważnie, jak dziecko, któremu każą iść spać, kiedy nachylił się i pocałował ją w czoło, w gładkie miejsce między brwiami.

— Dziękuję, że ze mną poszłaś — szepnął.

— Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

Poczuła łzę spływającą po lewym policzku i otarła ją pięścią. Nie wstydziła się ani nie obawiała, że on to zobaczy: czuła, że może zawierzyć mu, co było bardzo miłe.

— Słuchaj — powiedział — mam motocykl, starego harleya. Jest duży i hałaśliwy i czasem gaśnie na światłach, ale jest wygodny... a ja prowadzę bezpiecznie, chociaż to ja tak mówię. Jestem jednym z sześciu posiadaczy harleyów w Ameryce, noszących kaski. Jeśli w sobotę będzie ładnie, mógłbym przyjechać po ciebie rano. Znam jedno miejsce niecałe pięćdziesiąt kilometrów stąd, nad jeziorem. Piękne. Jest jeszcze za zimno na pływanie, ale możemy zrobić sobie piknik.

Z początku nie mogła zdobyć się na odpowiedź — po prostu pochlebiło jej to, że zapraszał ją gdzieś ponownie. A jazda na jego motocyklu... jak by to było? Przez moment Rosie potrafiła myśleć tylko o tym, co czułaby siedząc za nim na jednośladowym pędzącym z szybkością osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Obejmować go rękami. Niespodziewanie poczuła rozkoszny dreszcz, jak w gorączce, i z początku nie rozpoznała go, chociaż wydało się jej, że czuła już kiedyś coś takiego, bardzo dawno temu.

— Rosie? Co ty na to?

— Ja... No...

Co powiedziała? Rosie nerwowo dotknęła językiem górnej wargi, odwróciła wzrok, usiłując zebrać myśli i na szafce w kuchni zobaczyła plik żółtych ulotek. Z mieszaniną rozczarowania i ulgi spojrzała na Billa.

— Nie mogę. W sobotę jest piknik Córek i Sióstr. One pomogły mi, kiedy tu przyjechałam, to moje przyjaciółki. Będzie turniej softballu, wyścigi, rzucanie podkowami,

stragany z pamiątkami... takie rzeczy. A potem wieczorny koncert, który powinien dać trochę pieniędzy. W tym roku mają wystąpić Indigo Girls. Obiecałam od piątej sprzedawać koszulki reklamowe i powinnam tam być. Wiele im zawdzięczam.

— Bez trudu mogę odwiedzić cię na piątą — oznajmił. — Nawet na czwartą, jeśli chcesz.

Naprawdę chciała... A jednak miała znacznie więcej powodów do obaw niż to, że może spóźnić się na sprzedaż koszulek. Czy zrozumiałby, gdyby mu powiedziała? Gdyby wyznała: Bardzo chciałabym objąć cię ramionami, kiedy jechałbyś szybko, i chciałabym, żebyś włożył skórzaną kurtkę, bym mogła oprzeć głowę na twoim ramieniu i wachać ten miły zapach i słuchać tego cichego skrzypienia przy każdym twoim ruchu. Bardzo chciałabym, ale chyba obawiam się tego, co może się stać później, kiedy skończy się jazda... że Norman w mojej głowie przez cały czas miał rację co do tego, czego naprawdę chcesz. A najbardziej boję się, że słuszne było podstawowe założenie mojego męża, to jedno, czego nigdy nie powiedział głośno, ponieważ nie musiał: że traktował mnie zupełnie dobrze, zupełnie normalnie. Nie obawiam się bólu; ból to dla mnie nic nowego. Ale boję się tego małego, słodkiego marzenia. Widzisz, miałam ich tak niewiele.

Zrozumiała, co powinna powiedzieć, i w następnej chwili pojęła, że tego nie powie, może dlatego, że słyszała to w tak wielu filmach i zawsze brzmiało jak żaloszny skowyt: Nie rób mi krzywdy. Właśnie to powinna powiedzieć. Proszę, nie rób mi krzywdy. Jeśli mnie skrzywdzisz, umrze ta najlepsza częśćka mojej duszy, jaka mi pozostała.

On jednak czekał na odpowiedź.

Rose otworzyła usta, żeby powiedzieć: nie, naprawdę muszę być na pikniku i na koncercie, może innym razem. Nagle spojrzała na obraz wiszący na ścianie pod oknem. Ona nie wahałaby się — pomyślała Rosie; ona liczyłaby godziny do soboty, a kiedy w końcu usiadłaby za nim na żelaznym rumaku, przez większą część drogi waliłaby go po plecach, przynaglając do szybszej jazdy. Przez chwilę Rosie niemal widziała ją siedzącą na siodelku, z zadartym rąbkiem jaskraworóżowego chitonu, gołymi udami obejmującą jego biodra.

Ponownie ogarnęła ją fala gorąca, tym razem silniejsza. Przyjemniejsza.

— Dobrze — zgodziła się. — Zrobię to. Pod jednym warunkiem.

— Powiedz jakim — rzekł. Uśmiechał się z wyraźnym zadowoleniem.

— Przywieziesz mnie na Ettinger's Pier, to tam odbędzie się impreza Córek i Sióstr, i zostaniesz na koncercie. Ja kupię bilety. To mój teren.

— Niech tak będzie — odparł niezwłocznie. — Mogę przyjechać po iebie o ósmej trzydzieści, czy to za wcześnie?

— Nie, to dobra pora.

— Będzie ci potrzebna kurtka, a może i ciepły sweter — tłumaczył. — Wracając po południu możesz upchnąć je do bagażnika, ale rano będzie chłodno.

— W porządku — powiedziała, już myśląc o tym, że będzie musiała pożyczyć te ciuchy od Pam Haverford, która miała podobne wymiary. W tym momencie cała garderoba Rosie składała się z jednej lekkiej kurteczki, a jej budżet nie wytrzyma żadnych takich wydatków, przynajmniej na razie.

— A więc do zobaczenia. I dziękuję za dzisiejszy wieczór. Przez moment jakby się zastanawiał, czy pocałować ją jeszcze raz, a potem po prostu uściśnął jej dłoń.

— Cała przyjemność po mojej stronie.

Odwrócił się i zbiegł po schodach jak chłopiec. Nie mogła się powstrzymać, żeby nie porównać tego ze sposobem poruszania się Normana, który albo włókł się z opuszczoną głową, albo gnał z niesamowitą szybkością. Obserwowała wydłużony cień na ścianie, aż zniknął, potem zamknęła drzwi, przekręciła oba zamki i oparła się o futrynę, patrząc na obraz po drugiej stronie pokoju.

Znów się zmienił. Była prawie pewna.

Rosie przeszła przez pokój i stanęła przed obrazem. Ręce założyła na plecach, a głowę

lekką wysunęła naprzód. Ta zabawna poza nadawała jej komiczny wygląd właściciela galerii lub muzealnego *habitué* z karykatury w „New Yorkerze”.

Tak, teraz widziała, chociaż rozmiary obrazu pozostały takie same, była prawie pewna, że jakimś cudem znów się poszerzył. Po prawej, za kamiennym obliczem, spoglądającym nie widzącym wzrokiem przez wysoką trawę, mogła teraz dostrzec coś, co wyglądało jak skraj leśnej polany. Po lewej, za kobietą na wzgórzu, zauważyła łeb i szyję kudłatego kucyka. Miał klapki na oczach, skubał wysoką trawę i zdawał się zaprzężony do jakiegoś pojazdu — może wózka, powozu lub bryczki. Tego Rosie nie mogła dojrzeć, ponieważ znajdowało się poza obrazem (przynajmniej na razie). Lecz widziała jego cień, jak również inny, wyrastający z niego. Pomyślała, że ten drugi cień to głowa i ramiona jakiejś osoby. Może kogoś stojącego obok pojazdu, do którego był zaprzężony kucyk. A może...

A może postradałaś zmysły, Rosie. Chyba nie uważasz, że ten obraz robi się coraz większy, co? Albo że pokazuje coraz więcej, jeśli chcesz tak to ująć?

Mimo wszystko rzeczywiście wierzyła w to, widziała to i stwierdziła, że ta myśl bardziej ją ekscytuje, niż przeraża. Pożałowała, że nie zapytała Billa; chciałaby wiedzieć, czy on też zauważyłby to, co ona widziała... a może wyobrażała sobie, że widzi.

W sobotę — obiecała sobie. — Może spytam go w sobotę.

Zaczęła rozbierać się i zanim weszła do małej łazienki, zupełnie zapomniała o Rose Madder, kobiecie na wzgórzu. Zupełnie zapomniała też o Normanie, Annie, Pam i sobotnim występie Indigo Girls. Rozmyślała o kolacji z Billem Steinerem, wspominając randkę z nim minuta po minucie, sekunda po sekundzie.

8

Leżała w łóżku, powoli zapadając w sen, słuchając grania świerszczy, dochodzącego z Bryant Parku.

Zасыpiając przypominała sobie — bez bólu i jakby zachowując dystans — rok 1985 i córkę Caroline. Jeśli chodziło o Normana, nigdy nie było żadnej Caroline, a fakt, że zgodził się z nieśmiałą sugestią Rosie, iż Caroline to ładne imię dla dziewczynki, niczego nie zmieniał. Dla Normana to była tylko kijanka, która nie pożyła długo. Jeśli nawet, według takiej stukniętej baby jak jego żona, była to kijanka — dziewczynka, to co z tego? Zdaniem Normana osiemset milionów Chińczyków ma to głęboko w dupie.

Cóż to był za rok, ten 1985. Rok piekła. Ona straciła (Caroline) dziecko, Norman prawie stracił pracę (miała wrażenie, że niewiele brakowało, a zostałyby aresztowane), ona wylądowała w szpitalu ze złamanym zębem, które prawie przebiło płuco, i — w ramach dodatkowych atrakcji — została wydymana rączką rakiety tenisowej. To był także rok, w którym jakby lekko zaczęła tracić zmysły, dotychczas najzupełniej zdrowe, lecz pośród tych wszystkich przyjemności ledwie zauważyła, że pół godziny spędzone w Fotelu Puchatka czasem wydaje się pięcioma minutami, że bywają dni, kiedy bierze prysznic osiem czy dziewięć razy, zanim Norman wróci z pracy do domu.

Musiała zająć w ciążę w styczniu, ponieważ wtedy zaczęły się poranne mdłości, a w lutym nie miała okresu. Historia, w wyniku której Norman otrzymał „oficjalną naganę”, co miało ciążyć na jego opinii aż do emerytury, wydarzyła się w marcu.

Jak on się nazywał? — zadawała sobie pytanie, dryfując w łóżku na pograniczu snu i jawy, ale na razie jeszcze bliżej tej drugiej. — Ten człowiek, od którego zaczęły się te wszystkie kłopoty, jak on się nazywał?

Przez chwilę nie mogła sobie przypomnieć nic poza tym, że był Murzynem... „pieprzonym czarnuchem” w słowniku Normana. Potem odszukała je w pamięci.

— Bender — mruknęła w ciemności, słuchając cichego grania świerszczy. — Richie

Bender. Tak się nazywał.

Rok 1985, piekielny rok. Piekielne życie. A teraz to. Ten pokój. To łóżko. I granie świerszczy. Rosie zamknęła oczy i odpłynęła.

9

Niecałe pięć kilometrów od miejsca, gdzie spała teraz jego żona, Norman leżał w łóżku, zapadając w sen, zapadając w ciemność i nasłuchując głuchego pomruku ruchu na Lakefront Avenue, osiem pięter niżej. Wciąż bolały go zęby i szczęki, ale ten ból był teraz odległy i nieistotny, stłumiony mieszanką aspiryny i szkockiej.

Zasypiając również myślał o Richiem Benderze, tak jakby, bez wiedzy obojga, Norman i Rosie nawiązali przelotny kontakt telepatyczny.

— Richie — mruknął w mroku pokoju hotelowego, a potem zasłonił przedramieniem zamknięte oczy. — Ty śmierdzieliu. Ty pierdolony śmierdzieliu.

To było w sobotę, pierwszą sobotę marca 1985. Dziesięć lat temu, mniej więcej. Około jedenastej rano tego dnia jakiś czarnuch wszedł do sklepu Payless na rogu Sześćdziesiątej i Saranac, wpakował dwie kule w głowę sprzedawcy, obrobił kasę i wyszedł. Kiedy Norman i jego partner przesłuchiwali ekspedienta w skupie butelek obok, przyszedł do nich inny czarny, ubrany w dżersejową kurtkę z emblematem Buffalo Bills.

— Znam tego czarnucha — powiedział.

— Jakiego czarnucha, bracie? — spytał Norman.

— Tego, który obrobił Payless — odparł tamten. — Akurat stałem przy skrzynce pocztowej, kiedy wyszedł ze sklepu. Nazywa się Richie Bender. To zły czarnuch. Sprzedaje kokę tam, w motelu. Wskazał ręką na wschód, w kierunku dworca kolejowego.

— W którym motelu? — zapytał Harley Bissington. Harley był partnerem Normana tamtego pechowego dnia.

— Railroad Motel — odparł Murzyn.

— Pewnie nie wiesz, w którym pokoju? — pytał Harley. — Czy też twoja znajomość owego rzekomego łajdaka sięga aż tak daleko, mój brązowoskóry przyjacielu?

Harley niemal zawsze mówił w ten sposób. Czasami to bawiło Normana. Częściej sprawiało, że miał ochotę chwycić go za jego wąski wełniany krawacik i wydusić z niego głupoty.

Brązowoskóry przyjaciel wiedział, oczywiście, że wiedział. Niewątpliwie sam zachodził tam dwa lub trzy razy w tygodniu — a może nawet pięć czy sześć, jeśli jego sytuacja finansowa na to pozwalała — by kupić towar od tego złego czarnucha, Richiego Bendera. Ich brązowoskóry przyjaciel i wszyscy jego brązowoskórzy zasmoleni przyjaciele. Ten facet zapewne miał właśnie jakąś urazę do Richiego Bendera, ale to nie obchodziło Normana i Harleya; Norman i Harley chcieli tylko wiedzieć, gdzie znaleźć strzelca, żeby złapać go za dupę, przewieźć do aresztu i zamknąć sprawę przed przerwą na koktajl.

Ten smoluch w kurtce Buffalo Bills nie mógł sobie przypomnieć numeru pokoju, ale powiedział im, jak tam dojść: parter, główny budynek, dokładnie między automatem do coca — coli a koszami z prasą.

Norman i Harley skoczyli do motelu Railroad, będącego jedną z lepszych melin w Ameryce, i zapukali do drzwi między automatem do coca — coli a podajnikami gazet. Drzwi otworzył im niechlujny żółty kurwizson w cienkiej czerwonej sukni, przez którą widać było biustonosz i majteczki. Była wyraźnie naćpana po same uszy i obaj gliniarze zobaczyli na telewizorze coś, co wyglądało na puste słóiczki po narkotyku, a kiedy Norman zapytał ją, gdzie jest Richie Bender, ona popełniła błąd i wyśmiała go. „Nie noszę żadnej blendy — powiedziała. — No jazda, chłopczy, zabierajcie stąd swoje tłuste dupski”.

Do tej pory wszystko było jasne, ale od tego momentu zeznania świadków różniły się. Norman i Harley twierdzili, że pani Wendy Yarrow (znana tej wiosny w kuchni Danielsów jako „ten niechlujny żółty kurwiszon”) wyjęła z torebki pilnik do paznokci i dwukrotnie skaleczyła nim Normana Daniela. Rzeczywiście miał długie, płytkie zadrapania na czole i na grzbiecie ręki, ale pani Yarrow twierdziła, że Norman sam skaleczył się w rękę, a zadrapanie na czole było dziełem jego partnera. Zrobili to, twierdziła, po tym jak wepchnęli ją do pokoju numer 12 motelu Railroad, złamali jej nos i cztery palce, uszkodzili dziewięć kości w lewej stopie, deptając po niej kilkakrotnie (po kolei, jak mówiła), wyrywając jej kępki włosów i wielokrotnie uderzając ją w brzuch. Potem ten niski zgwałcił ją, powiedziała kapusiom z Wydziału Spraw Wewnętrznych. Ten barczysty usiłował ją zgwałcić, ale z początku nie chciał mu stanąć. Ugryzł ją kilka razy w piersi oraz twarz i wtedy dostał erekcji, „ale wytrysnął mi na nogi, zanim zdołał go wsadzić. Wtedy znów zaczął gryźć. Gadał, że chce porozmawiać ze mną w cztery oczy, ale rozmawiał głównie pięściami”.

Teraz, leżąc na łóżku w Whitestone, w pościeli, którą miała w rękach jego żona, Norman przetoczył się na bok i usiłował zapomnieć o 1985 roku. Lecz nie mógł. Nic dziwnego; kiedy już coś zaczął, nie mógł przestać. Ten 1985 rok czepiał się go jak natarczywy, gadatliwy sąsiad — dupek, którego nie można się pozbyć.

Popełniliśmy błąd — pomyślał Norman. — Uwierzyliśmy temu przekłętemu czarnuchowi w dżersejowej kurtce.

Tak, to był błąd, w dodatku duży. Ponadto byli przekonani, że kobieta pasująca wyglądem do Richiego Bendera musi być w pokoju Richiego Bendera, co było drugim błędem lub wynikiem pierwszego, ale to nie miało żadnego znaczenia, gdyż ostateczny rezultat był taki sam. Pani Wendy Yarrow okazała się częściowo panienką do towarzystwa, częściowo dziwką, osobą całkowicie uzależnioną od narkotyków, ale nie przebywała w pokoju Richiego Bendera, a nawet nie wiedziała, że ktoś taki w ogóle istnieje. Richie Bender rzeczywiście był tym człowiekiem, który obrobił Payless i załatwił sprzedawcę, ale jego pokój nie znajdował się między automatem do coca-coli a podajnikami prasy; to był pokój Wendy Yarrow i była w nim Wendy Yarrow, sama — przynajmniej tego wieczoru.

Pokój Richiego Bendera był po drugiej stronie automatu z colą. Przez tę pomyłkę Norman Daniels i Harley Bissington o mały włos stracili pracę, ale w końcu ludzie z Wydziału Spraw Wewnętrznych uwierzyli w historyjkę z pilnikiem i nie znaleźli śladów spermy, potwierdzających wersję pani Yarrow o gwałcie. Jej zeznania, że starszy z nich dwóch — ten, który zdołał w nią wejść — użył prezerwatywy, którą potem spuścił z wodą, były nie do udowodnienia.

Pozostały jednak inne problemy. Nawet ich najzagorzalsi obrońcy musieli przyznać, że inspektorzy Daniels i Bissington posunęli się trochę za daleko, usiłując poskromić tę pięćdziesięciokilogramową kocicę z pilnikiem do paznokci. W końcu miała, na przykład, kilka złamanych palców. Stąd oficjalna nagana. I to wcale nie był koniec sprawy. Ta nadęta suka znalazła sobie gudlaja... tego małego łysawego gudlaja...

Świat był pełen nadętych, sprawiających kłopoty suk. Na przykład jego żona. Ona jednak była nadętą suką, z którą mógł coś zrobić... zakładając, że w końcu zdoła przespać się trochę.

Norman odwrócił się na drugi bok i wspomnienia 1985 wreszcie zaczęły znikać.

— Kiedy najmniej się tego spodziewasz, Rose — mruknął. — Wtedy przyjdę po ciebie.

Pięć minut później już spał.

„Ten niechlujny kurwiszon”, tak ją nazywał — myślała Rose w swoim łóżku.. Już prawie zasnęła, ale jeszcze nie całkiem; wciąż słyszała świerszcze w parku. „Ten niechlujny żółty

kurwiszon”. Jak on jej nienawidził!

Tak, oczywiście. Po pierwsze to zamieszanie z Wydziałem Spraw Wewnętrznych. Norman i Harley Bissington uratowali skórę tylko po to, aby odkryć, że niechlujny żółty kurwiszon znalazł sobie prawnika („łysawego nawiedzonego gudłaja”, jak mówił o nim Norman), który wytoczył im sprawę cywilną o ogromne odszkodowanie. Oskarżył Normana, Harleya i cały wydział policji. A później, krótko przed tym, jak Rosie poroniła, Wendy Yarrow została zamordowana. Znalaziono ją za jednym z elewatorów zbożowych na zachodnim końcu jeziora. Zadano jej około stu ran kłutych i odcięto piersi.

„Jakiś świr”, powiedział Norman do Rosie i chociaż nie uśmiechał się, odłożywszy słuchawkę — ktoś na posterunku musiał być naprawdę podekscytowany, skoro zatelefonował do niego do domu — w jego głosie pobrzmiwała nie ukrywana satysfakcja. „Za często siadała do gry i w końcu wyciągnęła kiepską kartę. Ryzyko zawodowe”. Potem dotknął jej włosów, bardzo delikatnie, głaszcząc ją i uśmiechając się do niej. Nie tym swoim krokodylim uśmiechem, na którego widok miała ochotę wrzeszczeć, ale i tak z trudem tłumiała krzyk, ponieważ zrozumiała, tak po prostu, co zdarzyło się Wendy Yarrow, temu „niechlujnemu żółtemu kurwiszonowi”.

„Widzisz, jakie masz szczęście?” — zapytał ją, głaszcząc wielkimi, twardymi łapami po szyi, po ramionach, po piersiach.

„Widzisz, jakie masz szczęście, że nie jesteś na ulicy, Rose?”

A potem — może miesiąc, a może sześć tygodni później — wrócił z garażu, zastał Rosie czytającą romans i uznał, że musi porozmawiać z nią o jej gustach literackich. Musi porozmawiać z nią w cztery oczy.

Rok 1985, piekielny rok.

Rosie leżała z rękami pod poduszką, zapadając w sen i słuchając grania świerszczy, wpadającego przez okno. Rozlegało się tak blisko, że zdawało się, iż pokój został dzięki jakimś czarom przeniesiony do muszli koncertowej w parku. Myślała o kobiecie, która siedziała w kącie, z włosami przyklepionymi do spoconych policzków, z brzuchem twardym jak kamień i oczami pociemniałymi z przerażenia, gdy poczuła na swych udach te złowieszcze pocałunki; o tej kobiecie, którą jeszcze lata dzieliły od kropli krwi na poszewce, kobiecie nie wiedzącej, że istnieją takie miejsca jak Córki i Siostry i mężczyźni tacy jak Bill Steiner, o tej kobiecie, która obejmowała się rękami i ściskając wystające łopatki, modliła się do Boga, w którego już nie wierzyła, żeby to nie było poronienie, żeby to nie był koniec jej małego słodkiego marzenia, a potem, kiedy poczuła, że to jednak się stało, pomyślała, że może to i lepiej. Wiedziała, jak Norman wypełniał swoje mężowskie obowiązki. A jak wypełniałby obowiązki ojca?

Ciche cykanie świerszczy kołysało ją do snu. I czuła nawet zapach trawy — odurzająco słodka woń, zdająca się nie na miejscu w maju. Ten zapach kojarzyła raczej z sierpniowymi sianokosami.

Jeszcze nigdy nie czułam zapachu trawy w parku — pomyślała sennie. — Czy na tym polega miłość, a przynajmniej zauroczenie?

Czy wyostrza zmysły, a jednocześnie doprowadza do szaleństwa?

W oddali usłyszała łoskot, który mógł być odgłosem gromu. To też było dziwne, bo kiedy Bill odwoził ją do domu, niebo było czyste — spojrzała w górę i zdziwiła się, że widać tyle gwiazd mimo pomarańczowego światła jasných lamp ulicznych.

Odpywała, zapadając w pierwszy od dłuższego czasu spokojny sen, a zanim pochłonęła ją ciemność, pomyślała: Dlaczego słyszę świerszcze i czuję zapach traw? Okno nie jest otwarte; zamknęłam je przed pójściem do łóżka. Zamknęłam i zasunęłam zasuwkę.

V ŚWIERSZCZE

1

Nieco później tego środowego popołudnia Rosie niemal wpłynęła do Hot Pot. Zamówiła filiżankę herbaty oraz ciastko i usiadła przy oknie, powoli jedząc i pijąc, obserwując nie kończącą się rzekę przechodniów na zewnątrz. O tej godzinie w większości byli to urzędnicy wracający po pracy do domu. Do Hot Pot nie było jej teraz po drodze, ponieważ już nie pracowała w hotelu Whitestone, lecz mimo to bez wahania skierowała się tutaj, może dlatego, że tyle razy spędzały tu z Pam po pracy miłe chwile przy filiżance herbaty, a może dlatego, że nie miała instynktu poszukiwacza — przynajmniej jeszcze nie — a to miejsce знаła i darzyła zaufaniem.

Skończyła czytać *Płaszczkę* około drugiej po południu i właśnie sięgała pod stół po torebkę, gdy Rhoda Simons odezwała się w głośniku:

— Chcesz zrobić krótką przerwę, zanim zaczniemy następną książkę, Rosie? — zapytała, tak po prostu. Rosie miała nadzieję, że dostanie następną powieści Bell/Racine’a, wierzyła w to, lecz dowiadując się o tym, poczuła niewysłowioną ulgę.

I to jeszcze nie wszystko. Kiedy przerwali o czwartej, mając za sobą już dwa rozdziały ponurego i krwawego thrillera zatytułowanego *Zabij wszystkie moje jutra*, Rhoda zapytała Rosie, czy nie zechciałaby pójść z nią do toalety.

— Wiem, że to brzmi dziwnie — powiedziała — ale okropnie chce mi się papierosa, a to jedyne miejsce w całym tym przeklętym budynku, gdzie mogę sobie zapalić. Nowoczesność nas wykańcza, Rosie.

W toalecie Rhoda zapaliła papierosa i ze swobodą zdradzającą wieloletnią wprawę usiadła na półce między dwoma umywalkami. Skrzyżowała nogi, zaczepiając prawą stopę o lewą łydkę, po czym uważnie popatrzyła na Rosie.

— Podoba mi się twoja fryzura — oznajmiła.

Rosie mimowolnie dotknęła włosów. Wiedzioną nagłym odruchem weszła poprzedniego wieczoru do salonu piękności; pięćdziesięciodolarowy wydatek, na jaki nie było jej stać... ale nie mogła oprzeć się pokusie.

— Dzięki — powiedziała.

— Wiesz, że Robbie zamierza zaproponować ci kontrakt?

Rosie zmarszczyła brwi i potrząsnęła głową.

— Nie, nie wiem. O czym ty mówisz?

— On może i wygląda jak pan Forsiasty z kuponów loteryjnych, ale Robbie siedzi w tym biznesie od tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku i wie, jaka jesteś dobra. Wie to lepiej niż ty. Myślisz, że wiele mu zawdzięczasz, prawda?

— Wiem, że tak jest — odparła sztywno Rosie. Nie podobał jej się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Pomyślała o sztukach Szekspira, tych, w których ludzie wbijali przyjaciółom nóż w plecy, a potem rozpoczynali długie, świętoszkowate monologi wyjaśniające, że to było nieuniknione.

— Nie pozwól, żeby wdzięczność działała na twoją niekorzyść — kontynuowała Rhoda, precyzyjnie strząsając popiół do umywalki i splukując go strumieniem zimnej wody. — Nie znam historii twojego życia i niezbyt chcę ją poznać, ale zdaję sobie sprawę z tego, że zrobiłaś *Płaszczkę* w zaledwie stu czterech cięciach, co jest pieprzonym rekordem, a także wiem, że masz głos jak młoda Elizabeth Taylor. Wiem również, bo masz to prawie wypisane na czole, że jesteś sama i nie przyzwyczajona do tego. Jesteś taka *tabula rasa*, że to aż

przeróżające. Czy wiesz, co to oznacza?

Rosie nie była pewna. Uznała, że chyba chodzi o jej naiwność, nie zamierzała jednak przyznać się do tego przed Rhodą.

— Tak, oczywiście.

— Dobrze. Rany boskie, nie zrozum mnie źle, nie próbuję podgryzać Robbiego ani wykroić sobie działki z twojej części tortu. Lubię cię. Tak samo jak Rob i Curtis. Tyle że Rob lubi także swój portfel. Nagrania książek to wciąż zupełnie nowy biznes. Gdyby porównać go z przemysłem filmowym, to jesteśmy jeszcze w pół drogi do czasów kina niemego. Rozumiesz, co chcę ci powiedzieć?

— Tak jakby.

— Kiedy Robbie słucha, jak czytasz *Płaszczkę*, myśli o tobie jako o nowej wersji Mary Pickford. Wiem, że to brzmi nieprawdopodobnie, ale to prawda. Nawet okoliczności, w jakich cię poznał, potwierdzają ten fakt. Legenda głosi, że Lane Turner odkryto w jakimś drugstorze. No cóż, Robbie już tworzy w myślach legendę o tym, jak odkrył cię w lombardzie swojego przyjaciela Steinera, kiedy oglądałaś antyczne pocztówki.

— Powiedział ci, że wpadłam tam po to? — spytała, czując wobec Robbiego Lefferts'a wdzięczność graniczącą z miłością.

— Uhm, lecz to, gdzie cię znalazł i co tam robiłaś, nie ma żadnego znaczenia. Chodzi o to, że jesteś dobra, Rosie, naprawdę, naprawdę utalentowana. Tak jakbyś była stworzona do tej pracy. Rob odkrył cię, ale to nie daje mu prawa, żeby doić cię do końca życia. Nie daj się wykorzystać.

— On nigdy by tego nie zrobił — zaprotestowała Rosie. Była przestraszona, a jednocześnie podekscytowana, a także trochę zła na Rhodę za to, że jest taka cyniczna, lecz wszystkie te uczucia stłumiła radość i ulga: przez jakiś czas miała zapewniony byt. A może jeszcze dłużej, jeśli Robbie naprawdę zaproponuje jej kontrakt. Dobrze Rhodie Simons mówić o zachowaniu ostrożności; ona nie mieszkała w pokoiku oddalonym o trzy przecznice od takiej dzielnicy miasta, gdzie nie zostawiało się zaparkowanego samochodu, jeśli człowiek chciał zachować radio i alufelgi; Rhoda miała męża księgowego, domek na przedmieściu i srebrnego nissana, rocznik 1994. Miała także kartę kredytową VIS A i American Express. Co więcej, Rhoda miała ubezpieczenie Blue Cross i oszczędności, z których mogła skorzystać, gdyby zachorowała i przestała pracować. Ludzie posiadający takie rzeczy, myślała Rosie, zalecali ostrożność w interesach równie łatwo, jak oddychali.

— Może nie — przytaknęła Rhoda — ale ty możesz okazać się małą kopalnią złota, a ludzie czasem zmieniają się, kiedy znajdują złotą żyłę. Nawet tacy mili ludzie jak Robbie Lefferts.

Teraz, pijąc herbatę i spoglądając przez okno Hot Pot,

Rosie wspominała, jak Rhoda zgasila papierosa pod kranem, wrzuciła niedopałek do kosza i podeszła do niej.

— Wiem, że w twojej sytuacji gwarancja zatrudnienia jest dla ciebie najważniejsza, i nie twierdzę, że Robbie jest złym człowiekiem, pracuję z nim od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku i wiem, że nie jest, lecz radzę ci, żebyś nie tylko trzymała wróbla w garści, ale też miała na oku gołąbka na dachu. Rozumiesz?

— Niezupełnie.

— Powinnaś zgodzić się na początek na sześć książek, nie więcej. Od ósmej rano do czwartej po południu, tutaj, w Tape Engine. Za tysiąc tygodniowo.

Rosie wytrzeszczyła oczy, czując się tak, jakby ktoś włożył jej do gardła rurę odkurzacza i wysysał całe powietrze.

— Tysiąc dolarów tygodniowo, chyba oszalałaś?

— Zapytaj Curta Hamiltona, czy on uważa, że oszalałam — powiedziała chłodno Rhoda.

— Pamiętaj, że nie chodzi tylko o głos, ale o cięcia. Zrobiłaś *Płaszczkę* w stu czterech. Nikt

inny nie zdołałby tego zrobić w mniej niż dwustu. Wspaniale operujesz głosem, ale wprost niewiarygodnie panujesz nad oddechem. Jeżeli nie śpiewasz, to jak, na miłość boską, potrafisz tak nad nim panować?

Nagle Rosie ujrzała koszmarny obraz: siedzi w kącie, a jej nerki puchną i pulsują niczym wydęte pęcherze napełnione gorącą wodą. Siedzi z fartuchem w rękach, prosząc Boga, żeby weń nie zwrócić, ponieważ to tak boli, ponieważ nerki bołą wtedy tak, jakby wbijano w nie długie, haczykowate szpile. Siedzi tam, robiąc długie, płytkie wdechy i wolne, spokojne wydechy, gdyż tak jest najlepiej, usiłując zgrać przyspieszone bicie serca ze spokojniejszym rytmem oddechu, siedząc i słuchając, jak Norman przygotowuje sobie w kuchni kanapkę i śpiewa *Daniel* lub *Take a letter, Maria* swoim zadziwiająco dobrym, barowym tenorem.

— Nie wiem — odrzekła Rhodie. — Dopóki nie spotkałam ciebie, nawet nie wiedziałam, że jest coś takiego jak panowanie nad oddechem. Sądzę, że to po prostu wrodzony dar.

— No cóż, uważaj to za błogosławieństwo, dziecko — zakończyła Rhoda. — Lepiej wracajmy, bo Curt pomyśli, że odprawiamy tu jakieś przedziwne kobiece rytuały.

Robbie zatelefonował ze swojego biura w mieście, żeby pogratulować jej zakończenia *Płaszczki* — właśnie wtedy kiedy szykowałą się do wyjścia — i chociaż nie wspomniał o kontrakcie, zapytał, czy nie zechciałaby pójść z nim w piątek na obiad, żeby omówić — jak to określił — „interesy”. Rosie zgodziła się i odłożyła słuchawkę, lekko ubawiona. Pomyślała, że Rhoda doskonale go scharakteryzowała: Rob — bie Lefferts rzeczywiście wyglądał jak pan Forsiasty z kuponów loteryjnych.

Kiedy zakończyła rozmowę w prywatnym gabinecie Curtisa — zagraconym pokoiku z setkami wizytówek przypiętych szpilkami do korkowych ścian — i wróciła do studia po torebkę, Rhoda już wyszła, zapewne na ostatniego dymka w toalecie. Curt oklejał pudełka z taśmami. Spojrzała na nią i uśmiechnął się.

— Byłaś dziś świetna, Rosie.

— Dziękuję.

— Rhoda mówi, że Robbie zaproponuje ci kontrakt.

— Tak mówi — przyznała Rosie. — I nawet myślę, że może mieć rację. Odpukać w nie malowane drewno.

— No, targując się powinnaś pamiętać o jednym — rzekł Curtis, kładąc pudełka z taśmami na wysokim regale, gdzie tuziny podobnych pudełek stały szeregami jak cienkie, białe książki. — Jeśli zarobiłaś pięćset dolców za *Płaszczkę*, to Robbie i tak jest do przodu... bo zaoszczędził co najmniej siedemset na opłatach za korzystanie ze studia. Rozumiesz?

Zrozumiała, oczywiście, i teraz siedziała w Hot Pot, a przyszłość rysowała się jej w niespodziewanie jasnych barwach. Miała przyjaciół, mieszkanie, pracę i obietnicę stałego zatrudnienia, kiedy skończy z Christiną Bell. Kontrakt oznaczający nawet tysiąc dolarów tygodniowo — więcej, niż zarabiał Norman. To szaleństwo, a jednak prawda. To może być prawdą, poprawiła się w myślach.

Och, a jeszcze i to. Miała randkę w sobotę... przez całą sobotę, jeśli liczyć również wieczorny koncert Indigo Girls.

Twarz Rosie, zwykle tak poważną, rozpromienił szeroki uśmiech i poczuła niepohamowaną chęć klaśnięcia w dłonie. Zjadła ostatni kawałek ciastka i znów spojrzała za okno, dziwiąc się, że to wszystko przydarzyło jej się naprawdę, że człowiek może wyjść ze swego więzienia, skrócić w prawo... i znaleźć się w niebie.

2

Na pobliskim skrzyżowaniu zgasł napis NIE IDŹ i zapalił się IDZ. Pam Haverford, która zamieniła już biały mundurek pokojówki na dopasowany czerwony kombinezon, przeszła

przez ulicę wraz z dwoma tuzinami innych ludzi. Dziś wieczorem pracowała po godzinach i nie miała żadnego powodu oczekiwać, że Rosie będzie w Hot Pot... a mimo to spodziewała się zastać ją tam. Można to nazwać kobiecą intuicją.

Obrzuciła przelotnym spojrzeniem wielkiego faceta przechodzącego ulicę obok niej. Wydało jej się, że kilka minut temu widziała go przy kiosku z gazetami w holu Whitestone. Mogłaby uznać go za kogoś interesującego, gdyby nie jego oczy... pozbawione wszelkiego wyrazu. Zerknął na nią, gdy wchodzili na chodnik po drugiej stronie ulicy. Pustka, jaką dostrzegła w jego oczach, jakaś dziwna ukryta za nimi nieobecność, zmroziła jej krew.

3

Siedząca w Hot Pot Rosie nagle doszła do wniosku, że ma ochotę na drugą filiżankę herbaty. Nie miała żadnego powodu oczekiwać, że Pam może tu wpaść — zwykle zachodziła godzinę wcześniej — a jednak spodziewała się tego. Można to nazwać kobiecą intuicją. Wstała i podeszła do kasy.

4

Ta mała suka obok była całkiem niezła — pomyślał Norman; opięty czerwony kombinezon, ładny mały tyłek. Został kilka kroków za nią — żeby mieć lepszy widok, moja droga — ale niemal w tej samej chwili weszła do małej restauracji. Norman zerknął w okno przechodząc, ale nie zobaczył nic ciekawego, tylko kupę starych bab zażerających gumowate świństwa i złojących kawę lub herbatę oraz kilku kelnerów biegających w kółko w ten ich pedałkowaty sposób.

Te stare baby na pewno to lubią — zastanawiał się Norman. — Takie pedałkowane przebieranie nogami na pewno odbija się na napiwkach. Musi, bo inaczej dlaczego dorośli mężczyźni chodziliby w taki sposób? Przecież wszyscy nie mogą być pedałkami... no nie?

Jego spojrzenie — przelotne i pozbawione zainteresowania — padło na kobietę znacznie młodszą od wyblakłych, wysztafirowanych damulek siedzących przy większości stolików. Szła od okna w kierunku kasy na drugim końcu herbaciarni (a przynajmniej tak chyba nazywają się takie miejsca jak to). Szybko zerknął na jej tyłek, po prostu dlatego, że jego oczy zawsze podążały w tym kierunku na widok każdej kobiety nie mającej czterdziestu lat, po czym uznał, że nie jest zły, ale nie aż tak, aby miał pisać o nim list do mamusi.

Rose miała taki tyłek — przypomniał sobie. — Zanim zaniedbała się i zrobił się jej wielki jak jakiś cholerny kredens.

Kobieta, którą dojrzał przez okno, miała też wspaniałe włosy, prawdę mówiąc o wiele lepsze niż tyłek, ale one nie przypominały mu Rosie. Nazywana zawsze przez matkę Normana „brąznetką”, Rosie rzadko robiła coś ze swoimi włosami (a ze względu na ich nijaki, mysi kolor Norman nie mógł mieć jej tego za złe). Zazwyczaj ściągała je gumką w kucyk, a kiedy wychodzili na obiad lub do kina, czasem spinała je jedną z tych elastycznych klamer, jakie sprzedają w drugstore'ach.

Kobieta, na którą przelotnie spojrzął Norman, kiedy zajrzał do Hot Pot, nie była szatynką, lecz wąską w biodrach blondynką, a jej włosy nie były upięte w kucyk czy kok. Opadały jej na plecy, starannie splecione w warkocz.

5

Może najlepszą rzeczą, jaka przydarzyła jej się w tym dniu — lepszą nawet od przekazanej przez Rhodę, zdumiewającej wiadomości, że dla Robbiego Leffertsza Rosie mogła być warta tysiąc dolarów tygodniowo — była mina Pam Heverford, kiedy Rosie odwróciła się od kontuaru z nową filiżanką herbaty. W pierwszej chwili niebieskie oczy Pam prześlizgnęły się po niej bez śladu rozpoznania... a potem wpatrzyły się w nią i rozszerzyły ze zdumienia. Pam zaczęła uśmiechać się, a po chwili dosłownie wrzasnęła, zapewne zagrażając „awarią” co najmniej pół tuzinowi rozruszników serca w tym niewielkim, zatłoczonym pomieszczeniu.

— Rosie? To ty? O... mój... Boże!

— Tak, to ja — odparła Rosie, śmiejąc się i czerwieniąc. Zdawała sobie sprawę z tego, że ludzie odwracają się i patrzą na nie, ale odkryła (cud nad cudami), że wcale nie przejmuje się tym.

Usiadły nad herbatą przy swoim starym stoliku pod oknem i Rosie nawet dała się namówić Pam na następne ciastko, chociaż od chwili przyjazdu do tego miasta straciła prawie siedem kilogramów i nie miała zamiaru znów przytyć.

Pam powtarzała, że nie mogła uwieerzyć, po prostu nie mogła uwieerzyć, co Rosie uznałaby za zwyczajne pochlebstwo, gdyby Pam raz po raz nie przenosiła spojrzenia z jej twarzy na fryzurę, jakby upewniając się, że to prawda.

— Wyglądasz pięć lat młodziej — orzekła w końcu. — Do licha, Rosie, wyglądasz jak nieletnia!

— Za pięćdziesiąt dolarów powinnam wyglądać jak Marilyn Monroe — odparła z uśmiechem Rosie... Od czasu rozmowy z Rhodą przestała już sobie tak wyrzucać ten wydatek.

— Jak wpadłaś... — zaczęła Pam i urwała. — To ten obraz, który kupiłaś, prawda? Uczesałaś się tak samo jak kobieta na obrazie.

Rosie pomyślała, że teraz obleje się rumieńcem, ale nie zaczerwieniła się. Po prostu kiwnęła głową.

— Bardzo spodobała mi się ta fryzura i postanowiłam ją wypróbować. — Zawahała się, a potem dodała: — A co do zmiany koloru, to wciąż nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam. Po raz pierwszy w życiu utleniłam sobie włosy.

— Po raz pierwszy! Nie wierzę!

— To prawda.

Pam pochyliła się nad stołem i powiedziała ochryplym konspiratorskim szeptem:

— Stało się, prawda?

— O czym ty mówisz? Co się stało?

— Spotkałaś kogoś interesującego.

Rosie otworzyła usta. Zamknęła je. I znowu otworzyła, nie mając zielonego pojęcia, co zamierza powiedzieć. Okazało się, że nic. Zamiast mówić, wybuchnęła śmiechem. Uśmieła się do łez, a zanim przestała, Pam śmiała się z nią.

6

Rosie nie potrzebowała klucza do bramy budynku przy Trenton Street 897 — w tygodniu nie zamykano jej do ósmej wieczorem — jedynie kluczyka do otwarcia skrzynki pocztowej (z przyklejonym na niej napisem R. McCLENDON, śmiało głoszącym, że tu jest jej miejsce), w której nie znalazła nic oprócz ulotki Wal-Mart). Wchodząc po schodach na pierwsze piętro, wyciągnęła następny klucz. Ten otwierał drzwi do jej pokoju i nie miał go nikt poza nią i

gospodarzem budynku. Podobnie jak klucz do skrzynki, stanowił jej własność. Bolały ją nogi — przeszła ponad cztery kilometry z centrum miasta, zbyt podniecona i szczęśliwa, żeby wsiadać do autobusu, potrzebująca więcej czasu do namysłu i marzeń, niż miałyby w autobusie. Mimo dwóch zjedzonych w Hot Pot ciastek była głodna, lecz ciche burczenie w brzuchu raczej powiększało, niż zmniejszało jej poczucie szczęścia. Czy kiedykolwiek w życiu była tak zadowolona? Chyba nie. To uczucie powoli przeniknęło jej ciało i chociaż stopy miała obolałe, czuła przyjemną lekkość. I mimo długiego spaceru wcale nie bolały ją nerki.

Teraz, wszedłszy do mieszkania (i tym razem nie zapomniawszy zamknąć za sobą drzwi), Rosie znów zaczęła chichotać. Pam i ten jej „ktoś interesujący”. Musiała przyznać się jej do kilku rzeczy — w końcu zamierzała przyprowadzić Billa na sobotni koncert Indigo Girls i wtedy zobaczą go kobiety z Córek i Sióstr. Kiedy jednak protestowała, że utleniła i zaplotła sobie włosy w warkocz wcale nie ze względu na niego, Pam tylko zabawnie postawiła oczy w słup i mrugnęła znacząco. To było irytujące... ale także bardzo miłe.

Otworzyła okno, wpuszczając łagodne powietrze późnej wiosny i odgłosy z parku, po czym poszła do kuchenki, gdzie leżała książka obok kwiatów, które Bill przyniósł jej we wtorek wieczorem. Kwiaty już zwiędły, ale nie była w stanie ich wyrzucić. Nie, przynajmniej nie przed sobotą. Zeszłej nocy śniła o nim, śniła, że jadą razem jego motocyklem. Jechał coraz szybciej i szybciej, aż w pewnej chwili przyszło jej do głowy cudowne słowo. Teraz nie mogła sobie przypomnieć, co to było za słowo, jakieś bzdurne *deffle* czy *feffle*, ale we śnie wydawało się piękne... i potężne. „Nie wymawiaj go, dopóki naprawdę, naprawdę nie musisz” — mówiła sobie, gdy mknęli jakąś wiejską szosą, mając po lewej góry, a po prawej jezioro migoczące wśród świerków błękitnymi i słonecznymi błyskami. Przed nimi było zarośnięte wzgórze i wiedziała, że po drugiej stronie znajduje się zrujnowana świątynia. „Nie wymawiaj go, dopóki naprawdę nie musisz się oddać, ciałem i duszą”.

Wypowiedziała to słowo; wyleciało z jej ust jak błysk wyładowania. Koła Billowego harleya oderwały się od szosy — przez moment widziała przednie, obracające się ponad dziesięć centymetrów nad jezdnią, i zobaczyła ich cień nie obok, lecz — nie wiadomo dlaczego — pod nimi. Bill pokręcił manetką gazu i nagle śmignęli w jasnoniebieskie niebo, unosząc się ponad drogę biegnącą między drzewami, tak jak łódź podwodna wynurza się na powierzchnię oceanu. Obudziła się w swoim łóżku, w wymiętej pościeli, drząc i dysząc pod wpływem jakiegoś żaru, który zdawał się płonąć gdzieś w głębi jej duszy, niewidzialny, lecz potężny, jak słońce podczas zaćmienia.

Bardzo wątpiła, czy poleciliby, choćby wymówiła nie wiadomo ile czarodziejskich zaklęć, postanowiła jednak, że zostawi jeszcze te kwiaty. Może nawet zasuszy kilka między kartkami tej książki.

Kupiła ją w Elaine's Dreams, gdzie zmieniła uczesanie. Jej tytuł brzmiał: *Prosto, lecz elegancko: dziesięć fryzur, jakie możesz zrobić w domu*.

— Są niezłe — powiedziała jej Elaine. — Oczywiście, zawsze lepiej czesać się u zawodowego fryzjera, takie jest moje zdanie, ale jeśli kogoś nie stać na to co tydzień, ze względu na czas lub pieniądze, a na myśl o telefonowaniu pod numer osiemset i zamówieniu Topsy Tail masz ochotę palnąć sobie w łeb, to rozsądny kompromis. Tylko, na miłość boską, obiecaj mi, że jeśli jakiś facet zaprosi cię na tańce do wiejskiego klubu w Westwood, najpierw przyjdiesz do mnie.

Rosie usiadła i otworzyła książkę na stronicy z fryzurą numer 3, „klasycznym warkoczem”... który, jak informowała broszura, był znany również pod nazwą klasycznego francuskiego warkocza. Przejrzała czarno-białe zdjęcia przedstawiające kobietę najpierw rozdzielającą, a potem zaplatającą włosy, a kiedy doszła do końca, zaczęła powtarzać poszczególne fazy w odwrotnej kolejności, rozplatając warkocz. Rozpuszczanie włosów wieczorem okazało się znacznie łatwiejsze niż ich zaplatanie rano; wtedy kosztowało ją to

czterdzieści pięć minut i kilka przekleństw, zanim wyglądały mniej więcej tak jak w chwili, gdy opuszczała Elaine's Dreams. Ten trud opłacił się; szczerzy okrzyk podziwu Pam w Hot Pot był wart tego i znacznie większego wysiłku.

Kończąc, wróciła myślami do Billa Steinera (właściwie myślała o nim przez cały czas). Zastanawiała się, czy spodoba mu się jej warkocz. Czy spodoba jej mu się jej włosy blond. I czy w ogóle zauważy te zmiany. Zastanawiała się, czy byłaby nieszczęśliwa, gdyby nie zauważył, po czym westchnęła i zmarszczyła nos. Oczywiście, że byłaby. Z drugiej strony, jeśli nie tylko zauważy, ale zareaguje tak, jak Pam (oczywiście, bez pisku)? Może nawet porwie ją w ramiona, jak opisywano w romansach...

Sięgnęła po torebkę, aby wyjąć z niej grzebień, i zaczynając snuć nieszkodliwe marzenia o sobotnim ranku — o Billu zawiązującym na końcu warkocza kawałek aksamitnej wstążki (pytanie, dlaczego miałyby mieć przy sobie kawałek aksamitnej wstążki, nie wymagało żadnej odpowiedzi; to było bardzo miłe w takich snach na jawie przy kuchennym stole). Nagle te rozważania przerwał jej cichy dźwięk dolatujący z drugiego końca pokoju.

Cyk. Cyk-cyk.

Świerszcz. Dźwięk nie dochodził z Bryant Parku przez otwarte okno pokoju. Rozlegał się znacznie bliżej.

Cyk-cyk. Cyk-cyk.

Powiodła wzrokiem po boazerii i dostrzegła jakiś ruch. Wstała, otworzyła szafkę na lewo od zlewu i wyjęła szklankę. Przeszła przez pokój, przystanąła, aby wziąć z fotela broszurkę Wal-Mart, a potem uklękła przy owadzie, który podążał w pusty południowy kąt pokoju, gdzie zamierzała postawić telewizor, gdyby kupiła go, zanim wyprowadzi się stąd. Po minionym dniu przeprowadzka do większego mieszkania — i to niebawem — wydawała się czymś więcej niż tylko marzeniem.

To był świerszcz. Jak dostał się tutaj, na pierwsze piętro, pozostawało zagadką, ale zdecydowanie był to świerszcz. Potem znalazła odpowiedź na to pytanie, wyjaśniającą jednocześnie, dlaczego słyszała go przed zaśnięciem. Świerszcza musiał przynieść Bill, pewnie w mankiecie spodni. Mały dodatkowy prezent oprócz kwiatów.

Zeszłej nocy nie słyszałaś tylko jednego świerszcza — odezwała się nagle Praktycznie-Rozsądna. Ten głos ostatnio rzadko się odzywał. Brzmiał niepewnie i lekko ochryple. — Słyszałaś całą łakę świerszczy. Albo cały park.

Bzdury — pomyślała z przekonaniem, nakrywając owada szklanką. Wsunęła pod nią broszurę reklamową i poszturchiwała owada krawędzią papieru, aż podskoczył, pozwalając jej zakryć odwrócone naczynie. — W myślach zrobiłam z jednego owada cały chór, to wszystko. Pamiętaj, że zasypiałam. Pewnie byłam już w półśnie.

Podniosła szklankę i odwróciła ją, przytrzymując broszurę tak, żeby owad nie zdołał wyskoczyć. Podskakiwał energicznie w górę i w dół, opancerzonym grzbietem stukając w reklamę nowej powieści Johna Grishama, którą można nabyć w Wal-Mart za jedyne szesnaście dolarów plus VAT. Nucąc *When you wish upon a star*, Rosie zaniosiła świerszcza do otwartego okna, usunęła broszurkę i wystawiła naczynie na zewnątrz. Owady mogą spadać ze znacznie większych wysokości niż ta i wychodzić z tego bez szwanku (a właściwie wyskakiwać, poprawiła się w myślach). Była pewna, że czytała gdzieś o tym, a może widziała to w jakimś programie przyrodniczym.

— Dalej, mały — zachęciła go. — Bądź grzecznym chłopcem i skacz. Widzisz ten park? Wysoka trawa, pełno rosy do picia, mnóstwo dziewczynek-świer...

Urwała. Ten łobuz nie został wniesiony na górę w mankiecie spodni Billa, ponieważ w poniedziałek wieczór, kiedy Bill zabrał ją na kolację, miał na sobie dzinsy. Odtworzyła sobie wszystko w pamięci, chcąc mieć pewność, i znalazła tę samą informację, bez cienia wątpliwości. Koszula poło i levisy bez mankietów. Pamiętała, że uspokoiła się widząc jego strój, gdyż nabrała pewności, że nie zamierza zabrać ją w jakieś ekskluzywne miejsce, gdzie

będą gapić się na nią.

Niebieskie dzinsy bez mankietów.

A zatem skąd wziął się ten mały gość?

Jakie to ma znaczenie? Jeśli świerszcz nie zawędrował na górę w mankiecie spodni Billa, to pewnie przybył tu przeniesiony przez kogoś innego i wyskoczył na piętrze, kiedy zrobił się niespokojny — dzięki za jazdę, koleś. Potem po prostu prześlizgnął się przez szparę pod jej drzwiami i co z tego? Znała mniej przyjemnych nieproszonych gości.

Jakby przytakując jej myślom, świerszcz nagle wyskoczył z naczynia i poleciał w dół.

— Miłego dnia — powiedziała Rosie. — Wpadnij kiedyś. Serio.

Kiedy cofnęła rękę ze szklanką, lekki podmuch wiatru wyrwał jej z palców broszurę Wal-Mart, która furkocząc opadła na podłogę. Rosie schyliła się po nią i zastygła z wyciągniętą ręką tuż przy broszurce. Obok listwy przypodłogowej leżały jeszcze dwa świerszcze, oba martwe, jeden na boku, a drugi na grzbiecie, ze sterzczącymi w powietrzu małymi nóżkami.

Jednego świerszcza mogła zrozumieć i zaakceptować, ale trzy? Na pierwszym piętrze? Jak można to wyjaśnić?

Teraz Rosie dostrzegła coś jeszcze, coś, co leżało w szczelinie między deskami, niedaleko martwych owadów. Uklękła, wyłowiła to ze szpary i podniosła.

To był kwiat koniczyny. Mała różowa koniczynka.

Spojrzała na szczelinę, z której ją wyjęła; znów popatrzyła na parę nieżywych świerszczy; a potem powoli powiodła spojrzeniem w górę, po pomalowanej na kremowo ścianie... do obrazu, wiszącego tam przy oknie. Ku Rose Madder (równie dobre nazwisko jak każde), stojącej na wzgórzu, z nowo odkrytym kucykiem skubiącym trawę za jej plecami.

Słyszając bicie swego serca — jak donośny, powolny, głuchy werbel — Rosie nachyliła się w stronę obrazu, do pyska kucyka, wpatrując się w warstwy farby, dostrzegając pojedyncze maźnięcia pędzla. Pod pyskiem konika był oliwkowozielony gąszcz traw, które zdawały się namalowane szybkimi, wielokrotnymi pociągnięciami. Wśród nich były rozsiane małe różowe plamki. Koniczyna.

Rosie popatrzyła na maleńki różowy kwiatusek na jej dłoni, a potem porównała go z koniczyną na obrazie. Kolor był identyczny. Nagle, bez uprzedniego namysłu, uniosła rękę do warg i zdmuchnęła kwiatek w kierunku obrazu. Prawie oczekiwała (no, nawet więcej: przez chwilę była wręcz przekonana), że mała różowa kulka wniknie w powierzchnię płótna i przejdzie do świata wykreowanego przez jakiegoś nieznanego artystę sześćdziesiąt, osiemdziesiąt, a może nawet sto lat temu.

Oczywiście tak się nie stało. Różowy kwiatek uderzył w szkło (to niezwykle, żeby obraz olejny był za szkłem, powiedział Robbie w dniu, kiedy go poznała), odbił się i upadł na podłogę jak strzęp bibułki zwiniętej w kulkę. Może obraz był zaczarowany, ale pokrywające go szkło na pewno nie.

A więc jak wydostały się świerszcze? Bo przecież tak właśnie było, prawda? Świerszcze i kwiat koniczyny w jakiś sposób wydostały się z obrazu?

Boże pomóż, ale właśnie tak myślała. Miała wrażenie, że kiedy znajdzie się z dala od tego pokoju i wśród ludzi, uzna ten pomysł za śmieszny lub całkiem o nim zapomni, lecz teraz właśnie tak myślała: że świerszcze wyskoczyły z trawy osłaniającej stopy blondynki w jaskraworóżowym chitonie. Jakoś przeskoczyły ze świata Rose Madder do świata Rosie McClendon.

Jak? Czy przeniknęły przez szkło?

Nie, oczywiście, że nie. To głupota, ale...

Wyciągnęła lekko drżące ręce i zdjęła obraz ze ściany. Zaniósła go do kuchenki, postawiła na stole, a potem odwróciła. Nakreślone węglem słowa były bardzo zatarte; gdyby nie widziała ich wcześniej, nie byłaby pewna, że głosiły ROSE MADDER.

Z wahaniem, czując teraz lekki przestрах (a może czuła go cały czas, tylko dopiero teraz

uświadomiła to sobie), dotknęła oprawy. Papier zaszeleścił pod dotknięciem. Zaszeleścił zbyt mocno. A kiedy przycisnęła go na dole, gdzie zniknął pod ramą, napotkała coś... jakies zgrubienie...

Przełknęła ślinę czując, że w gardle zupełnie jej zaschło. Ręką, która wydawała się należeć do kogoś innego, otworzyła jedną z kuchennych szuflad, wyjęła nóż do mięsa i powoli przyłożyła jego ostrze do brązowego papieru.

Nie rób tego! — wrzasnęła Praktycznie–Rozsądna. — Nie rób tego, Rosie, nie wiesz, co może stamtąd wyjść!

Przez moment trzymała czubek noża przytknięty do brązowego papieru, a potem odłożyła na chwilę narzędzie. Podniosła obraz i spojrzała na spód ramy, zauważając jednocześnie, że mocno trzęsą się jej ręce. To, co zobaczyła — biegnące wzdłuż drewnianej ramy pęknięcie mające w najszerszym miejscu co najmniej kilkanaście milimetrów — wcale jej nie zaskoczyło. Położyła obraz ponownie na stole, przytrzymując go prawą ręką, a lewą — używaną częściej — znów przyłożyła czubek noża do brązowego papieru.

Nie, Rosie. Tym razem Praktycznie–Rozsądna nie wrzasnęła, lecz jęknęła. Proszę, nie rób tego, proszę, zostaw to w spokoju. Tylko że jej rady były śmieszne, kiedy o tym pomyśleć; gdyby Rosie słuchała ich od początku, wciąż żyłaby z Normanem. Albo umierała przy nim.

Za pomocą noża rozcięła oprawę na dole, tam, gdzie wyczuła te wypukłości. Pół tuzina świerszczy wypadło na stół, cztery z nich martwe, jeden słabo poruszający nóżkami, a szósty dostatecznie żwawy, aby zeskokczyć ze stołu i wpaść do zlewu. Razem ze świerszczami wypadło kilka kulek koniczyny, kilka źdźbeł trawy... i kawałek zeschniętego liścia. Rosie podniosła go i obejrzała z zaciekawieniem. To był liść dębu. Była tego prawie pewna.

Pracując ostrożnie (i ignorując głos Praktycznie–Rozsądnej), Rosie nożem do mięsa przecięła papier wokół ramy. Kiedy usunęła okleinę, wypadły kolejne polne skarby: mrówki (większość nieżywa, ale trzy lub cztery jeszcze się poruszały), pulchne zwłoki trzmiela, kilka płatków stokrotek, jakie obrywa się z kwiatka mamrocząc: „kocha — nie kocha”... oraz kilka cienkich, białych włosów. Rosie podniosła je do światła, mocniej ściskając w prawej dłoni odwrócony obraz i dreszcz przeleciał jej po plecach, jak wstrząsy wywołane tupotem wielkich nóg na schodach.

Gdyby zaniósła te włosy do weterynarza i poprosiła, aby obejrzał je pod mikroskopem, Rosie wiedziała, co by jej powiedział: to końskie włosie. A dokładnie mówiąc, sierść małego, włochoatego kucyka. Konika, który skubał trawę w innym świecie.

Tracę rozum — pomyślała spokojnie i nie był to głos Praktycznie–Rozsądnej: to był jej własny wewnętrzny głos, ten przemawiający z samego jądra jej jaźni. Nie był rozhisteryzowany czy przestraszony; przemawiał racjonalnie, spokojnie i z lekkim podziwem. Podejrzewała, że takim samym tonem informowałby o dniach czy tygodniach dzielących ją od nieuchronnej śmierci, której nadejścia nie dałoby się już zaprzeczyć.

Tylko że ona wcale nie wierzyła, iż traci rozum, nie w taki sposób, w jaki byłaby zmuszona uwierzyć w ostateczny charakter — powiedzmy — raka w pewnym stadium rozwoju. Rozcięła okleinę obrazu i wypadły z niej źdźbła trawy, włosy oraz owady — niektóre jeszcze żywe. Czy tak trudno w to uwierzyć?

Kilka lat wcześniej czytała w gazecie o kobiecie, która odkryła małą fortunę w zupełnie dobrych akcjach schowanych w starym portrecie rodzinnym; w porównaniu z tym kilka owadów wyglądało całkiem skromnie.

To są żywe owady, Rosie? A co z koniczyną, jeszcze świeżą, i trawą, wciąż zieloną? Liść był suchy, ale wiesz, co o tym myślisz...

Myślała, że spadł zeschnięty. Na obrazie było lato, lecz nawet w czerwcu można znaleźć w trawie zeschnięte liście.

Powtarzam ci, tracisz rozum.

A jednak te przedmioty były tu, porozrzucane na kuchennym stole — garść owadów i

trawy.

Przedmioty.

Nie senne omamy czy halucynacje, ale namacalne przedmioty.

I było jeszcze coś, problem, którego nie zamierzała na razie rozpatrywać. Ten obraz przemawiał do niej. Nie, nie głośno, lecz mimo to mówił do niej od pierwszej chwili, kiedy go ujrzała. Z tyłu miał wypisane jej imię — przynajmniej tak się zdawało — a wczoraj wydała więcej niż było ją stać, żeby upodobnić swoje uczesanie do fryzury kobiety na obrazie.

W przypiływie determinacji wsunęła ostrze kuchennego noża pod górną część ramy i podważyła ją. Zaniechałaby tego natychmiast, gdyby poczuła jakikolwiek opór — to był jedyny nóż kuchenny, jaki miała, i nie chciała go złamać — ale gwoździe trzymające ramę łatwo ustąpiły. Ściągnęła górę, wolną ręką przytrzymując szkło, żeby nie wypadło na blat i nie rozbiło się, po czym odłożyła je na bok. Kolejny martwy świerszcz stuknął o blat. Po chwili trzymała w rękach płótno. Po usunięciu ramy i szkła miało około osiemdziesięciu centymetrów długości i może czterdzieści pięć centymetrów wysokości. Rosie delikatnie przesunęła palcem po wyschniętej farbie, wyczuwając warstwy o minimalnie różnej grubości, nawet najdrobniejsze ślady pozostawione przez pędzel artysty. To było interesujące, trochę niesamowite wrażenie, lecz nie miało w sobie nic nadnaturalnego; jej palec nie przeszedł przez powierzchnię obrazu do innego świata.

Telefon, który poprzedniego dnia kupiła i podłączyła do gniazdka w ścianie, zadzwonił pierwszy raz. Głośność miał nastawioną na maksymalną, więc Rosie podskoczyła i krzyknęła, słysząc nagły, przeraźliwy dźwięk. Ręka jej drgnęła i wyciągnięty palec o mało nie przebił płótna.

Położyła obraz na kuchennym stole i pośpieszyła do telefonu, mając nadzieję, że to Bill. Jeśli tak, to poprosi go, żeby przyszedł — przyszedł i dobrze przyjrzał się temu dziełu. I pokaże mu tę kupkę śmieci, które wypadły z obrazu. Te wszystkie przedmioty.

— Halo?

— Halo, Rosie? — To nie Bill. Jakaś kobieta. — Mówi Anna Stevenson.

— Och, Anna! Cześć! Jak się masz?

Ze zlewu dobiegło natarczywe cyk-cyk.

— Niezbyt dobrze — odparła Anna. — Naprawdę niezbyt dobrze. Wydarzyło się coś bardzo przykrego i muszę ci o tym powiedzieć. Może to nie ma nic wspólnego z tobą, z całego serca mam taką nadzieję, ale może mieć.

Rosie usiadła, przestraszona tak, jak nie była nawet wtedy, gdy poczuła ciała martwych świerszczy pod okleiną obrazu.

— Co takiego, Anno? Co się stało?

Z rosnącym przerażeniem Rosie wysłuchiwała relacji. Anna zapytała ją także, czy Rosie chce przyjść do Córek i Sióstr i spędzić tam noc.

— Nie wiem — odparła ogłuszona Rosie. — Muszę to przemyśleć. Ja... Anno, muszę teraz do kogoś zatelefonować. Odezwę się później.

Rozłączyła się, nie czekając na odpowiedź. Wykręciła 411, zapytała o numer, a następnie połączyła się z nim.

— Miasto Wolności — usłyszała niemłody głos.

— Czy mogę mówić z panem Steinerem?

— Mówi Steiner — odparł rozmówca lekko ochryłym i jakby rozbawionym głosem. Rosie przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć, ale zaraz przypomniała sobie, że Bill prowadzi interes razem z ojcem.

— Bill — zaczęła. W gardle znów jej zaschło i mówienie sprawiało jej ból. — Bill... czy zastałam go?

— Chwileczkę, panienko. — Szmer i stuk odkładanej słuchawki, a potem, w oddali:

„Billy! Jakaś pani do ciebie!”

Rosie zamknęła oczy. Usłyszała odległe cykanie świerszcza w zlewie: Cyk–cyk.

Długa, nieznośna pauza. Łza wyslizgnęła się spod rzęs jej lewego oka i spłynęła po policzku. Towarzyszyła jej druga, po prawej, i Rosie przypomniał się urywek starej piosenki country: *Weil, the race is on and here comes Pride up the backstretch... Heartache is goin to the inside...* Otarła łzy. Tyle ich już przelała w swoim życiu. Jeżeli Hindusi mieli rację co do reinkarnacji, to wołała nie myśleć, czym była w poprzednim wcieleniu.

Ktoś podniósł słuchawkę.

— Halo? — To był głos, który słyszała w snach.

— Halo, Bill.

Dźwięk, jaki wydobył się z jej ust, nie był nawet szeptem. Przypominał cień szeptu.

— Nic nie słyszę — rzekł Bill. — Czy może pani mówić głośniej?

Nie chciała mówić głośniej; chciała rozłączyć się. Ale nie mogła. Jeśli Anna miała rację, to Bill też mógł mieć kłopoty, bardzo poważne kłopoty. Jeżeli zostanie przez tego kogoś uznany za zbyt bliską jej osobę. Odchrząknęła i spróbowała jeszcze raz.

— Bill? Tu Rosie.

— Rosie! — zawołał, wyraźnie uradowany. — Cześć, jak się masz?

Jego niezmacona, nie skrywana radość tylko pogorszyła sprawę; nagle poczuła się tak, jakby ktoś wbijał jej nóż w brzuch.

— Nie mogę pójść z tobą w sobotę — powiedziała szybko. Łzy płynęły teraz coraz obficie, sącząc się spod powiek jak jakiś paskudny, ciepły smar. — W ogóle nie mogę z tobą iść. Byłam szalona myśląc, że mogę.

— Oczywiście, że możesz! Jezu, Rosie! O czym ty mówisz? Obawa w jego głosie — nie złość, której oczekiwała, lecz obawa — bolała, ale jeszcze gorsze było niedowierzanie. Nie mogła tego znieść.

— Nie dzwoń do mnie i nie przychodź — wyrzuciła z siebie i nagle ze straszliwą wyrazistością ujrzała Normana, stojącego w ulewnym deszczu po drugiej stronie ulicy, z podniesionym kołnierzem płaszcza, w blasku latarni ulicznej, ledwie oświetlającym dolną połowę twarzy, stojącego tam jak jeden z tych piekielnych, brutalnych łotrów z powieści Richarda Racine’a.

— Rosie, nie rozumiem...

— Wiem, ale tak jest najlepiej. — Jej głos drżał i zaczynał się łamać. — Po prostu trzymaj się ode mnie z daleka, Bill.

Szybko odłożyła słuchawkę, patrzyła przez chwilę na telefon, a potem wydała głośny, bolesny krzyk. Odepchnęła aparat od siebie. Słuchawka poleciała tak daleko, jak pozwalał jej przewód, i legła na podłodze, a sygnał dziwnie przypominał granie świerszczy, które usypiało ją w poniedziałkową noc. Nie mogła znieść tego dźwięku, poczuła nagle, że jeśli będzie go słuchać choć pół minuty, pęknie jej głowa. Wstała, podeszła do ściany, przykucnęła i wyjęła wtyczkę z gniazdka. Kiedy próbowała się wyprostować, drżące nogi odmówiły posłuszeństwa. Siedziała na podłodze, kryjąc twarz w dłoniach i pozwalając płynąć łzom. Nie miała wyboru.

Anna raz po raz powtarzała, że nie jest pewna, że Rosie również nie może być pewna, że można tylko podejrzewać. Lecz Rosie była pewna. To Norman. Norman był tutaj, Norman do reszty postradał rozum, Norman zabił byłego męża Anny — Petera Słowika, i Norman szukał jej.

napotkać spojrzenie swojej żony, Norman wszedł do taniego sklepu zwanego Nie Więcej Jak 5. Motto firmy brzmiało: „Każdy artykuł kosztuje mniej niż pięć dolarów”. Było wydrukowane pod wyjątkowo kiepską podobizną Abrahama Lincolna. Prezydent miał szeroki uśmiech na brodatej twarzy i mrugał znacząco, a Normanowi Danielsowi wydał się podobny do faceta, którego kiedyś aresztował za uduszenie żony i czworga dzieci. W tym sklepie, znajdującym się dosłownie o rzut kamieniem od lombardu POŻYCZKI POD ZASTAW, Norman kupił to, co zamierzał dziś użyć: parę okularów przeciwsłonecznych i czapkę z napisem CHISOX nad daszkiem.

Opierając się na swoim przeszło dziesięcioletnim stażu pracy w policji, Norman uważał, iż przebranie się w jakiś strój ma sens tylko w trzech wypadkach: w filmach szpiegowskich, w opowiadaniach o Sherlocku Holmesie i na przyjęciach z okazji Halloween. Szczególnie bezsensowne było przebieranie się w ciągu dnia, kiedy makijaż zawsze wygląda jak makijaż, a strój jak strój. A te panienki z Córek i Sióstr, tego współczesnego burdelu, do którego posłał jego dziką Różę koleś Normana, Peter Słowik, co w końcu wyznał, muszą być szczególnie wyczulone na drapieżców kręcących się wokół ich wodopoju. Dla takich panienek paranoja jest czymś więcej niż przyzwyczajeniem — jest po prostu sztuką.

Czapeczka i czarne okulary zupełnie wystarczą. Na popołudnie zaplanował jedynie to, co Gordon Satterwaite, jego pierwszy partner, nazwałby „małymi zwiadami”. Gordon lubił też łapać swojego młodego współpracownika i mówić mu, że pora pobawić się w „starego tajniaka”. Gordon był grubym, śmierzącym, żującym tytoń niechlujem o brązowych zębach i Norman gardził nim niemal od chwili, kiedy go zobaczył. Gordon był policjantem przez dwadzieścia sześć lat, a inspektorem przez piętnaście, ale nie czuł swojej roboty. Norman miał to wycucie. Nie lubił tej roboty i nienawidził popaprańców, z którymi musiał gadać (a czasem nawet zadawać się, jeśli działał w podziemiu), ale wyczuwał ją i to wycucie okazało się nieocenione. Pomogło mu rozwiązać sprawę, która dała mu awans, sprawę, która zrobiła z niego — choć na krótko — ulubieńca środków przekazu. Podczas tego dochodzenia, jak w większości zorganizowanych przestępstw, prowadzący śledztwo znaleźli się w punkcie, gdzie trop, którym podążali, zniknął w zdumiewającym labiryncie poplątanych śladów. Jeśli chodzi o handlarzy narkotyków, to różnica polegała na tym, że Norman Daniels — po raz pierwszy w swojej karierze — kierował akcją i kiedy zawiodła logika, on bez wahania zrobił to, czego przeważnie obawiają się lub nie umieją gliniarze: zawierzył całą swoją przyszłość intuicji i kierował się nią, agresywnie i nieustraszenie prąc naprzód.

Dla Normana nie było czegoś takiego jak „małe zwiady”; on uznawał jedynie *trolling*. Kiedy się nie wie, co robić, idzie się w jakieś miejsce łączące się ze sprawą i przypatruje się mu z otwartym umysłem, wolnym od bezwartościowych pomysłów i niedowarzonych przypuszczeń. Robiąc to, człowiek jest jak facet siedzący w wolno płynącej łodzi, zarzucający wędkę i zwijający żyłkę, zarzucający i zwijający, czekający aż coś się złapie. Czasem nie złapie się nic. Czasami wyciąga się podwodny konar, stary kalosz albo taką rybę, jakiej nie ruszyłby nawet głodny szop.

Bywa jednak, że złapie się coś smacznego.

Włożył czapeczkę i okulary, a potem skrzył w lewo w Harrison Street, zdążając w kierunku Durham Avenue. Od miejsca, gdzie znajdował się dom Córek i Sióstr, dzielił go prawie pięciokilometrowy spacer, ale Normanowi to nie przeszkadzało; wykorzysta ten czas na oczyszczenie swojego umysłu. Zanim dotrze do numeru 251, będzie jak czysty kawałek papieru fotograficznego, gotowy przyjąć wszelkie obrazy i pomysły, nie dopasowując ich do własnych wyobrażeń. Jeśli nie miało się żadnych wyobrażeń, nie popełniało się błędu.

W tylnej kieszeni spodni miał mapę, za którą przepłacił w hotelu, ale tylko raz przystanął i sprawdził trasę swego marszu. Był w mieście zaledwie tydzień, lecz już orientował się w nim znacznie lepiej niż Rosie i to również było nie tyle wynikiem treningu, ile wrodzonym darem.

Kiedy poprzedniego dnia rano obudził się z bólem rąk, ramion i krocza, ze szczękami zbyt

obolałymi, by otworzyć usta szerzej niż do połowy (próba porannego ziewnięcia po przebudzeniu była okropną męczarnią), z przestrachem uświadomił sobie, że to, co zrobił z Peterem Słowikiem — *alias* Thumpersteinem, *alias* Zdumiewającym Żydkiem — mogło być błędem. Trudno powiedzieć jak poważnym, ponieważ większość tego, co zdarzyło się w domu Słowika, pozostawało niewyraźnym wspomnieniem, ale jednak błędem. Zanim dotarł do kiosku z gazetami w holu hotelu, zdecydował, że nie ma tu żadnego „może”. Gdybanie jest dobre dla głupków — tak głosiła milcząca, lecz zaciekle przestrzegana doktryna będąca podwaliną jego kodeksu życiowego od najmłodszych lat, kiedy matka odeszła, a ojciec naprawdę polubił bicie.

Kupił w kiosku gazetę i przejrzał ją szybko w windzie, jadąc z powrotem na górę, do swego pokoju. Nie było w niej nic o Peterze Słowiku, lecz Norman poczuł tylko lekką ulgę. Może ciała Thumpera nie odkryto dostatecznie wcześnie, żeby ten fakt znalazł się w porannym wydaniu; w rzeczy samej, mogło wciąż leżeć tam, gdzie je zostawił (gdzie sądził, że je zostawił, poprawił się w myślach; wszystko to było takie mgliste), wepchnięte za piec centralnego ogrzewania w piwnicy. Jednak nieobecność takich facetów jak Thumper, facetów, którzy udzielają się społecznie i mają mnóstwo serdecznych przyjaciół, nie pozostanie długo nie zauważona. Ktoś zacznie się niepokoić, ktoś inny przyjdzie go szukać w tej jego przytulnej króliczej norce przy Beaudry Place i w końcu ktoś jeszcze inny dokona szczególnie nieprzyjemnego odkrycia za kotłem centralnego ogrzewania.

I rzeczywiście, to czego nie było we wczorajszej gazecie, znalazło się w dzisiejszej, na pierwszej kolumnie z wydarzeniami lokalnymi: SPOŁECZNIK ZAMORDOWANY W DOMU. Autor artykułu napisał, że POMOC PODRÓŻNYM była tylko jedną z wielu form działalności społecznej Thumpera... który wcale nie należał do biednych. W gazecie podano, że jego rodzina — której Thump był ostatnim przedstawicielem — miała szmal. Fakt, że pracował na dworcu autobusowym o trzeciej rano, posyłając zbiegłe żony do tych kurew z Córek i Sióstr, pozwalał Normanowi uznać go za stukniętego albo zboczonego. W każdym razie był typowym zasranym dobroczyńcą, kręcącym się tu i tam, zbyt zajęтым zbawianiem świata, żeby zmienić sobie gacie. Pomoc Podróżnym, Armia Zbawienia, Telefon Zaufania, Fundusz Wspomagania Bośni, Fundusz Wspomagania Rosji (myślałby ktoś, że taki żydek jak Thump będzie miał choć tyle oleju w głowie, żeby podarować sobie tę ostatnią działalność, ale nie) oraz dwie czy trzy „sprawy kobiet”. W artykule nie wymieniono, o jakie sprawy chodzi, ale Norman znał już jedną z nich: Córki i Siostry czyli Małe Lesbije w Krainie Seksu. W sobotę miała odbyć się msza żałobna za Thumpera, a także coś, co w gazecie nazywano „wieczorem pamięci”. Jezu Chryste.

Wiedział, że śmierć Słowika mogą łączyć z którąś formą działalności społecznej... albo z żadną z nich. Gliniarze sprawdzą jego życie osobiste (zakładając, że taki chodzący „pokój do wynajęcia” jak Thump miał życie osobiste) i nie wykluczą możliwości, że była to jedna z tak powszechnych „zbrodni bez motywu”, popełniona przez jakiegoś psychola, który wpadł tam przypadkiem. Jakiegoś faceta lubiącego coś przegrzyć.

Żadna z tych rzeczy nie będzie miała znaczenia dla tych kurew z Córek i Sióstr; Norman był tego tak pewien, jak swojego nazwiska. W pracy zebrał sporo doświadczeń, jeśli chodzi o schroniska i przytulki dla kobiet, w miarę jak ci, o których Norman myślał jako o Współczesnych Wąchaczach Lotosu, naprawdę zdobyli wpływ na ludzkie myśli i zachowania. Według Współczesnych Wąchaczy Lotosu każdy pochodzi z rozbitej rodziny, każdy w duszy pozostaje dzieckiem, i każdy powinien uważać na tych paskudnych, wstrętnych mężczyzn, którzy mają czelność próbować przejść przez życie bez skamlenia, płaczu i korzystania co noc z jakiegoś dwunastoetapowego programu leczenia. Wąchacze Lotosu to pierdoły, ale niektórzy z nich — a kobiety z takich miejsc jak Córki i Siostry często były najlepszym tego przykładem — potrafią być niezwykle ostrożnymi pierdołami. Ostrożnymi? Kurwa. Tacy nadają zupełnie nowe znaczenie określeniu „podejrzliwy

charakter”.

Większość poprzedniego dnia Norman spędził w bibliotece i dowiedział się wielu interesujących rzeczy o Córkach i Siostrach. Najciekawsze było to, że kobieta kierująca tym interesem, Anna Stevenson, była panią Thumperową do roku 1973, kiedy to najwidoczniej rozwiodła się z nim i powróciła do panińskiego nazwiska. Wydawało się to zbiegiem okoliczności tylko dla kogoś, kto nie znał rytuałów godowych Lotosiarzy. Biegali parami, lecz nie potrafili wspólnie chodzić w zaprzęgu, nie na dłuższą metę. W końcu zawsze jedno chciało zrobić „wio”, podczas gdy drugie robiło „pr”. Nie byli w stanie dostrzec prostego faktu: małżeństwa z rozsądku nie są udane.

Była żona Thumpera nie prowadziła swojej placówki tak, jak większość przytułków dla maltretowanych kobiet, których mottem jest „tylko kobiety wiedzą, tylko kobiety mogą”. W niedzielnym dodatku sprzed roku ta Stevenson (Normana uderzyło to, jak bardzo była podobna do tej cipy Maude ze starego programu TV) potępiła ten pomysł jako „nie tylko seksistowski, ale również głupi”. Cytowano także wypowiedź kobiety nazwiskiem Gert Kinshaw. „Mężczyźni nie są naszymi wrogami, dopóki nie udowodnią, że są naszymi wrogami — powiedziała. — Jednak jeśli uderzą, odpowiemy ciosem”. Obok było jej zdjęcie — wielka czarna suka, trochę przypominająca Normanowi chicagowskiego piłkarza Williama „Lodówkę” Perry’ego. „Spróbuj mnie walnąć, kochanie, a zrobię z ciebie trampolinę” — mruknął pod nosem.

To wszystko, chociaż interesujące, nie miało żadnego znaczenia. Różni mężczyźni i kobiety w tym mieście mogli wiedzieć, gdzie znajduje się to miejsce i posyłać tam potrzebujących i mogło ono być prowadzone przez tylko jedną Nowoczesną Lotosiarkę zamiast całej ich komitet, ale Norman był pewien, że pod jednym względem okażą się tacy sami jak ich bardziej tradycyjnie nastawieni pobratymcy: śmierć Petera Słowika będzie dla nich sygnałem alarmowym. Oni nie wyjdą z takich przesłanek, jak gliny; dopóki nie okaże się inaczej, będą zakładać, że śmierć Słowika ma z nimi ścisły związek... a szczególnie z jedną z osób przysłanych przez niego w ciągu ostatnich sześciu czy ośmiu miesięcy. Być może nazwisko Rosie już wypłynęło na wierzch.

A więc dlaczego to zrobiłeś? — zadawał sobie pytanie. — Dlaczego to zrobiłeś, na miłość boską? Były inne sposoby, żeby dotrzeć do tego, co teraz wiesz, i dobrze je znasz. Przecież jesteś gliną, na rany Chrystusa, jasne, że jesteś! Zatem dlaczego pozwoliłeś im coś zwęszyć? Ta kupa tłuszczu z artykułu w gazecie, Brudna Gertie Jakaś tam, pewnie stoi w oknie salonu tego cholernego domu, oglądając sobie przez lornetkę każdego przechodnia, który ma coś między nogami. Oczywiście, o ile do tej pory nie padła na zawał od nadmiaru twinkies. A więc po co to zrobiłeś? Dlaczego?

Znalazł odpowiedź, ale uciekł od niej, zanim zdążyła wyłonić się do końca w jego świadomości; uciekł, gdyż jej implikacje były zbyt okropne. Załatwił Thumpera z tego samego powodu, z jakiego udusił tę rudowłosą kurwę w pomarańczowych szortach — ponieważ coś wypęzło z głębi jego umysłu i kazało mu to zrobić. To coś było tu coraz bardziej i bardziej, a on nie chciał o tym myśleć. Lepiej tego nie robić. Bezpieczniej.

A tymczasem był tutaj: przed nim Pałac Pipek.

Norman swobodnym krokiem przeciął Durham Avenue i poszedł pod domami o parzystych numerach, wiedząc, że ewentualni obserwatorzy uznają człowieka idącego drugą stroną ulicy za mniej groźnego. Obserwatorem, którego obraz wciąż podsuwała mu wyobraźnia, była czarna małpa, której zdjęcie ukazało się w gazecie, wielka beka sadła z potężną lornetką w jednej ręce i topiącą się bryłą mallow cremes w drugiej. Zwolnił trochę, ale niewiele — czerwony alarm, przypominał sobie, ogłosili czerwony alarm.

To był wielki, biały, drewniany dom, niezupełnie wiktoriański, jedna z tych budowli z przełomu wieków, będących trzema kondygnacjami brzydoty. Od frontu wydawał się wąski, ale Norman wychował się w budynku niewiele różniącym się od tego i był gotów założyć się,

że i ten nadrabia to długością, dochodząc niemal do następnej, równoległej ulicy.

I kurwa tu, i kurwa tam — myślał, pamiętając o tym, aby nie zmienić tempa marszu i nie obrzucić domu jednym przeciągłym spojrzeniem, ale kilkoma szybkimi zerknięciami. Kurwa tu i kurwa tam, kurwa będzie wszędzie.

Tak, rzeczywiście. Kurwa będzie wszędzie.

Teraz poczuł pulsującą w skroniach znajomą wściekłość, a z nią przyszedł znajomy obraz, uosabiający wszystko to, czego nie potrafił wyrazić — karta kredytowa. Zielona karta kredytowa, którą ona ośmieliła się ukraść. Obraz tej karty nigdy go nie opuszczał i zaczął symbolizować wszystkie lęki i krzywdy, jakich doznał w życiu — siły, z którymi walczył, twarze (na przykład jego matki — taka biała, nalana i dziwnie zawstydzona), które czasem pojawiały się w jego myślach, kiedy nocą leżał na łóżku i próbował zasnąć, głosy słyszane we snach. Na przykład głos ojca. „Podejź tu, Normie. Mam ci coś do powiedzenia i chcę powiedzieć ci to w cztery oczy”. Czasami to oznaczało cios. Czasem, jeśli miał szczęście, a ojciec był pijany, oznaczało rękę pełną między nogi.

Teraz to nie miało jednak znaczenia; liczył się tylko dom po drugiej stronie ulicy. Nie nadarzy się inna okazja, żeby go obejrzeć, więc jeśli straci cenne sekundy, rozmyślając o przeszłości, to kto wyjdzie na idiotę?

Znalazł się dokładnie naprzeciw domu. Ładny trawnik, wąski, ale długi. Śliczne kwietniki, pełne wiosennych kwiatów, wzdłuż długiego podjazdu. Na środku obu stały metalowe kolumny pokryte bluszczem. Lecz bluszcz odgarnięto z plastikowych cylindrów na szczycie kolumn i Norman wiedział dlaczego: w tych ciemnych pękach były kamery telewizyjne obejmujące całą ulicę. Jeśli ktoś teraz patrzył na monitory, widział ubranego na czarno — białą człowieka, w czapeczce baseballowej i okularach przeciwsłonecznych, który szedł zgarbiony i na lekko ugiętych kolanach, żeby ukryć swoje sto osiemdziesiąt dwa centymetry wzrostu przed ewentualnym obserwatorem.

Następna kamera znajdowała się nad frontową bramą, na pewno pozbawioną dziurki od klucza; klucze zbyt łatwo pod — robić, zasuwę zbyt łatwo odsunąć, jeśli ktoś umie posługiwać się kompletem wytrychów. Nie, tam będzie szczelina na kartę magnetyczną, konsolka z klawiaturą numeryczną, a może jedno i drugie. A na tyłach domu oczywiście kolejne kamery.

Mijając schronisko, Norman zaryzykował ostatnie spojrzenie na boczny dziedziniec. Zobaczył ogródek i dwie kurwy w szortach, wbijające w ziemię długie tyczki — zapewne do pomidorów. Jedna wyglądała na Meksykankę: oliwkowa skóra i długie czarne włosy związane w koński ogon. Niesamowite ciało, jakieś dwadzieścia pięć lat. Druga młodsza, może nawet jeszcze nastolatka, jedna z tych punkowatych gówniarz farbujących włosy na dwa różne kolory. Na lewym uchu miała bandaż. Nosiła koszulkę bez rękawów z psychodelicznym wzorem i Norman dostrzegł tatuaż na jej lewym bicepsie. Nie zdołał dojrzeć, co przedstawiał rysunek, ale dostatecznie długo był policjantem, żeby domyślić się, że to nazwa zespołu rockowego albo nieudolnie narysowana marihuana.

Norman ujrzał siebie, jak rzuca się przez ulicę, ignorując kamery; zobaczył, jak łapie Pannę Ciepłą Cipkę z fryzurą gwiazdy rocka; widział, jak łapie ją za cienką szyjkę i ściska, aż palce zatrzymują się na kościach szczęki. „Rose Daniels — powiedziałyby do tej drugiej, do Meksykanki z ciemnymi włosami i niesamowitym ciałem. — Sprowadź ją tu natychmiast, albo skreć kark tej dziwce jak kurczakowi”.

To byłoby wspaniale, ale wiedział prawie na pewno, że Rosie już tu nie ma. Z informacji znalezionych w bibliotece wynikało, że od kiedy Leo i Pamela Stevensonowie otworzyli przytułek w 1974 roku, z gościnności Córek i Sióstr skorzystało prawie trzy tysiące kobiet, a ich przeciętny czas pobytu wynosił cztery tygodnie. W bardzo szybkim tempie odsyłano je społeczeństwu, te śliczne moskity rozmnażające się i roznoszące chorobę. Pewnie na odchodne dawano im po sztucznym penisie..

Nie, Rose niemal na pewno jest gdzie indziej i wykonuje jakąś nędzną pracę, jaką znalazły jej koleżanki—lesbije, a na noc wraca do jakiegoś obskurnego pokoiku, również znalezionej przez nie. Te suki po drugiej stronie ulicy mogły wiedzieć, gdzie ona jest, ta cała Stevenson pewnie miała jej adres w aktach, a te dwie w ogrodzie zapewne już ją odwiedziły w tej szczerzej norze, żeby wypić herbatę i pogryźć herbatniczki. A te, które tam nie były, dowiedziały się od tych, które były, bo takie już są kobiety. Trzeba je zabić, żeby przestały gadać.

Młodsza z ogrodniczek, ta z fryzurą gwiazdy rocka, okropnie przeraziła go, podnosząc głowę, patrząc na niego i... machając ręką. Przez jedną straszną chwilę był przekonany, że śmieje się z niego, że wszystkie śmieją się z niego, stojąc przy oknach Zamku Lesbo, że śmieją się z niego, z inspektora Normana Daniela, który potrafił zapudłować pół tuzina kokainowych baronów, ale nie umiał zatrzymać żony, która ukradła mu jego pierdoloną kartę kredytową.

Gwałtownie zacisnął pięści.

Weź się w garść! — wrzasnęła na niego Normanowa wersja Praktycznie—Rozsądnej. — Ona pewnie macha do wszystkich! Pewnie macha do bezpieczeństwa psów! Takie cioty zawsze to robią!

Tak. Oczywiście, że tak. Norman rozluźnił pięści, uniósł rękę i ciął powietrze, odpowiadając machnięciem. Nawet zdołał zmusić się do uśmiechu — który ponownie obudził ból mięśni i ścięgien twarzy — kątem ust. Potem, kiedy Panna Ciepła Cipka wróciła do uprawiania ogródka, starł uśmiech z twarzy i pośpieszył dalej, z łomoczącym sercem.

Usiłował skupić myśli na aktualnym problemie — jak ma dopaść jedną z tych suk (najlepiej Główną Sukę, gdyż w ten sposób uniknąłby sytuacji, że trafi akurat na taką, która nie wie tego, co on chce wiedzieć) i zmusić ją do mówienia — jednak najwyraźniej utracił zdolność racjonalnego myślenia, przynajmniej na razie.

Przyłożył obie dłonie do twarzy i zaczął masować sobie zwieracze żuchwy. Nieraz już go bolały, ale nigdy aż tak — co też takiego zrobił Thumperowi? W gazecie nie podano, lecz ból szczęki oraz zębów — zęby bolały go także — sugerował, że coś poważnego.

Jeśli mnie złapią, będę miał kłopoty — pomyślał. — Sfotografują ślady, jakie na nim zostawiłem. Będą mieli próbki mojej śliny i... no... każdego innego płynu, jaki mogłem tam zostawić. W dzisiejszych czasach mogą przeprowadzić wiele specyficznych testów, badają wszystko. Tymczasem ja nawet nie pamiętam mojej grupy krwi i w ogóle nie wiem, czy zostawiłem tam ślady jakichś płynów, czy nie.

Tak, to prawda, ale nie złapią go. Jest zameldowany w Whitestone jako Alvin Dodd z New Haven, a w razie potrzeby może nawet pokazać prawo jazdy — ksero prawa jazdy — popierające tę bajeczkę. Gdyby gliny zadzwoniły do gliniarzy w jego pracy, tamci powiedzieliby im, że Norman Daniels jest tysiąc siedemset kilometrów od Środkowego Zachodu, biwakując w Narodowym Parku Utah, na dobrze zasłużonych wakacjach. Może nawet powiedzieliby tutejszym glinom, żeby nie byli głupi, że Norman Daniels jest *bona fide* dobrym chłopcem. Przecież nie przekazaliby tej historii z Wendy Yarrow... a może?

Nie, pewnie nie. Ale prędzej czy później...

Sęk w tym, że mało go obchodziło to później. Teraz interesowało go tylko prędzej. Znaleźć Rose i poważnie z nią porozmawiać. Dać jej prezent. Ściśle mówiąc, kartę kredytową. I ta nigdy nie zostanie wyjęta z jakiegoś kosza na śmieci ani z portfela jakiegoś śliskiego, nędznego pedzia. Zamierzał zadbać o to, żeby już nigdy jej nie zgubiła ani nie wyrzuciła. Zamierzał umieścić ją w bezpiecznym miejscu. A jeśli widział tylko ciemność po... po umieszczeniu tego pożegnane go prezentu... no cóż, może to i lepiej.

Teraz, kiedy wrócił myślą do karty kredytowej, pozostał przy niej, tak jak ostatnio robił to niemal zawsze, zarówno we śnie, jak i na jawie. Wydawało się, że ten kawałek plastiku stał się widmową zieloną rzeką (Handlową, a nie Missisipi), a ciąg jego myśli był wpadającym do

niej strumieniem. Wszystkie myśli spływały ze wzgórze, tracąc tożsamość w miarę zapadania w zieloną toń jego obsesji. Wyloniło się z niej znów to potworne pytanie bez odpowiedzi. Jak ona śmiała? Jak ona śmiała zrobić coś takiego? To, że odeszła, uciekła od niego, to pewnie zdołałby zrozumieć, chociaż nie mógł tego usprawiedliwić, i wiedział, że będzie musiała umrzeć za to, że oszukała go tak nikczemnie, za tak skuteczne skrywanie zdrady w jej śmierzącym kobiecym sercu. Lecz to, że śmiała ukraść jego kartę kredytową, wziąć ją ot, tak, niczym ten maluch zakradający się po łądydze fasoli i wykradający złotą kurę olbrzyma...

Nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Norman włożył do ust kciuk lewej ręki i zaczął go gryźć. Bólu — dosyć silnego — tym razem nawet nie poczuł; był głęboko pogrążony w myślach. Na kciukach obu rąk miał grube odciski, ponieważ gryzienie ich w stresowych sytuacjach było starym, bardzo starym nawykiem Normana, sięgającym jeszcze czasów dzieciństwa. Z początku odcisk wytrzymał, ale kiedy Norman coraz więcej myślał o karcie kredytowej, gdy jej zieleń zaczęła pogłębiać się w jego umyśle, aż stała się ciemną zielenią palm widzianych o zmroku (kolor wcale nie przypominający rzeczywistej, cytrynowej barwy karty), twarda tkanka puściła i krew zaczęła mu płynąć po ręce i wargach. Wbił zęby w palec, rozkoszując się bólem, zgrzytając zębami, smakując swoją krew, taką słoną i gęstą, jak smak krwi Thumpera, kiedy przegryzł tę strunę u nasady...

— Mamusiu? Dlaczego ten pan robi tak swojej ręce?

— Nieważne, chodź.

Słyszając to, odwrócił się. Spojrzał niepewnie przez ramię, jak człowiek budzący się z krótkiego, lecz głębokiego snu, i zobaczył młodą kobietę z małym, może czteroletnim chłopczykiem, odchodzących w przeciwnym kierunku. Kobieta ciągnęła chłopca tak szybko, że prawie biegł, a kiedy się obejrzała, Norman dostrzegł, że była przestraszona.

Co on właściwie robi?

Spojrzał na swój kciuk i ujrzał dwa głębokie, krwawiące półkola po obu stronach palca. Pewnego dnia odgryzie sobie to cholerstwo, odgryzie i połknie. Nie będzie to pierwszy raz, kiedy coś odgryzie. Czy połknie.

Jednak na tej ulicy lepiej nie mdleć. Wyjął chusteczkę z tylnej kieszeni spodni i owinał nią skaleczony palec. Potem podniósł głowę i rozejrzał się wokół. Ze zdziwieniem spostrzegł, że robi się ciemno; w kilku domach paliły się światła. Jak daleko zaszedł? Gdzie, dokładnie, był teraz?

Zmrużył oczy i na tabliczce na rogu następnego skrzyżowania przeczytał słowa Dearborn Avenue. Po prawej miał rodzinny sklepik spożywczy ze stojakiem na rowery przed wejściem i napisem: BUŁECZKI PROSTO Z PIECA. Normanowi zaburczało w żołądku. Uświadomił sobie, że naprawdę jest głodny, po raz pierwszy od kiedy wysiadł z autobusu Continental Express i zjadł zimną owsiankę w kafejce na dworcu, zjadł ją, ponieważ ona by ją zjadła.

Kilka bułeczek to wszystko, czego mu teraz trzeba, jedyna rzecz na świecie, jakiej naprawdę pragnął... ale nie jakieś tam bułki. Chciał świeże bułeczki, takie jakie piekła jego matka. Była beką sadła, która nigdy nie przestawała wrzeszczeć, ale naprawdę umiała gotować. Nie ma co do tego wątpliwości. A on był jej najlepszym klientem.

Lepiej, żeby były świeże — pomyślał Norman, wchodząc po schodkach. Wewnątrz widział staruszka krzątającego się za ladą. — Lepiej, żeby były świeże, koleś, albo niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Łapał za klamkę, kiedy jego wzrok przyciągnął jeden z plakatów w oknie. Był jasnożółty i chociaż Norman nie mógł wiedzieć, że umieściła go tu Rosie, ten widok poruszył jakąś strunę w jego duszy, zanim jeszcze dojrzał słowa Córki i Siostry.

Pochylił się i przeczytał, oczami nagle zwężonymi i bardzo czujnymi, z sercem coraz szybciej łomoczącym w piersi.

PRZYJDŹ I BAW SIĘ Z NAMI
NA PIĘKNYM ETTINGER'S PIER
ŚWIĘTUJĄC
CZYSTE NIEBO I CIEPŁE DNI
NA DZIEWIĄTYM DOROCZNYM PIKNIKU I KONCERCIE
ORGANIZOWANYM PRZEZ CÓRKI I SIOSTRY
W SOBOTĘ, 4 CZERWCA

KIERMASZ * WYSTAWA * LOTERIA
GRY ZRĘCZNOŚCIOWE * DJ RAPOWY DLA DZIECIAKÓW
PONADTO!!!
INDIGO GIRLS — KONCERT NA ŻYWO, 20.00

SAMOTNYM RODZICOM ZAPEWNIAMY OPIEKĘ NAD DZIEĆMI!

„PRZYJDŹCIE, PRZYJDŹCIE WSZYSCY!”

CAŁY DOCHÓD PRZEZNACZONY NA RZECZ CÓREK I SIÓSTR,
KTÓRE PRZYPOMINAJĄ,
ŻE PRZEMOC WOBEC JEDNEJ KOBIETY
JEST ZBRODNIĄ WOBEC WSZYSTKICH KOBIET

W sobotę, czwartego. W tę sobotę. Czy ona tam będzie, jego dzika Róża? Oczywiście, że będzie, ona i te jej wszystkie nowe przyjaciółki—lesbijki. Cipy całego świata łączcie się.

Norman powiódł ugryzionym palcem po piątym wierszu od dołu. Jasne krople krwi już przesiąkały przez chusteczkę.

Przyjdźcie, przyjdźcie wszyscy.

Tak tam napisano i Norman pomyślał, że weźmie je za słowo.

8

Czwartek rano, prawie jedenasta trzydzieści. Rosie pociągnęła łyk wody mineralnej, zwilżyła nią usta, połknęła i znów wzięła do ręki tekst.

Nadchodziła, rzeczywiście; tym razem słuch go nie mylił. Peterson słyszał stukot jej wysokich obcasów na korytarzu. Mógł sobie wyobrazić, jak otwiera torebkę, szuka kluczy, obawiając się lotra, który może zaatakować ją z tyłu, podczas gdy powinna obawiać się tego, który czekał w zasadzce. Szybko upewnił się, że ma swój nóż, a potem naciągnął nylonową pieszczochę na twarz.

Kiedy klucz zazgrzytał w zamku, Peterson wyjął nóż i...

— Cięcie, cięcie, cięcie! — zawołała niecierpliwie Rhoda. Rosie spojrzała w górę, przez szklaną ścianę. Nie podobał jej się sposób, w jaki Curt Hamilton siedział tam, obok magnetofonu cyfrowego, i patrzył na nią, zsunawszy słuchawki na szyję, ale naprawdę zaalarmowało ją to, że Rhoda paliła jeden z tych swoich cienkich papierosów w pokoju kontrolnym, ignorując umieszczony na ścianie napis NIE KOPCIĆ. Rhoda wyglądała tak, jakby miała zły dzień. Nie ona jedna.

— Rhoda? Zrobiłam coś nie tak?

— Nie, jeśli nosisz nylonowe pieszczochy — powiedziała Rhoda i strzepnęła popiół do styropianowego kubka stojącego na pulpicie kontrolnym przed nią. — Kiedy o tym myślę, to wydaje mi się, że w minionych latach kilku facetów pieściło mnie po moich, ale zazwyczaj

nazywałam je nylonowymi pończochami.

Przez chwilę Rosie nie mogła się zorientować, o czym ona mówi, po czym powtórzyła w myślach kilka ostatnich zdań i jęknęła.

— O rany, Rhoda, przepraszam.

Curt założył słuchawki z powrotem na uszy i wcisnął guzik.

— *Zabij wszystkie moje jutra* — cięcie siedemdziesiąt...

Rhoda położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała coś, od czego Rosie poczuła się tak, jakby ktoś napełnił jej brzuch lodowatą wodą:

— Daj sobie spokój. — Potem zerknęła przez szybę, zobaczyła zgnębiającą minę Rosie i obdarzyła ją słabym, lecz szczerym uśmiechem. — Spokojnie, Rosie, po prostu zrobimy przerwę na lunch godzinę wcześniej, to wszystko. Wyjdź stamtąd.

Rosie zerwała się, boleśnie uderzając lewym udem o krawędź stołu i prawie wywracając plastikową butelkę z wodą mineralną. Pośpiesznie opuściłaabinę.

Rhoda i Curt stali tuż przy drzwiach i przez moment Rosie była pewna — nie, wiedziała — że mówili o niej.

Jeśli naprawdę w to wierzysz, Rosie, to powinnaś pójść do lekarza — odezwała się ostro Praktycznie–Rozsądna. — Takiego, który pokazuje ci plamy z atramentu i pyta, na jakim punkcie masz bzika.

Zazwyczaj Rosie niezbyt chętnie słuchała tego głosu, lecz tym razem przyjęła radę.

— Potrafię zrobić to lepiej — zwróciła się do Rhody. — I zrobię, po południu. Przysięgam Bogu.

Czy to prawda? Najgorsze było to, że po prostu nie wiedziała. Przez cały ranek usiłowała skupić się na *Zabij wszystkie moje jutra*, tak jak na *Płaszczce*, jednak bez powodzenia. Gdy tylko zaczynała zagłębiać się w świat, w którym Alma St. George była prześladowana przez jej szalonego wielbiciela, Petersona, zaraz przywoływał ją z powrotem jeden z głosów słyszanych poprzedniego wieczoru: Anny mówiącej, że jej były mąż, człowiek, który skierował Rosie do Córek i Sióstr, został zamordowany; Billa, przestraszonego i zdumionego, pytającego co się stało, albo — co było najgorsze — jej własny, mówiący mu, żeby trzymał się z daleka. Po prostu trzymał się z daleka.

Curt poklepał ją po ramieniu.

— Masz dzisiaj zły dzień głosowy — powiedział. — To coś takiego jak zły dzień fryzjera, tylko gorszy. Często spotykamy się z tym w Gabinetie Okropności naszego studia, prawda, Rho?

— Jasne — przytaknęła Rhoda, ale nie przestawała mierzyć jej spojrzeniem i Rosie wyobrażała sobie, co Rhoda widzi. Minionej nocy spała tylko dwie lub trzy godziny, a nie miała żadnych dobrych kosmetyków, które mogłyby to ukryć.

A gdyby nawet je miała, nie wiedziałabym, jak ich użyć — pomyślała.

Miała kilka podstawowych przyborów do makijażu jeszcze w szkole średniej (w tym czasie, o ironio losu, kiedy najmniej ich potrzebowała), ale od poślubienia Normana obywała się jedynie odrobiną pudru i dwiema lub trzema szminkami w najbardziej naturalnych odcieniach. „Gdybym chciał oglądać dziwkę, ożeniłbym się z którąś” — powiedział jej kiedyś Norman.

Pomyślała, że Rhoda najuważniej przygląda się jej oczom: czerwonym powiekom, przekrwionym białkom, ciemnym kręgom. Po zgaszeniu światła płakała długo, ale nie zdołała przy tym zasnąć, co byłoby błogosławieństwem. Łzy wyschły, a ona po prostu leżała w ciemności, usiłując nie myśleć, a mimo to myśląc. Już po północy doszła do okropnego wniosku, że źle zrobiła dzwoniąc do Billa, że nie powinna pozbawiać się jego obecności — a może opieki — kiedy najbardziej go potrzebowała.

Opieki? — pomyślała. — O rany, to śmieszne. Wiem, że go lubisz, kochanie, i nie ma w tym nic złego, ale spójrz prawdzie w oczy: Norman zjadłby go na śniadanie.

Tyle że nie wiedziała, czy Norman jest w mieście. Anna podkreślała to raz po raz. Peter Słowik zajmował się wieloma sprawami, a nie wszystkie cieszyły się popularnością. Może w związku z czymś innym wpadł w tarapaty... i został zabity.

Rosie jednak nie miała wątpliwości. Była pewna. To Norman.

Mimo to ten głos nie przestawał szeptać w miarę upływu godzin. Czy była tego pewna? Czy też za tym pomysłem kryła się nie pani Praktycznie–Rozsądna, ale Przerazona–Roztrzęsiona? Może wykorzystała rozmowę z Anną jako pretekst do zakończenia znajomości z Billem, zanim przerodzi się ona w coś większego?

Nie miała pojęcia, ale wiedziała, że na myśl o tym, iż nie zobaczy go więcej, czuje przygnębienie... a także przerażenie, jakby zgubiła jakąś istotną część ważnego mechanizmu. Oczywiście to niemożliwe, żeby ktoś tak szybko nauczył się polegać na innej osobie, lecz po upływie godziny i dwóch (a potem trzech) ten pomysł wydawał się coraz mniej śmieszny. Jeśli takie natychmiastowe uzależnienie było niemożliwe, to dlaczego czuła lęk i pustkę na myśl o tym, że już nigdy go nie zobaczy? Kiedy wreszcie zdołała usnąć, znów śniła, że jedzie na jego motocyklu; miała na sobie jasnoróżową koszulę i obejmowała go nagimi udami. Kiedy zadzwonił budzik — o wiele za szybko — ciężko dyszała i była cała rozpalona, jakby miała gorączkę.

— Rosie, nic ci nie jest? — spytała Rhoda.

— Nie — odparła. — Ja tylko... — zerknęła na Curtisa, a potem z powrotem na Rhodę. Wzruszyła ramionami i przywołała na usta słaby uśmiech. — Po prostu, no wiesz, mam złe dni.

— Uhm — mruknęła Rhoda. Nie wyglądała na przekonaną. — No cóż, chodź z nami do bufetu. Utopimy nasze smutki w sałatce z tuńczyka i w koktajlu truskawkowym.

— Pewnie — rzekł Curt. — Ja stawiam.

Tym razem uśmiech Rosie był mniej wymuszony, ale potrząsnęła głową.

— Ja pasuję. Potrzebny mi krótki spacer, twarzą do wiatru. Żeby wywiał mi piasek z oczu.

— Jeśli nic nie zjesz, to padniesz nam koło trzeciej — ostrzegła Rhoda.

— Wpadnę na sałatkę. Obiecuję. — Rosie już kierowała się do skrzypiącej, starej windy.

— Gdybym zjadła więcej, mogłabym zepsuć pół tuzina idealnych kawałków bekaniem.

— Dziś to nie miałyby większego znaczenia — powiedziała Rhoda. — Dwunasta piętnaście, dobrze?

— Pewnie — odrzekła, ale gdy zjeżdżała windą na parter, wciąż dźwięczały jej w uszach ostatnie słowa Rhody: „Dziś to nie miałyby większego znaczenia”. A jeśli po południu nie spisie się lepiej? Jeśli z siedemdziesięciu trzech zrobi się osiemdziesiąt, sto albo kto wie ile? Jeśli podczas jutrzejszego spotkania pan Lefferts wręczy jej wymówienie, zamiast kontraktu? Co wtedy?

Poczuła gwałtowny przypływ nienawiści do Normana, pierwszy, na jaki kiedykolwiek świadomie sobie pozwoliła. Rąbnęło ją to między oczy jak jakieś tępe, ciężkie narzędzie — może laska albo obuch starej, zardzewiałej siekiery. Jeśli nawet Norman nie zabił pana Słowika, jeśli wciąż przebywał w innej strefie czasowej, to i tak prześladował ją, podobnie jak Peterson tę biedną, przerażoną Alnę St. George. Prześladował ją w jej myślach.

Winda stanęła i otworzyły się drzwi. Rosie wyszła do holu i mężczyzna stojący przy tablicy informacyjnej odwrócił się do niej, a na jego twarzy nadzieja mieszała się z wahaniem. Ta niepewność sprawiała, że wyglądał młodziej niż kiedykolwiek... prawie jak nastolatek.

— Cześć, Rosie — przywitał ją Bill.

Poczuła gwałtowną i zdumiewającą chęć ucieczki, pragnęła zrobić to, zanim zobaczy, jak na nią działa, ale zaraz jego oczy napotkały jej spojrzenie i ucieczka była już niemożliwa. Rosie zapomniała, jak fascynujący zielony odcień miały te oczy, niczym promienie słońca uwięzione w płytkiej wodzie. Zamiast pobiec do drzwi wyjściowych, powoli podeszła do niego, jednocześnie przestraszona i szczęśliwa. Przede wszystkim czuła głęboką ulgę.

— Mówiłam ci, żebyś trzymał się ode mnie z daleka — odezwała się lekko drżącym głosem.

Wziął ją za rękę. Była pewna, że nie powinna na to pozwolić, nie mogła jednak temu zapobiec... ani temu, jak jej ręka obróciła się w jego dłoni, żeby mógł zacisnąć na niej swoje długie palce.

— Wiem, Rosie — odparł po prostu. — Lecz nie potrafię. To ją przeraziło i puściła jego rękę. Niepewnie spoglądała mu w twarz. Nigdy nie przydarzyło jej się nic podobnego, nigdy, więc nie miała pojęcia, jak ma zareagować i co zrobić. Rozłożył ręce i może chciał w ten sposób jedynie podkreślić swoją bezradność, ale tylko na to czekało jej zmęczone, pełne nadziei serce; ten gest rozwiał wszystkie dotychczasowe wątpliwości. Jak pogrążona we śnie, Rosie zrobiła krok i wpadła w jego ramiona, a kiedy ją objął, przycisnęła twarz do jego piersi i zamknęła oczy. Gdy jego dłonie dotknęły jej włosów, które tego ranka pozostawiła nie zaplecione i opadające na plecy, miała dziwne i cudowne wrażenie, jakby właśnie się zbudziła. Jakby spała, nie tylko teraz, zanim wpadła w jego objęcia, nie tylko cały ranek, od kiedy budzik przerwał jej tamten motocyklowy sen, lecz przez długie lata, jak Królowna Śnieżka po zjedzeniu jabłka. Teraz obudziła się, obudziła zupełnie, i spoglądała wokół oczami, które dopiero zaczęły dostrzegać.

— Cieszę się, że przyszedłeś — wyszeptwała.

10

Powoli szli na wschód po Lakę Drive, twarzą do silnego, ciepłego wiatru. Kiedy Bill objął ją ramieniem, uśmiechnęła się do niego. Jezioro znajdowało się prawie pięć kilometrów na zachód, ale Rosie czuła, że może dojść aż tam, jeśli tylko on będzie tak obejmował ją ramieniem. Aż do jeziora, a może nawet na drugi brzeg, spokojnie przechodząc z jednej fali na drugą.

— Z czego się śmiejesz? — spytał.

— Och, z niczego — odparła. — Chyba po prostu chce mi się śmiać.

— Naprawdę cieszysz się, że przyszedłem?

— Tak. Niewiele spałam zeszłej nocy. Rozmyślałam o tym, że popełniłam błąd. Wiem, że popełniłam błąd, ale... Bill?

— Jestem tu.

— Zrobiłam tak, ponieważ czuję do ciebie coś więcej niż kiedykolwiek czułam do jakiegokolwiek mężczyzny w moim życiu, a wszystko to wydarzyło się tak szybko... Chyba oszalałam, że ci to mówię.

Przycisnęła ją mocniej.

— Nie oszalałaś.

— Zatelefonowałam do ciebie i powiedziałam ci, żebyś trzymał się ode mnie z daleka, ponieważ coś się zdarzyło, coś może się zdarzyć, a nie chciałam, żeby stała ci się krzywda. Za nic. I w dalszym ciągu tego nie chcę.

— To Norman, prawda? Tak jak Bates. Jednak cię szuka.

— Serce mówi mi, że tak — powiedziała ostrożnie Rosie — i nerwy mi to mówią, ale nie jestem pewna, czy mogę ufać mojemu sercu, zbyt długo ścisnęło się ze strachu, a moje nerwy... moje nerwy są w strzępach.

Spojrzała na zegarek, a potem na budkę z hot dogami na rogu. Na pobliskim skwerku były ławki, a na nich siedziały sekretarki zjadające śniadania.

— Postawisz damie podwójnego z kiszoną kapustą? — zapytała. Nagle ewentualne popołudniowe bekanie wydało się najmniej istotną sprawą na świecie. — Nie jadłam takiego od czasu, kiedy byłam dzieckiem.

— Myślę, że to da się zrobić.

— Siądziemy na jednej z tych ławek i opowiem ci o Normanie. Potem zadecydujesz, czy chcesz być ze mną, czy nie. Jeżeli uznasz, że nie, zrozumieć...

— Rosie, ja nie...

— Nie mów tak. Nie mów, dopóki nie opowiem ci o nim. I lepiej zjedz, zanim zacznę, bo potem stracisz apetyt.

11

Pięć minut później wrócił na ławkę, na której siedziała. Niósł ostrożnie tacę z dwoma długimi na trzydzieści centymetrów hot dogami i dwoma papierowymi kubkami z lemoniadą. Wzięła swoją porcję i kubek, postawiła napój na ławce obok siebie, a potem spojrzała na niego ciężkim wzrokiem.

— Chyba musisz przestać mnie karmić. Zaczynam czuć się jak głodujące dziecko z plakatów UNICEF.

— Lubię cię karmić — odparł. — Jesteś za chuda, Rosie.

Norman tak nie uważa — pomyślała, ale w tych okolicznościach nie byłaby to sensowna uwaga. Nie wiedziała, jaka byłaby stosowna, i stwierdziła, że szuka chyba głupawej repliki, podobnej do tych, jakie wygłaszają postacie z telewizyjnych programów w rodzaju *Melrose Place*. W tym momencie obejdzie się bez takiej paplaniny. Ależ gapa ze mnie, zapomniałam wziąć scenariusz — pomyślała. Zamiast mówić, spojrzała na swojego hot doga i zaczęła szturchać palcem bułkę, marszcząc brwi i zaciskając usta, jakby to był jakiś tajemny rytuał przed posiłkiem, od wielu pokoleń przekazywany w jej rodzinie córkom przez matki.

— A więc opowiedz mi o Normanie, Rosie.

— W porządku. Daj mi tylko pomyśleć, od czego zacząć. Ugryzła hot doga, rozkoszując się piekącym smakiem kiszonej kapusty, a potem wypila łyk lemoniady. Przyszło jej do głowy, że Bill może jej nie chcieć, kiedy mu wszystko opowie; że może czuć tylko niesmak i odrazę do kobiety, która przez tyle lat żyła z taką kreaturą jak Norman, ale było już za późno, żeby martwić się tym. Otworzyła usta i zaczęła mówić. Jej głos był dość opanowany i miał na nią uspokajający wpływ.

Zacząła od opowieści o piętnastoletniej dziewczynce, która wydawała się sobie nadzwyczaj ładna z różową aksamitką wplecioną we włosy i która pewnego wieczoru znalazła się na międzyszkolnym meczu koszykówki tylko dlatego, że jej spotkanie Przyszłych Gospodyń zostało odwołane w ostatniej chwili i musiała czekać dwie godziny na ojca, który miał po nią przyjechać. A może po prostu chciała, żeby ludzie zobaczyli, jak ładnie jej z tą wstążką, a w szkolnej bibliotece nikogo nie było. Chłopiec w sportowej kurtce usiadł obok niej na ławce, duży i barczysty chłopiec ze starszej klasy. Byłby tam z nimi, biegnąc tam i powrotem po boisku, gdyby za rozróby nie wywalili go w grudniu z drużyny. Rosie mówiła słuchając, jak jej usta opisują historie, które zamierzała zabrać ze sobą do grobu. Nie o rakiecie tenisowej, tę na pewno zabierze ze sobą do grobu, ale o tym jak Norman gryzł ją podczas miodowego miesiąca i jak próbowała sobie wmawiać, że to miłosne ukąszenia, i o poronieniu, jakie zawdzięczała Normanowi, a także o zasadniczej różnicy między biciem w twarz a biciem po plecach.

— Dlatego muszę często chodzić do ubikacji — dodała, uśmiechając się nerwowo do

własnych rąk — ale powoli poprawia mi się.

Opowiedziała mu o tym, jak na początku małżeństwa Norman przypalał jej czubki palców zapalniczką; na szczęście te tortury skończyły się, kiedy rzucił palenie. Opowiedziała mu o tej nocy, gdy Norman wrócił z pracy i siedział w milczeniu przed telewizorem, słuchając wiadomości, trzymając talerz, na kolanach, ale nie jedząc. Potem odstawił talerz, kiedy Dan Rather skończył, i zaczął kłuć ją końcem ołówka, który wziął ze stolika przy kanapie. Szturczał ją dostatecznie mocno, żeby sprawiać ból i zostawiać małe ciemne kropki na skórze, ale nie dość silnie, żeby skaleczyć. Powiedziała Billowi, że Norman wiele razy zadał jej większy ból, lecz nigdy bardziej jej nie przestraszył. Najgorsze było jego milczenie. Kiedy mówiła do niego, usiłowała dowiedzieć się, o co mu chodzi, nie odpowiadał. Tylko szedł za nią, gdy cofała się (nie śmiała uciekać, to byłoby jak ciśnienie zapalanej zapalniczki do beczki z prochem), nie zadając żadnych pytań i ignorując jej wyciągnięte błagalnie dłonie. Nakłuwał jej ręce, ramiona i dekolt — miała na sobie lekko wciętą sukienkę bez rękawów — i za każdym razem, gdy tępy koniec ołówka wbijał się w jej ciało, Norman wydymał wargi i mamrotał pod nosem: „Pach! Pach! Pach!” Wreszcie skuliła się w kącie, osłaniając kolanami piersi i splatając dłonie na karku, a on klęczał przed nią, z poważnym, niemal zaciekawionym wyrazem twarzy, wciąż szturchając ją ołówkiem i wydając te dziwne dźwięki. Powiedziała Billowi, że wtedy była pewna, iż Norman zabije ją, że zostanie pierwszą kobietą w dziejach, zadżganą ołówkiem marki Mongoł nr 2... i pamięta, jak powtarzała sobie, że nie wolno jej krzyczeć, bo sąsiedzi usłyszą, a nie chciała, żeby ją zobaczyli. Przynajmniej nie przed śmiercią. Za bardzo było jej wstyd. Potem, gdy zbliżał się moment, kiedy mimo wszystko zaczęłaby krzyczeć, Norman poszedł do łazienki i zamknął drzwi. Siedział tam przez dłuższy czas, a ona myślała o tym, żeby uciec — po prostu wybiec z domu dokądkolwiek — ale była noc, a on był w domu. Gdyby wyszedł i stwierdził, że jej nie ma, dogoniłby ją, złapał i zabił — była tego pewna.

— Skręciłby mi kark jak kurczakowi — powiedziała Billowi, nie podnosząc głowy.

Obiecała sobie, że ucieknie; że zrobi to, jeśli Norman znów ją uderzy. Lecz po tej nocy przez długi czas jej nie dotknął. Może przez pięć miesięcy. A kiedy znowu zaczął ją bić, z początku nie było to takie okropne, wtedy pomyślała sobie, że jeśli mogła znieść wielokrotne nakłuwanie ołówkiem, to wytrzyma też kilka szturchnięć. Myślała tak do 1985 roku, kiedy wszystko zmieniło się na gorsze. Powiedziała Billowi, jaki przerażający był wówczas Norman przez te kłopoty z Wendy Yarrow.

— Wtedy poroniłaś przez niego, prawda? — spytał Bill.

— Tak — powiedziała do swoich rąk. — Złamał mi też jedno zebro. A może dwa. Już nie pamiętam, czy to nie okropne?

Milczał, więc pośpiesznie mówiła dalej o tym, że najgorsze (oprócz poronienia oczywiście) były długie, przerażające chwile ciszy, kiedy tylko patrzył na nią, oddychając tak głośno przez nos, że ten odgłos przypominał jakieś zwierzę gotujące się do ataku. Sytuacja odrobinę poprawiła się, mówiła Rosie, po tym poronieniu. Opowiedziała mu, jak w końcu wszystko zaczęło jej się mylić, jak często czas przepływał jej przez palce, gdy siedziała na bujaku, i jak czasem, kiedy nakrywała do stołu i nasłuchiwała odgłosu samochodu Normana wjeżdżającego na podjazd, uświadamiała sobie, że w ciągu dnia sześć lub osiem razy brała prysznic. Zazwyczaj przy wyłączonym świetle.

— Lubiłam brać prysznic po ciemku — mówiła, nie odrywając oczu od swoich rąk. — Czułam się jak w mokrej szafie.

Skończyła powtarzając mu rozmowę z Anną, rozmowę, którą Anna przeprowadziła w pośpiechu z jednego istotnego powodu. Dowiedziała się czegoś, czego nie było w gazecie, szczegółu, jaki policja trzymała w tajemnicy, aby eliminować zeznania wariatów przyznających się do winy, a także fałszywe informacje, jakie ktoś mógłby im podsuwać. Peter Słowik został ugryziony trzydzieści kilka razy i brakowało mu co najmniej jednej

istotnej części ciała. Policja uważała, że morderca zabrał ją ze sobą... w taki czy inny sposób. Z sesji terapeutycznych Anna wiedziała, że jej eks-mąż był pierwszą osobą, z którą skontaktowała się w tym mieście Rosie McClendon, żona gryzonia. „Może to nie miało żadnego związku z tym morderstwem — dodała szybko Anna — ale... z drugiej strony...”

— Gryzoń — powtórzył cicho Bill. Zabrzmiało to tak, jakby mówił do siebie. — Tak określa się takich ludzi jak on? Takim terminem?

— Chyba tak — odparła Rosie. A potem, może w obawie, że jej nie uwierzy (pomyśli, że ona „fabuluje”, według słownika Normana), opuściła na chwilę ramiączko swojej różowej koszulki z napisem Tape Engine i pokazała mu biały owal starej blizny, jak ślad po ukąszeniu rekina. Ta była pierwsza, ślubny prezent. Potem odsłoniła lewe przedramię, pokazując inną, która nie przypominała jej śladu zębów; z jakiegoś powodu kojarzyła się z gładkimi białymi twarzami niemal skrytymi w gęstej zielonej trawie.

— Ta mocno krwawiła, a potem wywiązała się infekcja — wyjaśniła mu. Mówiła tonem, jakim przekazuje się banalne wiadomości, na przykład, że dzwoniła babcia albo że listonosz przyniósł paczkę. — Nie byłam jednak u lekarza. Norman dał mi duże opakowanie antybiotyku w tabletkach. Brałam je i pomogły. On zna mnóstwo ludzi, od których może dostać różne rzeczy. Nazywa takich ludzi „małymi pomocnikami tatusia”. To zabawne, kiedy o tym pomyśleć, prawda?

Wciąż mówiła głównie do swoich rąk, które zaplotła na podołku, ale w końcu odważyła się zerknąć na niego, aby sprawdzić reakcję. To, co zobaczyła, zdziwiło ją.

— Co? — spytał ochryplym głosem. — Co takiego, Rosie?

— Ty płaczesz — powiedziała i teraz jej głos też drżał.

Bill był zaskoczony.

— Nie, skądże. Przynajmniej wydaje mi się, że nie. Delikatnie dotknęła policzka Billa, a potem pokazała mu czubek palca. Obejrzał go uważnie, przygryzając dolną wargę.

— I niewiele zjadłeś.

Półowa jego hot doga leżała na tacce, a kiszona kapusta z musztardą wychodziła z bułki. Bill wrzucił kartonową tackę do kosza na śmieci obok ławki, a potem spojrzał na Rosie, bezwiednie ocierając wilgoć z policzków.

Powoli nabierała przekonania, że wie, co teraz nastąpi. On zapyta, dlaczego została z Normanem, i chociaż nie mogła wstać z tej ławki i odejść (tak samo jak do kwietnia nie mogła opuścić domu na Westmoreland Street), w ten sposób wzniesie pierwszą barierę między nimi, ponieważ na to pytanie nie miała odpowiedzi. Nie wiedziała, dlaczego została z Normanem, tak samo jak nie miała pojęcia, dlaczego w końcu jedna kropla krwi zmieniła jej życie. Wiedziała tylko, że prysznic był najmiłszym miejscem w domu — ciemnym, mokrym i pełnym pary — i że czasem pół godziny w Fotelu Puchatka wydawało się pięcioma minutami, i że nie ma sensu pytać „dlaczego”, kiedy żyje się w piekle. W piekle nie ma motywów. Kobiety z grupy terapeutycznej rozumiały to; żadna nie pytała jej, dlaczego została. One wiedziały. Wiedziały z własnego doświadczenia. Podejrzewała, że niektóre mogły wiedzieć nawet o rakiecie tenisowej... albo o rzeczach jeszcze gorszych niż rakietka do tenisa.

Kiedy Bill w końcu zadał pytanie, było ono tak różne od tego, jakiego oczekiwała, że przez moment dziwiła się.

— Jakie jest prawdopodobieństwo tego, że on mógł zabić tę kobietę, która sprawiała mu tyle kłopotów w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym piątym roku? Tę Wendy Yarrow?

Była zaszokowana, ale nie był to szok z rodzaju tych, jakie wywołują głupie pytania; był to szok kogoś, kto widzi znajomą twarz w zupełnie nieoczekiwanym miejscu. Pytanie, jakie głośno zadał, było tym samym, jakie tkwiło w jej podświadomości — nie wypowiedziane, a więc nie sformułowane — przez długie lata.

— Rosie? Pytałem, jakie jest prawdopodobieństwo...

— Myślę, że... no, prawdę mówiąc, bardzo duże.

— To było dla niego bardzo wygodne, że ona zginęła, prawda? W ten sposób nie musiał tłumaczyć się przed sądem.

— Tak.

— Jeśli ona została pogryziona, myślisz, że napisano by o tym w gazetach?

— Nie wiem. Może nie. — Zerknęła na zegarek i zerwała się na nogi. — O rany, muszę iść, i to zaraz! Rhoda chciała zacząć o dwunastej piętnaście, a jest już dziesięć po.

Ruszyli z powrotem, idąc obok siebie. Pożałowała, że znów nie otoczył jej ramieniem, lecz kiedy jedna część jej świadomości radziła, żeby nie była taka zachłanna, a inna (Praktycznie—Rozsądna) przestrzegała, że napyta sobie biedy, Bill objął ją.

Chyba zakocham się w nim.

Brak zdumienia przy tej myśli zrodził następną:

Nie, Rosie, to wczorajsze wiadomości. Sądzę, że to już się stało.

— Co Anna mówiła o policji? — pytał. — Czy chciała, żebyś poszła gdzieś i złożyła zeznania?

Zesztywniała w jego objęciu i zaschło jej w gardle od gwałtownego przypływu adrenaliny. Wystarczyło tylko to jedno słowo. Słowo na „p”.

„Policjanci są braćmi — wciąż powtarzał jej Norman. — Policja to jedna rodzina, a policjanci są braćmi”. Rosie nie miała pojęcia, w jakim stopniu jest to prawdą, jak daleko posuną się, popierając jeden drugiego, osłaniając się wzajemnie, ale wiedziała, że ci, których Norman czasami przyprowadzał do domu, byli do niego niesamowicie podobni, a on nigdy nie powiedział złego słowa na żadnego z nich, nawet na swojego pierwszego partnera — sprytnego, obleśnego starego wieprza Gordona Satterwaite’a, którym gardził.

I był też oczywiście Harley Bissington, który uwielbiał — przynajmniej kiedy podejmowano go w Casa Daniels — rozbierać Rosie wzrokiem. Harley zachorował na jakąś postać raka skóry i trzy lata temu przeszedł na rentę, ale był partnerem Normana w 1985 roku, kiedy wydarzyła się ta sprawa z Richiem Benderem i Wendy Yarrow. A jeśli stało się to, co podejrzewała Rosie, to Harley osłonił Normana. Osłonił go skutecznie. I nie dlatego, że sam tkwił w tym po uszy, lecz dlatego, że policja to jedna wielka rodzina, a wszyscy policjanci to bracia. Gliniarze postrzegali świat inaczej niż ludzie pracujący od dziewiątej do piątej („klienci Kmartu” w słowniku Normana); gliniarze widzieli go ze zdartą skórą i obnażonymi nerwami. To czyniło ich odmiennymi, a niektórych całkiem odmiennymi... i był jeszcze Norman.

— Nie mam zamiaru choćby zbliżyć się do policji — rzuciła gwałtownie Rosie. — Anna powiedziała, że nie muszę i nikt nie może mnie zmusić. Policjanci to jego przyjaciele. Jego bracia. Trzymają się razem i...

— Uspokój się — przerwał jej lekko wystraszone głośnie. — W porządku, tylko uspokój się.

— Nie mogę się uspokoić! Chcę powiedzieć, że ty tego nie rozumiesz. Dlatego zatelefonowałam do ciebie i stwierdziłam, że nie mogę zobaczyć się z tobą, ponieważ nie wiesz, jak to jest... jaki on jest... i jak mają się sprawy między nim a innymi gliniarzami. Jeśli pójde tutaj na policję, oni skontaktują się z policją tam. A jeśli jeden z nich... ktoś, kto z nim pracuje, kto siedział z nim w zasadzkach o trzeciej nad ranem, kto zawierzał mu swoje życie...

Myślała o Harleyu, o Harleyu, który nie mógł oderwać oczu od jej piersi i zawsze sprawdzał, jak wysoko unosi się skraj jej spódniczki przy siadaniu.

— Rosie, nie musisz...

— Tak, muszę! — wykrzyknęła z niezwykłą u niej stanowczością. — Jeśli taki policjant będzie wiedział, jak skontaktować się z Normanem, zrobi to. Powie mu, że mówiłam o nim. Gdybym podała im mój adres, a trzeba go podać przy wypełnianiu formularza, przekaże mu go także.

— Jestem pewien, że żaden policjant nie byłby...

— Czy siedzieli kiedyś u ciebie w domu, grając w pokera albo oglądając *Debbie Does Dallas*?

— No... nie. Nie, ale...

— Au mnie tak. Słyszałam, o czym mówili, i wiem, jak patrzą na resztę świata. Widzą to właśnie w taki sposób, jako resztę świata. Nawet najlepsi z nich. Oto oni... a pozostali ludzie to „klienci Kmartu”. To wszystko.

Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale nie wiedział co, więc ponownie je zamknął. Myśl, że Norman może poznać jej adres przy Trenton Street, korzystając z policyjnego „telegrafu buszu”, miała sens, ale nie ona była głównym powodem milczenia Billa. Wyraz jej twarzy — mina kobiety, która odbyła okropną i trudną podróż w znieprawioną przeszłość — sugerował, że i tak w żaden sposób nie zdoła jej przekonać. Bała się policji, to wszystko, a on był dostatecznie dorosły, aby wiedzieć, że nie wszystkie obawy można rozwiązać za pomocą samej logiki.

— Ponadto Anna powiedziała, że nie muszę tego robić. Anna powiedziała, że jeśli to Norman, to one zauważą go wcześniej ode mnie.

Bill zastanowił się i uznał, że to ma sens.

— I co Anna zamierza zrobić?

— Już zaczęła. Wysłała faks do kobiecej organizacji w naszym mieście, tam, skąd przyjechałam, i powiadomiła ją, co tu może się stać. Zapytała, czy może otrzymać jakieś informacje o Normanie i nim minęła godzina, przefaksowano jej mnóstwo materiału, włącznie ze zdjęciem.

Bill uniósł brwi.

— Szybka robota, szczególnie że po godzinach.

— Tam, gdzie miałam dom, mój mąż jest teraz bohaterem — oznajmiła bezbarwnie. — Pewnie od miesiąca nie musiał płacić za swoje drinki. Kierował grupą, która rozpracowała szajkę handlarzy narkotyków. Jego zdjęcie przez dwa lub trzy dni nie schodziło z pierwszej kolumny gazety.

Bill gwizdnął. Może jednak jej lęk przed policją był uzasadniony.

— Kobieta, z którą rozmawiała Anna, posunęła się jeszcze dalej — ciągnęła Rosie. — Zatelefonowała na policję i poprosiła go do aparatu. Sprzedała dętą historyjkę o tym, jak jej organizacja zamierza wręczyć mu „Nagrodę Kobiecej Wdzięczności”.

Zastanowił się chwilę, a potem wybuchnął śmiechem. Rosie uśmiechnęła się słabo.

— Dyżurny sierżant sprawdził w komputerze i poinformował ją, że porucznik Daniels jest na urlopie. Gdzieś na Zachodzie.

— To znaczy, że on może spędzać urlop tu — powiedział w zadumie Bill.

— Tak. I jeśli zrobi komuś krzywdę, to będzie moja wi...

Położył ręce na jej ramionach i obrócił do siebie. Szeroko otworzyła oczy i dostrzegł, że skuliła się. Ten widok ranił mu serce w nowy, dziwny sposób. Nagle przypomniał sobie historię, jaką słyszał w Amerykańskim Centrum Syjonistycznym, gdzie do ukończenia dziewięciu lat uczęszczał na lekcje religii i USY. Była to opowieść o tym, jak dawniej, w czasach proroków, czasem kamienowano ludzi na śmierć. Wtedy uważał to za najokrutniejszy rodzaj kary, znacznie gorszy od plutonu egzekucyjnego czy krzesła elektrycznego, sposób uśmiercania, którego nie usprawiedliwia żadna zbrodnia. Teraz, widząc, co Norman Daniels zrobił tej cudownej kobiecie o delikatnej, wrażliwej twarzy, nie był już tego pewny.

— Nie mów o winie — przerwał jej. — Ty nie stworzyłaś Normana.

Zamrugnęła oczami, jakby ta myśl nigdy nie przyszła jej do głowy.

— Jak, na Boga Ojca, on zdołał odnaleźć tego Słowika?

— Stając się mną.

Bill spojrzął na nią. Skinęła głową.

— To brzmi głupio, ale tak jest. On rzeczywiście potrafi to robić. Sama widziałam. Zapewne w ten sposób aresztował tych handlarzy narkotyków.

— Przeczucie? Intuicja?

— To coś więcej. Raczej telepatia. Nazywa to *trollingiem*.

Bill potrząsnął głową.

— Mówimy o naprawę dziwnym facecie, prawda?

To zaskoczyło ją tak, że parsknęła śmiechem.

— O rany, nie wiesz, o kim mówisz! W każdym razie wszystkie kobiety w schronisku widziały jego zdjęcie i podejmą specjalne środki ostrożności, szczególnie podczas sobotniego pikniku. Anna mówiła, że dostaną także gaz... te, które potrafią go użyć w podbramkowej sytuacji. I wszystko to brzmiało sensownie, ale potem Anna powiedziała: „Nie martw się, Rosie, miałyśmy już takie kłopoty”, i znów mnie wystraszyła. Bo kiedy zostaje zamordowany człowiek, miły człowiek, taki jak ten, który pomógł mi na tym okropnym dworcu autobusowym, to nie jest tylko kłopot.

Znów podniosła głos, mówiąc coraz szybciej. Wziął ją za rękę i uściśnął jej dłoń.

— Wiem, Rosie — rzekł, mając nadzieję, że mówi uspokajającym głosem. — Wiem, że nie.

— Wydaje się jej, że wie, co robi... mówię o Annie, że przeżyła coś takiego, bo wzywała policję z powodu jakiegoś pijaka, który cisnął cegłą w okno albo kręcił się w pobliżu i opluł swoją żonę, kiedy wyszła rano po gazety. A przecież nigdy nie miała do czynienia z kimś takim jak Norman, lecz ona nie przyjmuje tego do wiadomości i to mnie przeraża.

Umilkła, usiłując zapanować nad sobą, a potem uśmiechnęła się do Billa.

— W każdym razie ona twierdzi, że nie muszę mieszać się do tego, przynajmniej na razie.

— Cieszę się.

Corn Building był już tuż przed nimi.

— Nic nie powiedziałaś na moje włosy. — Znów rzuciła mu szybkie, tym razem zawstydzone, spojrzenie. — Czy to oznacza, że nie zauważyłeś, czy nie podobają ci się?

Zerknął na nią i uśmiechnął się.

— Zauważyłem i podobają mi się, ale myślałem o czymś innym... bałem się, że już nigdy cię nie zobaczę.

— Przykro mi, że tak się zdenerwowałeś.

I było jej przykro, ale także przyjemnie, że zdenerwował się. Czy kiedykolwiek czuła coś choćby podobnego, kiedy chodziła z Normanem? Nie mogła sobie przypomnieć. Wyraźnie pamiętała tylko, jak pewnej nocy na wyścigach samochodowych obmacywał ją pod kocem, ale poza tym — przynajmniej w tej chwili — wszystko ginęło w mroku niepamięci.

— Ten pomysł podsunęła ci kobieta z obrazu, prawda? Z tego, który kupiłaś, kiedy cię poznałem.

— Może — odparła ostrożnie. Czyżby uznał, że to dziwne, i dlatego nic nie powiedział o jej włosach?

On jednak znów ją zaskoczył, może nawet bardziej niż wtedy, kiedy zapytał o Wendy Yarrow.

— Przeważnie, kiedy kobieta zmienia kolor włosów, wygląda jak kobieta, która ufarbowała włosy — rzekł. — Mężczyźni zazwyczaj udają, że o tym nie wiedzą, ale tak nie jest. Tymczasem ty... wydaje się, że kiedy przyszedłeś do naszego sklepu, miałaś ufarbowane włosy, a ten kolor jest prawdziwy. Pewnie to brzmi jak najbardziej naciągane pochlebstwo, jakie kiedykolwiek słyszałaś, ale to prawda... mimo że tlenione włosy zwykle wyglądają sztucznie. Powinnaś zaplatać je w warkocz, tak jak kobieta na obrazie. Wyglądałabyś jak księżniczka wikingów. Seksowna jak diabli.

To słowo podziałało niczym naciśnięcie wielkiego czerwonego guzika alarmowego, budząc uczucia, które były zarówno niezwykle przyjemne, jak i okropnie niepokojące. Nie

lubię seksu — pomyślała. — Nigdy nie lubiłam seksu, ale...

Z przeciwnej strony nadchodzili Rhoda i Curt. Wszyscy czworo spotkali się przed staromodnymi, obrotowymi drzwiami Corn Building. Rhoda z nie skrywanym zainteresowaniem zmierzyła Billa spojrzeniem.

— Bill, to ludzie, z którymi pracuję — powiedziała Rosie, a rumieniec jeszcze silniej zabarwił jej policzki. — Rhoda Simons i Curtis Hamilton. Rhoda, Curt, to... — przez jedną krótką sekundę miała w głowie kompletną pustkę, nie mogąc przypomnieć sobie nazwiska tego mężczyzny, który już stał się dla niej tak ważny. Potem, na szczęście, przypomniała sobie. — Bill Steiner — dokończyła.

— Miłmpnasptkć — rzucił Curt i uściśnął dłoń Billa. Zerknął na budynek, wyraźnie chcąc jak najszybciej nałożyć na głowę słuchawki.

— Wszyscy przyjaciele Rosie są naszymi przyjaciółmi, jak to się mówi — rzekła Rhoda i wyciągnęła rękę. Cienkie bransoletki na jej przegubie zadzwoniły cicho.

— Cała przyjemność po mojej stronie — odparł Bill i obrócił się do Rosie. — Jesteśmy umówieni na sobotę?

Przez moment zastanawiała się, a potem kiwnęła głową.

— Wpadnę po ciebie o ósmej trzydzieści. Pamiętaj, ubierz się ciepło.

— Zrobię to.

Teraz czuła, jak rumieniec oblewa całe jej ciało, jak twardnieją jej sutki i drętwieją palce. Sposób, w jaki na nią patrzył, znów podzielał jak naciśnięcie czerwonego guzika, lecz tym razem było to bardziej przyjemne niż przerażające. Nagle poczuła nieodpartą ochotę — komiczną, a mimo to niezwykle silną — aby objąć go ramionami... nogami... i po prostu wspiąć się po nim, jak po drzewie.

— No to na razie — rzekł Bill. Nachylił się i cmoknął ją w kącik ust. — Rhoda, Curtis, miło mi było was poznać.

Odwrócił się i odszedł, pogwizdując.

— Muszę ci przyznać, Rosie, że masz wspaniały gust — pochwaliła ją Rhoda. — Te oczy!

— Jesteśmy tylko przyjaciółmi — wyjaśniała niezręcznie Rosie. — Poznałam go... — zamilkła. Nagle wyjaśnienie tego, jak go poznała, wydało się niezwykle skomplikowane, a także kłopotliwe. Wzruszyła ramionami i zaśmiała się nerwowo. — No, wiesz.

— Tak, wiem — powiedziała Rhoda, patrząc na odchodzącego ulicą Billa. Potem odwróciła się z powrotem do Rosie i uśmiechnęła się z zadowoleniem. — Naprawdę wiem. W tych resztkach kobiecości bije serce prawdziwej romantyczki, która ma nadzieję, że ty i pan Steiner zostaniecie bardzo dobrymi przyjaciółmi. A tymczasem wracamy do pracy?

— Tak — odparła Rosie.

— Czy możemy oczekiwać, że będzie lepiej niż rano, skoro udało ci się... hmm... mniej więcej uporządkować inne sprawy?

— Jestem pewna, że będzie znacznie lepiej — oznajmiła Rosie. I było.

VI ŚWIĄTYNIA BYKA

1

Przed pójściem do łóżka w czwartkową noc Rosie znów podłączyła telefon i skorzystała z niego, żeby porozmawiać z Anną. Zapytała ją, czy słyszała coś nowego, czy może ktoś widział Normana w mieście. Anna w obu wypadkach odpowiedziała przecząco, uspokoiła ją, że wszędzie panuje spokój, a potem przypomniała starą prawdę, że czasem brak wiadomości to dobra wiadomość. Rosie miała co do tego wątpliwości, ale zatrzymała je dla siebie. Natomiast, po krótkim wahaniu, złożyła Annie kondolencje z powodu śmierci byłego męża, zastanawiając się, czy w podręczniku dobrych manier znalazłaby wskazówki, jak radzić sobie w takiej sytuacji.

— Dziękuję, Rosie — powiedziała Anna. — Peter był dziwnym i trudnym człowiekiem. Kochał ludzi, ale nie pozwalał się kochać.

— Wydał mi się bardzo miły.

— Jestem pewna. Dla obcych był dobrym samarytaninem. Dla rodziny i ludzi, którzy próbowali zaprzyjaźnić się z nim, a należałam do obu grup, więc wiem, był bardziej lewitą, który przeszedł na drugą stronę. Kiedyś, podczas kolacji wigilijnej, złapał indyka i cisnął nim w swojego brata, Hala. Nie pamiętam, o co im poszło, ale pewnie kłócili się o OWP lub o Cesara Chaveza. Zazwyczaj chodziło o jedno lub drugie.

Anna westchnęła.

— W sobotę po południu robimy wieczór pamięci; wszyscy siadają na składanych krzesłach, jak pijacy na spotkaniu Anonimowych Alkoholików, żeby po kolei opowiadać o nim. A przynajmniej myślę, że tak to będzie wyglądało.

— To miłe.

— Tak sądzisz? — spytała Anna. Rosie wyobraziła sobie, jak wygina brwi w ten swój arogancki sposób, bardziej niż kiedykolwiek przypominając Maude. — Ja uważam, że to trochę głupie, ale może masz rację. W każdym razie opuszczę na jakiś czas piknik, ale szybko wrócę. Maltretowane kobiety w tym mieście straciły przyjaciela, nie ma co do tego wątpliwości.

— Jeżeli to sprawka Normana...

— Wiedziałam, że tak będzie — powiedziała Anna. — Zajmowałam się kobietami, które były przez wiele lat dręczone na wszystkie możliwe sposoby, i znam to masochistyczne nastawienie, jakie u nich powstaje. W takim samym stopniu wynika ono z syndromu maltretowanej kobiety, co z wyobcowania i depresji. Pamiętasz, jak eksplodował prom kosmiczny Challenger?

— Tak... — Rosie była zdziwiona, ale pamiętała, oczywiście.

— Nieco później tamtego dnia przyszła do mnie kobieta we łzach. Na ramionach i na twarzy miała mnóstwo czerwonych śladów; policzkowała się i szczypała. Powiedziała, że to jej wina, że zginęli ci mężczyźni i ta sympatyczna nauczycielka. Kiedy zapytałam dlaczego, wyjaśniła, że napisała nie jeden list, ale dwa listy popierające program załogowych lotów kosmicznych — jeden do „Chicago Tribune”, a drugi do kongresmana z jej obwodu. Po prostu po pewnym czasie u maltretowanych kobiet zaczyna budzić się poczucie winy. I nie tylko za niektóre rzeczy, lecz za wszystko.

Rosie pomyślała o Billu odprowadzającym ją do Corn Building, obejmującym ją w tali. „Nie mów o winie — powiedział jej. — Ty nie stworzyłaś Normana”.

— Przez długi czas nie pojmowałam tej reakcji — mówiła Anna — ale teraz chyba

rozumiem. Ktoś musi ponosić winę, inaczej cały ten ból, przygnębienie i izolacja nie miałyby sensu. Doprowadziłyby do szaleństwa. Lepiej być winnym niż szalonym. Nadszedł już czas, Rosie, żebyś odrzuciła obie te możliwości.

— Nie rozumiem.

— Ależ rozumiesz — powiedziała spokojnie Anna i zaczęły rozmawiać na inne tematy.

2

Dwadzieścia minut po tym, jak pożegnała się z Anną, Rosie leżała w łóżku, mając otwarte oczy i dłonie splecione pod poduszką, patrząc w ciemność, a przed oczami przelatywały jej różne twarze, jak swobodnie unoszące się baloniki. Rob Lefferts, wyglądający jak pan Forsiasty z żółtego żetonu loteryjki; widziała, jak podaje jej jeden z napisem „Wychodzisz z więzienia”. Rhoda Simons z ołówkiem za uchem, mówiąca Rosie, że to chodziło o nylonową pończochę, a nie nylonową piśczochę. Gert Kinshaw, ludzka wersja planety Jupiter, w spodniach od dresu i męskim podkoszulku, obie rzeczy w rozmiarze XXXL. Cynthia Ktośtam (Rosie nie mogła zapamiętać jej nazwiska), wesoła punkowa z dwukolorową fryzurą, opowiadająca o tym, jak kiedyś siedziała godzinami przed obrazem, na którym rzeka wydawała się rzeczywiście płynąć.

I Bill oczywiście. Widziała jego piwne oczy o zielonym odcieniu, widziała ciemne włosy zaczesane za uszy, widziała nawet maleńką bliznę na płatku prawego ucha, które kiedyś przekłuł (pewnie w szkole średniej, na małym rauszu), a potem pozwolił mu zarosnąć. Czula w talii dotyk jego ręki, ciepłej dłoni, mocnych palców; czula, jak ocierał się o nią biodrem i zastanawiała się, czy odczuwał podniecenie dotykając jej. Teraz była już skłonna przyznać, że ją te dotknięcia podniecały. Tak bardzo różnił się od Normana, jakby był gościem z innej planety.

Zamknęła oczy. Powoli zaczęła zapadać w sen.

Z ciemności wyłoniła się inna twarz. Twarz Normana. Uśmiechał się, lecz jego szare oczy były jak dwa kawałki lodu. „Zarzucam wędkę, kochanie — rzekł Norman. — Leżąc w moim łóżku, niedaleko stąd, zarzucam wędkę. Wkrótce porozmawiam z tobą. W cztery oczy. To będzie krótka rozmowa. A kiedy skończę...”

Podniósł rękę. Trzymał w niej ołówek Mongoł nr 2. Ostry jak igła.

„Tym razem nie będę zwracał sobie głowy rękami czy ramionami. Tym razem zajmę się oczami. A może językiem. Jak myślisz, kochanie? Co będzie, kiedy wbiję ci ołówek prosto w twój kwaczący, kłamliwy ję...”

Gwałtownie otworzyła oczy i obraz Normana zniknął. Ponownie je zamknęła i przywołała twarz Billa. Przez chwilę była pewna, że on się nie pojawi, że zamiast niego znowu ujrzy twarz Normana, ale tak się nie stało.

Mamy randkę w sobotę — pomyślała. — Spędzimy razem cały dzień. Jeśli zechce mnie pocałować, pozwolę mu. Jeśli zechce mnie objąć i przytulić, pozwolę mu. To szaleństwo, jak bardzo pragnę z nim być.

Ponownie zaczęła odpływać i teraz chyba śniła o pikniku, na który wybierała się z Billem pojutrze. Opodal piknikował jeszcze ktoś, ktoś z dzieckiem. Słyszała, jak płakało, bardzo cicho. Potem usłyszała łoskot gromu.

Tak jak na moim obrazie — myślała. — Przy śniadaniu powiem mu o moim obrazie. Zapomniałam powiedzieć mu dzisiaj, ponieważ mieliśmy tyle spraw do omówienia...

Znowu zagrzmiało, bliżej i głośniej. Tym razem dźwięk zaniepokoił ją. Deszcz popsuje piknik, deszcz uniemożliwi imprezę Córek i Sióstr na Ettinger's Pier, deszcz może nawet spowodować odwołanie koncertu.

Nie martw się, Rosie, grzmi na obrazie, a to tylko sen.

Skoro to tylko sen, to dlaczego wciąż czuje poduszkę leżącą na jej rękach i dłoniach? Dlaczego czuje, że ma splecione palce i jest przykryta lekkim kocem? Dlaczego wciąż słyszy odgłosy ulicznego ruchu za oknem?

Świerszcze grały i buczały: cyk–cyk–cyk–cyk–cyk.

Płakało dziecko.

W jej oczach nagle błysnęło purpurowe światło, jakby błyskawicy, i znów przetoczył się grom, bliżej niż kiedykolwiek.

Rosie jęknęła i usiadła na łóżku; serce waliło jej jak młotem. Nie było żadnych błyskawic. Żadnych gromów. Wydawało jej się, że ciągle słyszy świerszcze, tak, lecz może słuch płatał jej figle. Spojrzała przez pokój w kierunku okna i dostrzegła zarys prostokąta opartego pod nim o ścianę. Obraz Rose Madder. Jutro włoży go do torby na zakupy i zabierze do pracy. Rhoda lub Curt pewnie znają jakiś pobliski warsztat, gdzie mogłaby go oprawić w ramy.

Wciąż słyszała ciche granie świerszczy.

Z parku — pomyślała, kładąc się z powrotem.

Przy zamkniętym oknie? — spytała Praktycznie–Rozsądna. Mówiła z powątpiewaniem, ale bez obawy. — Jesteś pewna, Rosie?

Oczywiście. Przecież było już prawie lato — macie więcej świerszczy, ludzie — a w końcu, co za różnica? No dobrze, może w tym obrazie było coś dziwnego. Bardziej prawdopodobne, że wszystko zrodziło się w jej głowie, skołatanej ostatnimi wydarzeniami, ale załóżmy, że to naprawdę robota obrazu. I co z tego? Nie widziała w tym nic złego.

Tylko czy możesz powiedzieć, że nie wyczuwasz żadnego niebezpieczeństwa, Rosie? — Teraz w głosie Praktycznie–Rozsądnej zabrzmiał niepokój. — Dajmy spokój złu, czy jak tam chcesz to nazwać. Czy możesz powiedzieć, że nie wyczuwasz żadnego niebezpieczeństwa?

Nie, tego nie mogła powiedzieć, ale z drugiej strony, niebezpieczeństwo czyhało wszędzie. Popatrzcie tylko, co przydarzyło się byłemu mężowi Anny Stevenson.

Nie chciała myśleć o tym, co przytrafiło się Peterowi Słowikowi; nie zamierzała wracać do tego, co na sesjach terapeutycznych nazywano Ulicą Winy. Pragnęła myśleć o sobocie, o tym, co czułaby, gdyby pocałował ją Bill Steiner. Czy położyłby ręce na jej ramionach, czy objąłby ją w pól? Jak byłoby, gdyby dotknął swoimi wargami jej ust? Czy...

Głowa Rosie opadła na bok. Grzmiało. Grały świerszcze, głośniejsze niż kiedykolwiek, i jeden z nich zaczął skakać po podłodze w kierunku łóżka, lecz Rosie o tym nie wiedziała. Nić łącząca umysł z ciałem pękła i Rosie odpłynęła w ciemność.

3

Obudził ją błysk światła, tym razem nie purpurowy, lecz oślepiająco biały. Towarzyszył mu grzmot — nie łoskot, ale potworny huk.

Rosie usiadła na łóżku dysząc, przyciskając skraj koca do piersi. Kolejny błysk, w którym ujrzała swój stół, szafki kuchenne, małą sofę, która raczej była sporym fotelem, szeroko otwarte drzwi do maleńkiej łazienki z kwiciastą zasłoną prysznicą, wiszącą na metalowych kółkach. Światło było tak oślepiające, a jej oczy tak nie przygotowane, że widziała te przedmioty jeszcze wtedy, kiedy znów zapadła ciemność — tylko w negatywie. Zdała sobie sprawę z tego, że wciąż słyszy płacz dziecka, ale świerszcze umilkły. I wiał wiatr. Czuła go, a także słyszała. Rozwiewał jej włosy na skroniach i cicho szeleścił kartkami. Pozostawiła na stole kserokopie następnej powieści Richarda Racine'a i podmuch rozrzucił je po podłodze.

To nie sen, pomyślała i opuściła nogi na podłogę. Robiąc to, spojrzała w kierunku okna i zaparło jej dech w piersi. Albo okno zniknęło, albo cała ściana stała się oknem.

W każdym razie nie widziała za nim Tremont Street ani Bryant Parku, lecz kobietę w jasnorożowym chitonie, stojącą na szczycie zarośniętego wzgórza i spoglądającą na ruiny

świętyni. Rąbek krótkiej szaty falował wokół długich, smukłych ud kobiety; Rosie widziała też krótkie jasne włosy, które wymknęły się z warkocza, teraz falujące jak plankton na wietrze, i purpurowoczarny front burzy pędzący po niebie. Widziała również, jak porusza się łeb kudłatego kucyka skubiącego trawę.

A jeśli to było okno, to szeroko otwarte. Na jej oczach konik wetknął łeb do pokoju, obwąchał podłogę, nie znalazł niczego godnego uwagi, cofnął się i wrócił do skubania trawy po swojej stronie.

Następne błyskawice, kolejny grom. Znowu nadleciał wiatr i Rosie usłyszała, jak rozsypane kartki szeleszczą i wirują na podłodze kuchni. Skraj koszuli nocnej zatrzepotał wokół jej nóg, gdy wstała i powoli podeszła do obrazu, który teraz zajmował całą ścianę, od podłogi po sufit i od rogu do rogu. Wiatr rozwiewał jej włosy i czuła słodką woń nadchodzącego deszczu.

Niedługo zacnie padać — pomyślała. — Na pewno zmoknę. Wszyscy zmokniemy.

ROSE, O CZYM TY MYŚLISZ?! — wrzasnęła Praktycznie–Rozsądna. CO TY, NA BOGA...

Rosie zamknęła jej usta — w tej chwili wydawało jej się, że już nigdy więcej nie chce słyszeć tego głosu — i stanęła przed ścianą, która przestała być ścianą. Tuż przed nią, w odległości nie większej niż półtora metra, stała jasnowłosa w chitonie. Nie odwróciła się, ale Rosie dostrzegła teraz lekkie poruszenia podniesionej ręki, gdy kobieta patrzyła w dół z boczna, oraz wznoszenie się i opadanie ledwie widocznej lewej piersi. Rosie głęboko wciągnęła powietrze i weszła w obraz.

4

Po drugiej stronie temperatura była co najmniej dziesięć stopni niższa, a wysoka trawa łaskotała ją w kostki i łydki. Przez chwilę zdawało jej się, że znów słyszy płacz dziecka, bardzo cichy, ale ten dźwięk zaraz ucichł. Obejrzała się przez ramię oczekując, że zobaczy swój pokój, lecz on zniknął. W miejscu, w którym przeszła do świata obrazu, rozpościerało konary i korzenie stare, karłowate drzewko oliwne. Pod nim stały sztalugi, a przed nimi taboret. Na stołku leżało otwarte pudło pełne farb i pędzli.

Rozpięte na sztalugach płótno miało dokładnie takie same wymiary jak obraz, który Rosie kupiła w lombardzie. Ukazywał jej pokój przy Trenton Street, widziany z tego miejsca, gdzie powiesiła Rose Madder. Na środku pokoju stała kobieta, najwyraźniej sama Rosie, spoglądająca na drzwi wiodące na korytarz pierwszego piętra. Jej wygląd i poza nie były dokładnie takie same jak kobiety patrzącej na zrujnowaną świątynię — na przykład nie miała uniesionej ręki — ale wystarczająco podobne, aby śmiertelnie przstraszyć Rosie. Było jeszcze coś przerażającego: kobieta nosiła niebieskie, wąskie spodnie i różową bluzkę bez rękawów. Ten strój Rosie zamierzała włożyć na motocyklową wycieczkę z Billem. Będę musiała włożyć coś innego — pomyślała bez sensu, jakby w ten sposób mogła zmienić to, co widziała teraz.

W pokoju unosiła się jakaś dziwna smuga cienia, padająca na sofę będącą raczej dużym fotelem i znajdującą się za nią ścianę. Kobieta z obrazu spoglądała na drzwi i coś w linii jej pleców i ramion powiedziało Rosie, że spodziewała się kłopotów, które mogły nadejść z tamtej strony. Możliwe, że te kłopoty były już w pokoju, tylko ona ich nie widziała.

Jak Alma St. George w nowej książce Richarda Racine'a, pomyślała Rosie.

Coś szturchnęło ją w rękę i Rosie krzyknęła cicho. Odwróciła się i zobaczyła kucyka patrzącego na nią przepraszająco, brązowymi oczami. W górze zagrzmiało.

Obok zgrabnego powoziku, do którego był zaprzężony kucyk, stała kobieta. Miała na sobie długą, czerwoną togę. Szata sięgała jej do kostek, ale była jak gaza, prawie przezroczysta;

przez artystycznie udrapowane fałdy Rosie dostrzegła ciepłe tony jej *café-au-lait* skóry. Błyskawica przecięła niebo i przez moment Rosie znów ujrzała to, co po raz pierwszy zobaczyła na obrazie wkrótce po tym, jak Bill odprowadził ją po kolacji w Pop's Kitchen: cień bryczki na trawie i wystająca z niego sylwetkę kobiety.

— Nie obawiaj się — rzekła kobieta w czerwonej todze. — Radamanthus jest dla ciebie najmniej groźny. Jada wyłącznie trawę i koniczynę. Po prostu chce cię obwąchać.

Rosie z nagłą głęboką ulgą pojęła, że to jest kobieta, o której Norman zawsze mówił (z wściekłością i drwiną) „ta niechlujna żółta dziwka”. To była Wendy Yarrow, ale Wendy Yarrow nie żyła, tak więc to wszystko sen, CBDU. Obojętnie jak realistyczny i jak realistyczne wydawały się szczegóły (na przykład ocieranie z ramienia odrobiny wilgoci pozostawionej tam przez pysk ciekawskiego kucyka), to był tylko sen.

Oczywiście — powiedziała sobie. — Nikt nie może wejść w obraz, Rosie.

A jednak nie wywarło to na niej żadnego wrażenia. Wprost przeciwnie niż spostrzeżenie, że powożąca bryczką kobieta to Wendy Yarrow.

Powiał wiatr i ponownie usłyszała płacz dziecka. Teraz zobaczyła coś jeszcze: na koźle powozu stał duży koszyk upleciony z sitowia. Jego pałąk był ozdobiony jedwabną wstążką, tak samo jak naroża. Ze środka wystawał brzeg różowego koca, najwyraźniej ręcznie tkanego.

— Rosie.

Głos był cichy i słodki. Mimo to spowodował gęsią skórę na plecach Rosie. Coś było nie tak i miała wrażenie, że wyczuje to tylko inna kobieta — słuchający tego głosu mężczyzna natychmiast pomyśli o seksie i zapomni o wszystkim. Lecz z tym głosem było coś nie tak. I to bardzo.

— Rosie — usłyszała ponownie i nagle zrozumiała: ten głos usiłował udawać ludzki. Usiłował „przypomnieć” sobie, jak mówi człowiek.

— Nie patrz jej w oczy, dziewczyno — ostrzegła kobieta w czerwonej todze. Była wyraźnie zaniepokojona. — To nie dla takich jak ty.

— Nie, nie mam zamiaru — odparła Rosie. — Chcę do domu.

— Nie mam ci tego za złe, ale na to jest już za późno — powiedziała kobieta i pogłaskała kark kucyka. Jej ciemne oczy patrzyły poważnie, a usta były zaciśnięte. — I nie dotykaj jej. Ona nie chce wyrządzić ci krzywdy, ale już nie panuje nad sobą.

Jednym palcem postukała się w skroń.

Rosie niechętnie odwróciła się do kobiety w chitonie i zrobiła krok naprzód. Była zafascynowana kształtem jej pleców, nagiego ramienia i karku. Skórą gładszą niż jedwab. Lecz wyżej, na szyi...

Rosie nie wiedziała, czym są te szare cienie widoczne tuż pod linią włosów, i chyba nie chciała wiedzieć. W pierwszej chwili pomyślała, że to ślady ugryzień, ale nie. Rosie wiedziała, jak wygląda taki ślad. Czyżby trąd? Coś gorszego? Coś zaraźliwego?

— Rosie — odezwał się po raz trzeci ten słodki, namiętny głos i było w nim coś takiego, że Rosie miała ochotę krzyknąć, tak samo jak czasem na widok uśmiechu Normana. Przypomniała sobie, jak kobieta w czerwonej szacie stuknęła się w czoło.

Ta kobieta jest szalona. Cokolwiek jest z nią nie tak — te ślady na jej skórze — to drugorzędna sprawa. Ona jest szalona.

Błysnęło. Zagrzmiało. A łagodne poddmuchy wiatru wiejącego od zrujnowanej świątyni u stóp wzgórze przyniosły odległy płacz niemowlęcia.

— Kim jesteście? — zapytała. — Kim jesteście i dlaczego znalazłam się tutaj?

W odpowiedzi kobieta wyciągnęła prawą rękę i odwróciła ją, pokazując biały krąg starej blizny.

— Ta mocno krwawiła, a potem wywiązała się infekcja — powiedziała swoim słodkim, namiętym głosem.

Rosie wyciągnęła rękę. Wprawdzie na lewej, a nie na prawej, ale ślad był dokładnie ten

sam. Nagle przysła jej do głowy okropna myśl: gdyby miała ubrać się w jasnoróżowy chiton, nosiłaby go tak, żeby pokazywać prawe ramię, a nie lewe, a gdyby miała złoty naramiennik, założyłaby go nad lewy łokieć.

Kobieta na wzgórzu była jej lustrzanym odbiciem.

Kobieta na wzgórzu była...

— Jesteś mną, prawda? — spytała Rosie. A po chwili, gdy kobieta z warkoczem lekko drgnęła, dodała piskliwym, drżącym głosem: — Nie odwracaj się, nie chcę patrzeć!

— Nie tak szybko — powiedziała Rose Madder spokojnie — Ty jesteś rzeczywiście Rosie, jesteś *Rosie Real*. Nie zapomnij o tym, kiedy zapomnisz o wszystkim. I nie zapomnij o jeszcze jednym: Ja odpłacam. To, co zrobisz dla mnie, ja zrobię dla ciebie. Właśnie dlatego jesteśmy razem. W równowadze. To nasza *ka*.

Błyskawica przecięła niebo; trzasnął grom; wiatr syknął w gałęziach oliwnego drzewa. Krótkie jasne włoski wymykające się z warkocza Rose Madder gwałtownie zafalowały. Nawet w tym kiepskim świetle wyglądały jak złote nitki.

— Teraz zejdź na dół — powiedziała Rose Madder. — Zejdź na dół i przynieś mi moje dziecko.

5

Płacz dziecka nadleciał z wiatrem jak dźwięk dobiegający z innego kontynentu i Rosie z lękiem spojrzała na zrujnowaną świątynię, której proporcje wciąż zdawały się dziwnie i nieprzyjemnie zdeformowane. Ponadto zaczęło ją mrowić w piersiach, tak jak często zdarzało się jej po poronieniu.

Rosie otworzyła usta, nie mając pojęcia, jakie wyjdą z nich słowa, wiedząc tylko, że będą to słowa protestu, lecz zanim zdążyła coś powiedzieć, ktoś chwycił ją za ramię. Odwróciła się. Kobieta w czerwonej szacie. Ostrzegawczo potrząsnęła głową, znów postukała się w czoło i wskazała na ruiny.

Prawy przegub Rosie ścisnęła inna dłoń, zimna jak kamień nagrobka. Rosie obróciła się i w ostatniej chwili pojęła, że kobieta w chitonie stoi twarzą do niej. Szybko, z głową pełną niejasnych myśli o Meduzie, Rosie spuściła wzrok, żeby nie spojrzeć w oblicze tamtej. I wtedy zobaczyła grzbiet dłoni ściskającej jej nadgarstek. Ta dłoń była pokryta ciemnoszarymi plamami, przywodzącymi na myśl jakiegoś czającego się morskiego drapieżnika (płaszczkę oczywiście). Paznokcie miała długie i zrogowaciałe. Rosie ujrzała, jak spod jednego z nich wylazł mały, biały robak.

— Teraz idź — poleciła Rose Madder. — Zrób dla mnie to, czego nie mogę zrobić sama. I pamiętaj: Ja odpłacam.

— W porządku — odparła Rosie. Poczowała straszną, perwersyjną chęć, by spojrzeć w twarz tej drugiej kobiety. Zobaczyć, co ukrywa. Może ujrzy własną twarz ginącą pod śmiertelnie szarym nalotem jakiejś choroby doprowadzającej do szaleństwa, a jednocześnie pożerającej żywcem. — W porządku, spróbuję, tylko nie każ mi patrzeć na ciebie.

Ręka puściła jej przegub... ale powoli, jakby chciała natychmiast zacisnąć się z powrotem, gdyby wyczuła u Rosie najmniejszą oznakę słabości. Potem dłoń odwróciła się i jeden martwy szary palec wskazał na podnóże wzgórza, tak jak Duch Przyszłych Świąt Bożego Narodzenia pokazał Ebenezerowi Scrooge'owi jego nagrobek.

— A więc idź — rzekła Rose Madder. — Nie trać czasu na zadawanie pytań.

Rosie powoli ruszyła w dół zbocza, wciąż ze spuszczonego wzrokiem, obserwując swoje białe stopy prześlizgujące się przez wysoką, twardą trawę. Dopiero kiedy szczególnie donośny łoskot gromu rozdarł powietrze, podniosła głowę, przestraszona, i zobaczyła, że kobieta w czerwonej szacie idzie z nią.

— Zamierzasz mi pomóc? — spytała Rosie.

— Mogę dojść tylko tam — kobieta w czerwieni wskazała na obaloną kolumnę. — Cierpię na to samo, co ona, tyle że dotychczas to ledwie mnie musnęło.

Uniosła rękę i Rosie ujrzała amorficzną różową plamę wijącą się na ciele — w ciele — między przegubem a łokciem. Podobna była na wewnętrznej części dłoni. Ta była prawie ładna. Przypominała Rosie koniczynę, którą znalazła między deskami podłogi. Jej pokój, miejsce, które miało być schronieniem, teraz wydawał się bardzo odległy. Może ono było snem, całe jej tamto życie, a tylko to było rzeczywistością.

— Mam tylko te dwie, przynajmniej na razie — powiedziała kobieta — ale nawet one wystarczają, bym nie mogła podejść. Byk zwęszyłby mnie i zaszarżował. Atakowałby mnie, ale zginęłybyśmy obie.

— Jaki byk? — zapytała Rosie, zdziwiona i przestraszona. Prawie dochodziły do obalonej kolumny.

— Erinyes. On strzeże świątyni.

— Jakiej świątyni?

— Pani ma rację, szkoda tracić czas na zadawanie pytań. Szczególnie męskich pytań.

— O czym ty mówisz? Co to są „męskie pytania”?

— Te, na które znasz już odpowiedź, dziewczyno. Chodź tu. „Wendy Yarrow” stała przy porośniętym mchem fragmencie obalonej kolumny i ze zniecierpliwieniem patrzyła na Rosie. Opodal wznosiła się świątynia. Widok tej budowli powodował ból oczu, tak samo jak spoglądanie na ekran kinowy z nieostrym obrazem. Rosie widziała niewielkie wybrzuszenia tam, gdzie nie powinno ich być; widziała smugi cienia, które znikwały, gdy zamrużyła oczami.

— Erinyes jest jednookim ślepcem, jednak ma doskonały węch. Czy to twój czas, dziewczyno?

— Mój czas...?

— Twoja pora księżycy!

Rosie potrząsnęła głową.

— To dobrze, w przeciwnym razie byłybyśmy z góry skazane na klęskę. Mój również nie, a od kiedy choroba zaczęła być widoczna, nie ma we mnie kropli kobiecej krwi. To niedobrze, gdyż taka krew byłaby najlepsza. Mimo wszystko...

Potworny łoskot gromu rozdarł powietrze tuż nad ich głowami i spadły pierwsze lodowate krople deszczu.

— Musimy się śpieszyć! — zawołała kobieta w czerwieni. — Odedrzyj dwa kawałki swej koszuli, dziewczyno. Jeden pas na bandaż i drugi, dostatecznie szeroki, żeby owinać węń kamień i związać końce. Nie spieraj się i nie zadawaj już żadnych pytań. Po prostu zrób to.

Rosie schyliła się, chwyciła rąbek swojej bawełnianej koszuli nocnej i oddarła długi, szeroki pas tkaniny, odsłaniając lewą nogę aż do biodra. Idąc, będąc wyglądała jak kelnerka w chińskiej restauracji — pomyślała. Udarła z kawałka drugi, wąski pasek, a kiedy spojrzała na „Wendy”, przestraszyła się widząc w jej rękach długi i groźnie wyglądający, obosieczny sztylet. Rosie nie miała pojęcia, skąd tamta mogła go wyjąć, chyba że był przywiązany do uda, jak w wypadku bohaterki jednej z tych słodko-awanturnych powieści Paula Sheldona, powieści, w których wszystkie wydarzenia, choćby nie wiadomo jak naciągane, miały swoją przyczynę.

Pewnie właśnie tam go chowała — stwierdziła Rosie. Wiedziała, że sama też chciałaby mieć przy sobie nóż, gdyby podróżowała w towarzystwie kobiety w jasnoróżowym chitonie. Ponownie przypomniała sobie, jak kobieta — która rzeczywiście podróżowała z Rose Madder — postukała się po głowie i powiedziała Rosie, żeby nie dotykała jej pani. „Ona nie chce wyrządzić ci krzywdy — rzekła »Wendy Yarrow«, ale już nie panuje nad sobą”.

Rosie otworzyła usta, by zapytać kobietę stojącą obok zwałonej kolumny, co zamierza zrobić tym nożem... lecz zrezygnowała. Jeśli męskie pytania to te, na które zna się

odpowiedź, to jej pytanie było zdecydowanie męskie.

„Wendy” zdawała się poczuć na sobie wzrok Rosie i spojrzała na nią.

— Najpierw będzie ci potrzebny większy kawałek — oznajmiła. — Przygotuj go, dziewczyno.

Zanim Rosie zdążyła odpowiedzieć, „Wendy” przebiła sobie skórę końcem sztyletu. Syknęła kilka słów, których Rosie nie zrozumiała — może modlitwy — a potem ostrzem nakreśliła na swoim przedramieniu cienką linię w kolorze sukni. Linia rozszerzyła się i zaczęła broczyć, gdy skóra i tkanki pod nią ustąpiły, pozwalając rozejść się brzegom rany.

— Och, jak strasznie boli! — jęknęła kobieta, a potem wyciągnęła do Rosie drugą rękę. — Daj mi to. Ten duży kawałek, ten duży!

Rosie podała jej, zmieszana i wystraszona, ale nie czując mdłości — nie reagowała tak na widok krwi. „Wendy Yarrow” zwinęła bawełnianą szmatę w rulonik, który przytknęła do rany, przytrzymała, a potem odwróciła. Wcale nie zamierzała zatamować upływu krwi; chciała umoczyć w niej materiał. Kiedy oddała go Rosie, bawełna mająca jasnoniebieski kolor, gdy Rosie leżała na łóżku w mieszkaniu przy Trenton Street, przybrała znacznie ciemniejszą barwę... chociaż znajomą. Błękit połączony ze szkarłatem dały jasny róż.

— Teraz znajdź jakiś kamień i owiń go tym — powiedziała do Rosie. — Kiedy to zrobisz, zdejm to, co masz na sobie, i owiń wokół zawiniątka.

Rosie spojrzała na nią szeroko otwartymi oczami, bardziej zaszokowana tym poleceniem niż widokiem krwi płynącej z ręki kobiety.

— Nie mogę tego zrobić! — zaprotestowała. — Nie mam nic pod spodem!

„Wendy” uśmiechnęła się bez cienia wesołości.

— Nikomu nie powiem — odparła. — A tymczasem daj mi ten drugi kawałek, zanim wykrwawię się na śmierć.

Rosie podała jej węższy pas materiału, ten w dalszym ciągu błękitny, a brązowoskóra kobieta zaczęła szybko owijać nim swoje skaleczone ramię. Po lewej uderzył piorun, eksplodując deszczem iskier. Rosie usłyszała przeciągły, głuchy trzask padającego drzewa. Towarzyszyła mu kanonada grzmotów. Poczowała w powietrzu zapach miedzi, jakby ktoś topił drobne monety. Potem, jak gdyby błyskawica rozerwała w niebie worek z wodą, lunęło. Deszcz siekł zimnymi strugami, niesionymi niemal poziomo przez wiatr. Rosie zobaczyła, jak krople padają na bawełnę w jej ręce, i widziała, jak pierwsze strumyki różowej, zakrwawionej wody wypływają z niej i ciekną między palcami. Materiał wyglądał jak truskawkowy kool-aid.

Nie zastanawiając się dłużej nad tym, co robi i dlaczego, Rosie sięgnęła przez ramię, złapała koszulę na plecach, pochyliła się i zdjęła ją przez głowę. W następnej chwili stanęła pod najzimniejszym prysznicem na świecie, spazmatycznie łapiąc oddech, gdy deszcz siekł jej odsłonięte policzki, ramiona i plecy. Dreszcz przebiegł ją i obudził gęsią skórę, która pokryła ciało od stóp do głów.

— Aj! — krzyknęła rozpaczliwie, zdyszany głosikiem. — Aj! Jak zimno!

Położyła swoją nocną koszulę, jeszcze prawie suchą, na dłoni trzymającej zakrwawioną szmatę i wypatrzyła kamień wielkości bułki drożdżowej, leżący między fragmentami obalonej kolumny. Podniosła go, uklękła, a potem osłoniła sobie głowę i ramiona koszulą, jak człowiek zaskoczony przez deszcz używa gazety jako prowizorycznego parasola. Pod tą tymczasową osłoną owinęła kamień zakrwawioną szmatą. Zostały jej dwa długie, lepkie końce, które związała, krzywiąc się z obrzydzenia, gdy rozrzedzona deszczem krew „Wendy” pociekła z nich kroplami na ziemię. Mając węzełek z kamieniem, owinęła go ponownie koszulą (która już nie była sucha), jak jej kazano. Wiedziała, że większość krwi i tak zostanie zmyta. To nie był deszcz, a nawet nie ulewa. To był potop.

— Idź! — rozkazała brązowoskóra kobieta w czerwonej sukni. — Idź do świątyni! Przejdź przez nią i nie zatrzymuj się! Niczego nie dotykaj i nie wierz w nic, co usłyszysz lub

zobaczysz. To nawiedzone miejsce, bez wątpienia, lecz nawet w Świątyni Byka żaden duch nie może skrzywdzić żywej kobiety.

Rosie dygotała, woda oślepiła ją, woda kapiała jej z czubka nosa, krople wody zwisały jej z płatków uszu, jak jakaś egzotyczna biżuteria. „Wendy” stała przed nią, włosy oblepiały jej czoło i policzki, a ciemne oczy błyszczwały. Musiała krzyczeć, żeby Rosie usłyszała ją w nieustannie wznoszącym się wietrze.

— Przejdź przez drzwi na końcu ołtarza, a znajdziesz się w ogrodzie, w którym wszystkie rośliny i kwiaty są martwe! Za ogrodem ujrzyś drzewa, które również będą martwe, wszystkie prócz jednego! Między ogrodem a gajem płynie strumyk! Nie pij z niego, obojętnie jak bardzo byś chciała, nie pij, a nawet nie dotykaj wody! Przejdź przezeń po kamieniach! Jeśli zanurzysz w tej wodzie choćby palec, zapomnisz wszystko, co kiedykolwiek wiedziałaś, nawet swoje imię!

Wyładowania przecinały chmury zygzakami światła, zmieniając czarne obłoki w niekształtne pyski goblinów. Rosie nigdy w życiu nie było tak zimno i nigdy tak mocno nie waliło jej serce, usiłujące przekazać odrobinę ciepła wychłodzonej deszczem skórze. I znów przemknęła jej przez głowę myśl: to nie jest sen, tak samo jak kaskady spadającej z nieba wody nie są deszczem.

— Idź do gaju! Między uschnięte drzewa! To jedno wciąż żywe to drzewo granatu! Zbierz nasiona, jakie znajdziesz w owocach leżących wokół pnia, ale nie kosztuj owoców i nie dotknij ust ręką, którą je zbierałaś! Zejdź po schodach znajdujących się obok drzewa, do sal w podziemiu! Znajdź dziecko i przynieś je tu, ale strzeż się byka! Strzeż się byka Erinyesa! Teraz idź! Spiesz się!

Rosie bała się Świątyni Byka z jej dziwnie zniekształconymi proporcjami, tak więc z pewną ulgą stwierdziła, że rozpaczliwa chęć schowania się przed burzą zagłuszyła teraz strach. Chciała uciec przed wiatrem, deszczem i piorunami, a także mieć dach nad głową na wypadek, gdyby deszcz zamienił się w grad. Perspektywa spacerowania nago w czasie gradobicia, nawet we śnie, wydawała się krańcowo niemiła.

Przeszła kilka kroków, a potem odwróciła się, by spojrzeć na tamtą kobietę. „Wendy” wydawała się równie naga jak Rosie, zwiewna czerwona szata oblepiła jej ciało jak farba.

— Kim jest Erinyes?! — krzyknęła Rosie. — Czym on jest? Odważyła się zerknąć przez ramię na świątynię, niemal jakby oczekiwała, że dźwięk jej głosu zwabi jakiegoś boga. Nikt się nie pojawił; była tam tylko świątynia, lśniąca w strugach deszczu. Brązowoskóra kobieta uniosła oczy ku niebu.

— Dlaczego postępujesz tak głupio, dziewczyno?! — wrzasnęła. — Idź, natychmiast! Idź, dopóki jeszcze możesz!

I bez słów wskazała na świątynię, tak samo jak przedtem jej pani.

6

Rosie, naga i biała, przyciskając do brzucha przemoczony kłęb koszuli, żeby chronić go przed deszczem, ruszyła we wskazanym kierunku. Po pięciu krokach znalazła się obok głowy obalonego posągu, leżącej w trawie. Zerknęła na nią, spodziewając się, że ujrzy Normana. Oczywiście, że to będzie Norman i powinna być na to przygotowana. Tak dzieje się w snach.

A jednak nie. Cofnięta linia włosów, mięsiste policzki i bujny wąs Davida Crosby’ego należały do mężczyzny, który stał w progu knajpy The Wee Nip w dniu, gdy Rosie zgubiła drogę szukając Córek i Sióstr.

Znów zgubiłam się — pomyślała. — O rany, i to jak!

Przeszła obok kamiennej głowy o pustych oczach, zdających się płakać, z długim mokrym pasmem mchu, który niczym zielona szrama porastał czoło i policzek. Ta głowa wydawała się

szeptać za plecami Rosie podchodzącej do dziwnie zniekształconej świątyni: „Hej mała masz ochotę nieźle wyglądasz nawet całkiem klawo ładne cycki masz ochotę na małą przejazdzkę zabawimy się co ty na to?”

Weszła po schodach, śliskich i zdradliwych pod dywanem pędów i pńczy, mając wrażenie, iż głowa obraca się na swoim kamiennym karku, wyciskając z mokrej ziemi błotnistą wodę, chcąc obserwować ruch jej gołych pośladków, gdy odchodziła w mrok.

Nie myśl o tym, nie myśl o tym, nie myśl!

Opanowała chęć ucieczki — przed deszczem i tym ewentualnym spojrzeniem — i szła dalej, unikając miejsc, w których kamień popękał w wyniku działania sił przyrody, pozostawiając poszarpane szczeliny grożące skręceniem, a nawet złamaniem nogi. I nie to było najgorsze; kto wie, jakie jadowite stworzenia mogły pełzać w tych zakamarkach, gotowe żądlić lub kąsać?

Woda spływała jej po plecach i ściekała po krzyżu; było jeszcze zimniej niż przedtem, a mimo to przystanęła na ostatnim stopniu, patrząc na płaskorzeźbę nad szerokim, mrocznym wejściem. Nie widziała jej na obrazie; ten szczegół ginął w cieniu rzucanym przez okap.

Rzeźba ukazywała chłopca o surowych rysach, opartego o coś, co mogło być słupem telefonicznym. Włosy opadały mu na czoło, a kołnierz kurtki miał postawiony. Z dolnej wargi zwiślał papieros, a niedbała, wyzywająca poza oznajmiała, że tu stoi pan Całkowicie Wyluzowany, wersja z późnych lat siedemdziesiątych. I co jeszcze wyrażała ta poza? „Hej mała — głosila. — Hej mała, hej mała, pójdziesz ze mną? Chcesz się przejechać? Zabawisz się ze mną?”

To był Norman.

— Nie — szepnęła. To był prawie jęk. — Och, nie.

Och, tak. To był Norman, oczywiście, Norman będący upiorem razów, które dopiero spadną, Norman opierający się o słup telefoniczny na rogu State Street i autostrady nr 49 w centrum Aubreyville (centrum Aubreyville, to ci dopiero żart), Norman obserwujący przejeżdżające samochody przy akompaniamencie Bee Gees śpiewających *You Should Be Dancing*. Muzyka płynęła z Finnegan's Pub, w którym szeroko otwarto drzwi i nastawiono szafę grającą na cały regulator.

Wiatr ucichł na chwilę i Rosie znów usłyszała płacz dziecka. Nie brzmiał tak, jakby było chore, a raczej bardzo głodne. Słyszając to ciche zawodzenie, oderwała oczy od płaskorzeźby i zaczęła iść, ale nim przekroczyła próg świątyni, jeszcze raz spojrzęła w górę... nie zdołała się oprzeć. Chłopiec-Norman zniknął, jeśli w ogóle tam był. Teraz zobaczyła wyryte słowa: POSSIJ MEGO AIDSOWEGO PTAKA.

W snach nie ma niczego stałego — pomyślała. — One są jak woda.

Obejrzała się przez ramię i zobaczyła „Wendy”, wciąż stojącą przy obalonej kolumnie, wyglądającą żałośnie w przemoczonej pajęczynie czerwonej sukni. Rosie uniosła wolną rękę w geście pozdrowienia. „Wendy” odpowiedziała jej tym samym, a potem stała patrząc, wyraźnie nie zwracając uwagi na ulewny deszcz.

Rosie minęła szerokie chłodne wejście i znalazła się w świątyni. Przystanęła spięta, gotowa natychmiast wybiec na zewnątrz, gdyby ujrzała... no... sama nie wiedziała co. „Wendy” kazała jej nie obawiać się duchów, ale Rosie pomyślała, że ta kobieta w czerwonej sukni mogła sobie na to pozwolić, w końcu nie ona miała tu wejść.

Domyślała się, że wewnątrz powinno być cieplej niż na zewnątrz, ale nie czuła tego — wszędzie panował chłód wilgotnych kamieni, chłód krypt i mauzoleów, tak że przez chwilę nie wiedziała, czy zdoła przejść mrocznym przejściem, zasłanym stertami i stosami dawno zeschniętych, jesiennych liści. Po prostu było zbyt zimno... zimno pod wieloma względami. Stała drżąc i łapiąc powietrze małymi haustami, mocno zaciskając ramiona splecione na piersiach, a z jej skóry unosiły się cienkie wstążki pary. Czubkiem palca dotknęła lewego sutka i bez większego zdziwienia przekonała się, że był zimny i twardy jak gład.

Myśl o powrocie do kobiety na wzgórzu kazała jej iść dalej — myśl o tym, że mogłaby stanąć przed Rose Madder z pustymi rękami. Poszła przejściem, powoli i ostrożnie, nasłuchując dalekiego płaczu dziecka. Wydawał się dobiegać z odległości wielu kilometrów, niesiony tu w jakiś tajemniczy, czarodziejski sposób.

„Zejdź na dół i przynieś mi moje dziecko”.

Caroline. Imię, jakie zamierzała nadać swojemu własnemu dziecku, temu, którego pozbawił ją Norman, przyszło jej na myśl bez trudu i całkiem naturalnie. W piersiach znów poczuła to paskudne mrowienie. Dotknęła ich i skrzywiła się. Bolały.

Jej oczy przywykły już do półmroku i zauważyła, że Świątynia Byka miała dziwnie chrześcijański wygląd — ściśle mówiąc, wyglądała tak samo jak Pierwszy Kościół Metodystów w Aubreyville, do którego uczęszczała dwa razy w tygodniu przed poślubieniem Normana. W tym kościele brała ślub i z niego wyprowadzono zwłoki ojca, matki i młodszego brata po wypadku drogowym, w którym stracili życie. Znajdowały się tam rzędy starych drewnianych ławek, ostatnie z nich leżały wywrócone i na pół zasypane stertami pachnących cynamonem liści. Te z przodu jeszcze stały i były ustawione w równych rzędach.

Następną rzeczą, z jakiej zdała sobie sprawę — idąc środkową nawą jak jakaś dziwna naga panna młoda — był zapach tego miejsca. Pod miłą wonią liści nawiewanych latami przez otwarte drzwi krył się nieprzyjemny odór. Trochę przypominający zapach pleśni, trochę zgnilizny, trochę woń drewna w ostatniej fazie butwienia, lecz niepodobny do żadnego z nich. Może zastarzały pot? Tak, możliwe. I może też inne płyny. Przyszła jej na myśl sperma. I krew.

Zaraz po tym, jak wyczuła ten zapach, zaczęło się jej wydawać, że patrzą na nią czyjeś oczy. Czują, jak uważnie oglądają jej nagość, patrząc na każdą linię i wypukłość ciała, zapamiętując ruch mięśni pod wilgotną, gładką skórą.

„Porozmawiamy w cztery oczy — zdawała się wzdychać świątynia przez głuche bębnienie deszczu i szelest suchych liści pod bosymi nogami Rosie. — Porozmawiamy w cztery oczy... i nie będziemy musieli długo rozmawiać, żeby powiedzieć to, co trzeba. Prawda, Rosie?”

Przystanąła przy pierwszych rzędach i podniosła jedną z czarnych książeczek, leżących na drugiej ławce. Kiedy ją otworzyła, poczuła silny, prawie duszący zapach rozkładu. Obrazek u góry kartki był czarno — białym rysunkiem, jakich nigdy nie zawierały śpiewniki metodystów w czasach jej młodości: ukazywał klęczącą kobietę, odbywającą stosunek oralny z mężczyzną, którego stopy wcale nie były stopami, lecz kopytami. Jego twarz była raczej zasugerowana niż naszkicowana, lecz mimo to Rosie dostrzegła odrażające podobieństwo do... a przynajmniej takie odniosła wrażenie. Wyglądał jak dawny partner Normana, Harley Bissington, który zawsze tak starannie sprawdzał położenie skraju jej spódnicy, gdy siadała.

Pożółkłą stronę pod rysunkiem zapępniały słowa napisane cyrylicą, niezrozumiałe, choć znajome. Dopiero po chwili pojęła dlaczego: to były te same litery, jakie widniały w gazecie, którą czytał Peter Słowik, kiedy Rosie podeszła do budki POMOC PODRÓŻNYM i poprosiła o radę.

Wtem, z szokującą gwałtownością, rysunek zaczął się ruszać; jego linie zdały się pełznąć ku jej białym, mokrym od deszczu palcom, zostawiając za sobą cienkie pasma śluzu. W jakiś sposób ożył. Zatrzasnęła książkę i ścisnęła ją w gardle, gdy usłyszała przy tym obrzydliwe chlupnięcie. Upuściła książkę i łomot, z jakim tom uderzył o ławkę, albo jej okrzyk odrazy, obudził nietoperze w mrocznej niszy, zapewne przeznaczonej dla chóru. Kilka tych stworzeń wywijalo w górze bezsensowne ósemki, czarne skrzydła unosiły odrażająco pulchne brązowe ciała w zatechłym powietrzu, a potem umknęły z powrotem do swych kryjówek. Przed nią wznosił się ołtarz i Rosie z ulgą zobaczyła po jego lewej stronie otwarte drzwi, przez które wpadał strumień czystego jasnego światła.

Yerrr reely Roww-zey — szeptał niemo głos świątyni, z ponurym rozbawieniem. — *Andyerrrr Rowów-zey Reel... come over here and Fil give yewww... a grrreat big feeeel...*

Nie odwróciła się; nie odrywała oczu od drzwi i dziennego światła za nimi. Deszcz ustawał, głucho bębnienie nad głową przeszło w jednostajny pomruk.

To tylko dla mężczyzn, Rowów-zey — szeptała świątynia, a potem dodała to, co zawsze mówił Norman, kiedy nie miał ochoty odpowiadać na jej pytania, ale nie był na nią zły: „To nie dla kobiet”.

Przechodząc obok, spojrzała na ołtarz, a potem szybko odwróciła wzrok. Był pusty — żadnego pulpitu, żadnych symboli czy ksiąg — lecz na kamieniach dojrzała kolejny cień, który skojarzyła z przyczajoną płaszczką. Rdzawy kolor sugerował zaschniętą krew, a kształt plamy świadczył, że mnóstwo jej tu przelano w ciągu minionych lat. Mnóstwo.

To jak motel Pod Karaluchem, Rowów-zie — szeptała świątynia i liście na podłodze poruszyły się, wydając dźwięk podobny do śmiechu dobiegającego z za pozabawionych dziąseł zębów. One meldują się, ale nigdy stąd nie odchodzą.

Miarowym krokiem poszła do drzwi, usiłując ignorować ten głos, patrząc prosto przed siebie. Prawie oczekiwała, że drzwi zatrzasną się jej przed nosem, ale tak się nie stało. A także nie wypadł z nich żaden kozłowy czart o twarzy Normana. Wyszła na mały kamienny taras i znalazła się w chłodnej woni świeżej od deszczu trawy. Powietrze nieco się ociepliło, chociaż jeszcze nie przestało padać. Wszędzie kapą i szemrała woda. Zagrzmiało (jednak była pewna, że teraz już dalej). I dziecko, którego nie słyszała przez kilka ostatnich minut, na nowo zaczęło płakać w oddali.

Ogród był podzielony na dwie części — po lewej kwiaty, po prawej warzywa — ale wszystko było martwe. Katastrofalnie martwe, a kontrast zieleni otaczającej swymi ramionami ogród i Świątynię Byka jeszcze pogarszał ten widok — jak wytrzeszczone oczy i wywalony język u nieboszczyka. Ogromne słoneczniki z żółtawymi, włóknistymi łodygami, brązowymi środkami i poskręcany, wyblakłymi płatkami górowały nad resztą, niczym nieżywi klucznicy w więzieniu, w którym wymarli wszyscy więźniowie. Kwietniki były pełne opadłych płatków, które przywołały na moment koszmarnie wspomnienie tego, co zobaczyła, kiedy miesiąc po pogrzebie poszła na cmentarz, gdzie pochowano jej rodzinę. Położywszy świeże kwiaty na ich grobach, poszła na tyły małego cmentarzyka, chcąc wziąć się w garść, i ze zgrozą ujrzała stertę gnijących kwiatów, usypaną na stoku między kamiennym murkiem cmentarza a rosnącym z tyłu lasem. Odór gnijących kwiatów sprawił, że pomyślała o tym, co działo się pod ziemią z jej ojcem, matką i bratem, o tym, jakim ulegali zmianom.

Rosie pośpiesznie odwróciła wzrok od kwiatów, lecz to, co zobaczyła na umierających grządkach, wcale nie było lepsze: jedna z nich wydawała się pełna krwi. Przetarła zalane deszczem oczy, spojrzała ponownie i odetchnęła z ulgą. To nie krew, ale pomidory. Sześciometrowej długości rzędek gnijących pomidorów.

Rosie.

Tym razem to nie głos świątyni. To głos Normana, tuż za jej plecami, i nagle uświadomiła sobie, że czuje zapach jego wody kolońskiej. „Wszyscy moi mężczyźni używają English Leather albo niczego” — pomyślała i zimny dreszcz przeniknął jej krzyż.

On był tuż za nią.

Tuż za nią.

Nie, nie wierzę w to. Nie wierzę, jeśli nawet tak jest.

Oczywiście to była zupełnie idiotyczna myśl, zapewne dostatecznie głupia, żeby zająć miejsce w *Księdze Rekordów Guinnessa*, ale jakoś ją uspokoiła. Poruszając się powoli — wiedząc, że jeśli przyśpieszy choć trochę, będzie zgubiona — Rosie zeszła po trzech kamiennych schodkach (o wiele skromniej — szych niż te od frontu) między resztki tego, co w myślach nazwała Ogrodem Byka. Deszcz jeszcze padał, ale słabo, a wiatr ledwie dmuchał. Rosie poszła przejściem stworzonym przez dwa rzędy zbrązowiałych i kloniących się łodyg kukurydzy (w żadnym razie nie zamierzała chodzić boso po tych gnijących pomidorach i czuć, jak pękają pod jej stopami), nasłuchując szemrania pobliskiego strumyka. Ten odgłos

stawał się coraz głośniejszy, w miarę jak zbliżała się do strugi, a kiedy wyszła z kukurydzy, zobaczyła ją niecałe pięć metrów dalej. Strumień miał może dwa metry szerokości i chyba był płytki, sądząc po niskich brzegach, ale teraz wezbrał po deszczu. Widać było tylko czubki czterech dużych białych kamieni tworzących kładkę, jak wyblakłe skorupy żółwi.

Woda w strumieniu była smolista, matowoczarna. Rosie powoli poszła ku niej, ledwie zauważając, że wolną ręką ściska swoje włosy, wyzymając z nich wodę. Kiedy podeszła bliżej, wyczuła szczególnie mineralny zapach strumienia, bardzo metaliczny, a jednak dziwnie atrakcyjny. Nagle poczuła się spragniona, bardzo spragniona, a gardło miała wyschnięte jak pergamin.

„Nie pij z niego, obojętnie jak bardzo byś chciała. Nie pij”.

Tak, właśnie tak została ostrzeżona. Jeśli choć zanurzy w wodzie palec, zapomni wszystko, co kiedykolwiek wiedziała, nawet swoje imię. Czy byłoby to takie złe? Kiedy zastanowić się nad tym, czy naprawdę było to takie złe, szczególnie że zapomniałaby też o Normanie, o tym, że może jeszcze z nią nie skończył, że zabił z jej powodu człowieka?

Przełknęła ślinę i usłyszała w gardle suchy chrząst. Ponownie, niemal nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, Rosie powiodła ręką po swoim boku, po wypukłości piersi, po szyi, zbierając wilgoć, a potem zlizując ją z dłoni. To nie ugasiło pragnienia, a wręcz zwiększyło je. Woda lśniła czernią, omywając białe kamienie i ten przedziwnie nęcący zapach zdawał się wypełniać głowę Rosie. Wiedziała, jaki smak miałyby ta woda — letnia i bez pęcherzyków powietrza, jak jakiś zimny syrop — jak wypełniłaby jej gardło oraz brzuch dziwnymi solami i niezwykle bromkami. Smakiem ziemi niepamięci. I potem nie byłoby więcej wspomnień o tym, jak pani Pratt (biała jak śnieg... oprócz warg, które miały barwę jagód) stanęła w drzwiach i powiedziała, że rodzina Rosie, cała jej rodzina, zginęła w katastrofie samochodowej; nie byłoby wspomnień o Normanie z ołówkiem czy o Normanie z rakieta tenisową. Żadnych obrazów mężczyzny w drzwiach The Wee Nip, czy tej grubej baby, która nazwała kobiety z Córek i Sióstr dobroczynnymi lesbijkami. Koniec ze snami o tym, jak siedzi w kącie, walcząc z mdłościami wywołanymi bólem nerek, i raz po raz przypomina sobie, żeby zwymiotować w fartuch, jeśli będzie musiała wymiotować. Dobrze byłoby zapomnieć o tym wszystkim. O niektórych sprawach warto byłoby zapomnieć, a o innych — takich jak to, co zrobił jej rakieta tenisową — trzeba było zapomnieć... tyle że większość ludzi nie miała takiej szansy, nawet we śnie.

Teraz Rosie drżała na całym ciele, nie odrywając oczu od przepływającej wody, niczym przejrzysty jedwab nasączony czarnym tuszem; w gardle paliło ją żywym ogniem, a oczy wychodziły jej z orbit i już widziała, jak wyciąga się na brzuchu, zanurza głowę pod wodę i pije jak smok.

Zapomniałabyś też Billa — szepnęła Praktycznie–Rozsądna, niemal przepraszająco. — Zapomniałabyś o tym zielonym odcieniu jego oczu i małej bliznie na płatku ucha. Niektóre rzeczy warto zapamiętać, Rosie. Wiesz o tym, prawda?

Nie zastanawiając się dłużej (nie wierzyła, aby nawet myśl o Billu mogła uratować ją, gdyby czekała jeszcze chwilę), Rosie weszła na pierwszy kamień, łapiąc równowagę szeroko rozłożonymi rękami. Zabarwiona na czerwono woda kapiała z jej zwiniętej w kłębek koszuli nocnej, pod którą wyczuwała twardy kamień, jak pestkę w brzoskwini. Stanęła lewą nogą na głazie, a prawą na brzegu, zebrała całą odwagę i przestawiła nogę na następny głaz. Na razie wszystko w porządku. Uniosła lewą nogę i umieściła ją na trzecim głazie. Tym razem lekko się zachwiała i przechyliła w prawo, machając lewą ręką, żeby utrzymać równowagę. W uszach miała wciąż bulgot tej dziwnej wody. Sytuacja jednak była mniej groźna, niż Rosie sądziła, i w chwilę później stała na kamieniach pośrodku strumienia, wsłuchując się w głośnie bicie swego serca.

Obawiając się, że zamarznie, jeśli będzie zbyt długo zwlekać, Rosie przeszła po ostatnim kamieniu na suchą trawę drugiego brzegu. Zaledwie uszła trzy kroki w stronę gaju

uschniętych drzew, kiedy uświadomiła sobie, że pragnienie minęło jej niczym zły sen.

Wydawało się, że niegdyś pochowano tu żywcem jakichś olbrzymów, którzy umierali próbując się uwolnić; drzewa były ich pozbawionymi ciała rękami, daremnie wyciągniętymi w niebo i niemo grozącymi mordem. Suche gałęzie przeplatały się, tworząc w górze dziwne, geometryczne wzory. Ścieżka prowadziła w głąb gaju. Strzegł jej kamienny chłopiec z ogromnym wzwiedzionym fallusem. Ręce trzymał uniesione nad głową, jakby podkreślając tę część swojej anatomii. Kiedy Rosie przeszła obok, powiódł za nią spojrzeniem kamiennych, pozbawionych powiek oczu. Była tego pewna.

Hej mała! — prychnął kamienny chłopiec w jej myślach. — Chcesz się przejechać? Zabawisz się ze mną?

Cofnęła się, unosząc ręce obronnym gestem, ale kamienny chłopiec znów był tylko kamiennym chłopcem... jeżeli w ogóle, choć przez chwilę, był kimś innym. Woda kapiała z jego komicznie wyolbrzymionego penisa. Ty przynajmniej nie masz kłopotu z erekcją — pomyślała Rosie, patrząc na oczy pozbawione powiek i dziwnie przemądrzały uśmiech (czy uśmiechał się przedtem? Rosie usiłowała sobie przypomnieć i stwierdziła, że nie może). — Norman zazdrościłby ci tego.

Minęła posąg i pośpiesznie poszła ścieżką wiodącą do uschniętego gaju, walcząc z chęcią obejrzenia się przez ramię i upewnienia, że posąg nie idzie za nią, aby wykorzystać ten kamienny wzwód. Nie ośmieliła się spojrzeć. Obawiała się, że jej udręczony umysł może dostrzec coś, czego w rzeczywistości nie ma.

Deszcz przeszedł w lekką mżawkę i nagle Rosie pojęła, że już nie słyszy dziecka. Może zasnęło? Może tego byka Erinyesa znudził płacz niemowlęcia i połknął je jak kanapkę? Tak czy inaczej, jak miała je znaleźć, jeśli nie płakało?

Po kolei, Rosie — mruknęła Praktycznie–Rozsądna.

Łatwo ci mówić — rozmyślała Rosie.

Poszła dalej słuchając, jak krople deszczu kapią z martwych drzew. Zauważyła nagle, że w korze ukazują się zarysy ludzkich twarzy. Nie tak jak wtedy, kiedy leży się na plecach i patrzy na obłoki, a wyobraźnia wykonuje dziewięćdziesiąt procent pracy; to były prawdziwe twarze. Krzyczące. W większości wyglądały na twarze kobiet. Kobiet, z którymi rozmawiano w cztery oczy.

Przeszła jeszcze kawałek, minęła zakręt i znalazła ścieżkę zatarasowaną przez zwalone drzewo, najwidoczniej powalone piorunem podczas szalejącej niedawno burzy. Jeden jego koniec był strzaskany i poczerniały. Kilka gałęzi z tej strony jeszcze się tliło, jak popioły niestarannie zalanego ogniska. Rosie bała się przechodzić przez przeszkodę; ze strzaskanego pnia sterczały drzazgi, odłamki i kawałki drewna.

Zaczęła obchodzić drzewo z prawej, gdzie korzenie zostały wyrwane z ziemi. Wchodziła już na ścieżkę, gdy nagle jeden z korzeni drgnął, śmignął i owinął się wokół jej uda jak zakurzony brązowy wąż.

„Hej mała! Chcesz się przejechać? Zabawisz się ze mną, ty suko?” — usłyszała.

Głos dobiegał z osypującego się wykrotu, powstałego w miejscu, gdzie stało drzewo. Korzeń przesunął się odrobinę wyżej po jej udzie.

„Chcesz na czworakach, Rosie? Podoba ci się ten pomysł? Wezmę cię od tyłu, połknę jak kanapkę z serem. A może wolisz possać mojego aidsowego...”

— Puść mnie — powiedziała spokojnie Rosie i sporządzonym z nocnej koszuli węzełkiem dotknęła korzenia, który ją trzymał. Natychmiast zwiotczał i cofnął się. Szybko wróciła na ścieżkę i poszła dalej. Korzeń ścisnął dostatecznie mocno jej udo, żeby zostawić na nim czerwoną obwódkę, ale ten ślad szybko zniknął. Domyślała się, że powinna przerazić się tym ostatnim wydarzeniem, że coś chciało, aby była przerażona. Jeżeli tak, to nie udało się. Doszła do wniosku, że dla kogoś, kto przez czternaście lat żył z Normanem Danielsem, to był tylko tandetny gabinet grozy.

Po kolejnych pięciu minutach dotarła do końca ścieżki. Wychodziła na idealnie okrągłą polankę, na której rosła jedyna żywa roślina na tej pustyni. To było najpiękniejsze drzewo, jakie Rosie widziała w życiu, i na dłuższą chwilę zaparło jej dech w piersiach. W Aubreyville była pilną uczestniczką niedzielnej szkółki metodystów i teraz przypomniła sobie opowieść o Adamie i Ewie w raju i pomyślała, że jeśli rzeczywiście na środku rajskiego ogrodu rośnie Drzewo Dobrego i Złego, to musiało wyglądać właśnie tak.

Było gęsto porośnięte długimi, wąskimi liśćmi lśniącego zielenią, a jego gałęzie ugięły się pod ciężarem obfitości czerwonawopurpurowych owoców. Spady tworzyły jasnorożowy dywan odpowiadający barwą krótkiej koszuli noszonej przez kobietę, której Rosie nie odważyła się spojrzeć w twarz. Niektóre z tych spadów były jeszcze świeże i soczyste; zapewne straciła je burza, która dopiero co przeszła. Nawet te bardzo nadgniłe wyglądały niezwykle apetycznie; Rosie oblizła się na myśl, że mogłaby podnieść owoc i głęboko wbić weń zęby. Pomyślała, że jego smak byłby zarówno gorzki, jak i słodki, podobnie jak łądoga rabarbaru zerwana wczesnym rankiem albo jeżyny nazbierane w gąszczu na dzień przed tym, zanim zupełnie dojrzeją. Gdy patrzyła na drzewo, jeden owoc (dla Rosie w takim samym stopniu mogący być owocem granatu i szufladą biurka) oderwał się od przeciążonej gałęzi, spadł na ziemię i rozsypał się na jasnorożowe kawałki miąższu. Widziała nasiona i wypływający sok.

Rosie zrobiła krok w kierunku drzewa i przystanąła. Umysł podpowiadał jej, że to wszystko jest tylko snem, natomiast ciało równie stanowczo twierdziło, że to niemożliwe, że nikt na świecie nigdy nie miał równie realistycznego snu. Teraz, niczym igła kompasu w okolicy obfitującej w złoża minerałów, wahała się między tymi ewentualnościami. Na lewo od drzewa znajdowało się coś w rodzaju zejścia. Szerokie białe schody wiodły w ciemność. Nad nimi była alabastrowa plinta, na której wryto jedno słowo: LABIRYNT.

Naprawdę, tego już za wiele — pomyślała Rosie, ale mimo to poszła w kierunku drzewa. Jeżeli to był sen, nie zaszkodzi przestrzegać wskazówek; to może nawet przyspieszyć chwilę, gdy wreszcie obudzi się we własnym łóżku, szukając budzika, chcąc uciszyć jego pełen samozadowolenia terkot, zanim pęknie jej głowa. Z jaką przyjemnością usłyszałaby teraz ten dźwięk! Była zmarznięta, miała brudne nogi, obmacywał ją korzeń i nagabywał kamienny chłopiec, który — w normalnym świecie — byłby za młody, żeby wiedzieć na co, do diabła, patrzy. A poza tym czuła, że jeżeli szybko nie wróci do swojego pokoju, niechybnie złapie potężne przeziębienie, a może nawet zapalenie oskrzeli. To uniemożliwiłoby jej i sobotnią randkę, i pracę w studiu w przyszłym tygodniu.

Nie zastanawiając się nad tym, jak absurdalna jest myśl o przeziębieniu się w czasie wycieczki odbytej we śnie, Rosie uklękła tuż przy opadłym owocu. Obejrzała go uważnie, znów rozmyślając o jego smaku (na pewno nie przypominałby niczego, co można znaleźć na stoisku warzywnym A & P), po czym odwinęła róg swojej koszuli nocnej. Oderwała od niej kawałek, starając się, żeby był prostokątny, co udało jej się lepiej, niż oczekiwała. Rozpostarła go na ziemi, a potem zaczęła zbierać nasiona i układać na szmatce, w której zamierzała je nieść.

Dobry plan — pomyślała. — Gdybym tylko wiedziała, dlaczego mam je wziąć.

Czubki palców zdrewniały jej, jakby wstrzyknięto w nie nowokainę. Jednocześnie nozdrza wypełnił cudowny zapach. Słodki, lecz nie kwiatowy, przypominał Rosie placki, ciasta i ciasteczka, jakie piekły się w piekarniku babci. Przypominał jej o czymś jeszcze, o czymś odległym o lata świetlne od kuchni babci Weeks, z wyblakłym linoleum oraz reprodukcjami Currier & Ives; o tym, co czuła, kiedy biodro Billa ocierało się o jej biodro, gdy wracali

razem do Corn Building.

Ułożyła dwa tuziny nasion na prostokątnej szmatce, zawahała się, wzruszyła ramionami i dodała jeszcze dwa tuziny. Czy to wystarczy? Skąd mogła wiedzieć, jeśli nie miała pojęcia, do czego miały służyć? Tymczasem powinna już pójść. Znowu słyszała dziecko, lecz teraz jego płacz przeszedł w ciche łkanie — dźwięki wydawane przez niemowlęta, które mają zamiar dać za wygraną i zasnąć.

Zwinęła wilgotny materiał, zaginając rogi, tworząc małą kopertę przypominającą pakieciki z nasionkami, jakie ojciec otrzymywał każdej zimy z Burpee Company, w czasach kiedy jeszcze regularnie uczęszczała do szkoły niedzielnej metodystów. Oswoiła się już ze swoją nagością i teraz denerwowała ją, a nie zawstydziała; potrzebowała kieszeni. No cóż, gdyby świni mogły latać, boczek zawsze byłby...

Praktyczna i rozsądna część jej świadomości pojęła, co Rosie zamierza zrobić ze swymi jasnoróżowymi palcami sekundę przed tym, zanim zdążyła włożyć je do ust. Gwałtownie cofnęła rękę, z mocno bijącym sercem i słodko-gorzkim aromatem wypełniającym nozdrza. „Nie kosztuj owoców — powiedziała jej »Wendy«. — Nie kosztuj owoców, a nawet nie wkładaj do ust ręki, którą ich dotykałaś!”

W tym miejscu było pełno pułapek.

Wstała i spojrzała na swoje lepkie i zdrętwiałe palce, jakby nigdy przedtem ich nie widziała. Wycofała się spod drzewa wznoszącego się w kręgu opadłych owoców i rozsypanych nasion.

To nie jest Drzewo Dobrego i Złego — pomyślała Rosie. — Ani Drzewo Życia. To Drzewo Śmierci.

Owiał ją łagodny podmuch wiatru, szeleszcząc długimi, błyszczącymi liśćmi drzewa granatu, liśćmi, które zdawały się powtarzać jej imię setką cichych, sarkastycznych szeptów: Rosie — Rosie — Rosie!

Znów uklękła. Położyła na ziemi zawiniątko z kamieniem, umieściła na nim paczuszkę z nasionami, a potem zerwała pełne garście mokrej, zeschniętej trawy. Najlepiej jak mogła, otarła dłoń, którą dotykała nasion. Jasnoróżowy barwnik przybladł, ale nie zniknął całkowicie, a pod paznokciami pozostał równie intensywny jak przedtem. Przypominał znamię, którego w żaden sposób nie można usunąć. Płacz dziecka rozlegał się coraz rzadziej.

— Dobra — mruknęła do siebie Rosie, wstając. — Tylko trzymaj te cholerne palce z daleka od ust. Jeśli będziesz o tym pamiętała, nic ci nie będzie!

Podeszła do schodów wiodących pod okap z białego kamienia i przez chwilę stała na ich szczycie, przerażona ciemnością, zbierając odwagę, żeby stawić jej czoło. Alabastrowy kamień z wyrytym na nim napisem LABIRYNT już nie wyglądał jak plinta; teraz przypominał jej głąz nad wąskim, otwartym grobem.

Jednak gdzieś tam było dziecko, łkające tak, jak to robią dzieci, kiedy nikt nie przychodzi ich uspokoić i w końcu próbują zrobić to same, najlepiej jak umieją. To żalosne, rozpaczliwe łkanie wreszcie pobudziło ją do działania. Żadnemu dziecku nie powinno pozwalać się płakać w takim mrocznym i ponurym miejscu.

Schodząc, Rosie liczyła stopnie. Przy siódmym przeszła pod nawisem i kamieniem. Przy czternastym obejrzała się przez ramię na biały prostokąt światła pozostawiony za plecami, a kiedy znów spojrzała przed siebie, ten kształt majaczył jej przed oczami jak jasny duch w ciemnościach. Schodziła niżej i niżej, klapiąc bosymi nogami po kamieniach. Teraz nie zdoła zagadać strachu ściskającego jej serce ani dręczącej niepewności. Dobrze, jeśli uda jej się to wytrzymać.

Pięćdziesiąt stopni. Siedemdziesiąt pięć. Sto. Na sto dwudziestym piątym przystanąła, uświadamiając sobie, że znowu widzi.

Bzdury — pomyślała. — Złudzenie, Rosie, to wszystko.

A jednak nie. Powoli podniosła rękę. Dłoń i pakiecik nasion, który w niej trzymała,

płoneły matowym, upiornie zielonym blaskiem. Uniosła drugą rękę, tę z kamieniem owiniętym resztkami nocnej koszuli. Istotnie, widziała ją. Obróciła głowę najpierw w jedną stronę, potem w drugą. Ściany klatki schodowej jarzyły się słabo zieloną poświatą. Czarne kształty unosiły się na nich i skręcały, jakby te ściany były szklanymi płytami akwarium, w którym drgały i pływały jakieś martwe stwory.

Przestań, Rosie! Przestań tak myśleć!

A przecież nie mogła przestać. Sen czy nie sen, była bliska tego, by rzucić się do panicznej ucieczki.

A więc nie patrz!

Dobry pomysł. Wspaniały pomysł. Rosie spuściła oczy i wpatrując się w widmowy obraz swych stóp, podjęła wędrówkę, szeptem odliczając przebyte stopnie. W miarę jak schodziła, zielone światło było coraz jaśniejsze i zanim doszła do dwieście dwudziestego, ostatniego, stopnia, miała wrażenie, iż stoi na scenie oświetlonej przyćmionymi, zielonymi reflektorami. Spojrzała, zbierając całą odwagę w oczekiwaniu na to, co mogła zobaczyć. Powietrze nie było tu zastałe, wilgotne, lecz dostatecznie świeże... jednak woń, jaka unosiła się w nim, nie była zbyt przyjemna. To był zapach jak w zoo, jakby trzymano tutaj jakieś dzikie zwierzę. I oczywiście trzymano: byka Erinyesa.

Naprzeciw zobaczyła krawędzie trzech kamiennych ścian, biegnących w ciemność. Każda miała prawie sześć metrów i była o wiele za wysoka, żeby za nią zajrzeć. Płoneły tym ponurym zielonym światłem i Rosie nerwowo spojrzała na cztery wąskie korytarze, jakie tworzyły. Który wybrać? Gdzieś opodal wciąż płakało dziecko... lecz ten dźwięk był coraz cichszy. Jakby słuchała radia, które ktoś powoli, ale nieustannie ścisza.

— Płacz! — zawołała Rosie, kurcząc się, gdy jej głos wrócił do niej echem. — Aaa! Aaa! Aaa!

Nic. Cztery korytarze — cztery wejścia do labiryntu — w milczeniu ziały pustką, jak wąskie pionowe usta noszące jednakowy grymas dezaprobaty. W drugim z prawej, niedaleko wejścia dostrzegła jakąś ciemną stertę.

Cholernie dobrze wiesz, co to takiego — pomyślała. — Po czteremastu latach słuchania gadek Normana i Harleya oraz ich przyjaciół musiałabyś być kompletnie głupia, żeby nie poznać gówna po byku, kiedy je widzisz.

Ta myśl i wspomnienia, jakie obudziła — obrazy tych mężczyzn siedzących wokół stołu i rozmawiających o robocie, pijących piwo i rozmawiających o robocie, palących papierosy i rozmawiających o robocie, opowiadających kawały o czarnuchach, meksach albo bambusach i znów rozmawiających o robocie — rozżłościły ją. Zamiast stłumić to uczucie, wbrew doświadczeniu całego życia, Rosie dała mu się ponieść. Dobrze było być wściekłą, czuć cokolwiek poza przerażeniem. Jako dziecko umiała podczas zabaw wydawać naprawdę przeraźliwy okrzyk, rodzaj piskliwego, przeszywającego wrzasku, od którego niemal pękają szyby i gałki oczne. Kiedy skończyła dziesięć lat, ganiono ją i zawstydzano za ten krzyk, mówiąc, że nie pasuje dziewczynce i prowadzi do zidiocenia. Teraz Rosie postanowiła sprawdzić, czy w dalszym ciągu ma go w swoim repertuarze. Głęboko wciągnęła w płuca wilgotne powietrze podziemi, zamknęła oczy i przypomniała sobie zabawy w podchody za szkołą przy Elm Street, i w teksaskich rangersów, i Indian w zarośniętym ogrodzie Billy'ego Calhouna. Przez chwilę wydawało jej się, że czuje miły zapach swojej ulubionej koszuli flanelowej, którą nosiła dopóty, dopóki materiał praktycznie rozpadł się na strzępy. Potem otworzyła usta i wydała stary, jodłujący okrzyk.

Uradowała się nieprzytomnie, gdyż zabrzmiał tak samo jak za dawnych czasów, ale było coś jeszcze: sprawił, że poczuła się tak jak dawniej, jak połączenie Cudownej Kobiety, *Super-girl* i Annie Oakley. I wydawało się, że wciąż działa na innych tak jak wtedy: dziecko znów zaczęło płakać, zanim skończyła wysłać swój szkolny okrzyk wojenny w kamienny mrok. Prawdę mówiąc, rozwrzeszczało się na nowo.

Rosie, musisz się pośpieszyć. Jeśli ona jest naprawdę zmęczona, nie zdoła krzyczeć tak głośno przez dłuższy czas.

Rosie zrobiła kilka kroków naprzód, mierząc wzrokiem każde z czterech wejść do labiryntu, a potem przeszła się wzdłuż nich, nasłuchując. Płacz dochodzący z trzeciego przejścia wydawał się trochę głośniejszy. Może to było tylko złudzenie, ale przynajmniej miała od czego zacząć. Ruszyła naprzód, klapiąc bosymi stopami po kamiennej podłodze, po czym znów stanęła, przechylając głowę i przygryzając dolną wargę. Wyglądało na to, że jej stary okrzyk wojenny obudził nie tylko dziecko. Gdzieś tam — ze względu na echo nie można było określić odległości — rozległ się stukot kopyt na kamieniach. Stukały leniwym truchcikiem, zdając się przybliżać, potem znów cichły i znów dały się słyszeć bliżej, aż wreszcie (nie wiadomo dlaczego, to było bardziej niepokojące niż sam dźwięk) zupełnie ustały. Usłyszała stłumione, mokre parsknięcia. Po nim rozległ się jeszcze cichszy pomruk. Później było słycać tylko dziecko — jego wrzaski znów zaczęły cichnąć.

Rosie stwierdziła, że aż za dobrze potrafi sobie wyobrazić tego byka: ogromne zwierzę ze zjeżoną sierścią i grubym kłębem sterczącym ponuro za spuszczonego łbem. Oczywiście będzie miał złoty kolczyk w nosie, jak Minotaur w jej dziecięcej mitologii, a zielony blask sączący się ze ścian będzie odbijał się w tym pierścieniu cienkimi błyskami płynnego światła. Erinyes czaił się teraz w jednym z korytarzy, z nastawionymi rogami. Nasłuchując. Czekał na nią.

Poszła słabo oświetlonym tunelem, wodząc ręką po ścianie, nasłuchując odgłosów wydawanych przez dziecko i byka. Wypatrywała również stert nawozu, lecz nie dostrzegła żadnych. Przynajmniej na razie. Po jakichś trzech minutach korytarz rozgałęził się na boki. Płacz zdawał się głośniejszy z lewej (czy też oprócz dominującej ręki mam jeszcze dominujące ucho? — zastanawiała się), więc poszła w tym kierunku. Zrobiła zaledwie dwa kroki, po czym stanęła jak wryta. Nagle wiedziała już, po co były te nasiona: stała się Gretą w podziemiach, bez brata, który dzieliłby jej strach. Wróciła do rozwidlenia, uklękła i rozwinęła pakiecik. Położyła nasionko na podłodze tak, aby ostrym końcem wskazywało kierunek, z którego przyszła. Przynajmniej, pomyślała — nie ma tu ptaków, które mogłyby zjeść ten znak.

Rosie wstała i poszła dalej. Po pięciu krokach doszła do kolejnego przejścia. Zerknęła w nie i zobaczyła, że kawałek dalej rozchodziło się na trzy odnogi. Wybrała środkową, oznaczając ją nasieniem granatu. Po trzydziestu krokach i dwóch rozgałęzieniach korytarz kończył się kamienną ścianą, na której widniał czarny napis złożony z pięciu słów: CHCESZ ZABAWIĆ SIĘ ZE MNĄ?

Rosie wróciła do potrójnego rozgałęzienia, podniosła nasion — ko i położyła je przy innym wejściu.

8

Nie miała pojęcia, ile czasu zabrało jej poszukiwanie drogi do środka labiryntu, ponieważ czas szybko stracił dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Wiedziała, że to nie mogło trwać tak strasznie długo, gdyż dziecko wciąż płakało... chociaż robiło to z przerwami. Dwukrotnie słyszała dudnienie kopyt na kamiennej posadzce, raz w oddali, a raz tak blisko, że stanęła jak wryta, przyciskając ręce do piersi, jakby oczekiwała, że zaraz pojawi się w korytarzu przed nią.

Jeśli musiała się cofać, zawsze podnosiła ostatnie ziarenko, żeby nie zgubić powrotnej drogi. Kiedy w końcu minęła zakręt i ujrzała przed sobą o wiele jaśniejszą zieloną poświatę, zostały jej tylko trzy nasionka.

Podeszła do końca korytarza i stanęła u wylotu, patrząc na kwadratową salę o kamiennej

podłódze. Zerknęła w górę, szukając sufitu, i zobaczyła jedynie czarną otchłań, od której zakręciło jej się w głowie. Ponownie spojrzała w dół, zauważyła na podłódze kilka większych kup, a potem skierowała wzrok na środek pomieszczenia. Na posłaniu z koców leżało tam pulchne, jasnowłose dziecko. Oczy miało podpuchnięte od płaczu, a policzki mokre od łez, ale teraz znów zamilkło — przynajmniej na razie. Dziewczynka trzymała nogi w powietrzu, zdając się oglądać swoje palce. Od czasu do czasu wydawała chlipiący, cichy szloch. Te dźwięki poruszyły serce Rosie w sposób, w jaki jeszcze nigdy nie zareagowała na płacz niemowlęcia; wydawało się, że to maleństwo jakimś cudem wie, że zostało porzucone.

„Przynieś mi moje dziecko”.

Czyje dziecko? Kim ono jest naprawdę? I kto je tu zostawił?

Uznała, że nie chce wiedzieć, przynajmniej nie teraz. To było czyjeś dziecko i na razie to musiało jej wystarczyć; leżało tutaj, takie słodkie i zupełnie samo, usiłując pocieszyć się widokiem swoich palców w chłodnym zielonym świetle, w centrum labiryntu.

To światło może mu zaszkodzić — pomyślała Rosie, śpiesząc na środek komnaty. — To na pewno jakiś rodzaj promieniowania.

Dziecko obróciło główkę, zobaczyło Rosie i wyciągnęło do niej rękę. Tym gestem całkowicie ją zawojowało. Owinęła maleństwo kocem z posłania i wzięła je na rękę. Niemowlę wyglądało na trzymiesięczne. Objęło jej szyję rączkami, a potem — klap! — opuściło głowę na jej ramię. Znów zaczęło płakać, ale bardzo cicho.

— Wszystko w porządku — uspokajała je Rosie, delikatnie poklepując wąskie, owinięte kocykiem plecki. Czowała zapach skóry niemowlęcia, ciepły i czystszy od jakichkolwiek perfum. Przycisnęła nos do krótkich włosków otaczających idealnie okrągłą główkę. — Zgadza się, Caroline, wszystko będzie dobrze, znajdziemy powrotną drogę z tego paskudnego, starego lab...

Z tyłu dobiegł stukot kopyt i zamknęła usta, modląc się, żeby byk nie usłyszał jej obcego głosu, modląc się, żeby stukanie ucichło w oddali, gdy Erinyes wybierze jakieś odgałęzienie wiodące w bok. Lecz tym razem tak się nie stało. Stukot był coraz bliższy — i coraz głośniejszy — w miarę jak byk się zbliżał. Nagle ucichł, lecz słyszała głośne dyszenie, jakby potężnie zbudowanego mężczyzny, który właśnie wszedł na schody.

Powoli, czując się stara i niezgrabna, Rosie z dzieckiem w ramionach obróciła się w kierunku tego dźwięku. Odwróciła się do Erinyesa i Erinyes tam był.

„Byk zwęszyłby mnie i zaszarżował”. Tak powiedziała kobieta w czerwonej sukni... i jeszcze coś. „Atakowałby mnie, ale obie zostałybyśmy zabite”. Czy Erinyes wywęszył ją? Zwęszył ją, chociaż to nie była jeszcze jej pora miesiąca? Rosie uważała, że nie. Pomyślała, że zapewne zadaniem byka było strzec dziecka — a może pilnować czegokolwiek, co znajdowało się w środku labiryntu — i tak samo jak Rosie, zwabił go tu płacz niemowlęcia. Może miała rację, a może nie. W każdym razie byk zjawił się tutaj i był najpaskudniejszą bestią, jaką Rosie widziała w życiu.

Stał u wylotu korytarza, którym przybiegł, dziwnie zdeformowany, tak samo jak świątynia, przez którą przeszła Rosie — wydawało jej się, że widzi go przez kurtynę czystej, szybko pędzącej wody. A jednak byk, przynajmniej w tym momencie, stał zupełnie nieruchomo. Tylko jednym ogromnym przednim kopytem, rozdwojonym tak głęboko, że wyglądało jak szpon gigantycznego ptaka, niecierpliwie grzebał po kamiennej posadzce. Jego grzbiet przewyższał mającą sto sześćdziesiąt osiem centymetrów wzrostu Rosie o co najmniej dziesięć centymetrów, a jego ciężar oceniła na tonę. Wierzchołek spuszczonego łba był płaski jak młot i lśniący jak jedwab. Rogi miał krótkie, najwyżej trzydziestocentymetrowe, ale ostre i grube. Rosie bez trudu mogła sobie wyobrazić, jak wbijają się w jej nagi brzuch... albo w plecy, gdyby próbowała uciekać. A jednak nie potrafiła myśleć o takiej śmierci — nawet po tych wszystkich latach spędzonych z Normanem.

Byk uniósł nieco łeb i zobaczyła, że ma tylko jedno oko, zasnutę niebieskawym bielmem,

ogromne i paskudne, na samym środku. Gdy opuścił łeb i znów zaczął gniewnie łomotać kopytem o kamienną podłogę, zrozumiała jeszcze coś: szykował się do szarży.

Dziecko wrzasnęło przeraźliwie, niemal prosto do ucha Rosie, która podskoczyła.

— Cicho — powiedziała, kołysząc je na rękach. — Cii, dziecino, nie bój się, nie bój.

A przecież było się czego bać. Byk stojący tam w wąskim przejściu zamierzał wypruć jej flaki i udekorować nimi te dziwnie jarzące się ściany. Spodziewała się, że byłyby czarne na tle tej zieleni, podobne do kształtów, jakie wily się w kamieniu. W tej komnacie nie było gdzie się schować, nie było nawet jednej kolumny, a gdyby pobiegła korytarzem, którym tu przyszła, ślepy byk usłyszałby jej kroki na kamieniach i dopadłby ją, zanim pokonałaby pół drogi — wziąłby ją na rogi, rzucił o ścianę, ponownie wziął na rogi, a potem stratował na śmierć. Dziecko również, gdyby zdołała je utrzymać.

„Erinyes jest jednookim ślepcem, jednak ma wspaniały węch”.

Rosie stała, patrząc nań szeroko otwartymi oczami, zahipnotyzowana postukiwaniem przedniego kopyta. Kiedy w końcu przestanie grzebać nogą...

Spojrzała na wilgotny, zmięty kłęb nocnej koszuli, który trzymała w ręce. Kłęb koszuli z zawiniętym w szmatę kamieniem w środku.

„Ma wspaniały węch”.

Opadła na jedno kolano, nie spuszczać byka z oka, a prawą ręką trzymała dziecko. Lewą rozwinęła zawiniątko. Materiał, w którym ukryła kamień, był przedtem ciemnoczerwony od krwi „Wendy Yarrow”, lecz deszcz splukał go niemal do pierwotnej barwy. Tylko rogi, które tworzyły węzeł, były ciemniejsze — w istocie, jasnoróżowe.

Rosie wzięła kamień w lewą rękę i zważyła go w dłoni. W tej samej chwili gdy byk sprężył się do skoku, cisnęła kamieniem tak, że przetoczył się po podłodze na lewo od byka. Zwierzę ociężale obróciło w tę stronę łeb, rozdeptało nozdrza i runęło ku temu, co mogło wywęszyć i usłyszeć.

Rosie błyskawicznie poderwała się na nogi. Pozostawiła zmięte resztki nocnej koszuli obok posłania dziecka. W ręce wciąż ścisnęła mały pakiecik z trzema ostatnimi nasionami granatu, ale nie zdawała sobie z tego sprawy. Wiedziała tylko, że pędzi przez salę do korytarza, którym przyszła, podczas gdy za jej plecami Erinyes zaatakował kamieniem, kopnął go dalej kopytem, znów zaatakował, uderzył płaskim jak młot łbem, wrzucając do jednego z korytarzy i pogonił za nim, wydając groźne pomruki. Biegła, owszem, lecz w dziwnie zwolnionym tempie i znów wszystko wydawało się snem, ponieważ właśnie w taki sposób zawsze ucieka się w snach, szczególnie tych złych, kiedy bestia jest przeważnie dwa kroki za plecami. W koszmarach ucieczka zmienia się w podwodny balet.

Wpadła w wąski korytarz w tej samej chwili, gdy usłyszała, jak byk zawraca i rzuca się w pogoń. Stukot kopyt zbliżał się szybko, a kiedy był tuż-tuż, Rosie wrzasnęła, przycisnęła płaczące, przestraszone dziecko do piersi i pobiegła ile sił w nogach. Daremnie. Byk był szybszy. Dogonił ją... i pobiegł z drugiej strony muru po jej prawej ręce. Erinyes w porę odkrył podstęp z kamieniem i dopędził ją, ale pomylił się o jeden korytarz.

Rosie uciekała, zasapana, z wyschniętym gardłem, czując przyspieszone bicie serca w skroniach, w gardle, w oczach. Nie miała zielonego pojęcia, gdzie jest ani w jakim kierunku zmie — rza; teraz wszystko zależało od nasion. Jeśli zapomniała położyć choć jedno, może błądzić tu godzinami albo do czasu, aż byk odnajdzie ją i strati.

Dotarła do zbiegu pięciu dróg, spojrzała pod nogi i nie znalazła nasionka. Zauważyła jednak lśniącą, cuchnącą kałużę byczych szczyń, co nasunęło jej okropną myśl. A jeśli tu było nasionko? To prawda, że nie pamiętała, aby kładła tu jakieś, tak więc jego brak o niczym nie świadczył. Lecz nie pamiętała również, czy nie położyła tu jakiegoś. Załóżmy, że położyła, a byk rozdeptał je kopytem, pędząc korytarzem, ze spuszczonego łbem, bodąc krótkimi rogami powietrze i zlewając moczem podłogę?

„Nie wolno ci o tym myśleć, Rosie. Prawdopodobne czy nie, nie wolno ci o tym myśleć.

Zatrzymasz się, a byk w końcu cię dopadnie i zabije. Zabije was oboje”.

Pomknęła przez rozgałęzienie, przytrzymując ręką szyjkę dziecka, nie chcąc, aby jego główka obijała się o jej ramię. Korytarz biegł prosto przez dwadzieścia metrów, skręcał pod kątem prostym w prawo, a po następnych dwudziestu metrach rozdzielał się na dwa. Podbiegła tam, mówiąc sobie, że nie powinna tracić głowy, jeśli nie znajdzie nasionka. W takim wypadku po prostu wróci do ostatniego rozgałęzienia i spróbuje pójść innym korytarzem — łatwe jak bułka z masłem, nie ma sprawy... o ile oczywiście nie straci głowy. Kiedy powtarzała to sobie, obcy, przetraszony głos z głębi jej podświadomości poszeptywał: Zagubiona, tyle zyskałaś opuszczając męża, tak to wygląda, zagubiona w labiryncie, bawiąca się w chowanego z bykiem, w ciemności, służąca szalonej kobiety... tak kończą wszystkie złe żony, żony, które nie znają swojego miejsca w życiu. Zagubiona w ciemności...

Ujrzała nasionko, jego ostry koniec wyraźnie wskazywał prawe odgałęzienie korytarza. Załkała z ulgi. Pocałowała dziecko w policzek i zobaczyła, że znowu zasnęło.

9

Rosie skręciła w prawo i poszła, tuląc w ramionach Caroline — równie dobre imię jak każde. Przez cały czas nie mogła pozbyć się tego koszmarne wrażenia, że porusza się w zwolnionym tempie, a także obawy, że natrafi na rozgałęzienie, które zapomniała oznakować; ale znajdowała nasionka w każdym miejscu, w którym zachodziła konieczność wyboru drogi. Erinyes też był w pobliżu i łomot jego kopyt o kamienie, czasem daleki i stłumiony, czasem bliski i przerażająco wyraźny, przypominał jej, jak w wieku pięciu czy sześciu lat pojechała z rodzicami na wycieczkę do Nowego Jorku. Zapamiętała z tej wyprawy dwie rzeczy: tancerki przesuujące się po scenie Radio City Music Hall, idealnie równo poruszające nogami, oraz przytłaczający gwar i ruch Grand Central Station, gdzie pełno było ogromnych podświetlanych tablic i wciąż napływał tłum. Ludzie na Grand Central fascynowali ją tak samo jak urzekły tancerki (i z tego samego powodu, chociaż zrozumiała to dopiero później), ale przerażał ją odgłos przejeżdżających pociągów, gdyż nie było wiadomo, skąd one przybywają ani dokąd jadą. Odcieleśnione piski i łoskot kół narastały i cichły, narastały i cichły, czasem w oddali, czasem zdawały się wstrząsać podłogą pod stopami. Słyszac, jak byk Erinyes szarżuje na oślepa po labiryncie, przypominała to sobie ze zdumiewającą wyrazistością. Rosie rozumiała, że ona, która nigdy nie zaryzykowała nawet jednego dolara na loterii stanowej ani nie obstawiła niczego w organizowanej przez parafię partii bingo o indyka lub komplet szklanek, teraz prowadziła ryzykowną grę, w której stawką było jej życie, a przegrana oznaczała śmierć... nie tylko jej, ale i dziecka. Pomyślała o mężczyźnie na dworcu Portside, tym z urodziwą, nie budzącą zaufania twarzą, oraz o grze w trzy karty, rozgrywanej na wieku walizki. Teraz ona była asem pikowym, a przerażające było to, że byk niekoniecznie potrzebował uszu czy powonienia, żeby trafić na ślad; mógł po prostu natknąć się przypadkowo.

Tak się jednak nie stało. Rosie minęła ostatni zakręt i ujrzała przed sobą schody. Dysząc, płacząc i śmiejąc się jednocześnie, wypadła z korytarza i wbiegła na nie. Pokonała pół tuzina stopni, po czym odwróciła się i spojrzała za siebie. Z tego miejsca widziała labirynt wijący się i ginący w ciemnościach, gmatwaninę zakrętów w prawo i w lewo, rozgałęzień i ślepych zaułków. Gdzieś daleko po prawej słyszała galopującego Erinyesa. Galopującego w dal. Były bezpieczne i Rosie odetchnęła z ulgą.

W myślach usłyszała głos „Wendy”: „Spokojnie, dziewczyno, masz tu wrócić z dzieckiem. Spisałaś się niezłe, ale to jeszcze nie koniec”.

Nie, na pewno nie. Musiała jeszcze pokonać ponad dwieście stopni, tym razem z dzieckiem w ramionach, a już była wyczerpana.

Jeden po drugim — radziła Praktycznie–Rozsądna. — Tak musisz to zrobić. Po jednym stopniu.

Tak, tak. Pani Praktycznie–Rozsądna. Królowa Dwunastostopniowej Terapii.

Rose ruszyła do góry (po jednym stopniu), od czasu do czasu zerkając przez ramię i snując na pół sformułowane (czy byki umieją wchodzić po schodach?) okropne myśli, gdy labirynt powoli zostawał w dole. Niemowlę w jej rękach stawało się coraz cięższe i cięższe, jakby działało tu jakieś upiorne prawo fizyki: im bliżej powierzchni, tym cięższe dziecko. W górze dostrzegła błysk światła i przywarła doń spojrzeniem. Przez chwilę zdawało się drwić z niej, pozostając w oddali, podczas gdy jej rwał się oddech, a krew dudniła w skroniach. Po raz pierwszy od prawie dwóch tygodni znów rozboleły ją nerki, pulsując tępym kontrapunktem do łomotu jej serca. Nie zwracała na to uwagi — przynajmniej w miarę możliwości — i nie odrywała oczu od nikłego światelka. W końcu zaczęło pęcznieć i przybierać kształt otworu u szczytu schodów.

Pozostało jej jeszcze pięć stopni, gdy poczuła paralizujący skurcz mięśni prawego uda, zaczynający się pod kolanem, a kończący prawie na prawym pośladku. Kiedy sięgnęła ręką i próbowała rozmasować nogę, w pierwszej chwili miała wrażenie, że uciska głaz. Jęcząc cicho, z ustami wygiętymi z bólu w podkówkę, masowała mięśnie (jeszcze jedna czynność, jaką często wykonywała w ciągu wielu lat małżeństwa), aż wreszcie zaczęły wiotczeć. Zgięła nogę w kolanie, żeby sprawdzić, czy skurcz nie chwyci jej ponownie. Kiedy tak się nie stało, ostrożnie pokonała ostatnie stopnie, oszczędzając przy tym prawą nogę. Znalazłszy się na górze, stanęła, tocząc wokół oszołomionym spojrzeniem górniką, który wbrew swoim oczekiwaniom przeżył straszliwe tąpnięcie.

Kiedy przebywała pod ziemią, chmury przetoczyły się i nastał mglisty, lecz słoneczny, letni dzień. Powietrze było ciężkie i parne, ale Rosie uznała, że nigdy w życiu nie wdychała lepszego. Z wdzięcznością zwróciła mokrą od potu i leż twarz ku wyblakłemu błękitowi, jaki teraz widziała między umykającymi obłokami. Gdzieś w oddali złowrogo przetaczał się grom, jak pokonany byk miotający puste groźby. To sprawiło, że pomyślała o Erinyesie, biegającym w ciemnościach podziemi, wciąż szukającym kobiety, która wtargnęła do jego królestwa i wykradła jego łup. *Cherchez la femme* — pomyślała Rosie ze słabym uśmiechem. — Możesz *cherchez* ile chcesz, chłopie; ta *femme*, nie mówiąc już o jej *petite filie* — uciekła.

10

Rosie powoli odeszła od schodów. Na początku ścieżki wiodącej z powrotem do gaju uschniętych drzew usiadła, z dzieckiem na kolanach. Chciała tylko złapać oddech, ale zamglone słońce grzało ją w plecy i kiedy znów podniosła głowę, jakaś nieznaczną zmianą ułożenia cienia kazała jej sądzić, że mogła przez chwilę drzemać.

Gdy wstawała, krzywiąc się z bólu przeszywającego mięśnie prawego uda, usłyszała ochrypy, kłótlivy wrzask ptactwa — jakby liczna rodzina zaciekle sprzeczała się przy niedzielnym obiedzie. Dziecko w jej ramionach cicho zachrapało, gdy Rosie zmieniła pozycję na wygodniejszą, wydmuchnęło pęcherzyk śliny z wydętych warg, a potem znów umilkło. Rosie ubawiła się, a także pozazdrościła mu łagodnego, sennego spokoju.

Ruszyła ścieżką, a potem przystanąła i obejrzała się na to jedyne żywe drzewo o błyszczących zielonych liściach, uginające się pod ciężarem czerwonawopurpurowych owoców, oraz na znajdujące się opodal wejście do podziemi — jakby wzięte wprost z klasycznych baśni. Przez chwilę patrzyła na ten widok, chłonąc go oczami i duszą.

To rzeczywistość — pomyślała. — Czy te przedmioty, które widzę tak wyraźnie, mogłyby nie być rzeczywiste? Ponadto wiem, że się zdrzemnęłam. Czy można zdrzemnąć się we śnie? Czy człowiek może zasnąć, kiedy już śpi?

Zapomnij o tym — rzekła Praktycznie–Rozsądna. — To najlepsze wyjście, przynajmniej na razie.

Tak, pewnie tak.

Rosie ruszyła dalej i kiedy doszła do zwałonego drzewa, tarasującego ścieżkę, z rozbawieniem i lekkim rozgoryczeniem zobaczyła, że może uniknąć mozolnego przedzierania się przez płataninę korzeni: była łatwiejsza ścieżka wokół korony drzewa.

Przynajmniej teraz jest — pomyślała idąc nią. — Czy jesteś pewna, że była tu wcześniej?

Bulgot czarnego strumienia narastał jej w uszach, a kiedy dotarła na brzeg, zobaczyła, że poziom wody już zaczął opadać i kamienie brodu nie wydawały się tak niebezpiecznie małe; teraz miały wielkość płytek podłogowych, a zapach wody stracił swoją złowieszczą atrakcyjność. Pachniała po prostu jak bardzo twarda woda zostawiająca pomarańczowy pierścień osadu w wannie i w muszli toaletowej.

Ptasi wrzask: Zrobiłeś. Nie zrobiłem. Tak, zrobiłeś — znów rozdarł powietrze i Rosie zauważyła dwadzieścia lub trzydzieści największych ptaków, jakie widziała w życiu, siedzących rzędem na dachu świątyni. Były o wiele za duże na wrony i po chwili doszła do wniosku, że muszą być miejscową odmianą sępów lub kondorów. Tylko skąd się wzięły? I po co tu siedziały?

Nie zdając sobie sprawy z tego, że to robi, patrząc na ptaki, Rosie mocniej przycisnęła dziecko do piersi, aż poruszyło się i zapłakało przez sen. Wszystkie poderwały się jednocześnie, a ich skrzydła załopotwały jak prześcieradła na sznurze. Wydawało się, że zauważyły, iż ona patrzy na nie i nie spodobało im się to. Większość odfrunęła w gęstwinę uschłych drzew za jej plecami, ale kilka pozostało pod zamglonym niebem, krążąc nad jej głową niczym złowrogi omen w westernie.

Skąd się wzięły? Czego chcą?

Pytania, na które Rosie nie znała odpowiedzi. Odsunęła te myśli od siebie i stąpając po kamieniach, przeszła przez strumień. Zbliżając się do świątyni, dostrzegła zapuszczoną, lecz jeszcze widoczną ścieżkę wiodącą wokół kamiennej ściany. Poszła nią bez namysłu, chociaż była naga, a po obu stronach dróżki rosły cierniste zarośla. Stąpała ostrożnie, obracając się bokiem, aby uchronić biodro przed podrapaniem, trzymając (Caroline) dziecko wysoko, poza zasięgiem cierni. Mimo tych środków ostrożności Rosie nie udało się uniknąć dwóch zadrapań, ale tylko jedno — na obolałym prawym udzie — było tak głębokie, że lekko krwawiło.

Kiedy minęła narożnik świątyni i spojrzała na jej front, odniosła wrażenie, że budynek jakoś się zmienił, ale nie umiała rozpoznać tej zmiany. Zapomniała o tym w przypiływie ulgi, widząc „Wendy” wciąż stojącą przy obalonej kolumnie, lecz przeszedłszy tuzin kroków w jej kierunku, Rosie stanęła i obejrzała się, szeroko otwierając oczy i umysł.

Tym razem natychmiast zauważyła zmianę i wydała cichy okrzyk zdumienia. Świątynia Byka wyglądała teraz dziwnie nierealnie... dwuwymiarowo. Przypomniała Rosie wiersz o malowanym statku na malowanym oceanie, przerabiany w szkole średniej. Dziwne, niepokojące wrażenie, że świątynia jest zdeformowana (lub istnieje w jakimś obcym wszechświecie, nie mającym nic wspólnego z Euklidesem, gdzie obowiązują inne prawa geometrii), minęło po chwili, a wraz z nim niepokój, jaki budził jej widok. Teraz poszczególne linie znajdowały się dokładnie w tych miejscach, w których powinny; architektura budynku była pozbawiona tych dziwnych załamań i zniekształceń, tak kłopotliwych dla oczu. W rzeczy samej, ta budowla wyglądała teraz jak na obrazie splecionym przez artystę, którego mierny talent i przeciętne poczucie romantyzmu zaowocowało kiczem — z rodzaju tych, które zawsze kończą swój żywot, zbierając kurz w rogu piwnicy lub na półce strychu, razem ze starymi egzemplarzami „National Geographic” oraz stertą zdekompletowanych puzzli.

Albo w rzadko przeszukiwanym zakamarku lombardu.

— Dziewczyno! Hej, dziewczyno!

Obróciła się do „Wendy” i zobaczyła, że ta macha do niej niecierpliwie.

— Pośpiesz się i przynieś mi dziecko! Nie pora na podziwianie widoków!

Rosie zignorowała ją. Ryzykowała życie dla tego dziecka i nie da się poganiać. Odwinęła kocyk i obejrzała ciało, równie białe i żeńskie jak jej własne. Na tym jednak kończyło się podobieństwo. Dziecko nie nosiło żadnych blizn, żadnych śladów pozostawionych przez zęby. Na tym małym i ślicznym ciałku Rosie nie dostrzegła nawet najmniejszego znamienia. Powoli przesunęła palcem — od wypukłości kostki, przez wypukłość biodra, po wypukłość ramienia. Doskonałe.

Tak, doskonałe. A teraz, kiedy ryzykowałeś dla niej życie, Rosie, teraz, kiedy uratowałeś ją przed ciemnością, bykiem i Bóg wie przed czym jeszcze, czy zamierzasz oddać ją tym dwom kobietom? Obie cierpią na jakąś chorobę, a ta na wzgórzu w dodatku ma zaburzenia psychiczne. Poważne zaburzenia psychiczne. Czy masz zamiar oddać im to dziecko?

— Nic jej nie będzie — odezwała się brązowoskóra kobieta. Rosie odwróciła się na pięcie w kierunku głosu. „Wendy Yarrow” stała teraz tuż przy niej i ze zrozumieniem spoglądała na Rosie.

— Tak — powiedziała, kiwając głową, jakby Rosie głośno wyraziła swoje wątpliwości. — Wiem, co myślisz, i uważam, że wszystko jest w porządku. Ona jest szalona, nie ma co do tego cienia wątpliwości, lecz jej szaleństwo nie obejmuje dziecka. Ona wie, że chociaż je zrodziła, dziecko nie należy do niej, tak samo jak nie należy do ciebie.

Rosie zerknęła w kierunku wzgórza, na którym dostrzegła kobietę w chitonie, stojącą obok kucyka i czekającą na dalszy rozwój wydarzeń.

— Jak ona się nazywa? — zapytała Rosie. — Matka dziecka? Czy to...

— Nieważne — odparła kobieta w czerwonej sukni, przerywając Rosie w połowie zdania, jakby powstrzymując ją przed powiedzeniem jakiegoś słowa, które powinno paść. — Jej imię nie ma znaczenia, dziewczyno. Natomiast stan jej umysłu ma. Ona jest ostatnio bardzo niecierpliwa w wyniku tych wszystkich przeżyć. Lepiej przestańmy gadać i chodźmy.

— Postanowiłam dać dziecku na imię Caroline — powiedziała Rosie. — Norman mówił, że mogę. Wcale go to nie obchodziło.

Zaczęła płakać.

— Wydaje mi się, że to ładne imię. Dobre imię. No, nie płacz. Przestań. — Objęła Rosie ramieniem i razem zaczęły wspinać się na wzgórze. Trawa szeptała cicho wokół bosych nóg Rosie i łaskotała ją w kolana. — Wysłuchasz mojej rady, dziewczyno?

Rosie popatrzyła na nią z ciekawością.

Wiem, że w takich smutnych sprawach trudno komuś radzić, ale pomyśl, jakie mam po temu kwalifikacje: urodziłam się jako niewolnica, wychowałam w łańcuchach i zostałam wyzwolona przez kobietę, która jest prawie boginią. Przez nią. — Wskazała milczącą postać czekającą na nie. — Ona piła ze źródła młodości i mi również kazała pić. Teraz trwamy razem, i nie wiem jak ona, ale czasami, kiedy patrzę w lustro, chciałabym mieć zmarszczki. Pochowałam moje dzieci i ich dzieci, a także dzieci ich dzieci w piątym pokoleniu. Widziałam, jak wojny przetaczają się niczym fale zmywające ślady stóp i zamki z piasku na plaży. Widziałam palonych na stosach i setki głów, pozatykane na palach wzdłuż ulic miasta Lud, widziałam, jak mordowano mądrych przywódców i sadzano na ich miejscu głupców, i wciąż żyję. — Westchnęła głęboko. — Wciąż żyję i jeśli coś daje mi prawo do udzielania rad, to tylko to. Wysłuchasz mnie? Odpowiedz. To nie jest rada, jaką dałabym ci przy niej, a jesteśmy coraz bliżej.

— Tak, powiedz mi — odparła Rosie.

— Lepiej nie pieścić się z przeszłością. Liczą się nie te ciosy, które zadajemy, ale te, które zdołamy znieść. Teraz pamiętaj, jeśli chcesz pozostać przy zdrowych zmysłach, nie mówiąc już o życiu, nie patrz na nią!

Ostatnie słowa kobieta w czerwonej sukni wymówiła przenikliwym szeptem. Niecałą minutę później Rosie ponownie stanęła przed jasnowłosą kobietą. Wbiła wzrok w rąbek chitonu Rose Madder, nie zdając sobie sprawy z tego, że za mocno przyciska „Caroline”, aż dziecko poruszyło się w jej ramionach i z urazą machnęło rączką. Obudziło się i z wyraźnym zainteresowaniem patrzyło na Rosie. Jego oczy miały ten sam kolor zamglonego błękitu, co letnie niebo nad głową.

— Spisałaś się doskonale, naprawdę — usłyszała ten cichy i słodki, ochryply głos. — Dziękuję ci. Teraz daj mi ją.

Rose Madder wyciągnęła ręce. Roili się na nich cienie, lecz Rosie dostrzegła coś, co spodobało jej się jeszcze mniej: między palcami kobiety tkwił gęsty, szarozielony śluz, jak mech. Lub jak łuska. Nie myśląc o tym, co robi, Rosie przycisnęła dziecko. Tym razem wierzněło mocniej i wydało krótki krzyk protestu.

Brazowa dłoń dotknęła ramienia Rosie.

— Wszystko w porządku, mówię ci. Ona nie zrobi mu krzywdy, a ja zajmę się nim do końca naszej podróży. To nie potrwa długo, a potem oddamy dziecko... no, to nieistotne. Jeszcze przez jakiś czas dziecko należy do niej. Oddaj je, dziewczyno.

Czując, że jest to najtrudniejsza decyzja, jaką podjęła w życiu złożonym z samych trudnych decyzji, Rosie podała dziecko kobiecie w chitonie. Usłyszała cichy pomruk satysfakcji i szare ręce wzięły dziewczynkę. Ta spojrzała na twarz, przed której oglądaniem ostrzegano Rosie... i roześmiała się.

— Tak, tak — zamruczał ochryply słodki głos i było w nim coś z uśmiechu Normana, coś, co budziło u Rosie chęć krzyku. — Tak, moja słodka, tam było ciemno, prawda? Ciemno, paskudnie i źle, tak, mama wie.

Cętkowane dłonie przycisnęły dziecko do jasnoróżowej szaty. Mała popatrzyła, uśmiechnęła się, a potem położyła główkę na piersi matki i znów zamknęła oczy.

— Rosie — powiedziała kobieta w chitonie. Jej głos był obcy, nieobecny, szalony. Głos despoty, który niebawem obejmie dowodzenie nad wymyślonymi armiami.

— Tak — odparła Rosie, prawie szepcząc.

— Prawdziwa Rosie. *Rosie Real*.

— T-ak. Chyba.

— Pamiętasz, co ci powiedziałam, zanim tam zesłaś?

— Tak — przytaknęła Rosie. — Pamiętam bardzo dobrze. Wolałaby nie pamiętać.

— Co takiego? — pytała niecierpliwie Rose Madder. — Co takiego mówiłam, *Rosie ReaP*.

— „Ja odpłacam”.

— Tak. Ja odpłacam. Bardzo było źle, tam, w ciemności? Czy bardzo było ci źle, *Rosie ReaP*.

Zastanowiła się nad tym.

— Źle, ale nie najgorzej. Chyba najgorszy był strumień. Chciałam się napić.

— W twoim życiu było wiele rzeczy, o których chciałabyś zapomnieć?

— Tak. Sądzę, że tak.

— O twoim mężu? Skinęła głową.

Kobieta trzymająca na rękach śpiące dziecko przemówiła z niesamowitą, spokojną pewnością siebie, która zmroziła Rosie.

— Weźmiesz z nim rozwód.

Rosie otworzyła usta, lecz nie mogła nic powiedzieć i znów je zamknęła.

— Mężczyźni to bestie — stwierdziła Rose Madder tonem towarzyskiej pogawędki. — Niektórych można oswoić, a potem wytresować. Innych nie. Kiedy natrafiamy na takiego, którego nie można oswoić ani wytresować, na łotra, czy powinniśmy czuć się przekłete lub oszukane? Czy powinniśmy siedzieć przy drodze albo, na przykład, w bujanym fotelu obok łóżka, oplakując nasz los? Czy powinniśmy sprzeciwiać się *ka*? Nie, gdyż *ka* jest kołem

poruszającym świat, kołem, które zmiądzzy stojącego przeciw niemu mężczyznę czy kobietę. Lecz dziką bestię trzeba poskromić. I musimy podjąć się tego z nadzieją w sercach, gdyż następna zawsze może okazać się inną.

Bill nie jest bestią — pomyślała Rosie wiedząc, że nigdy nie odważyłaby się powiedzieć tego głośno tej kobiecie. Zbyt łatwo było wyobrazić sobie, jak łapie cię i rozszarpuje zębami gardło.

— W każdym razie bestia będzie walczyć — rzekła Rose Madder. — To leży w naturze wszystkich bestii: ze spuszczoneymi łbami rzucać się na siebie, żeby wypróbować rogi. Rozumiesz?

Rosie nagle uświadomiła sobie, że naprawdę rozumie, co mówi do niej ta kobieta, i poczuła lęk. Podniosła palce do ust i dotknęła warg. Były suche, rozpalone.

— Nie będzie żadnej walki — powiedziała. — Nie będzie żadnej walki, ponieważ oni nie wiedzą o sobie. Oni...

— Bestie będą walczyć — powtórzyła jednak Rose Madder, a potem podała coś Rosie. Ta dopiero po chwili pojęła, co to jest: złota bransoleta, którą kobieta nosiła nad prawym łokciem.

— Ja... ja nie mogę...

— Weź ją! — rzekła kobieta w chitonie z nagłą niecierpliwością. — Weź ją, weź! I przestań wreszcie skamleć! Na miłość wszystkich kiedykolwiek istniejących bogów, skończ z tym głupim skamleniem!

Rosie wyciągnęła drżącą rękę i wzięła bransoletę. Chociaż metal dotykał ciała jasnowęsiej, był zimny. Jeśli każe mi ją włożyć, nie wiem, co zrobię — pomyślała Rosie, lecz Rose Madder nie zażądała tego. Wyciągnęła cętkowane ramię i wskazała na drzewo oliwne. Sztalugi zniknęły, a obraz — tak jak ten w pokoju — powiększył się do ogromnych rozmiarów. A także zmienił się. W dalszym ciągu ukazywał pokój przy Trenton Street, lecz teraz nie było na nim kobiety zwróconej twarzą do drzwi ani cienia na ścianie i sofie. Nic dziwnego; przecież w pokoju zalegał mrok. Spod koca na łóżku wystawało tylko jedno nagie ramię i kosmyk jasnych włosów.

To ja — pomyślała zdumiona Rosie. — To ja śpię i śnię ten sen.

— Idź — rzekła Rose Madder i dotknęła jej głowy. Rosie zrobiła krok w kierunku obrazu, głównie po to, aby uniknąć nawet najlżejszego dotknięcia tej zimnej i okropnej dłoni. Robiąc to usłyszała bardzo słaby odgłos ruchu ulicznego. Świerszcze skakały wokół jej stóp i kostek brodzących w wysokiej trawie. — Idź, mała *Rosie Real*. Dziękuję za uratowanie mojego dziecka.

— Naszego dziecka — powiedziała Rosie i natychmiast wpadła w przerażenie. Osoba poprawiająca tę kobietę sama musiała być szalona.

A jednak głos kobiety w czerwonawoszkarałatnym chitonie pobrzmiwał raczej rozbawieniem niż gniewem, gdy odparła:

— Tak, tak, jeśli tak wolisz, nasze dziecko. Teraz idź. Pamiętaj to, o czym masz pamiętać i zapomnij to, co powinnaś zapomnieć. Broń się, kiedy będziesz poza moim zasięgiem.

Możesz być tego pewna — pomyślała Rosie. I na pewno nie przyjdę prosić cię o jakieś przysługi. To byłoby jak wynajmowanie Idiogo Amina, żeby obsłużył przyjęcie w ogrodzie, albo Adolfa Hitlera do...

Przestała o tym myśleć, gdy zobaczyła, jak kobieta na obrazie porusza się i przykrywa kocem odsłonięte ramię.

To już nie był obraz.

Okno.

— Idź, dziewczyno — teraz odezwała się kobieta w czerwonej sukni. — Dobrze się spisałaś. Idź, zanim ona zmieni zdanie.

Rosie ruszyła w kierunku obrazu, a za jej plecami Rose Madder przemówiła ponownie i

tym razem jej głos nie był słodki ani namiętny, lecz donośny, ochryply i groźny:

— I pamiętaj: Ja odpłacam!

Rosie skrzywiła się i zamknęła oczy, słysząc ten niespodziewany krzyk; rzuciła się naprzód, nagle pewna, że kobieta w chitonie zapomniała już, jaką przysługę oddała jej Rosie i postanowiła ją zabić. Potknęła się o coś (może o dolny brzeg obrazu?) i zaczęła spadać. Zdażyła jeszcze poczuć, że żołądek wiruje jej jak karuzela, a potem była tylko ciemność, przelatująca w oczach i w uszach. W niej rozlegał się jakiś złowieszczy dźwięk, odległy, lecz coraz bliższy. Może był to odgłos pociągów w głębokich tunelach pod Grand Central Station, może łoskot gromu, a może byk Erinyes, biegający ze spuszczoneym łbem po swoim labiryncie i dżgający powietrze krótkimi, ostrymi rogami.

11

Pływała cicho i bezmyślnie, jak płód w worku swojego łożyska, aż do siódmej rano. Wtedy big ben na szafce wyrwał ją ze snu swoim przeraźliwym wyciem. Rosie zerwała się, młócąc powietrze sztywnymi jak szpony rękami i krzycząc coś, czego nie rozumiała, jakieś słowa z zapomnianego już snu: Nie każ mi na siebie patrzeć! Nie każ mi na siebie patrzeć! Nie każ! Nie każ!

Potem ujrzała kremowe ściany, sofę będącą tylko sporym fotelem z pretensjami do wielkości, światło wpadające przez okno — i wykorzystała te przedmioty, żeby umiejscowić się w rzeczywistości, której potrzebowała. Kimkolwiek się stała i dokądkolwiek podążyła w swoich snach, teraz była Rosie McClendon, samotną kobietą zarabiającą na życie nagrywaniem książek dźwiękowych. Bardzo długo żyła ze złym mężczyzną, ale zostawiła go i spotkała dobrego. Mieszkała pod numerem 897 przy Trenton Street, na pierwszym piętrze, przy końcu korytarza, z pięknym widokiem na Bryant Park. Och — i jeszcze jedno. Była samotną kobietą, która już nigdy w życiu nie tknie hot doga długości trzydziestu centymetrów, a szczególnie z majonezem i kiszoną kapustą. Najwyraźniej jej nie służyły. Nie pamiętała, co jej się śniło (pamiętaj to, o czym masz pamiętać, i zapomnij to, co powinnaś zapomnieć), wiedziała jednak, od czego to wszystko się zaczęło: od tego, że weszła w ten przeklęty obraz, jak Alicja przechodząca na drugą stronę lustra.

Przez chwilę Rosie siedziała bez ruchu, owijając się najlepiej jak umiała w swój świat *Rosie Real*, a potem sięgnęła po niezmordowany budzik. Zamiast nacisnąć go, strąciła budzik na podłogę.

— Zatrudnijcie inwalidów, miło na nich popatrzeć — wykrztusiła.

Schyliła się i wymacała zegarek, jeszcze raz zafascynowana widokiem blond włosów, jakie dostrzegła kątem oka, loków zupełnie niepodobnych do tych, jakie nosiła niepozorna, myszowata Rosie Daniels. Znalazła budzik, wymacała kciukiem przycisk wyłączający dzwonicie i nagle znieruchomiała, zauważając coś jeszcze. Pierś dotykająca jej przedramienia była naga.

Wyłączyła budzik, a potem usiadła, wciąż trzymając go w ręce. Odchyliła poszewkę i lekki koc. Dolną część ciała miała równie nagą jak górną.

— Gdzie jest moja koszulka? — spytała pustego pokoju. Pomyślała, że jeszcze nigdy nie słyszała czegoś równie głupiego... Nie przywykła jednak chodzić spać w koszuli, a budzić się nago. Nawet czternaście lat małżeństwa z Normanem nie przygotowało ją do czegoś podobnego. Odstawiła zegar na szafkę, spuściła nogi z łóżka...

— Au! — krzyknęła, zdumiona i przestraszona bólem i odrętwieniem bioder i ud. Bolał ją nawet tyłek. — Au, au, AU!

Siedząc na brzegu łóżka, delikatnie rozmasowała sobie prawą nogę, a potem lewą. Mogła nimi ruszać, ale bolały ją, szczególnie prawa. Czuła się tak, jakby przez cały poprzedni dzień

wykonywała wszystkie możliwe ćwiczenia na przyrządach do wiosłowania, a także jazdy na rowerze z „atlasem” włącznie, podczas gdy jedynym jej wysiłkiem była przechadzka z Billem, a i ta była powolnym spacerkiem.

Ten dźwięk przypominał pociągi na Grand Central Station — pomyślała.

Jaki dźwięk?

Przez moment sądziła, że już to ma, a przynajmniej ma coś, lecz zaraz skojarzenie umknęło. Powoli i ostrożnie podniosła się z łóżka, przez chwilę stała tuż przy nim, a potem poszła prosto do łazienki. Pokuśtykała do łazienki. Powłóczyła prawą nogą, jakby naprawdę ją jakoś naciągnęła, i bolały ją nerki. Co, u Boga Ojca...?

Przypomniała sobie, że czytała o tym, iż ludzie czasami »uciekają« przed czymś we śnie. Może właśnie to robiła; może gąszcz snów, których nie pamiętała, stał się tak straszny, że naprawdę spróbowała od nich uciec. Stanęła w drzwiach łazienki i obejrzała się na swoje łóżko. Prześcieradło było pomięte, ale nie poskręcane czy ściągnięte, czego można by oczekiwać, gdyby rzeczywiście wykazywała taką aktywność we śnie.

A jednak Rosie dostrzegła coś, co nie spodobało jej się, coś, co ze straszliwą i niespodziewaną gwałtownością przypomniało jej dawne, złe dni: ślady krwi. To były raczej cienkie kreski niż krople i o wiele za nisko, żeby pochodziły z rozbitego nosa czy rozciętej wargi... jeśli oczywiście nie poruszała się tak energicznie we śnie, by przez jakiś czas mieć głowę w nogach. W następnej chwili pomyślała, że może to efekt wizyty „kardynała” (tak matka kazała jej mówić o menstruacji, jeżeli w ogóle musi o tym mówić), lecz to zdecydowanie nie była ta pora miesiąca.

„Czy to twój czas, dziewczyno? Twoja pora księżycy?”

— Co? — spytała pustego pokoju. — O co chodzi z tym księżycem?

I znów pojawiło się jakieś skojarzenie, a potem umknęło, zanim zdołała je schwytać. Spojrzała na siebie i rozwiązała przynajmniej jedną zagadkę. Na górnej części prawego uda miała zadrapanie, i to wyglądające dość paskudnie. Niewątpliwie z niego pochodziła krew na prześcieradle.

Czy zadrapałam się we śnie? Czy to...

Tym razem myśl, która przyszła jej do głowy, pozostała trochę dłużej, może dlatego, że nie była to wcale myśl, lecz obraz. Ujrzała nagą kobietę — siebie — ostrożnie przeciskającą się ścieżką porośniętą kolczastymi zaroślami. Kiedy odkręciła prysznic i podstawiała rękę pod strumień wody, żeby sprawdzić temperaturę, stwierdziła, że zastanawia się nad tym, czy można spontanicznie krwawić we śnie... podobnie jak ci ludzie, którzy krwawili z rąk i nóg w Wielki Piątek.

Stygmaty? Czy chcesz powiedzieć, że na domiar wszystkiego masz jeszcze stygmaty cierpienia?

Niczego nie twierdzę, ponieważ niczego nie jestem pewna — odpowiedziała w myślach sama sobie — jakże prawdziwie. Podejrzewała, iż mogłaby uwierzyć, choć z trudem, że zadrapanie może samoistnie pojawić się na skórze śpiącej osoby, dokładnie takie samo i w tej samej chwili, co we śnie. To było trochę naciągane, ale nie nieprawdopodobne. Nieprawdopodobne natomiast było to, że śpiąca osoba może sprawić, iż nocna koszula zniknie z jej ciała... śniąc, że jest naga.

(„Zdejm to, co masz na sobie.

Nie mogę tego zrobić! Nie mam nic pod spodem!

Nikommu nie powiem...”)

Widmowe głosy. W jednym rozpoznała własny, ale drugi?

To bez znaczenia. Nie, jasne, że nie. Zdjęła koszulę we śnie, to wszystko, a może przebudziwszy się na chwilę, ale teraz nie pamiętała tego, podobnie jak nie pamiętała upiornych snów o ucieczce w ciemności lub o przechodzeniu przez czarny strumień po białych kamieniach. Na pewno zdjęła ją i kiedy zacznie szukać, niewątpliwie znajdzie koszulę

wciśniętą pod łóżko.

— Pewnie. Chyba że ją zjadłam albo...

Cofnęła rękę, którą sprawdzała wodę, i ze zdziwieniem spojrzała na palce. Na ich czubkach ujrzała czerwonawopurpurowe plamy, a pod paznokciami resztki tego samego barwnika. Powoli uniosła dłoń na poziom oczu i głos z głębi jej jaźni — tym razem nie należący do Praktycznie–Rozsądnej, przynajmniej tak sądziła — odezwał się z wyraźnym niepokojem: „Nie wkładaj do ust ręki, którą dotykałaś nasion! Nie wkładaj! Nie!”

— Jakie nasiona? — spytała przestraszona Rosie. Powąchała palce i poczuła ślad zapachu, woń przypominającą pieczenie ciasta i cukier puder. — Jakie nasiona? Co zaszło minionej nocy? Czy to...

Przerwała. Wiedziała, co zamierzała powiedzieć, ale nie chciała słyszeć tego pytania, zawisłego w powietrzu jak nie dokończona sprawa: Czy to wciąż się dzieje?

Weszła pod prysznic, ustawiła najgorętszy strumień, jaki mogła znieść, a potem chwyciła mydło. Szczególnie starannie umyła ręce, szorując je, dopóki mogła dostrzec choćby ślad tego jasnoróżowego barwnika pod paznokciami. Potem umyła głowę, nieśmiało podśpiewując sobie przy tym. Curt sugerował, że powinna ćwiczyć dziecinne rymowanki w różnych tonacjach i rejestrach. Tak też zrobiła, ścisząc głos, żeby nie niepokoić lokatorów piętro wyżej i niżej. Kiedy pięć minut później wyszła spod prysznica i wysuszyła włosy, jej ciało nie przypominało już konstrukcji z drutu kolczastego i tłuczonego szkła. Głos także stał się prawie normalny.

Zaczęła wkładać dzinsy i podkoszulek, ale przypomniała sobie, że Rob Lefferts zaprasza ją na lunch, więc zamiast spodni włożyła nową spódniczkę. Potem usiadła przed lustrem, żeby zapleść sobie warkocz. To była żmudna praca, ponieważ ścierpły jej plecy, ramiona i ręce. Gorący prysznic poprawił sytuację, ale niezupełnie.

Tak, to była całkiem spora dziewczynka, jak na swój wiek — pomyślała, tak zajęta splataniem warkocza, że nie zdawała sobie sprawy z tego, co jej krąży po głowie. Na koniec spojrzała w lustro ukazujące pokój za jej plecami i ujrzała coś, co sprawiło, że szeroko otworzyła oczy. W jednej chwili zapomniała o wszystkich dziwnych sprawach, zaobserwowanych tego ranka.

— O mój Boże — wyszeptała zduszonym głosem. Wstała i na nogach pozbawionych czucia jak drewniane kołki przeszła przez pokój.

Pod wieloma względami obraz wyglądał tak samo. Jasnowłosa z warkoczem opadającym na plecy i uniesioną ręką stała na szczycie wzgórza, ale teraz dłoń osłaniająca oczy nie dziwiła, gdyż błyskawice przecinające niebo zniknęły. Niebo nad kobietą w krótkiej tunice miało bladoniebieską barwę mglistego, lipcowego dnia. Po tym niebie krążyło kilka czarnych ptaków, których przedtem nie było, ale Rosie ledwie je zauważyła.

Niebo jest niebieskie, ponieważ burza minęła — pomyślała. — Skończyła się, kiedy byłam... no... kiedy byłam gdzie indziej.

Pamiętała jedynie, że to miejsce było mroczne i przerażające. To wystarczy; nie chciała pamiętać nic więcej. Przemknęła jej myśl o tym, że może jednak nie odda obrazu do ponownego oprawienia. Wiedziała, że zmieniła już zdanie i nie pokaże go nazajutrz Billowi, a nawet nie wspomni o nim. Niedobrze, że zauważyła, jak burzowe chmury na płótnie zmieniają się w mglisty, słoneczny dzień, ale jeszcze gorzej by było, gdyby nie dostrzegła żadnej zmiany. To oznaczałoby, że traci zmysły.

Nie wiem, czy w ogóle chcę mieć to cholerstwo — doszła do wniosku. — Jest przerażające. Chcesz usłyszeć coś naprawdę bulwersującego? — zapytywała siebie. — Myślę, że ten obraz jest zaczarowany.

Podniosła wyjęte z ram płótno, trzymając jego krawędzie w dłoniach, nie dopuszczając do siebie myśli (ostrożnie, Rosie, nie daj się), która kazała jej postępować w ten sposób. Na prawo od drzwi prowadzących na korytarz była mała garderoba, a w niej nic oprócz

tenisówek, które miała na nogach, kiedy opuściła Normana, i nowego swetra z jakiegoś taniego syntetycznego włókna. Musiała odłożyć obraz, żeby otworzyć drzwi (oczywiście, mogła wetknąć go pod pachę, uwalniając jedną rękę, lecz jakoś nie miała na to ochoty), a kiedy znów go podniosła, zastygła, mierząc malowidło uważnym spojrzeniem. Wyszło słońce — zdecydowanie nowy element — a na niebie nad świątynią krążyły wielkie czarne ptaki, ale czy nie było tam czegoś jeszcze? Jakiejś innej zmiany? Tak jej się zdawało i doszła do wniosku, że nie może się zorientować, gdyż chodzi nie o dodatek, lecz o brak czegoś. Coś zniknęło. Coś...

Nie chcę wiedzieć — powiedziała sobie Rosie. — Nie chcę nawet o tym myśleć, i tyle.

Tak, i tyle. Mimo wszystko było jej przykro, że tak to odczuwa, ponieważ uważała obraz za amulet przynoszący jej szczęście, coś w rodzaju króliczej łapki. Nie miała cienia wątpliwości co do tego, że to myśl o Rose Madder, stojącej tak nieustraszenie na szczycie wzgórza, pozwoliła jej przetrwać pierwszy dzień w studiu nagrań, kiedy Rosie miała taką okropną tremę. Dlatego nie chciała źle myśleć o tym obrazie i z całą pewnością nie chciała obawiać się go... A jednak. W końcu niebo na starych obrazach olejnych zazwyczaj nie rozchmurza się przez noc, a liczba dostrzeganych na nich szczegółów nie zwiększa się ani nie zmniejsza, jakby jakiś niewidzialny operator zmieniał obiektywy. Nie wiedziała jeszcze, co zrobi z tym obrazem, lecz miała pewność, gdzie zostawi go teraz i przez nadchodzący weekend: w szafie, w towarzystwie jej starych tenisówek.

Schowała go tam, opierając o ścianę (walcząc z chęcią ustawienia go wizerunkiem do ściany), a potem zamknęła drzwi. Zrobiwszy to, włożyła swoją jedyną porządną bluzkę, wzięła torebkę i wyszła z pokoju. Idąc długim, ciemnym korytarzem wiodącym do schodów, usłyszała dwa ciche słowa dobiegające z najgłębszych pokładów jej jaźni: „Ja odpłacam”. Przystanęła na szczycie schodów, drżąc tak gwałtownie, że prawie upuściła torebkę i przez moment poczuła ból w prawej nodze, jakby chwycił ją okropny skurecz. Potem wszystko minęło i Rosie szybko zeszła na dół. Nie będę o tym myśleć — mówiła sobie, idąc ulicą na przystanek autobusowy. — Nie muszę, jeśli nie chcę, a zdecydowanie nie mam na to ochoty. Wolę myśleć o Billu. O Billu i o jego motocyklu.

12

Myśląc o Billu, bez przygód dotarła do pracy i mrocznego świata *Zabijcie wszystkie moje jutra*, a przy lunchu miała jeszcze mniej czasu, żeby rozmyślać o kobiecie na obrazie. Pan Lefferts zabrał ją do włoskiej restauracji Della Femmina, najładniejszego lokalu, w jakim kiedykolwiek była, i gdy jadła melona, wystąpił z tym, co nazywał „korzystniejszymi warunkami współpracy”. Proponował jej kontrakt, zgodnie z którym otrzymywałaby osiemset dolarów tygodniowo przez dwadzieścia tygodni lub do czasu nagrania dwunastu książek. Nie był to tysiąc tygodniowo, jak radziła jej żądać Rhoda, ale Robbie obiecał również skontaktować ją z agentem, który załatwiłby jej tyle pracy przy nagraniach, ile będzie chciała.

— Mogłabyś zarabiać dużo więcej, Rosie, jeśli zechcesz... tylko po co się zarzynać?

Spytała go, czy może zastanowić się nad tym przez weekend. Pan Lefferts odparł, że oczywiście. Zanim zostawił ją w holu Corn Building (Rhoda i Curt siedzieli razem na ławce koło windy, plotkując jak para złodziejasków), wyciągnął do niej rękę. Odwzajemniła gest, spodziewając się, że wymienią uścisk dłoni. Tymczasem on ujął jej rękę, skłonił się i ucałował ją. Ten gest — jeszcze nikt nie pocałował jej w rękę, chociaż widziała to na wielu filmach — sprawił, że przeniknęły ją dreszcze.

Dopiero gdy siedziała w kabinie nagrań patrząc, jak Curt zakłada nową taśmę, wróciła myślami do obrazu, który był teraz bezpiecznie (masz nadzieję, Rose, masz nadzieję) schowany w garderobie. Nagle uświadomiła sobie, na czym polegała zmiana, czego

brakowało na obrazie. Bransolety. Kobieta w jaskraworóżowym chitonie nosiła ją nad prawym łokciem. A tego ranka na jej ręce, aż po kształtne ramię, nie było żadnej ozdoby.

13

Wróciwszy wieczorem do swojego mieszkania, Rosie uklękła i zajrzała pod nie zasłane łóżko. Złota bransoleta leżała pod nim, lśniąc łagodnym blaskiem. Rosie wydała się obrączką olbrzymki. Obok leżało jeszcze coś: małe zawiniątko z niebieskiego materiału. Wyglądało na to, że znalazła kawałek zaginionej koszuli nocnej. Na bawełnie widniały czerwonawopurpurowe plamy. Wyglądały jak krew, ale Rosie wiedziała, że to sok owoców, których lepiej nie kosztować. Tego ranka pod prysznicem zmyła z palców podobne plamy.

Bransoleta była niezwykle ciężka — mogła ważyć nawet kilogram. Jeżeli była zrobiona z tego, na co wyglądała, ile mogła być warta? Dwanaście tysięcy dolarów? Piętnaście? Nieźle, zważywszy, że w jakiś sposób wypadła z obrazu, który dostała w zamian za prawie bezwartościowy pierścionek zaręczynowy. Mimo to Rosie spojrzała na nią niechętnie i położyła na nocnym stoliku, obok lampki.

Przez chwilę trzymała w ręce pakiecik z niebieskiej bawełny, siedząc jak nastolatka, ze skrzyżowanymi nogami i plecami opartymi o łóżko, a potem odwinęła jeden róg zawiniątka. Ujrzała trzy nasiona, trzy małe nasiona, i kiedy spoglądała na nie bezradnie i z obezwładniającym przerażeniem, te bezlitosne słowa powróciły, dudniąc w głowie jak kościelne dzwony:

„Ja odpłacam”.

VII NA PIKNIKU

1

Norman uprawiał *trolling*.

Leżał w swoim pokoju hotelowym przez cały czwartkowy wieczór, aż czas minął linię północy, cienką jak ostrze noża, rozpoczynając piątek. Wyłączył wszystkie światła oprócz fluoryzującej lampy nad umywalką w łazience; napełniała pokój rozproszoną poświatą, jaką lubił. Przypominało mu to światła ulicznych lamp widzianych w gęstej mgle. Leżał niemal w takiej samej pozycji, w jakiej Rosie leżała przed zaśnięciem tej czwartkowej nocy, tyle że pod poduszką trzymał jedną rękę, a nie dwie. Drugiej potrzebował do trzymania papierosa i podnoszenia stojącej na podłodze butelki glenlivet.

Gdzie jesteś, Rosie? — pytał żonę, której już tu nie było. — Gdzie jesteś i gdzie znalazłaś odwagę, żeby uciec, taka mała wystraszona mysz, jak ty?

Najbardziej interesowało go to drugie — jak śmiała. Pierwsza sprawa praktycznie nie miała takiego znaczenia, ponieważ wiedział, gdzie ona będzie w sobotę. Lew nie musi wiedzieć, gdzie pasie się zebra; wystarczy, że zaczeka przy jej wodopoju. Jak dotąd, całkiem nieźle, a mimo to... jak w ogóle śmiała go opuścić? Gdyby nawet miał nie żyć po tej ostatniej rozmowie, i tak chciał to wiedzieć. Czy to było zaplanowane? Przypadkowe? Wyskok spowodowany nagłym impulsem? Czy ktoś jej pomagał (oprócz oczywiście nieodżałowanego Petera Słowika i Kawalkady Cip z Durham Avenue)? Co robiła, od kiedy pożegnała się z tamtym uroczym miasteczkiem nad jeziorem?

Była kelnerką? Wyrzepywała pchły z pościeli w takiej budzie jak ta? Nie sądził. Była zbyt leniwa na takie prace fizyczne, wystarczy spojrzeć, jak prowadziła dom, a nie umiała robić nic innego. A jeśli się ma cycki, to pozostaje tylko jedna możliwość. Stała zapewne gdzieś pod latarnią, sprzedając się na ulicy. Oczywiście — jakże inaczej? Bóg wie, że była kiepska w łóżku, pieprzenie jej było równie podniecające jak walenie trupa, ale mężczyźni zapłacą za jej cipkę, jeśli nawet będzie tylko leżeć, a po wszystkim powie im kilka bzdur. A więc tak, jasne, stała gdzieś tam i sprzedawała się.

Zapyta ją o to. Zapyta ją o wszystko. A kiedy otrzyma potrzebne odpowiedzi, wszystkie odpowiedzi, jakich kiedykolwiek chciał od takich jak ona, owinie jej szyję paskiem, żeby nie mogła krzyknąć, a potem będzie gryzł... gryzł... i gryzł. Usta i szczęki jeszcze bolały go od tego, co robił z Thumperem — Cudownym Żydkiem — lecz to go nie powstrzyma, a nawet nie przyhamuje. Na dnie swojej torby podróźnej ma trzy percodany i zażyje je, zanim zajmie się swoją zagubioną owieczką, swoją dziką Różą. A później, kiedy skończy, kiedy tabletki przestaną działać...

Tego jednak nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Miał wrażenie, że nie będzie żadnego potem — tylko ciemność. I dobrze. Prawdę mówiąc, duża dawka ciemności mogłaby być tym, co przepisałby mu lekarz.

Leżał na łóżku, pił najlepszą whisky na świecie i palił jednego papierosa po drugim patrząc, jak dym unosi się pod sufit jedwabistymi smugami, które zmieniały się w sine, gdy przechodziły przez miękką białą poświatę padającą z łazienki, i uprawiał *trolling*. Zarzucał wędkę na nią, ale haczyk przecinał tylko wodę. Nie natrafiał na nic i doprowadzało go to do szału. Jakby porwali ją przybysze z kosmosu albo... W pewnej chwili, już kompletnie pijany, zacisnął dłoń z zapalonym papierosem, wyobrażając sobie, że to jej dłoń, że przytrzymuje jej rękę, parząc je. Kiedy poczuł ból i smużki dymu zaczęły sączyć mu się przez palce, szepnął:

— Gdzie jesteś, Rose? Gdzie się schowałaś, ty suko?

Niedługo potem zapadł w sen. Zbudził się około dziesiątej w piątek rano, zmęczony, skacowany i trochę wystraszony. Przez całą noc śnił przedziwne sny. Był w nich wciąż przytomny i leżał na swoim łóżku, na dziewiątym piętrze hotelu Whitestone, światło z łazienki przecinało mrok pokoju, a dym z papierosa snuł się gęstą zasłoną. Tylko że w tym dymie widział ruchome obrazy. Widział w tym dymie Rose.

Tam jesteś — pomyślał patrząc, jak w ulewnym deszczu idzie przez martwy ogród. Z jakiegoś powodu była naga i poczuł nieoczekiwany przypływ żądy. Od ośmiu lub więcej lat widok jej nagości nie budził w nim żadnych emocji prócz znużenia i odrazy, ale teraz wyglądała inaczej. Prawdę mówiąc, bardzo dobrze.

Nie chodzi o to, że schudła — myślał we śnie — chociaż wydaje się, że tak... przynajmniej trochę. Głównie chodzi o to, jak porusza tym, co ma. Na czym to polega?

Nagle zrozumiał. Wyglądała jak kobieta, która pieprzy się z kimś i wcale nie ma tego dość. Gdyby przyszło mu do głowy wątpić w to, powiedziec: Co, Rosie? Chyba żartujesz, koleś! — jedno spojrzenie na jej włosy wystarczyłoby, żeby raz na zawsze rozstrzygnąć te wątpliwości. Ufarbowała je na jasny blond, jakby uważała się za Sharon Stone albo Madonnę.

Patrzył, jak ta Rose z dymu opuszcza ogród i dochodzi do strumienia tak czarnego, że bardziej przypominał atrament niż wodę. Przeszła na drugi brzeg po kamieniach, balansując wyciągniętymi ramionami i zobaczył, że w jednej ręce trzymała jakąś moką, zwiniętą szmatę. Normanowi wydało się, że to nocna koszula, i pomyślał: Dlaczego jej nie włożysz, ty bezwstydna dziwko? Może czekasz, że zjawi się twój chłopiec i zrobi ci dobrze? Chciałbym to widzieć. Naprawdę. Powiem ci, że kiedy już cię znajdę, to wystarczy, iż stwierdzę, że trzymałaś się z jakimś facetem za rączki, i gliny znajdą go z jego przeklętym ptakiem sterczącym mu z dupy jak świeczka z tortu.

A jednak nie zjawił się żaden — przynajmniej we śnie. Rose nad jego łóżkiem, Rose z dymu, szła ścieżką przez kępę drzew wyglądających tak martwo, jak... no, jak Peter Słowik. W końcu wyszła na polankę, na której stało jedyne nie uschnięte drzewo. Ukłękła, nazbierała garść nasion i zawinęła je w coś, co wyglądało jak kawałek jej nocnej koszuli. Zrobiwszy to wstała, podeszła do schodów opodal drzewa (w tych popieprzonych snach nigdy nie wiadomo, co będzie dalej) i zniknęła. Czekał, aż pojawi się znowu, gdy poczuł za sobą czyjąś obecność — jakiś zimny, mrozący do kości powiew, jak podmuch z otwartej chłodni. W ciągu długich lat pracy w policji miał do czynienia z kilkoma dość przerażającymi ludźmi — zapewne najgorsi byli ci uzależnieni od PCP, których on i Harley Bissington spotykali od czasu do czasu — i po pewnym okresie człowiek wyczuwał ich obecność. Norman czuł ją teraz. Ktoś czał się za jego plecami i Norman ani przez chwilę nie wątpił, że ten ktoś był niebezpieczny.

— Ja odpłacam — szepnął kobiecie głos. Był słodki i łagodny, a mimo to przerażający. Pobrmiewało w nim szaleństwo.

— To dobrze, suko — rzekł Norman we śnie. — Spróbuj mi odpłacić, a zmienię cały twój pierdolony wygląd.

Wrzasnęła; ten dźwięk zdawał się rozsadzać mu głowę, nie przeszedłszy uprzednio przez uszy, i Norman poczuł, że rzuciła się na niego, wyciągając ręce. Dmuchnął, rozwiewając dym z papierosa. Kobieta zniknęła. Poczuł, że odeszła. Potem przez dłuższy czas była tylko ciemność, w środku której spokojnie unosił się, niedostępny lękom i żądom nekającym go na jawie.

Zbudził się dziesięć po dziesiątej w piątek rano i powiódł spojrzeniem od zegarka przy łóżku do sufitu pokoju hotelowego, niemal oczekując, że ujrzy upiorne postacie poruszające się w dymie papierosowym. Oczywiście nie było tam żadnych postaci, widmowych czy innych. A nawet żadnego dymu — tylko ciężka woń pall malli, *in hoc signo vinces*. Był tam jedynie detektyw Norman Daniels, leżący w przeпоconej pościeli cuchnącej nikotyną i przetrawioną gorzałą. W ustach miał dziwny posmak, jak gdyby cały poprzedni wieczór

spędził na ssaniu czubka świeżo wypastowanego buta, a lewa ręka bolała go jak skurwysyn. Otworzył dłoń i na jej środku zobaczył świeży, błyszczący pęcherz. Patrzył nań przez długi czas, podczas gdy gołębie trzepotały i gruchały do siebie na zasranym gzymsie biegnącym za oknem. W końcu przypomniał sobie, skąd się wziął ten pęcherz, i skinął głową. Zrobił to, ponieważ nie mógł zobaczyć Rose, obojętnie jak bardzo się starał... a potem, jakby tytułem rekompensaty, przez całą noc śnił o niej szalone sny.

Chwytał pęcherz dwoma palcami i ścisnął, powoli zwiększając nacisk, aż pęcherz pękł. Wytarł dłoń w pościel, rozkoszując się falami piekącego bólu. Przez minutę czy dwie leżał, patrząc na swoją dłoń — niemal obserwując, jak pulsuje. Potem sięgnął pod łóżko po torbę podróżną. Na jej dnie znalazł blaszany pojemnik, a w nim około tuzina różnych tabletek. Norman z zasady obywatel się bez pomocy środków farmakologicznych; czasem trudno było po nich dojść do siebie.

Zażył percodan i popił łykiem szkockiej, po czym się położył. Patrzył w sufit, palił jednego papierosa po drugim i gasił je w przepelnionej popielniczce.

Tym razem nie myślał o Rose, a przynajmniej nie bezpośrednio; myślał o pikniku, tym urządzanym przez jej nowe przyjaciółki. Norman był już na Ettinger's Pier i to, co tam zobaczył, nie było zachęcające. Teren okazał się rozległy — połączenie plaży, parku i wesołego miasteczka — i nie widział sposobu, w jaki mógłby patrolować go, mając pewność, że zauważy wchodzącą lub wychodzącą Rose. Gdyby miał sześciu ludzi (a nawet czterech, jeśli by znali się na robocie)... ale był sam. Zakładając, że ona nie przyplynie statkiem, pozostawały jeszcze trzy bramy, a nie mógł obserwować wszystkich trzech jednocześnie. To oznaczało pracę w tłumie, a praca w tłumie zawsze mogła nie wypalić. Chciałby wierzyć, że nazajutrz jedynie Rose go rozpozna, ale wiedział, że gdyby życzenia były świniami, to nigdy nie zabrakłoby boczku. Musiał założyć, że będą go szukać, że te lesby otrzymały jego zdjęcia z jednej z ich siostrzanych grup w jego mieście. Nie miał pojęcia, co oznacza „x”, ale zaczął podejrzewać, że pierwsze dwie litery w słowie „fax” oznaczają *fucked again*.

To była tylko część problemu. Inna wynikała z głębokiego przekonania, popartego niejednym przykrym doświadczeniem, iż w takich sytuacjach przebranie jest najlepszą gwarancją klęski. Jedyną szybszą, pewniejszą receptą na fiasko akcji mogło okazać się noszenie tak popularnego podsłuchu, przy czym można było zmarnować sześć miesięcy tropienia i podchodów, jeśli w okolicy pojawił się jakiś gówniarz ze zdalnie sterowanym modelem łódki lub samochodzika właśnie wtedy, kiedy miało się przytrzasnąć łobuzów.

W porządku — pomyślał. — Nie narzekaj. Pamiętaj, co mówił stary Whitey Slater: „Sytuacja jest, jaka jest”. Jedyny problem polega na tym, jak się z nią uporać. I nawet nie myśl o odkładaniu tego na później. To ich przeklęte party odbędzie się już za dwadzieścia cztery godziny, a jeśli jej tam nie dopadniesz, to równie dobrze możesz jej szukać do Bożego Narodzenia. Pewnie zauważyłeś, że to dość duże miasto.

Wstał, poszedł do łazienki i wziął prysznic, trzymając oparzoną dłoń za plastikową zasłoną. Włożył sprane dżinsy i nie rzucając się w oczy zieloną koszulę oraz czapeczkę z napisem CHISOX, a tanie okulary przeciwsłoneczne wepchnął do kieszeni, przynajmniej na razie. Zjechał windą do holu i podszedł do kiosku po gazetę i plaster. Czekał, aż tuman za ladą odliczy resztę, spojrzął nad ramieniem faceta, przez szklaną tafelę na tylnej ścianie kiosku. Widział przez nią drzwi służbowych wind i kiedy na nie patrzył, jedne się otworzyły. Wyszły z nich trzy rozgadane i roześmiane pokojówki. Niosły torebki i Norman domyślił się, że szły na lunch. Tę w środku — szczupłą, ładną, kręcone jasne włosy — już gdzieś widział. Po chwili przypomniał sobie. Szedł wtedy obejrzeć Córkę i Siostry. Ta blondynka przez jakiś czas kroczyła przed nim. Czerwone spodnie. Zgrabny tyłeczek.

— Proszę — powiedział kioskarski, podając mu resztę. Norman wepchnął drobne do kieszeni, nie sprawdzając. I już nie spojrzął na trzy pokojówki, kiedy przeciskał się obok nich, nawet na tę z ładną pupą. Machinalnie zaszufladkował ją, to wszystko — odruch gliniarza.

Całkowicie pochłaniał go jeden i tylko jeden problem: jak ma nazajutrz odnaleźć Rose, nie dając się zauważyć.

Szedł korytarzem w kierunku drzwi, kiedy usłyszał dwa słowa, które początkowo uznał za wytwór własnego mózgu: Ettinger's Pier.

Zgubił krok, jego serce gwałtownie przyspieszyło, a oparzenie na dłoni zaczęło boleśnie pulsować. Lecz zgubił tylko jeden krok, to wszystko — krótki moment wahania i ze spuszczoną głową poszedł dalej ku obrotowym drzwiom. Ktoś obserwujący go pomyślałby, że doznał przejściowego skurczu mięśnia w kolanie lub łydce, nic więcej — i to dobrze. Najgorsze było to, że nie ośmielił się przystanąć. Jeżeli kobieta, która to powiedziała, była jedną z tych cip z klubu przy Durham Avenue, mogła rozpoznać go, gdyby zwrócił na siebie uwagę... może już go rozpoznała, jeśli te dwa magiczne słowa wymówiła ta mała cizia, która niedawno szła przed nim ulicą. Wiedział, że to mało prawdopodobne — jako policjant miał dowody z pierwszej ręki na to, jak zdumiewająco, wręcz niebywale, pozbawiona zmysłu obserwacji jest większość obywateli — lecz od czasu do czasu zdarza się. Mordercy, porywacze i rabusie, którzy unikali aresztowania dostatecznie długo, żeby zająć miejsce na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych przez FBI, nagle lądowali w kiciu, przyważeni przez ekspedienta z 7 — Eleven, czytującego „Detektywa”, albo przez sprawdzającą parkometry panią, która oglądała wszystkie kroniki policyjne w TV. Nie odważył się przystanąć, ale...

...ale musiał.

Znalazszy się na lewo od obrotowych drzwi, Norman nagle przykucnął, odwrócony plecami do kobiet. Opuścił głowę i udawał, że zawiązuje sznurowadło.

— „...przykro opuścić ten koncert, ale jeśli chcę mieć ten samochód, to nie mogę zrezygnować...”

Wyszły przez obrotowe drzwi, lecz to, co usłyszał Norman, przekonało go, że kobiety rozmawiały o pikniku, o pikniku i koncercie, który miały dać później jakieś Indian Girls, pewnie lesbije. A więc była nadzieja, iż ta kobieta zna Rosie. Niezbyt wielka co prawda — jutro na Ettinger's Pier będzie wiele ludzi, którzy nie mieli nic wspólnego z Córkami i Siostrami — ale jednak. A Norman był człowiekiem, który gorąco wierzył w zrządzenia losu. Najgorsze, że jeszcze nie wiedział, która z tych trzech to mówiła.

Niech to będzie Blondyna — modlił się, przechodząc przez obrotowe drzwi. — Niech to będzie Blondyna z wielkimi oczami i ładnym tyłkiem. Niech to będzie ona, dobrze?

Oczywiście śledzenie ich było niebezpieczne — nigdy nie wiadomo, kiedy któraś się odwróci i wygra główną nagrodę w teleturnieju „Zgadnij kto to?” — lecz w tym momencie nie mógł zrobić niczego innego. Powłókł się za nimi, z obojętnie odwróconą głową, jakby niezwykle interesowały go śmieci na wystawie mijanego sklepu z pamiątkami.

— I jak wam dziś poszło z powłóczkami na poduszki? — zapytała pozostałe dwie grubaska idąca w środku.

— Przynajmniej raz były wszystkie — powiedziała starsza kobieta idąca od ulicy. — A jak u ciebie, Pam?

— Jeszcze nie liczyłam, to zbyt przygnębiające — odparła Blondyna i wszystkie się roześmiały tym piskliwym chichotem, na którego dźwięk Norman miał wrażenie, że pękają mu wszystkie wypełnienia w zębach. Natychmiast stanął, spoglądając na wystawę sklepu sportowego, pozwalając pokojówkom oddalić się. To ona, jak nic, nie było co do tego wątpliwości. To Blondyna wymówiła te dwa magiczne słowa: Ettinger's Pier. Może to zmieniało wszystko, a może nie. Na razie czuł się zbyt podniecony, żeby zastanawiać się nad tym. Zdziwiający uśmiech losu — taki cudowny traf, na jaki zazwyczaj się liczy, pracując nad beznadziejną sprawą, traf zdarzający się częściej, niż ktokolwiek przypuszcza.

Na razie zanotuje to w pamięci i powróci do planu A. Nie będzie nawet pytał w hotelu o Blondynę, przynajmniej jeszcze nie. Wiedział, że miała na imię Pam, a to bardzo dużo na

początek.

Norman poszedł na przystanek, zaczekał piętnaście minut na autobus jadący na lotnisko i wsiadł. Jechał długo. Lotnisko znajdowało się na krańcu miasta. Kiedy w końcu wysiadł przed Terminalem A, włożył ciemne okulary, przeszedł przez ulicę i poszedł na parking długoterminowy. Pierwszy samochód, który próbował ukraść, stał tam tak długo, że wysiadł w nim akumulator. Drugi, nie rzucający się w oczy ford tempo, zapalił od razu. Powiedział człowiekowi w budce dozorczy, że przez trzy tygodnie był w Dallas i zgubił kwit. Zawsze je gubi, oznajmił. Gubi też kwity z pralni, a w punkcie fotograficznym musi pokazywać swoje prawo jazdy, żeby odebrać zdjęcia. Mężczyzna w budce kiwał głową jak ktoś słuchający nudnej opowieści, słyszanej już jakieś dziesięć tysięcy razy. Kiedy Norman pokornie podsunął mu dziesięć dolarów ekstra za brak biletu, facet wyraźnie się ożywił. Pieniądze zniknęły.

Norman Daniels wyjechał z parkingu dokładnie w tym momencie, w którym Robbie Lefferts składał jego zbiegłej żonie propozycję, którą nazwał „korzystniejszymi warunkami współpracy”.

Przejechawszy ponad trzy kilometry, Norman zaparkował za wrakiem lesabre i zamienił tablice rejestracyjne. Po kolejnych trzech kilometrach zjechał do automatycznej myjni samochodowej. W duchu zakładał się ze sobą, że tempo okaże się ciemnoniebieskie, ale przegrał. Było zielone. Nie sądził, żeby to miało znaczenie — mężczyzna w budce ledwie oderwał wzrok od czarno — białego telewizora, kiedy Norman podsunął mu pod nos dziesięciodolarowy banknot, ale lepiej zachować ostrożność. To poprawiało samopoczucie.

Norman włączył radio i znalazł stację nadającą stare przeboje. Puszczali Shirley Ellis, więc śpiewał razem z nią: *If the first letters are ever the same / Drop them both and say the name / Like Barry-Barry, drop the B, oh-Array / That's the only rule that is contrary*. Norman stwierdził, że zna wszystkie słowa tej głupiej piosenki. Co to za świat, że po dwóch latach od ukończenia szkoły średniej nie można sobie przypomnieć pieprzonego wzoru na dwumian ani różnych form francuskiego czasownika *avoir*, a mając czterdzieści lat wciąż się pamięta *Nick-Nick-bo-bick, banana-fanna-fo-fick, fee-fi-mo-mick, Nick?* Co to za świat?

Taki, jaki teraz opuszczam — pomyślał z zadowoleniem Norman. — Tak, chyba taka jest prawda. To tak jak w tych filmach fantastycznonaukowych, na których kosmonauci patrzą, jak Ziemia maleje w iluminatorach, najpierw jest jak piłka, potem jak moneta, później jak małeńka jasna plamka, aż wreszcie zupełnie znika. — Właśnie tak czuł się teraz, jak kosmolot wyruszający w pięcioletnią misję badawczą do nowych światów, na których nie stanęła jeszcze ludzka stopa. Kosmolot Norman, osiągnął prędkość nadprzestrzenną.

Shirley Ellis skończyła i zaczęli śpiewać The Beatles. Norman tak gwałtownie przekręcił gałkę radia, że ukręcił ją. Nie miał ochoty słuchać dziś żadnych hipisowatych kawałków w stylu *Hey Jude*.

Był jeszcze kilka kilometrów od centrum miasta, gdy zobaczył sklep The Base Camp. NADWYŻKI WOJSKOWE, JAKICH NIGDZIE NIE ZNAJDZIECIE! — głośił napis nad wejściem i z jakiegoś powodu Norman wybuchnął śmiechem. Uznał, że pod pewnymi względami było to najdziwniejsze motto, jakie widział w życiu; zdawało się coś oznaczać, tylko nie miał pojęcia co. W każdym razie ten napis nie miał żadnego znaczenia. W sklepie na pewno dostanie jedną z rzeczy, których szukał, i to wystarczy.

Nad środkowym przejściem wisiał wielki transparent z napisem: ZAWSZE OSTROŻNY NIGDY NIE ŻALUJE. Norman obejrzał trzy różne rodzaje pojemników z gazem obezwładniającym, kapsułki gazowo — pieprzowe, rząd gwiazdek do rzucania, używanych przez wojowników *ninja* (idealna broń do obrony domu, jeśli zostaniecie w nim zaatakowani przez ślepego paralytyka), wiatrówki strzelające gumowymi kulami, proce, kastety zwykłe i nabijane kolecami, pałki, bola, baty i gwizdki.

W połowie przejścia stała szklana szafka zawierająca to, co Norman uznał za jedyny godny

uwagi artykuł w The Base Camp. Za sześćdziesiąt trzy dolary nabył taser wytwarzający przy naciśnięciu spustu duży (aczkolwiek zapewne nie o napięciu 90 000 woltów, jak obiecywał napis na pudełku) ładunek przepływający między dwoma stalowymi biegunami. Norman uważał tę broń za równie niebezpieczną jak małokalibrowy pistolet, a najlepsze było to, że nie musiał niczego podpisywać, żeby ją kupić.

— Che pa to nij nikłów baderie? — spytał sprzedawca. Był nim okrągłogłowy młodzian z zajęczą wargą. Nosił podkoszulek z hasłem: LEPIEJ MIEĆ BROŃ I NIE POTRZEBOWAĆ JEJ, NIŻ NIE MIEĆ I POTRZEBOWAĆ. Normanowi wyglądał na faceta, którego rodzice byli rodzeństwem. — Do na to dżała — nikłów.

Zrozumiał, co usiłuje mu powiedzieć młodzieniec z zajęczą wargą, i kiwnął głową.

— Daj mi dwie — oznajmił. — Jak szaleć, to szaleć. Młody człowiek roześmiał się, jakby to była najzabawniejsza rzecz, jaką słyszał, śmieszniejsza nawet od tekstu „Nadwyżki wojskowe, jakich nigdzie nie znajdziecie!”, a potem schylił się, wyjął spod lady dwie dziewięć wolto we baterie i z trzaskiem postawił je obok Normanowego tasera marki Omega.

— Dbrj bawy! — zawołał i znowu roześmiał się. Po chwili Norman zdołał zrozumieć i to i zaśmiał się razem z Młodym Panem Zajęczą Wargą. Później myślał, że właśnie w tym momencie osiągnął szybkość nadświatlną i wszystkie gwiazdy zamieniły się w linie. Cała naprzód, panie Sulu, tym razem polecimy poza granice Imperium Klingonu.

Skierował skradzione tempo z powrotem do miasta i kiedy miejsce uśmiechniętych białych modelek na reklamach papierosów zajęły czarne, znalazł salon fryzjerski o czarującej nazwie Przytnij Mnie Trochę. Wszedł i zastał w nim młodego Murzyna z cienkim wąsikiem, siedzącego na staromodnym fotelu fryzjerskim. Fryzjer miał na głowie słuchawki od walkmana, a na kolanach egzemplarz „Jet”.

— Czego pan chcesz? — zapytał czarny fryzjer. Mówił może mniej uprzejmie, niż mówiłby do czarnego, ale też nie niegrzecznie. Nie traktuje się niegrzecznie takiego klienta bez powodu, szczególnie kiedy jest się samemu w salonie. Facet miał co najmniej metr osiemdziesiąt, szerokie bary i wielkie, grube nogi. Ponadto wyglądał na gliniarza.

Nad lustrem wisiały fotografie Michaela Jordana, Charlesa Barkleya i Jalen Rose. Jordan był w stroju baseballowym drużyny Birmingham Barons. Nad jego zdjęciem przyczepiono pasek papieru z napisem BYK TERAZ I ZAWSZE. Norman wskazał na nie.

— Zrób mnie na takiego — powiedział.

Czarny fryzjer uważnie spojrział na Normana, najpierw sprawdzając, czy gość nie jest pijany lub naćpany, a potem usiłując odgadnąć, czy nie żartuje. To drugie było bardziej prawdopodobne.

— Co jest, bracie? Mówisz, że chcesz na tyso?

— Przecież mówię. — Norman przeciągnął ręką po włosach, gęstych i czarnych, zaczynających siwieć na skroniach. Nie były ani szczególnie krótkie, ani szczególnie długie. Strzygł je tak od prawie dwudziestu lat. Obejrzał się w lustro, usiłując wyobrazić sobie, jak będzie wyglądał z łysiną Michaela Jordana. Nie potrafił. Przy odrobinie szczęścia Rose i jej nowe przyjaciółki też nie zdołają.

— Na pewno?

Nagle Norman poczuł mdlącą chęć, by obalić faceta na podłogę, przygnieść kolanami, pochylić się i odgryźć mu całą górną wargę, razem z cienkim wąsikiem. I chyba wiedział dlaczego. Murzyn był podobny do tego niezapomnianego małego lachociąga, Ramona Sandersa. Tego, który usiłował wykorzystać kartę kredytową skradzioną Normanowi przez tę kłamliwą sukę, Rose.

Och, fryzjerze — pomyślał Norman. — Och, fryzjerze, tak niewiele brakuje, żebyś stał się pieśnią przeszłości. Zadaj jeszcze jedno pytanie, powiedz jeszcze słowo, a będziesz nią. A ja nic ci nie powiem; nie mógłbym cię ostrzec, gdybym nawet chciał, gdyż w tym momencie

mój głos byłby zapalnikiem wywołującym eksplozję. A zatem jest, jak jest, a będzie, co ma być.

Fryzjer jeszcze raz obrzucił go przeciągłym, czujnym spojrzeniem. Norman stał bez ruchu i pozwolił mu na to. Był opanowany. Co się stanie, to się stanie. Wszystko w rękach tego smolucha.

— W porządku, widzę, że jest pan pewny — rzekł w końcu fryzjer. Jego głos był łagodny i uspokajający. Norman rozluźnił prawą dłoń, wepchniętą głęboko do kieszeni i ściskającą rączkę tasera. Fryzjer położył gazetę na ladzie obok butelek z tonikiem i wodą kolońską (leżała tam mała mosiężna plakietka z napisem SAMUEL LOWE), a potem wstał i strzepnął plastikowy fartuch. — Chcesz pan wyglądać jak Mike, to zaczynamy.

Dwadzieścia minut później Norman w zadumie spojrzął na swoje odbicie w lustrze. Samuel Lowe stał obok fotela, przyglądając się klientowi. Fryzjer wyglądał na zadowolonego, a także zainteresowanego. Sprawiał wrażenie człowieka oglądającego znajomy widok z całkiem nowej perspektywy. Weszli dwaj nowi klienci. Oni też spoglądali na Normana i na twarzach obu malował się identyczny wyraz aprobaty.

— Przystojny gość — powiedział jeden z nowo przybyłych. Mówił z lekkim zdziwieniem i głównie do siebie.

Normanowi nie mieściło się w głowie, że ten facet w lustrze to on. Mrugnął i mężczyzna w lustrze zamrugał, uśmiechnął się i odbicie uśmiechnęło się również, ale to nie pomogło. Przedtem miał czoło gliniarza; teraz miał czoło profesora matematyki, czoło sięgające stratosfery. Nie mógł przyzwyczaić się do gładkiego, nawet delikatnego kształtu swojej łysej czaszki. I do jej białości. Wydawało mu się, że nie jest opalony, lecz w porównaniu z kredowobiałą skórą czaszki resztę ciała miał zbrązowiałą jak ratownik. Ta głowa wyglądała dziwnie krucho i zbyt doskonale, żeby należeć do kogoś takiego jak on. Żeby należeć do jakiegokolwiek ludzkiej istoty, szczególnie rodzaju męskiego. Wyglądała jak porcelanowe naczynie z Delf.

— Masz całkiem niezłą głowę, człowieku — powiedział Lowe. Mówił ostrożnie, ale Norman nie wyczuł w jego głosie pochlebstwa — na szczęście — bo nie był w nastroju i nie zniósłby, gdyby ktoś puszczał mu dym w oczy. — Wyglądasz dobrze. Wyglądasz młodziej. No nie, Dale?

— Nieźle — zgodził się drugi z przybyłych. — Wcale nieźle.

— Ile? — zapytał Norman Samuela Lowe'a. Spróbował odwrócić się od lustra i z przygnębieniem oraz lekkim niepokojem stwierdził, że oczami usiłuje śledzić czubek głowy, aby sprawdzić, jak wygląda od tyłu. Czuł się bardziej wyobcowany niż kiedykolwiek. Przecież on nie mógł być tym człowiekiem w lustrze, tym mężczyzną z łysym łbem naukowca nad gęstymi czarnymi brwiami, to niemożliwe! To jakiś obcy, na pewno, jakiś fantastyczny Lex Luthor knujący coś w Metropolis, i wszystko, co od tej pory zrobi, nie ma żadnego znaczenia. Od tej pory już nic nie ma znaczenia. Oprócz schwytania Rose oczywiście. I porozmawiania z nią.

W cztery oczy.

Lowe znów obrzucił go tym czujnym spojrzeniem, zerkając jednocześnie na tamtych dwóch klientów, i nagle Norman zrozumiał, że fryzjer sprawdza, czy pomogą mu, jeśli ten wielki biały facet — wielki łysy biały facet — nagle wpadnie w furję.

— Przepraszam — powiedział Norman, starając się, aby jego głos brzmiał łagodnie i pokojowo. — Mówił pan coś, prawda? Ile?

— Powiedziałem, że to będzie trzydzieści. Co pan na to?

Norman wyjął z lewej kieszeni portfelik ze złożonymi banknotami, wyjął dwie dwudziestki spod zaśniedziałego uchwytu i podał mu je.

— Trzydzieści to za mało — oświadczył. — Proszę przyjąć czterdzieści i moje przeprosiny. Zrobił pan doskonałą robotę. Miałem po prostu parszywy tydzień, to wszystko.

Nawet nie wiesz, jak bardzo, koleś — pomyślał. Samuel Lowe wyraźnie odprężył się i wziął pieniądze.

— Żaden problem, bracie — odparł. — I wcale nie żartowałem, całkiem nieźle wygląda pan z tą łysiną. Nie tak jak Michael, ale nikt nie wygląda tak jak Michael.

— Oprócz Michaela — dodał nowo przybyły, nazywany Dale'em. Wszyscy trzej Murzyni zaśmiali się, kiwając do siebie głowami. Chociaż mógł bez trudu zabić wszystkich trzech, Norman kiwał głową i śmiał się razem z nimi. Klienci w salonie fryzjerskim zmienili sytuację. Czas znów być ostrożnym. Śmiejąc się, wyszedł na ulicę.

Trzech nastolatków, też czarnych, opierało się o płot opodal tempa, ale nie dobierali się do samochodu, pewnie dlatego, że szkoda im było fatygi na takiego grata. Z zainteresowaniem spojrzeli na białą czaszkę Normana, a potem popatrzyli po sobie, wywracając oczami. Mieli może po czternaście lat i żyli bez trosk. Ten w środku chciał chyba powiedzieć: „Na mnie patrzysz?”, jak Robert De Niro w *Taksówkarzu*. Norman wyczuł to i spojrzął na niego — tylko na niego — zdając się ignorować pozostałych dwóch. Ten w środku doszedł do wniosku, że może powinien jeszcze trochę popracować nad naśladownictwem De Nira i zrezygnował.

Norman wszedł do swego świeżo umytego, kradzionego wozu i odjechał. Sześć przecnic dalej wszedł do sklepu z używaną odzieżą, nazywanego się Zagrajmy To Jeszcze Raz. W środku kilka osób grzebało w ciuchach. Wszyscy gapili się na niego, ale nic nie szkodzi. Normanowi nie przeszkadzało to, że na niego patrzą, szczególnie że zwracali uwagę głównie na jego dopiero co ogoloną głowę. Jeśli patrzą na jego czaszkę, pięć minut po jego wyjściu nie będą mieli pieprzonego pojęcia, jak wygląda jego twarz.

Znalazł kurtkę motocyklową, lśniąca od nitów, zamków błyskawicznych i srebrnych łańcuszków, która głośno skrzypiała, kiedy zdejmował ją z wieszaka. Sprzedawca otworzył usta, żeby zażądać za kurtkę dwieście czterdzieści dolarów, zajrzał w niesamowite oczy spoglądające spod rozległej białej pustyni ogolonej czaszki i powiedział Normanowi, że kurtka kosztuje sto osiemdziesiąt plus podatek. Obniżyłby cenę, gdyby Norman się targował, lecz Norman nie zamierzał. Był już zmęczony, łupało go w głowie, chciał wrócić do hotelu i położyć się spać. Chciał spać aż do jutra. Potrzebował długiego odpoczynku, ponieważ jutro czekał go ciężki dzień.

W powrotnej drodze wykonał jeszcze dwa posunięcia. Pierwsze zrobił w sklepie ze sprzętem inwalidzkim. Tam kupił używany fotel, który po złożeniu mieścił się w bagażniku tempa. Potem zaszedł do Centrum i Muzeum Kultury Kobiecej. Zapłacił sześć dolarów za wstęp, ale nie oglądał wystaw i zaledwie zajrzał do głównej sali, gdzie trwała dyskusja panelowa na temat naturalnych porodów. Odbył krótką wycieczkę do sklepu z pamiątkami i wyszedł.

Wróciwszy do Whitestone, wjechał na górę, nie pytając nikogo o Blondynę z ładnym tyłkiem. W swoim obecnym stanie nie ufał sobie tak, że nawet nie pytałby nikogo o godzinę. Pod świeżo ogoloną czaszką łupało mu młotem, oczy wychodziły z orbit, ćmiły go zęby, a szczęki pulsowały bólem. A najgorsze, że mózg zdawał się podskakiwać przy każdym kroku, jak ruchoma platforma Macy'ego na paradzie z okazji Święta Dziękczynienia; miał wrażenie, że jest z nim połączony jedynie cienką nitką, która w każdej chwili może pęknąć. Musiał się położyć. Zasnąć. Może wtedy jego mózg wróci do czaszki, na swoje miejsce. Co do Blondyny, to najlepiej będzie traktować ją jako asa w rękawie, do wykorzystania w ostateczności. W razie potrzeby rozbić szkło.

Norman położył się do łóżka w piątek o czwartej po południu. Ból w skroniach już nie przypominał zwykłego kaca; przeszedł w jeden z ataków migreny, jakie Norman nazywał swoimi „specjałami”. Miewał je, gdy ciężko pracował, a od kiedy Rosie odeszła i zaczęła się ta duża sprawa z narkotykami, zdarzało się, że dopadały go i dwa razy w tygodniu. Gdy leżał w łóżku, wpatrując się w sufit, łzawiły mu oczy i ciekło z nosa, a krawędzie wszystkich

przedmiotów otaczały śmieszne, jaskrawe zygzaki. Ból osiągnął natężenie, przy którym Normanowi wydawało się, że ma w głowie jakiś okropny płód, usiłujący wyjść na świat; punkt, przy którym nie pozostaje nic innego, jak leżeć i czekać, aż wszystko przejdzie, a można było to zrobić jedynie pokonując chwilę za chwilą, przechodząc z jednej w drugą jak ktoś przekraczający strumień po kamieniach. To nasuwało mu jakieś mgliste wspomnienie, które nie mogło się przebić przez nieustanne pulsowanie, i Norman zrezygnował z wysiłków. Pocierał dłonią czubek głowy. Gładka skóra nie wydawała się częścią jego ciała; jakby dotykał maski świeżo nawoskowanego samochodu.

— Kim jestem? — pytał pustego pokoju. — Kim jestem? Dlaczego znalazłem się tutaj? Co tu robię? Kim jestem?

Zasnął, zanim zdołał sobie odpowiedzieć na którekolwiek z tych pytań. Ból podążył za nim spory kawałek w głębinę snu, towarzysząc mu jak zły pomysł, którego trudno się pozbyć, lecz w końcu Norman zostawił go w tyle. Głowa opadła mu na poduszkę, a z lewego oka i lewej dziurki nosa pociekł po policzku płyn, który niezupełnie był łzami. Norman zaczął głośno chrapać.

Kiedy zbudził się dwanaście godzin później, o czwartej rano w sobotę, ból głowy minął. Norman czuł się rześki i pełen energii, jak niemal zawsze po jednym ze swoich „specjałów”. Siadł, opuścił nogi na podłogę i spojrzął w ciemność za oknem. Gołębie siedziały na gzymsie, gruchając do siebie nawet przez sen. Miał pewność — głęboką, całkowitą i pozbawioną cienia wątpliwości — że ten dzień przyniesie kres tej historii. Zapewne i kres jego, ale to drobiazg. Sama świadomość, że już nigdy nie będzie miał takiego bólu głowy, wystarczała, żeby uznać to za dobry interes.

Po drugiej stronie pokoju jego nowa kurtka motocyklowa wisiała na krześle jak czarny, bezgłowy duch.

Wstań wcześniej, Rose — pomyślał prawie czule. — Wstań wcześniej, kochanie, i popatrz sobie na wschód słońca, dobrze? Powinnaś obejrzeć go najlepiej jak możesz, ponieważ to ostatni, jaki zobaczysz.

2

Rosie obudziła się w sobotę rano kilka minut po czwartej i przez chwilę macała w poszukiwaniu nocnej lampki, przerażona, pewna, że Norman jest w pokoju, że czuje zapach jego wody kolońskiej: „wszyscy moi mężczyźni używają English Leather albo nie używają niczego”.

Prawie zrzuciła lampkę na podłogę w panicznych wysiłkach zapalenia światła, ale kiedy w końcu dokonała tego (a połowa podstawy lampy wysunęła się już za krawędź), strach szybko minął. Znajdowała się w swoim pokoju — małym, czystym i miłym — a jedynym zapachem była słaba, ciepła od snu woń jej własnej skóry. Nie było tu nikogo oprócz niej... i Rose Madder, oczywiście. Jednak Rose Madder spoczywała bezpiecznie w schowku, gdzie niewątpliwie stała, osłaniając dłonią oczy i spoglądając w dół na ruiny świątyni.

Śniłam o nim — pomyślała, siadając. — Miałam kolejny koszmary sen o Normanie, dlatego obudziłam się taka przestraszona.

Poprawiła lampkę. Metal brzęknął o bransoletę. Rose podniosła ozdobę i spojrzała na nią. To dziwne, jak trudno było przypomnieć sobie (o czym musisz pamiętać), skąd ma to świecidełko. Czy kupiła ją w sklepie Billa, ponieważ wyglądała jak ta, którą nosiła kobieta na obrazie? Nie wiedziała i to było denerwujące. Jak można zapomnieć (o czym powinnaś zapomnieć) coś takiego?

Rosie podniosła bransoletę, która wydawała się ciężka jak ze złota, ale zapewne była zrobiona z pozlacanego mosiądzu, po czym spojrzała przez nią na pokój, jak kobieta patrząca

przez teleskop.

W tym momencie przypomniała sobie fragment snu i pojęła, że wcale nie śniła o Normanie. Śnił jej się Bill. Jechali na jego motorze, lecz zamiast zabrać ją na piknik nad jeziorem, wiózł ją ścieżką wijącą się coraz głębiej i głębiej w złowrogi las uschniętych drzew. Po pewnym czasie dotarli do polany, a na polanie rosło samotne zielone drzewo, uginające się od owoców w kolorze chitonu Rose Madder.

„Och, co za wspaniałe pierwsze danie! — zawołał wesoło Bill, zeskakując z motoru i pędząc do drzewa. — Słyszałem o nich, po zjedzeniu jednego ma się oczy z tyłu głowy, a po dwóch żyje się wiecznie!”

W tym momencie sen przekroczył granicę dzielącą krainę niepokoju od koszmaru. Wiedziała skądś, że owoc tego drzewa nie jest zaczarowany, ale śmiertelnie trujący, więc podbiegła do niego, chcąc go powstrzymać, zanim ugryzie jeden z kuszących owoców. Jednak Bill nie dał się przekonać. Po prostu objął ją ramieniem, uściśnił i powiedział: „Nie bądź głupia, Rosie, wiem, jak wyglądają owoce granatu i to nie one”.

W tym momencie obudziła się, dygocząc w ciemności i myśląc nie o Billu, lecz o Normanie... jakby Norman leżał gdzieś blisko w łóżku i rozmyślał o niej. Na myśl o tym Rosie skrzyżowała ramiona na piersiach i zacisnęła je. — Bardzo możliwe, że właśnie to robił. — Odłożyła bransoletę na stolik, pośpieszyła do łazienki i odkręciła prysznic.

Niepokojący sen o Billu i zatrutym owocu, pytanie, gdzie i jak weszła w posiadanie bransolety, oraz mieszane uczucia, jakie budził w niej obraz, który kupiła, wyjęła z ram, a potem ukryła w garderobie... wszystkie te sprawy ustąpiły miejsca większej i znacznie ważniejszej kwestii: jej randce. Miała ją dzisiaj i za każdym razem kiedy o tym pomyślała, wydawało się jej, że przenika ją dreszcz. Była zarówno przestraszona, jak i szczęśliwa, ale przede wszystkim była ciekawa. Jej randka. Ich randka.

Jeśli on w ogóle przyjdzie — szeptał złowieszczy głos. — Wiesz, może to był tylko żart. I mogłaś go odstraszyć.

Rosie już miała wejść pod prysznic i w ostatniej chwili zdała sobie sprawę, że jeszcze nie zdjęła majteczek.

— On przyjdzie — mruknęła, schylając się i ściągając je. — Przyjdzie, wiem, że przyjdzie.

Kiedy wskakiwała pod strumień wody i sięgała po szampon, jakiś głos z głębi jej świadomości — tym razem całkiem inny głos — szepnął: „Bestie będą walczyć”.

— Co? — Rosie zastygła z plastikową butelką w ręce. Była przestraszona i sama nie wiedziała dlaczego. — Co powiedziałaś?

Nic. Nawet nie mogła sobie dokładnie przypomnieć, o czym pomyślała, jedynie to, że znów chodziło o ten przeklęty obraz, który utkwiał jej w głowie jak refren jakiejś piosenki, nie dającej się zapomnieć. Namydając sobie głowę, Rosie nagle zadecydowała, że pozbędzie się go. Na samą myśl o tym poczuła się lepiej, jakby postanowiła zerwać z jakimś paskudnym nałogiem — paleniem lub piciem przy lunchu — i gdy wychodziła spod prysznica, podśpiewywała wesoło.

3

Bill nie trzymał jej w niepewności i nie spóźnił się. Rosie postawiła pod okno jeden z kuchennych taboretów, żeby wyglądać gościa (zrobiła to piętnaście po siódmej, pełne trzy godziny po tym, jak wyszła spod prysznica), i dwadzieścia pięć po ósmej przed budynek podjechał motocykl z izotermicznym pojemnikiem przywiązany do bagażnika. Motocyklista miał na głowie wielki niebieski kask i nie widziała jego twarzy, ale i tak była pewna, że to Bill. Już nieomylnie rozpoznała jego sylwetkę. Podkręcił obroty silnika, a potem wyłączył go i piętą wysokiego buta kopnął stojak harleya. Przerzucił nogę nad

siopełkiem i przez moment wyraźnie uwidocznił się zarys jego uda pod wyblakłym dżinsem. Rosie poczuła słaby, lecz wyraźny dreszcz pożądania i przemknęło jej przez głowę: Właśnie o tym będę myślała dziś wieczorem przed zaśnięciem; właśnie to będę widziała. A jeśli będę miała dużo, dużo szczęścia, to o tym będę śniła.

Doszła do wniosku, że zaczeka tu na niego i pozwoli mu wejść, jak dziewczyna, wygodnie mieszkająca z rodzicami, czekałaby na chłopca, który zabierze ją na potańcówkę, czekałaby nawet widząc, że już przyjechał; w wieczorowej sukni bez ramiączek patrzyła zza zasłonki swej sypialni, uśmiechając się tajemniczym uśmieszkiem, jak wysiada ze świeżo umytego i wypolerowanego samochodu ojca, nieświadomie poprawiając muszkę lub obciągając kamizelkę.

Pomyślała tak, a potem otworzyła drzwi garderoby i wyjęła sweter. Naciągając go, pośpieszyła korytarzem. Przyszło jej do głowy, kiedy dotarła na szczyt schodów i ujrzała Billa w połowie drogi na górę, podnoszącego głowę i patrzącego na nią, że osiągnęła idealny wiek: zbyt stara, aby udawać nieśmiałość, lecz wciąż dostatecznie młoda, żeby wierzyć, iż pewne marzenia — te, które naprawdę coś znaczą — mogą się spełnić, wbrew wszystkiemu.

— Cześć — powiedziała, spoglądając w dół. — Jesteś punktualny.

— Jasne — odparł, patrząc w górę. W jego głosie pobrzmiwało lekkie zdziwienie. — Zawsze jestem punktualny. Tak mnie wychowano. Myślę, że mam to również w genach. — Podniósł jedną urękawiczoną dłoń, jak szarmancki kawaler z filmów. — Jesteś gotowa?

Na to pytanie jeszcze nie знаła odpowiedzi, więc po prostu spotkała go w połowie schodów, wzięła za rękę i pozwoliła, aby sprowadził ją na dół, w słoneczny blask pierwszej soboty czerwca. Stał na chodniku obok przechylnego motoru, zmierzył ją krytycznym spojrzeniem, a potem potrząsnął głową.

— Nie, nie, ten sweter się nie nadaje — rzekł. — Na szczęście nigdy nie zapominam o moich harcerskich zasadach.

Po obu stronach bagażnika harleya były przyczepione juki. Rozpiął jeden z nich i wyciągnął skórzaną kurtkę podobną do swojej: po obu stronach miała dwie kieszenie na zamki błyskawiczne, ale oprócz tego tylko czarna skóra. Żadnych nitów, epoletów, błyskawic czy innych ozdóbek. Kurtka była mniejsza niż ta, którą nosił Bill. Rosie spojrzała na nią rozmyślając, jak zadać cisnące się na język pytanie.

Dostrzegł jej spojrzenie, natychmiast zrozumiał je i potrząsnął głową.

— To kurtka mojego ojca. Nauczył mnie jeździć na starym, wyposażonym w dwucylindrowy silnik widlasty motocyklu Indian. Dostał go za stół do jadalni i komplet mebli do sypialni. Mówi, że kiedy skończył dwadzieścia jeden lat, przejechał na tym motorze całą Amerykę. Tamten motor odpalało się kopniakiem, a jeśli zapomniało się przedtem przestawić bieg na jałowy, to maszyna wyrywała się z rąk.

— I co się stało? Rozbił go? — uśmiechnęła się lekko. — Ty go rozbiłeś?

— Nie. Umarł ze starości. Od tego czasu w rodzinie Steinerów były same harleye. To heritage z resorowanym tylnym kołem, trzydzieści osiem centymetrów sześciennych. — Delikatnie dotknął baku. — Tata nie jeździ nim już od jakichś pięciu lat.

— Ma go dość?

Bill potrząsnął głową.

— Nie, ma jaskrę.

Domyślała się, że ojciec Billa musi być co najmniej osiem centymetrów niższy i jakieś osiemnaście kilogramów lżejszy od syna, ale kurtka i tak wyglądała na niej zabawnie, sięgając do kolan. Była ciepła i Rosie z niemal zmysłową przyjemnością zasunęła zamek aż pod szyję.

— Wyglądasz dobrze — powiedział. — Trochę śmiesznie, jak dziecko bawiące się w przebierankę, ale dobrze. Naprawdę.

Nagle pomyślała, że teraz powie to, czego nie mogła powiedzieć, kiedy razem z Billem

siedziała na ławce jedząc hot dogi. Wydało jej się bardzo ważne, żeby mu to powiedzieć.

— Bill?

Spojrzał na nią z tym swoim uśmiechem, ale oczy miał poważne.

— Tak?

— Nie skrzywdź mnie.

Rozważył to, z uśmiechem na ustach, z powagą w oczach, a potem potrząsnął głową.

— Nie. Nie skrzywdzę cię.

— Obiecujesz?

— Tak. Obiecuję. No dalej, wejdź na pokład. Jechałaś już kiedyś na żelaznym kucyku?

Potrząsnęła głową.

— No, te małe kołeczki służą za oparcie dla nóg. — Pochylił się nad bagażnikiem, grzebał w nim chwilę, a potem wyjął kask. Bez cienia zdziwienia stwierdziła, że hełm ma czerwono — purpurową barwę. — Masz tu garnek na głowę.

Włożyła hełm, pochyliła się, uważnie obejrzała w jednym z bocznych lusterek harleya, a potem wybuchnęła śmiechem.

— Wyglądam jak futbolistka!

I to najładniejsza w drużynie. — Chwyił ją za ramiona i obrócił. — Trzeba go zapiąć pod szyją. Pozwól mi to zrobić. Przez moment ich twarze znajdowały się w odległości zachęcającej do pocałunku i Rosie z przyjemnością stwierdziła, że gdyby zechciał ją pocałować, na tym słonecznym chodniku pełnym ludzi śpieszących do swych porannych sobotnich zajęć, pozwoliłaby mu. Cofnął się.

— Nie za ciasno?

Potrząsnęła głową.

— Na pewno?

Skinęła.

— No to powiedz coś.

— Łoę ssa isno — powiedziała i wybuchnęła śmiechem, widząc jego minę. Roześmiał się także.

— Jesteś gotowa? — zapytał ponownie. Wciąż uśmiechał się, lecz w oczach znów pojawił się ten ostrożny namysł, jakby wiedział, że omawiają jakąś poważną sprawę i każde słowo czy gest może mieć daleko idące konsekwencje.

Zacisnęła dłoń w pięść, postukała nią w kask i uśmiechnęła się nerwowo.

— Chyba tak. Kto wsiada pierwszy, ty czy ja?

— Ja. — Przełożył nogę przez siodełko harleya. — Teraz ty. Ostrożnie usiadła i położyła mu ręce na ramionach. Serce biło jej bardzo szybko.

— Nie tak — rzekł. — Obejmij mnie w pasie, dobrze? Muszę mieć wolne ręce, żeby obsługiwać konsolkę.

Wsunęła ręce między jego ramiona i boki, a potem splotła dłonie na płaskim brzuchu Billa. I natychmiast poczuła się tak, jakby znów śniła. Czy to wszystko wynikało z jednej kropelki krwi na poszewce? Z nagłej decyzji, aby wyjść przez frontowe drzwi i pójść przed siebie? Czy to w ogóle możliwe?

Wielki Boże, proszę, niech to nie będzie sen — pomyślała.

— Stopy na podpórki, dobrze?

Postawiła je tam i poczuła przestrach zmieszany z oczarowaniem, gdy Bill rozkołysał motor i kopnął podnóżek. Teraz, kiedy tylko jego nogi utrzymywały pojazd w równowadze, czuła się jak wtedy, kiedy ostatnia cuma zostaje rzucona i łódka zaczyna odbijać od brzegu, kołysząc się mocniej niż przedtem. Rosie pochyliła się jeszcze trochę, zamknęła oczy i głęboko wciągnęła powietrze. Zapach rozgrzanej słońcem skóry był taki, jak sobie wyobrażała. To dobrze. Wszystko to było dobre. Przerażające i dobre.

— Mam nadzieję, że spodoba ci się — rzekł Bill. — Naprawdę.

Wcisnął przycisk po prawej stronie kierownicy i harley zapalił z hukiem. Rosie drgnęła i przytuliła się do Billa, ściskając go mocniej i czując, że kręci jej się w głowie.

— Wszystko w porządku? — zawołał.

Kiwnęła głową i pojęła, że on tego nie widzi, więc odchrząknęła, że tak, wszystko dobrze.

Po chwili krawężnik z lewej przesunął się do tyłu. Bill szybko obejrzał się przez ramię, a potem wykręcił na prawą stronę Trenton Street. Ten skręt nie przypominał jazdy samochodem; motocykl przechylał się, jak mały samolot podchodzący do lądowania. Bill przekręcił manetkę gazu i harley pomknął naprzód, dmuchając Rosie wiatrem w kask i sprawiając, że się zaśmiała.

— Wiedziałem, że to polubisz! — zawołał Bill przez ramię, gdy stanęli na światłach. Kiedy postawił nogę na jezdni, to jakby znów połączyli się ze stałym lądem, ale najcieńszą z lin. Po zapaleniu się zielonego światła maszyna znowu ryknęła, tym razem z większym przekonaniem, i skręcili w Deering Avenue, mijając Bryant Park, przejeżdżając przez cienie starych dębów, odbite na nawierzchni jak kleksy. Spojrzała mu przez prawe ramię i ujrzała słońce prowadzące ich między drzewami, migające w oczy jak heliograf, a kiedy przechylił się, kładąc motor w skręt w Calumet Avenue, przechyliła się razem z nim.

— Wiedziałem, że to polubisz! — zawołał, kiedy ruszali, ale ona lubiła to tylko wtedy, gdy przejeżdżali przez północną część miasta, przemykając przez coraz bardziej podmiejskie dzielnice, gdzie stojące obok siebie domy przypominały jej serial *All in Family*, i wydawało się, że na każdym rogu znajduje się The Wee Nip. Zanim wyjechali na obwodnicę, już nie lubiła, lecz wręcz uwielbiała taką jazdę, a gdy zjechali z autostrady na drogę nr 27, dwupasmową asfaltową szosę biegnącą skrajem jeziora aż do następnego stanu, czuła, że byłaby szczęśliwa, gdyby to trwało wiecznie. Gdyby spytał ją, co myśli o tym, żeby pojechać aż do Kanady i obejrzeć mecz Blue Jays w Toronto, po prostu oparłaby okrytą kaskiem głowę o jego plecy, by poczuł potakujące skinienie.

Droga nr 27 była najlepsza. Późnym latem nawet o tak wczesnej porze będzie na niej spory ruch, lecz dziś była prawie pusta — czarna wstęga z żółtą nitką biegnącą środkiem. Po prawej jezioro migotało swym bajecznym błękitem między umykającymi drzewami; po lewej mijali farmy, domki letniskowe i sklepy z pamiątkami.

Nie czuła potrzeby, aby coś mówić, nawet nie była pewna, czy zdołałaby coś powiedzieć, gdyby musiała. Bill stopniowo dodawał gazu, aż czerwona igła szybkościomierza stała prosto jak wskazówka zegara pokazującego północ, a wiatr jeszcze głośniej bębnił o kask Rosie. To przypominało sny o lataniu z jej dziewczęcych czasów; sny, w których z nieustraszoną swobodą pędziła nad polami, skałami, dachami i kominami, z rozwianymi w pędzie włosami jak grzywa. Budziła się z tych snów drżąca, mokra od potu, jednocześnie przerażona i ucieszona. I tak czuła się teraz. Kiedy spojrzała na lewo, zobaczyła swój cień płynący obok, jak w tych snach, lecz teraz towarzyszył mu drugi cień i tak było jeszcze lepiej. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu była równie szczęśliwa. Cały otaczający ją świat wydawał się doskonały — włącznie z nią.

Odczuwała nieznaczne wahania temperatury; zimno, gdy śmigali przez rozległe zagłębienia lub cieniste dolinki, ciepło, kiedy znów wyjeżdżali na słońce. Przy stu kilometrach na godzinę zapachy nadciągały pasmami tak stężonymi, jakby wydmuchiwały je jakieś dmuchawy: krów, nawozu, siana, ziemi, skoszzonej trawy, świeżej smoły, gdy mijali miejsce, gdzie naprawiano drogę, spalin, gdy jechali za rozklekotaną ciężarówką farmera. Na pace leżał kundel, opierając pysk na przednich łapach i patrząc na nich bez zainteresowania. Kiedy Bill zjechał w lewo, szykując się do wyprzedzania, farmer za kółkiem pomachał ręką do Rosie. Dostrzegła kurze łapki wokół oczu, czerwoną, rumianą skórę twarzy i błysk obrączki w słońcu. Ostrożnie, jak linoskoczek wykonujący ewolucje bez siatki, wyjęła jedną rękę spod pachy Billa i pomachała farmerowi. Uśmiechnął się do niej i został w tyle.

Dwadzieścia lub trzydzieści kilometrów poza miastem Bill wskazał lśniący metalowy

kształt na niebie. W chwilę później usłyszała miarowy szum wirników i po kolejnej chwili zobaczyła dwóch mężczyzn siedzących w pleksiglasowej bańce. Gdy śmigłowiec ze świstem przelatował nad ich głowami, ujrzała, jak pasażer pochyla się i krzyczy coś do ucha pilotowi.

Wszystko widzę — pomyślała, a potem zdziwiła się, dlaczego uznała to za niezwykle. W końcu nie widziała nic takiego, czego nie mogłaby ujrzeć z samochodu. A jednak — pomyślała. — A jednak, ponieważ nie patrzę na to zza szyby, wszystko przestaje być jedynie krajobrazem. To świat, nie krajobraz, a ja jestem w nim. Lecę przez świat, jak w moich dawnych snach, ale teraz nie jestem już sama.

Motor równomiernie pulsował między jej nogami. Właściwie nie było to seksualne doznanie, lecz uzmysławiało jej, co tam ma i czemu to służy. Kiedy nie oglądała mijanych widoków, stwierdziła, że wpatruje się w ciemne włosy na karku Billa, myśląc o tym, jak dobrze byłoby ich dotknąć palcami, przyglądzić jak piórka.

Godzinę po tym jak zjechali z obwodnicy, znaleźli się daleko za miastem. Bill niebawem zredukował bieg do dwójki i kiedy napotkali napis głoszący: PRZYBRZEŻNY TEREN WYPOCZYNKOWY — BIWAKOWANIE WYŁĄCZNIE PO UZYSKANIU POZWOLENIA, wrzucił jedynekę i skręcił w żwirową dróżkę.

— Trzymaj się — powiedział. Teraz, kiedy huraganowy wiatr przestał szarpać jej kaskiem, słyszała go wyraźniej. — Wyboje.

Rzeczywiście, to były wyboje, ale harley pokonał je bez trudu, zmieniając w zwykłe nierówności. Pięć minut później wjechali na mały leśny parking. Dalej stały drewniane stoły i kamienne paleniska do *barbecue*, rozrzucone na rozległej, cienistej łące, która stopniowo opadała ku skalistej półce, niezbyt zasługującej na nazwę plaży. Małe fale napływały na półkę spokojnymi, równymi rzędami. Dalej, aż po horyzont, rozpościerało się jezioro i nawet najcieńsza linia nie zaznaczała miejsca, gdzie w niebieskawej mgiele niebo zlewało się z wodą. Oprócz nich na brzegu nie było nikogo i kiedy Bill wyłączył silnik harleya, zapadła zapierająca dech w piersi cisza. Nad wodą kręciły się i wirowały mewy, krzycząc swymi piskliwymi, nerwowymi głosami. Gdzieś z zachodu dobiegał warkot silnika, tak słaby, że nie sposób było stwierdzić, czy to ciężarówka czy traktor. To wszystko.

Czubkiem buta przysunął do motocykla płaski kamień, a potem kopnął widelki tak, żeby opierały się na nim. Zsiadł i obrócił się do niej z uśmiechem. Kiedy zobaczył jej twarz, ten uśmiech zastąpiło głębokie zaniepokojenie.

— Rosie? Nic ci nie jest?

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

— Nie, dlaczego?

— Masz najzabawniejszą minę...

Naturalnie — pomyślała. — Jestem pewna, że mam.

— Czuję się świetnie — odparła. — Po prostu wydaje mi się, że to wszystko jest snem. Zastanawiam się, jak znalazłam się tutaj.

Zaśmiała się nerwowo.

— Ale nie zemdlejesz mi ani nic takiego?

Tym razem Rosie wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Nie, naprawdę nic mi nie jest.

— I lubisz to?

— Uwielbiam.

Gmerała przy dwóch kółeczkach, przez które przechodził pasek hełmu, ale bez powodzenia.

— Za pierwszym razem trudno go rozpiąć. Pozwól, że ci pomogę.

Pochylił się, żeby odpiąć pasek, i znów znalazł się w odległości zachęcającej do pocałunku, tylko że tym razem nie cofnął się. Obiema dłońmi zdjął jej z głowy kask, a potem pocałował ją w usta, pozwalając, by kask zawisł mu na dwóch pierwszych palcach lewej ręki,

a prawą kładąc na karku Rosie, która przy tym pocałunku poczuła, że wszystko jest w porządku, a dotyk jego warg i dłoni był jak powrót do wytęsknionego domu. Czowała, że zaczęła płakać, lecz i to było w porządku. Te łzy nie bolały.

Odsunął się trochę, nie zdejmując dłoni z jej karku, z kaskiem ciągle lekko objijającym mu się wahadłowym ruchem o kolano, po czym spojrzął jej w oczy.

— W porządku?

Tak — usiłowała powiedzieć, ale odebrało jej głos. Kiwnęła głową.

— Wspaniale — rzekł, a potem powoli, jak człowiek wykonujący poważną pracę, zaczął całować jej chłodne, mokre policzki. Najpierw pod prawym, a później pod lewym okiem. Jego pocałunki były lekkie jak trzepotanie rzes. Nigdy nie czuła czegoś takiego; nagle zarzuciła mu ręce na szyję i uściśnęła z całej siły, opierając twarz o jego skórzaną kurtkę i nie otwierając oczu, z których wciąż płynęły łzy. Obejmował ją, a dłonią, którą przedtem trzymał na jej karku, teraz gładził warkocz.

Po chwili wysunęła się z jego objęć, otarła oczy przedramieniem i spróbowała się uśmiechnąć.

— Nie zawsze płaczę — powiedziała. — Pewnie nie uwierzysz, ale to prawda.

— Wierzę — odrzekł i zdjął swój kask. — Chodź tu i pomóż mi z chłodziarką.

Pomogła mu odpiąć elastyczne taśmy trzymające pudło i razem zanieśli je do jednego z drewnianych stołów. Tam stanęła, spoglądając na fale.

— To chyba najpiękniejsze miejsce na ziemi — cieszyła się. — Nie mogę uwierzyć, że nie ma tu nikogo oprócz nas.

— No cóż, droga numer dwadzieścia siedem biegnie z dala od typowych turystycznych tras. Pierwszy raz przyjechałem tu z rodzicami, kiedy byłem dzieckiem. Ojciec powiedział, że odkrył je przypadkiem, włączając się na motorze. Nawet w sierpniu, kiedy wszystkie miejsca biwakowe są zapchane, nie ma tu wielu ludzi.

Obrzuciła go szybkim spojrzeniem.

— Czy przywoziłeś tu inne kobiety?

— Nie — odparł. — Masz ochotę na spacer? Nabralibyśmy apetytu na lunch, a poza tym chciałbym ci coś pokazać.

— Co?

— Będzie lepiej, jeśli po prostu ci to pokażę.

— Dobrze.

Sprowadził ją nad wodę, gdzie usiedli obok siebie na wielkim głazie i ściągnęli obuwie. Rozbawiły ją frotowe, białe skarpetki, jakie nosił do motocyklowych butów; kojarzyły jej się z uczniem szkoły średniej.

— Zostawić je, czy wziąć? — spytała, pokazując swoje tenisówki.

Zastanowił się.

— Weź swoje, ja moje zostawię. Te przekłete buciory trudno włożyć nawet wtedy, kiedy ma się suche nogi. Na mokre po prostu nie można.

Zdjął białe skarpetki i ułożył je równo na grubych noskach butów. Sposób, w jaki to zrobił, i ich schludny wygląd wywołał uśmiech na jej twarzy.

— O co chodzi?

Potrząsnęła głową.

— Nic. No chodź, pokaż mi tę niespodziankę.

Poszli na północ wzdłuż brzegu, Rosie z tenisówkami w lewej ręce, Bill pokazujący drogę. W pierwszej chwili woda wydawała się tak zimna, że zapierała dech, ale po minucie czy dwóch była już całkiem przyjemna. Widziała w niej swoje stopy jak dwie blado migoczące ryby, w wyniku refrakcji lekko oddzielone przy kostkach od reszty ciała. Pod podszewkami czuła drobne kamyki, nie raniące nóg. Pocięłabyś je sobie na strzępy i nawet nie zauważyłabyś tego — pomyślała. — Trafiło cię, kochanie. Jednak nie pokaleczyła się. Czowała,

że on nie dopuściłby do tego. Ta myśl była niemądra, ale nieodparta.

Przeszedłszy około czterdziestu metrów wzdłuż brzegu, dotarli do zarośniętej ścieżki wijącej się w górę; ziarnisty biały piach pośród niskich, gęstych krzaków jałowca. Poczula nagły dreszcz *déjà vu*, jakby widziała tę ścieżkę w ledwie pamiętanym śnie.

Wskazał na szczyt wzniesienia i powiedział cicho:

— Idziemy tam. Zachowuj się najciszej, jak potrafisz.

Zaczekał, aż włoży tenisówki, a potem poszedł przodem.

Na szczyt stanął i czekał na nią, a kiedy dołączyła do niego i chciała coś powiedzieć, najpierw położył jej palec na ustach, a potem wskazał nim coś.

Stali na skraju małej polanki, na czymś w rodzaju płaskowyżu leżącego jakieś piętnaście metrów powyżej poziomu wody. Na środku było zwalone drzewo. Pod płataniną pokrytych ziemią korzeni ulokowała się okazała ruda lisica, karmiąca trzy małe. Czwarte było opodal, na słońcu, zajęte gonitwą za własnym ogonem. Rosie patrzyła na nie, oczarowana.

Bill nachylił się do niej; jego szept łaskotał ją w ucho i budził dreszcze.

— Przyjechałem tu przedwczoraj, żeby sprawdzić, czy to miejsce wciąż istnieje i w dalszym ciągu jest ładne. Nie zaglądałem tu od pięciu lat, więc nie byłem pewny. Przeszedłem się po okolicy i znalazłem to bractwo. *Vulpesfuha* — rudy lis. Małe mają może sześć tygodni.

— Skąd tyle o nich wiesz? Bill wzruszył ramionami.

— Lubię dzikie zwierzęta — odparł. — Czytam o nich i kiedy tylko mogę, próbuję je podglądać na wolności.

— Polujesz?

— Boże, nie. Nawet nie robię zdjęć. Tylko patrzę.

Lisica już ich dostrzegła. Nie poruszyła się, ale wyraźnie zeszywniała; oczy miała bystre i czujne.

Nie patrz jej w oczy — pomyślała nagle Rosie. Nie miała pojęcia, co ma oznaczać ta myśl; wiedziała tylko, że głos wypowiadający te słowa nie należał do niej. — To nie dla takich jak ty.

— Są piękne — szepnęła. Obiema rękami otoczyła jego dłonie.

— Tak, są piękne.

Lisica obróciła łeb ku czwartemu liskowi, który zostawił w spokoju ogon i walczył z własnym cieniem. Wydała krótkie, donośne warknięcie. Lisek odwrócił się, spojrzał wyzywająco na nowo przybyłych, stojących na końcu ścieżki, a potem po truchtał do matki i położył się obok niej. Polizała go po pysku, myjąc szybko i wprawnie, ale ani na chwilę nie spuszczała z oka Rosie i Billa.

— Czy ona ma towarzysza? — zapytała cicho Rosie.

— Tak, widziałem go poprzednio. Potężny pies.

— Tak się mówi na samca?

— Uhm.

— Gdzie on jest?

— Gdzieś niedaleko. Poluje. Te małe na pewno często jadają na obiad mewy z przetrąconymi skrzydłami.

Spojrzenie Rosie powędrowało ku drzewu, pod którym lisy zrobiły sobie legowisko, i znów doznała silnego *déjà vu*. Przelotny obraz poruszającego się korzenia, jakby chcącego ją schwytać, pojawił się, zamigotał i odpłynął.

— Wystraszyliśmy ją? — spytała Rosie.

— Może trochę. Gdybyśmy spróbowali podejść bliżej, walczyłyby.

— Tak — rzekła Rosie. — A gdybyśmy wyrządzili im krzywdę, odpłaciłaby nam.

Spojrzał na nią dziwnie.

— No cóż, myślę, że przynajmniej próbowałyby to zrobić.

— Cieszę się, że mi je pokazałeś.

Uśmiech opromienił całą jego twarz.

— To świetnie.

— Wracajmy. Nie chcę jej wystraszyć. I jestem głodna.

— Dobrze. Ja też.

Podniósł rękę i pomachał lisicy. Patrzyła na niego bystrymi, nieruchomymi ślepiami... a potem zmarszczyła nos w niemym warknięciu, pokazując rząd równych, białych zębów.

— Tak — powiedział. — Dobra z ciebie mama. Pilnuj ich. Odwrócił się. Rosie ruszyła za nim, a potem jeszcze raz spojrzęła za siebie, w te bystre, nieruchome ślepie. Wciąż rozdziawiając pysk i pokazując kły, lisica karmiła młode w ciszy i w słońcu. Jej futro było raczej pomarańczowe niż czerwone, ale widząc jego odcień — mocno kontrastujący z zielenią otoczenia — Rosie znów lekko zadrżała. W górze śmignęła mewa, rzucając swój cień na polankę, ale ślepie lisicy ani na chwilę nie oderwały się od Rosie. Czują na sobie ich spojrzenie — czujne, nieruchome i skupione — nawet wtedy, gdy odwróciła głowę i poszła za Billem.

4

— Nic im nie będzie? — zapytała, kiedy znów dotarli na brzeg. Wyciągnęła rękę, łapiąc równowagę przy zdejmowaniu najpierw lewego, a potem prawego buta.

— Pytasz, czy ktoś nie zapoluje na młode? Rosie kiwnęła głową.

— Nie, jeżeli pozostaną z daleka od ogrodów i kurników, a mama i tata okażą się tak mądrzy, że nie będą odwiedzać farm. Oczywiście, jeśli będą zdrowe. Lisica ma co najmniej cztery lata, lis może mieć siedem. Szkoda, że go nie widziałaś. Ma sierść koloru październikowych liści.

Byli w połowie drogi do terenu piknikowego, brodząc po kostki w wodzie. Już widziała jego buty stojące na skale, na której je zostawił, z białymi skarpetkami starannie złożonymi na prostokątnych czubkach.

— Co miałaś na myśli mówiąc „jeśli będą zdrowe”?

— Wściekliznę — odparł. — Najczęściej to wścieklizna sprawia, że odwiedzają ogrody i kurniki. Zostają zauważone, a potem zabite. Lisice chorują częściej niż lisy i uczą młode takich niebezpiecznych zachowań. Wścieklizna szybko powala samce, ale samice mogą chorować przez długi czas i przez to bardziej cierpią.

— Naprawdę? — zapytała. — To okropne.

Przystanął, spojrzął na jej bladą, zamyśloną twarz, a potem wziął ją w ramiona i przytulił.

— Wcale nie musi tak być — powiedział. — Na razie świetnie sobie radzą.

— Ale to może się zdarzyć. Może. Zastanowił się, a potem kiwnął głową.

— Tak, pewnie — rzekł w końcu. — Wszystko może się zdarzyć. Chodźmy coś zjeść. Co na to powiesz?

— Powiem, że to dobry pomysł.

Pomyślała natomiast, że chyba wiele nie zje, że czujne spojrzenie lisicy odebrało jej apetyt. Tymczasem kiedy zaczął rozkładać wiktuały, poczuła, że jest głodna jak wilk. Na śniadanie zjadła tosta i popiła go sokiem pomarańczowym; była tak podekscytowana (i wystraszona) jak panna młoda przed weselem. Teraz, na widok chleba i mięsa, zupełnie zapomniała o lisach na północnym końcu plaży.

Wyjmował z pojemnika żywność — kanapki z wołowiną, kanapki z tuńczykiem, sałatkę z kurczaka, sałatkę z ziemniaków, sałatkę z kiszzonej kapusty, dwie puszki coli, termos z czymś, co — jak powiedział — było mrożoną herbatą, dwa kawałki placka, duży kawał ciasta. Rosie na ten widok przypomniała sobie cyrkowych kłownów rozładowujących wózek i roześmiała

się. Pewnie nie zachowała się zbyt uprzejmie, lecz czuła się już na tyle ufnie, że nie musiała zmuszać się do uprzejmości w takich sprawach. I dobrze, ponieważ nie była pewna, czy zdołałaby powstrzymać śmiech.

Spojrzał na nią, trzymając w jednej ręce solniczkę, a w drugiej pieprzniczkę. Zauważyła, że przezornie zakleił dziury taśmą klejącą, chroniąc w ten sposób zawartość przed rozsypaniem, co rozśmieszyło ją jeszcze bardziej. Usiadła na ławce stojącej przy drewnianym stole, schowała twarz w dłoniach i próbowała powstrzymać śmiech. Prawie udało jej się, ale kiedy zerknęła przez palce i zobaczyła tę wielką stertę kanapek — pół tuzina dla dwojga ludzi, każda przecięta po przekątnej i elegancko zapakowana w folię — znów wybuchnęła śmiechem.

— O co chodzi? — zapytał, również się śmiejąc. — Co jest, Rosie?

— Spodziewałeś się wizyty paru przyjaciół? — spytała, wciąż chichocząc. — A może głodnych tubylców? Albo oddziału skautów?

Jego uśmiech poszerzył się, ale oczy spoglądały poważnie. Ten wyraz twarzy zdradzał dość złożone uczucia, świadczył, że Bill rozumiał zabawny i mniej zabawny aspekt tej sytuacji i patrząc na niego Rosie pojęła, że naprawdę jest w jej wieku, a ewentualna różnica nie ma żadnego znaczenia.

— Chciałem mieć pewność, że znajdziesz tu coś, co lubisz, to wszystko.

Przestała chichotać, lecz w dalszym ciągu uśmiechała się. Najbardziej ujęła ją nie jego dobroć, która go odmładzała, lecz szczerość, przez którą wydawał się jakby starszy.

— Bill, mogłabym zjeść cokolwiek — powiedziała.

— Jestem tego pewny — odrzekł, siadając przy niej — ale nie o to chodzi. Zależało mi na tym, by było to, co lubisz i czego chcesz. Właśnie to chciałem ci dać, ponieważ oszalałem na twoim punkcie.

Spojrzała na niego poważnie, zgubiwszy uśmiech, a kiedy ujął ją za rękę, nakryła jego dłoń swoją. Usiłowała przyswoić sobie to, co teraz powiedział, i przychodziło jej to z trudem — jak przepychanie szerokiego, kanciastego mebla przez wąskie drzwi, gdy obraca się go tak i siak, próbując znaleźć sposób, który w końcu zadziała.

— Dlaczego? — zapytała. — Dlaczego ja?

Potrząsnął głową.

— Nie wiem. Rzecz w tym, Rosie, że niewiele wiem o kobietach. Pod koniec szkoły średniej chodziłem z dziewczyną i pewnie poszlibyśmy w końcu do łóżka, ale wyprowadziła się, zanim do tego doszło. Na początku studiów miałem dziewczynę, z którą spałem. Potem, pięć lat temu, związałem się z cudowną dziewczyną, którą poznałem w zoo. Nazywała się Bronwyn Ó'Hara. To brzmi jak z powieści Margaret Mitchell, no nie?

— Cudowne imię.

— Była cudowną dziewczyną. Umarła na wylew.

— Och, Bill, tak mi przykro.

— Od tego czasu umówiłem się z paroma dziewczynami i nie przesadzam, umówiłem się, przecinek, koniec opowieści. Moi rodzice wciąż sprzecząją się z tego powodu. Ojciec powiada, że marnuję życie, a matka mówi: „Zostaw chłopca w spokoju, przestań gderać”. Tyle że to brzmi jak „gdyać”.

Rosie uśmiechnęła się.

— A potem ty weszłaś do sklepu i znalazłaś ten obraz. Od razu wiedziałas, że chcesz go mieć, prawda?

— Tak.

— Ja to samo poczułem na twój widok. Po prostu chciałem, żebyś o tym wiedziała. Nic z tego, co dzieje się między nami, nie dzieje się z uprzejmości, litości czy poczucia obowiązku, bo biedna Rosie miała takie smutne, ciężkie życie. — Zawahał się, a potem dodał: — Dzieje się dlatego, że zakochałem się w tobie.

— Nie możesz tego wiedzieć. Jeszcze nie.

— Wiem, co wiem — rzekł i łagodne naleganie w jego głosie lekko ją przestraszyło. — A teraz koniec z mydlaną operą. Jedzmy.

Zaczęli jeść. Kiedy skończyli i Rosie miała wrażenie, że jej brzuch napina się jak bęben pod paskiem spodni, spakowali resztę do chłodziarki, którą Bill ponownie przymocował do bagażnika harleya. Nikt nie nadjechał; wybrzeże należało tylko do nich. Wrócili na brzeg i znów usiedli na wielkim głazie. Rosie zaczęła darzyć ten kamień sympatią; myślała, że taki głaz można by odwiedzać raz lub dwa razy do roku, tylko po to, żeby mu podziękować... jeżeli wszystko będzie dobrze, rzecz jasna. A było, przynajmniej do tej pory. Prawdę mówiąc, nie przypominała sobie lepszego dnia.

Bill objął ją, a potem dotknął lewą ręką jej policzka i obrócił Rosie do siebie. Zaczął ją całować. Pięć minut później była bliska omdlenia, czując się jak we śnie, podniecona tak, jak nigdy sobie nie wyobrażała, podniecona w sposób, który urealniał to, co ukazywały książki, opowieści i filmy, to, czego dotychczas nie pojmowała, lecz przyjmowała na wiarę, tak jak ślepy przyjmuje na wiarę stwierdzenie widzącego, że zachód słońca jest piękny. Paliły ją policzki, piersi pod materiałem były nabrzmiące i wrażliwe pod jego dotknięciem, nawet pożałowała, że włożyła biustonosz. Pod wpływem tej myśli zarumieniła się jeszcze bardziej. Serce waliło jej jak młotem, ale to dobrze. To wszystko było dobre. A nawet więcej — po prostu cudowne. Przesunęła dłoń niżej i poczuła, jaki jest twardy. Jakby dotknęła kamienia, tyle że kamień nie pulsowałby pod dotknięciem, podobnie jak jej serce.

Pozwolił jej ręce pozostać tam przez minutę, a potem delikatnie podniósł ją i ucałował.

— Na razie wystarczy — rzekł.

— Dlaczego? — popatrzyła na niego figlarnie, bez cienia sztuczności. Norman był w jej życiu jedynym mężczyzną, z którym zakosztowała seksu, a on nie należał do mężczyzn podniecających się zwykłym dotknięciem przez spodnie. Czasem — a w ciągu ostatnich kilku lat coraz częściej — nie podniecał się wcale.

— Ponieważ nie zdołam powstrzymać się, nie popadając przy tym w głęboką frustrację.

Spojrzała na niego marszcząc brwi, z takim zdumieniem, że wybuchnął śmiechem.

— Nieważne, Rosie. Po prostu chcę, żeby wszystko było jak należy, kiedy pierwszy raz będziemy się kochać. Żadnych moskitów tnących nas w tyłki, żadnego tarzania się po pokrzywach, żadnych gapiów pojawiających się w najbardziej nieodpowiedniej chwili. Ponadto obiecałem odwiedzić cię o czwartej, żebyś mogła sprzedawać podkoszulki, i nie chcę gnąć na łeb, na szyję.

Zerknęła na zegarek i ze zdumieniem stwierdziła, że jest dziesięć po drugiej. Czy to możliwe, przecież siedzieli na tym głazie tylko pięć czy dziesięć minut? Niechętnie, lecz z zadowoleniem doszła do wniosku, że zegarek nie kłamie. Byli tutaj co najmniej pół godziny, a może nawet czterdzieści pięć minut.

— Chodź — powiedział, zsuwając się z kamienia. Skrzywił się, gdy jego nogi z pluskiem wpadły w zimną wodę, a zanim się odwrócił, Rosie zdążyła zauważyć wypukłość pod spodniami.

To moje dzieło — pomyślała i zdumiała się uczuciami, jakie towarzyszyły tej refleksji: satysfakcja, rozbawienie, a nawet trochę zadowolenia z siebie.

Zsunęła się z głazu i chwyciła Billa za rękę, zanim zorientowała się, że to robi.

— Dobrze. Co teraz?

— Co powiesz na krótki spacer przed powrotem? Żeby ochłonać.

— W porządku, ale trzymajmy się z daleka od lisów. Nie chcę znów ich niepokoić.

Jej — pomyślała — nie chcę znów jej niepokoić.

— Dobrze. Pójdziemy na południe.

Ruszył w tym kierunku. Ścisnęła jego dłoń, żeby odwrócił się do niej, a kiedy to zrobił, Rosie wpadła mu w ramiona i objęła go mocno. Wypukłość poniżej pasa jeszcze nie całkiem

zniknęła, co sprawiło Rosie przyjemność. Do dzisiejszego dnia nie miała pojęcia, że kobiecie może się to podobać — uważała to za wymysł tych gazet, których głównym zadaniem jest sprzedaż ciuchów i kosmetyków. Teraz dowiedziała się czegoś nowego. Mocno przycisnęła się do Billa i zajrzała mu w oczy.

— Pozwolisz, że powiem coś, czego nauczyła mnie matka i kazała powiedzieć, kiedy pierwszy raz szłam na przyjęcie urodzinowe? Chyba miałam wtedy cztery czy pięć lat.

— Słucham — rzekł z uśmiechem.

— Dziękuję ci za cudowny piknik, Bill. Dziękuję ci za najcudowniejszy dzień... Dziękuję, że mnie zaprosiłeś.

Bill ucałował ją.

— Mnie również było bardzo miło, Rosie. Od lat nie czułem się tak szczęśliwy. Chodź, przejdziemy się.

Trzymając się za ręce, poszli wzdłuż brzegu, tym razem na południe. Poprowadził ją inną ścieżką na długą, wąską łąkę, która wyglądała, jakby nie koszono jej od lat. Popołudniowe słońce kładło na nią zakurzone smugi, a wśród tymotki trzepotały motyle w chaotycznych powietrznych akrobacjach. Brzęczały pszczoły, a gdzieś na lewo jakiś dzięcioł niestrudzenie opukiwał drzewo. Bill pokazywał jej różne kwiaty, podając nazwy większości z nich. Kilkakrotnie wydawało jej się, że mylił się, ale nie poprawiała go. Pokazała mu kępkę grzybów rosnących wokół pnia dębu na skraju łąki i powiedziała, że to trujaki, ale niezbyt groźne, ponieważ są gorzkie. Człowiek choruje lub umiera po tych, które nie mają gorzkiego smaku.

Zanim wrócili na parking, pojawili się gapie, zupełnie tak jak mówił Bill — furgonetka i czterokołowy scout, pełne dzieciaków z college'u. Byli przyjaźni, lecz hałaśliwi; poustawiali w cieniu chłodziarki z piwem i zaczęli rozciągać siatkę do siatkówki. Chłopiec, z wyglądu dziewiętnastoletni, niósł na barana swoją dziewczynę, ubraną w szorty koloru khaki i górę kostiumu bikini. Kiedy ruszył kłusem, zaczęła krzyczeć radośnie i tłuc go dłońmi po krótko ostrzyżonej głowie. Patrząc na nich, Rosie zastanawiała się, czy lisica na swej polance usłyszy to, i doszła do wniosku, że tak. Niemal widziała ją, jak leży tuląc śpiące, opite mlekiem młode, słuchając ludzkich wrzasków dochodzących z plaży, z nastawionymi uszami, oczami bystrymi, mądrymi i aż nazbyt podatnymi na szaleństwo.

„Wścieklizna szybko powala samce, ale samice mogą chorować przez długi czas” — pomyślała, a potem przypomniała sobie trujaki, które zauważyła na skraju zarośniętej łąki, rosnące w cieniu, gdzie było wilgotno. „Pajęczce grzyby” — powiedziała babcia, kiedy pokazywała je Rosie pewnego lata i chociaż ta nazwa została wymyślona przez babcię Weeks — bo na pewno nie figurowała w żadnym ze znanych Rosie atlasów roślin — nigdy nie zapomniała ich paskudnego wyglądu, bladych i woskowatych kapeluszy usianych ciemniejszymi plamami, które chyba rzeczywiście wyglądały jak małe pająki dla kogoś nie pozbawionego wyobraźni... tak jak ona.

„Samica może chorować przez długi czas — pomyślała. — Wścieklizna szybko powala samce, ale...”

— Rosie? Zimno ci?

Spojrzała na niego, nie rozumiejąc, co do niej mówi.

— Zadrzałaś.

— Nie. Nie jest mi zimno. — Popatrzyła na dzieciaki, które nie dostrzegały jej i Billa, jako że należeli już do innego pokolenia, a potem znowu na niego. — Może jednak powinniśmy już wracać.

Skinął głową.

— Chyba masz rację.

5

Kiedy wracali, na drogach panował większy ruch, a na obwodnicy jeszcze większy. Jechali przez to wolniej, ale nie natrafili na korki. Bill śmigał wielkim harleyem w każdą otwierającą się lukę, sprawiając, że Rosie czuła się trochę tak, jakby siedziała na grzbiecie tresowanej ważki, lecz nie ryzykował i nigdy nie zwątpiła w jego umiejętności, nawet kiedy skierował pojazd na linię przerywaną między pasami ruchu, mijając po obu stronach wielkie ciężarówki, czekające cierpliwie jak wielkie mastodonty w kolejce do kas przy wjeździe na obwodnicę. Zanim zaczęli mijać tablice z napisami NADBRZEŻE, AKWARIUM czy ETTINGER'S PIER & WESOŁE MIASTECZKO, Rosie była zadowolona, że nie wyruszyli później. Zdaży na swoją zmianę w stoisku z podkoszulkami i przedstawi Billa przyjaciółkom. Była pewna, że go polubią. Gdy przejeżdżali pod jasnoróżowym transparentem z napisem PRZYWITAJ LATO Z CÓRKAMI I SIOSTRAMI!, Rosie poczuła, że jest szczęśliwa, co później tego dnia wspominała ze zgrozą.

Już widziała kolejkę górską, wszystkie jej wzniesienia i pajęczynę rusztowań na tle nieba, słyszała krzyki unoszące się nad nimi. Przez chwilę mocniej przytuliła się do Billa i zaśmiała. Wszystko będzie dobrze — pomyślała, a gdy przypomniała sobie na moment posępne i czujne oczy lisicy, odepchnęła od siebie to wspomnienie, jak na weselu odsuwa się myśl o śmierci.

6

Kiedy Bill Steiner ostrożnie prowadził motocykl na dróżce wiodącej na teren piknikowy, Norman Daniels manewrował swoim kradzionym samochodem na parkingu przy Press Street. To miejsce znajdowało się prawie pięć przecznic od Ettinger's Pier i służyło miłośnikom różnych nadjeziornych atrakcji: wesołego miasteczka, akwarium, Old Towne Trolley, sklepów i restauracji. Był jeszcze jeden parking, bliżej wszystkich tych rozrywek, ale Norman wolał nie zbliżać się bardziej. Może będzie musiał opuszczać to miejsce w pośpiechu, a w takim wypadku nie chciał ugrzęznąć w korku.

Za piętnaście dziesiąta, sobotni rano. Przednia połowa parkingu przy Press Street była prawie pusta, niedobrze dla kogoś, kto nie chciał rzucać się w oczy, lecz w części przeznaczonej dla klientów całodziennych i całotygodniowych stało sporo samochodów — przeważnie należących do pasażerów promu, którzy popłynęli gdzieś na północ, na wycieczki lub weekendowe wyprawy wędkarskie. Norman wcisnął forda tempo między winnebago z Utah a gigantycznego roadkinga RV z Massachusetts. Ford był prawie niewidoczny między tymi olbrzymami, co bardzo odpowiadało Normanowi.

Wysiadł, potem wziął z siedzenia swoją nową skórzaną kurtkę i włożył ją. Z jednej kieszeni wyjął okulary przeciwsłoneczne — inne niż nosił poprzedniego dnia — i włożył je również. Potem podszedł do bagażnika, rozejrzał się, czy nikt go nie obserwuje, i podniósł pokrywę.

Wyjął fotel inwalidzki i rozłożył go.

Pooklejał fotel naklejkami kupionymi w sklepiku z pamiątkami w Centrum Kultury Kobiecej. W salach i w auli na piętrze mogli mieć mnóstwo mądrych ludzi wygłaszających odczyty i uczestniczących w sympozjach, ale na dole sprzedawali właśnie takie bezwartościowe gówno, na jakie liczył Norman. Nie potrzebował breloczków z symbolem płci ani plakatu z ukrzyżowaną kobietą (JEZUSINA UMARŁA ZA WASZE GRZECHY) na Gulgocie, ale naklejki były doskonałe. KOBIETA POTRZEBUJE MĘŻCZYZNY JAK RYBA ROWERU, głosił jeden. Inny, najwyraźniej ułożony przez kogoś, kto nigdy nie

widział facetki mającej brwi i połowę włosów opalone fajką do cracku, informował: **KOBIETY NIE SĄ ŚMIESZNE!** Były tam naklejki donoszące: **JESTEM ZA I GŁOSUJĘ, SEKS TO POLITYKA** oraz **S-Z-A-C-U-N-E-K, DOWIEDZ SIĘ, CO OZNACZA TO SŁOWO.** Norman zastanawiał się, czy któraś z tych wyzwolonych od biustonoszy bab wie, że tę piosenkę napisał mężczyzna. Kupił wszystkie naklejki. Najbardziej podobała mu się ta, którą starannie umieścił na środku oparcia fotela, obok uchwyty na walkmana: **JESTEM MEŹCZYZNĄ, KTÓRY SZANUJE KOBIETY.**

I to prawda — pomyślał, jeszcze raz obrzucając szybkim spojrzeniem parking, żeby upewnić się, że nikt nie zauważy kaleki, zwinnie wskakującego na wózek inwalidzki. — Szanuję je, dopóki zachowują się jak należy.

Nie dostrzegł nikogo i nikt go nie obserwował. Obrócił wózek i spojrzał na swoje odbicie w burcie świeżo umytego forda. No? — zadał sobie pytanie. — Co o tym myślisz? Uda się?

Pomyślał, że powinno. Ponieważ przebranie nie wchodziło w grę, więc usiłował osiągnąć coś więcej — stworzyć prawdziwą osobę, jak aktor kreujący na scenie jakąś postać. Wymyślił nawet nazwisko tego nowego faceta: Hump McDaniels. Hump był weteranem wojennym, który wrócił do domu i przez jakieś dziesięć lat jeździł z bandą motocyklistów, gdzie kobiety nadawały się jedynie do dwóch lub trzech rzeczy. Potem miał wypadek. Za dużo piwa, mokra jezdnia, filar mostu. Został sparaliżowany od pasa w dół, ale wyleczyła go młoda, cudowna kobieta...

— Marilyn — powiedział głośno Norman, myśląc o Marilyn Chambers, która od lat była jego ulubioną gwiazdą porno. Druga na liście to Amber Lynn, ale Marilyn Lynn brzmiałoby fałszywie jak cholera. Następnym nazwiskiem, jakie przyszło mu do głowy, było McCoo, ale i ono nie nadawało się; Marilyn McCoo, tak nazywała się ta suka, która śpiewała z Fifth Dimension w latach siedemdziesiątych, kiedy życie nie było takie parszywe jak teraz.

Na pustym placu po drugiej stronie ulicy stała tablica z napisem: **TUTAJ W PRZYSZŁYM ROKU BĘDZIE REALIZOWANY KOLEJNY ZNAKOMITY PROJEKT BUDOWLANY DELANEYA!** Marilyn Delaney było równie dobrym nazwiskiem jak każde inne. Pewnie żadna z Córek i Sióstr nie poprosi go o jego życiorys, lecz parafrazując napis na koszulce ekspedienta w sklepie The Base Camp, lepiej mieć gotową bajeczkę i nie potrzebować jej, niż nie mieć i potrzebować.

One uwierzą w Humpa McDanielsa. Na pewno widziały więcej niż kilku takich facetów jak on, facetów, którzy przeżyli coś, co zmieniło całe ich życie, a teraz próbowali odpokutować dawne grzechy. A Humpowie tego świata pokutowali tak, jak robili wszystko w swoim życiu — rzucając się w ogień. Hump McDaniels usiłował stać się honorową kobietą, to wszystko. W czasie pracy w policji Norman widział, jak podobni wariaci zmieniają się w zagorzałych przeciwników narkomanii, dewotów i zwolenników Perota. W głębi duszy pozostawali takimi samymi jednowymiarowymi dupkami, jak zawsze śpiewając tę samą starą piosenkę, tylko w innej tonacji. Lecz to nie było ważne. Najważniejsze okazało się to, że zawsze znajdowali się w pobliżu, kręcąc się wokół sceny, na którą chcieli wejść. Byli jak piasek na pustyni albo sople na Alasce. I dlatego Norman miał pewność, że Hump zostanie uznany za Humpa, jeśli nawet oczekiwano tam inspektora Danielsa. Najbardziej cyniczne z nich będą skłonne wziąć go za napalonego inwalidę stosującego typowe podejście „na mądrego i wrażliwego”, żeby załatwić sobie obłapkę na sobotnią noc. Przy odrobinie szczęścia Hump McDaniels będzie widoczny, a jednocześnie nie zauważany, podobnie jak gość na szczudłach przebrany za Wuję Sama podczas parady z okazji 4 lipca.

Pozostała część planu była nieskomplikowana. Znajdzie główne skupisko kobiet z tego domu i będzie je obserwował jako Hump McDaniels — ich zabawy, rozmowy, piknik. Kiedy ktoś przyniesie mu hamburgera, prażoną kukurydzę lub kawałek ciasta, co któraś pomocna cipa z pewnością zrobi (żadna propaganda nie zdoła wykorzenić z nich głębokiej potrzeby karmienia mężczyzn — czysty instynkt, mój Boże!), on przyjmie i podziękuje, a potem zje co

do okruszka. Będzie odpowiadał, kiedy go zapytają, a jeśli wygra wypchanego zwierzaka, rzucając kółkiem lub grając w Pitch Til U Win, podaruje go jakiemuś dzieciakowi... przez cały czas pamiętając, żeby nawet nie pogłaskać bachora po główce: w dzisiejszych czasach to może wystarczyć, by zamknąć człowieka pod zarzutem molestowania nieletnich.

Przede wszystkim będzie patrzył. Szukał swojej dzikiej Róży. Będzie mógł to robić bez trudu, gdy już zaakceptują go jako fragment sceny: był mistrzem sztuki śledzenia. Kiedy ją znajdzie, mógłby załatwić sprawę tutaj, na nabrzeżu, gdyby chciał: po prostu zaczekałby, aż pójdzie do kibla, ruszył tam za nią i skręcił jej kark jak kurczakowi. W kilka sekund byłoby po wszystkim i na tym oczywiście polegał problem. Nie chciał, żeby załatwić sprawę w kilka sekund. Chciał, żeby to trwało. Miał zamiar przeprowadzić z nią długą, spokojną pogawędkę. Wydobyć z niej wyczerpujące sprawozdanie o wszystkich jej poczynaniach, po tym jak wyszła z domu z jego kartą kredytową w kieszeni. Pełny raport, można rzec, od zupy do deseru. Na przykład zapyta ją, czy było jej przyjemnie, kiedy wystukiwała jego hasło, i dowie się, czy miała orgazm, kiedy pochyliła się, by zgarnąć gotówkę z okienka — pieniądze, na które on pracował, pieniądze, które zarobił, zostając po godzinach i przymykając gnojków, którzy zrobiliby wszystko i każdemu, gdyby nie powstrzymywali ich tacy faceci jak on. Chciał ją zapytać, jak kiedykolwiek mogła sądzić, że ujdzie jej to na sucho. Jak mogła myśleć, że jemu umknie.

A kiedy już opowie mu, wszystko, co chciał wiedzieć, on porozmawia sobie z nią.

Tyle że słowo „rozmawiać” chyba niedokładnie opisywało to, co miał na myśli.

Pierwszy krok to znaleźć ją. Drugi — obserwować z bezpiecznej odległości. Trzeci krok to pójść za nią, kiedy w końcu

będzie miała dość i wyjdzie z zabawy... pewnie po koncercie, może wcześniej, jeśli dopisze mu szczęście. Zaraz po wyjściu z wesołego miasteczka pozbędzie się inwalidzkiego fotela. Pozostaną na nim odciski palców (para motocyklowych rękawic załatwiłaby ten problem, a ponadto uwiarygodniłaby postać Humpa McDanielsa, ale miał za mało czasu, by je zorganizować, nie wspominając już o jego „specjałach” — tych okropnych bólach głowy), ale nie szkodzi. Miał wrażenie, że odciski palców będą najmniejszym z czekających go problemów.

Chciał dopaść ją w jej mieszkaniu i sądził, że prawdopodobnie zdoła. Kiedy ona wsiądzie do autobusu (to będzie autobus; nie miała samochodu, a nie traciłaby pieniędzy na taksówkę), on będzie tuż za nią. Jeżeli przypadkiem zauważy go między Ettinger's Pier a meliną, w której odstawia numerki, zabije ją na miejscu i do diabła z konsekwencjami. Jeśli jednak wszystko dobrze pójdzie, wpadnie za nią, gdy tylko otworzy drzwi, a po drugiej stronie tych drzwi będzie cierpiała, jak jeszcze nie cierpiała żadna kobieta na świecie.

Norman potoczył wózek do budki z napisem BILETY NA CAŁY DZIEŃ, zobaczył, że wstęp dla dorosłych kosztuje dwanaście dolarów, wręczył pieniądze facetowi w kasie i skierował się w głąb parku. Miał wolną drogę; było wcześniej i na nabrzeżu jeszcze nie zrobiło się tłoczno. Oczywiście ta sytuacja miała pewne minusy. Będzie musiał zachować ostrożność, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. Jednak robi to. Przecież...

— Koleś! Hej, koleś! Wracaj tu!

Norman natychmiast zatrzymał wózek, kurczowo ściskając kółka, pustym wzrokiem spoglądając na statek widmo i stojącego na dziobie, gigantycznego robota w staroświeckim kapitańskim mundurze. „*Ahoy*, tu terror, brachu!” — wołał raz po raz kapitan statku robotów monotonnym, mechanicznym głosem. Nie, przecież miał nie zwracać na siebie uwagi... a tymczasem właśnie to robił.

— Hej, łysy! Ty na wózku!

Ludzie odwracali się i patrzyli na niego. Wśród nich była gruba czarna suka w czerwonej kombinacji, baba wyglądająca na dwukrotnie głupszą od sprzedawcy w The Base Camp — tego z zajęczą wargą. Ponadto wydawała się dziwnie znajoma, ale Norman potraktował to

jako przejaw paranoi — nie znał w tym mieście nikogo. Odwróciła się i poszła dalej, ściskając torebkę wielkości walizki, ale wiele innych ludzi wciąż gapiło się na niego. Nagle Norman poczuł, że ma kroczki mokre od potu.

— Hej, człowieku, wracaj! Nie wzięłeś reszty!

Przez chwilę nie mógł zrozumieć sensu tych słów, jakby tamten mówił w jakimś obcym języku. Potem zrozumiał i poczuł ogromną ulgę, połączoną z niesmakiem z powodu własnej głupoty. Oczywiście dał kasjerowi za dużo. Zapomniał, że nie jest Dorosłym, lecz Inwalidą.

Obrócił wózek i podtoczył go pod budkę. Wychylający się z niej facet był gruby i zdawał się patrzeć na Normana z takim samym niesmakiem, jak Norman na siebie. Podał Normanowi banknot pięciodolarowy.

— Siedem dolarów, nie umiesz czytać? — zapytał, najpierw wskazując banknotem napis nad kasą, a potem podsuwając mu piątkę pod nos.

Norman przez moment zachwycił się wizją grubasa, któremu wpycha tę piątkę w dupę rozżarzonym do czerwoności pogrzebaczem, a potem wziął banknot i schował go do jednej z licznych kieszeni kurtki.

— Przepraszam — rzekł pokornie.

— Tak, tak — powiedział facet w budce i odwrócił się. Norman z walącym sercem oddalił się na fotelu w głąb parku. Starannie opracował postać... ułożył prosty, lecz skuteczny plan, aby osiągnąć cel... a potem, na samym początku, zrobił coś nie tyle głupiego, ile niewiarygodnie głupiego. Co się z nim dzieje?

Nie wiedział, ale od tej pory postara się unikać takich wpadek.

— Mogę tego dokonać — mrucał do siebie. — Mogę, do cholery.

— *Ahoy*, tu terror, brachu! — zawołał robot-żeglarz do przejeżdżającego obok Normana. W jednej ręce trzymał fajkę z kolby kukurydzy, o cybuchu wielkości miski klozetowej. — *Ahoy*, tu terror, brachu! *Ahoy*, tu terror, brachu!

— Jak sobie życzysz, kapitanie — mruknął pod nosem Norman i pojechał dalej. Dotarł do rozgałęzienia ze strzałkami kierującymi na nabrzeże, podium i teren piknikowy. Obok tej, która wskazywała drogę na piknik, była mała tablica głosząca: GOŚCIE CÓREK I SIÓSTR — POSIŁEK W POŁUDNIE I O SZÓSTEJ, KONCERT O ÓSMEJ. PRZYJDŹ! BAW SIĘ Z NAMI!

Możecie być tego pewne — pomyślał Norman i skierował pooklejany wózek na jedną z betonowych, obramowanych rabatami alejek prowadzących na teren piknikowy. W rzeczywistości był to park, na dodatek ładny. Znajdował się tam plac zabaw dla dzieci, dla których jazda na karuzeli okazała się zbyt nudna lub stresująca. Były tam krzewy poprzycinane na kształt wesołych zwierzątek, takich jak w Disneylandzie, stanowiska do rzucania podkowami, plac do softballu i mnóstwo drewnianych stołów. W brezentowym namiocie o otwartych bokach Norman dostrzegł ubranych na biało kucharzy, szykujących *barbecue*. Za namiotem stał rząd straganów, najwidoczniej postawionych tylko na ten dzień — w jednym można wylosować ręcznie szytą pościel, w drugim podkoszulki (na wielu widniały te same hasła, jakie zdobiły fotel na kółkach Humpa), a w jeszcze innym nabyć broszurkę na dowolny temat... jeśli ktoś chciał się dowiedzieć, jak porzucić męża i znaleźć szczęście wśród swoich duchowych sióstr-lesbijek.

Gdybym miał broń — pomyślał — coś ciężkiego i szybkostrzelnego, jak mac-10, w dwadzieścia sekund mógłbym uczynić świat o wiele lepszym miejscem. O wiele lepszym.

Większość obecnych tam to kobiety, ale było też wystarczająco wielu mężczyzn, żeby Norman nie rzucał się w oczy. Przejechał koło straganów, robiąc dobre wrażenie, odpowiadając ukłonem na ukłon, uśmiechem na uśmiech. Obstał numer, który mógł wygrać śnieżnobiałą pościel, podając się za Richarda McDanielsa. Może przedstawianie się jako Hump nie było takim dobrym pomysłem — nie tutaj. Wybrał broszurkę zatytułowaną *Kobiety również mają prawa do nieruchomości* i powiedział lesbie siedzącej za straganem, że

zamierza posłać książeczkę swojej siostrze Jeannie, mieszkającej w Topeka. Lesbija uśmiechnęła się i życzyła mu miłego dnia. Norman odpowiedział uśmiechem i życzył jej tego samego. Interesowało go wszystko, a szczególnie jedna osoba: Rose. Jeszcze jej nie dostrzegł, ale nic nie szkodzi: było wcześniej. Miał prawie pewność, że ona pojawi się tu na południowym posiłku, a kiedy ją zobaczy, wszystko będzie w porządku, wszystko będzie w porządku, wszystko będzie w najlepszym porządku. No dobrze, trochę spieprzył sprawę przy kasie i co z tego? To już minęło i niczego więcej nie spieprzy. Na pewno nie.

— Masz ekstra wózek, przyjacielu — powiedziała wesoło młoda kobieta w szortach z materiału w leopardzie cętki. Trzymała za rękę małego chłopca. Ten ścisnął w wolnej ręce kubek z wiśniowym jogurtem, który próbował rozsmarować sobie po całej twarzy. Dla Normana wyglądał jak światowej klasy świr. — I ekstra pozdrowienia.

Nadstawiła dłoń, żeby w nią klepnąć, a Norman pomyślał — tylko przez moment — jak szybko zniknąłby z jej twarzy ten głupi uśmiezek typu „współczuję kalekom”, gdyby odgryzł jej kilka palców zamiast przybić piątkę, jak oczekiwała. Norman bez zdziwienia zauważył, że nie miała na palcu obrączki, chociaż bękart z wiśniowym gównem na twarzy był podobny do niej.

Ty zdiro — pomyślał. — Patrzę na ciebie i widzę, co jest nie tak z tym popierdolonym światem. Co ty robisz? Pozwalasz, by jedna z twoich koleżanek wsadzała ci tłuczek do kartofli?

Uśmiechnął się i lekko klasnął w jej nadstawioną dłoń.

— Dzięki, dzięki, dzięki — rzekł.

— Masz tu przyjaciółkę? — zapytała kobieta. Należała do tych, co lubią zadawać pytania.

— Tak, ciebie — odparł szybko. Roześmiała się zadowolona.

— Dziękuję, ale wiesz, co miałam na myśli.

— Nie, tak tylko wpadłem. Jeżeli przeszkadzam albo jeśli to prywatna impreza, zawsze mogę spłynąć.

— Nie, nie! — zareagowała, wyraźnie przestraszona, że mógł tak pomyśleć... zgodnie z przewidywaniami Normana. — Zostań. Patrz. Baw się. Przynieść ci coś do jedzenia? Zrobię to z przyjemnością. Waty cukrowej? Może hot doga?

— Nie, dziękuję — odparł Norman. — Jakiś czas temu miałem wypadek na motocyklu, tak dorobiłem się tego ślicznego fotela. — Ta suka ze współczuciem kiwała głową; gdyby chciał, w trzy minuty doprowadziłyby ją do płaczu. — Od tej pory straciłem apetyt. — Uśmiechnął się do niej niepewnie. — Mimo to cieszę się życiem, na Boga!

Roześmiała się.

— To dobrze. Życzę miłego dnia. Kiwnął głową.

— Wzajemnie. Tobie też życzę miłego dnia, synu.

— Jasne — mruknął niezachęcająco dzieciak i spojrzał wrogo na Normana znad wysmarowanych wiśniowym jogurtem policzków. Norman przez chwilę poczuł prawdziwe przerażenie, gdyż wydało mu się, że chłopiec zagląda w niego i widzi prawdziwego Normana, kryjącego się za wygoloną głową Humpa McDanielsa i skórzaną kurtką z licznymi zamkami. Powiedział sobie, że to po prostu kolejny przejaw paranoi, nic więcej — w końcu wkradł się w przebraniu między wrogów, a w takich okolicznościach trudno nie mieć skłonności do paranoi — lecz mimo wszystko szybko się oddalił.

Myślał, że kiedy odejdzie od dzieciaka o wrogim spojrzeniu, poczuje się lepiej, ale nie. Przelotny przypływ optymizmu zastąpiła mrowiąca niepewność. Zbliżało się południe, za jakieś piętnaście minut ludzie mieli zasiąść do stołów, a jej w dalszym ciągu nie było. Niektóre z kobiet jeździły na kolejce górskiej i może Rose była wśród nich, ale nie wydawało mu się to prawdopodobne. Rose nie lubiła takich rzeczy.

Tak, masz rację, nie lubiła... ale może się zmieniała — szeptał mu wewnętrzny głos. Zaczął mówić coś jeszcze, ale Norman brutalnie zamknął mu pysk, zanim zdążył powiedzieć

cokolwiek. Nie chciał słuchać tych bzdur, chociaż wiedział, że Rose musiała jakoś się zmienić, inaczej byłaby w jego domu, prasowała jego koszule w każdy wtorek, a to wszystko by się nie zdarzyło. Świadomość, że Rose zmieniła się tak, iż wyszła z domu z tą cholerną kartą kredytową, tkwiła w jego głowie z gryzącą, zacieklą siłą, którą ledwie mógł znieść. Na myśl o tym wpadał w panikę, jakby na piersi miał jakiś ogromny ciężar.

Opanuj się — powiedział sobie. — Właśnie to musisz zrobić. Myśl o tym tak, jakbyś czekał w zasadzce, co robiłeś już z tysiąc razy. Jeśli tak to potraktujesz, wszystko będzie dobrze. Powiem ci coś, Normie: zapomnij, że szukasz Rose. Zapomnij o tym, dopóki jej nie zobaczysz.

Spróbował. Pomogło mu to, że dotychczas wszystko szło zgodnie z planem; Hump McDaniels został zaakceptowany jako element scenerii. Dwie dziwy noszące podkoszulki z obciętymi rękawami, żeby pokazać swoje nadmiernie rozwinięte mięśnie, na chwilę wciągnęły go do gry w ringo, a babsztyl z jasnymi włosami i paskudnymi żyłakami na nogach przyniósł mu jogurt, ponieważ zdaniem głupiego babsztyla wyglądał naprawdę nieszczęśliwie, tkwiąc w tym fotelu. „Hump” podziękował jej wylewnie i powiedział, że owszem, trochę mu gorąco. Ale nie na twój widok, moja droga — pomyślał, gdy odchodziła. — Nic dziwnego, że trzymasz z lesbijkami, nie złapałabyś żadnego faceta, nawet gdyby od tego zależało twoje życie. Jogurt za to był niezły — zimny — i zjadł go łapczywie.

Cała sztuka w tym, żeby nie zatrzymywać się za długo w jednym miejscu. Przejechał od piknikujących do stanowisk rzutu podkowami, gdzie dwóch niedołęgów grało przeciw dwóm równie niezdatnym kobietom. Norman doszedł do wniosku, że mogą tak grać do zachodu słońca. Minął namiot — — kuchnię, gdzie pierwsze hamburgery schodziły z grilla, a sałatkę ziemniaczaną rozkładano na półmiski. W końcu ruszył w kierunku podium i wesołego miasteczka, jadąc ze spuszczoną głową, zerkając ukradkiem na kobiety podchodzące teraz do stołów, popychające wózki, niosące pod pachą trofea. Nie było wśród nich Rose.

Nie było jej nigdzie.

7

Norman był zbyt zajęty poszukiwaniem Rose, aby zobaczyć, że Murzynka, która zauważyła go przedtem, zwróciła na niego uwagę i teraz. To była niezwykle duża kobieta, rzeczywiście trochę podobna do Williama „Lodówki” Perry’ego.

Gert stała na placu zabaw, pilnując chłopczyka na huśtawce. Potrząsnęła głową, jakby porządkując myśli. Wciąż patrzyła na kalekę w motocyklowej kurtce, chociaż teraz widziała go tylko od tyłu. Na oparciu wózka zobaczyła przyklejoną nalepkę. **JESTEM MĘŻCZYZNĄ, KTÓRY SZANUJE KOBIETY.**

Jesteś także mężczyzną, który wygląda znajomo — pomyślała Gert. — Czy też po prostu wyglądasz jak jakiś aktor?

— Dalej, Gert! — rozkazał malec Melanie Huggins. — Pchaj! Chcę lecieć wysoko! Chcę zrobić pętlę!

Gert popchnęła go wyżej, chociaż mały Stanley na pewno nie zatoczy pętli — nie w tych czasach, kiedy wszyscy procesują się ze wszystkimi. Mimo to cieszyła ją jego radość; ona też uśmiechnęła się. Popchnęła go jeszcze wyżej, odsuwając myśl o mężczyźnie na wózku. Odsuwając ją na razie.

— Chcę zrobić pętlę, Gert! Proszę! No już, proooszę! No cóż — pomyślała Gert — może raz mu nie zaszkodzi.

— Trzymaj się, Stan — powiedziała. — Lecimy.

Norman jechał dalej nawet wtedy, kiedy wiedział już, że minął ostatnich nadchodzących uczestników pikniku. Czuł, że lepiej nie pokazywać się tam, gdzie kobiety z Córek i Sióstr oraz ich przyjaciółki będą jadły posiłek. Ponadto był bliski paniki i obawiał się, że jeśli będzie się tu kręcił, ktoś może zauważyć, że coś jest z nim nie tak. Rose powinna tu być i do tej pory powinien ją już znaleźć, tymczasem nic z tego. Co więcej, nie wyczuwał, żeby tu była, a to już zupełnie nie miało sensu. Przecież to mysz, rany boskie, zwykła mysz, i jeśli nie ma jej tutaj, wśród jej koleżanek mysich cipek, to gdzie się podziała? Dokąd mogła pójść, jeśli nie tu?

Przejechał pod łukowatą bramą z napisem ZAPRASZAMY NA PODIUM i ruszył szeroką alejką, nie przejmując się zbytnio, jak jedzie. Odkrywał właśnie, że dobrą stroną poruszania się na wózku było to, że nie trzeba uważać na ludzi, bo ludzie uważali na wózek.

W parku robiło się tłoczno, co nie było złe, lecz poza tym nic nie szło dobrze. Znów łupało go w głowie, a w tłumie przechodniów czuł się dziwnie, jakby w jego ciele zagnieździła się jakaś obca istota. Na przykład, dlaczego tak wielu z nich się śmieje, na Boga? Czy oni nie rozumieją, jaki jest ten świat?

Czy nie widzą, że wszystko — wszystko! — lada chwila zejdzie na psy? Z przestrachem stwierdził, że wszyscy wydawali mu się pedałami i lesbijami, wszyscy, jakby świat zmienił się w bagno homoseksualistów, złodziejek i kłamców, a nikt nie miał już cienia szacunku do spoiwa zapewniającego społeczeństwu trwałość.

Ból głowy narastał i znów wokół krawędzi przedmiotów zaczęły się pokazywać jasne, małe zygzaki. Dobiegające zewsząd odgłosy stały się rozwścieczająco głośnie, jakby jakiś okrutny gnom w jego głowie przejął kontrolę i stopniowo zwiększał głośność do maksimum. Łoskot wagoników wtaczających się na pierwsze wzniesienie kolejki górskiej przypominał lawinę, a wrzaski pasażerów toczącego się w dół składu rozdarły mu uszy jak szrapnele. Urządzenia parowe wychrzakujące swoje dźwięki, elektroniczny gwar z salonu gier wideo, owadzie brzęczenie gokartów przyśpieszających na torze... wszystkie te odgłosy szalały w jego oszołomionym i przestraszonym umyśle jak wygłodniałe monstra. A najgorszym, zagłuszającym inne i wbijającym się jak tępe ostrze topora w jego mózg, było nawoływanie mechanicznego żeglarza na dziobie statku widma. Norman czuł, że jeśli jeszcze raz wysłucha „*Ahoy*, tu terror, brachu!”, to jego umysł trzaśnie jak sucha gałąź. Albo po prostu zerwie się z tego durnego, pierdolonego fotela i z wrzaskiem...

Przestań, Normie.

Wjechał na małą pustą przestrzeń między budką z pączkami i drugą, z porcjowaną pizzą. Tam przystanął, odwrócony plecami do przewalających się ludzi. Norman zawsze słuchał tego głosu. Ten głos powiedział mu przed dziewięciu laty, że jedynym sposobem zamknięcia ust Wendy Yarrow jest zabić ją, a także ten głos w końcu przekonał go, żeby zabrał Rose do szpitala, kiedy miała złamane żebro.

Normie, zupełnie zwariowałaś — ostrzegął go teraz ten chłodny, spokojny głos. — Według standardów sal sądowych, na których zeznawałaś tysiące razy, jesteś trzepnięty jak mucha pod packą. Wiesz o tym, prawda?

Zza jeziora nadleciało słabe wołanie: „*Ahoy*, tu terror, brachu!”

Normie?

— Taak — szepnął. Zaczął masować obolałe skronie czubkami palców. — Taak, chyba wiem.

Dobrze; człowiek może wykorzystać swoje wady... jeżeli tylko zda sobie z nich sprawę. Musisz dowiedzieć się, gdzie ona jest, a to oznacza podejmowanie ryzyka. Przecież ryzykowałeś już przychodząc tu, no nie?

— Taak — powiedział. — Taak, tatusiu, masz rację.
W porządku, koniec z tym gównem. Posłuchaj mnie, Normie.
Norman posłuchał.

9

Gert jeszcze przez chwilę kołysała Staną Hugginsa na huśtawce, przy czym jego dopominanie się o „jeszcze jedną małą pętlę” stawało się coraz bardziej męczące. Nie miała zamiaru robić tego ponownie: przy pierwszej próbie o mało nie spadł i przez moment Gert była pewna, że zaraz dostanie przez czorta ataku serca.

Ponadto wróciła myślami do tamtego faceta. Tego łysego.

Czyżby znała go skądś? Czy tak?

Czy to mógł być mąż Rosie?

Och, to czyste szaleństwo. Totalna paranoja.

Zapewne tak. Prawie na pewno. To skojarzenie dręczyło ją. Wzrost ten sam... chociaż trudno to ocenić, kiedy widzi się faceta na wózku inwalidzkim, no nie? Oczywiście taki cwaniak jak mąż Rosie wiedziałby o tym.

Daj spokój. Przesadzasz z podejrzliwością. Uspokój się, dobra?

Stan miał dość huśtania i poprosił Gert, żeby weszła z nim na drabinki. Uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową.

— Dlaczego nie? — nadał się.

— Dlatego że twoja stara kumpela Gert nie chodziła po drabinkach, od kiedy wyrosła z pieluch i gumowych majtek — powiedziała. Obok zjeżdżalni zobaczyła Randi Franklin i nagle podjęła decyzję. Jeśli tego nie wyjaśni, popadnie w manię. Poprosiła Randi, żeby przez chwilę popilnowała Staną. Młoda kobieta zgodziła się, a Gert nazwała ją aniołem, którym Randi zdecydowanie nie była... jednak drobne pochlebstwo jeszcze nigdy nikomu nie zaszkodziło.

— Dokąd idziesz, Gert? — spytał wyraźnie rozczarowany Stanley.

— Muszę coś załatwić, chłopie. Skocz tam i pojeżdżaj sobie trochę z Andrea i Paulem.

— Zjeżdżanie jest dla dzieci — stwierdził ponuro Stan, ale usłuchał.

10

Gert poszła ścieżką prowadzącą z terenu rekreacyjnego na główną aleję, a tam skierowała się do kas przy wyjściu. Zarówno przy kasie z biletami na cały dzień, jak i na połowę dnia stały długie kolejki, a była prawie pewna, że człowiek, z którym chciała porozmawiać, nie okaże się pomocny — widziała go przy pracy.

Tylne drzwi obu budek były otwarte. Gert jeszcze chwilę stała w miejscu, zbierając siły, a potem podeszła do nich. Nigdy nie pełniła żadnej funkcji w Siostrach i Córkach, ale kochała Annę. To ona pomogła jej uwolnić się od mężczyzny, który dziewięć razy posłał Gert na pogotowie, kiedy miała szesnaście — dziewiętnaście lat. Teraz skończyła trzydzieści siedem i przez niemal piętnaście lat była nieformalną zastępczynią Anny. Uczenie maltretowanych nowo przybyłych tego, czego nauczyła ją Anna — że nie wolno im poddawać się brutalnym mężom, chłopcom, ojcom i ojczymom — było tylko jednym z jej zadań. Uczyła samoobrony (nie po to, żeby ratować ich życie, lecz ocalić godność); pomagała Annie organizować imprezy takie jak ta, zapewniające fundusze; wspólnie ze starą i wątlą księgową starała się zapewnić znośne samofinansowanie przytułku. A w razie potrzeby starała się jak najlepiej

pełnić obowiązki ochroniarza. Właśnie w tej roli zamierzała wystąpić teraz; nacisnęła zatrzask torebki. Mieściło się w niej przenośne biuro Gert.

— Przepraszam pana — powiedziała, zaglądając w otwarte drzwi. — Mogę zamienić z panem słowo?

— Reklamacja na lewo od statku widma — odparł, nie odwracając się. — Jeśli ma pani problem, proszę udać się tam.

— Nie o to chodzi — oznajmiła Gert. Odetchnęła głęboko i starała się mówić spokojnie. — Mam problem i tylko pan może mi pomóc.

— To będzie dwadzieścia cztery dolary — rzekł bileter do młodej pary po drugiej stronie okienka — a oto sześć dolarów reszty. Miłej zabawy. — Potem zwrócił się do Gert, nie odwracając głowy: — Miła pani, jestem bardzo zajęty, jeśli pani tego nie zauważyła. Dlatego jeżeli zamierza pani skarżyć się, że losowania są ukartowane albo coś w tym stylu, to proszę pójść do reklamacji i...

Dość tego: Gert nie miała ochoty słuchać, jak ten facet każe jej iść dokądkolwiek, szczególnie że mówił tym nieznośnym tonem typu świat–jest–pełen–głupców. Może świat jest pełen głupców, ale ona do nich nie należała i wiedziała coś, o czym ten nadęty idiota nie miał pojęcia: Peter Słowik został ugryziony przeszło osiemdziesiąt razy i możliwe, że człowiek, który to zrobił, był teraz tutaj, szukając swojej żony. Weszła do budki — z trudem, ale wcisnęła się — i złapała biletera za ramiona okryte niebieską koszulą munduru. Obróciła faceta do siebie. Plakietka na jego piersi głosiła CHRIS. Chris wytrzeszczył oczy na widok czarnej twarzy Gert Kinshaw, zaskoczony tym, że tarnosi go jakiś klient. Otworzył usta, ale Gert nie dopuściła go do głosu.

— Zamknij się i słuchaj. Myślę, że dziś rano mogłeś sprzedać bilet bardzo niebezpiecznemu człowiekowi. Mordercy. Tak więc nie opowiadaj mi, jaki ciężki miałeś dziś dzień, Chris, bo nic–mnie–to–kurwa–nie obchodzi!

Chris wybałuszył oczy ze zdziwienia. Zanim odzyskał głos i pewność siebie, Gert wyjęła ze swej ogromnej torebki lekko nieostre zdjęcie i podsunęła mu pod nos. „Detektyw Norman Daniels, dowodzący tajną grupą agentów, którzy rozbili szajkę handlarzy narkotyków”, głosił podpis pod fotografią.

— Powinna pani zgłosić się do ochrony — rzekł Chris. W jego głosie usłyszała urazę i lęk. Mężczyzna stojący na początku kolejki — w idiotycznej czapeczce Mr. Magoo i podkoszulku z napisem: NAJWSPANIALSZY DZIADEK NA ŚWIECIE — nagle uniósł kamerę wideo i zaczął kręcić, może przewidując starcie, które mógłby sprzedać którejś sieci telewizyjnej.

Gdybym wiedziała, jaka to frajda, nie zastanawiałabym się ani chwili — pomyślała Gert.

— Nie, nie są mi potrzebni; przynajmniej na razie. Chcę rozmawiać z panem. Proszę. Niech pan tylko spojrzy i powie czy...

— Proszę pani, czy pani wie, ilu ludzi przechodzi tędy przez jeden...

— Niech pan pomyśli o facecie na wózku. Wcześniej. Zanim zaczął się ruch. Wielki facet. Łysy. Wychylił się pan z budki i krzyczał za nim. On zawrócił. Musiał zapomnieć reszty albo czegoś.

W oczach Chrisa zapalił się błysk zrozumienia.

— Nie, to nie tak — rzekł. — On myślał, że dał mi tyle, ile powinien. Wiem, że tak, bo to była dycha i dwie jedynki. Albo zapomniał, że inwalidzi mają zniżkę, albo nie wiedział o tym.

Taak — pomyślała Gert. — Człowiek, który tylko udawał kalekę, mógł o tym zapomnieć, jeśli myślał o czymś innym.

Mr. Magoo, dochodząc do wniosku, że jednak nie doczeka się wymiany ciosów, opuścił kamerę.

— Czy zechciałby pan sprzedać bilet dla mnie i dla mojego wnuka? — zapytał przez okienko.

— Śpiesz się powoli — mruknął Chris. Naprawdę czarujący z niego gość, ale Gert nie

miała teraz czasu, aby udzielać mu wskazówek, jak mógłby poprawić swój wizerunek. Musiała postępować dyplomatycznie. Kiedy znów spojrzał na nią, znużony i wytrącony z równowagi, ponownie podsunęła mu zdjęcie i powiedziała tonem powiedz-mi-o-mądry-panie:

— Czy to był ten mężczyzna w wózku? Proszę wyobrazić go sobie bez włosów.

— No dajże pani spokój! Przecież miał na nosie ciemne okulary.

— Spróbuj. On jest niebezpieczny. Jeśli istnieje choć cień podejrzenia, że może tu być, pójdę do ludzi z ochrony.

Bach, błąd. Zrozumiała to od razu, ale i tak kilka sekund za późno. Błysk w jego oku był przelotny, lecz łatwy do zrozumienia. Jeśli zamierzała rozmawiać z ochroną o czymś, co go nie dotyczy, to w porządku. Jeśli jednak sprawa dotyczyła go, choćby pośrednio, to wcale nie było w porządku. Może miał już kłopoty z ochroną, a może po prostu został zrugany za to, że jest takim zapalczywym dupkiem. W każdym razie doszedł do wniosku, że całe to zamieszanie nie jest mu potrzebne.

— To nie ten facet — oznajmił. Przedtem wziął fotografię, żeby dokładnie ją obejrzeć. Teraz próbował ją zwrócić. Gert uniosła obie dłonie nad imponująco obfity biust, odmawiając na razie przyjęcia fotografii.

— Proszę — powiedziała. — Jeśli on tu jest, to szuka mojej przyjaciółki i wcale nie po to, żeby przejechać się z nią na karuzeli.

— Hej! — wrzasnął ktoś z rosnącej kolejki. — Chcemy wejść!

Rozległy się okrzyki poparcia i Najwspanialszy Dziadek Na Świecie znów przyłożył kamerę do ramienia. Tym razem wydawał się zainteresowany jedynie nowym przyjacielem Gert, Panem Sympatycznym. Gert zobaczyła, jak patrzy na niego, zobaczyła, jak policzki nabiegają mu krwią i jak przesuwają dłońią po twarzy, niczym łotr wychodzący z wyrokiem skazującym z sali sądu okręgowego. Straciła jakąkolwiek szansę na to, że dowie się tu czegoś.

— To nie ten facet! — warknął Chris. — Tamten wyglądał zupełnie inaczej! A teraz zabieraj stąd swój tłusty tyłek albo każę cię wyrzucić z parku!

— I kto to mówi! — prychnęła Gert. — Mogłabym postawić obiad z dwunastu dań na tym, co wisi ci z tyłu, a w szparę pośrodku nie dałoby się wepchnąć nawet widelca.

— Wynos się! Już!

Gert pomaszerowała z powrotem na teren rekreacyjny, czerwona ze złości. Czuła się jak idiotka. Jak mogła tak schrzanić sprawę? Usiłowała sobie wmówić, że wszystkiemu winne to miejsce — zbyt gwarne, zbyt denerwujące, zbyt wielu ludzi biegających wokół, rozbawionych — lecz to nie było prawda. Przestraszyła się, dlatego tak się stało. Myśl, że mąż Rosie mógł zabić Petera Słowika, była okropna, ale myśl, że mógł być teraz tutaj, przebrany za sparalizowanego motocyklistę, była tysiąc razy gorsza. Spotykała się już z szaleństwem, ale szaleństwo połączone z profesjonalizmem i obsesyjną determinacją...

Gdzie właściwie była Rosie? Nie ma jej tutaj. Jeszcze nie — poprawiła się.

— Schrzaniłam sprawę — mruknęła pod nosem, a potem przypomniała sobie to, co mówiła prawie każdej kobiecie przybywającej do Córek i Sióstr: „Jeśli dowiesz się czegoś, jest twoje”.

No dobrze. Teraz to jest jej sprawa. Co oznaczało, że ochronę parku trzeba z tego wyłączyć, przynajmniej na razie — przekonanie ich mogło okazać się niemożliwe, a na pewno trwałoby za długo. Widziała, jak ten łysy w fotelu kręcił się po terenie, rozmawiając z różnymi ludźmi, przeważnie z kobietami. Lana Kline nawet przyniosła mu coś do jedzenia. Chyba lody.

Gert pośpieszyła z powrotem na teren rekreacyjny; cisnął ją pęcherz, ale zignorowała to. Szukała Lany albo jednej z kobiet, które rozmawiały z łysym, lecz to było tak jak z poszukiwaniem gliniarza — nigdy żadnego nie ma w pobliżu, kiedy jest potrzebny.

A teraz naprawdę musiała pójść do toalety; nie mogła już wytrzymać. Po co piła tyle tej

cholery mrożonej herbaty?

11

Norman powoli toczył fotel po alejce wesołego miasteczka, w kierunku piknikujących. Kobiety wciąż jadły, ale niebawem miały skończyć — widział, że roznoszono już tace z deserem. Musi działać szybko, jeśli chce coś zrobić, dopóki wszystkie są w jednym miejscu. Nie bał się; strach minął. Norman wiedział, gdzie ma pójść, żeby znaleźć jakąś kobietę samą, samą, z którą mógłby porozmawiać w cztery oczy. „Kobiety nie potrafią trzymać się z dala od łazienek, Normie — mówił mu ojciec. — Są jak psy, które nie ominą żadnego przekłętego krzaka bzu, żeby go nie obsikać”.

Norman szybko przetoczył wózek obok tablicy z napisem: DO TOALET.

Tylko jedną — myślał. — Tylko jedną idącą samotnie, która powie mi, gdzie poszła Rosie, skoro nie ma jej tu. Jeżeli jest w San Francisco, pojedę tam za nią. Jeżeli w Tokio, pojedę tam. Pojadę nawet do piekła, jeśli tam poszła. Dlaczego nie? I tak pewnie tam skończymy, mieszkając we wspólnym domu.

Minął niewielką kępę ozdobnych palm i zjechał po łagodnym stoku w kierunku pozbawionego okien budynku z czerwonej cegły, z drzwiami na każdym końcu. Norman przejechał obok drzwi z napisem KOBIECY i zaparkował fotel przy bocznej ścianie budynku. Z punktu widzenia Normana to było bardzo dogodne stanowisko — wąski pas gołej ziemi, rząd plastikowych kubłów na śmieci i płot dający osłonę. Wstał z fotela i wyjrzał zza rogu budynku, coraz dalej wystawiając głowę, aż zobaczył całą ścieżkę. Znów czuł się dobrze, był spokojny i skupiony. Głowa wciąż go bolała, ale łupanie przeszło w tępe pulsowanie.

Z kępy palm wyszły dwie kobiety — nic z tego. Oczywiście to była największa wada miejsca, jakie wybrał na zasadzkę; to, że kobiety tak często chodzą do ubikacji parami. Co one tam robią, na rany boskie? Macają się?

Te dwie weszły do środka. Norman słyszał je przez najbliższy otwór wentylacyjny, jak śmiały się i rozmawiały o kimś imieniem Fred. Fred to, Fred tamto, Fred jeszcze coś innego. Najwidoczniej Fred to kawał chłopca. Za każdym razem gdy opowiadająca robiła przerwę, żeby złapać oddech, druga chichotała tak przeraźliwie, że Norman miał wrażenie, iż ktoś turla mu mózg po tłuczonym szkłe, jak piekarz obtaczający ciasto w cukrze. Ale został na swoim miejscu, z którego mógł obserwować ścieżkę, i stał zupełnie nieruchomo, tylko jego dłonie otwierały się i zaciskały, otwierały i zaciskały.

W końcu wyszły, w dalszym ciągu rozmawiając o Fredzie i chichocząc. Szły tak blisko siebie, że ocierały się biodrami i ramionami, a Norman z trudem opanował chęć, by skoczyć za nimi, złapać za te kurewskie łby, chwycić dłońmi za skronie, a potem uderzyć o siebie i roztrzaskać jak parę dyń nafaszerowanych środkiem wybuchowym.

— Nie — szepnął do siebie. Pot spływał mu po twarzy wielkimi przezroczystymi kroplami i perlił się na całej ogolonej czaszce. — Och nie, nie teraz, na rany boskie, nie spieprz tego teraz.

Dygotał, a ból głowy wrócił z całą siłą, waląc z impetem parowego młota. Jasne zygzaki płały i skakały na skraju pola widzenia i zaczęło mu cieknąć z prawej dziurki w nosie.

Następna kobieta, którą zobaczył, była sama i Norman rozpoznał ją — jasne włosy, paskudne zylaki. To ta, która dała mu jogurt.

Mam coś dla ciebie — pomyślał, sprzężając się, gdy ruszyła betonową ścieżką. — Mam coś dla ciebie i jeśli nie udzielisz mi odpowiedzi, jakich poszukuję, zeżresz to do końca.

W tym momencie jeszcze ktoś wyszedł spod drzew. Tę Norman też widział — gruba, wścibska suka w czerwonym kostiumie, ta, która przyglądała mu się, kiedy wołał za nim kasjer. Ponownie miał to rozwścieczające wrażenie, że ją poznaje; jak z nazwiskiem,

które ma się na końcu języka, ale zapomina za każdym razem, kiedy się próbuje powiedzieć. Czy on ją znał? Gdyby tylko nie bolała go tak głowa...

Wciąż miała tę ogromną torebkę, tę wyglądającą jak walizka, i grzebała w niej. Czego szukasz, Gruba Babo? — myślał Norman. — Batoników? Krówek? A może...

I nagle, tak po prostu, przypomniał sobie. Czytał o niej w bibliotece, w artykule o Córkach i Siostrach. Widział jej zdjęcie, jak stała przyczojona w jakiejś dupowatej postawie karateki, bardziej podobna do ciężarówki niż do Bruce'a Lee. To ta suka powiedziała reporterowi, że mężczyźni nie są ich wrogami... „ale jeśli biją, oddamy cios”. Gert. Nie pamiętał nazwiska, ale na imię miała Gert.

Wynoś się stąd, Gert — pomyślał Norman pod adresem wielkiej czarnej kobiety w czerwonej kombinacji. Mocno zacisnął pięści, aż paznokcie wbiły mu się w dłonie.

Ona jednak wcale nie miała takiego zamiaru.

— Lana! — zawołała. — Hej, Lana!

Jasnowłosa zawróciła i poszła do Grubej Baby. Do Gert, która wyglądała jak „Lodówka” w damskich łańkach. Norman patrzył, jak jasnowłosa imieniem Lana wraca z Brudną Gertie między drzewa. Kiedy szły, Gertie pokazywała jej coś, co wyglądało na kawałek papieru.

Norman otarł ramieniem pot zalewający oczy i czekał, aż Lana skończy pogawędkę z Gert i wróci do toalety. Po drugiej stronie palmowego gaju piknikujący kończyli deser i niebawem cienki strumyk kobiet podążających do ubikacji zmieni się w powódź. Jeśli Normanowi nie dopisze szczęście — i to szybko — będzie kompletna kłapa.

— No chodź, chodź — mamrotał pod nosem i, jakby w odpowiedzi, ktoś wyszedł spomiędzy drzew i ruszył ścieżką. To nie była ani Gert, ani Jogurtowa Lana, a jednak ktoś, kogo Norman także rozpoznał — jedna z tych kurew, które widział w ogródku, kiedy oglądał sobie siedzibę Córek i Sióstr. Ta z farbowanymi włosami gwiazdy rocka. Ta beczelna suka, która nawet pomachała do niego.

I śmiertelnie mnie wystraszyła — pomyślał — ale farbowane to też niezła zwierzyna, no nie? No chodź, już. Chodź tu do tatusia.

Norman poczuł, że ma erekcję, a ból głowy zupełnie mu przeszedł. Stał nieruchomo jak posąg, zerkając jednym okiem zza rogu budynku, modląc się, żeby Gert nie wróciła tu akurat w tym momencie, modląc się, żeby dziewczyna z zielono-pomarańczowymi włosami nie rozmyśliła się. Nikt nie wyszedł spomiędzy drzew, a dziewczyna z popierdolonymi włosami zbliżała się do toalet. Punkowo-Srankowa Miss Idiotyzmu 1994, pójdź w me objęcia... Sięgnęła do klamki, ale drzwi nie otworzyły się, gdyż dłoń Normana zacisnęła się na cienkim nadgarstku Cynthii, zanim zdążyła nacisnąć klamkę.

Spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, wystraszona.

— Chodź no tutaj — powiedział, wlokąc ją za róg. — Chodź no tutaj, żebyśmy mogli z tobą porozmawiać. Porozmawiać w cztery oczy.

12

Gert Kinshaw śpieszyła do toalety, prawie biegiem, kiedy — dziw nad dziwy — zobaczyła przed sobą właśnie tę kobietę, której szukała. Natychmiast otworzyła przepastną torebkę i zaczęła łowić w niej fotografię.

— Lana! — zawołała. — Hej, Lana! Lana wróciła ścieżką.

— Szukam Cathy Sparks — powiedziała. — Nie widziałas jej?

— Jasne, rzuca podkowami — odparła Gert, wskazując kciukiem za siebie. — Widziałam ją niecałe dwie minuty temu.

— Wspaniale! — Lana natychmiast ruszyła w tym kierunku. Gert rzuciła tęskne spojrzenie ku toalecie, a potem poszła z Laną. Chyba pęcherz będzie musiał jeszcze chwilę wytrzymać.

— Myślałam, że dostała jednego z tych swoich napadów lęku i uciekła stąd — mówiła Lana.

— Wiesz, jaka ona jest.

— Uhm.

Tuż przed tym, zanim z powrotem weszły między drzewa, Gert podała Lanie zdjęcie przesłane faksem. Lana uważnie obejrzała je. Po raz pierwszy widziała Normana, ponieważ nie należała do stałych mieszkanek Córek i Sióstr. Była psychiatrą z opieki społecznej, mieszkającą w Crescent Heights z miłym, łagodnym mężem i trójką miłych dzieci, nie sprawiających kłopotów wychowawczych.

— Kto to? — spytała Lana.

Zanim Gert zdążyła odpowiedzieć, obok przeszła Cynthia Engstrom. Jak zawsze, nawet w tych okolicznościach, na widok jej niesamowitych włosów Gert wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

— Cześć Gert, twój strój to inwencji zdroj! — powitała ją wesoło Cynthia. To nie był komplement, ale jedna z typowych odzywek Cindy.

— Dzięki. Tak samo twoje szorty. Założę się, że gdybyś dobrze poszukała, znalazłabyś takie, które bardziej pokazują pośladki.

— Tylko powiedz gdzie — odparła Cynthia i poszła dalej, kołysząc swoim małym, lecz bezsprzecznie zgrabnym tyłeczkiem. Lana popatrzyła za nią z rozbawieniem, a potem znów spojrzała na zdjęcie. Oglądając je, bezwiednie gładziła swoje długie, platynowe włosy, związane w koński ogon.

— Znasz go? — spytała Gert.

Lana potrząsnęła głową, ale Gert wydało się, że wyraziła tym raczej niepewność niż przeczenie.

— Wyobraź go sobie bez włosów.

Lana zrobiła coś więcej; zakryła zdjęcie od linii włosów. Potem obejrzała je jeszcze dokładniej, poruszając wargami, jakby czytała je, a nie oglądała. Kiedy znów spojrzała na Gert, na jej twarzy malowało się zdumienie i niepokój.

— Dziś rano dałam temu facetowi jogurt — zaczęła z wahaniem. — Nosił okulary przeciwsłoneczne, ale...

— Był w wózku inwalidzkim — dopowiedziała Gert i chociaż wiedziała, że dopiero teraz zaczyna się prawdziwa praca, poczuła się tak, jakby spadł jej z ramion ciężki gład. Lepiej wiedzieć. Lepiej mieć pewność.

— Tak. Czy on jest niebezpieczny? Jest, prawda? Mam tu kilka kobiet, które w ostatnich latach doświadczyły ciężkich przeżyć. Są bardzo wrażliwe. Czy spodziewasz się kłopotów, Gert? Pytam ze względu na nie, nie na siebie.

Gert zastanowiła się, zanim odpowiedziała.

— Myślę, że wszystko będzie dobrze. Myślę, że najgorsze jest już za nami.

13

Norman zdarł z Cynthii bluzkę bez rękawów, odsłaniając jej piersi wielkości filiżanek. Zakrył jej usta dłonią, jednocześnie przyciskając do ściany i tłumiąc krzyk. Przycisnął się do niej krocem. Czuł, jak ona usiłuje cofnąć się, ale oczywiście nie miała gdzie, co podnieciło go jeszcze bardziej. Była uwięziona. Lecz podnieciło się tylko jego ciało. Umysł jakby unosił się nad jego głową, patrząc spokojnie, jak Norman pochylił się i zacisnął zęby na ramieniu Miss Punkowo-Srankowej. Przyssał się do niej niczym nietoperz i zaczął pić jej krew, która trysnęła przez skórę. Była gorąca i słona, a kiedy miał wytrysk, ledwie zdał sobie z tego sprawę, tak samo jak ledwie zdawał sobie sprawę z tego, że krzyczała w jego twardą dłoń.

14

— Wracaj i pilnuj swoich pacjentek, póki nie odwołam alarmu, Lanie — powiedziała Gert.
— I wyświadczyć mi przysługę, nie mów o tym nikomu, jeszcze nie. Twoje przyjaciółki nie są tu jedynymi kobietami, które mają wrażliwą psychikę.

— Wiem.

Gert uścisnęła jej rękę.

— Wszystko będzie dobrze. Obiecuję.

— W porządku, ty wiesz najlepiej.

— Taak, racja, rób swoje. Jestem przekonana, że chyba nie trudno będzie znaleźć go, jeśli w dalszym ciągu krąży tu w tym wózku inwalidzkim. Jeżeli go zobaczysz, trzymaj się od niego z daleka. Rozumiesz? Trzymaj się od niego z daleka!

Lana spojrzała na nią z niepokojem.

— Co zamierzasz zrobić?

— Wysikać się, zanim umrę na uremnię. Potem pójdę do tych z ochrony i powiem, że facet na wózku inwalidzkim próbował ukraść mi torebkę. Później zobaczymy, ale najważniejsze jest, żeby wykurzyć go z naszego pikniku.

Rosie nie było tu, może miała randkę albo inne spotkanie i Gert nigdy w życiu nic bardziej nie ucieszyło. To Rosie była jego celem; pod jej nieobecność mieli szansę unieszkodliwienia go, zanim wyrządzi komuś krzywdę.

— Czy chcesz, żebym tu zaczekała, aż wrócisz z toalety? — spytała nerwowo Lana.

— Nic mi nie będzie.

Lana zmarszczyła brwi, patrząc na ścieżkę wiodącą przez gaj.

— Może jednak zaczekam — powiedziała. Gert uśmiechnęła się.

— W porządku. To nie potrwa długo, możesz mi wierzyć.

Już dochodziła do toalet, gdy jakiś dźwięk wyrwał ją z zadumy: ktoś dyszał, i to ciężko. Nie, dwóch ktosiów. Lekki uśmiech wykrzywił kąciaki grubych warg Gert. Sądząc po odgłosach, jakaś para korzystała za toaletą z uroków popołudnia. Po prostu urządzili sobie małe...

— Gadaj, ty suko!

Głos, tak niski, że brzmiał prawie jak warczenie psa, zmroził uśmiech na ustach Gert.

— Mów, gdzie ona jest, i to zaraz!

15

Gert tak szybko skoczyła za róg niskiego, ceglanego budynku, że ledwie zdołała ominąć porzucony fotel inwalidzki, o który rozciągnęłaby się jak długa. Łysy mężczyzna w motocyklowej kurtce — Norman Daniels — stał tyłem do niej, trzymając Cynthię tak mocno za szczupłe ramiona, że jego kciuki prawie niknęły w jej ciele. Przyciskał twarz do jej twarzy, ale Gert dostrzegła charakterystyczne skrzywienie nosa Cynthii. Widziała to już, w swoim lustrze. Dziewczyna miała złamany nos.

— Powiedz mi, gdzie ona jest, albo już nigdy nie użyjesz szminki, bo odgryzę ci tę pierdoloną jadaczkę z twojej pierdolonej twa...

Nagle Gert przestała myśleć, przestała słyszeć. Włączyła „autopilota”. W dwóch susach znalazła się przy Danielsie. Jednocześnie splotła palce obu rąk, tworząc z nich maczugę. Uniosła ją nad prawe ramię, najwyżej jak mogła; potrzebowała bardzo dużego rozmachu. Na moment przed tym, zanim zadała cios, przerażone oczy Cynthii spojrzały na nią i mąż Rosie zorientował się, że ktoś stoi za jego plecami. Był szybki, Gert musiała mu to przyznać. Był

bardzo szybki. Jej złożone ręce trafiły go, i to mocno, ale nie w kark, gdzie chciała go uderzyć. Już zaczął się obracać i oberwał w bok twarzy, w kość jarzmową. Szansa na szybki i czysty nokaut minęła. Kiedy odwrócił się do niej, Gert w pierwszej chwili pomyślała, że jadł truskawki. Wyszczerył do niej zęby ociekające krwią. Ten uśmiech przeraził Gert, która nabrała pewności, że jedynym rezultatem jej interwencji będzie śmierć dwóch kobiet zamiast jednej. To nie był człowiek. To był Grendel w motocyklowej kurtce.

— Hej, to Brudna Gertie! — wykrzyknął Norman. — Zebrało ci się na pieszczoty, Gertie? Tego chcesz? Popieścić się? Zamierzasz zatłuc mnie tymi wielkimi cycami, tak?

Roześmiał się i klepnął dłonią w pierś pokazując, jak ubawiła go ta myśl. Brzęknęły zamki kurtki.

Gert zerknęła na Cynthię, która patrzyła na swoje piersi jakby zastanawiając się, gdzie zniknęła jej bluzka.

— Uciekaj, Cindy!

Cynthia rzuciła jej oszołomione spojrzenie, zrobiła dwa nie — pewne kroki w tył, a potem po prostu oparła się o ścianę toalety, jakby wykończyła ją sama myśl o ucieczce. Gert zauważyła sińce wykwitające już na jej policzkach i czole.

— *Gert-Gert-bo-Bert* — zanucił Norman, ruszając ku niej. — *Banana-fanna-fo-Fert, fee-fi-mo-Mert...* *Gert!* — roześmiał się przy tym jak dziecko, a potem otarł ramieniem usta z krwi Cynthii. Gert dostrzegła krople potu perlące się na jego łysej czaszce. Wyglądały jak cekiny. — Oooh, Gertie — mamrotał Norman i górna połowa jego ciała zaczęła kołysać się w tył i w przód, jak kobra wylaząca z koszyka zaklinacza węży. — Oooh, Gertie. Zagniotę cię jak ciasto. Wywrócę na lewą stronę jak parę rękawiczek. Za...

— No to czemu tego nie zrobisz? — warknęła. — To nie jest szkolna potańcówka, ty zasrany dupku! Chcesz mnie dostać, to chodź i spróbuj!

Daniels przestał się kiwać i wytrzeszczył oczy, wyraźnie nie mogąc uwierzyć, że ten wór sadła krzyczy na niego. Kpi z niego. Za jego plecami Cynthia cofnęła się o kolejne dwa kroki, szurając siedzeniem o ceglana ścianę toalety, po czym znów oparła się o mur.

Gert ugięła ramiona, wysuwając je przed siebie. Obie dłonie trzymała na wysokości twarzy, około pięćdziesięciu centymetrów jedna od drugiej. Palce miała rozstawione. Wciągnęła głowę w ramiona, czając się jak niedźwiedzica. Norman zobaczył to i zdziwienie na jego twarzy ustąpiło miejsca rozbawieniu.

— Co chcesz zrobić, Gert? — zapytał. — Chcesz poćwiczyć na mnie jakieś numery Bruce'a Lee? Hej, mam dla ciebie wiadomość: on jest martwy, Gertie. Podobnie jak ty za piętnaście sekund. Będziesz po prostu tłustą, starą czarną suką, martwą jak głaz.

Roześmiał się.

Nagle Gert przypomniała sobie Lane Kline, nerwowo rozglądającą się wokół i mówiącą, że może lepiej zaczeka, aż Gert wróci z toalety.

— Lana! — wrzasnęła ile tchu w płucach. — On tu jest! Jeśli mnie słyszysz, biegnij po pomoc!

Mąż Rosie przez chwilę wyglądał na zaskoczonego, ale zaraz się uspokoił. Uśmiech wrócił na jego wargi. Szybko zerknął przez ramię, upewniając się, że Cynthia wciąż tam jest, a potem ponownie spojrzał na Gert. Górna połowa jego ciała znów zaczęła kołysać się w tył i w przód.

— Gdzie jest moja żona? — zapytał. — Powiedz mi, a może złamię ci tylko jedną rękę. Do diabła, może nawet puszcze cię wolno. Ona ukradła moją kartę kredytową. Chcę ją odzyskać, to wszystko.

Nie mogę rzucić się na niego — pomyślała Gert. — On musi skoczyć na mnie, tylko wtedy mam jakąś szansę poradzenia sobie z nim. Tylko jak go sprowokować?

Wróciła myślą do Petera Słowika. Przypomniała sobie brakujące części jego ciała, miejsca, w których było największe zagęszczenie ugryzień, i doszła do wniosku, że chyba wie.

— Nadałeś nowe znaczenie słowu jeść, prawda, ty pedale? Nie wystarczyło ci, że obciągnąłeś mu druta? I co ty na to? Spróbujesz się ze mną, czy za bardzo boisz się kobiet?

Tym razem uśmiech nie zgasł mu na wargach; kiedy nazwała go pedalem, maska uśmiechu opadła mu z twarzy tak gwałtownie, że niemal było słychać, jak rozbija się z trzaskiem pękającego sopła o stalowe blaszki jego butów. Przestał kołysać się jak wąż.

— ZABIJĘ CIĘ, TY SUKO! — wrzasnął Norman i skoczył.

Gert obróciła się bokiem, tak samo jak wtedy kiedy atakowała ją Cynthia w dniu, gdy Rosie przyniosła do Córek i Sióstr swój dopiero co nabyty obraz. Trzymała opuszczone ręce dłużej niż wówczas, gdy uczyła dziewczęta rzutów, wiedząc, że nawet jego ślepa furia nie gwarantuje jej sukcesu — to był potężny mężczyzna i jeśli nie zdoła go wytrącić z równowagi, zostanie zmiażdżona jak szczur w zgniatarce śmieci. Norman skoczył na nią z wyciągniętymi rękami i ściągniętymi wargami odsłaniającymi zęby, gotowy gryźć. Gert zgięła się jeszcze niżej, trącając pupą ceglany mur i myśląc: Pomóż mi, Boże. Potem złapała oba grube, owłosione nadgarstki Normana.

Nie zepsuj tego nadmiarem myślenia — ostrzegła siebie i obróciła się plecami do napastnika, podstawiając jedno wielkie biodro pod jego bok i wykonując gwałtowny obrót w lewo. Rozstawiła nogi, a potem przysiadła, więc jej sztruksowy kostium nie miał cienia szansy; pękł niemal do pasa z odgłosem przypominającym trzask sosnowego pnia eksplodującego na kominku.

Rzut udał się wspaniale. Jej biodro zadziało jak katapulta i Norman przeleciał przez nie bezwładnie jak wór mąki. Wściekłość na jego twarzy zmieniła się w grymas przerażenia. Runął jak długi, uderzając głową o fotel, który wywrócił się i przygniótł go swoim ciężarem.

— Uuuuu — wykrztusiła ochryple Cynthia ze swojego miejsca pod ścianą.

Zza rogu budynku zerknęły ostrożnie piwne oczy Lany Kline.

— Co tu się dzieje? Co to za krzyki...?

Zobaczyła zakrwawionego mężczyznę usiłującego wyczołgać się spod przewróconego fotela, zobaczyła nienawiść w jego oczach i urwała.

— Biegnij po pomoc! — krzyknęła do niej Gert. — Po ochronę. Natychmiast. Krzycz, najgłośniej jak umiesz!

Norman odepchnął wózek. Krew kapała mu z czoła, ale z nosa tryskała jak fontanna.

— Zabiję cię za to — szepnął.

Gert nie zamierzała dawać mu po temu okazji. Gdy Lana się odwróciła i pobiegła, rycząc ile sił w płucach, Gert z wysokoku runęła całym ciężarem na Normana Daniela w stylu, jakiego pozazdrościłby jej sam Hulk Hogan. A ciężar był nie byle jaki — ponad sto dwadzieścia kilogramów żywej wagi — więc podjęta przez Normana próba podniesienia się z ziemi skończyła się sromotną klapą. Ramiona załamały się pod nim jak nogi stolika do kart, na którym postawiono silnik ciężarówki; wcześniej rozbitym nosem rąbnął w ubitą glinę między ceglany murem i ogrodzeniem, a jądra z paraliżującą siłą uderzyły o jeden z podnóżków fotela. Próbował wrzasnąć — przynajmniej jego twarz wyglądała jak twarz faceta, który wrzeszczy — ale zdołał wydobyć z gardła jedynie ochryply świsł.

Siedziała na nim, ze spódniczką kostiumu rozdartą niemal do bioder, a siedząc i zastanawiając się, co robić dalej, nagle przypomniała sobie pierwsze dwa czy trzy seanse psychoterapii, na których Rosie w końcu zebrała się na odwagę i zaczęła mówić. Najpierw powiedziała im, że miewa okropne bóle pleców, bóle, jakich czasem nie łagodzą kąpiele w wannie z gorącą wodą. A kiedy wyjaśniła im dlaczego, wiele kobiet pokiwało głowami ze zrozumieniem. Gert była jedną z nich. Teraz sięgnęła i podciągnęła wyżej rozdartą spódnicę, odsłaniając ogromne, niebieskie majtki.

— Rosie mówi, że lubisz bić po nerkach, Norman. Mówi, że to dlatego, iż jesteś jednym z tych nieśmiałych chłopców, którzy nie lubią zostawiać śladów. Ponadto lubisz, jak się krzywi, kiedy ją tam uderzysz. Jak się krzywi z bólu. Krew odpływa jej z twarzy, prawda? A nawet z

warg. Wiem, bo miałam chłopca, który to lubił. Kiedy widzisz, jak jej twarz krzywi się z bólu, to cię uspokaja, prawda? Przynajmniej chwilowo.

— ...suko... — wyszeptał.

— No tak, ty jesteś od nerek, na pewno, czytam to w twojej twarzy, mam taki dar. — Na kolanach przesuwała się po jego plecach. Dotarła prawie do ramion. — Są faceci od nóg, faceci od tyłków, faceci od cyczków, a nawet są takie sfiksowane dupki jak ty, Norman, które lubią bić po nerkach. No cóż, pewnie znasz to stare powiedzenie: „Każdemu swoje, rzekła stara panna, całując krowę”.

— ...ze mnie... — szeptał.

— Rosie tu nie ma, Norm — powiedziała, ignorując go i przesuając się wyżej — ale zostawiła ci wiadomość od jej nerek, którą przekażą ci moje nerki. Mam nadzieję, że jesteś przygotowany, bo oto ona.

Przesunęła się jeszcze trochę, usadowiła nad głową Normana i zaczęła. Ach, co za ulga.

Z początku Norman zdawał się nie pojmować, co się dzieje. Potem zrozumiał. Wrzasnął i próbował ją zrzucić. Gert poczuła, jak ją unosi, więc usiadła na nim całym ciężarem, przgniatając go z powrotem do ziemi. Zdziwiło ją, że znalazł jeszcze tyle siły po tym, jak oberwał.

— Nie, nie, mój krzepki bysiu — stwierdziła, opróżniając pęcherz. Nie groziło mu utonięcie, ale jeszcze na niczyjej twarzy nie widziała takiej odrazy i wściekłości. I o co? O te trochę ciepłej wody. A jeśli kogoś w historii tego świata należało obsikać, to na pewno tego chorego sku...

Norman wydał przeraźliwy, nieartykułowany okrzyk, sięgnął obiema rękami, złapał ją za przedramiona i wbił w nie paznokcie. Gert krzyknęła (głównie ze zdziwienia, chociaż zabolęła ją jak diabli) i przeniosła ciężar ciała w tył. On wyczuł to i w tej samej chwili poderwał się, silniej niż poprzednio. Udało mu się zrzucić ją z siebie. Poleciała na ceglana ścianę po lewej. Norman chwiejnie podniósł się z ziemi; twarz i łysą głowę miał mokrą, jego motocyklowa kurtka ociekała, a zwykły biały podkoszulek pod nią lepił się do ciała.

— Naszczałaś na mnie, ty cipo! — wyrzęził i skoczył na Gert.

Cynthia wystawiła nogę. Norman potknął się o nią i znów runął jak długi, waląc twarzą o fotel. Odczołgał się od niego na czworakach, a potem odwrócił. Spróbował wstać, prawie zdołał, ale znów upadł, dysząc, patrząc na Gert swymi jasnoszarymi oczami. Oczami szaleńca. Gert ruszyła na niego, mając zamiar złapać go i przytrzymać. Jeżeli będzie trzeba, złamie mu kręgosłup jak wężowi i musi to zrobić szybko, zanim gość odzyska siły i stanie na nogi.

Sięgnął do jednej z licznych kieszeni motocyklowej kurtki i przez jedną mrozącą krew w żyłach chwilę była pewna, że ma pistolet i strzeli jej dwa lub trzy razy w brzuch. Przynajmniej umrę z pustym pęcherzem — pomyślała i stanęła jak wryta.

To nie był pistolet, ale wystarczająco groźna broń: taser. Gert znała jedną stukniętą bezdomną, która miała coś takiego i używała to do zabijania szczurów, tych największych, którym wydawało się, że są cocker–spanielami, przypadkowo pozbawionymi stałych racji Pedigree Pal.

— Chcesz tego posmakować? — zapytał Norman, ciągle na kolanach. Pomachał taserem. — Masz ochotę, Gertie? Może podejdziesz i spróbujesz, bo i tak dostaniesz, czy chcesz tego, czy...

Zamilkł i niepewnie zerknął w kierunku narożnika budynku. Z oddali dobiegały niespokojne i wzburzone głosy kobiet. Były jeszcze daleko, ale przybliżyły się.

Gert wykorzystała ten moment, żeby zrobić krok naprzód, chwycić wywrócony wózek za poręcze i poderwać z ziemi. Zasłoniła się fotelem, przy czym poręcze prawie zniknęły w jej potężnych pięściach. Szybkimi ruchami wysuwała i cofała tę prowizoryczną broń.

— Taak, chodź — powiedziała. — No chodź, miłośniku nerek. Chodź, zasańcu. Chodź,

pedale. Chcesz mnie załatwić? Nastawiłeś taser na ogłuszanie, tak? No to chodź. Chyba zdążymy jeszcze zatańczyć, zanim pojawią się faceci w białych fartuchach i zabiorą cię do Sunnydale Acres czy w inne miejsca, gdzie zamykają takich świrów jak...

Wstał, zerkając w kierunku zbliżających się głosów, a Gert pomyślała: Kurwa mać, żyje się tylko raz, więc trzeba żyć z fasonem — i z całej siły uderzyła go fotelem. Trafiła w sam środek ciała i Norman upadł z rykiem. Gert skoczyła na niego, o ułamek sekundy za późno usłyszawszy żalony, ostrzegawczy krzyk Cindy:

— Uważaj, Gert! On wciąż to ma!

Rozległ się cichy, lecz złowrogi trzask — pssst! — i straszliwy ból przeszył nogę Gert, od kostki, gdzie przyłożył taser, do biodra. Skuteczność broni Normana zapewne zwiększył fakt, że jej skóra była mokra od moczu. Wszystkie mięśnie lewej nogi boleśnie skurczyły się, a potem zwiotczały. Gert runęła na ziemię. Padając złapała Normana za przegub ręki, w której trzymał swoją broń, i z całej siły wykręciła ją. Norman zawył z bólu i wierzgnął obiema nogami. Jedna obuta stopa chybiła celu, ale piętą drugiej trafił Gert w przepoń, tuż poniżej piersi. Ból był tak nagły i silny, że Gert zupełnie zapomniała o nodze, przynajmniej chwilowo, ale nie puściła ręki z taserem, wykręcając ją, aż rozluźnił palce i paskudna zabawka upadła na ziemię.

Na czworakach odczołgał się od Gert; krew płynęła mu z ust i grubymi kroplami ciekła z nosa. Oczy miał szeroko otwarte i pełne niedowierzania; nie pojmował — może nie mógł pojąć — że oberwał tak od kobiety. Wstał chwiejnie, zerknął w kierunku zbliżających się głosów — rozlegających się już bardzo blisko — a potem zaczął uciekać wzdłuż płotu, z powrotem w kierunku wesołego miasteczka. Gert nie sądziła, aby zdołał daleko ujść, zanim zwróci uwagę ochrony parku: wyglądał jak żywcem wzięty z filmu *Piątek trzynastego*.

— Gert...

Cynthia płakała i próbowała podczołgać się do leżącej na boku Gert, obserwującej znikającego Normana. Gert popatrzyła na dziewczynę i zobaczyła, że miała oberwała bardziej, niż myślała w pierwszej chwili. Jej prawe oko otaczał siniec barwy burzowej chmury, a nos pewnie nigdy nie będzie taki jak przedtem, obojętnie ilu lekarzy spróbuje go ratować.

Gert dźwignęła się na kolana i podsunęła do Cynthii. Spotkały się w pół drogi i objęły ramionami, żeby nie upaść. Z trudem wymawiając słowa opuchniętymi wargami, Cynthia powiedziała:

— Rzuciłabym nim... tak, jak nas uczyłaś... ale zaskoczył mnie.

— W porządku — powiedziała Gert i pocałowała ją w skroń. — Bardzo cię poranił?

— Nie wiem... nie pluję krwią... a to już nieźle. — Próbowała uśmiechnąć się. Sprawiało jej to ból, a mimo to próbowała. — Obsikałaś go.

— Tak.

— Cholernie dobrze — szepnęła Cynthia i znów zaczęła płakać.

Gert wzięła ją w ramiona. W takiej pozycji znalazła je pierwsza grupa kobiet, za którą zaraz nadbiegło dwóch strażników ochrony parku — klęczące za ubikacjami i porzuconym, wywróconym wózkim inwalidzkim, tulące się do siebie jak para rozbitków.

16

Wszedłszy do izby przyjęć East Side Receiving Hospital, Rosie miała niejasne wrażenie, że są tu wszystkie jej znajome z Córek i Sióstr. Idąc przez pomieszczenie ku Gert (i ledwie zauważając stłoczonych wokół niej mężczyzn), zauważyła, że brakuje przynajmniej trzech: Anny, która pewnie jeszcze była na mszy żałobnej za męża; Pam, która pracowała, i Cynthii. Najbardziej przeraził ją brak tej ostatniej.

— Gert! — krzyknęła, przepychając się przez mężczyzn, ledwie rzuciwszy im spojrzenie.

— Gert, gdzie jest Cynthia? Czy...

— Na górze. — Gert próbowała uśmiechnąć się uspokajająco do Rosie, ale bez większego powodzenia. Oczy miała zaczerwienione i opuchnięte od płaczu. — Przyjęli ją na oddział i pewnie trochę tu poleży, ale nic jej nie będzie. Pobił ją bardzo mocno, ale nic jej nie będzie. Wiesz, że masz na głowie kask motocyklowy? Wyglądasz w nim... ładnie.

Dłonie Billa zaczęły manipulować przy zapięciu pod jej szyją, ale Rosie niemal nie zauważyła, kiedy zdjął jej kask. Patrzyła na Gert... Consuelo... Robin. Szukając oczu mówiących, że jest skażona, że ściągnęła zarazę na ich spokojny dotychczas dom. Szukając nienawiści.

— Przepraszam — powiedziała ochryple. — Przepraszam za wszystko.

— Dlaczego? — zapytała szczerze zdziwiona Robin. — Przecież to nie ty pobiłaś Cindy.

Rosie popatrzyła na nią niepewnie, a potem znów na Gert. Powiódłszy wzrokiem za spojrzeniem Gert, Rosie poczuła dreszcz przerażenia. Dopiero teraz uświadomiła sobie fakt, że oprócz kobiet z Córek i Sióstr byli tu także policjanci. Dwaj po cywilnemu, trzej w mundurach. Gliniarze.

Wyciągnęła pozbawioną czucia rękę i ścisnęła dłoń Billa.

— Musicie porozmawiać z tą kobietą — mówiła Gert jednemu z gliniarzy. — To zrobił jej mąż. Rosie, ten pan to porucznik Hale.

Teraz wszyscy odwrócili się, żeby na nią patrzeć, zobaczyć kobietę, która miała chęć ukraść kartę kredytową męża, a potem uciec od niego.

Bracia Normana, patrzący na nią.

— Proszę pani? — odezwał się policjant w cywilu, porucznik Hale, i przez moment jego głos tak bardzo przypominał jej Harleya Bissingtona, że miała ochotę wrzeszczeć.

— Spokojnie, Rosie — mruknął Bill. — Jestem tu i zostanę przy tobie.

— Proszę pani, co może nam pani o tym powiedzieć?

A jednak jego głos wcale nie był podobny do głosu Harleya. To było tylko złudzenie, wytwór udręczonego umysłu.

Rosie spojrzała za okno, na wjazd na autostradę. Spojrzała na wschód — tam, skąd za parę godzin miała nadejść znad jeziora noc. Przygryzła wargę, a potem znów spojrzała na policjanta. Ścisnęła mocniej dłoń Billa i oświadczyła ochryłym głosem, który ledwie rozpoznała jako swój.

— On nazywa się Norman Daniels — zwróciła się do porucznika Hale'a.

Mówisz, jak ta kobieta z obrazu — pomyślała. — Głosem Rose Madder. Potem odepchnęła od siebie tę myśl.

— On jest moim mężem, policjantem i szaleńcem.

VIII

VIVA ZE BOOL

1

Czuł się tak, jakby płynął w powietrzu, ale kiedy Brudna Gertie obszczała go, wszystko uległo zmianie. Teraz, zamiast czuć się jak balon napełniony helem, miał głowę niczym płaski kamień, ciśnięty czyjąś silną ręką po powierzchni jeziora. Już nie unosił się; teraz podskakiwał.

Wciąż nie mógł uwierzyć w to, co zrobiła mu ta gruba czarna suka. Wiedział, owszem, ale wiedzieć a uwierzyć to czasem dwie różne sprawy i to był jeden z tych przypadków. Jakby zaszła jakaś mroczna przemiana i stał się innym stworzeniem, bezradnie ślizgającym się po powierzchni percepcji, doznającym jedynie krótkich przeblysków świadomości i dziwnych, oderwanych wrażeń.

Pamiętał, jak podniósł się z ziemi za sraczem. Miał twarz krwawiącą, naznaczoną licznymi skaleczeniami i zadrapaniami, nos zapchany do połowy, obolały po kilkakrotnym zetknięciu z fotelem, żebra i wnętrzności pulsujące bólem po tym, jak zważyło się nań prawie sto pięćdziesiąt kilogramów Brudnej Gertie... Mimo wszystko przeżyłby to... i o wiele więcej. Lecz jej wilgoć i jej zapach, nie tylko moczu, ale kobiecego moczu, sprawiały, że jego umysł stawał dęba za każdym razem, kiedy wracał do tego zdarzenia. Gdy zastanawiał się nad tym, co mu zrobiła, chciał wyć, a świat — z którym musiał pozostać w kontakcie, jeśli nie chciał skończyć za kratami, ubrany w kaftan bezpieczeństwa i nafaszerowany thorazyną — zaczynał rozmazywać mu się w oczach.

Biegając chwiejnie wzdłuż ogrodzenia, myślał: dostać ją, dostać ją, musisz wrócić i dostać ją, dostać i zabić za to, co zrobiła, tylko wtedy zdołasz jeszcze zasnąć, tylko wtedy zdołasz jeszcze myśleć.

A jednak jakaś część jego umysłu wiedziała lepiej i zamiast zawrócić, uciekł.

Brudna Gertie pewnie sądziła, że spłoszył go odgłos zbliżających się ludzi, ale myliła się. Uciekł, ponieważ żebra bolały go tak okropnie, że ledwie mógł oddychać, przynajmniej na razie, ponadto bolał go brzuch, a jądra pulsowały tym tępym, mdłym bólem, znanym tylko mężczyznom.

I nie sam ból był najważniejszym powodem jego ucieczki, lecz to, co ten ból oznaczał. Norman obawiał się, że jeśli spróbuje jeszcze raz, Brudna Gertie może nie zadowolili się remisem. Dlatego umknął, kuśtykając wzdłuż płotu, najszybciej jak mógł, a głos Brudnej Gertie ścigał go niczym drwiący duch: „Zostawiła ci wiadomość... od jej nerek, którą przekażą ci moje nerki... wiadomość, Normie... oto ona...”

Jego umysł jakby natrafił na płaską powierzchnię rzeczywistości i zaczął odbijać się od niej. Kiedy wrócił na swoje miejsce, upłynęło trochę czasu — może zaledwie piętnaście sekund, a może nawet czterdzieści pięć. Norman biegł główną aleją w kierunku wesołego miasteczka, gnając bezmyślnie jak krowa w spłoszonym stadzie, oddalając się od wyjścia zamiast przybliżyć się, pędząc w kierunku nadbrzeża, pędząc w kierunku jeziora, gdzie z dziecinną łatwością mogą go osaczyć i schwytać.

Tymczasem jego umysł wypełniony był krzykiem ojca, światowej sławy podmacywacza (i przynajmniej podczas jednego pamiętnego polowania, również światowej klasy lachociąga). „To była kobieta! — wrzeszczał Ray Daniels. — Jak mogłeś pozwolić, żeby jakaś cipa skuła ci pysk, Normie?”

Usiłował uciszyć ten głos. Stary dość nawrzeszczał się na niego za życia: Normana prędzej trafi szlag, niż będzie słuchał tych samych bzdur teraz, kiedy ojciec nie żyje. Mógłby zająć się

Gertie, mógłby zająć się Rose, mógłby zająć się nimi wszystkimi, ale najpierw musi wydostać się stąd... zanim każdy strażnik w tym parku zacznie szukać łysego faceta z zakrwawioną twarzą. Już przyglądało mu się zbyt wielu ludzi — i nic dziwnego. Śmierdział szczynami i wyglądał, jakby podrapał go ryś.

Skręcił w alejkę biegnącą między salonem gier wideo a pawilonem Przygód Mórz Południowych. Zrobił to bez żadnego planu, chcąc tylko zejść z oczu gapiom na deptaku, i wtedy wyciągnął szczęśliwy los na loterii.

Boczne drzwi salonu otworzyły się i wyszedł z nich ktoś, kogo Norman uznał za dzieciaka, lecz nie miał co do tego pewności. Postać miała wzrost dziecka i ubranie dziecka — dżinsy, reeboki, podkoszulek z Michaeliem McDermottem (KOCHAM DZIEWCZYNE ZWANĄ DESZCZEM, głosił napis, cokolwiek miał, kurwa, oznaczać) — ale jej głowę okrywała gumowa maska Byczka Fernanda. Fernando miał na pysku szeroki, głupkowaty uśmiech. Rogi udekorowano mu girlandami kwiatów. Norman nie zastanawiał się, tylko sięgnął i zerwał dzieciakowi maskę z głowy. Przy okazji wyrwał mu też sporą garść włosów, ale co tam, kurwa.

— Hej! — wrzasnął dzieciak. Bez maski wyglądał najwyżej na jedenaście lat, ale robił wrażenie bardziej wściekłego niż przestraszonego. — Dawaj ją, jest moja, wygrałem ją! Co ty sobie, kurwa, wyobra...!

Norman ponownie wyciągnął rękę, chwycił chłopaka za twarz i mocno odepchnął. Bok pawilonu Przygód Mórz Południowych był z brezentu i dzieciak wpadł weń, nakrywając się swoimi drogimi butami.

— Powiesz komuś, to wrócę i zabiję cię — rzucił Norman w stronę falującego wciąż brezentu. Potem szybko poszedł ku głównej alei, zakładając na głowę gumową maskę. Śmierdziała gumą i spoconymi włosami poprzedniego właściciela, ale żaden z tych zapachów nie przeszkadzał Normanowi. Natomiast nie mógł znieść myśli, że maska wkrótce przesiąknie odorem moczu.

Potem jego umysł doznał kolejnego zaćmienia i na jakiś czas jakby pochłonęła go atmosfera. Kiedy się odnalazł, Norman kłusował w kierunku parkingu przy Press Street, przyciskając ręką prawą stronę klatki piersiowej, gdzie kłuło go przy każdym oddechu. Wnętrze maski śmierdziało dokładnie tak, jak się obawiał, więc zdjął ją, łapczywie wciągając powietrze cuchnące szczynami i piczką. Popatrzył na maskę i zadrzał. Ten wstrętny, uśmiechnięty pysk budził w nim jakiś dziwny lęk. Byk z kółkiem w nosie i girlandami kwiatków na rogach. Byk z uśmiechem stworzenia, które obrabowano z czegoś, ale zbyt głupiego, żeby o tym wiedzieć. W pierwszej chwili chciał wyrzucić to cholerstwo, lecz się powstrzymał. Musiał jeszcze minąć dozorcę parkingu, który na pewno zapamięta człowieka w masce Byczka Fernando, może jednak nie od razu skojarzy go z mężczyzną, o którego niebawem zapyta go policja. Warto zatrzymać maskę, jeśli dzięki niej zyska trochę czasu.

Usiadł za kierownicą tempa, rzucił maskę na siedzenie obok, a potem pochylił się i połączył przewody zapłonu. Kiedy nachylał się, unoszący się z jego koszulki odór szczyn był tak silny i szczypiący, że łzawiły mu oczy. „Rosie mówi, że lubisz bić po nerkach...” — usłyszał w myślach Brudną Gertie, tę czarną sukę z piekła rodem. Bał się, że już zawsze będzie słyszał w myślach jej głos, jakby zgwałciła go i pozostawiła w jego głowie zapłodnione jajo, z którego wylęgnie się jakieś zdeformowane i potworne potomstwo.

„Jesteś jednym z tych nieśmiałych chłopców, którzy nie lubią zostawiać śladów”.

Nie — pomyślał. — Nie, przestań, nie myśl o tym.

„Zostawiła ci wiadomość od jej nerek, którą przekażą ci moje nerki...”, a potem to coś popłynęło mu po twarzy, śmierdzące i parzące jak gorączka w dzieciństwie.

— Nie! — tym razem wrzasnął na głos i rąbnął pięścią w miękką deskę rozdzielczą. — Nie, ona nie może! Nie może! NIE MOŻE MI TEGO ZROBIĆ! — Machnął pięścią, trafiając we wsteczne lustro i wyrywając je z uchwytu. Uderzyło o przednią szybę, odbiło się i

spadło na podłogę. Rąbnął pięścią w szybę, a jego pierścień Akademii Policyjnej pozostawił pajęczynę pęknięć, wyglądającą jak powiększona gwiazdka. Już miał zacząć walić pięściami w kierownicę, kiedy wreszcie się opamiętał. Spojrzał w górę i zobaczył bilet parkingowy zatknięty za osłonę przeciwsłoneczną. Skupił na nim wzrok, usiłując odzyskać panowanie nad sobą.

Kiedy zaczęło mu się to udawać, sięgnął do kieszeni, wyjął pieniądze i znalazł banknot pięciodolarowy. Potem, starając się nie pamiętać o tym okropnym zapachu (tyle że w żaden sposób nie dało się o nim zapomnieć), znów założył na głowę maskę Fernanda i powoli podjechał do kasy. Wychylił się z okna i spojrzał przez otwory na oczy na dozorcę parkingu. Zobaczył, jak ten niepewnie przytrzymuje się futryny drzwi, pochylając się, żeby wziąć banknot, i zrozumiał, że ma niesamowite szczęście: facet był pijany.

— *Viva ze bool** — powiedział dozorca parkingu i roześmiał się.

— Racja — odparł byk wychylający się z forda tempo. — *El toro grande*.

— Płaci pan dwa pięć...

— Reszty nie trzeba — przerwał mu Norman i odjechał.

Przejechał kilkadziesiąt metrów i zatrzymał się, uświadamiając sobie, że jeśli natychmiast nie zdejmie tej przeklętej maski z głowy, to zaraz zwymiotuje w nią, co jeszcze pogorszy sytuację. Chwytał ją i zaczął szarpać z panicznym strachem człowieka, któremu przyszała się do twarzy pijawka, a potem wszystko zniknęło i jego umysł uleciał niczym zdalnie kierowany pocisk.

Kiedy tym razem Norman doszedł do siebie, siedział nagi do pasa za kierownicą samochodu stojącego przed czerwonym światłem. Na przeciwległym rogu ulicy migał zegar: 14:07. Rozejrzał się wokół i zobaczył swój podkoszulek leżący na podłodze, obok lusterka wstecznego i ukradzonej maski. Brudny Ferdie, spłaszczony i dziwnie zdeformowany, spojrzał na niego pustymi oczodołami, za którymi Norman dostrzegł dywanik na podłodze po stronie pasażera. Szczęśliwy, głupawy uśmiech byczka zmienił się w dziwny grymas zrozumienia. Ale to nic. Przynajmniej nie miał tego cholerstwa na głowie. Norman włączył radio, nastawione na stację nadającą stare przeboje. Złapał Tommy'ego Jamesa i Shondellsów śpiewających *Hanky Panky*. Natychmiast zaczął nucić razem z nimi.

Na następnym skrzyżowaniu mężczyzna o wyglądzie księgowego, siedzący za kierownicą camry, spojrzał z ostrożnym zainteresowaniem na Normana. W pierwszej chwili Norman nie mógł zrozumieć, co tak zaciekawilo tamtego, a potem przypomniał sobie, że ma na twarzy krew — w większości zakrzepłą, sądząc z tego, co czuł. I oczywiście był bez koszuli. Będzie musiał coś z tym zrobić — i to szybko. A tymczasem...

Pochylił się, podniósł maskę, włożył w nią rękę i ścisnął gumowe wargi końcami palców. Potem pokazał maskę w oknie, poruszając palcami w rytm piosenki, każąc Fernandowi śpiewać razem z Tommym Jamesem i Shondellsami. Tam i z powrotem poruszał nadgarstkiem, przez co Fernando wydawał się także tańczyć. Mężczyzna o wyglądzie księgowego znów spojrzał przed siebie. Siedział tak przez chwilę. Potem przechylił się i wcisnął blokadę po stronie pasażera.

Norman uśmiechnął się.

Rzucił maskę z powrotem na podłogę i otarł o tors rękę, którą włożył do środka. Wiedział, jak okropnie musi wyglądać, jak świrowato, ale prędzej szlag go trafi, nim znów włoży tę obszczaną koszulkę. Na siedzeniu obok leżała kurtka motocyklowa, przynajmniej sucha w środku. Norman włożył ją i zapiął pod szyję. Kiedy robił to, zapaliło się zielone światło i camry na sąsiednim pasie śmignęło przez skrzyżowanie jak wystrzelone z armaty. Norman przejechał także, ale nieco wolniej, śpiewając razem z radiem: / *saw her walkin on down the linę... You know I saw her for the very first time... A pretty little girl, standin all alone... Hey,*

* *Viva ze bool* — Niech żyje byk! — okrzyk kibiców zazwyczaj na cześć baseballisty, który przedarł się przez obronę przeciwnika (przyp. tłum.).

pretty baby, can I take you home? To mu przypomniało szkołę średnią. Życie miał wtedy wspaniałe. Nie było słodkiej małej Rose, która spierdołaby wszystko, ściągnęła te wszystkie kłopoty. Przynajmniej do ostatniej klasy.

Gdzie jesteś, Rose? — pomyślał. — Dlaczego nie byłeś na tym pikniku suk? Gdzie jesteś, do kurwy nędzy?

— Ona jest na swoim własnym pikniku — szepnął byk i jego głos zabrzmiał zarówno obco, jak i pewnie, jakby nie był to domysł, lecz bezsporny werdykt wyroczeni.

Norman przystanął przy krawężniku, nie zwracając uwagi na napis PARKING TYLKO DLA WOZÓW DOSTAWCZYCH i ponownie podniósł maskę z podłogi. Znów nasunął ją na rękę. Tylko tym razem skierował ją ku sobie. Widział swoje palce w pustych oczodołach, które mimo to zdawały się patrzeć na niego.

— Co masz na myśli, na jakim własnym pikniku? — spytał ochryplym głosem.

Jego palce drgnęły, poruszając wargami byka. Nie czuł ich, lecz widział. Podejrzewał, że głos, który słyszał, był jego własnym głosem, chociaż nie brzmiał jak jego głos i nie dobywał się z jego gardła; zdawał się wychodzić spomiędzy tych uśmiechniętych warg.

— Ona lubi sposób, w jaki on całuje — rzekł Fernando. — Nie wiedziałeś? I lubi sposób, w jaki on używa swoich rąk. Ona chce, żeby zrobił z nią bara–bara, zanim będą musieli wracać. — Byk jakby westchnął, a jego gumowy łeb zakołysał się na przegubie Normana gestem rezygnacji. — Przecież wszystkie kobiety to lubią, prawda? Bara–bara. Balciki. Przez całą noc.

— Kto?! — wrzasnął Norman do maski. Żyły nabrzmiały mu na skroniach, pulsowały. — Kto ją całuje? Kto ją maca? I gdzie oni są? Gadaj!

Maska milczała. Jeśli w ogóle kiedykolwiek coś mówiła.

„I co zamierzasz zrobić, Normie?” — Znany głos. Głos taty. Jak wrzód na dupie, ale nie wzbudzający strachu. Tamten głos był przerażający. Jeśli nawet pochodził z jego własnego gardła.

— Znaleźć ją — szepnął. — Zamierzam znaleźć ją i nauczyć, jak się robi bara — bara. Zgodnie z moją wersją.

Tak, gdzie ją znajdziesz? Jak chcesz ją odnaleźć?

Najpierw pomyślał o klubie przy Durham Avenue. Tam mają zapisane w aktach, gdzie mieszka Rose, był tego pewien. Lecz to był kiepski pomysł. Ten dom zamieniono w nowoczesną fortecę. Aby wejść, trzeba mieć kartę magnetyczną — zapewne bardzo podobną do jego skradzionej karty kredytowej — a może również podać kilka cyfrowych haseł, żeby nie włączyły się urządzenia alarmowe.

I co z mieszkankami domu? No cóż, mógłby wystrzelać sobie drogę, gdyby przyszło do tego; zabić część, a resztę przestraszyć. W hotelu miał służbowy rewolwer — jedna z zalet podróżowania autobusem — ale broń to zazwyczaj rozwiązanie dobre dla dupków. A jeśli adres jest w komputerze? Pewnie tak, w dzisiejszych czasach wszyscy używają tych zabawek. Wtedy tkwiłby tam jak osioł, usiłując wydobyć od jednej z kobiet hasło i nazwę pliku, aż zjawiłaby się policja i odstrzeliła mu dupę.

Potem przypomniał sobie coś — inny głos. Ten nadleciał z jego pamięci, jak kształt papierosowego dymu: „...przykro opuścić ten koncert, ale jeśli chcę mieć ten samochód, to nie mogę zrezygnować...”

Czyj to głos i z czego nie mógł zrezygnować jego właściciel?

Po chwili znalazł odpowiedź na pierwsze pytanie. To głos Blondyny. Blondyny z wielkimi oczami i zgrabnym tyłeczkiem.

Blondyny, która naprawdę nazywała się Pam Cośtam. Pam pracowała w Whitestone, Pam mogła znać jego dziką Różę i Pam nie chciała zrezygnować z czegoś. Co to mogło być? Kiedy naprawdę zastanowisz się nad tym, gdy założysz ten swój stary myśliwski kapelusz i wprawisz w ruch bystry umysł detektywa, wcale nietrudno znaleźć odpowiedź, prawda? Jeśli

chcesz mieć ten samochód, to jedyną sprawą, z jakiej nie możesz zrezygnować, jest kilka dodatkowych godzin pracy tygodniowo. A ponieważ koncert, o którym mówiła, odbywał się tego wieczoru, bardzo możliwe, że była teraz w hotelu. Albo niebawem tam będzie. A jeśli wie, to wyciągnie z niej wszystko. Ta punk-rockowa suka nie powiedziała, ale tylko dlatego, że nie miał czasu, żeby przedyskutować z nią tę sprawę. Tym razem będzie miał tyle czasu, ile będzie mu potrzeba. Już on się o to postara.

2

Partner porucznika Hale'a, John Gustafson, zawiózł Rosie i Gert Kinshaw na komisariat Obwodu Trzeciego w Lakeshore. Bill jechał za nimi na swoim harleyu. Rosie raz po raz odwracała głowę upewniając się, że wciąż tam jest. Gert zauważyła to, ale nie komentowała.

Hale przedstawił Gustafsona jako „swoją lepszą połowę”, lecz to Hale był głową zespołu; Rosie wiedziała o tym od chwili, gdy zobaczyła ich razem. Poznała po sposobie, w jaki Gustafson patrzył na niego nawet wtedy, gdy Hale siadał na siedzeniu strzelca w nie oznakowanym fordzie. Rosie widziała to już tysiące razy w swoim domu.

Minęli zegar na banku — ten sam, obok którego niedawno przejechał Norman — i Rosie pochyliła głowę, żeby sprawdzić czas. 16:09. Dzień ciągnął się jak ciepły cukierek toffi.

Spojrzała przez ramię, przerażona, że nie zobaczy Billa, w duchu i w sercu mając kłującą pewność, że zniknął. Lecz nie. Uśmiechnął się do niej, podniósł rękę i pomachał. Odpowiedziała mu tym samym.

— Wygląda na miłego faceta — powiedziała Gert.

— Tak — przytaknęła Rosie, ale nie chciała rozmawiać o Billu, nie teraz, kiedy dwaj siedzący z przodu gliniarze niewątpliwie słyszeli każde jej słowo. — Powinnaś zostać w szpitalu. Dać się zbadać, upewnić, że nic ci nie zrobił tym taserem.

— Kurwa, to mi tylko dobrze zrobiło — odparła Gert, szczerząc zęby w uśmiechu. Na rozerwany kostium miała narzuconą ogromną szpitalną podomkę w niebiesko — białe pasja. . — Po raz pierwszy od czasu gdy straciłam dziewictwo na obozie młodych baptystów w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym, rozjaśniło mi się w głowie.

Rosie usiłowała odpowiedzieć takim samym uśmiechem, ale zdołała tylko lekko skrzywić usta.

— Myślę, że już po pikniku, co? — powiedziała.

Gert wyglądała na zdziwioną.

— O czym mówisz?

Rosie spojrzała na swoje ręce i bez zdziwienia zobaczyła, że zacisnęły się w pięści.

— Mówię o Normanie. Tym śmierdzielu na pikniku. Wielkim, pierdolonym śmierdzielu.

Usłyszała to słowo „pierdolonym”, wychodzące z jej ust i ledwie mogła uwierzyć, że tak powiedziała, na dodatek w policyjnym wozie z dwoma detektywami na przednich siedzeniach. Jeszcze bardziej się zdziwiła, kiedy jej lewa pięść wystrzeliła w bok i uderzyła w wyściółkę drzwi, tuż nad korbką do otwierania okna.

Gustafson lekko drgnął za kierownicą, Hale obejrzał się, z twarzą bez wyrazu, a potem znów spojrzał przed siebie. Może mruknął coś do partnera. Rosie nie słyszała i nie dbała o to.

Gert chwyciła ją za pulsującą dłoń i usiłowała rozmasować, jak masażystka usuwająca skurcz mięśni.

— Wszystko w porządku, Rosie — odezwała się spokojnie; jej głos przypominał ciężarówkę pomrukującą na jałowym biegu.

— Nie, to nie w porządku! — zawołała Rosie. — I nie mów mi, że jest inaczej! — Łzy nabiegły jej do oczu, ale nie zwracała na to uwagi. Po raz pierwszy od kiedy dorosła, płakała z wściekłości, a nie ze wstydu czy strachu. — Dlaczego on nie odejdzie? Dlaczego nie

zostawi mnie w spokoju? Bije Cindy, psuje piknik... pierdolony Norman! — Ponownie próbowała rąbnąć w drzwi, ale Gert przytrzymała jej pięść. — Pierdolony śmierdziel Norman!

Gert skinęła głową.

— Taak. Pierdolony śmierdziel Norman.

— On jest jak... jak znamię! Im mocniej je trzesz i próbujesz uwolnić się od niego, tym staje się ciemniejsze! Pierdolony Norman! Pierdolony, śmierdzący, stuknięty Norman! Nienawidzę go! Nienawidzę!

Zamilkła, ciężko dysząc. Piekła ją twarz, policzki miała mokre od łez... ale poczuła się trochę lepiej.

Bill! Gdzie jest Bill?

Odwróciła się pewna, że tym razem nie będzie go, ale był. Pomachał jej. Zamachała mu w odpowiedzi, a potem znów spojrzała przed siebie, odzyskując spokój.

— Wściekaj się, Rosie. Masz cholerne prawo się wściekać. A jednak...

— Och, jestem wściekła jak cholera.

— ...on wcale nie zepsuł nam dnia, wiesz?

Rosie zamrugła oczami.

— Co? Ale jak oni mogli dalej...? Po tym jak...

— A jak ty mogłaś dalej żyć, po tym jak cię bił, tyle razy?

Rosie tylko potrząsnęła głową, nie pojmując.

— Częściowo to kwestia wytrzymałości — rzekła Gert. — Częściowo chyba zwykłego upor. Lecz głównie chodzi o to, Rosie, żeby pokazać światu naszą dumę. Udowodnić, że nie można nas pognębić. Myślisz, że to pierwszy taki przypadek? Nie. Norman jest najgorszy, ale wcale nie pierwszy. A kiedy taki skunks wpada na piknik i smrodzi dookoła, trzeba poczekać, aż wiatr rozwieje zapach, a potem bawić się dalej. Właśnie to robią teraz na Ettinger's Pier i wcale nie dlatego, że zobowiązuje nas umowa podpisana z Indigo Girls. Robimy to, ponieważ musimy się przekonać, że nie można nas pobić... odebrać nam prawa do własnego życia. Och, niektóre opuszczają park. Sądzę, że Lana Kline i jej pacjentki już zniknęły, ale pozostałe będą tam. Consuelo i Robin pojechały na Ettinger's Pier, jak tylko wyszłyśmy ze szpitala.

— Twarde zawodniczki — odezwał się porucznik Hale z przedniego siedzenia.

— Jak mogliście pozwolić mu uciec? — spytała go Rosie oskarżycielskim tonem. — Jezu, czy chociaż wiecie, jak zdołał uciec?

— No, ściśle mówiąc, my nie daliśmy mu uciec — odparł spokojnie Hale. — Przepuściła go ochrona parku, maleńka; zanim dotarł tam pierwszy policjant, już dawno go nie było.

— Sądźmy, że ukradł maskę jakiemuś dzieciakowi — wtrącił Gustafson. — Jedną z tych zakrywających całą głowę. Założył ją i zwiął. Miał szczęście, mówię pani.

— Zawsze miał szczęście — rzekła z goryczą Rosie. Skręcali na policyjny parking, Bill jechał za nimi. Powiedziała do Gert: — Możesz już puścić moją rękę.

Gert zrobiła to i Rosie natychmiast znów uderzyła w drzwi. Tym razem zabolalo ją bardziej, ale jakaś część jej świadomości przyjęła ten ból z zadowoleniem.

— Dlaczego on nie zostawi mnie w spokoju? — zapytała, nie zwracając się do nikogo. A jednak odpowiedział jej słodki, ochrypliwy głos z głębi jej jaźni.

„Weźmiesz z nim rozwód — mówił ten głos. — Weźmiesz z nim rozwód, *Rosie Real*”

Spojrzała na swoje ramiona i zobaczyła, że całe są pokryte gęsią skórką.

3

Jego umysł znów szybował w górę, w górę... jak to śpiewała kiedyś ta zgrabna suka Marilyn McCoo, a kiedy powrócił, Norman wprowadzał tempo na kolejny parking. Niezbyt

wiedział, gdzie jest, ale sądził, że prawdopodobnie na podziemnym parkingu pół kwartału od Whitestone, gdzie już przedtem trzymał tempo. Pochylając się, żeby rozłączyć przewody zapłonu, spojrzął na wskaźnik poziomu paliwa i dostrzegł coś interesującego: wskazówka stała na F. W którymś momencie podczas ostatniego zaćmienia musiał zatankować. Dlaczego to zrobił?

Ponieważ paliwo nie było wcale tym, czego potrzebowałem — odpowiedział sobie.

Znowu się pochylił, chcąc spojrzeć na siebie w lusterku wstecznym, ale przypomniał sobie, że ono leży na podłodze. Podniósł je i dokładnie obejrzał swoją twarz. Była posiniaczona i spuchnięta w kilku miejscach; jej widok nie pozostawiał cienia wątpliwości, że Norman brał udział w bójce, ale krew zniknęła. Pewnie zmył ją w toalecie jakiejś stacji benzynowej, kiedy samoczynny dystrybutor powoli napełniał bak tempa. Tak więc teraz mógł pokazać się na ulicy, o ile nie będzie nadużywał swego szczęścia.

Rozłączając przewody zapłonu przelotnie zastanowił się, która jest godzina. Nie był w stanie tego sprawdzić; nie nosił zegarka, to główniane tempo nie miało zegara, a w dodatku znajdował się pod ziemią. Czy to miało jakieś znaczenie? Czy...

— Nie — usłyszał znajomy głos. — To nie ma znaczenia. Czas nie gra roli.

Spojrzął pod nogi i ujrzał maskę byka, gapiącą się na niego z dywanika przed fotelem pasażera: puste oczy, niepokojący pomarszczony uśmiech, idiotyczne kwiatki na rogach. Nagle zapragnął ją włożyć. To głupota, przecież denerwowały go te girlandy na rogach, a jeszcze bardziej nienawidził głupkowatego uśmiechu typu jak-dobrze-być-kastratem... ale może przyniesie mu szczęście. Ona nie mówiła, oczywiście, to wszystko rozgrywało się w jego wyobraźni, lecz bez niej na pewno nigdy nie wydostałby się z Ettinger's Pier. Tego był cholernie pewny.

Dobra, dobra — pomyślał — *viva ze bool* — i schylił się, żeby podnieść maskę.

Nagle, bez żadnej zauważalnej zmiany, pochyłał się i obejmował Blondynę w talii, ściskając ją tak mocno, że nie mogła krzyknąć. Właśnie wyszła zza drzwi z napisem DLA PERSONELU, popychając przed sobą wózek, i pomyślał, że pewnie czekał tu na nią przez jakiś czas, ale to bez znaczenia, bo teraz wracali razem do drzwi DLA PERSONELU, Pam i jej nowy przyjaciel Norman, *viva ze bool*.

Wierząca i kilka kopniaków wylądowało na jego łydkach, ale miała na nogach tenisówki, więc ledwie to poczuł. Jedną ręką puścił ją i zamknął za sobą drzwi, a potem przekręcił zamek. Szybko spojrzął wokół, upewniając się, że w pomieszczeniu nie ma nikogo oprócz nich. Późne sobotnie popołudnie, środek weekendu, powinno być puste... i było. Długi i wąski pokój, z rzędem szafek na drugim końcu. Wszędzie unosił się cudowny zapach — woń czystej, wyprasowanej pościeli — przypominający Normanowi domową przepierkę z czasów dzieciństwa.

Na paletach leżały wielkie sterty równo złożonych prześcieradeł, kosze pełne frotowych ręczników, poduszki na półkach. Pod jedną ścianą leżały stosy poszewek. Norman popchnął tam Pam, bez zainteresowania patrząc, jak spódniczka mundurka podwinęła się jej wysoko na udach. Jego popęd płciowy zrobił sobie wakacje, może nawet wyjechał na stałe... no i dobrze. W minionych latach to urządzenie między nogami narobiło mu wystarczająco dużo kłopotów. To straszliwy wynalazek, nakazujący podejrzewać, że Bóg miał więcej wspólnego z Andrew Dice Clayem, niż chciałoby się wierzyć. Przez dwanaście lat człowiek nawet go nie zauważa, a przez następne pięćdziesiąt — a nawet sześćdziesiąt — biega z jego powodu w kółko jak jakiś stuknięty, łysy diabeł tasmański.

— Nie wrzeszcz — powiedział. — Nie wrzeszcz, Pammy. Zabiję cię, jeśli zaczniesz krzyczeć.

To była pusta groźba, przynajmniej na razie, ale ona nie mogła o tym wiedzieć.

Pam wciągnęła powietrze w płuca; teraz powoli wypuściła je. Norman rozluźnił mięśnie.

— Proszę, nie rób mi krzywdy — wyszeptwała.

Chłopie, ależ to oryginalne, jeszcze nigdy tego nie słyszał, o nie, nie.

— Nie chcę zrobić ci krzywdy — oznajmił ciepło. — Na pewno nie. — Coś ugięło się w jego kieszeni. Pomacał i wyczuł gumę. Maskę. Właściwie nie był zdziwiony. — Musisz tylko powiedzieć mi to, co chcę wiedzieć, Pam. Potem pójdziesz sobie swoją drogą, a ja swoją.

— Skąd znasz moje imię? .

Obrzucił ją tym wyniosłym spojrzeniem — spotykanym w pokoju przesłuchań — mówiącym, że wie mnóstwo rzeczy, gdyż to jego zawód.

Siedziała na stosie zwiniętych ciemnokasztanowych powłoczek, takich samych jak ta na jego łóżku, na dziewiątym piętrze, wygładzając spódnice na kolanach. Jej oczy miały naprawdę niezwykły odcień błękitu. Łza pojawiła się na dolnej powiece lewego, zadrżała, a potem spłynęła po policzku, zostawiając smugę rozmazanego makijażu.

— Zamierzasz mnie zgwałcić? — zapytała. Patrzyła na niego tymi swoimi niezwykłymi oczami, wielkimi jak u dziecka (po co kręcić tyłkiem, Pammy, jeśli ma się takie oczy?), ale nie widział w nich tego, co chciał zobaczyć, tego, co również oglądał w pokoju przesłuchań, kiedy facet bombardowany pytaniami przez cały dzień i pół nocy w końcu był bliski załamania: pokory, błagania, spojrzenia zdradzającego, że powie wszystko, naprawdę wszystko, żeby tylko dać mu spokój. Nie widział tego w oczach Pam. Jeszcze.

— Proszę, nie gwałć mnie, proszę, ale jeżeli musisz, to załóż prezerwatywę, boję się AIDS.

Wytrzeszczył oczy, a potem wybuchnął śmiechem. Kiedy śmiał się, bolał go brzuch, jeszcze bardziej przepona, a najbardziej twarz, lecz nie mógł się powstrzymać. Myślał o tym, że musi przestać, że jakiś pracownik hotelu, a nawet detektyw hotelowy, może przechodzić obok, usłyszeć śmiech i zastanowić się, co to ma znaczyć, ale nawet to nie pomogło; w końcu postanowił zaczekać, aż mu przejdzie.

Blondyna początkowo obserwowała go ze zdumieniem, a potem sama leciutko uśmiechnęła się. Z nadzieją.

Norman wreszcie zdołał się opanować, chociaż do tej pory z oczu płynęły mu łzy.

— Nie mam zamiaru cię gwałcić, Pam — rzekł w końcu, kiedy był w stanie powiedzieć coś, nie zadając śmiechem kłamu swoim słowom.

— Skąd znasz moje imię? — zapytała ponownie. Tym razem jej głos był trochę silniejszy.

Wyjął maskę, włożył do niej dłoń i poruszał nią tak jak wtedy, gdy postraszył tego dupka — księgowego w camry.

— *Pam-Pam-bo-Ban, banana-fanna-fo-Fam, fee-fi-mo-Mam* — kazał jej śpiewać. Maskę podskakiwała w tył i w przód, jak Shari Lewis z pierdolonym Lamb Chop, tylko to był byk, a nie owca, głupi pierdolony pedałowaty byczek z kwiatami na rogach. Nie było żadnego powodu, żeby miał lubić to gównno, a jednak w pewien sposób lubił.

— Ja też jakbym cię lubił — mówił Ferd, pedałowaty byczek, patrząc na Normana pustymi oczami. Potem odwrócił się z powrotem do Pam i poruszonymi przez Normana wargami zapytał: — Nie podoba ci się coś?

— N-n-nie — wydusiła z siebie i w jej oczach w dalszym ciągu nie było tego, co chciał, jeszcze nie, ale będzie, bała się go, ich obu, co do tego miał pewność.

Norman przykucnął z rękami opuszczonymi między udami, tak że gumowe rogi Fernanda były skierowane ku podłodze. Popatrzył życzliwie na Pam.

— Założę się, że chciałabyś, abym zniknął z tego pokoju i z twojego życia, co, Pammy?

Skinęła głową tak energicznie, że włosy podskoczyły jej na ramionach.

— Taak, tak myślałem i nie mam ci tego za złe. Powiesz mi coś, a rozwieję się w powietrzu jak dym. To łatwe pytanie. — Pochylił się ku niej, aż rogi Fernanda dotknęły podłogi. — Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest Rose. Rose Daniels. Gdzie ona mieszka?

— O mój Boże. — Ta reszta koloru, która pozostała jeszcze na twarzy Pam, dwie czerwone plamki wysoko na policzkach, teraz zniknęła, a jej oczy otworzyły się tak szeroko,

że zdawały się wychodzić z orbit. — O mój Boże, to ty. Ty jesteś Norman.

To go przeraziło i rozzłościło — on miał znać ją, tak zaplanował, ale ona nie miała znać jego. Wszystko opierało się na tym. Kiedy on przetrwiał jeszcze dźwięk swojego imienia w jej ustach, zerwała się i prawie udało jej się uciec. Skoczył za nią, wyciągając prawą rękę, tę, w której trzymał maskę byka. Niewyraźnie słyszał swój głos mówiący jej, że nie ucieknie, że chce z nią porozmawiać, i to w cztery oczy.

Złapał ją za gardło. Wydała zduszony charkot, który miał być krzykiem, i wyrwała się z zadziwiającą siłą. Mimo to przytrzymałby ją, gdyby nie maska. Guma ześlizgnęła się z jego spoczonej dłoni i kobieta wyrwała mu się, runęła do drzwi, machając szeroko rozłożonymi ramionami i Norman w pierwszej chwili nie zrozumiał, co nastąpiło potem.

Usłyszał jakiś dźwięk, przypominający puknięcie odkorkowanego szampana, a potem Pam gwałtownie zamachała rękami, łomocząc dłońmi o drzwi, z głową przekrzywioną pod dziwnym kątem, jak ktoś patrzący na sztandar podczas jakiejś patriotycznej uroczystości.

— He? — mruknął Norman i zobaczył przed sobą Fernanda, przekrzywionego na jego rękę. Byk wyglądał jak pijany.

— Bach — powiedział.

Norman zerwał z ręki maskę i wepchnął ją do kieszeni, jednocześnie zdając sobie sprawę, że słyszy jakieś kapanie, jakby padającego deszczu. Spojrzał w dół i zobaczył, że lewa tenisówka Pam przestała być biała. Stała się czerwona. Wokół zbierała się krew; spływała długimi kroplami po drzwiach.

Dłonie kobiety wciąż trzepotały. Przypominały Normanowi małe ptaki.

Stała jak przytwierdzona do drzwi i kiedy podszedł bliżej, stwierdził, że w pewnym sensie tak było. Na tym cholerstwie znajdował się wieszak na ubrania. Wyrwała mu się, straciła równowagę i nadziała się. Haczyk wbił się jej w lewe oko.

— O kurwa, Pam, ty idiotko — zawołał Norman. Czuł jednocześnie wściekłość i niepokój. Wciąż widział głupawy uśmiech byka, słyszał, jak ten mówi „bach”, niczym jakaś głupkowata postać z kreskówek Walta Disneya.

Szarpnął Pam. Rozległ się nieopisanie ohydny dźwięk, gdy haczyk wyszedł. Jej pozostałe dobre oko (bardziej niebieskie niż przedtem — pomyślał Norman) spojrzało na niego z niemym przerażeniem.

Potem otworzyła usta i wrzasnęła.

Norman nie zdążył pomyśleć; jego ręce zadziały na własną odpowiedzialność, chwytając jej twarz, ściskając wielkimi dłońmi pod delikatną szczęką, przekręcając. Rozległ się ostry trzask — odgłos pękającej pod butem cedrowej gałązki — i kobieta zwiotczała w jego uścisku. Odeszła, a to, co wiedziała o Rose, odeszło z nią.

— Och, ty głupia dziwko — westchnął Norman. — Co za głupota, żeby nabijać się na jakiś pierdolony hak?

Potrząsnął nią. Jej głowa bezwładnie przetoczyła się po ramionach. Na przodzie białego mundurka miała teraz mokry czerwony śliniaczek.

Zaniósł Pam z powrotem do stert pościeli i rzucił ją tam. Upadła z szeroko rozrzuconymi nogami.

— Bezwstydna suko — zamruczał Norman. — Nie przestaniesz nawet po śmierci, co?

Skrzyżował jej nogi. Jedno ramię zsunęło się z jej ciała i pacnęło o powłóczki. Zobaczył na przegubie zabawną purpurową bransoletkę, wyglądającą jak kawałek przewodu telefonicznego. Na niej wisiał klucz.

Norman popatrzył na to, a potem na szafki na drugim końcu pomieszczenia.

„Nie możesz tam iść, Normie — odezwał się ojciec. — Wiem, o czym myślisz, ale byłbyś świrem, gdybyś choć zbliżył się do tego domu przy Durham Avenue”.

Norman uśmiechnął się. „Byłbyś świrem, gdybyś choć zbli — żył się do tego domu...” To trochę śmieszne, jeśli się zastanowić. Poza tym dokąd miałby iść? Co innego mógłby zrobić?

Nie miał czasu. Jego mosty płonęły za nim wesołym płomieniem... wszystkie.

— Czas nie gra roli — mruknął Norman Daniels i zdjął bransoletkę z kluczem z ręki Pam. Podeszedł do szafek, włożywszy na chwilę klucz w zęby, żeby z powrotem nałożyć maskę byka na dłoń. Potem podniósł Fernanda i pozwolił mu obejrzeć napisy wytłoczone na plastikowej taśmie przyklejonej do drzwi.

— Ta — rzekł Ferd i postukał gumowym pyskiem w szafkę z napisem PAM HAVERFORD.

Klucz pasował do zamka. Wewnątrz były dzinsy, podkoszulek, bawełniany biustonosz, przybory toaletowe i torebka Pam. Norman zaniósł torebkę do jednego z koszy i wysypał zawartość na ręczniki. Przesunął nad tym Fernanda, jak jakiegoś dziwnego satelitę.

— Oto jest, stary — mruknął Fernando.

Ze stosiku kosmetyków, chusteczek i papierów Norman wyjął cienki prostokąt szarego plastiku. To klucz do drzwi ich klubu, nie ma wątpliwości. Wziął go, odwrócił się...

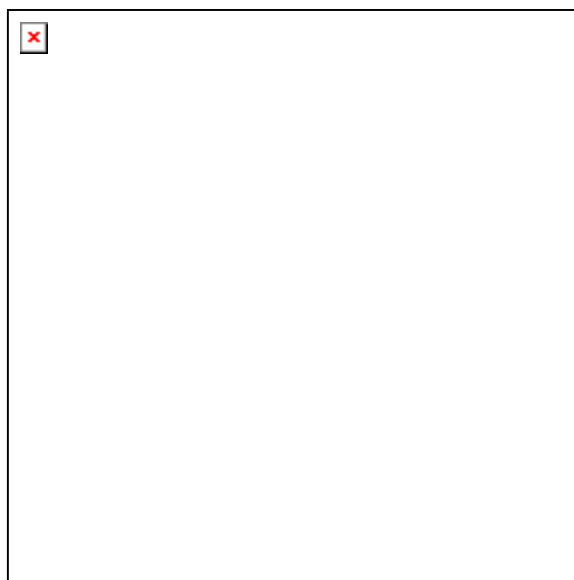
— Czekaj — powiedział *ze bool*. Przysunął się do ucha Normana i zaczął szeptać, kiwając gumowymi rogami.

Norman posłuchał, a potem skinął głową. Znowś ściągnął maskę ze spoczonej dłoni, wepchnął ją z powrotem do kieszeni i pochylił się nad zawartością torebki Pam. Tym razem przejrzał ją starannie, tak jakby dokonywał oględzin „miejsca zbrodni”, jak nazywano to w policyjnym żargonie... tyle że nie robił tego końcem pióra ani długopisu, ale palcami.

Nie muszę przejmować się odciskami palców — pomyślał i roześmiał się. — Już nie.

Odsunął na bok portmonetkę i wziął mały notesik z napisem TELEFONY–ADRESY na okładce. Zajrzał pod C, znalazł numer Córek i Sióstr, ale nie tego szukał. Spojrzał na pierwszą stronę, na której widniało wiele różnych liczb i bazgroły Pam — głównie oczy i kartonowe muszki. Wszystkie liczby wyglądały jak numery telefonów.

Zajrzał na ostatnią stronę — kolejne prawdopodobne miejsce. Więcej numerów telefonów, oczu, muszek... a na środku, równo obwiedzione i zaznaczone gwiazdkami, to:



— O rany — powiedział. — Trzymajcie swoje karty, ludzie, ale chyba mamy bingo. Prawda, Pammy?

Norman wydarł kartkę z notesika, wepchnął ją do kieszeni kurtki i na palcach podeszedł do drzwi. Posłuchał. Nikogo na zewnątrz. Odetchnął i pomacał róg kartki, którą dopiero co włożył do kieszeni. Kiedy to robił, jego umysł kolejny raz poszybował w ciemność i przez jakiś czas nie było niczego.

Hale i Gustafson poprowadzili Rosie i Gert do miejsca urządzonego niemal jak kąciak towarzyski: z wysłużonymi, ale wygodnymi meblami, bez biurek, za którymi zasiedliby detektywi. Policjanci opadli na wyblakłą zieloną kanapę umieszczoną między automatem z napojami bezalkoholowymi i stołem ze stojącym na nim ekspresem do kawy. Zamiast ponurych zdjęć narkomanów czy ofiar AIDS nad ekspresem wisiał plakat biura podróży, przedstawiający Alpy Szwajcarskie. Detektywi byli uprzejmi i współczujący, traktowali Rosie łagodnie i z szacunkiem, ale ani ich zachowanie, ani kameralne otoczenie niewiele jej pomogło. Wciąż była zła, bardziej rozgniewana niż kiedykolwiek w życiu, ale także przerażona samym faktem, że znalazła się w tym miejscu.

Kilkakrotnie podczas przesłuchania o mało nie straciła panowania nad sobą i za każdym razem spoglądała na drugi koniec pokoju, gdzie Bill cierpliwie siedział za barierką z napisem: WSTĘP TYLKO W SPRAWACH SŁUŻBOWYCH.

Wiedziała, że powinna wstać, podejść do niego i powiedzieć mu, żeby już nie czekał, żeby pojechał do domu i zatelefonował do niej jutro. Lecz nie potrafiła zmusić się do tego. Potrzebowała go tutaj, tak samo jak wtedy, kiedy jechał na swoim harleyu za samochodem, którym wieźli ją tu policjanci; potrzebowała go, jak obdarzone nadmiarem wyobraźni dziecko potrzebuje zapalanej lampki, gdy budzi się w środku nocy.

Kłopot był z tym, że przychodziły jej do głowy szalone myśli. Wiedziała, że to szaleństwo, lecz to w niczym nie pomagało. Na chwilę zapominała o tym, co się stało, po prostu odpowiadała na ich pytania i nie zastanawiała się nad tym, a potem przyłapywała się na myśli, że pewnie trzymają Normana w piwnicy, ukrywają go tutaj, na pewno, ponieważ stróże prawa to jedna rodzina, gliniarze to bracia, a żony gliniarzy nie mają prawa uciekać i żyć własnym życiem, choćby nie wiem co. Norman jest bezpiecznie schowany w jakimś maleńkim pokoiku w podziemiu, gdzie można wrzeszczeć ile sił, lecz nikt tego nie usłyszy, w pokoiku o wilgotnych betonowych ścianach, z jedną gołą żarówką zwisającą z sufitu, a kiedy skończą z tą bezsensowną gadaniną, zabiorą ją do niego. Zaprowadzają do Normana.

Szaleństwo. Mimo to w pełni uświadamiała sobie, że to szaleństwo tylko wtedy, kiedy widziała Billa po drugiej stronie barierki, pilnującego jej i czekającego, aż skończą, żeby odwieźć ją na żelaznym rumaku do domu.

Przesłuchanie trwało i trwało, czasem pytania zadawał Gustafson, czasem Hale, i chociaż Rosie nie miała wrażenia, że odgrywają dobrego i złego gliniarza, nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie skończą z tymi niezliczonymi pytaniami oraz niezliczonymi formularzami i puszczą ją. Może kiedy stąd wyjdzie, zelżeją trochę te paraliżujące przyływy wściekłości i przerażenia.

— Pani Kinshaw, proszę jeszcze raz powiedzieć mi, jak to się stało, że miała pani w torebce zdjęcie pana Danielsa? — zapytał Gustafson. Miał przed sobą na pół napisany raport i ołówek w ręce. Mocno marszczył brwi; przypominał Rosie chłopca zdającego końcowy egzamin, do którego nie przygotował się jak należy.

— Mówiłam o tym już dwa razy — odparła Gert.

— To już ostatni raz — rzekł spokojnie Hale.

Gert spojrzała na niego.

— Słowo skauta?

Hale uśmiechnął się bardzo ujmującym uśmiechem i kiwnął głową.

— Słowo skauta.

Opowiedziała im, jak razem z Anną skojarzyły Normana Danielsa z morderstwem Petera Słowika i jak otrzymały faksem zdjęcie Normana. Potem powiedziała, jak zauważyła mężczyznę na fotelu inwalidzkim, kiedy krzyczał za nim bileter. Rosie знаła już tę historię,

ale w dalszym ciągu zadziwiała ją odwaga Gert. Gdy Gert przeszła do opisu starcia z Normanem za toaletami, opisując to obojętnym tonem kobiety recytującej listę zakupów, Rosie chwyciła jej wielką dłoń i mocno uściśniła. Tym razem Gert spojrzała na Hale'a i uniosła brwi.

— W porządku?

— Tak — odparł Hale. — W najlepszym porządku. Cynthia Engstrom zawdzięcza pani życie. Gdyby pracowała pani w policji, podałbym panią do odznaczenia.

Gert prychnęła.

— Nigdy nie przeszłabym przez komisję lekarską. Jestem za gruba.

— Mimo to — powiedział Hale bez uśmiechu, patrząc jej w oczy.

— No cóż, dziękuję za komplement, ale wolałabym usłyszeć od was, że zamierzacie złapać tego faceta.

— Złapiemy go — rzekł Gustafson. Mówił z głęboką pewnością siebie, a Rosie pomyślała: Nie zna pan mojego Normana, oficerze.

— Skończyliście? — spytała Gert.

— Z panią tak — odparł Hale. — Mam jeszcze kilka pytań do pani McClendon... może pani teraz odpowiadać? Jeśli nie, mogą poczekać. — Przerwał. — Sądzę, że nie powinniśmy jednak niczego odkładać na później. Myślę, że oboje to rozumiemy, prawda?

Rosie na chwilę zamknęła oczy, a potem znów je otworzyła. Spojrzała na Billa, który ciągle siedział za barierką, a potem znów na Hale'a.

— Proszę pytać, o co pan chce — powiedziała. — Tylko skończmy z tym najszybciej, jak się da. Chcę pójść do domu.

5

Kiedy tym razem odzyskał świadomość, wysiadł z tempa na cichej ulicy, którą niemal natychmiast rozpoznał jako Durham Avenue. Zaparkował półtora kwartału od Pałacu Piczek. Jeszcze nie było ciemno, ale ściemniało się: cienie pod drzewami były gęste i aksamitne, dziwnie clikliwe.

Popatrzył po sobie i stwierdził, że najwidoczniej odwiedził swój pokój przed opuszczeniem hotelu. Pachniał mydłem i miał inne ubranie. Strój był odpowiedni do tego zadania: spodnie khaki, biały golf i narzucona na wierzch niebieska koszula. Wyglądał na faceta, który zjawia się w weekend, żeby sprawdzić szwankujące kolanko rury gazowej albo...

— Albo alarm przeciwłamaniowy — mruknął pod nosem Norman i uśmiechnął się. — To naprawdę bezczelność, *señor Daniels*. Naprawdę bez...

W gwałtownym przypiływie paniki pomacał lewą tylną kieszeń spodni, które miał teraz na sobie. Nie namacał niczego oprócz wypukłości portfela. Dotknął prawej kieszeni i wydał chrapliwe westchnienie ulgi, gdy wiotka guma maski ugięła mu się pod palcami. Wyraźnie zapomniał o służbowym rewolwerze — zostawił go w pokoju hotelowym — ale pamiętał o masce, a w tej chwili ona wydawała się znacznie ważniejsza od broni. Zapewne to szaleństwo, ale taka była prawda.

Ruszył chodnikiem w kierunku numeru 251. Gdyby tam było tylko kilka tych cip, spróbowałby wziąć je wszystkie jako zakładniczki. Gdyby było ich wiele, złapałby tyle, ile by zdołał — może pół tuzina — a resztę przepłoszył. Potem zacząłby po prostu rozstrzeliwać jedną po drugiej, aż któraś wydusiłaby z siebie adres Rose. A gdyby żadna nie знаła go, zastrzeliłby wszystkie i zaczął szukać w aktach... jednak nie sądził, aby do tego doszło.

„A co zrobisz, jeśli tam są gliny, Normie? — zapytał nerwowo ojciec. — Gliny przed budynkiem, gliny w środku, gliny strzegące budynku przed tobą?”

Nie wiedział. I nie dbał o to.

Minął 245, 247, 249. Między tym ostatnim a chodnikiem był żywopłot i gdy Norman doszedł do jego końca, zatrzymał się, patrząc podejrzliwym wzrokiem na numer 251 przy Durham Avenue. Oczekiwał, że ujrzy tam bardziej lub mniej wyraźne ślady aktywności, lecz nie spodziewał się tego, co widział teraz, a mianowicie braku jakiegokolwiek aktywności.

Budynek Córek i Sióstr wznosił się na końcu wąskiego, długiego trawnika; rolety w oknach pierwszego i drugiego piętra opuszczono dla ochrony przed słońcem. Wokół było cicho i pusto. Okna po lewej stronie ganku były nie zasłonięte, ale ciemne. Nie poruszał się w nich żaden cień. Nikogo na ganku. Żadnych samochodów na podjeździe.

Nie mogę po prostu tu stać — pomyślał i ruszył dalej. Minął budynek, zaglądając do ogródka, w którym przedtem widział te dwie kurwy — jedną z nich złapał przy toaletach. Dziś wieczór ogród pozostawał pusty. A z tego, co Norman zdołał dostrzec, na tylnym dziedzińcu także nikt się nie kręcił.

„To pułapka, Normie — podpowiadał głos ojca. — Wiesz o tym, prawda?”

Norman dotarł aż do „Przyłądka Dobrej Nadziei”, z liczbą 257 na drzwiach, a potem zawrócił i powłókł się chodnikiem. Wiedział, że to wyglądało na pułapkę, głos ojca miał rację, ale nie wiadomo czemu nie wyczuwał w tym podstęp.

Byczek Fernando pojawił się przed nim jak błydy gumowy duch — Norman wyjął maskę z kieszeni i włożył ją na rękę, nawet nie zdając sobie z tego sprawy. Wiedział, że to kiepski pomysł; każdy, kto wyrztałby przez okno, z pewnością zdziwiłby się, dlaczego ten rosły mężczyzna z opuchniętą twarzą rozmawia z gumową maską... której każe odpowiadać, poruszając jej ustami. A jednak i to zdawało się nie mieć żadnego znaczenia. Życie stało się bardzo... no, nieskomplikowane. Normanowi nawet podobało się to.

— Nie, to nie pułapka — stwierdził Fernando.

— Jesteś pewny? — zapytał. Znów był pod numerem 251.

— Tak — odparł Fernando, kiwając ukwieconymi rogami. — One po prostu poszły na swój piknik, to wszystko. Teraz zapewne siedzą w kółko, zajadając lukrecjowe ciasteczka, podczas gdy jakaś lesba w ciuchach babuni śpiewa *Blowin' in the Wind*. Nie zdołałeś osiągnąć nic więcej, jak tylko na chwilę popsuć im zabawę.

Zastygł niczym rażony gromem, przed trawnikiem wiodącym do Córek i Sióstr, spoglądając na maskę.

— Hej, przykro mi, facet — rzekł przepaszająco *ze bool* — ale wiesz, ja nie wymyślałem tych wiadomości, ja je tylko przekazuję.

Norman był oszołomiony odkryciem, że jest coś niemal równie paskudnego jak powrót do domu i stwierdzenie, że żona oddaliła się w nieznanym kierunku z twoją kartą kredytową w torebce. A tak właśnie jest, kiedy człowieka ignorują.

Kiedy ignoruje go stado kobiet.

— No cóż, naucz je, żeby tego nie robiły — rzekł Fernando. — Daj im nauczkę. Dalej, Norm. Pokaż im, kim jesteś. Daj im nauczkę, jakiej nigdy nie zapomną.

— Nigdy jej nie zapomną — wymamrotał Norman, a maska na jego ręce entuzjastycznie pokiwała głową.

Wepchnął ją z powrotem do prawej kieszeni, a podchodząc do bramy wyjął z lewej kartę magnetyczną zrabowaną Pam oraz kartkę wydartą z jej notesu. Wszedł na schody, zerknąwszy — miał nadzieję, że obojętnie — na kamerę telewizyjną zamontowaną nad drzwiami. Kartę magnetyczną trzymał w opuszczonej ręce. Ktoś mógł go jednak obserwować. Musi pamiętać o tym, że — przynoszący szczęście, czy nie — Fernando był tylko gumową maską z ręką Normana Daniela, bez mózgu.

Szpara na kartę była dokładnie tam, gdzie spodziewał się, że będzie. Obok znajdował się domofon oraz niewielka tabliczka informująca użytkownika o tym, że ma nacisnąć i mówić.

Norman nacisnął guzik, nachylił się i rzekł:

— Midland Gas, szukamy nieszczelnego przewodu gazowego. Puścił przycisk. Czekał. Zerknął na kamerę. Czarno — biała, pewnie nie będzie widać, jaką ma spuchniętą twarz... przynajmniej na to liczył. Uśmiechnął się, usiłując wyglądać nieszkodliwie, podczas gdy serce waliło mu w piersi jak mały, szybki silnik.

Brak odpowiedzi. Nic.

Ponownie wcisnął przycisk.

— Jest ktoś w domu, panienki?

Dał im czas, powoli licząc do dwudziestu. Ojciec szeptał, że to pułapka, dokładnie taka, jaką sam zastawiłby w tej sytuacji; zwabiłby szmacciarza do środka, niech myśli, że nie ma nikogo, a potem jak tona cegieł zwaliłby mu się na łeb. No tak, właśnie tak postąpiłby... ale tutaj nie było nikogo. W środku było pusto jak w starej puszcze po piwie.

Norman włożył kartę w szczelinę. Rozległ się krótki, głośny trzask. Wyjął kartę, nacisnął klamkę i wszedł do przedsionka Córek i Sióstr. Z lewej dochodził cichy, miarowy dźwięk: bip–bip–bip. Tablica alarmu przeciw włamaniowemu. W okienku wyświetlacza zapalał się i gasł napis DRZWI FRONTOWE.

Norman zerknął na kartkę papieru wydartą z notesu, przez sekundę modlił się w duchu, żeby numer na niej okazał się tym, czym chciał, aby był, po czym wystukał 0471. Przez jedną, mrozącą krew w żyłach chwilę alarm piszczał, a potem zamilkł. Norman odetchnął i zamknął drzwi. Zresetował alarm, nawet nie myśląc o tym. Z policyjnego nawyku.

Rozejrzał się, zauważył schody wiodące na pierwsze piętro, a potem przeszedł głównym holem. Zajrzał do pierwszego pokoju po prawej. Wyglądał jak klasa szkolna, z krzesłami ustawionymi w półokrąg i tablicą na jednej ścianie. Na tablicy napisano słowa: GODNOŚĆ, ODPOWIEDZIALNOŚĆ I WIARA.

— Mądre słowa, Norm — zauważył Fernando. Znów był na ręce Normana. Znalazł się tam jak w wyniku czarów. — Mądre słowa.

— Skoro tak mówisz; dla mnie to zwykle pierdoły. Rozejrzał się wokół, a potem krzyknął. Krzyk w tej zastygłej ciszy wydawał się niemal świętokradztwem, ale człowiek musi robić to, co musi.

— Halo? Jest tu kto? Midland Gas!

— Halo? — zawołał Fernando z końca jego ramienia, rozglądając się wokół swymi pustymi oczami. Mówił z zabawnym niemieckim akcentem, jak to czasem robił ojciec Normana, kiedy był pijany: „Halo, jezd dam chto?”

— Zamknij się — mruknął Norman.

— Tajest, psze pana — odparł ze *bool* i natychmiast zamilkł.

Norman powoli odwrócił się i poszedł dalej holem. Po drodze mijał inne pomieszczenia — salonik, pokój stołowy, coś, co wyglądało na małą bibliotekę — ale wszędzie było pusto. Kuchnia na końcu korytarza również była pusta i teraz stanął przed nowym problemem: gdzie miał szukać tego, czego potrzebował?

Zrobił głęboki wdech i zamknął oczy, usiłując zebrać myśli (i zapomnieć o bólu głowy, który zamierzał wrócić). Chciało mu się palić, ale nie śmiał tego zrobić — mogły tu mieć alarm przeciwpożarowy, który podniósłby raban przy pierwszej smużce dymu.

Ponownie wciągnął głęboko powietrze, wypełniając nim płuca, i teraz rozpoznał unoszący się wokół zapach — nie była to woń kurzu, lecz kobiet, kobiet długo otaczających się innymi kobietami, kobiet nadętych poczuciem słuszności i tworzących wspólnotę broniącą je przed realnym światem. To był zapach krwi, piczki, natrysku, saszetki, lakieru do włosów i perfum typu zerznij mnie o takich nazwach jak „Grzech”, „Białe Ramiona” czy „Obsesja”. To był zapach warzyw, które lubiły jeść, i owocowy aromat herbatek, jakie lubiły popijać; to nie był odór kurzu, ale czegoś podobnego do drożdży, do fermentacji, czego nie usunąłby żaden środek czyszczący: zapach kobiet bez mężczyzn. I natychmiast ta woń wypełniła jego nos, wypełniła gardło, wypełniła serce, dławiąc, doprowadzając do omdlenia, niemal dusząc.

— Weź się w garść — rzucił ostro Fernando. — Czujesz tu jedynie wczorajszy sos do spaghetti! Nie pękaj!

Norman głośno odetchnął, znów zrobił wdech i otworzył oczy. Sos do spaghetti, właśnie. Czerwony, pachnący — jak krew. To naprawdę był tylko sos do spaghetti.

— Przepraszam, przez chwilę trochę zwątpiłem — rzekł.

— Taa, kto by nie zwątpił? — odparł Ferd i teraz jego puste oczy zdawały się wyrażać współczucie i zrozumienie. — W końcu to tutaj Circe zmienia mężczyzn w świnie. — Maska okręciła się na dłoni Normana, wodząc pustym wzrokiem. — „Ja, to jezd do”.

— O czym ty mówisz?

— O niczym. Nieważne.

— Nie wiem, dokąd iść — zasepił się Norman, też rozglądając się wokół. — Chryste, mam mało czasu, a ten dom jest taki duży! Musi tu być co najmniej dwadzieścia pokoiów.

Byk wskazał rogami drzwi na drugim końcu kuchni.

— Spróbuj tam.

— Do diabła, to pewnie spiżarnia.

— Nie sądzę, Normanie. Nie sądzę, żeby na drzwiach do spiżarni umieszczali napis PRYWATNE, prawda?

Byk miał rację. Norman przeszedł przez pomieszczenie, chowając przy tym maskę z powrotem do kieszeni (i notując w pamięci durszlak do spaghetti pozostawiony na ociekaczu przy zlewie), a potem zastukał do drzwi. Nic. Przekręcił klamkę. Obróciła się bez oporu. Otworzył drzwi, pomacał po prawej stronie i włączył kontakt.

Żyrandol nad głową oświetlał mamucie biurko zarzucone papierami. Na jednej ze stert stała mała złota plakietka z napisem ANNA STEVENSON. Na ścianie wisiała oprawiona w ramki fotografia dwóch kobiet, które Norman rozpoznał. Jedną była nieżyjąca Susan Day. Drugą siwowłosa suka ze zdjęcia w gazecie, ta wyglądająca jak Maude. Obejmowały się ramionami i uśmiechały, zaglądając sobie w oczy, jak prawdziwe lesbijki.

Przy bocznej ścianie pokoju stały szafki na akta. Norman podszedł do nich, przyklęknął, sięgnął po szufladę oznaczoną D–E, a potem zamarł. Ona nie używała już nazwiska Daniels. Nie pamiętał, czy powiedział mu o tym Fernando, czy też sam dowiedział się o tym lub wyczuł, w każdym razie wiedział, że to prawda. Wróciła do panińskiego nazwiska.

— Będiesz Rose Daniels aż do śmierci, ty cipo — warknął i sięgnął po szufladę oznaczoną literą M. Pociągnął. Nic. Zamknięta.

Problem, ale niezbyt poważny. W kuchni znajdzie coś do otwarcia. Odwrócił się, zamierzając tam pójść, a potem przystanął, kątem oka zauważając wiklinowy koszyk stojący na rogu biurka. Z rączki kosza zwisała karteczka. LEĆ, LIŚCIKU napisano na niej staroangielskim charakterem pisma. W koszyku był stosik listów — najwyraźniej do wysłania — a pod kopertą zaadresowaną do Lakeland Cable TV zobaczył wystające:

endon

renton Street

...endon?

McClendon?

Z szeroko otwartymi i roziskrzonymi oczami złapał kartkę, wywracając koszyk i rozsypując większość korespondencji na podłogę.

Tak, McClendon, na Boga — Rosie McClendon! I tuż pod spodem, wyraźnie napisany adres: 897 Trenton Street.

Na pół zagrzebany pod stertą ulotek zapraszających na piknik, leżał długi chromowany nóż do rozcinania listów. Norman chwycił go, otworzył list i machinalnie schował nóż do tylnej kieszeni spodni. Jednocześnie wyjął maskę i włożył ją na dłoń. Kartka papieru miała tłoczony nagłówek z napisem ANNA STEVENSON dużymi literami oraz Córki i Siostry nieco mniejszymi.

Norman obrzucił szybkim spojrzeniem ten sygnał *ego*, a potem zaczął przesuwać maskę nad listem, pozwalając, aby Fernando przeczytał go za niego. Pismo Anny Stevenson było duże i eleganckie — można by je uznać za aroganckie. Spocone palce Normana drżały i usiłowały zacisnąć się na głowie Fernanda, każąc masce krzywić się boleśnie i szyderczo w trakcie lektury.

Droga Rosie

Piszę do Ciebie te kilka słów pod nowy adres (wiem, jakie ważne mogą być te pierwsze listy!), chcąc powiedzieć Ci, jak bardzo się cieszę, że przybyłaś do Córek i Sióstr i z tego, że mogliśmy Ci pomóc. Pragnę Ci także powiedzieć, jak bardzo jestem zadowolona, że znalazłaś sobie pracę — mam wrażenie, że nie będziesz długo mieszkać na Trenton Street!

Każda kobieta przybywająca do Córek i Sióstr wzbogaca życie pozostałych — tych, które są z nią w czasie, kiedy wraca do zdrowia, a także tych, które przychodzą później, ponieważ każda pozostawia odrobinę swego doświadczenia, siły i nadziei. Ja mam nadzieję widywać Cię tu często, Rosie, nie tylko dlatego, że jeszcze nie w pełni odzyskałaś zdrowie i z wieloma uczuciami (głównie z gniewem, jak podejrzewam) musisz dopiero się uporać, ale dlatego, że Twoim obowiązkiem jest przekazać innym to, czego nauczyłaś się tutaj. Zapewne nie muszę mówić Ci o tym, ale...

Jakiś trzask, cichy, lecz wyraźny w panującej ciszy. A potem kolejny dźwięk: bip–bip–bip–bip. Alarm przeciwwłamaniowy. Norman miał towarzystwo.

6

Anna nie zauważyła zielonego forda tempo zaparkowanego przy krawężniku półtora kwartału od budynku Córek i Sióstr. Była zatopiona w marzeniach, o jakich nigdy nikomu nie mówiła, nawet swojej psychoterapeutce. W marzeniach ratujących ją w taki okropny dzień jak ten. W tych marzeniach widziała się na okładce tygodnika „Time”. To nie było zdjęcie, lecz obraz olejny, w żywych barwach ukazujący ją w ciemnoniebieskiej koszuli (w niebieskim było jej najlepiej, a koszula skrywała fakt, jak przygnębiająco poszerzyła się w talii w ciągu ostatnich dwóch czy trzech lat). Oglądała się przez lewe ramię, pokazując artyście swój lepszy profil, a włosy spływały jej jak śnieżna zaspą na prawe ramię. Seksowna śnieżna zaspą.

Podpis pod obrazem głosił po prostu: ZBAWCZYNI AMERYKI.

Skręciła na podjazd, niechętnie porzucając marzenia (właśnie doszła do miejsca, w którym pisarz stwierdzał: *Chociaż uratowała życie maltretowanym kobietom, a było ich przeszło tysiąc pięćset, Anna Stevenson pozostaje zdumiewająco, a nawet ujmująco, skromna...*). Wyłączyła silnik infiniti i przez chwilę po prostu siedziała w samochodzie, delikatnie masując sobie skórę pod oczami.

Peter Słowik, którego podczas rozvodu często nazywała Piotrem Wielkim lub Szalonym Marksistą Rasputinem, za życia był nieuleczalnym gadułą, a jego przyjaciele najwyraźniej postanowili wspominać go w taki sam sposób. Mówili bez końca, a każdy „kwiat wspomnień” (pomyślała, że z przyjemnością wystrzelałaby tych ulizanych dupków, którzy całymi dniami wymyślają takie lizusowskie określenia) wydawał się dłuższy od poprzedniego i około czwartej, kiedy w końcu zabrali się do jedzenia i wina — domowe i okropne, akurat takie, jakie wybrałby Peter, gdyby robił zakupy — Anna była pewna, że składane krzesło, na którym siedziała, odbiło się jej jak tatuaż na tyłku. Mimo to ani przez chwilę nie myślała o tym, żeby wyjść wcześniej — przed zjedzeniem maleńkiej kanapki i przełknięciem łyżeczki wina. Ludzie mogli patrzeć i oceniać jej zachowanie. W końcu była Anną Stevenson, ważną

postać w politycznych sferach miasta, tak więc po ceremonii musiała porozmawiać z pewnymi ludźmi. Z tymi, z którymi chciała być widziana, ponieważ tak już kręci się ten świat.

A na dodatek jej pager odezwał się trzykrotnie w ciągu czterdziestu pięciu minut. Całymi tygodniami spoczywał niemo w jej torebce, a tego popołudnia, w trakcie uroczystości, podczas której zapadały długie okresy ciszy przerywane przez ludzi najwyraźniej nie umiejących mówić inaczej jak łzawym szeptem, po prostu oszalał. Po trzecim razie miała dość obracających się ku niej głów i wyłączyła cholerstwo. Miała nadzieję, że żadna z uczestniczek pikniku nie zaczęła rodzić, że żaden dzieciak nie oberwał podkową w głowę, a najbardziej liczyła na to, że nie pojawił się mąż Rosie. Wątpiła, by to zrobił; był na to za sprytny. A zresztą, każdy dzwoniący pod numer jej pagera najpierw połączyłby się ze schroniskiem, więc pierwszym jej przystankiem będzie automatyczna sekretarka w gabinecie. Wysłucha nagranych komunikatów siusiając. W przeważającej większości na nic więcej nie zasługiwały.

Wysiadła z samochodu, zamknęła go (nawet w takiej dobrej dzielnicy jak ta nigdy za wiele ostrożności) i weszła na schody ganku. Włożyła kartę i uciszyła bip–bip–bip systemu alarmowego, nawet o tym nie myśląc; słodkie strzępy marzeń (jedyna kobieta jej czasów uwielbiana i szanowana przez wszystkie odłamy coraz bardziej podzielonego ruchu wyzwolenia kobiet) wciąż wirowały jej w głowie.

— Halo! — przywitała dom, idąc holem.

Odpowiedziała jej cisza, tak jak oczekiwała... i prawdę mówiąc, na co liczyła. Przy odrobinie szczęścia może uda jej się spędzić dwie lub nawet trzy godziny w spokoju, zanim zaczną się wieczorne chichoty, plusk pryszniców, traskanie drzwiami i gwar rozmów. Weszła do kuchni zastanawiając się, czy długa przyjemna kąpiel, z calgonem i wszystkim, nie uprzyjemniłaby choć trochę tego dnia. Nagle stanęła, ze zmarszczonymi brwiami patrząc na drzwi do gabinetu. Były otwarte na oścież.

— Do licha — mruknęła. — A niech to lichu!

Jeżeli było coś, czego nie znosiła nade wszystko — może oprócz zbytniej poufałości — to naruszania jej prywatności. Nie zainstalowała zamka w drzwiach, gdyż nie sądziła, aby kiedykolwiek mogła być do tego zmuszona. W końcu to był jej dom; mieszkające tu dziewczyny i kobiety znalazły się tutaj dzięki jej szczodrości i poświęceniu. Nie potrzebowała zamka w drzwiach. Powinno im wystarczyć, że życzyła sobie, aby nie wchodziły tam bez zaproszenia.

Zazwyczaj tak było, ale od czasu do czasu któraś z kobiet dochodziła do wniosku, że naprawdę potrzebuje jakiegoś dokumentu albo że naprawdę potrzebna jest kserokopiarka Anny (ponieważ rozgrzewała się szybciej od tej w pokoju na dole), lub że naprawdę potrzebuje znaczka. Taka nieznośna osoba wchodziła, kręciła się po nie swoim pokoju, może gapiała się na rzeczy, na które nie powinna, zatruwała powietrze zapachem jakichś tanich perfum z drugstore'u...

Anna zastygła z dłonią na klamce, spoglądając w głąb ciemnego pomieszczenia, które w czasach jej dzieciństwa było spizarnią. Lekko rozdęła nozdrza i zmarszczka na jej czole pogłębiła się. Rzeczywiście w powietrzu unosił się jakiś zapach, ale nie perfum. Przypominał jej Szalonego Marksistę To był...

„Wszyscy moi mężczyźni używają English Leather albo nie używają niczego”.

Jezu! Jezu Chryste!

Dostała gęsiej skórki. Była kobietą dumną ze swego trzeźwego spojrzenia na świat, lecz nagle bez trudu wyobraziła sobie, że w gabinecie czeka na nią duch Petera Słowika, cień równie bezcielesny jak zapach tej okropnej wody kolońskiej, której używał...

Jej oczy spoczęły na światełku w ciemności: automatyczna sekretarka. Czerwona lampka migotała jak szalona, jakby telefonowali dziś wszyscy mieszkańcy miasta.

Naturalnie coś się stało. Natychmiast zrozumiała co. To wyjaśniało także sygnały pagera... a ona, jak głupia, wyłączyła go, żeby ludzie przestali gapić się na nią. Coś się stało, zapewne na Ettinger's Pier. Ktoś został ranny. Albo, Boże broń...

Weszła do biura, szukając kontaktu przy drzwiach, a potem zamarła, zdziwiona tym, co odkryły jej palce. Przełącznik był wciśnięty, co oznaczało, że górne światło powinno być zapalone, tymczasem nie zapaliło się.

Anna dwukrotnie próbowała włączyć kontakt i zaczęła to robić po raz trzeci, kiedy czyjaś ręka złapała ją za prawe ramię.

Wrzasnęła; dźwięk wydobywający się z jej gardła był równie donośny i przeraźliwy jak wydawany przez jakąkolwiek bohaterkę filmu grozy, a gdy druga dłoń chwyciła ją za lewe przedramię i obróciła, na widok sylwetki stojącej w prostokącie światła padającego z kuchni Anna krzyknęła ponownie.

Stwór stojący za drzwiami i czekający na nią nie był człowiekiem. Z jego głowy sterczały rogi, wyraźnie nabrzmiałe jakimiś dziwnymi, rakowatymi naroślami. To był...

— *Viva ze bool* — powiedział matowy głos i Anna zrozumiała, że to jednak człowiek, mężczyzna w masce, lecz nie poczuła się ani odrobinę lepiej, ponieważ już się domyśliła, kim on jest.

Wyrwała mu się i cofnęła w stronę biurka. W dalszym ciągu czuła zapach wody English Leather, ale również i inne zapachy. Rozgrzanej gumy. Potu. I moczu. Czyżby jej? Czy zmoczyła się? Nie wiedziała. Straciła czucie w dolnej połowie ciała.

— Nie dotykaj mnie — powiedziała drżącym głosem, zupełnie niepodobnym do jej zwykłego, spokojnego i autorytatywnego tonu. Usiłowała wymacać za plecami przycisk alarmowy, by wezwać policję. Był tam gdzieś, ale zakopany pod stosami papierów. — Nie waż się mnie dotknąć, ostrzegam cię.

— *Anna-Anna-bo-Banna, banana-fanna-fo-Fanna* — mamrotał stwór w rogatej masce, tonem głębokiego namysłu, a potem zamknął za sobą drzwi. Pograżyli się w kompletnych ciemnościach.

— Trzymaj się z daleka — ostrzegła, przesuwając się wzdłuż biurka. Jeśli zdoła dostać się do łazienki, zamknąć drzwi...

— *Fee-fi-mo-Manna...*

Z lewej strony. Blisko. Skoczyła w prawo, ale za późno. Pochwyciły ją silne ramiona. Próbowała znów krzyknąć, lecz ścisnął ją mocno, pozbawiając tchu.

Gdybym była Misery Chastain, mogłabym... — pomyślała i poczuła na szyi zęby Normana, który dobierał się do niej jak napalony dzieciak w samochodzie zaparkowanym w Alei Kochanków. Potem jego zęby wbiły się w jej szyję i coś ciepłego trysnęło, oblewając ją całą i w ogóle przestała myśleć.

7

Zanim zadano ostatnie pytania i podpisano ostatnie formularze, było już ciemno. Rosie wirowało w głowie i czuła się trochę dziwnie, jak po całodniowych testach w szkole średniej.

Gustafson odszedł włączyć do akt swoje raporty, niosąc je przed sobą jak Świętego Graala, a Rosie wstała z fotela. Zaczęła iść w kierunku Billa, który także podniósł się z krzesła. Gert poszła poszukać toalety.

— Pani McClendon? — u jej boku pojawił się Hale.

Znużenie Rosie ustąpiło miejsca nagłemu, okropnemu przeczuciu. Byli tylko we dwoje; Bill stał za daleko, żeby usłyszeć to, co powie jej Hale, który zacznie mówić do niej ścisłym, poufnym tonem. Powie jej, żeby natychmiast dała spokój i przestała opowiadać te głupoty o mężu, jeśli wie, co dla niej dobre. I że ma od tej pory nie wygadywać bzdur o

glinach, chyba że jeden z nich albo zada jej pytanie, albo rozepnie rozporek. Przypomni jej, że to sprawa rodzinna, a takie...

— Zamierzam go wsadzić — powiedział spokojnie Hale. — Nie wiem, czy zdołam panią przekonać, a jednak chcę, żeby pani usłyszała, jak to mówię. Zamierzam go wsadzić. To obietnica.

Patrzyła na niego z otwartymi ustami.

— Mam zamiar to zrobić, ponieważ on jest mordercą, szaleńcem i niebezpiecznym przestępcą. Zamierzam to zrobić również dlatego, że nie podoba mi się sposób, w jaki rozgląda się pani po tym pokoju i podskakuje za każdym razem, kiedy gdzieś trzasną drzwi. Ani to, jak kuli się pani za każdym razem, gdy poruszę ręką.

— Ja nie...

— Ależ tak. Nie może pani nad tym zapanować. Ale nic nie szkodzi, ponieważ ja wiem, dlaczego pani tak się zachowuje. Gdybym był kobietą i przeszedł przez to, co pani... — Umilkł i spojrzał na nią z zakłopotaniem. — Czy przyszło pani kiedyś do głowy, jakie ma pani niebywale, cholerne szczęście, pozostając przy życiu?

— Tak — odparła Rosie. Trzęsły się jej nogi. Bill stał przy wyjściu, patrząc na nią, wyraźnie zatroskany. Zmusiła się do uśmiechu i pokazała mu jeden palec — jeszcze minutkę.

— Bo tak jest — rzekł Hale. Rozejrzał się po komisariacie, a Rosie poszła w jego ślady. Przy jednym biurku policjant notował dane zapłakanego nastolatka w kurtce z emblematem jakiejś szkoły. Przy drugim, tym pod oknami zakratowanymi od podłogi do sufitu, gliniarz w mundurze i detektyw bez marynarki, któremu widać było przypięty do pasa police special .38, oglądali razem kupkę zdjęć. Przy rzędzie terminali komputerowych po drugiej stronie pokoju Gustafson omawiał swoje raporty z młodym technikiem, który wyglądał najwyżej na szesnaście lat.

— Wiele pani wie o policjantach — dodał Hale — ale większość z tego to nieprawda.

Nie miała pojęcia, co na to powiedzieć, lecz najwyraźniej to było w porządku — nie oczekiwał odpowiedzi.

— Chce pani usłyszeć, jaki jest najważniejszy powód tego, że zamierzam go przymknąć, pani McClendon? Numer jeden na liście starych przebojów?

Kiwnęła głową.

— Zamknę go, ponieważ jest policjantem. W dodatku bohaterskim policjantem. Kiedy następnym razem jego twarz pojawi się na pierwszej stronie gazety w jego mieście, będzie martwym Normanem Danielsem albo w kajdanach i więziennym ubranku.

— Dziękuję, że mi pan to powiedział — rzekła Rosie. — To dla mnie wiele znaczy.

Zaprowadził ją do Billa, który podniósł barierkę i objął Rosie. Przytuliła się do niego, zamykając oczy.

— Pani McClendon? — zapytał Hale.

Otworzyła oczy, zobaczyła wracającą do pokoju Gert i pomachała jej ręką. Potem spojrzała na Hale'a, nieśmiało, ale bez obawy.

— Może mi pan mówić Rosie, jeśli pan chce. Uśmiechnął się do niej.

— Czy chce pani usłyszeć coś, co może usprawiedliwić pani pierwszą, daleką od entuzjazmu reakcję na nasze pytania?

— Ja... chyba tak.

— Może ja zgadnę — powiedział Bill. — Macie problemy z policją w rodzinnym mieście Rosie.

Hale skrzywił się.

— Istotnie. Nie chcieli nam przesłać charakterystyki grupy krwi Daniela ani jego odcisków palców. Już mamy na karku policyjnych prawników. Gliny-prawnicy!

— Bronią go — przeraziła się Rosie. — Wiedziałam, że tak będzie.

— Na razie. To instynkt, taki sam jak ten, który każe nam rzucić wszystko, żeby ścigać

zabójcę, gdy zostaje zastrzelony policjant. Oni przestaną rzucać piasek w tryby, gdy w końcu zrozumieją, że to nie żarty.

— Naprawdę pan w to wierzy? — spytała Gert.

Zastanowił się, a potem skinął głową.

— Tak.

— Czy zapewnicie Rosie ochronę do czasu zakończenia tej sprawy? — zapytał Bill.

Hale ponownie kiwnął głową.

Przed twoim mieszkaniem na Trenton Street już stoi wóz patrolowy, Rosie.

Powiodła spojrzeniem po Gert i Billu, znów zaniepokojona i przestraszona. Co chwila spadały na nią nowe ciosy związane z tą sytuacją. Już miała wrażenie, że zaczyna się opanowywać, gdy obrywała ponownie, z zupełnie nieoczekiwanej strony.

— Po co? Dlaczego? Przecież on nie wie, gdzie mieszkam, nie może tego wiedzieć! To dlatego przyszedł na piknik, gdyż myślał, że ja tam będę. Cynthia nie podała mi adresu, prawda?

— Mówi, że nie.

Hale położył nacisk na pierwsze słowo, lecz tak lekki, że Rosie nie zwróciła na to uwagi. Gert i Bill zrozumieli go i wymienili spojrzenia.

— No właśnie! I Gert też mi nie powiedziała! Prawda, Gert?

— Nie, proszę pani — odparła Gert.

— No cóż, pragnę mieć pewność i niech tak zostanie. Mam ludzi przed domem i wozy wsparcia, co najmniej dwa, w pobliżu. Nie chcę znów pani przestraszyć, ale świr znający policyjną robotę to szczególny rodzaj świra. Lepiej nie ryzykować.

— Skoro tak pan uważa — prawie wyszeptwała Rosie.

— Pani Kinshaw, przyślę kogoś, żeby odwiózł panią, dokąd pani chce...

— Na Ettinger's Pier — odparła Gert i wygładziła podomkę. — Zamierzam wystąpić w pokazie mody podczas koncertu.

Hale zaśmiał się, a potem wyciągnął rękę do Billa.

— Panie Steiner, miło mi było pana poznać.

Bill potrząsnął nią.

— Mnie również. Dzięki za wszystko.

— To moja praca. — Hale zerknął na Gert i Rosie. — Dobranoc, dziewczyny. — Ponownie spojrzął na Gert i jego twarz opromienił uśmiech, który w mgnieniu oka ujął mu piętnaście lat. — Wspaniały rzut — powiedział i roześmiał się. Po krótkim namyśle Gert uśmiechnęła się również.

8

Na schodach przed budynkiem Bill, Gert i Rosie przytulili się do siebie. Powietrze było wilgotne, a znad jeziora napływała mgła. Była jeszcze rzadka, zaledwie lekki nimb wokół latarni i dym snujący się tuż nad mokrym trotuarem, lecz Rosie odgadła, że za godzinę będzie tak gęsta, iż niemal da się ją kroić nożem.

— Chcesz dziś przyjść do Córek i Sióstr, Rosie? — zapytała Gert. — Za parę godzin wrócę z koncertu; mogłybyśmy posiedzieć razem przy popcornie.

Rosie, która zdecydowanie nie miała ochoty wracać do schroniska, zwróciła się do Billa.

— Jeśli pojedę do domu, zostaniesz ze mną?

— Pewnie — odparł bez namysłu i wziął ją za rękę. — Z przyjemnością. I nie martw się, gdzie mnie położysz, jeszcze nie widziałem kanapy, na której nie mógłbym spać.

— Bo nie widziałeś mojej — powiedziała wiedząc, że wielkość jej sofy nie ma znaczenia, gdyż Bill nie będzie na niej spał. Jej łóżko było wąskie, co oznaczało, że będzie ciasno, lecz

na pewno się zmieszczą. Taki bliski kontakt może nawet okazać się przyjemny.

— Jeszcze raz dziękuję, Gert — rzekła.

— Nie ma sprawy. — Gert uściśliła ją szybko i mocno, a potem pochyliła się i cmoknęła Billa w policzek. Zza rogu wyjechał radiowóz i zatrzymał się opodal. — Uważaj na nią, facet — zwróciła się do Billa.

— Będę.

Gert ruszyła w kierunku samochodu, a potem przystanęła i wskazała na Billowego harleya, stojącego na parkingu służbowym.

— I nie wywal się w tej cholernej mgle.

— Będę uważał, mamusiu, obiecuję.

Żartobliwie pogroziła mu wielką pięścią, a Bill wysunął szczękę i przymknął oczy z cierpiennym wyrazem twarzy. Na ten widok Rosie wybuchnęła śmiechem. Nigdy nie myślała, że będzie śmiać się na schodach komisariatu, ale w tym roku wydarzyło się mnóstwo rzeczy, których nigdy nie oczekiwała.

Mnóstwo.

9

Mimo wszystko Rosie cieszyła się jazdą z powrotem na Trenton Street niemal tak bardzo, jak poranną wycieczką za miasto. Tuliła się do Billa, gdy śmigali po nawierzchni ulic, a wielki harley-davidson gładko przecinał gęstniejącą mgłę. Ostatnie trzy kwartały przejechali jak we śnie, w którym wszystko spowija wata. Reflektor harleya zmienił się w jasny cylinder mgły, widoczny w powietrzu jak smuga światła przechodząca przez zadymiony pokój. Kiedy Bill w końcu skręcił w Trenton Street, budynki były już ledwie widoczne, a Bryant Park zniknął we mgle.

Radiowóz zapowiadany przez Hale'a stał zaparkowany przed bramą numer 897. Na jego boku widniał napis SŁUŻYĆ I CHRONIĆ. Przed samochodem było wolne miejsce. Bill wjechał na nie motorem, kopnięciem przestawił bieg na jałowy i wyłączył silnik.

— Drzysz — powiedział, pomagając Rosie zsiąść. Kiwnęła głową i stwierdziła, że musi powstrzymać szczęknięcie zębami, kiedy mówi.

— To raczej z wilgoci niż z zimna.

A jednak mówiąc to, chyba wiedziała, że nie to było powodem; gdzieś w głębi duszy przeczuwała, że coś jest nie tak.

— No cóż, znajdziemy ci coś suchego i ciepłego. Schował kaski, wyjął kluczyk ze stacyjki i włożył go do kieszeni.

— To brzmi jak pomysł stulecia.

Wziął ją za rękę i poszli chodnikiem ku schodom prowadzącym do budynku. Kiedy mijali radiowóz, Bill podniósł rękę, pozdrawiając policjanta za kierownicą. Ten odpowiedział leniwym gestem wystawionej przez okienko ręki; w blasku latarni błysnął sygnet na palcu. Jego partner najwidoczniej spał.

Rosie otworzyła torebkę, wyjęła klucz do frontowych drzwi zamkniętych o tak późnej porze, po czym obróciła go w zamku. Ledwie zdawała sobie sprawę z tego, co robi; dobre samopoczucie zniknęło i znów wpadła w przerażenie — jak jakiś ogromny kawał żelastwa, rozwalający kolejne sufity starego budynku, ciężar mający spaść aż do piwnicy. Nagle zakłuło ją w brzuchu, rozboleła głowa i Rosie nie wiedziała dlaczego.

Zobaczyła coś i była tak zajęta próbą przypomnienia sobie, co to było, że nie usłyszała, jak drzwi radiowozu otworzyły się i zamknęły ze stłumionym trzaskiem. Nie dosłyszała też cichego skrzypienia kroków na chodniku za ich plecami.

— Rosie?

Głos Billa, dochodzący z ciemności. Byli już w przedsiönku, gdzie ledwie dostrzegęła portret jakiegoś starucha (pomyślała, że to pewnie Calvin Coolidge) wiszący na ścianie po prawej i kościsty kształt wieszaka na płaszczce, z mosiężnymi nogami i gąszczem mosiężnych haczyków, stojącego przy schodach. Dlaczego tutaj jest tak cholernie ciemno?

Oczywiście dlatego, że nie paliło się górne światło, to proste. Lecz dręczyło ją trudniejsze pytanie: dlaczego glina na siedzeniu pasażera spał w takiej niewygodnej pozycji, z brodą opartą na piersi i czapką nasuniętą na oczy, tak że wyglądał jak gangster z filmu z lat trzydziestych? A skoro o tym mowa, to dlaczego w ogóle spał, jeżeli w każdej chwili mógł pojawić się podejrzany? Hale byłby zły, gdyby o tym wiedział — pomyślała nagle. — Porozmawiałby sobie z tym mundurowym. Porozmawiałby z nim w cztery oczy.

— Rosie? Co się dzieje?

Kroki za nimi wyraźnie przyśpieszyły.

Przywołała na pamięć ostatnie minuty, jakby cofała taśmę w magnetowidzie. Zobaczyła Biła machającego ręką do policjanta za kierownicą radiowozu, mówiącego bezgłośnie cześć, miło cię widzieć. Zobaczyła, jak glina unosi rękę w odpowiedzi; ujrzała błysk sygnetu w świetle latarni. Nie była dostatecznie blisko, żeby odczytać słowa, ale natychmiast się domyśliła, jak brzmiały. Wiele razy widziała je odcisnięte na swoim ciele, jak pieczęć weterynarza na kawałku mięsa.

Służba, Wierność, Społeczeństwo.

Kroki dudniły niecierpliwie na schodach za ich plecami. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Ktoś cicho i szybko dyszał w ciemności i Rosie poczuła zapach wody English Leather.

10

Umysł Normana uleciał gdzieś kolejny raz, gdy ten stał nagi do pasa przy zlewie w kuchni Córek i Sióstr, zmywając świeżą krew z twarzy i piersi. Słońce wisiało nisko nad horyzontem, świecąc mu pomarańczowym blaskiem w oczy, kiedy uniósł głowę i sięgnął po ręcznik. Dotknął go, a wtedy, bez żadnej przerwy, w mgnieniu oka znalazł się na zewnątrz i było ciemno. Znów miał na głowie czapkę White Sox. Ponadto był w prochowcu. Bóg wie, skąd go wzięł, ale płaszcz był bardzo na czasie, gdyż miasto spowiła szybko gęstniejąca mgła. Przeciągnął ręką po kosztownym, wodoszczelnym materiale prochowca, miłym w dotyku. Elegancki. Ponownie usiłował przypomnieć sobie, skąd go wzięł, ale nie mógł. Czy zabił jeszcze kogoś? Być może, moi drodzy, być może; wszystko jest możliwe, kiedy człowiek ma wakacje.

Spojrzał na Trenton Street i zobaczył radiowóz — określane w okręgu Normana kryptonimem Charcie–David — zaparkowany mniej więcej w połowie drogi do następnego skrzyżowania; aż po osie tonął we mgle. Sięgnął do lewej kieszeni płaszczka — naprawdę ładnego płaszczka, ktoś miał dobry gust — i dotknął czegoś gumowego i zmiętego. Uśmiechnął się z zadowoleniem, jak człowiek ściskający dłoń starego przyjaciela.

— *Ze bool* — szepnął. — *El toro grande*.

Sięgnął do drugiej kieszeni, nie mając pojęcia, co tam znajdzie, wiedząc jedynie, że ma tam coś, czego będzie potrzebował.

Ukłuł się w czubek środkowego palca, skrzywił się i ostrożnie wyjął ten przedmiot. To był chromowany nóż do rozcinania listów z biurka Maude.

Ależ ona wrzeszczała — pomyślał, obracając w dłoniach nóż, pozwalając, by światło latarni spływało po ostrzu jak biała ciecz. Tak, wrzeszczała... ale nagle przestała. W końcu panienki zawsze przestawały krzyczeć — co za ulga.

Tymczasem miał do rozwiązania poważny problem. W zaparkowanym samochodzie będzie dwóch... tak dwóch policjantów uzbrojonych w rewolwery, podczas gdy on ma tylko

ten chromowany nóż do listów. Musi ich załatwić jak najciszej. Duży problem i nie miał zielonego pojęcia, jak go rozwiązać.

— Norm — cichutko odezwał się głos. Dochodził z jego lewej kieszeni.

Sięgnął do niej i wyjął maskę. Jej puste oczodoły spojrzały na niego uważnie, a uśmiech znów wyglądał jak szyderczy grymas. W tym świetle girlandy zdobiące rogi wydawały się skrzepami krwi.

— Co? — zapytał Norman cichym, konspiracyjnym szeptem. — O co chodzi?

— Dostań ataku serca — szepnął *ze bool* i Norman usłuchał go. Powlókł się chodnikiem w kierunku radiowozu, idąc coraz wolniej, w miarę jak zbliżał się doń. Szedł ze spuszczoną głową, zerkając spod oka na wóz. Do tej pory musieli go już zauważyć, nawet gdyby niedowidzieli — musieli, gdyż był tu jedynym poruszającym się obiektem — i chciał, żeby zobaczyli mężczyznę patrzącego pod nogi, z trudem stawiającego każdy krok. Człowieka pijanego albo ciężko chorego.

Prawą rękę trzymał za pazuchą płaszcza, masując lewą stronę klatki piersiowej. Czuł, jak ostrze noża do papieru, który trzymał w tej ręce, lekko zahacza o koszulę. Zbliżając się do obiektu zachwiał się — z trudem łapiąc równowagę — i stanął. Stał ze spuszczoną głową, powoli odliczając do pięciu, nie pozwalając ciału kołysać się bardziej niż na pół centymetra w żadną stronę. Do tej pory pierwsze założenie policjantów — że to pan Naprany powoli wracający do domu po kilku godzinach spędzonych w knajpie Kropla Rosy — powinno ustąpić miejsca innym możliwościom. Lecz chciał, żeby podeszli do niego. On zbliżył się do radiowozu, jeżeli nie będzie innego wyjścia, ale wtedy pewnie go załatwią.

Zrobił jeszcze trzy kroki, nie w kierunku samochodu, lecz w stronę najbliższej barierki. Złapał zimne, wilgotne od mgły żelazo i stał dysząc, pochylony, mając nadzieję, że wygląda jak facet mający atak serca, a nie nóż do listów w kieszeni.

Kiedy już zaczynał podejrzewać, że popełnił poważny błąd, drzwi radiowozu otworzyły się. Raczej usłyszał to, niż zobaczył, a potem zarejestrował jeszcze przyjemniejszy dźwięk: odgłos zbliżających się kroków. Jezusicku, Rocky, to gliny! — pomyślał, a potem zaryzykował szybkie spojrzenie. Musiał je zaryzykować, musiał wiedzieć, jak daleko stoją od siebie. Gdyby nie byli dostatecznie blisko, musiałby udawać utratę przytomności... z czym wiązało się poważne niebezpieczeństwo. W takim wypadku jeden z nich prawdopodobnie pobiegłby z powrotem do samochodu, żeby wezwać ambulans.

Byli typowym zespołem Charlie–David: jeden weteran, a drugi młody i zielony. Nowicjusz wydał się Normanowi dziwnie znajomy, jakby widział go już w TV. Jednak to bez znaczenia. Byli blisko siebie, niemal ramię w ramię, i tylko to miało znaczenie. To bardzo miło z ich strony. Sympatycznie.

— Proszę pana — odezwał się ten z lewej, starszy z nich. — Czy ma pan jakiś problem?

— Boli jak cholera — syknął Norman.

— Co boli?

Wciąż ten starszy. To był kluczowy moment, jeszcze nie decydujący, ale prawie. Starszy gliniarz mógł w każdej chwili kazać partnerowi wezwać pogotowie, a wtedy Norman byłby ugotowany, lecz jeszcze nie wolno mu zaatakować, gdyż stali za daleko.

W tym momencie poczuł się dawnym Normanem bardziej niż kiedykolwiek od początku tej wyprawy: zimnym, spokojnym i całkowicie na miejscu, świadomym wszystkiego, od kropli mgły na żelaznej poręczy po brudnoszare gołębie pióro leżące w rynsztoku obok pomiętej torebki po chipsach. Słyszał ciche, miarowe oddechy gliniarzy.

— To tutaj — jęknął, masując pierś prawą dłonią, ukrytą pod klapą płaszcza. Ostrze noża przecięło koszulę i przebiło skórę, ale ledwie to poczuł. — Jakby atak woreczka żółciowego, tyle że w piersi.

— Może lepiej wezwę karetkę — powiedział młodszy policjant i nagle Norman zrozumiał, kogo przypomina mu ten młodziak: Jerry'ego Matthersa, chłopaka, który grał Beavera w

serialu *Leave it to Beaver*. Oglądał wszystkie odcinki w powtórkach na kanale jedenastym, niektóre z nich pięć lub sześć razy.

Za to starszy glina wcale nie był podobny do brata Beava, Wally'ego.

— Czekaj chwilę — powstrzymał kolegę ten starszy, niespodziewanie stwarzając sytuację dogodną dla Normana. — Niech go obejrzą. Byłem sanitariuszem w wojsku.

— Płaszcz... guziki... — mamrotał Norman, kątem oka obserwując Beava.

Starszy policjant zrobił jeszcze krok naprzód. Stał teraz tuż przed Normanem. Młodszy również przysunął się o krok. Starszy glina rozpiął górny guzik nowego prochowca Normana. Potem drugi. Kiedy rozpiął trzeci, Norman wyjął nóż do listów i wbił mu go w gardło. Krew trysnęła strumieniem, zalewając niebieski mundur. W blasku latarni wyglądała jak sos do steków.

Beav nie stanowił żadnego problemu. Stał, sparaliżowany przerażeniem, gdy jego partner uniósł ręce, niepewnie dotykając rękojeści noża. Wyglądał jak człowiek usiłujący oderwać jakąś egzotyczną pijawkę.

— Ble! — wykrztusił. — Grr! Ble!

Beav odwrócił się do Normana. Zaszokowany, zdawał się zupełnie nie pojmować, że Norman ma coś wspólnego z tym, co spotkało jego partnera, i to wcale nie zdziwiło Normana. Widywał już taką reakcję. Zaszokowany i zdumiony policjant wyglądał teraz jak dziesięcioletek, już nie tylko podobny do Beava, lecz wręcz jego sobowtór.

— Coś stało się Ałowi! — powiedział. Norman wiedział jeszcze coś o tym młodym człowieku, który zaraz miał dostać się na listę poległych funkcjonariuszy: on sądził, że krzyczy naprawdę, a tymczasem z jego ust wydobywał się zaledwie ochryply szept: — Coś stało się Ałowi!

— Wiem — odparł Norman i uderzył go hakiem w podbródek. To ryzykowny cios, jeśli przeciwnik jest niebezpieczny, ale Beav był teraz w takim stanie, że poradziłby sobie z nim nawet szóstoklasista. Cios sięgnął celu, rzucając młodego policjanta na żelazną poręcz, którą Norman ścisnął niecałe trzydzieści sekund wcześniej. Beav nie stracił przytomności, na co liczył Norman, ale oczy zmętniały mu i zamglily się; z jego strony nic Normanowi nie groziło. Czapka spadła mu z głowy. Włosy miał krótkie, ale nie tak krótkie, żeby nie można za nie chwycić. Norman złapał go za włosy i mocno szarpnął w dół, jednocześnie unosząc kolano. Rozległ się stłumiony, okropny dźwięk, jakby ktoś uderzył łopatą w worek z porcelaną.

Beav runął jak ołowiana sztaba. Norman obejrzał się na jego partnera i stwierdził niewiarygodną rzecz: drugi policjant zniknął.

Norman okręcił się na pięcie i zobaczył go. Bardzo wolno szedł chodnikiem, z wyciągniętymi rękami, jak zombie z filmowego horroru. Norman rozejrzał się na wszystkie strony, szukając świadków tej komedii. Nie dostrzegł żadnego. Z parku dolatywały krzyki i przekleństwa, ale to tylko nastolatki bawiły się w podszczypywanie panienek pod osłoną mgły. Miał niebywale szczęście. Jeśli dopisze mu jeszcze przez następne czterdzieści pięć sekund, najwyżej minutę, wszystko będzie dobrze.

Pobiegł za starszym policjantem, który teraz przystanął i znów próbował wyrwać z rany nóż Anny Stevenson. Zdołał przejść jakieś dwadzieścia pięć metrów.

— Panie władzo! — odezwał się Norman cichym, stanowczym głosem i złapał policjanta za łokieć.

Mundurowy odwrócił się chwiejnie. Oczy miał szkliste i wychodzące z orbit, oczy czegoś, co powinno wisieć na ścianie w domku myśliwskim — pomyślał Norman. Jego mundur był przesiąknięty krwią od kołnierza do kolan. Norman nie miał pojęcia, jak mógł utrzymać się przy życiu, nie mówiąc już o zachowaniu przytomności. Chyba na Środkowym Zachodzie robią twardszych gliniarzy — pomyślał.

— Wzz! — rzekł ponaglając policjant. — Wzz! Pho! Mmc!

Jego głos był niewyraźny i zduszony, ale ciągle zdumiewająco silny. Norman nawet rozumiał, co ten facet mówił. Popułnił poważny bład, godny nowicjusza, a mimo to Norman uznał, że byłby dumny mogąc z nim służyć. Kiedy próbował coś powiedzieć, stercząca mu z gardła rękojeść noża podskakiwała w górę i w dół, w sposób przypominający Normanowi ruchy byczej maski, gdy manipulował od wewnątrz jej wargami.

— Tak, wezwę pomoc — powiedział Norman łagodnym, przekonującym tonem. Chwyił jedną ręką nadgarstek policjanta. — A teraz wracajmy do wozu. Chodźmy. Tędy, panie władzo!

Zwróciłby się do niego po nazwisku, ale nie znał go; naszywka na koszuli munduru była zalana krwią. Przecież nie mógł zwrócić się do niego *per* Al. Znów lekko pociągnął go za rękę i tym razem udało mu się go ruszyć.

Poprowadził chwiejącego się, krwawiącego gliniarza z nożem w gardle do radiowozu, spodziewając się, że lada chwila ktoś wyłoni się z gęstniejącej mgły — mężczyzna, który wyszedł po piwo, kobieta wracająca z kina, pary dzieciaków w powrotnej drodze z randki (może, Boże chroń króla, w wesołym miasteczku na Ettinger's Pier) — a w takim wypadku musiałby znów zabijać. Widocznie jeśli zaczęło się zabijać, nie można przestać; pierwsze zabójstwo pociągało za sobą następne, jak kręgi na wodzie.

A jednak nikt nie nadszedł. Tylko bezcielesne głosy nadlatywały z głębi parku. To cud, naprawdę, że ten policjant wciąż trzymał się na nogach, chociaż krwawił jak świnia i zostawiał za sobą strumień krwi tak szeroki i gęsty, że miejscami tworzył kałuże. W przymglonym blasku latarni te kałuże lśniły jak plamy oleju.

Norman przystanął, żeby podnieść czapkę Beava, a kiedy mijali otwarte okienko radiowozu, szybko pochylił się, rzucił ją na siedzenie i wyciągnął ze stacyjki kluczyki. Na kółku było ich sporo, tak dużo, że nie opierały się płasko o siebie, ale sterczały jak promyki słońca na dzieciennym rysunku, lecz Norman bez trudu znalazł ten, który otwierał bagażnik.

— Chodźmy — szepnął uspokajająco. — Chodźmy jeszcze kawałek i wezwiemy pomoc.

Spodziewał się, że policjant upadnie, ale ten nie zamierzał. Przestał tylko szarpać za rękojeść noża.

— Uwaga na krawężnik, panie władzo, bo będzie bach.

Policjant zszedł z krawężnika. Kiedy stanął czarnym butem w rynsztoku, brzegi rany wokół ostrza rozchyliły się jak rybie skrzela i więcej krwi trysnęło mu na kołnierz koszuli.

Teraz jestem również zabójcą policjanta — pomyślał Norman. Spodziewał się, że ta myśl go załamie, ale nie. Może dlatego, że w głębi duszy wiedział, iż to nie on zabił tego dobrego, twardego policjanta, tylko ktoś inny. Coś. Prawdopodobnie byk. Im dłużej Norman o tym myślał, tym bardziej podobał mu się ten pomysł.

— Stać, panie władzo, jesteśmy na miejscu.

Policjant stanął tam, gdzie był — z tyłu samochodu. Norman otworzył kluczem bagażnik. Zobaczył zapasową oponę (łysą jak pupcia niemowlęcia), podnośnik, dwie kamizelki — kapoki, niekuloodporne, parę butów, zatłuszczony egzemplarz „Penthouse'a”, komplet kluczy, wybebeszoną policyjną radiostację. Innymi słowy, prawie pełny bagażnik, podobnie jak we wszystkich radiowozach, które widział. I również podobnie jak w każdym radiowozie było w nim miejsce na jeszcze jedną rzecz. Odsunął radio w jedną, a komplet kluczy w drugą stronę, podczas gdy partner Beava stał chwiejąc się obok niego, teraz w głuchym milczeniu, z oczami wbitymi w dal, jakby dostrzegł już miejsce, skąd rozpocznie nową podróż. Norman wpełchnął podnośnik za oponę, a potem przeniósł wzrok z pustej przestrzeni na osobę, dla której ją zrobił.

— W porządku — rzekł. — Dobrze. Pożyczę sobie pańską czapkę, dobra?

Policjant nic nie odpowiedział, tylko chwiał się na nogach, ale matka Normana, ten chytry babsztyl, lubiła mówić, że „Milczenie oznacza zgodę” i Norman uznał to za niezłe motto, na pewno lepsze od ulubionego stwierdzenia ojca, którym było: „Jeśli są dość duże, by łać, mogą

mi już dać”. Norman zdjął policjantowi czapkę i włożył ją na swój łysy łeb. Czapeczka baseballowa wylądowała w bagażniku.

— Kch — powiedział glina, wyciągając do Normana zakrwawioną rękę. Jego oczy nie poruszyły się; były zupełnie nieobecne.

— Tak, wiem, krew. To ten przeklęty byk — rzekł Norman i wepchnął policjanta do bagażnika. Legł tam bezwładnie; wystawała mu tylko jedna, drgająca noga. Norman zgiął ją w kolanie, wcisnął do środka i zamknął bagażnik. Potem wrócił do nowicjusza. Ten próbował wstać, chociaż oczy miał jeszcze nieprzytomne. Krwawił z uszu. Norman przyklęknął, chwycił młodego policjanta za gardło i zaczął ścisnąć. Glina upadł na plecy. Norman usiadł na nim i dusił dalej. Kiedy Beav znieruchomiał, Norman przyłożył ucho do piersi młodego mężczyzny. Usłyszał trzy uderzenia serca, słabe i nierytmiczne, jak trzepotanie ryby na brzegu rzeki. Norman westchnął i znów zacisnął dłonie na gardle Beava, naciskając kciukami grdykę. Teraz ktoś nadejdzie — pomyślał — teraz na pewno ktoś nadejdzie, ale nikt się nie zjawił. Z białej mgły Bryant Parku nadleciał krzyk: „Ty pierdolcu!” i przeraźliwy śmiech, do jakiego są zdolni tylko młodzi pijacy i opóźnieni w rozwoju, lecz to wszystko. Norman ponownie przyłożył ucho do piersi policjanta. Ten facet był dekoracją i Norman nie chciał, żeby dekoracja ożyła w najważniejszej chwili.

Tym razem usłyszał tylko cykanie zegarka Beava.

Norman podniósł ofiarę, zawłókł ją do radiowozu i posadził na przednim siedzeniu. Wcisnął nowicjuszowi czapkę na oczy najniżej jak mógł — czarna i opuchnięta twarz chłopaka przypominała teraz oblicze trolla — i zatrzasnął drzwi. Bolała go każda część ciała, ale najbardziej zęby i szczęki.

Maude — pomyślał. — To wszystko przez Maude.

Nagle był bardzo zadowolony, że nie pamięta, co robił z Maude... albo co robił jej. I oczywiście to wcale nie był on; to *ze bool, el toro grande*. Lecz, dobry Boże, jak to boli. Jakby rozbierano go od środka na części, śrubka po śrubce, tryb po trybie.

Beav powoli osuwał się z fotela; martwe oczy białeły jak kule bilardowe w poczerniałej twarzy.

— Nigdzie nie pójdziesz, Nellie — rzekł Norman i znów posadził go prosto. Sięgnął dalej i zapiął pas Beava. Udało się. Norman cofnął się i obrzucił go krytycznym spojrzeniem. Ogólnie rzecz biorąc, spisał się całkiem nieźle. Beav wyglądał, jakby uciął sobie krótką drzemkę.

Norman ponownie nachylił się do okna, starając się nie poruszyć Beava, po czym włożył rękę do schowka na rękawiczki. Miał nadzieję znaleźć tam apteczkę i nie rozczarował się. Zdjął pokrywkę, wyjął zakurzony słoiczek aspiryny i wziął pięć lub sześć tabletek. Opierał się o bok samochodu, żując je i krzywiąc się na ich ostry, octowy smak, kiedy jego umysł znowu miał odlot.

Doszedł do siebie po pewnym czasie, prawdopodobnie niezbyt długim; w ustach i w gardle czuł gorzki smak lekarstwa. Stał w przedsionku budynku, włączając i wyłączając światło. Nie zapalało się; małe pomieszczenie pozostało ciemne. A więc zrobił coś z żarówką. To dobrze. W drugiej ręce miał rewolwer jednego z policjantów. Trzymał go za lufę i podejrzewał, że właśnie rozbił coś kolbą. Może bezpieczniki? Czyżby schodził da piwnicy? Może, jednak to bez znaczenia. Wystarczy, że światło się nie paliło.

To był dom z pokojami umeblowanymi — ładny, ale nic więcej. Trudno było pomylić ten zapach tanich potraw, takich jakie zawsze gotuje się na kuchence elektrycznej. Ta woń po pewnym czasie wsiąka w ściany i nic nie zdoła jej zatrzeć. Za dwa lub trzy tygodnie temu zapachowi będą towarzyszyć charakterystyczne letnie odgłosy pokoiów do wynajęcia: cichy, jednostajny szum wentylatorów ustawionych przy oknach, usiłujących ochłodzić pomieszczenia, które w sierpniu zmieniają się w rozgrzane piekarniki. Ona zamieniła swój śliczny mały domek na taką ciasną norę... cóż, nie miał teraz czasu zastanawiać się nad tą

zagadką. Pytanie, ilu mieszkańców liczył ten budynek i ilu z nich było w domu w sobotę wieczorem. Innymi słowy, czy ktoś mógł mu sprawić jakieś kłopoty?

— Nikt — odpowiedział głos z kieszeni płaszcza. Kojący. — Nikt, ponieważ to, co nastąpi później, nie ma znaczenia — a to wszystko upraszcza. Jeśli ktoś wejdzie ci w drogę, po prostu zabijesz go.

Odwrócił się, wyszedł na ganek i zamknął za sobą drzwi do budynku. Pchnął je i stwierdził, że są zatrzaśnięte. Prawdopodobnie otworzył je wytrychem — zamek nie wyglądał na zbyt skomplikowany — lecz trochę niepokoiło go, że nie ma co do tego pewności. I światło. Po co starał się przerwać dopływ prądu, skoro ona niemal na pewno przyjdzie sama? A poza tym skąd wie, że ona jeszcze nie wróciła?

Z tym drugim pytaniem nie było kłopotu — wiedział, że jej nie ma, ponieważ mówił mu o tym byk, któremu wierzył. Co do pierwszego pytania, ona mogła nie być sama. Mogła być z nią Gertie, albo... no cóż, ze *bool* wspominał coś o jakimś chłopcu. Norman zwyczajnie nie potrafił w to uwierzyć, ale... „Ona lubi sposób, w jaki on ją całuje” — podpowiadał Fernando. Głupi, ona nie odważyłaby się... ale nadmiar ostrożności nie zaszkodzi.

Zaczął schodzić po schodach, zamierzając wrócić do radiowozu, usiąść za kierownicą i zaczekać na jej powrót, i wtedy runął, i tym razem naprawdę był to upadek, a nie wyłączenie się, bo leciał koziołkując, jak moneta pstryknięta kciukiem przez sędziego w przedmeczowym rytuale: kto kopie, kto broni. Kiedy doszedł do siebie, zatrzaśkiwał drzwi samochodu, biegł przez ciemność i zaciskał dłonie na szyi chłopaka Rosie. Nie miał pojęcia, skąd wiedział, że to jej chłopak, a nie jakiś policjant w cywilu, któremu kazano odprowadzić ją bezpiecznie do domu, ale co z tego? W głowie kręciło mu się z urazy i wściekłości. Czy naprawdę widział, jak ten facet (ona lubi sposób, w jaki on ją całuje) wymieniał z nią oddechy przed wejściem, może przesuwając dłonie z jej talii na tyłek? Nie pamiętał, nie chciał pamiętać, nie mógł pamiętać.

— Mówiłem ci! — rzekł byk; nawet kiedy był wściekły, jego głos wydawał się spokojny. — Mówiłem ci, prawda? Właśnie tego nauczyły ją przyjaciółki! Ładnie! Bardzo ładnie!

— Zabiję cię, pierdolcu — szepnęła niewidocznemu mężczyźnie, który był chłopcem Rosie, przypierając go do ściany przedsionka. — O rany, jeśli tylko zdołam, jeżeli Bóg pozwoli, zabiję cię dwa razy.

Chwyił Billa Steinera za gardło i zaczął dusić.

11

— Norman! — krzyknęła w mroku Rosie. — Norman, puść go!

Dłoń Billa, która lekko dotykała jej ramienia, od kiedy Rosie wyjęła klucz z zamka, nagle cofnęła się. W ciemności usłyszała niepewne kroki — tupot nóg. Potem rozległ się głuchy łoskot, jakby ktoś pchnął kogoś na ścianę przedsionka.

— Zabiję cię, pierdolcu — nadleciał szept z ciemności. — O rany, jeśli tylko zdołam, jeżeli Bóg pozwoli...

„Zabiję cię dwa razy” — dokończyła w myślach, zanim skończył mówić; to była jedna z ulubionych gróźb Normana, często wyrzaskiwana przed telewizorem, kiedy jakiś sędzia wydał werdykt niekorzystny dla jego ukochanych Yankees albo gdy ktoś zajął mu drogę. „Jeśli Bóg pozwoli, zabiję cię dwa razy”. A teraz usłyszała stłumiony charkot i to oczywiście był Bill. To Bill bliski uduszenia w ogromnych i silnych łapskach Normana.

Zamiast przerażenia, jakie zawsze budził w niej Norman, poczuła przyływ wściekłości, podobnie jak w samochodzie Hale’a, a potem na posterunku policji. Tym razem dała ponieść się furii.

— Puść go, Norman! — wrzasnęła. — Zabierz od niego te pierdolone łapy!

— Zamknij się, ty kurwo! — nadleciało z ciemności, lecz w głosie Normana usłyszała nie

tylko złość, ale i zdumienie. Do tej pory nigdy niczego mu nie kazała, ani razu podczas wszystkich lat małżeństwa, a nawet nie odezwała się do niego takim tonem.

I coś jeszcze: tuż nad miejscem, którego dotykał Bill, ramię Rosie opasywała jakaś ciepła obręcz. Bransoleta. Złota bransoleta, którą dała jej kobieta w chitonie. Rosie usłyszała w myślach jej gniewne warknięcie: „Skończ z tym głupim skamleniem!”

— Przystań, ostrzegam cię! — krzyknęła na Normana i ruszyła w kierunku miejsca, skąd dobiegało zduszone sapanie i stękania. Szła z wyciągniętymi przed siebie rękami, jak ślepa, zaciskając zęby.

Nie zadusisz go — myślała. — Nie, nie pozwolę ci na to. Powinieneś odejść, Normanie. Powinieneś odejść i zostawić nas w spokoju, póki jeszcze możesz.

Odgłos nóg bębniących o ścianę, tuż przed nią; Rosie wyobraziła sobie Normana ściskającego Billa za gardło, szczerzącego zęby, którymi tak często ją gryzł, i nagle stała się kobietą ze szkła wypełnionego bladoczerwoną cieczą, będącą czystą i stężoną wściekłością.

— Nie słyszałeś, ty kupo gówna? POWIEDZIAŁAM, PUŚĆ GO!

Sięgnęła lewą ręką, która nagle zmieniła się w orle szpony. Bransoleta paliła jej skórę — nawet przez sweter i kurtkę pożyczoną od Billa Rosie niemal widziała jej bursztynowy blask. Nie czuła bólu, tylko jakieś dziwne uniesienie. Złapała za ramię mężczyzny, który katował ją przez czternaście lat, i szarpnęła go w tył. Przyszło jej to ze zdumiewającą łatwością. Ścisnęła jego ramię przez śliski wodoszczelny materiał płaszcza, a potem wyprostowała rękę, odrzucając go w ciemność. Usłyszała tupot połykających się nóg, łoskot i trzask pękającego szkła. Cal Coolidge, czy ktokolwiek był na obrazie, spadł na ziemię.

Słyszała też, jak Bill kaszle i krztusi się. Wymacała go rękami, znalazła ramiona i objęła go. Był zgięty w pół, z trudem łapiąc powietrze i natychmiast wykaszlując je. To jej nie dziwiło. Wiedziała, jaki silny jest Norman.

Wsunęła mu prawą rękę pod ramię i ścisnęła nad łokciem. Nie chciała użyć lewej ręki w obawie, że może go skrzywdzić. Czuła czającą się, pulsującą w niej moc. Chyba najstraszniejsze było to, jak bardzo podobało jej się to uczucie.

— Bill — szepnęła. — Chodź. Chodź ze mną.

Musiała zaprowadzić go na górę. Nie wiedziała dlaczego, jeszcze nie, ale wcale nie wątpiła, że dowie się tego we właściwym czasie. Lecz Bill się nie ruszył. Podparty rękami, kaszlał i krztusił się.

— Chodź, do diabła! — szepnęła chrapliwym, stanowczym głosem... i niewiele brakowało, a powiedziałyby: „Chodź, niech cię diabli!” Wiedziała, czym głosem mówi, o tak, nawet w tych okolicznościach wiedziała to bardzo dobrze.

I Bill ruszył się, a teraz tylko to miało znaczenie. Rosie przeprowadziła go przez przedsionek, jakby miała kocie oczy. Wciąż kaszlał i dławił się, lecz jakoś szedł.

— Stać! — krzyknął Norman ze swojej części ciemności. Jego głos był zarazem stanowczy i zrozpaczony. — Stać albo będę strzelał!

Nie, nie będziesz, popsułbyś sobie zabawę — pomyślała, ale on naprawdę strzelił, rąbnął w sufit z czterdziestkipiątki, którą zabrał zabitemu gliniarzowi. Wystrzał huknął ogłuszająco w zamkniętej przestrzeni przedsionka, a oczy zaczęły łzawić od zapachu spalonego kordytu. Krótki rozbłysk czerwonawopomarańczowego płomienia, tak jasnego, że pozostawił jej w oczach chwilowy obraz otoczenia; domyśliła się, iż właśnie dlatego strzelił: żeby rozejrzeć się wokół i zobaczyć, gdzie znajdują się Rosie i Bill. Stali u podnóża schodów.

Bill wydał zdławiony charkot i zatoczył się na Rosie, popychając ją na ścianę przy schodach. Usiłując utrzymać się na nogach, usłyszała w mroku tupot nóg nadbiegającego Normana.

Pokonała pierwsze dwa stopnie, ciągnąc za sobą Billa. Przebierał nogami, usiłując jej pomóc; może nawet trochę pomógł. Wchodząc na drugi stopień, Rosie machnęła lewą ręką i przewróciła wieszak na płaszcze u podnóża schodów. Gdy Norman wpadł na niego i zaczął przeklinać, puściła Billa, który osunął się, ale nie upadł. Ciągle charczał, a teraz poczuła, że znowu zgina się wpół, usiłując złapać oddech, zmusić do pracy ściśniętą tchawicę.

— Trzymaj się — mruknęła. — Trzymaj się, Bill.

Weszła dwa stopnie wyżej, a potem stanęła po jego prawej stronie, tak by móc posłużyć się lewą ręką. Jeśli ma zataszczyć go na górę, będzie potrzebowała całej siły, którą zawdzięczała bransolecie. Objęła go w pasie i nagle wszystko stało się łatwe. Zaczęła iść w górę, miarowo oddychając i pochylając się w prawo, jak kobieta równoważąca spory ciężar, ale nie dyszała i nie ugięły się pod nią kolana. Miała wrażenie, że w razie potrzeby mogłaby go po prostu wnieść na górę. Od czasu do czasu odpychał się nogą usiłując pomóc, ale przeważnie jego stopy tylko obijały się o krawędzie stopni i sunęły po wykładzinie. Potem, gdy dotarli do dziesiątego schodka — do połowy drogi, według jej obliczeń — zaczął jej pomagać trochę bardziej. To dobrze, ponieważ z tyłu, w dole, usłyszała trzask, gdy wieszak na płaszcze pękł pod ciężarem Normana. Teraz znowu słyszała go za sobą; nie szedł — a przynajmniej takie miała wrażenie — ale pełził na czworakach.

Nie próbuj bawić się ze mną, Rose — sapał. Jak daleko? Nie miała pojęcia. I chociaż wieszak spowolnił pościg, Norman nie włókł się jak człowiek, który jest ranny i półprzytomny. — Nie ruszaj się. Nie próbuj uciekać. Chcę tylko porozmawiać z tobą...

— Trzymaj się z daleka! — Szesnaście... siedemnaście... osiemnaście. Na górze też nie paliło się światło, a w pozbawionym okien korytarzu było ciemno jak w kopalnianym szybie. Nagle zachwiała się, gdy noga szukająca dziewiętnastego stopnia znalazła jedynie płaszczyznę podłogi. Widocznie schody liczyły tylko osiemnaście stopni. Cudownie. Weszli na górę szybciej od Normana; przynajmniej tyle. Trzymaj się ode mnie z daleka, Nor...

Wtem przyszła jej do głowy nowa myśl, tak okropna, że Rosie zamarła na chwilę. Połknęła ostatnią sylabę imienia męża, jak ktoś uderzony w brzuch.

Gdzie jej klucze? Czyżby zostawiła je w zamku frontowych drzwi?

Puściła Billa, żeby sięgnąć do lewej kieszeni pożyczonej od niego kurtki, i w tym momencie dłoń Normana zacisnęła się miękko i stanowczo wokół jej łydki jak wąż oplatający swą ofiarę, by ją udusić, a nie uśmiercić jadem. Nie zastanawiając się, Rosie silnie kopnęła w tył drugą nogą. Podeszwa tenisówki trafiła prosto w poobijany już nos Normana, który przeraźliwie zawył z bólu. Ten skowyt przeszedł w okrzyk zdumienia, gdy usiłował złapać się słupka poręczy. Nie zdołał i runął w tył po pograżonych w mroku schodach. Rosie usłyszała podwójny łomot, z jakim dwukrotnie wywinął kozła.

Skręć kark! — wrzasnęła za nim w myślach, gdy jej dłoń zamknęła się na upragnionym kółku z kluczami w kieszeni kurtki — a jednak włożyła je tam, dzięki Jezus, dzięki Boże, dzięki wam, wszyscy aniołowie w niebiesiech. Skręć kark, niech to wreszcie się skończy, skręć swój parszywy kark, umrzyj i zostaw mnie w spokoju!

Lecz to się nie stało. Już słyszała, jak porusza się i podnosi, a potem przeklina ją i z miarowym dudnieniem kolan znów zaczyna iść na czworakach po schodach — przez cały czas wyzywając ją od cip, lesbijek, kurew i suk.

— Mogę iść — odezwał się nagle Bill. Jego głos był słaby i ochrypły, a mimo to słuchała go z radością. — Mogę iść, Rosie, więc chodźmy do twojego pokoju. Ten stuknięty skurwieli znów tu lezie.

Bill zaczął kaszleć. Pod nimi — ale niewiele niżej — rozległ się śmiech Normana.

— Masz rację, Sunny Jim, ten stuknięty skurwieli znów tu lezie. Ten stuknięty skurwieli

wyłupi ci oczy z twojej pierdolonej głowy i każe ci je zeżreć. Ciekawe, jak ci posmakują?

— TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA, NORMANIE! — wrzasnęła Rosie i poprowadziła Billa ciemnym jak smoła korytarzem. Lewą ręką obejmowała go w pasie; prawą wymacywała drogę, wodząc palcami po ścianie, szukając drzwi. W lewej dłoni zaciśniętej w pięść trzymała jedyne trzy klucze, jakie zgromadziła w swoim nowym życiu: od drzwi frontowych, od skrzynki pocztowej i od pokoju. — TRZYMAJ SIĘ Z DALEKA, OSTRZEGAM CIĘ!

A z ciemności za nią — jeszcze na schodach, ale prawie na samej ich górze — nadleciała zupełnie absurdalna odpowiedź:

— Nie waż się OSTRZEGAĆ mnie, ty SUKO!

Namaciała drzwi, które powinny prowadzić do jej mieszkania. Puściła Billa, wybrała odpowiedni klucz — w odróżnieniu od pozostałych dwóch miał kwadratowe uszko — i po ciemku spróbowała wetknąć go do zamka. Już nie słyszała Normana. Czy był na schodach? A może na korytarzu? Tuż za nimi, wyciągając ręce w kierunku oddychającego z trudem Billa? Znalazła zamek, przycisnęła prawy palec wskazujący obok dziurki i spróbowała wsunąć wzdłuż niego klucz. Nie wchodził. Koniec klucza naciskał na otwór, ale nie chciał wejść dalej. Poczowała, że panika tarmosi jej myśli ostrymi, szczurzymi zębami.

— Nie chce wejść! — wysapała do Billa. — To ten klucz, ale nie chce wejść!

— Odwróć go. Pewnie wkładasz go do góry nogami.

— Hej, co tam się dzieje? — Nowy głos, w głębi korytarza i nad ich głowami. Zapewne na podeście drugiego piętra. Później rozległo się bezowocne pstryk-pstryk-pstryk kontaktu. — I dlaczego nie ma światła?

— Zostań...! — krzyknął Bill i natychmiast znów zaczął kaszleć. Z jego gardła wydobył się okropny charkot, gdy usiłował ostrzec tamtego. — Zostań tam, gdzie jesteś! Nie schodź tu! Wezwij pol...

— To ja jestem z policji, kutasie — odezwał się miękki, dziwnie stłumiony głos z ciemności tuż obok nich, a potem usłyszała niski pomruk zarówno złości, jak i satysfakcji. W chwili gdy w końcu udało jej się włożyć klucz do zamka, jakaś siła znów pociągnęła Billa w mrok.

— Nie! — wrzasnęła, sięgając w ciemność lewą ręką. Na przedramieniu czuła coraz cieplejszą bransoletę. — Nie, zostaw go w spokoju! ZOSTAW GO W SPOKOJU!

Dotknęła gładkiej skóry kurtki Billa, ale wymknęła jej się z ręki. Znów rozległy się te straszne odgłosy, dźwięki wydawane przez człowieka, który ma gardło zatkałe piaskiem. Norman zaśmiał się. Jego śmiech również był stłumiony. Rosie ruszyła ku niemu, wyciągając ramiona i macając rozłożonymi rękami. Natrafiła na ramię Billa, sięgnęła nad nim i dotknęła czegoś okropnego — jakby martwego ciała, które zdołało ożyć. To coś było miękkie... gumowate...

Gumowate.

Załoczył maskę — pomyślała Rosie. — To jakaś maska.

Nagle jej lewa dłoń uwięzła w wilgotnym otworze, który ledwie zdążyła rozpoznać jako usta Normana, zanim zacisnął zęby na jej palcach, gryząc je do kości.

Ból był straszny, lecz nie zareagowała nań strachem i bezsilnością, pozwalając Normanowi na wszystko, jak to robiła dotychczas, lecz wściekłością tak ogromną, że bliską szaleństwa. Zamiast wrywać dłoń z jego zaciśniętych zębów, zgięła palce, aż dotknęła czubkami dźiąsła dolnych siekaczy. Potem oparła dłoń swojej nieziemsko silnej lewej ręki o brodę Normana i pociągnęła.

Rozległ się dziwny trzask, odgłos, jaki wydaje drewniana deska, zanim pęknie na kolanie mężczyzny czy kobiety. Poczowała, jak Norman drgnął i wydał głuchy, pytający dźwięk, składający się z samych samogłosek „Aaaouuu?”, a potem dolna część jego twarzy wysunęła się jak szuflada biurka, gdy szczeka wyskoczyła mu z zawiasów. Wrzasnął z bólu, a Rosie uwolniła swoją zakrwawioną dłoń, myśląc: Jak lubisz gryźć, to masz, draniu, spróbuj to

zrobić teraz.

Usłyszała, jak zatoczył się w tył. Lokalizowała go po wrzaskach i szeleście koszuli ocierającej się o ścianę. Teraz użyje broni — pomyślała, obracając się do Billa. Opierał się o ścianę, czarny kształt w ciemności, i znów rozpaczliwie kaszłał.

— Hej, ludzie, dajcie spokój, żarty żartami, ale tego za wiele.

To był facet z góry, mówiący z pretensją i oburzeniem w głosie, tylko teraz było go słychać na dole, na końcu korytarza. Przekręcając klucz w zamku, otwierając drzwi pokoju,

Rosie wiedziała, co się zaraz stanie. Kiedy krzyknęła, jej głos zdawał się nie należeć do niej, lecz do tamtej kobiety.

— Wynoś się stąd, durniu! On cię zabije! Nie...!

Huknął strzał. Patrzyła na lewo i przez moment ujrzała koszmarny widok Normana siedzącego po turecku na podłodze. Błysk trwał krótko, a mimo to poznała, co miał na głowie: to maska byka z głupkowatym uśmiechem na pysku. Otwór na usta był usmarowany krwią Rosie. Dostrzegła szalone oczy Normana gapiące się na nią, oczy jaskiniowca zamierzającego ruszyć w jakiś ostatni, zaciekły bój.

Narzekający mieszkaniiec wrzasnął w tej samej chwili, gdy Rosie pociągnęła Billa przez próg i zatrzasnęła drzwi. Pokój był pełen cieni, a mgła stłumiła blask latarni ulicznej, zazwyczaj rzucającej długi prostokąt światła na podłogę, lecz po przedsionku, schodach i korytarzu wydawał się niezwykle jasny.

Pierwszą rzeczą, którą zauważyła Rosie, była bransoletka, lśniąca łagodnie w półmroku. Leżała na nocnej szafce przy podstawie lampy.

Zrobiłam to sama — pomyślała. Jej zdumienie było tak wielkie, że poczuła się oszołomiona. Zrobiłam to wszystko sama, wystarczyło tylko pomyśleć, że ją mam...

Oczywiście — usłyszała głos i był to głos, który od pewnego czasu nie gościł w jej głowie: głos Praktycznie–Rozsądnej. Oczywiście, gdyż siła nigdy nie tkwiła w bransolecie, nigdy, siła zawsze tkwiła w niej, siła zawsze tkwiła w...

Nie, nie. W żadnym razie nie podąży dalej tą drogą, na pewno nie. A w tej chwili i tak nowy dźwięk odwrócił jej uwagę, gdyż Norman z impetem pociągu towarowego rąbnął w drzwi. Liche drewno trzasnęło pod jego ciężarem; drzwi jęknęły w zawiasach. Gdzieś w oddali sąsiad z góry, którego Rosie nigdy nie spotkała, krzyczał z bólu.

Szybko, Rosie, szybko! Wiesz, co robić, dokąd iść...

— Rosie... dzwonić... musisz dzwonić... — zdołał wykrztusić Bill i nie dokończył, znowu zaniósł się kaszlem. Lecz nie miała czasu na takie głupstwa. Później ten pomysł mógł być doskonały, ale obecnie nieuchronnie spowodowałby ich śmierć. Teraz musiała zadbać o niego, ochronić go... a to oznaczało, że powinna zabrać go tam, gdzie będzie bezpieczny. Gdzie oboje będą bezpieczni.

Rosie gwałtownie otworzyła drzwi garderoby, spodziewając się, że będzie wypełniona obcym światem, tak jak ściana jej pokoju, gdy obudził ją odgłos gromu. Zaświeci słońce, oślepiając ich nawykłe do mroku oczy...

Znalazła zwyczajny schowek, mały, zatechły i zupełnie pusty — Rosie miała tylko dwie części garderoby, które mogła tu schować: sweter i parę tenisówek. Och tak, obraz był tu, oparty o ścianę, przy której go postawiła, lecz nie powiększył się, nie zmienił i nie otworzył. Był tylko obrazem wyjętym z ram, miernym dziełkiem, jakie zwykle znajduje się w sklepach z ciekawostkami, na pchlich targach lub w lombardach. Niczym więcej.

Na korytarzu Norman ponownie rąbnął w drzwi. Tym razem trzasnęły głośniejsze; długa drzazga odskoczyła od futryny i upadła na podłogę. Wystarczy jeszcze kilka uderzeń; może dwa lub trzy. Domy z pokojami umeblowanymi nie są budowane tak, aby znieść atak szaleńca.

— On był czymś więcej niż tylko jakimś cholernym obrazem! — zawołała Rosie. — Czekał tam na mnie i był czymś więcej niż tylko jakimś cholernym obrazem! Prowadził do

innego świata! — I dodała w myślach: Wiem o tym, ponieważ mam jej bransoletę!

Odwróciła głowę, spojrzała, a potem podbiegła do nocnej szafki i chwyciła bransoletę. Była cięższa niż przedtem. I gorąca.

— Rosie — powiedział Bill. Ledwie go widziała, jak trzyma się dłońmi za gardło. Chyba miał krew na ustach. — Rosie, musimy zadzwonić po...

Nagle krzyknął, gdy jasne światło zalało pokój... tyle że nie był to mglisty słoneczny blask letniego dnia. To było światło księżyca, sączące się z otwartej garderoby i padające na podłogę. Z bransoletą w ręce Rosie podeszła do Billa i zajrzała do schowka. Tam, gdzie była tylna ścianka, ujrzała szczyt wzgórza, ujrzała wysokie trawy falujące w łagodnych podmuchach nocnego wiatru, ujrzała kanciasty kształt i bielejące w mroku kolumny świątyni. A nad tym wszystkim świecił księżyc, jasna srebrna moneta na purpurowoczarnym niebie.

Pomyślała o lisicy, którą widzieli dzisiaj, tysiąc lat temu, patrzącej na taki księżyc. Lisicy spoglądającej w niebo, podczas gdy jej młode spały obok niej w cieniu zwałonego drzewa, patrzącej czarnymi ślepiami na księżyc.

Na twarzy Billa malowało się niedowierzanie. Księżycowy blask srebrzył jego skórę.

— Rosie — rzekł słabym, zaniepokojonym głosem. Potem poruszył wargami, ale nie powiedział nic więcej.

Wzięła go za ramię.

— Chodź, Bill. Musimy iść.

— Co się dzieje?

Wyglądał żałośnie, taki poturbowany i zdumiony. Wyraz jego twarzy budził w Rosie dziwne i mieszane uczucia: zniecierpliwienie z powodu jego powolnych, osłabionych reakcji, i miłość — bynajmniej nie macierzyńską — płonąca ogniem w jej duszy. Obroni go. Tak. Tak. Obroni go, nawet uciekając w śmierć, jeśli będzie trzeba.

— Nieważne, co się dzieje — odparła. — Zaufaj mi, tak jak ja zaufałam tobie, że umiesz prowadzić motocykl. Ufaj mi i chodź. Musimy już iść!

Pociągnęła go prawą ręką; z lewej zwisała bransoletka, niczym złoty obwarzanek. Bill opierał się jeszcze, ale wtedy Norman wrzasnął i znów rąbnął w drzwi. Z okrzykiem strachu i wściekłości Rosie ścisnęła ramię Billa. Pociągnęła go do szafki i dalej do świata oblanego księżycowym blaskiem, świata, który teraz rozpościerał się za tylną ścianką.

13

Sprawy przybrały fatalny obrót, kiedy ta suka wywróciła wieszak na dole schodów. Norman zaplątał się weń, a właściwie zaczepił o niego tym płaszczem, który tak mu się spodobał. Jeden z mosiężnych haków jakimś cudem przeszedł przez dziurkę od guzika — numer tygodnia — a drugi znalazł się w kieszeni, jak zręczny kieszonkowiec szukający portfela. Trzeci dźgnął go mosiężnym palcem prosto w obolałe jaja. Rycząc z bólu i przeklinając ją, próbował skoczyć naprzód i do góry. Ohydny, nieustępliwy wieszak nie chciał go puścić i nie dał się nawet powlec po schodach: jedna z rozczapierzonych nóg zaczepiła się o słup podpierający poręcz, wbijając się niczym hak abordażowy i trzymając jak kotwica.

Musiał dostać się na górę, musiał. Nie chciał, żeby zamknęła się z tym lachociągiem w swojej norze, zanim zdąży tam dobiec. Nie wątpił, że w razie potrzeby zdoła wyłamać drzwi, w ciągu wielu lat pracy w policji rozbił ich od cholery, niektóre całkiem solidne, ale czas zaczynał odgrywać coraz większą rolę. Nie chciał jej zastrzelić, to byłaby za szybka i za łatwa, o wiele za łatwa śmierć dla takich jak jego dzika Róża, jeśli jednak obrót spraw zaraz nie zmieni się na lepszy, może nie będzie miał innego wyjścia. To byłoby okropne!

— Puść mnie, trenerze! — zawołał byk z górnej kieszeni płaszcza. — Jestem dobry,

zdrowy, wypoczęty i gotowy!

Tak, to cholernie dobry pomysł. Norman wyjął maskę z kieszeni i naciągnął sobie na głowę, wdychając zapach szczyń i gumy. Te zapachy wcale nie były takie złe, kiedy mieszały się ze sobą; prawdę mówiąc, były nawet przyjemne. Lekko uspokajające.

— *Viva ze bool!* — wrzasnął i zrzucił płaszcz. Znowu skoczył naprzód, z rewolwerem w ręku. Przeklęty wieszak trzasnął pod jego ciężarem, ale najpierw spróbował wbić mu w kolano jeden z tych cholernych haków. Norman ledwie to poczuł. Szczyrzył zęby i kłapał nimi dziko pod maską, ciesząc się ich donośnym szczękiem, przypominającym dźwięk uderzających o siebie kul bilardowych.

— Nie próbuj bawić się ze mną, Rose — usiłował wstać, lecz ugięło się pod nim kolano, którym uderzył o wieszak. — Nie ruszaj się. Nie próbuj uciekać. Chcę tylko porozmawiać z tobą.

Odkrzyknęła coś... słowa, słowa, bez znaczenia. Znowu zaczął iść na czworakach, najszybciej i najciszej jak mógł. W końcu wyczuł przed sobą jakiś ruch. Błyskawicznie wyciągnął rękę, złapał ją za lewą łydkę, wbił w nią paznokcie. Jak dobrze! Mam cię! — pomyślał z dziką satysfakcją. — Na Boga, mam cię! Mam...

Jej stopa niespodziewanie wystrzeliła z ciemności z siłą obciążonej śrutem pałki, trafiając go w nos i łamiąc go w nowym miejscu. Ból był straszny — jakby wleciał mu pod czaszkę rój afrykańskich pszczół. Wyrwała mu się, ale Norman ledwie zdał sobie z tego sprawę; już spadał, rozpaczliwie usiłując złapać się poręczy, lecz zdołał jedynie musnąć ją palcami. Zleciał aż na sam dół, do wieszaka, trzymając palce na osłonie spustu rewolweru, żeby nie postrzelić się przypadkiem... bo szło mu tak fatalnie, że i to było możliwe. Przez chwilę leżał nieruchomo, a potem otrząsnął się i znowu ruszył na górę.

Tym razem nie było żadnej luki myślowej, żadnej utraty świadomości, ale nie miał zielonego pojęcia, co oni krzyczeli do niego ze szczytu schodów ani co on im odkrzyknął. Ponownie kontuzjowany nos przysłał mu wszystko czerwoną kurtyną bólu.

Zdał sobie sprawę, że jeszcze ktoś usiłuje wprosić się do zabawy, słynny niewinny przechodzień, a ten mały popaprańy przyjaciel Rosie woła do niego, żeby trzymał się z daleka. Miłe było to, że w ten sposób nie miał problemu ze zlokalizowaniem tego małego popaprańca. Norman wyciągnął ręce po tego małego popaprańca i znalazł go. Zaciśnął popaprańcowi dłonie na szyi i zaczął go dusić. Tym razem miał zamiar zakończyć sprawę, ale natychmiast poczuł palce Rosie na twarzy... na gumowej masce. Tak jakby ktoś głąskał go, uprzednio wstrzyknąwszy nowokainę.

Rosie. Dotykała go Rosie. Była tu. Po raz pierwszy od kiedy poszła sobie z jego cholerną kartą kredytową w torebce, była tuż obok i Norman stracił całe zainteresowanie popaprańcem. Złapał jej rękę, wepchnął w otwór maski i ugryzł najmocniej, jak mógł. Czysta ekstaza. Tylko...

Tylko że nagle coś się stało. Coś złego. Coś okropnego. Miał wrażenie, że wyrwała mu szczękę z zawiasów. Ból śmignął bokami czaszki, polerowanymi stalowymi strzałkami, które z trzaskiem spotkały się na czubku głowy. Wrzasnął i odskoczył od niej, od tej suki, tej parszywej suki, och, jak mogła zmienić się z potulnej istoty w takiego potwora?

Wtedy odezwał się niewinny przechodzień i Norman był przekonany, że go postrzelił. Na pewno kogoś zranił; tak krzyczeli tylko ludzie poparzeni albo ranni. Potem, kiedy skierował broń tam, gdzie stała Rose ze swoim popaprańym przyjacielem, usłyszał trzaśnięcie drzwi. Tej suce jednak udało się uciec do mieszkania.

Na razie nawet to miało drugorzędne znaczenie. Teraz szczęka zastąpiła nos jako ośrodek bólu, tak jak przedtem rozbity nos kazał mu zapomnieć o stłuczonym kolanie i obitych jądrach. Co ona mu zrobiła? Dolna część jego twarzy wydawała się po prostu wydłużona, zęby jak satelity unosiły się gdzieś daleko przed czubkiem nosa.

„Nie bądź idiotą, Normie — szepnął głos ojca. — Wybiła ci szczękę, to wszystko. Wiesz,

co masz robić, więc zrób to!”

Zamknij się, ty stara cioto — próbował powiedzieć Norman, lecz mając zdeformowaną twarz, zdołał wybełkotać jedynie: — Smmuj si tra łoto! — Odłożył rewolwer, wcisnął kciuki pod brzeg maski (nie naciągnął jej do końca, co ułatwiało zadanie), a potem delikatnie nacisnął żuchwę nasadami dłoni. Jakby dotykał kulek, które wyskoczyły z łożyska.

Szykując się na silny ból, przesunął dłonie niżej, obrócił i mocno pchnął. Bolało, rzeczywiście, ale głównie dlatego, że na początku tylko jedna strona żuchwy wskoczyła na miejsce. Teraz była przekrzywiona jak niedbale wsunięta szuflada.

„Jeśli będziesz tak wykrzywił twarz, Normanie, taki grymas zostanie ci na zawsze!” — prychnęła w jego głowie matka. To zjadliwa odzywka, którą tak dobrze pamiętał.

Norman ponownie pchnął żuchwę. Tym razem usłyszał głośny trzask, gdy jej prawa strona zaskoczyła na miejsce. Pozostała jednak dziwnie obwisła, jakby mocno naciągnięte ścięgna potrzebowały sporo czasu, żeby się obkurczyć. Miał dziwne wrażenie, że gdyby ziewnął, szczęka opadłaby mu aż do kłamry pasa.

„Maska, Normie — szepnął głos ojca. — Maska ci pomoże, jeśli naciągniesz ją do końca”.

— Racja — rzekł byk niewyraźnie, gdyż z trudem poruszał policzkami, lecz Norman zrozumiał go bez trudu.

Ostrożnie pociągnął brzeg maski dobrze poniżej szczęki i to naprawdę pomogło; utrzymywało ją na miejscu jak hokejowy ochraniacz.

— Taa — rzekł *ze bool*. — Będę twoim ochraniaczem. Norman odetchnął, podnosząc się z podłogi i wpychając za pasek policyjną czterdziestkępiątkę. Spokojnie — pomyślał. — To bał samców; żadnych panienek. Wydawało się, że przez otwory w masce widzi nawet lepiej, jakby ona w jakiś sposób poprawiła jego zdolność widzenia. Niewątpliwie to tylko złudzenie, ale tak to odczuwał i było mu z tym dobrze. Czuł się pewniej.

Przycisnął się plecami do ściany, a potem skoczył i uderzył barkiem w drzwi, za którymi zniknęła ze swoim małym popapranym przyjacielem. Szczęka zakółysała się boleśnie pomimo ciasnej otoczki maski, ale bez wahania uderzył ponownie, z taką samą siłą. Drzwi zagrzeczoły we framudze, a z górnej ich części odłupała się długa drzazga.

Nagle pożałował, że nie ma z nim Harleya Bissingtona. Razem natychmiast wyważyliby drzwi i pozwolilby Harleyowi na numerkę z żoną, podczas gdy on, Norman, zająłby się jej przyjacielem. Numerkę z Rose był jednym z wielkich, nie wypowiedzianych marzeń Harleya, czego Norman nie pojmował, ale widział w jego oczach, ilekroć tamten przyszedł do jego domu.

Znowu uderzył w drzwi.

Za szóstym razem — a może to była szczęśliwa siódemka, stracił rachubę — zamek wyłamał się i Norman runął do pokoju. Była tutaj, oboje byli, musieli być, ale w tym momencie nie mógł ich dostrzec. Pot zalał mu oczy, oślepiając na chwilę. Pokój wydawał się pusty, a przecież to niemożliwe. Nie uciekli przez okno; było opuszczone i zamknięte. Przebiegł przez pokój, przecinając blade światło rzucane przez otuloną mgłą latarnię uliczną. Kołysał głową z boku na bok, bodąc powietrze rogami Fernanda. Gdzie ona jest? To suka! Gdzie, na rany Chrystusa, mogła się podziać?

Dostrzegł otwarte drzwi i zamknięte wieko komody. Podbiegł tam i zajrzał do łazienki. Pusta. Chyba że...

Wyjął rewolwer i wpakował dwie kule w zasłonkę prysznicową, wybijając parę czarnych oczu w kwiecistym winylu. Potem odsunął zasłonę. Wanna była pusta. Kule rozbiły dwa porcelanowe kafelki na ścianie; to wszystko. Może to i dobrze. Przecież nie chciał jej zastrzelić.

Nie. Ale gdzie się podziała?

Norman skoczył z powrotem do pokoju, opadł na kolana (krzywiąc się z bólu, chociaż prawie go nie czuł) i omiół lufą rewolweru przestrzeń pod łóżkiem. Nic. Z złością rąbnął

pięścią w podłogę.

Ruszył w kierunku okna, ponieważ pozostało już tylko okno... a przynajmniej tak myślał, aż ujrzał światło — jasne, wyglądające jak księżycowe — padające z jeszcze jednych otwartych drzwi, które minął, wpadając do pokoju.

Światło księżycy? Tak ci się wydaje? Czy jesteś stuknięty, Normie? Nie wiem, czy pamiętasz, ale na zewnątrz jest mgła, synu. Mgła. A nawet gdyby tej nocy była największa pełnia stulecia, to jest szafka, synu. Zwykły schowek.

Możliwe, ale przekonał się, że ten cuchnący potem, tłustowłosy podmacywacz i lachociąg kiepsko udający ojca, nie zawsze ma rację. Norman wiedział, że blask księżycy wydobywający się z szafy to bezsensowny pomysł... ale właśnie to widział.

Powoli podszedł do tych drzwi, trzymając broń w opuszczonej ręce, aż stanął w strumieniu światła. Spojrzał przez otwory na oczy w masce (tylko że teraz wydawało się, że obojętnie oczu spogląda przez jedną dziurę) i zajrzał do garderoby.

Z nagich ścian sterczały haki, a przez środek biegł metalowy pręt, na którym wisały puste wieszaki, ale nie było tylnej ścianki. Zamiast niej ujrzał oświetlony księżycem pagórek porośnięty wysoką trawą. Dostrzegł świetliki kreślące zawile świetlne linie w mroku między drzewami. Przeplływające po niebie chmury wyglądały jak lampiony, gdy znalazły się w pobliżu księżycy lub przed nim. U stóp wzgórza wznosiły się jakieś ruiny. Norman uznał je za resztki posiadłości lub opuszczonego kościoła.

Zupełnie zwariowałem — pomyślał. — Albo to, albo jakoś zdołała mnie ogłuszyć i to wszystko tylko majaki.

Nie, to nie do przyjęcia. Nie pogodzi się z tym.

— WRACAJ TU, ROSE! — wrzasnął w głąb garderoby... która, ściśle mówiąc, przestała być garderobą. — WRACAJ, TY SUKO!

Nic. Tylko ten niewiarygodny widok... i leciutka bryza, pachnąca trawą i kwiatami, dowodząca, że to nie jakieś niesamowicie doskonale złudzenie.

I jeszcze coś: granie świerszczy.

— Ukradłaś moją kartę kredytową, ty suko — rzekł cicho Norman. Sięgnął ręką i chwycił jeden z wieszaków wystających ze ściany; wyglądał teraz jak trzymający się uchwyty pasażer metra. Dalej był obcy, księżycowy świat, lecz ewentualny lęk utonął w przypiływie wściekłości. — Ukradłaś ją i chcę z tobą o tym porozmawiać. W... cztery... oczy.

Wszedł do schowka, za metalowy pręt, strącając parę wieszaków na drewnianą podłogę. Jeszcze przez chwilę stał bez ruchu, patrząc na rozpościerający się przed nim świat.

Potem wszedł weń.

Miał wrażenie, że schodzi niżej, jak to zdarza się czasem w starych domach, gdzie podłogi znajdują się na różnych poziomach, ale to wszystko. Jeden krok i już nie stał na des — kach ani w którymś pokoju na pierwszym piętrze; stał na trawie, owiewany przez ten wonny wietrzyk. Podmuch wdierał się w otwór na oczy (tak, teraz był tylko jeden, Norman nie wiedział jak to możliwe, lecz po tym ostatnim kroku nie wydawało się to takie dziwne), odświeżając posiniaczoną i spoconą skórę. Chwycił brzegi maski, chcąc zdjąć ją na chwilę i wystawić całą twarz na podmuchy tej ożywczej bryzy, ale maska nie chciała zejść. Wcale nie dawała się zdjąć. Jakby guma przyrosła mu do twarzy. Jak gdyby ze *bool* stał się nieodłączną częścią jego „ja”.

IX JA ODPLACAM

1

Bill spoglądał na oblany księżycową poświatą pagórek ostrożnym wzrokiem człowieka kompletnie niezdolnego pojąć, co widzi. Dotknął ręką opuchniętej szyi i zaczął ją masować. Rosie dostrzegła już na niej wachlarzowato rozchodzące się sińce.

Nocny wietrzyk musnął jej czoło jak troskliwa dłoń. Był łagodny, ciepły i niósł zapach lata. Nie było w nim wilgoci mgieł ani woni wielkiego jeziora leżącego na wschód od miasta.

— Rosie? Czy to wszystko dzieje się naprawdę?

Zanim zdążyła wymyślić jakąś odpowiedź na to pytanie, wtrącił się inny — dobrze jej znany — głos.

— Dziewczyno! Ty, dziewczyno!

To była kobieta w czerwonej sukni, tyle że teraz nosiła zwykłą koszulę... niebieską — pomyślała Rosie, chociaż w świetle księżyca nie mogła tego stwierdzić. „Wendy Yarrow” stała w połowie drogi na wzgórzu.

— Sprowadź go tu, dziewczyno! Nie ma czasu do stracenia! Tamten zaraz tu będzie, a musicie jeszcze zrobić kilka rzeczy!

Ważnych rzeczy!

Rosie wciąż trzymała Billa za ramię. Próbowwała pociągnąć go za sobą, ale opierał się, z niepokojem spoglądając na „Wendy”. Za nimi — cicho, lecz wciąż okropnie blisko — Norman nawoływał Rose. Bill podskoczył, ale nie chciał iść.

— Kto to jest, Rosie? Kim jest ta kobieta?

— Nieważne. Chodź!

Tym razem nie ciągnęła go za ramię; szarpnęła za nie z rosnącym zniecierpliwieniem. Poszedł, ale zdołał przejść zaledwie tuzin kroków, zanim zgiął się wpół, kaszląc tak silnie, że oczy wychodziły mu na wierzch. Rosie skorzystała z okazji, aby rozpiąć zamek pożyczonej od niego kurtki. Zdjęła ją i rzuciła w trawę. Potem sweter. Bluzka pod nim nie miała rękawów i Rosie założyła bransoletę na ramię. Natychmiast poczuła przyływ sił i, jeśli o nią chodzi, nie miało znaczenia to, czy uczucie było realne, czy urojone. Zerknęła przez ramię, na pół oczekując widoku nadbiegającego Normana, ale nie, nie było go tu, przynajmniej na razie. Zobaczyła tylko bryczkę, kucyka — nie spętanego i gryzącego wysrebrzoną księżycem trawę — oraz te same sztalugi, jakie widziała przedtem. Obraz znów zmienił się. Przede wszystkim odwrócona plecami postać już nie była kobietą, lecz wyglądała jak rogaty demon. Zdaniem Rosie to był demon, ale także człowiek. To był Norman i przypomniała sobie, że w błysku wystrzału widziała sterczące mu na głowie rogi.

— Dziewczyno, czemu tak wolno? Ruszaj się!

Kiedy atak kaszlu zaczął mijać, objęła ramieniem Billa i poprowadziła go tam, gdzie niecierpliwie czekała „Wendy”. Zanim dotarli na miejsce, Rosie prawie musiała go nieść.

— Kim... jesteś? — zapytał Bill kobietę, kiedy wreszcie do niej doszli, i natychmiast znów zaniósł się kaszlem.

„Wendy” zignorowała pytanie i wzięła go pod rękę z drugiej strony, pomagając Rosie. A kiedy przemówiła, zwracała się do niej.

— Położyłam zapasowy *zat* za rogiem świątyni, więc z tym wszystko w porządku... lecz musimy się śpieszyć! Nie ma ani chwili do stracenia!

— Nie wiem, o czym mówisz — powiedziała Rosie, lecz w głębi duszy wydawało jej się, że wie. — Co to jest *zat*?

— Daj teraz spokój pytaniom — rzekła czarna kobieta. — Lepiej podążmy zwawo.

Podtrzymując Billa, poszły w dół stoku ku świątyni (to zdumiewające, jak nagle przypomniałam sobie to wszystko — pomyślała Rosie). Ich cienie kroczyły obok nich niczym cienie kobiet męczonych i rozciąganych na stole tortur. Przed nimi wznosił się budynek, a raczej zdawał się wznosić nad nimi, jak jakiś żywy i głodny stwór. Rosie była głęboko wdzięczna, kiedy „Wendy” skrzyła w prawo, prowadząc ich za róg.

Za świątynią, na jednym z licznych ciemnych krzewów, zwisał zapasowy *zat*. Rosie spojrzała nań z niepokojem, ale bez zdziwienia. To był jaskraworóżowy chiton, bliźniaczko podobny do tego, który nosiła kobieta o słodkim głosie opętanej.

— Włóż to — poleciła czarna kobieta.

— Nie — zaprotestowała słabym głosem Rosie. — Nie, boję się.

— WRACAJ TU, ROSE!

Słyszając ten głos, Bill drgnął i obrócił głowę, szeroko otwierając oczy, z twarzą pobladłą bardziej, niż można by przypisać księżycowemu światłu, i z drżącymi wargami. Rosie też bała się, ale żywiła rozpaczliwą nadzieję, że Norman nie będzie mógł ścigać ich aż tutaj, że obraz jakoś zamknie się za nimi. Teraz wiedziała już, że tak się nie stało. Znalazł go i niebawem będzie z nimi w tym świecie, jeżeli już w nim nie był.

— WRACAJ, TY SUKO!

— Włóż to — powtórzyła kobieta.

— Dlaczego? — pytała Rose, lecz jej dłonie już chwyciły bluzkę i ściągnęły ją przez głowę. — Dlaczego muszę to robić?

— Ponieważ ona tak chce, a zawsze dostaje to, czego pragnie. — Czarna kobieta popatrzyła na Billa, który spoglądał na Rosie. — Odwróć się — nakazała mu. — Jeśli o mnie chodzi, w swoim świecie możesz oglądać jej nagość, aż ci oczy wypadną, ale nie w moim. Odwróć się, jeśli wiesz, co dla ciebie dobre.

— Rosie? — odezwał się niepewnie Bill. — To sen, prawda?

— Tak — odparła, a w jej głosie był chłód, rodzaj spontanicznego wyrachowania, jakiego jeszcze nigdy u siebie nie słyszała. — Tak, masz rację. Rób, co ona mówi.

Odwrócił się tak gwałtownie, jak żołnierz wykonujący w tył zwrot. Teraz spoglądał na wąską ścieżkę biegnącą na tyłach budynku.

— Zdejm i tę uprząż na biust — powiedziała kobieta, niecierpliwie trącając palcem biustonosz Rosie. — Nie możesz mieć na sobie tego, kiedy włożysz *zat*.

Rosie rozpięła stanik i zdjęła go. Potem zrzuciła z nóg tenisówki, nie rozsznurowane, i ściągnęła dzinsy. Stała w białych bawełnianych figach i spojrzała pytająco na „Wendy”, która skinęła głową.

— Tak, to też.

Rosie pozbyła się majteczek, a potem ostrożnie zdjęła z krzaka *zat*. Czarna kobieta przysunęła się bliżej, chcąc jej pomóc.

— Wiem, jak ją włożyć, nie płacz mi się pod nogami! — warknęła Rosie i wciągnęła chiton przez głowę, jak koszulę.

„Wendy” spoglądała na nią badawczo, nie próbując już pomagać, nawet gdy Rosie miała chwilowe kłopoty z ramiączkiem. Kiedy uporała się z nim, prawe ramię było odsłonięte, a nad lewym łokciem lśniła bransoletka. Stała się lustrzanym odbiciem kobiety z obrazu.

— Możesz się odwrócić — powiedziała do Billa.

Zrobił to. Zmierzył ją uważnym spojrzeniem, odrobinę dłużej zatrzymując wzrok na sutkach rysujących się pod pięknie tkaną materią. Rosie nie miała nic przeciwko temu.

— Wyglądasz jak ktoś inny — stwierdził w końcu. — Ktoś niebezpieczny.

— Tak już jest w snach — odparła i znów usłyszała w swoim głosie chłód i wyrachowanie. Nienawidziła tego... a zarazem uwielbiała. I to bardzo.

— Czy muszę ci mówić, co masz robić? — spytała czarna kobieta.

— Nie, oczywiście, że nie.

Rosie zawołała, a jej głos był zarówno melodyjny, jak i gwałtowny, głos nie należący do niej, głos tamtej... tyle że to był także jej głos; był.

— Normanie! — zawołała. — Normanie, jestem tutaj!

— Jezu Chryste, Rosie, nie! — jęknął Bill. — Oszalałaś? Próbował złapać ją za ramię, a ona niecierpliwie odtrąciła jego dłoń, rzucając mu ostrzegawcze spojrzenie. Cofnął się pod nim, tak samo jak przedtem „Wendy”.

— To jedyny sposób, a w dodatku słuszny sposób. Ponadto... — odrobinę niepewnie spojrzała na „Wendy”. — Tak naprawdę, nie będę musiała nic robić, prawda?

— Prawda — odparła kobieta w błękitnej szacie. — Pani zajmie się wszystkim. Gdybyś próbowała jej przeszkodzić, a nawet pomóc, pożałowałabyś. Masz robić tylko to, co według tego drania na górze robi każda kobieta.

— Zwabić go — mruknęła Rosie z oczami błyszczącymi światłem księżyca.

— Zgadza się — przytaknęła tamta. — Zwabić go.

Rosie nabrała powietrza w płuca i znów zawołała Normana czując, jak bransoletka na jej ramieniu grzeje ciało jakimś dziwnym, delirycznie słodkim żarem, ciesząc się dźwiękiem dobywającym się z jej gardła, równie donośnym jak jej stary okrzyk wojenny strażników Teksasu, jaki wydała w labiryncie, żeby skłonić dziecko do płaczu.

— Tuutaj, Normanie!

Bill patrzył na nią. Przestraszony. Nie podobał jej się ten wyraz jego twarzy, ale chciała go takim widzieć. I widziała. Był mężczyzną, prawda? A mężczyźni czasem muszą nauczyć się respektu przed kobietą, czyż nie? Czasami to jedyna obrona kobiety.

— Teraz idź — oznajmiła czarna kobieta. — Ja zostanę tutaj z twoim mężczyzną. Będziemy bezpieczni; tamten pójdzie przez świątynię.

— Skąd wiesz?

— Wiem, ponieważ oni zawsze tak robią — odrzekła z prostotą kobieta. — Pamiętaj, czym on jest.

— Bykiem.

— Zgadza się; bykiem. A ty jesteś kobietą, która pomacha mu przed nosem jedwabnym kapeluszem, żeby go zwabić. Tylko pamiętaj, jeśli dopadnie cię, nie ma tu pikadorów, którzy go odciągną. Jeżeli cię złapie — zabije. Tak jest. Ani ja, ani moja pani nie będziemy mogły go powstrzymać. On chce zanurzyć pysk w twojej krwi.

Wiem to lepiej od ciebie — pomyślała Rosie. — Wiem o tym od lat.

— Nie idź, Rosie — odezwał się Bill. — Zostań z nami.

— Nie.

Przecisnęła się obok niego czując, jak cierń rozcina jej udo i ten ból był równie przyjemny jak przedtem ten okrzyk. Nawet uczucie krwi sączącej się z rany było miłe.

— Mała Rosie. Odwróciła się.

— W końcu mu ujdiesz. Wiesz dlaczego?

— Tak, oczywiście.

— Co miałaś na myśli mówiąc, że to byk? — zapytał Bill.

W jego głosie słyszała obawę i lęk... a jednak nigdy nie kochała go bardziej niż teraz i pomyślała, że nigdy nie pokocha. Jego twarz była taka blada i bezbronna.

Znów zaczął kaszleć. Rosie położyła mu rękę na ramieniu, przerażona, że może odsunąć się od niej, lecz nie zrobił tego. Przynajmniej jeszcze nie.

— Zostań tu — powiedziała. — Zostań tutaj i bądź cicho. Potem szybko odeszła. W świetle księżyca mignął mu jeszcze różowy chiton na końcu świątyni, gdzie zaczynała się ścieżka, a potem Rosie zniknęła.

Po chwili w mroku ponownie rozległ się jej krzyk, dźwięczny i dziwnie okropny:

— Normanie, tak głupio wyglądasz w tej masce... — Chwila ciszy, a potem: — Już nie

boję się ciebie, Normanie...

— Chryste, on ją zabije — mruknął Bill.

— Może — odparła kobieta w błękitnej szacie. — Ktoś dziś zostanie zabity, to pe...

Nagle urwała, nadstawiając ucha, patrząc szeroko otwartymi i błyszczącymi oczami.

— Co sły...?

Czarna dłoń błyskawicznie zakryła mu usta. Nie nacisnęła mocno, lecz Bill poczuł, że mogłaby to zrobić — wydawała się zrobiona ze stalowych sprężyn. Czując jej dłoń na wargach i czubki palców na policzku, powoli dochodził do straszliwego wniosku, nabierał pewności, że to nie sen. Chociaż bardzo pragnąłby w to wierzyć, po prostu nie mógł.

Czarna kobieta stała na palcach i tuliła się do niego jak kochanka, wciąż zatykając mu usta.

— Ciii — szepnęła mu do ucha. — On nadchodzi.

Teraz usłyszał szelest trawy i liści, a potem ciężkie, warkliwe sapnięcia, którym towarzyszyły przeciągłe świsty. Zazwyczaj taki dźwięk kojarzyłby z mężczyzną o wiele cięższym od Normana Danielsa — ważącym od stu czterdziestu do stu sześćdziesięciu kilogramów.

Albo z dużym zwierzęciem.

Czarna kobieta powoli zdjęła dłoń z ust Billa i stali tam, nasłuchując odgłosów zbliżającego się stworzenia. Bill objął ją ramieniem, a ona jego też. Stali tak, aż Bill nabrał dziwnej pewności, że Norman — czy też to coś, czym się stał — nie przejdzie przez budynek, lecz wyłoni się zza rogu i zobaczy ich. Przez chwilę będzie grzebał kopytem, opuści łeb, a potem pogoni ich tą wąską ścieżką, nie dającą szansy ucieczki, doścignie, strąci i przebodzie...

— Ciii — szepnęła.

— Normanie, ty idioto...

Słowa unosiły się w powietrzu jak dym, jak blask księżyca.

— Jesteś taki głupi... naprawdę myślałeś, że zdołasz mnie schwytać? Głupie stare byczysko!

Wybuch dźwięcznego, drwiącego śmiechu. Ten dźwięk kojarzył się Billowi ze spadającym szkłem, głębokimi studniami i pustymi komnatami o północy. Zadrżał i na rękach wystąpiła mu gęsia skórka.

Przed frontem budowli, z miejsca, skąd wołała Rosie, zapadła chwilowa cisza (przerywana jedynie podmuchami wiatru przelotnie poruszającego krzakami, jak ręka czesząca zmierzwioną czuprynę). W górze jasny dysk księżyca skrył się za chmurą, srebrząc jej krawędzie. Niebo było upstrzone gwiazdami, ale Bill nie rozpoznawał żadnej konstelacji.

— Noor-maaanie... nie chcesz ze mną porozmawiać?

— Och, porozmawiam z tobą — rzekł Norman Daniels i Bill poczuł, jak czarna kobieta drgnęła, a jego serce wykonało długi, paskudny skok z piersi do gardła. Ten głos rozległ się nie dalej niż dwadzieścia metrów od nich. Jakby Norman celowo poruszał się tak niezdarnie, pozwalając im śledzić jego drogę, a potem, kiedy mu to będzie odpowiadało, iść zupełnie bezszelestnie. — Porozmawiam z tobą w cztery oczy, ty cipo.

Palec czarnej kobiety spoczął na wargach Billa, nakazując mu ciszę, ale Billowi nie trzeba było o tym przypominać. Spojrzał jej w oczy i zobaczył, że wcale już nie była pewna, iż Norman przejdzie przez budynek.

Cisza przedłużała się w nieskończoność. Nawet Rosie zdawała się czekać.

Potem, już nieco dalej, znów odezwał się Norman.

— Ejże, ty stary skurwysynu — powiedział. — Co tu robisz?

Bill spojrział na czarną kobietę. Nieznacznie potrząsnęła głową na znak, że też tego nie rozumie. Nagle uświadomił sobie coś okropnego: musiał zakaszczyć. Drażniące pulsowanie w gardle było nie do zniesienia. Wcisnął usta w zgięcie łokcia i usiłował zdusić kaszel, czując na sobie zatroskane spojrzenie kobiety.

Nie wytrzymam długo — pomyślał. — Chryste, Normanie, dlaczego tak się wleciesz? Przedtem byłeś dość szybki. I jakby w odpowiedzi na jego myśli:

— Nooor–maaaanie! Jesteś tak kurewsko POWOLNY, No–oor–maaaanie!

— Suko — odezwał się ochryply głos po drugiej stronie świątyni. — Och, ty suko.

Odgłos nóg na pokruszonym kamieniu. Po chwili Bill usłyszał echo kroków i pojął, iż Norman jest wewnątrz budynku, który czarna kobieta nazywała świątynią. Zrozumiał coś jeszcze: atak kaszlu ustąpił, przynajmniej na razie.

Nachylił się do kobiety w błękitnej szacie i szepnął jej do ucha:

— Co robimy teraz?

Jej oddech poślaskotał mu szyję, gdy mówiła cicho:

— Czekamy.

2

Odkrycie, że maska stała się teraz częścią jego ciała, przeraziło go na chwilę czy dwie, lecz zanim strach zdążył przerodzić się w przerażenie, Norman zobaczył opodał coś, co całkowicie odwróciło jego uwagę od maski. Zszedł kawałek stokiem i uklęknął. Podniósł sweter, obejrzał go i odrzucił na bok. Potem podniósł kurtkę. To tę nosiła. Motocyklowa kurtka. Facet miał motor, a ona jeździła z nim, zapewne przyciskając krocze do jego tyłka. Jest dla niej za duża — pomyślał. — Pożyczyła ją od niego. To spostrzeżenie rozwścieczyło go; splunął na kurtkę, cisnął ją na ziemię, po czym zerwał się na równe nogi i potoczył wokół groźnym spojrzeniem.

— Ty suko — zamruczał. — Ty nędzna, podstępna suko.

— Normanie! — nadleciało z ciemności, na sekundę zapierając mu dech w piersi.

Blisko — pomyślał. — Kurwa mać, jest blisko. Chyba w tym budynku.

Stał nieruchomo jak posąg czekając, aż odezwie się znowu. Po chwili zrobiła to.

— Normanie, tu jestem!

Ponownie uniósł ręce do maski, lecz tym razem nie ciągnął, lecz gładził ją.

— *Viva ze bool* — powiedział do maski i zaczął schodzić ze wzgórza ku widocznym w dole ruinom. Wydawało mu się, że dostrzega biegnące w tym kierunku ślady — połamane źdźbła wysokiej trawy, być może w miejscach, gdzie stawiała stopy — lecz w świetle księżycy trudno było mieć pewność.

Wtem, jak na potwierdzenie, że idzie we właściwym kierunku, kolejny raz usłyszał jej rozwścieczający, drwiący krzyk:

— Tuuutaj, Nooor–maaaanie!

Jakby wcale nie obawiała się go, jakby nie mogła doczekać się spotkania. Suka!

— Zaczekaj, Rose — mrucał. — Tylko nie ruszaj się z miejsca.

Miał policyjny rewolwer zatknięty za pasek od spodni, ale broń nie odgrywała większej roli w jego planach. Nie wiedział, czy we śnie może strzelić, czy nie i wcale nie miał zamiaru tego sprawdzać. Chciał porozmawiać dłużej z tą małą dziką Różą, a broń uniemożliwiłaby to.

— Normanie, tak głupio wyglądasz w tej masce... Już nie boję się ciebie, Normanie...

Przekonasz się, że to chwilowe wrażenie, ty suko — pomyślał.

— Normanie, ty idioto!

No dobrze, może nie była w budynku; mogła wyjść po przeciwnej stronie. To bez znaczenia. Jeśli ona sądzi, że zdoła uciec mu na równym terenie, to czeka ją największa niespodzianka w życiu. Ostatnia niespodzianka.

— Jesteś takim durniem! Naprawdę myślałeś, że zdołasz mnie złapać? Głupie stare byczysko!

Przesunął się trochę w prawo, usiłując nie robić hałasu, przypominając sobie, że nie powinien zachowywać się jak — cha–cha! — byk w składzie porcelany. Przystanął u

podnóża popękanych schodów wiodących do świątyni (tak, teraz to widział, to była świątynia, taka jak w jednej z tych greckich bajek, postawiona w przerwach między obłapkami) i zmierzył ją uważnym spojrzeniem. Budynek był najwidoczniej opuszczony i popadał w ruinę, ale nie budził niechęci: Norman miał dziwne wrażenie, że znalazł się w domu.

— Nooor–maaanie! Nie chcesz ze mną rozmaaawiać?

— Och, porozmawiam z tobą — powiedział. — Porozmawiam z tobą w cztery oczy, ty cipo.

Na prawo od schodów dostrzegł coś w wysokiej, gęstej trawie: wielką kamienną twarz, gapiącą się ze skupieniem w niebo. Po pięciu krokach Norman znalazł się przy niej i patrzył na nią przez jakieś dziesięć sekund, upewniając się, że naprawdę widzi to, co widzi. Naprawdę. Ogromna głowa miała twarz jego ojca, a jej puste oczy drwiły z niego w świetle księżyca.

— Ejże, ty stary skurwysynu — powiedział łagodnie. — Co tu robisz?

Kamienny ojciec nie odpowiedział, lecz zrobiła to żona Normana.

— Nooor–maaanie! Jesteś tak kurewsko POWOLNY, Nooor–maaanie!

— Nauczyli ją pięknego języka — napomknął byk, który teraz przemawiał w głowie Normana. Niewątpliwie zadała się ze wspaniałymi ludźmi — zmienili całe jej życie.

— Suko — rzekł grubym, drżącym głosem. — Och, ty suko. Odwrócił się plecami do kamiennej twarzy w trawie, mając ochotę wrócić i splunąć na nią tak, jak na kurtkę... albo rozpiąć dzinsy i obsikać ją. Nie ma czasu na zabawy. Pośpieszył splekanymi schodami do mrocznego wejścia świątyni. Przy każdym kroku przeszywający ból wędrował po nodze w górę, po plecach, do obolałej dolnej szczęki. Wydawało się, że jedynie gumowa maska utrzymuje ją na miejscu — bolała jak wszyscy diabli. Pożałował, że nie zabrał aspiryny z radiowozu zabitych gliniarzy.

— Jak ona mogła tak postąpić, Normie? — szepnął znowu głos z głębi świadomości. Brzmiał jak głos ojca, lecz Norman nie pamiętał, by ten kiedyś mówił tak niepewnie, czy z takim niepokojem. — Jak śmiała to zrobić? Co się z nią stało?

Stanął na najwyższym stopniu, bolała go cała twarz, a dolna szczęka obwisła mu jak sflaczała opona.

— Nie wiem i nic mnie to nie obchodzi — rzekł widmowemu głosowi. — Jednak powiem ci jedno, tato, jeżeli nim jesteś, że kiedy ją znajdę, to się jej piekielnie szybko odstanie. Ma to jak w banku.

— Jesteś pewien, że chcesz spróbować? — zapytał głos, i Norman, który już ruszał naprzód, znów stanął, słuchając, nadstawiając ucha. — Czy wiesz, co byłoby lepsze? — ciągnął głos. — Lepiej byłoby uznać to za remis. Wiem, jak to brzmi, ale mimo to dam ci dobrą radę, Normie. Gdybym ja o tym zdecydował, zawróciłbym i poszedł z powrotem tą samą drogą, którą przyszedłeś. Ponieważ to wszystko nie wygląda dobrze. Prawdę mówiąc, coś mi tu śmierdzi. Nie wiem, o co chodzi, ale wiem, na co mi to wygląda: na pułapkę. I jeśli w nią wpadniesz, będziesz miał większe zmartwienia niż obwisła szczęka czy maska, która nie chce schodzić. Dlaczego nie zawrócisz i nie zmyjesz się stąd? Nie spróbujesz wrócić do jej pokoju i tam na nią zaczekać?

— Ponieważ przyjdą tam, tato — powiedział mu Norman. Wstrząsnęła nim stanowczość i pewność tego głosu, jednak nie chciał tego przyznać. — Przyjdą tam gliny i załatwią mnie. Załatwią mnie, zanim powącham jej perfumy. I dlatego, że robiła sobie ze mnie jaja. Ponieważ stała się kurwą. Widzę to po tym, jak do mnie teraz mówi.

— Nieważne, jak do ciebie mówi, ty idioto! — pouczał go głos. — Jeżeli jest stuknięta, zostaw ją, niech ją szlag trafi razem z jej przyjaciółkami! Może jeszcze nie jest za późno, by zakończyć tę sprawę, zanim wybuchnie ci w twarz.

Zastanowił się... a potem podniósł głowę i przeczytał słowa wykute nad wejściem do świątyni. TA, KTÓRA KRADNIE KARTĘ KREDYTOWĄ MĘŻA, NIE JEST GODNA

ŻYC — głosił napis.

Pozbył się wątpliwości. Nie będzie więcej słuchał tego tchórzliwego, starego zboczeńca. Przeszedł przez zięjący czernią próg w wilgotny mrok wnętrza. Ciemno... ale nie tak ciemno, żeby niczego nie widzieć. Pyliste smugi księżycowego światła padały skośnie przez maleńkie okienka, oświetlając świątynię podobną trochę do kościoła, do którego Rosie i jej rodzina uczęszczali w Aubreyville. Szedł po stertach zeschniętych liści, a kiedy stado wirujących, piszczących nietoperzy spłynęło z góry, żeby załopotać mu skrzydłami przy twarzy, odpędził je machnięciem ręki.

— Wynocha, skurwysyny — wymamrotał.

Przeszedł przez drzwi po prawej stronie ołtarza, wyszedł na mały kamienny taras i wtedy dostrzegł jakiś strzęp zwisający z krzaka. Pochylił się, zdjął gałgan i podsunął sobie pod nos. Trudno było orzec przy tym kiepskim świetle, ale uznał, że materiał był czerwony lub różowy. Czy ona nosiła rzeczy w takim kolorze? Wydawało mu się, że miała na sobie džinsy, ale wszystko mu się pokręciło. Nawet jeśli to były džinsy, zdjęła kurtkę, którą pożyczył jej ten lachociąg, i może pod spodem...

Za plecami usłyszał ciche trzepotanie przypominające odgłos bandery łopoczącej na wietrze. Norman odwrócił się i brązowy nietoperz frunął mu w twarz, kłapiąc wąsatym pyskiem i tłukąc skrzydłami po policzkach.

Obracając się, odruchowo chwycił kolbę rewolweru. Teraz puścił ją i złapał nietoperza, miażdżąc skrzydła i przyciskając je do ciała zwierzęcia. Skręcił je w dłoniach i z taką siłą rozerwał na dwie części, że szczątkowe jelita upadły mu na buty.

— Powinieneś trzymać się z daleka od mojej twarzy, dupku — warknął Norman i cisnął resztki nietoperza z powrotem w mrok świątyni.

— Świetnie ci idzie zabijanie nietoperzy, Normanie.

Jezu Chryste, ależ blisko, tuż za nim! Tym razem odwrócił się tak szybko, że prawie runął na kamienny taras.

Za świątynią teren łagodnie opadał do strumienia i w połowie drogi, w czymś, co wyglądało na najbardziej wyschnięty ogród na świecie, była jego słodka, mała dzika Róża — po prostu stała tam w świetle księżycy, patrząc na Normana. Zauważył trzy rzeczy, jedną po drugiej. Po pierwsze była bez dzinsów, jeśli w ogóle miała je przedtem; nosiła sukienkę mini, wyglądającą jak szykowna toga na party w klasztorze. Po drugie zmieniła uczesanie. Utleniła włosy i spięła je z tyłu.

Po trzecie była piękna.

— Nietoperze i kobiety — powiedziała zimno. — Oto przeciwnik dla ciebie, prawda? Prawie mi cię żal, Normanie. Co z ciebie za mężczyzna. Chociaż tak naprawdę to nie jesteś mężczyzną. A ta głupia maska wcale cię nim nie robi.

— ZABIJĘ CIĘ, SUKO!

Norman zeskoczył z tarasu i pobiegł w dół zbocza, do niej, a w blasku księżycy rogaty cień sunął razem z nim po wyschniętej trawie.

3

Przez moment stała nieruchomo, jak posąg, nie ruszając żadnym mięśniem, gdy runął ku niej, wrzeszcząc pod tą swoją odrażającą maską. Poruszyło ją dopiero nagle, okropne wspomnienie — podejrzewała, że podsunięte przez panią Praktycznie–Rozsądną — rakiety tenisowej z mokrą od krwi rękojeścią, którą kiedyś ją zgwałcił.

Odwróciła się, łopocząc rąbkiem swego *zat* i pobiegła w kierunku strumienia.

„Kamienie, Rosie... jeżeli wpadniesz do wody...” Nie miała takiego zamiaru. Jest prawdziwą Rosie, *Rosie Real* i nie wpadnie do wody. A przynajmniej, dopóki nie zacznie

myśleć, co mogłoby się stać, gdyby wpadła. Zapach strumienia owiał ją tak silnie, że oczy zaczęły jej łzawić... a w ustach zaschło z pragnienia. Rosie uniosła rękę, ścisnęła nos wskazującym i środkowym palcem, a potem skoczyła na drugi kamień, potem na czwarty, a później już na drugi brzeg. Łatwe. Nic trudnego. Przynajmniej dopóty, dopóki nie poślizgnęła się. Runęła jak długa i zaczęła zsuwać się po śliskiej trawie do czarnej wody.

4

Norman zobaczył, jak upadła, i zaśmiał się. Wygląda na to, że się zmoczy.

Nie martw się, Rose — pomyślał. — Wyciągnę cię i osuszę. Tak, naprawdę.

Ona jednak natychmiast zerwała się, chwyciwszy rękami za brzeg i rzuciwszy przez ramię jedno przerażone spojrzenie... lecz najwyraźniej nie obawiała się jego, oglądała się na wodę. Kiedy wstawała, przez moment dostrzegł jej tyłek, goły jak w dniu narodzin. W zdumienie wpędził go fakt, że miał wzwód.

— Nadchodzę, Rose — wysapał. Tak, a niebawem może dojdzie również w inny sposób. On dojdzie, a ona odejdzie, można by rzec.

Pobiegł do strumienia, traktując delikatne ślady stóp Rose ciężkimi buciorami Humpa McDanielsa i dotarł do brodu w chwili, gdy ona wdrapała się na drugi brzeg. Stała tam przez chwilę, oglądając się, i tym razem wyraźnie patrzyła na niego. Potem zrobiła coś, co sprawiło, że na chwilę oniemiał ze zdumienia.

Wulgarnym gestem pokazała mu palec.

I zrobiła to jak należy, całując jego czubek, zanim uciekła w kierunku kępy uschniętych drzew.

— Widziałeś to, Norman? — zapytał *ze bool* z wnętrza jego głowy. — Ta suka ma cię gdzieś. Widziałeś to?

— Tak — wysapał. — Widziałem. Zajmę się i tym. Zajmę się wszystkim.

Nie zamierzał jednak śpieszyć się przy pokonywaniu strumienia, ryzykując upadek. Ta woda nie podobała się Rose, więc i on musi być bardzo ostrożny, dosłownie, musi uważać na każdy krok. Ten przekłety strumyk może być pełen tych małych południowoamerykańskich rybek z wielkimi zębami, które — jak mają dobry dzień — potrafią w mgnieniu oka oczyścić z mięsa całą krowę. Nie wiedział, czy mogłyby zabić śniącego, jednak cała ta historia coraz mniej przypominała sen.

Pokazała mi tyłek — myślał. — Goły tyłek. Może ja też coś jej pokażę... czy nie mówią, że karuzela to fajna zabawa?

Norman ściągnął wargi w ponurym grymasie, który nie był uśmiechem, po czym postawił jeden z butów Humpa na pierwszym białym głazie. W tym momencie księżyc schował się za chmurę. Kiedy znów wyszedł, zastał Normana w połowie brodu. Norman spojrzał na wodę, najpierw zaciekawiony, a potem zafascynowany i przerażony. Światło księżyca nie zagłębiało się w wodę, strumień był jak z atramentu, ale nie to zaparło mu dech w piersi i kazało przystanąć. Odbijający się w tej czarnej toni księżyc wcale nie był księżycem. To była zbielala i szczyrząca zęby ludzka czaszka.

Pociągnij łyk tego gówna, Normie — wydawała się szeptać czaszka na wodzie. — Do licha, zrób sobie nawet całą cholerną kąpiel, jeśli chcesz. I zapomnij o tych głupstwach. Wypij, a tak się stanie. Wypij, a przestaniesz się tym martwić; zapomnisz o wszystkim.

To było takie kuszące, takie dobre. Spojrzał w górę, może po to, aby zobaczyć, czy księżyc na niebie przypomina tę czaszkę na wodzie, lecz zamiast niego zobaczył Rose. Stała w miejscu, gdzie ścieżka ginęła w gaju uschniętych drzew, obok posągu chłopca z uniesionymi ramionami i sterczącym kutasem.

— Nie wywiniesz się tak łatwo — prychnął. — Nie...

Wtedy kamienny chłopak poruszył się. Opuścił ręce i złapał Rose za prawy przegub. Rose wrzasnęła i daremnie usiłowała rozerwać uchwyt. Kamienny chłopak uśmiechnął się, po czym, na oczach obserwującego Normana, wysunął marmurowy język i sugestywnie poruszał nim do Rose.

— Doskonale — szepnęła Norman. — Trzymaj ją. Trzymaj.

Skoczył na drugi brzeg i rzucił się w stronę zbiegłej żony, wyciągając wielkie łapska.

5

— Chcesz się przejechać? — spytał kamienny chłopak chropawym, monotonnym głosem. Dłonie ściskające jej przegub były kanciaste i twarde, ciężkie. Zerknęła przez ramię i zobaczyła, jak Norman przeskakuje na brzeg, a rogi jego maski dźgają nocne powietrze. Poślizgnął się na mokrej trawie, ale nie upadł. Po raz pierwszy od chwili gdy zrozumiała, że w radiowozie siedzi Norman, Rosie była bliska paniki. Złapie ją, a potem? Rozszarpie ją zębami na strzępy, tak że umrze wrzeszcząc, z zapachem wody English Leather w nozdrzach. On... — Chcesz się przejechać? — szydził kamienny chłopiec. — Chcesz się zabawić, Rosie? Masz ochotę...?

— Nie! — wrzasnęła w przyptywie furii, przesłaniającej jej oczy czerwoną kurtyną. — Nie i zostaw mnie w spokoju, skończ z tymi głupimi tekstami i zostaw mnie W SPOKOJU!

Zamachnęła się lewą ręką, nie myśląc o tym, jak zaboli uderzenie w marmurowy posąg... i okazało się, że wcale nie bolało. Jakby uderzyła taranem w coś gąbczastego i zmurszałego. Przez ułamek sekundy dostrzegła zmianę wyrazu kamiennej twarzy — na której zdumienie zastąpiło lubieżny uśmiech — a potem szyderczo skrzywione oblicze rozleciało się na sto białych kawałków. Ciężkie dłonie puściły jej rękę, lecz pozostał jeszcze Norman, który prawie ją dopadł, szarżując z opuszczoną głową i wyciągniętymi rękami, głośno sapiąc przez otwór maski.

Rosie odwróciła się czując, jak jego rozpostarte palce muskają ramięczko jej *zat*, i pobięła.

Zaczął się wyścig.

6

Biegła tak jak wtedy, gdy była dziewczynką, zanim jej praktyczna, rozsądna matka podjęła zbożny trud nauczania Rosie Alicii McClendon tego, co przystoi damie, a co nie (bieganie zdecydowanie nie, szczególnie że była w takim wieku, iż kołysały się przy tym piersi, zdecydowanie nie). Innymi słowy, gnała ile sił w nogach, ze spuszczoną głową, miarowo wymachując rękami. Za plecami czuła Normana, najpierw tuż-tuż, później zostającego w tyle, początkowo o kilkadziesiąt centymetrów, potem o kilka metrów. Nawet wtedy gdy pozostał w tyle, słyszała, jak sapie i dyszy, dokładnie tak samo jak byk Erinyes w labiryncie. Zdawała sobie sprawę z tego, że sama cicho sapie, a warkocz podskakuje jej miarowo na plecach. Poczula szalone uniesienie i krew mocno uderzyła jej do głowy, która — zdawało się — miała lada chwila pęknąć w ostatecznej ekstazie. Zerknęła w górę i zobaczyła, że księżyc pędzi wraz z nią, gna przez usiane gwiazdami niebo nad konarami martwych drzew, sterczącymi jak dłonie pogrzebanych żywcem olbrzymów, którzy umarli usiłując odkopać się. W pewnej chwili, kiedy Norman warknął, żeby przestała uciekać i być taką cipą, po prostu się roześmiała. On myśli, że to zabawa — pomyślała.

Potem minęła zakręt ścieżki i ujrzała powalone piorunem drzewo tarasujące ścieżkę. Nie

było czasu, aby je ominąć, a gdyby próbowała stanąć, nadziałyby się na uschnięte, sterczące konary. A gdyby nawet uniknęła tego, pozostawał Norman. Wyprzedzała go trochę, lecz jeśli zatrzymałaby się choć na moment, dopadłby ją jak pies królika.

Wszystko to w mgnieniu oka przemknęło jej przez myśl. Potem krzyżąc — może ze strachu, może wyzywająco, a pewnie z obu powodów — skoczyła, wyciągając ręce jak Supergirl, przeleciała nad drzewem i wylądowała po drugiej stronie. Wykonała przewrót w przód, lekko oszołomiona zerwała się na równe nogi i zobaczyła Normana gapiącego się na nią zza leżącego pnia. Zaciskał dłonie na osmalonych kikutach dwóch konarów i ciężko dyszał. Dmuchał wietrzyk, przynosząc od niego jeszcze jakiś zapach, oprócz potu i wody English Leather.

— Znów zacząłeś palić, prawda? — zapytała.

Oczy pod gumowymi rogamami spojrzały na nią nie rozumiejącym spojrzeniem. Dolna połowa maski drżała spazmatycznie, jakby schowany za nią człowiek próbował się uśmiechnąć.

— Rose — powiedział byk. — Skończ z tym.

— Nie jestem Rose — zaśmiała się wzgardliwie, jakby naprawdę był najgłupszym z żyjących stworzeń: *el toro dumbó*. — Jestem Rosie. *Rosie Real*. Lecz ty już nie jesteś realny, Normanie... prawda? Nawet dla siebie. To już jednak nie ma znaczenia, nie dla mnie, ponieważ rozwodzę się z tobą.

Potem odwróciła się i uciekła.

7

Już nie jesteś realny — myślał, idąc obok korony drzewa, gdzie było mnóstwo miejsca, żeby je obejść. Rose zniknęła po drugiej stronie pnia, biegnąc ile sił, ale Norman, wyszedłszy z powrotem na ścieżkę, ruszył lekkim truchtem. Nie musiał biec szybciej. Ten wewnętrzny głos, który nigdy go nie opuszczał, powiedział mu, że ścieżka kończy się niebawem, niedaleko. To powinno go ucieszyć, ale wciąż słyszał to, co powiedziała mu, zanim ostatni raz mignęła swoim białym tyłeczkiem.

„Jestem Rosie Real, ale ty już nie jesteś realny, nawet dla siebie... rozwodzę się z tobą”.

No cóż — pomyślał — przynajmniej to ostatnie jest prawdą.

Będzie rozwód, ale na moich warunkach, Rose.

Truchtał jeszcze chwilę, a potem stanął, ocierając czoło przedramieniem, nie dziwiąc się, kiedy poczuł na nim pot, a nawet nie zastanawiając się jak to możliwe, skoro ma na głowie maskę.

— Lepiej wróć, Rose! — zawołał. — To ostatnia szansa!

— Chodź tu i złap mnie! — odkrzyknęła i jej głos brzmiał teraz jakby inaczej, chociaż nie potrafił określić, na czym polega różnica. — Chodź tu i złap mnie, Normanie, to niedaleko.

Nie, pewnie, że nie. Ścigał ją przez prawie pół kraju, a potem pogonił za nią do innego świata albo do snu, czymkolwiek było to cholerstwo, ale teraz nie miała już dokąd uciec.

— Nie masz już dokąd uciekać, kochaneczko — rzekł Norman i ruszył w kierunku jej głosu, a idąc zaciskał pięści.

8

Wybiegła na owalną polankę i ujrzała siebie, klęczącą pod jedynym zielonym drzewem, z pochyloną głową i zgarbionymi plecami, jakby pogrążoną w modlitwie lub głębokich

medytacjach.

Nie ja — pomyślała nerwowo Rosie. — To nie ja.

A jednak to mogła być ona. Odwrócona plecami kobieta, klęcząca u stóp „drzewa granatu”, mogła być jej bliźniaczką. Była tego samego wzrostu, tej samej budowy ciała, miała takie same długie nogi i szerokie biodra. Nosiła taki sam jaskraworóżowy chiton, który czarna kobieta nazywała *zat*, a włosy opadały jej przez środek pleców aż do pasa, zaplecione w blond warkocz identyczny z warkoczem Rosie. Jedyna różnica polegała na tym, że kobieta miała obie ręce gołe, podczas gdy Rosie nosiła bransoletkę. Ale Norman prawdopodobnie nie zauważyłby tej różnicy. Nigdy nie widział u Rosie takiej ozdoby i wątpiła, żeby dostrzegł ją teraz, nie w jego obecnym stanie. Potem zobaczyła coś, co mógłby zauważyć: czarne smugi na karku i ramionach Rose Madder. Roiły się tam jak stado wygłodniałych cieni.

Rosie stanęła, patrząc na kobietę klęczącą przed drzewem oblanym księżycowym blaskiem.

— Jestem — powiedziała niepewnie.

— Tak, Rosie — odparła tamta swym słodkim, pożądlivym głosem. — Jesteś, ale to jeszcze nie wszystko. Chcę, żebyś zeszła tam. — Wskazała szerokie białe schody opadające pod płytę z napisem LABIRYNT. — Niedaleko, tuzin stopni powinien wystarczyć, jeśli położysz się na kamieniach. Chodzi o to, żeby zasłoniły ci widok. Lepiej, byś tego nie widziała... chociaż możesz patrzeć, jeśli zechcesz.

Roześmiała się. W tym śmiechu pobrzmiwało autentyczne rozbawienie i to — pomyślała Rosie — czyniło go tak okropnym.

— W każdym razie — ciągnęła kobieta — może byłoby dobrze, gdybyś usłyszała naszą rozmowę. Tak, sądzę, że to byłoby bardzo dobrze.

— On zauważy, że nie jesteś mną, nawet w świetle księżyca.

Rose Madder znów się zaśmiała. Ten dźwięk sprawił, że Rosie przebiegł dreszcz po plecach.

— Dlaczego miałby zauważyć, mała Rosie?

— Ty masz... no... znamiona. Widzę je nawet w tym słabym świetle.

— Tak, ty je widzisz — odparła ze śmiechem Rose Madder. — Ty tak, ale on nie. Czy zapomniałaś, że Erinyes jest ślepy?

Rosie zamierzała powiedzieć: Myli się pani, mówimy o moim mężu, a nie o byku w labiryncie. Potem przypomniała sobie maskę na głowie Normana i nie odezwała się.

— Idź, szybko — poleciała Rose Madder. — Słyszę, jak nadchodzi. Zejdź na dół, mała Rosie... i nie przechodź za blisko mnie. — Urwała, a potem dodała swoim strasznym, wyrachowanym głosem: — To niebezpieczne.

9

Norman truchtał ścieżką nasłuchując. Przez chwilę czy dwie zdawało mu się, że słyszy Rose rozmawiającą z kimś, ale zapewne tylko to sobie wyobraził. W każdym razie nie miało to żadnego znaczenia. Jeśli ktoś z nią będzie, zginie również. Gdyby miał szczęście, mogłaby to być Brudna Gertie — może ta przerośnięta lesbo-ciężarówka także znalazła się w tym śnie — i Norman z przyjemnością wpakowałby kulę z czterdziestkapiątki w jej tłusty lewy cyc.

Na myśl o strzelaniu do Gertie prawie poderwał się do biegu. Był teraz tak blisko, że chyba nawet czuł Rosie — przedziwnie wymieszane zapachy mydła Dove i szamponu Silk. Minął jeszcze jeden zakręt.

Nadchodzę, Rose — pomyślał. — Nigdzie nie umkniesz, nigdzie się nie skryjesz. Nadchodzę, by zabrać cię do domu, moja droga.

Na schodach wiodących do labiryntu było chłodno i Rosie poczuła zapach, jakiego nie wyczuła poprzednim razem: wilgotną woń stęchlizny. Mieszał się z nią smród odchodów, zgnilizny i dzikiego zwierzęcia. Ta niepokojąca myśl (czy byki potrafią wchodzić na schody?) znów przysła jej do głowy, lecz teraz nie budziła niepokoju. Erinyesa nie było już w labiryncie, chyba że labiryntem był cały ten świat — świat obrazu.

Właśnie tak — odezwał się spokojnie ten obcy głos, nie całkiem należący do Praktycznie—Rozsądnej. — Ten świat, wszystkie światy. A w każdym wiele byków. W tych mitach drzemie prawda, Rosie. To ich siła. Dlatego przetrwały.

Położyła się na stopniach, zdyszana, z mocno bijącym sercem. Była przerażona, lecz czuła również jakąś złośliwą ciekawość i zrozumiała, co to takiego: kolejna maska kryjąca jej nienawiść.

Zacisnęła dłonie w pięści.

Zrób to — pomyślała. — Zrób to, zabij drania, uwolnij mnie od niego. Chcę słyszeć, jak umiera.

Rosie, przecież ty tak nie myślisz! — To odezwała się Prak — tycznie — Rozsądna, z wyraźnym przerażeniem i niesmakiem. — Powiedz, że tak nie myślisz!

A jednak nie mogła tego rzec, gdyż część jej umysłu tak właśnie myślała.

Z całą pewnością.

Ścieżka, którą szedł, wychodziła na okrągłą polankę i tam ją znalazł. Nareszcie. Jego dzika Róża. Klęcząc plecami do niego, w tej krótkiej czerwonej sukni (był prawie pewny, że była czerwona), ze splecionymi w warkoczyk włosami utlenionymi na kurwi blond. Przystanął na skraju polanki, patrząc na nią. To była Rosie, na pewno, bez wątplenia, jednak jakoś zmieniona. Na przykład miała mniejszy tyłek, ale nie w tym rzecz. Zmieniło się jej zachowanie. A co to oznaczało? Oczywiście, że czas na drobne korekty planu.

— Po co ufarbowałaś sobie te twoje cholerne włosy? — zapytał. — Wyglądasz jak pierdolona dziwa!

— Nic nie rozumiesz — odparła chłodno Rose, nie odwracając głowy. — Farbowałam je przedtem. Zawsze byłam blondynką, Normanie. Farbowałam je, żeby cię zmylić.

Zrobił dwa wielkie kroki po polance, czując narastającą wściekłość, jak zawsze kiedy nie zgadzała się z nim lub zaprzeczała jego słowom, jak zawsze gdy robił to ktokolwiek. A to, co mówiła mu teraz... to, co mu powiedziała...

— Nie, kurwa! — krzyknął.

— Tak, kurwa — odparła, popierając to zdumiewająco bezczelne stwierdzenie pogardliwym śmiechem.

A jednak nie odwróciła się.

Norman zrobił kolejne dwa kroki w jej kierunku, a potem znów przystanął. Opuścił wielkie pięści. Przypomniał sobie wcześniejsze szeptki i rozejrzał się po polanie. Szukał Gert, a może tego małego popaprańca, gotowego wygarnąć do niego z zasadzki albo wałnąć go kamieniem. Nie dojrzał nikogo, co prawdopodobnie oznaczało, że mówiła do siebie, w domu robiła to przez cały czas. Chyba że ktoś czaił się za tym drzewem. Wydawało się tutaj jedyną żywą rośliną, o długich, zielonych i wąskich liściach, błyszczących jak świeżo rozcięty owoc awokado. Jego konary uginały się pod ciężarem jakichś niesamowitych owoców, których Norman nie tknąłby nawet w bułce z dżemem i masłem orzechowym. Wokół Rose leżała

gruba warstwa spadów, a zalatujący od nich zapach przypomniawszy Normanowi wodę w strumieniu. Od pachnących tak owoców można umrzeć albo rozchorować się tak strasznie, że traci się chęć do życia.

Na lewo od drzewa wznosiło się coś, co potwierdziło jego podejrzenia, że to wszystko sen. Wyglądało jak jakieś cholerne wejście do nowojorskiego metra, obłożone marmurem. Do licha z tym i do licha z tym drzewem i jego owocami cuchnącymi moczem. Ważne, że jest tu Rose, Rose ze swoim śmieszkiem. Domyślał się, że nauczyły ją tego te jej nowe, wachające kokę przyjaciółki, ale to nie ma znaczenia. Przyszedł tutaj, żeby nauczyć ją czegoś, co jest ważne: a mianowicie tego, że śmiejąc się w ten sposób, można oberwać. Zamierzał zrobić to w tym śnie, jeżeli nawet nie mógł dokonać tego w rzeczywistości; zrobi to, choćby teraz leżał na podłodze jej pokoju, podziurawiony policyjnymi kulami, mając w agonii.

— Wstań. — Zrobił kolejny krok w jej kierunku i wyciągnął broń z pasa dzinsów. — Musimy porozmawiać o paru sprawach.

— Tak, z pewnością masz rację — odparła, lecz nie odwróciła się i nie wstała. Klęczała w świetle księżyca, rzucającego pasiasty cień na jej plecy.

— Rób, co mówię, do cholery!

Zrobił jeszcze jeden krok. Paznokcie dłoni nie trzymającej rewolweru wbijały się w ciało jak rozżarzone do białości skrawki metalu. A ona nie odwracała się. I nie wstała.

— Erinyes z labiryntu! — powiedziała swoim łagodnym, melodyjnym głosem. — *Ecce taurus!* Strzeż się byka!

W dalszym ciągu nie podniosła się z ziemi i nie obróciła twarzą do Normana.

— Nie jestem bykiem, ty cipo! — wrzasnął i szarpnął maskę końcami palców. Nie zsunął jej. Już nie wydawała się przyklejona do jego twarzy; zdawała się jej częścią.

Jak to możliwe? — dziwił się. — Jak to w ogóle możliwe? Przecież to zwykła dziecinna zabawka wygrana w wesołym miasteczku!

Nie znalazł odpowiedzi na to pytanie, lecz maska nie schodziła, obojętnie jak mocno ją szarpał. Miał mdłące przeczucie, że jeśli wbije w nią paznokcie, poczuje ból. Będzie krwawił. Rzeczywiście pozostał teraz tylko jeden otwór na oczy, który przesunął się na sam środek twarzy. Świat wokół pociemniał; uprzednio jasny blask księżyca stał się zamglony.

— Zdejmij ją ze mnie! — ryknął. — Zdejmij ją ze mnie, ty suko! Możesz to zrobić, prawda? Wiem, że możesz! Przestań ze mnie drwić, do kurwy nędzy! NIE WAŻ SIĘ drwić ze mnie!

Chwiejnie przeszedł odległość dzielącą go od klęczącej postaci i złapał Rose za ramię. Ramięczko togi uniosło się i to, co ujrzał pod nim, sprawiło, że wydał zduszony jęk przerażenia. Jej skóra była czarna i sparciała jak owoce gnijące na ziemi wokół drzewa — te, które rozłożyły się tak bardzo, że stały się półpłynne.

— Byk wyszedł z labiryntu — rzekła Rose i zerwała się na równe nogi ze zwinną gracją, o jaką nigdy by jej nie podejrzewał. — Zatem teraz Erinyes może umrzeć. Tak napisano i tak się stanie.

— Jeżeli mowa o umieraniu, to... — zaczął i nie dokończył. Odwróciła się, a kiedy padło na nią blade światło księżyca, Norman wrzasnął. Bezwiednie wystrzelił dwa razy z czterdziestkopiątki w ziemię między swoimi stopami, a potem upuścił broń. Złapał się rękami za głowę i wrzeszczał, cofając się, chwiejnie stawiając nogi, które odmawiały mu posłuszeństwa. Odpowiedziała na jego krzyk swoim okrzykiem.

Pleśń pokrywała wzgórki jej piersi; szyja była purpurowo-czarna, jak u ofiary dusiciela. Skóra popękała w wielu miejscach, z których sączyły się gęste łyzy żółtej mazi. A jednak to nie te oznaki daleko posuniętej i najwyraźniej śmiertelnej choroby wydarły krzyk z jego gardła i szeroko rozwartych ust; nie one rozbiły cienką skorupkę jego szaleństwa, wpuszczając jeszcze straszliwszą rzeczywistość, jak nieubłagany blask obcego słońca.

Sprawiła to jej twarz.

To był pysk nietoperza z płonącymi, oszalałymi ślepiami wściekłego lisa; to była twarz nieziemsko pięknej bogini z ilustracji ukrytej w jakiejś starej i zakurzonej księdze, jak rzadki kwiat między kartkami zielnika; to była twarz jego Rose, niemal pospolita, gdyby nie nadzieja w jej oczach i nieznaczne, psotne wygięcie ust, kiedy spała. Jak lilie na niebezpiecznej wodzie, te rysy zafalowały na zwróconej ku niemu twarzy, a potem zniknęły i Norman zobaczył, co kryło się pod spodem. Ujrzał gębę pająka, zdradzającą głód i nieludzką inteligencję. Otwarta paszcza ukazywała odrażającą czarną jamę pełną jedwabistych czułek z mocno przyklejonymi do nich setkami owadów i chrząszczy, żywymi i zdychającymi. Ślepia były wielkimi krwawiącymi kulami jaskraworóżowej barwy, pulsującymi w oczodołach jak dwa błotne gejzery.

— Podejź jeszcze bliżej, Normanie — szepnął doń pająk w blasku księżyca. Zanim Norman postradał resztę zmysłów, zobaczył, że ta pełna owadów, wypchana czułkami gęba krzywi się w uśmiechu.

Kolejne ręce zaczęły wychodzić przez rozcięcia togi, a także spod jej skraju, tyle że to nie były ręce, wcale nie. Wrzeszczał, wrzeszczał i wrzeszczał; tym wrzaskiem błagał o niepamięć, o zapomnienie, byle już nie widzieć i nie wiedzieć — lecz zapomnienie nie nadchodziło.

— Podejź bliżej — wabiło go to coś, wyciągając nieręce, rozdziawiając paszczę. — Chcę z tobą porozmawiać.

Na końcu tych czarnych nierąk były pazury pokryte brudną szczecina. Te pazury wczepiły się w jego przeguby, nogi, w nabrzmiały członek pulsujący między jego nogami. Jeden miłośnie wcisnął mu się do ust; szczecina zachrobotała o zęby i podniebienie. Złapał go za język, wyrwał go i triumfalnie pomachał nim przed jego jedynym, wybałuszonym okiem.

— Chcę porozmawiać z tobą i chcę to... zrobić... TERAZ!

Resztkami sił próbował wyrwać się, lecz nie zdołał i wpadł w gorące objęcia Rose Madder. I w tych objęciach Norman dowiedział się, jak to jest być gryzionym, a nie gryzącym.

12

Rosie leżała na schodach, z zamkniętymi oczami i zaciśniętymi pięściami, słuchając jego wrzasków. Usiłowała nie wyobrażać sobie, co tam się dzieje, lecz starała się pamiętać, że to krzyczy Norman, Norman od straszego ołówka, Norman od rakiety tenisowej, Norman od zębów.

A jednak zapomniała o wszystkim, słysząc te okropne wrzaski, krzyki bólu, gdy Rose Madder...

...gdy robiła to, co mu robiła.

Po pewnym czasie — długim, długim czasie — krzyki ustały.

Rosie leżała na kamiennych stopniach, powoli rozluźniając pięści, lecz ciągle zaciskając powieki, spazmatycznie łapiąc oddech. Mogłaby tak leżeć godzinami, gdyby nie wezwał jej słodki, szalony głos kobiety.

— Wyjź już, mała Rosie! Wyjź i raduj się! Nie ma już byka!

Rosie powoli uklękła, a potem stanęła na odrętwiątych i drewnianych nogach. Pokonała schody i wyszła na polankę. Nie chciała patrzeć, lecz oczy nie słuchały jej, jakby żyły własnym życiem, spojrzwały na polankę i serce stanęło jej w gardle.

Wydała długie, ciche westchnienie ulgi. Rose Madder klęczała, odwrócona plecami. Przed nią leżał jakiś ciemny węzełek, wyglądający jak sterta szmat. Nagle, w smudze księżycowego blasku, jakiś biały przedmiot w kształcie rozgwiazdy wysunął się z cienia. To była dłoń i wtedy Rosie ujrzała resztę, jak kobieta dostrzegająca nagle sens i logikę w atramentowej plamie testu Rorschacha. To był Norman. Pokaleczony i wybałuszający oczy pełne

potwornego przerażenia, ale to był on.

Rose Madder wyciągnęła rękę i zerwała z drzewa jeden nisko wiszący owoc. Ścisnęła go w dłoni — bardzo ludzkiej i całkiem ładnej, gdyby nie czarne, ruchliwe plamy przepływające pod skórą — tak że najpierw z jej pięści popłynął strumień jaskraworóżowego soku, a potem sam owoc pękł, ukazując mokry, ciemnoczerwony środek. Wyjęła z papki tuzin czy więcej nasion i zaczęła wtykać je w poszarpane ciało Normana Danielsa. Ostatnie wepchnęła mu w wytrzeszczone oko. Rozległo się przy tym ciche plaśnięcie — jakby ktoś nadepnął na dojrzałe winogrono.

— Co robisz? — zapytała mimo woli Rosie. Ledwie powstrzymała się, by nie dodać: Nie odwracaj się, możesz mi to powiedzieć, nie odwracając się!

— Obsiewam go.

Później zrobiła coś, na widok czego Rosie poczuła się jak w atmosferze z powieści Richarda Racine'a: pochyliła się i pocałowała trupa w usta, a potem wzięła go na ręce i skierowała się ku białym marmurowym schodom wiodącym pod ziemię.

Rosie odwróciła głowę; serce podeszło jej do gardła.

— Słodkich snów, ty skurwielu — powiedziała Rose Madder i cisnęła ciało Normana w ciemność pod wykutym w kamieniu słowem LABIRYNT.

Być może zasadzone nasiona ukorzenia się i urosną w tym miejscu.

13

— Wróc tą samą drogą, którą przyszedłaś — rzekła Rose Madder. Nie odeszła od schodów. Rosie stała tyłem do niej, na drugim końcu polany, u wylotu ścieżki. Nie chciała ryzykować nawet przelotnego spojrzenia na twarz Rose Madder, a przekonała się, że nie może całkowicie zaufać swoim oczom. — Idź tam, skąd przyszedłaś, znajdź Dorcas i twojego mężczyznę. Ona ma coś dla ciebie, a ja chciałabym jeszcze z tobą porozmawiać... ale tylko chwilę. Potem nasz czas dobiegnie końca. Myślę, że poczujesz ulgę.

— Nie ma go, prawda? — zapytała Rosie, nie odrywając oczu od oblanej księżycowym blaskiem ścieżki. — Naprawdę nie ma.

— Sądzę, że zobaczysz go w snach — odparła niedbale Rose Madder — ale co z tego? Istotne jest to, że złe sny są o wiele lepsze od złych przebudzeń.

— Tak. To takie proste, że większość ludzi o tym zapomina.

— Teraz idź. Przyjdę do ciebie. I jeszcze jedno.

— Co?

— Pamiętaj o drzewie.

— O drzewie? Nie ro...

— Wiem, że nie. Zrozumiesz z czasem. Pamiętaj o drzewie. Teraz idź.

Rosie poszła. I nie odwróciła się.

X ROSIE REAL

1

Na wąskiej ścieżce za świątynią nie było już Billa i czarnej kobiety — która miała na imię Dorcas, a nie Wendy. Zniknęło również ubranie Rosie. To jej nie zaniepokoiło. Pobiegła za róg budynku, spojrzała na szczyt wzgórza, zobaczyła ich stojących obok bryczki i ruszyła ku nim.

Bill wyszedł jej naprzeciw; na jego bladej, udreżonej twarzy malowała się troska.

— Rosie? Wszystko w porządku?

— Najlepszym — powiedziała i wtuliła twarz w jego pierś. Kiedy objął ją ramionami, pomyślała o tym, czy ludzie doceniają znaczenie uścisku, który jest tak cudowną rzeczą, że chciałoby się trwać w nim godzinami. Podejrzewała, że niektórzy zapewne cenią go sobie, ale wątpiła, czy byli w większości. Może trzeba najpierw strasznie za nim tęsknić, aby zrozumieć znaczenie uścisku.

Razem podeszli tam, gdzie stała Dorcas, głaszcząc pasiasty nos kucyka. Ten uniósł łeb i sennie spojrzął na Rosie.

— Gdzie jest... — zaczęła Rosie i urwała. O mało nie powiedziała Caroline. Gdzie jest Caroline? — Gdzie jest dziecko? — I dodała śmiejąc: — Nasze dziecko?

Dorcas uśmiechnęła się.

— Bezpieczne. W bezpiecznym miejscu, proszę się nie obawiać, panno Rosie. Rzeczy panienki są z tyłu. Proszę przebrać się, jeśli panienka chce. Założę się, że chętnie zdejmie panienka to, co ma teraz na sobie.

— Wygrałabyś ten zakład — odparła Rosie i obeszła bryczkę. Poczła niewypowiedzianą ulgę, zdjawszy z siebie *zat*. Zapinając dzinsy, przypomniała sobie coś, co powiedziała jej Rose Madder. — Twoja pani mówiła, że masz coś dla mnie.

— Och! — przejęła się Dorcas. — Ojej! Jeśli dalej będę tak o wszystkim zapominać, obedrze mnie ze skóry!

Rosie podniosła bluzkę, a kiedy włożyła ją przez głowę, Dorcas podała jej coś. Rosie wzięła to i obejrzała z zaciekawieniem, obracając na boki. To była piękna ceramiczna buteleczka, niewiele większa od zakraplacza do oczu. Zamykał ją maleńki kawałeczek korka.

Dorcas obejrzała się i z zadowoleniem stwierdziła, że Bill stoi nieco dalej, spoglądając w zadumie na ruiny świątyni u stóp wzgórza. Odwróciła się więc do Rosie i powiedziała cicho, lecz z naciskiem:

— Jedna kropla. Jemu. Potem.

Rosie skinęła głową, jakby dobrze wiedziała, o czym mówi Dorcas. Tak było prościej. Nasuwały się pytania, które mogła zadać, może nawet powinna zadać, lecz była zbyt zmęczona, żeby je sformułować.

— Dałabym ci mniej, ale później może potrzebować jeszcze jednej kropli. Tylko uważaj. To niebezpieczny środek!

Jakby coś na tym świecie było bezpieczne — pomyślała Rosie.

— Teraz schowaj to — rzekła Dorcas i patrzyła, jak Rosie wetknęła maleńką buteleczkę do kieszeni dzinsów. — I pamiętaj, żeby mu o tym nie mówić.

Ruchem głowy wskazała Billa, a potem znów spojrzała na Rosie. Czarna twarz Dorcas była zacięta i ponura, a oczy wydawały się pozbawione powiek, jak oczy greckiego posągu.

— Wiesz dlaczego, prawda?

— Tak — odparła Rosie. — To kobiece sprawy.

Dorcas skinęła głową.

— Właśnie tak.

— Kobięce sprawy — powtórzyła Rosie i w myślach usłyszała głos Rose Madder: „Pamiętaj o drzewie”.

Zamknęła oczy.

2

We troje siedzieli przez jakiś czas na szczycie wzgórza, Bill i Rosie obok siebie, objęci, a Dorcas trochę z boku, bliżej kucyka sennie skubiącego trawę. Konik raz po raz spoglądał na czarną kobietę, jakby dziwił się, dlaczego tyle osób nie śpi o tak późnej porze, ale Dorcas nie zwracała na niego uwagi, tylko czekała, obejmując rękami kolana i patrząc z rozmarzeniem na znikający księżyc. Rosie widziała w niej kobietę podsumowującą w myślach słuszne decyzje swego życia i dochodzącą do wniosku, że złe przeważały nad dobrymi... i to znacznie. Kilkakrotnie Bill otworzył usta, żeby coś powiedzieć, i chociaż Rosie zachęcała go spojrzeniem, za każdym razem zamykał je bez słowa.

Kiedy księżyc chował się już wśród drzew na lewo od zrujnowanej świątyni, kucyk znowu uniósł łeb i tym razem wydał ciche, zadowolone rzenie. Rosie spojrzała na zbocze i zobaczyła nadchodzącą Rose Madder. Silne, zgrabne uda migwały w bladym świetle gasnącego księżyca. Warkocz kołysał się na plecach jak wahadło starego zegara.

Dorcas mruknęła coś z zadowoleniem i wstała. Rosie czuła radość zmieszaną z obawą. Położyła rękę na ramieniu Billa i spojrzała mu prosto w oczy.

— Nie patrz na nią — ostrzegła go.

— Właśnie — poparła ją Dorcas. — I nie zadawaj jej żadnych pytań, jeśli nawet ci na to pozwoli.

Spojrzał niepewnie na Dorcas i Rosie, a potem znów na Dorcas.

— Dlaczego? Kim ona jest? Królową Majów?

— Królową wszystkiego, czego zechce — odrzekła Dorcas — i lepiej o tym pamiętaj. Nie patrz na nią i nie rób nic, co mogłoby ją rozzłościć. Nie powiem więcej; nie ma na to czasu. Połóż ręce na podołku, człowieku, i patrz na nie. Nie odrywaj od nich oczu.

— A jednak...

— Jeśli na nią spojrzysz, oszalejesz — przerwała mu bez ogródek Rosie. Zerknęła na Dorcas, która skinęła głową.

— To sen, prawda? — spytał Bill. — Chcę powiedzieć... Ja nie umarłem, prawda? Bo jeśli to jest życie po śmierci, to wolałbym z niego zrezygnować. — Spojrzał na zbliżającą się kobietę i zadrżał. — Zbyt hałaśliwe. Za dużo krzyków.

— To sen — przytaknęła Rosie. Rose Madder była już bardzo blisko, smukła wyprostowana postać krocząca przez płataninę światła i cienia. Ten ostatni zmienił jej twarz w pysk kota... a może lisa. — To sen, w którym musisz robić dokładnie to, co ci mówimy.

— Rosie i Dorcas mówią zamiast Szymon Mówi.

— Tak. I Dorcas mówi, żebyś położył ręce na podołku i patrzył na nie, dopóki nie powiemy ci, że możesz przestać.

— Mogę? — zapytał, patrząc na nią spod oka w sposób zdradzający zmieszanie.

— Tak — odparła ze zniecierpliwieniem. — Tak, możesz, tylko na miłość boską, nie patrz na nią!

Splótł palce i posłusznie spuścił oczy.

Rosie słyszała już szmer zbliżających się kroków, jedwabisty szelest trawy ocierającej się o skórę. Również opuściła wzrok. Po chwili ujrzała przed sobą parę bosych, wysrebrzonych księżycem stóp. Zapadła długa cisza, przerywana tylko odległym nawoływaniem jakiegoś

cierpiącego na bezsenność ptaka. Rosie powiodła spojrzeniem w prawo i zobaczyła Billa siedzącego zupełnie nieruchomo obok i wpatrującego się w swoje splecione dłonie, z zapamiętaniem godnym adepta *Zen*, którego posadzono obok mistrza w czasie porannych medytacji.

W końcu, nieśmiało, nie podnosząc oczu, powiedziała:

— Dorcas dała mi to, co kazałaś. Mam to w kieszeni.

— Dobrze — odparł słodki, lekko ochrypyły głos. — To dobrze, *Rosie Real*. — W polu widzenia Rosie pojawiła się cętkowana dłoń, która upuściła jej coś na podolek. W słabym świetle księżyca błysnęło złoto. — To dla ciebie — rzekła Rosie Madder. — Na pamiątkę. Zrób z tym, co chcesz.

Rosie podniosła dar i spjrzała nań ze zdumieniem. Wryte na sygnecie słowa — Służba, Wierność, Społeczeństwo — tworzyły trójkąt wokół kamienia, którym był okrągły obsydian. Teraz plamiła go jedna szkarłatna skaza, zmieniająca kamień w złowrogię, czuwające oko.

Zapadła cisza, pełna wyczekiwania. Czy chce, żebym jej podziękowała? — zastanawiała się Rosie. Nie miała zamiaru... ale mogła wyrazić swoje uczucia.

— Cieszę się, że on nie żyje — powiedziała spokojnie i bez emfazy. — To dla mnie ulga.

— Oczywiście, że się cieszysz i dobrze, że tak jest. Teraz wrócisz do swojego świata, *Rosie Real*, razem z tym zwierzęciem. Sądzę, że to dobry okaz. — W jej głosie pojawił się ślad czegoś — Rosie nie wierzyła własnym uszom — co przypominało pożądanie. — Dobre pęciny. Dobra sylwetka. — Pauza. — Niezłe lędźwie. — Kolejna przerwa, a potem jedna cętkowana dłoń opadła i pogłaskała zmierzwiłone, spocone włosy Billa. Wciągnął powietrze, ale nie podniósł głowy. — Dobre zwierzę. Broń go, a i on cię obroni.

Wtedy Rosie spjrzała jej w twarz. Była przerażona tym, co może zobaczyć, lecz nie mogła się powstrzymać.

— Przestań nazywać go zwierzęciem — odezwała się drżącym z wściekłości głosem. — I zabierz od niego te paskudne ręce.

Zobaczyła, że Dorcas krzywi się ze zgrozy, ale dostrzegła to jedynie kątem oka. Całą uwagę skupiła na Rose Madder. Co właściwie spodziewała się ujrzeć? Teraz, patrząc na jej twarz w słabym blasku księżyca, nie potrafiła odpowiedzieć na to pytanie. Może Meduzę. Albo Gorgone. Stojąca przed nią kobieta nie była ani jedną, ani drugą. Niegdyś (nie tak dawno temu — pomyślała Rosie) jej twarz była niezwykle piękna, może nawet dorównująca urodą Helenie Trojańskiej. Teraz wydawała się wynędzniała i lekko pomarszczona. Jedna z tych ciemnych smug rozeszła się po jej lewym policzku, sięgając aż do czoła, jak ptasie skrzydło. Oko jarzące się w jej cieniu zdawało się wyrażać zarówno wściekłość, jak i melancholię. To nie tę twarz ujrzał Norman, tego Rosie była pewna, lecz wiedziała, że tamto oblicze kryje się tuż pod tym — jakby kobieta specjalnie dla niej włożyła maskę — albo zrobiła makijaż — i świadomość tego faktu mroziła ją i budziła wstręt. Pod tą urodą tkwiło szaleństwo... ale nie było to zwyczajne szaleństwo.

To wścieklizna — pomyślała Rosie — ta choroba ją zżera, tak że ledwie panuje już nad sobą, nad swoimi czarami i nad swoją mocą; niebawem zupełnie przestanie się kontrolować i jeśli teraz odwrócę wzrok, rzuci się na mnie i zrobi to, co zrobiła Normanowi. Może później będzie tego żałowała, ale co mi z tego, prawda?

Rose Madder ponownie wyciągnęła rękę i tym razem dotknęła Rosie — najpierw jej czoła, potem włosów, które po ciężkim dniu zaczęły wymykać się z warkocza.

— Jesteś odważna, Rosie. Dobrze walczyłaś o twoje... o twojego przyjaciela. Jesteś dzielna i masz dobre serce. Mogę dać ci jeszcze jedną radę, zanim odeślę cię z powrotem?

Uśmiechnęła się, może chciała być ujmująca, lecz na ten widok serce Rosie zatrzymało się na moment, a potem zaczęło walić jak młotem. Kiedy Rose Madder ściągnęła wargi, ukazując otwór, który wcale nie wyglądał jak usta, zupełnie przestała przypominać ludzką istotę. Jej usta były gębą pająka, przeznaczoną do pożerania owadów, które nie były jeszcze martwe,

lecz obezwładnione trucizną.

— Oczywiście — powiedziała Rosie zdreptałymi wargami. Cętkowana dłoń delikatnie pogładziła jej skroń. Pajęcze usta wykrzywił uśmiech. Rozbłysły oczy.

— Przestań tlenić włosy — szepnęła Rose Madder. — Nie urodziłaś się blondynką.

Ich oczy spotkały się i przywarły do siebie. Rosie odkryła, że nie może oderwać swego wzroku; był utkwiony w twarzy tamtej. Kątem oka widziała Billa, ponuro wpatrującego się w swoje dłonie. Czoło i policzki lśniły mu od potu.

To Rose Madder odwróciła wzrok.

— Dorcas?

— Tak, pani?

— Dziecko...?

— Jest gotowe, kiedy tylko zechcesz, pani.

— To dobrze — rzekła Rose Madder. — Chcę jak najszybciej je zobaczyć, więc czas ruszać w drogę. Na ciebie też czas, *Rosie Real*. Na ciebie i twojego mężczyznę. Widzisz, mogę go tak nazywać. Twój mężczyzna, twój człowiek. Lecz zanim odejdziesz...

Rose Madder wyciągnęła ramiona.

Powoli, jak zahipnotyzowana, Rosie wstała i poszła w jej objęcia. Ciemne smugi pod skórą Rose Madder były gorące i ruchliwe — Rosie zdawało się, że ocierają się o jej własną skórę. Poza nimi ciało Rose Madder było zimne jak głaz.

Rosie przestała się już bać.

Kobieta w chitonie pocałowała ją w policzek, wysoko nad szczęką i szepnęła:

— Kocham cię, mała Rosie. Żałuję, że nie spotkałyśmy się wcześniej, kiedy mogłabyś zobaczyć mnie w lepszym świetle, ale i tak całkiem nieźle nam poszło. To było dobre spotkanie. Tylko pamiętaj o drzewie.

— O jakim drzewie? — zapytała szybko Rosie. — Jakim drzewie?

Rose Madder kategorycznie potrząsnęła przecząco głową i cofnęła się, wypuszczając ją z objęć. Rosie ostatni raz spojrzała na tę niespokojną, dziwną twarz i znów pomyślała o lisicy i jej młodych.

— Jestem tobą? — szepnęła. — Powiedz mi prawdę, Rose Madder, czy ja jestem tobą?

Kobieta w chitonie uśmiechnęła się. To był przelotny uśmiech, lecz przez moment Rosie dostrzegła ukrytego za nim potwora i zadrzała.

— To nieistotne, mała Rosie. Jestem zbyt stara i chora, żeby roztrząsać takie sprawy. Filozofia to dziedzina zdrowych. A zresztą, jeśli będziesz pamiętać o drzewie, to nigdy nie będzie miało żadnego znaczenia.

— Nie rozumiem...

— Ciii! — przyłożyła palec do ust. — Odwróć się, Rosie. Odwróć się i nie patrz już na mnie. Zabawa skończona.

Rosie odwróciła się, położyła ręce na dłoniach Billa (wciąż trzymał je splecione, z mocno zaciśniętymi palcami) i pociągnęła go do siebie. I znów sztalugi zniknęły, a umocowany na nich obraz — ukazujący jej mieszkanie w borych, mało wyrazistych barwach nocy — urósł do ogromnych rozmiarów. I znowu wcale nie był obrazem, lecz oknem. Rosie ruszyła ku niemu, marząc tylko o tym, żeby przejść przez nie i na dobre zostawić za sobą tajemnice tego świata. Bill przytrzymał ją. Odwrócił się do Rose Madder i powiedział, nie pozwalając oczom spojrzeć wyżej niż na jej piersi:

— Dziękujemy, że nam pomogłaś.

— Podziękowania przyjęto — odparła spokojnie Rose Madder. — Odplacisz mi, dobrze ją traktując.

„Ja odplacam” — przypomniała sobie Rosie i znów zadrzała.

— Chodź — pociągnęła Billa za rękę. — Proszę, chodźmy już.

On jednak ociągał się jeszcze.

— Tak — oznajmił — będę ją dobrze traktował. Doskonale wiem, co zdarza się ludziom, którzy tego nie robią. Wiem chyba aż za dobrze.

— To taki śliczny mężczyzna — powiedziała w zadumie Rose Madder i nagle jej głos zmienił się, stał się wzburzony, a nawet szaleńczo podniecony. — Zabierz go stąd, póki możesz, *Rosie Real!* Póki jeszcze możesz!

— Idźcie! — krzyknęła Dorcas. — Wynoście się stąd natychmiast!

— Tylko najpierw oddaj mi to, co jest moje! — wrzasnęła Rose Madder. Jej głos był piskliwy i nieludzki. — Oddaj mi to, ty suko!

Coś — nie ręka, to było zbyt cienkie i szczeciniaste jak na rękę — śmignęło w blasku księżyca i przesunęło się po dygoczącym przedramieniu Rosie McClendon.

Rosie krzyknęła, zsunęła złotą bransoletkę i rzuciła ją pod nogi wijącej się postaci. Widziała, jak Dorcas obejmuje tamtą ramionami, usiłując powstrzymać. Nie czekała dłużej. Chwyciła Billa za rękę i wciągnęła go przez okno, przypominając w tym momencie rozgniewaną nauczycielkę wlokącą niesfornego ucznia do gabinetu dyrektora.

3

Nie potknęła się, lecz i tak raczej wypadła, niż wyszła z obrazu. Bill również. Wylądowali obok siebie na podłodze garderoby, w długiej, trapezoidalnej plamie światła. Bill uderzył głową o drzwi, dość mocno, by zabołało, sądząc po dźwięku, ale nie zwrócił na to uwagi.

— To nie był sen — powiedział. — Jezu, byliśmy w obrazie! W tym, który kupiłeś w dniu, kiedy cię poznałem!

— Nie — odparła spokojnie. — Wcale nie. Otaczający ich księżycowy blask zaczął jednocześnie jaśnieć i kurczyć się. Plama światła straciła swój prostokątny kształt i stała się owalna. Jakby zamykała się za ich plecami irysowa przegroda. Rosie miała ochotę odwrócić się i sprawdzić, co się dzieje, ale powściągnęła tę chęć. A kiedy Bill zaczął obracać głowę, delikatnie objęła ją dłońmi i nie pozwoliła mu na to.

— Nie — sprzeciwiła się. — Co ci z tego przyjdzie? Cokolwiek się stało, już po wszystkim.

— A jednak...

Światło zmniejszyło się do oślepiająco jasnej plamy wokół nich i Rosie przemknęła przez głowę szalona myśl, że gdyby Bill wziął ją w ramiona i zaczął tańczyć z nią po pokoju, ta plama poruszałaby się wraz z nimi.

— Nieważne — przerwała mu. — To wszystko nie ma znaczenia. Daj temu spokój.

— A gdzie jest Norman, Rosie?

— Przepadł — oznajmiła, a potem dodała niemal żartobliwie: — Tak samo jak mój sweter i kurtka, którą mi pożyczyłeś. Sweter to drobiazg, ale przykro mi z powodu kurtki.

— Eee — rzekł z odruchową beztróską — nie przejmujemy się drobiazgami.

Plama skurczyła się do wściekle gorejącego punkcika, potem do główki szpilki, a potem zniknęła, jeszcze przez chwilę pozostawiając swój obraz odbity w siatkówce oczu. Rosie spojrzała w głąb garderoby. Obraz był dokładnie tam, gdzie postawiła go po pierwszej wycieczce do tamtego świata, tyle że znów zmienił się. Teraz ukazywał tylko szczyt wzgórza i świątynię w dole, w ostatnich promieniach gasnącego księżyca. Bezruch tej sceny — brak jakiegokolwiek ludzkiej postaci — sprawił, że obraz wydał się Rosie bardziej klasyczny niż kiedykolwiek.

— Chryste — rzekł Bill. Masował sobie opuchniętą szyję. — Co się stało, Rosie? Po prostu nie rozumiem, co się stało.

Nie mogło upłynąć wiele czasu; na korytarzu jeszcze wrzeszczał lokator postrzelony przez Normana.

— Powiniennem pójść i sprawdzić, czy nie mógłbym mu pomóc — stwierdził Bill, gramoląc się na nogi. — Wezwiesz karetkę? I policję?

— Tak. Sądzę, że jedni i drudzy są już w drodze, ale zatelefonuję do nich.

Podszedł do drzwi, a potem spojrzął na nią niepewnie, wciąż masując sobie gardło.

— Co powiesz policji, Rosie? Myślała chwilę, a potem uśmiechnęła się.

— Nie mam pojęcia... pewnie coś wymyślę. Wymyślanie historyjek na oczekaniu to ostatnio moja silna strona. No, idź już. Zrób, co do ciebie należy.

— Kocham cię, Rosie. To jedyne, co wiem teraz na pewno. Wyszedł, zanim zdążyła odpowiedzieć. Poszła za nim, ale zrobiwszy krok czy dwa, przystanąła. W korytarzu dostrzegła słabe, chybotliwe światło, niewątpliwie rzucane przez świecę. Ktoś powiedział:

— A niech to! Czy ktoś go postrzelił?

Cicha odpowiedź Billa utonąła w kolejnym wrzasku rannego mężczyzny. Rannego, ale prawdopodobnie niezbyt ciężko. Świadczył o tym donośny krzyk, jaki wydobywał się z jego gardła.

Jesteś cyniczna — powiedziała do siebie, podnosząc słuchawkę nowego telefonu i wystukując 911. Możliwe. A może była po prostu realistką. Podejrzewała, że zaczęła patrzeć na świat z innej perspektywy i ta myśl o człowieku wrzeszczącym na korytarzu była objawem tego nowego podejścia.

— To bez znaczenia, jak długo będę pamiętała o drzewie — mruknęła, nawet nie zdając sobie sprawy z tego, że to mówi.

Ktoś odebrał telefon już po pierwszym dzwonku.

— Halo, tu dziewięćset jedenaście, ta rozmowa jest nagrywana.

— Tak, jestem pewna. Nazywam się Rosie McClendon i mieszkam przy Trenton Street osiemset dziewięćdziesiąt siedem, pierwsze piętro. Mój sąsiad z góry potrzebuje karetki...

— Proszę pani, czy może pani powiedzieć mi, na czym polega...

Mogła, z całą pewnością mogła, lecz nagle uświadomiła sobie jeszcze coś, czego do tej pory nie pojmowała, coś, co należało zrobić natychmiast. Rzuciła słuchawkę na widełki i wsunęła pierwsze dwa palce prawej ręki do kieszeni džinsów. Kieszonka na zegarek była czasem przydatna, ale także irytująca — jeszcze jeden wyraźny objaw na pół świadomej niechęci tego świata do leworęcznych, takich jak ona. Zasadniczo był to świat stworzony przez praworęcznych i przeznaczony dla nich, pełen drobnych niedogodności. Wszystko w porządku, jeśli człowiek jest mańkutem, musi jakoś sobie radzić i tyle. I można to zrobić — pomyślała Rosie. Tak jak w tej starej piosence Boba Dylana o autostradzie 61, och tak, można tego dopiąć bez trudu.

Wyjęła małą ceramiczną buteleczkę, którą dała jej Dorcas, wpatrywała się w nią przez dwie czy trzy sekundy, a potem przechyliła głowę, nasłuchując odgłosów z korytarza. Jeszcze ktoś dołączył do grupy na końcu holu i ranny mężczyzna (a przynajmniej tak sądziła Rosie) mówił coś zdyszany, płaczliwym głosem. W oddali słyszała wycie syren.

Poszła do kuchni i otworzyła małą lodówkę. W środku była napoczęta paczka sera, ćwiartka mleka, dwa kartoniki zwykłego jogurtu, opakowanie soku i trzy butelki pepsa. Wzięła jedną butelkę, otworzyła i postawiła na szafce. Szybko zerknęła przez ramię, na pół oczekując, że zobaczy w drzwiach Billa (Co robisz? — zapytałby. — Czego tam dodajesz?). Lecz nikogo nie było, usłyszała natomiast Billa w korytarzu. Mówił spokojnym, rozważnym głosem, który już pokochała.

Paznokciami wyjęła kawałek korka z szyjki buteleczki. Potem podniosła ją i przesunęła tam i z powrotem pod nosem, jak kobieta wachająca flakonik perfum. To nie były perfumy, ale знаła tę woń — jednocześnie gorzką, metaliczną, a jednak bardzo atrakcyjną. Buteleczka zawierała wodę ze strumienia płynącego za Świątynią Byka.

„Jedna kropla. Jemu. Potem”.

Tak, tylko jedna; więcej byłoby niebezpiecznie, ale może jedna wystarczy. Wszystkie

pytania i wszystkie wspomnienia — blask księżycy, straszliwe wrzaski Normana krzyczącego z bólu i przerażenia, kobieta, na którą zabroniono mu spojrzeć — wszystko zniknie. Tak samo jak jej obawa, że te wspomnienia jak żrący kwas mogą zniszczyć jego zdrowe zmysły i rozkwitające między nimi uczucie. To mogło okazać się przesadną troską, gdyż umysł jest odporniejszy i przystosowuje się łatwiej, niż można by sądzić — jeżeli przez te czternaście lat z Normanem nauczyła się czegoś, to na pewno tego — więc czy powinna ryzykować? Skoro wszystko mogło ułożyć się samo? Co było groźniejsze, jego wspomnienia czy ta płynna amnezja?

„Uważaj, dziewczyno. To niebezpieczny środek!”

Rosie powiodła spojrzeniem od buteleczki do zlewu, a potem powoli przeniosła wzrok na buteleczkę.

„To dobry okaz. Broń go, a i on cię obroni”.

Rosie uznała, że to ostatnie stwierdzenie mogło zdawać się wzgardliwe i źle dobrane, lecz myśl była słuszna. Powoli, ostrożnie, przechyliła ceramiczne naczynko nad szyjką butelki i wpuściła do pepsi jedną kropelkę cieczy.

Plusk.

Teraz wlej resztę do zlewu, szybko.

Już miała to zrobić, gdy przypomniała sobie co jeszcze rzekła jej Dorcas:

„Dałabym ci mniej, ale później może potrzebować jeszcze jednej kropli”.

Tak, a co ze mną? — zadała sobie pytanie, wciskając malusieńki koreczek w szyjkę buteleczki i powtórnie chowając ją do tej niewygodnie umieszczonej kieszonki na zegarek. — Co ze mną. Czy ja też będę potrzebowała później kropli czy dwóch, żeby nie zwariować?

Nie podejrzewała. A ponadto...

— „Kto nie wyciąga wniosków z przeszłości, jest skazany na powtarzanie błędów” — mruknęła. Nie miała pojęcia, kto to powiedział, ale wiedziała, że to zbyt słuszne stwierdzenie, żeby je zignorować. Pośpiesznie wróciła do telefonu, trzymając w dłoni spreparowaną pepsi. Ponownie wybrała 911 i połączywszy się z tą samą funkcjonariuszką, usłyszała tę samą odzywkę: „proszę uważać, ta rozmowa jest nagrywana”.

— Tu ponownie Rosie McClendon — przedstawiła się. — Rozłączono nas. — Po wykalkulowanej przerwie roześmiała się nerwowo. — Och, do licha, to niezupełnie prawda. Straciłam głowę i wyrwałam wtyczkę ze ściany. Mamy tu małe zamieszanie.

— Tak, proszę pani. Wysłano karetkę pod Trenton Street osiemset dziewięćdziesiąt siedem, na zgłoszenie Rose McClendon. Mamy pod tym samym adresem zgłoszenie o ranie postrzałowej, czy to ten sam przypadek?

— Tak sądzę.

— Czy mam panią połączyć z funkcjonariuszem policji?

— Chcę mówić z porucznikiem Hale'em. Jest detektywem, więc chyba chciałabym połączyć się z DET-DIV, czy jak to tutaj nazywacie.

Zapadła krótka cisza, a kiedy operatorka odezwała się ponownie, jej głos był już mniej bezosobowy.

— Tak, proszę pani, właśnie tak nazywamy Detective Division, DET-DIV. Połączę panią.

— Dziękuję. Mam podać mój numer telefonu, czy też już go sprawdziliście?

Tym razem wyraźne zdumienie.

— Mam pani numer, proszę pani.

— Tak myślałam.

— Proszę czekać, już łączę.

Czekając, podniosła butelkę pepsi i podsunęła ją pod nos, tak jak przedtem tamtą, o wiele mniejszą buteleczkę. Wydało jej się, że wyczuwa leciuteńki, ostry zapach... ale może to tylko złudzenie. Nie, żeby miało to jakiegokolwiek znaczenie. On wypije to albo nie. *Ka* — pomyślała i zaraz zreflektowała się. Co takiego?

Zanim doszła do jakiegoś konkretnego wniosku, w słuchawce odezwał się głos:

— Detective Division, sierżant Williams.

Podawała mu nazwisko Hale'a i kazano jej czekać. Na zewnątrz, na korytarzu, wciąż było słychać pomruki i jęklive odpowiedzi. Syreny wyły znacznie bliżej.

4

— Tu Hale! — warknął głos w słuchawce. Wydawał się nie należeć do tego dobrze ułożonego, zamyślnego mężczyzny, którego spotkała przedtem. — Czy to pani McClendon?

— Tak.

— Nic pani nie jest? — Wciąż warczał i teraz przypominał jej tych gliniarzy, którzy siadywali w ich stołowym pokoju, bez butów, zasmradzając powietrze. Nie mógł doczekać się informacji, jaką zamierzała mu przekazać; nie, był zły i teraz będzie tańczyć wokół jej nóg, warcząc jak rozzłoszczony terier.

Mężczyźni — pomyślała, wznosząc oczy ku niebu.

— Nie — mówiła powoli, jak przedszkolanka usiłująca uspokoić rozhisteryzowane dziecko, które spadło z drabinki. — Nie, nic mi nie jest. Billowi... panu Steinerowi również nic się nie stało. Jesteśmy cali.

— Czy to był pani mąż? — mówił gniewnie, jakby był bliski paniki. Byk na otwartej przestrzeni, grzebiący nogą ziemię i patrzący na prowokującą go czerwoną płachtę. — Czy to był Daniels?

— Tak. Jednak już go tu nie ma. — Zastanowiła się i dodała: — Nie wiem, gdzie jest.

Mam nadzieję, że jest tam gorąco i zepsuła się klimatyzacja — pomyślała.

— Znajdziemy go — rzekł Hale. — Obiecuję to pani, pani McClendon — znajdziemy go.

— Życzę powodzenia, poruczniku — powiedziała łagodnie i skierowała wzrok na otwarte drzwi. Dotknęła lewego przedramienia, gdzie wciąż czuła słabnące ciepło bransolety. — Teraz muszę się wyłączyć. Norman postrzelił sąsiada z góry. Może zdołam mu jakoś pomóc. Przyjedzie pan tutaj?

— Ma pani cholerną rację.

— A zatem zobaczymy się. Do widzenia.

Rozłączyła się, zanim Hale zdążył coś powiedzieć. Wszedł Bill i w tej samej chwili za jego plecami zapaliły się światła na korytarzu.

Odwrócił się, zdziwiony.

— A jednak główny wyłącznik... co oznacza, że on musiał zejść do piwnicy. Jeśli chciał wyłączyć tylko jedno, to zastanawiam się, dlaczego nie...

Zanim zdążył dokończyć, znów zaniósł się kaszlem. Zgiął się z grymasem bólu, przyciskając dłonie do posiniaczonej i spuchniętej szyi.

— Masz — powiedziała, podając mu butelkę. — Wypij trochę. Właśnie wyjęłam ją z lodówki, jest zimna.

Wziął pepsi, upił kilka łyków, a potem ze zdumieniem spojrzął na butelkę.

— Trochę dziwnie smakuje — rzekł.

— To dlatego, że masz opuchnięte gardło. Pewnie spłynęło ci trochę krwi i teraz czujesz jej smak. No już, pij do dna. Nie podoba mi się ten kaszel.

Wypił do końca, odstawił butelkę na ławę, a kiedy znów spojrzął na Rosie, zobaczyła w jego oczach pustkę, która ją przeraziła.

— Bill? Bill? Co się stało?

Przez moment spoglądał na nią bez wyrazu, a potem roześmiał się i potrząsnął głową.

— Nie uwierzysz. To przez te przeżycia, ale...

— Co takiego? W co nie uwierzę?

— Przez kilka sekund nie mogłem sobie przypomnieć, kim jesteś — odrzekł. — Nie pamiętałem nawet twojego imienia, Rosie. Co jeszcze dziwniejsze, przez parę sekund nie pamiętałem, jak ja się nazywam.

Roześmiała się i podeszła do niego. Słyszała tupot nóg — zapewne sanitariuszy — na schodach, ale nie zważała na to. Objęła Billa ramionami i uścisnęła go z całej siły.

— Mam na imię Rosie. Jestem Rosie. Naprawdę Rosie.

— Racja — rzekł, całując ją w skroń. — Rosie, Rosie, Rosie, Rosie. Rosie.

Zamknęła oczy, przycisnęła twarz do jego ramienia i w ciemności za zamkniętymi powiekami zobaczyła potworny pajęczy pysk i czarne ślepia lisicy, zbyt nieruchome, aby zdradzić szaleństwo czy rozum. Widziała te rzeczy i wiedziała, że będzie je widywać jeszcze długo. A w myślach słyszała dwa słowa, rozbrzmiewające niczym spізowy dzwon:

„Ja odpłacam”.

5

Porucznik Hale zapalił papierosa, nie pytając o pozwolenie, założył nogę na nogę, po czym spojrzał na Rosie McClendon i Billa Steinera, dwoje ludzi stanowiących klasyczny przypadek miłosnej choroby: za każdym razem kiedy patrzyli na siebie, Hale niemal widział w ich oczach napis TRAFIONY. To wystarczyło, by zadał sobie pytanie, czy czasem sami nie pozbyli się jakoś tego kłopotliwego Normana... wiedział jednak, że to niemożliwe. To nie ten typ. Nie oni.

Wziął z kuchni krzesło i usiadł, odwróciwszy je tyłem. Przewiesił przez oparcie jedno ramię i oparł na nim brodę. Rosie i Bill cisnęli się w fotelu, który udawał sofę. Od pierwszego telefonu Rosie pod 911 minęła już godzina. Ranny lokator z góry, nazwiskiem John Briscoe, został odwieziony do East Side Receiving z powodu „lekkiej rany z możliwością powikłań” — jak to określił jeden z sanitariuszy.

Teraz wreszcie wszystko uspokoiło się trochę. To cieszyło Hale’a. Lecz jedna sprawa ucieszyłaby go bardziej, a mianowicie, gdyby ktoś powiedział mu, gdzie — do cholery — podział się ten Norman Daniels.

— Coś mi tu nie gra — rzekł. — Jeden rozstrojony instrument psuje całą melodię.

Rosie i Bill spojrzeli po sobie. Hale był pewny, że w oczach Billa Steinera widzi zdziwienie; co do Rosie nie miał takiej pewności. Ona coś wiedziała, był tego prawie pewny. Coś, o czym nie chciała powiedzieć.

Powoli kartkował notes, nie śpiesząc się, chcąc, żeby trochę skruszeli. Żadne nie odezwało się słowem. Zdziwiło go, że Rosie może siedzieć tak spokojnie — oczywiście jeżeli coś ukrywała — lecz albo zapomniał o pewnym istotnym fakcie związanym z jej osobą, albo nie pojął jego znaczenia. Ona nigdy nie uczestniczyła w prawdziwym przesłuchaniu, ale setki razy słyszała o nich w opowieściach i dyskusjach, kiedy w milczeniu podawała drinki Normanowi i jego kumplom lub zmieniała popielniczki. Doskonale znała technikę przesłuchań.

— W porządku — rzekł Hale, kiedy nabrał pewności, że ani ona, ani on nie da mu punktu zaczepienia. — Oto nasz tok rozumowania. Norman przychodzi tutaj. Normanowi udaje się jakoś zabić policjantów: Alvina Demersa i Lee Babcocka. Babcocka wpycha na siedzenie pasażera, Demersa do bagażnika. Norman psuje światło w przedsionku, potem schodzi do piwnicy i wyłącza kilka wyłączników, na chybił trafił, chociaż były porządnie oznakowane na diagramie przyklejonym do tablicy rozdzielczej. Dlaczego? Nie wiemy. To świr. Potem wraca do radiowozu i udaje Demersa. Kiedy pani i pan Steiner wracacie do domu, atakuje was od tyłu, prawie dusi pana Steinera, goni was po schodach, rani pana Briscoego, gdy ten wtrąca się do „zabawy”, a potem wyłamuje drzwi. Do tej pory wszystko się zgadza, prawda?

— Tak, chyba tak — odparła Rosie. — Wszystko działo się bardzo szybko, ale chyba właśnie tak było.

— A teraz dochodzimy do tego, czego nie pojmuję. Wy ukrywacie się w garderobie...

— Tak...

— ...a Norman wpada tu jak Freddy Jason, czy jak tam nazywa się ten facet z horrorów...

— No, niezupełnie...

— ...szarżuje jak byk w składzie porcelany, przystaje na moment w łazience, żeby wystrzelić parę dziur w zasłonie prysznica... a potem wybiega z mieszkania. Twierdzicie, że zrobił coś takiego?

— Właśnie tak zrobił — powiedziała. — Oczywiście nie widzieliśmy, jak biegał po mieszkaniu, ponieważ byliśmy w garderobie, ale słyszeliśmy go.

— Ten stuknięty parszywiec udający policjanta zadaje sobie tyle trudu, żeby panią znaleźć, zostaje obsikany, łamie mu nos, morduje co najmniej cztery osoby, w tym dwóch policjantów, a potem... co? Rozwala zasłonę prysznica i ucieka? Tak twierdzicie?

— Tak.

Wiedziała, że nie ma sensu mówić mu nic więcej. On nie podejrzewał jej o sprawy nielegalne — dałby jej znacznie więcej swobody, przynajmniej na początku, gdyby było inaczej — jeśli jednak próbowałaby wzmocnić to proste stwierdzenie, mógłby warczeć na nią jak terier przez całą noc, a już bolała ją od tego głowa.

Hale spojrział na Billa.

— Tak pan to pamięta?

Bill potrząsnął głową.

— Nie pamiętam — rzekł. — Moja pamięć ogranicza się do tego, że zaparkowałem harleya przed radiowozem. Była mgła. A potem wszystko tonie we mgle.

Hale z obrzydzeniem machnął ręką. Rose wzięła dłoń Billa, położyła ją sobie na udzie, nakryła swoimi dłońmi i słodko uśmiechnęła się do niego.

— W porządku — powiedziała. — Jestem pewna, że z czasem przypomnisz sobie wszystko.

6

Bill obiecał jej, że zostanie, i dotrzymał słowa. Zasnął niemal w tej samej chwili, gdy dotknął głową poduszki wziętej z małej sofy. To nie zdziwiło Rosie. Leżała obok niego na wąskim łóżku, patrząc na mgłę kłębiącą się wokół latarni za oknem i czekając, aż powieki zaczną jej ciążyć. Nie doczekawszy się, wstała, podeszła do garderoby, włączyła światło i siadła po turecku przed obrazem.

Oświecił ją łagodny blask księżyca. Świątynia ledwie majaczyła w mroku. W górze krążyły ścierwojady. Czy jutro, gdy wzejdzie słońce, pożywią się ciałem Normana? — zastanawiała się. Nie sądziła. Norman znalazł się tam, gdzie nie ma żadnych ptaków.

Jeszcze przez chwilę spoglądała na obraz, a potem dotknęła go i poczuła pod palcami zastygłe ślady pędzla. To ją uspokoiło. Wyłączyła światło i wróciła do łóżka. Tym razem sen przyszedł szybko.

7

Zbudziła się i obudziła Billa wcześniej rano, tego pierwszego dnia jej życia bez Normana. Krzyczała.

— Ja odpłacam! Ja odpłacam! O Boże, jej oczy! Jej czarne oczy!

— Rosie — wołał Bill, potrząsając nią. — Rosie!

Popatrzyła na niego, najpierw nieprzytomnie, z twarzą mokrą od potu, który przemoczył jej nocną koszulę, tak że bawełna przywarła do wklęsłych i wypukłych miejsc jej ciała.

— Bill?

Kiwnął głową.

— No pewnie. Nic ci nie jest. Oboje wyszliśmy cało.

Zadrzała i przytuliła się do niego. Zadowolenie szybko przerodziło się w coś innego. Leżeli tak blisko, a on prawą ręką obejmował jej lewe ramię otaczające jego kark, a kiedy wszedł w nią (z Normanem nigdy nie zaznała takiej przyjemności i takiego spokoju), jej spojrzenie padło na dzinsy leżące na podłodze. Buteleczka wciąż znajdowała się w kieszeni. Rosie oceniała, że pozostały w niej co najmniej trzy krople wody zapomnienia — może więcej.

Wypiję je — pomyślała na moment przed tym, zanim straciła zdolność rozsądnego myślenia. — Wypiję je oczywiście. Zapomnę i tak będzie najlepiej, komu potrzebne są takie sny?

A jednak w głębi duszy — znacznie głębiej, niż ukrywała się jej stara przyjaciółka, Praktycznie–Rozsądna — знаła odpowiedź na to pytanie: to ona, nie kto inny, potrzebowała takich snów. Ona. I chociaż zachowała buteleczkę i jej zawartość, nie przechowywała jej dla siebie. Ponieważ nie wyciągając wniosków z przeszłości, byłaby skazana na powtarzanie błędów.

Spojrzała na Billa. Patrzył na nią szeroko otwartymi oczami, zamglonymi z rozkoszy, którą podzielała. Więc pozwoliła zabrać się tam, dokąd ją powiodł i gdzie pozostali przez dłuższy czas — dzielni żeglarze podróżujący na stateczku, jakim stało się jej wąskie łóżko.

8

Okolo południa Bill poszedł kupić obarzanki i niedzielną gazetę. Rosie wzięła prysznic, ubrała się i siadła na skraju łóżka. Czuła ich zapachy, a także woń, którą wydzielali wspólnie. Pomyślała, że nigdy nie otaczały jej przyjemniejsze zapachy.

Ani kropli krwi na poszewce. Żadnych śladów krwi!

Jej dzinsy znalazły się pod łóżkiem. Wygarnęła je nogą, a potem wyjęła buteleczkę z kieszonki na zegarek. Zniosła spodnie do łazienki, gdzie za drzwiami miała plastikowy pojemnik na brudne rzeczy. Buteleczkę wstawiła do apteczki, przynajmniej na razie, gdzie zniknęła za opakowaniem motryny. Przeszukała pozostałe kieszenie dzinsów, zanim rzuciła je do pojemnika — przyzwyczajenie gospodyni, z czego nie zdawała sobie sprawy... Jej palce dotknęły czegoś w lewej kieszeni. Wyjęła to, spojrzała i zadrzała, gdy usłyszała głos Rose Madder: „Na pamiątkę... zrób z tym, co chcesz”.

To był sygnet Akademii Policyjnej, należący do Normana.

Włożyła go na kciuk, obróciła w prawo i w lewo, pozwalając światłu sączącemu się z matowej szyby łazienki oświetlać słowa: Służba, Wierność, Społeczeństwo. Znowu zadrzała i przez moment pomyślała, że Norman zaraz wróci po swój złowrogi talizman.

Trochę później, gdy buteleczka była już bezpiecznie schowana w apteczce, Rosie pośpieszyła do łóżka, tym razem nie wachając unoszącego się tam zapachu kobiety i mężczyzny. Teraz myślała tylko o nocnym stoliku. Miał szufladę. Schowa w niej sygnet. Potem zastanowi się, co z nim zrobić, na razie chciała tylko, żeby zniknął jej z oczu. Na pewno niebezpiecznie byłoby pozostawić go na widoku. Później mógł wpaść porucznik Hale, uzbrojony w nowe i stare pytania, a lepiej, żeby nie zobaczył sygnetu Normana. Lepiej nie.

Otworzyła szufladę, wyciągnęła rękę, żeby wrzucić tam sygnet... i zastygła.

W szufladzie już coś było. Kawalek niebieskiej materii, starannie złożony w pakiecik. Poplamiony jaskraworóżowymi plamami, wyglądającymi jak krople na pół skrzepłej krwi.

— O mój Boże — szepnęła Rosie. — Nasiona!

Wyjęła pakiecik, zrobiony z kawałka jej nocnej koszuli, usiadła na łóżku (bo nagle ugięły się pod nią nogi) i położyła zawiniątko na kolanach. W myślach słyszała Dorcas ostrzegającą ją, żeby nie kosztowała owoców, a nawet nie brała do ust dłoni, którą dotykała nasion. Nazywała je drzewem granatu, ale Rosie nie wydawało się, żeby naprawdę nim było.

Odwinęła brzegi zawiniątka i spojrzała na nasiona. Serce galopowało jej w piersi.

Nie chcę ich mieć — pomyślała — nie chcę.

Zostawiła sygnet męża pod lampką, przynajmniej na razie, wstała i znów poszła do łazienki, niosąc pakiecik na otwartej dłoni. Nie wiedziała, od jak dawna nie ma Billa, straciła poczucie czasu, ale wydawało jej się, że jego nieobecność się przedłużała.

Proszę — pomyślała — niech kolejka po obarzanki będzie długa.

Podniosła deskę sedesową, uklękła i wzięła z zawiniątka pierwsze nasionko. Przyszło jej do głowy, że na tym świecie nasionka mogły stracić swoją magiczną moc, ale natychmiast zdrętwiały jej czubki palców i zrozumiała, że tak się nie stało. To nie było tak, jakby straciła czucie w palcach; raczej wydawało się, że te nasionka wywoływały jakiś dziwny rodzaj amnezji. Mimo to przez chwilę trzymała ziarnko w ręce, przypatrując mu się uważnie.

— Jedno dla lisicy — powiedziała i rzuciła je do muszli. Woda natychmiast przybrała złowrogą, jaskraworóżową barwę. Wyglądało to tak, jakby ktoś podciął tu sobie żyły lub poderznął gardło. Lecz unoszący się z wody aromat nie był odorem krwi; to była gryząca, lekko metaliczna woń strumienia płynącego za Świątynią Byka. Zapach był tak silny, że łzawiły jej oczy.

Wyjęła z zawiniątka drugie nasionko i popatrzyła na nie.

— Jedno dla tej wariatki — rzekła i upuściła je do muszli. Kolor pogłębił się, miał teraz barwę skrzepu, a zapach był tak silny, że lzy płynęły jej strumieniami po policzkach. Oczy miała czerwone jak kobieta siekająca cebulę.

Wzięła ostatnie nasionko z pakiecika i spojrzała na nie.

— I jedno dla mnie — powiedziała. — Jedno dla Rosie. Kiedy jednak próbowała je wrzucić do sedesu, nie chciało oderwać się od jej palców. Spróbowała ponownie, z tym samym rezultatem. Natomiast w myślach usłyszała głos szalonej kobiety, przemawiającej tonem rozsądnej perswazji.

„Pamiętaj o drzewie. Pamiętaj o drzewie, mała Rosie. Pamiętaj...”

— O drzewie — mruknęła Rosie. — Pamiętaj o drzewie, pewnie, słyszę cię, tylko o jakim drzewie? I co powinnam zrobić? Co, na Boga Ojca, mam zrobić?

Nie wiem — odparła Praktycznie-Rozsądna — lecz cokolwiek zrobisz, lepiej zrób to szybko. Bill może wrócić w każdej chwili. Lada moment.

Spuściła wodę patrząc, jak czerwonawopurpurową ciecz zastępuje czysta woda. Potem podeszła do łóżka, usiadła na nim i spojrzała na ostatnie nasionko, leżące na poplamionym kawałku bawełny. Przeniosła wzrok na sygnet Normana. I znowu na nasionko.

Dlaczego nie mogę wyrzucić tego przeklętego nasionka? — zadała sobie pytanie. Daj spokój z tym cholernym drzewem, tylko powiedz mi, na Boga, dlaczego nie mogę wyrzucić tego ostatniego nasionka i skończyć z tym.

Żadnej odpowiedzi. Jedyne podekscytowany warkot nadjeżdżającego motocykla, wpadający przez otwarte okno. Już rozpoznawała odgłos Billowego harleya. Pośpiesznie, nie zadając sobie więcej pytań, Rosie położyła sygnet na miękkim niebieskim gałganku, razem z nasionkiem. Potem zawinęła oba, podeszła do komódki i wzięła stojącą na niej torebkę. Ta torebka była wytarta i niemodna, ale wiele dla niej znaczyła — właśnie ją zabrała tej wiosny, uciekając z „ziemi egipskiej”. Otworzyła ją i schowała do środka niebieskie zawiniątko, wpychając je na samo dno, gdzie było bezpieczniej ukryte niż ceramiczna buteleczka stojąca

w apteczce. Zrobiwszy to, podeszła do otwartego okna i zaczęła łapać wielkie hausty świeżego powietrza.

Kiedy Bill wszedł, niosąc grubą niedzielną gazetę i mnóstwo obarzązków w papierowej torbie, Rosie powitała go olśniewającym uśmiechem.

— Dlaczego tak długo? — zapytała, a w duchu pomyślała: Ależ z ciebie lisica, mała Rosie. Ależ...

Uśmiech na jego twarzy, którym odpowiedział na jej uśmiech, nagle zgasł.

— Rosie? Wszystko w porządku?

Znów rozpromieniła się.

— Najlepszym. Przez moment poczułam się tak, jakby ktoś przeszedł po moim grobie.

Tyle że to nie był ktoś.

9

„Mogę dać ci jeszcze jedną radę, zanim odeślę cię z powrotem?” — spytała Rose Madder. Nieco później tego popołudnia, gdy porucznik Hale przyniósł im wstrząsającą wiadomość o Annie Stevenson (która, w wyniku często wyrażanej niechęci do niespodziewanych wizyt w jej gabinecie, została znaleziona dopiero rano) i poszedł, Rosie skorzystała z tej rady. Była niedziela, lecz Hair 2000 przy Skyview Mail był otwarty. Fryzjerka, która miała zająć się Rosie, zrozumiała życzenie, ale przez chwilę protestowała.

— Wyglądają tak ładnie! — mówiła.

— Tak, chyba tak — odparła Rosie — ale nienawidzę tego koloru.

Fryzjerka zrobiła, co do niej należało i wbrew jej obawom, kiedy Bill przyszedł wieczorem na kolację, nie wyraził zdziwienia ani żalu.

— Masz krótsze włosy, ale poza tym wyglądasz dokładnie tak samo jak wtedy, gdy pierwszy raz przyszedłaś do naszego sklepu — rzekł. — Podobasz mi się.

Uściskała go.

— To dobrze.

— Zjemy kolację w chińskiej restauracji?

— Tylko jeśli obiecasz, że później zostaniesz.

— Żeby wszystkie obietnice były tak łatwe do dotrzymania.

10

Nagłówki na pierwszej stronie poniedziałkowej gazety: POLICJANT–PRZESTĘPCA WIDZIANY W WISCONSIN.

We wtorek: POLICJA NA TROPIE DANIELSA, POLICJANTA–MORDERCY.

We środę: KREMACJA ANNY STEVENSON; 2000 UCZESTNIKÓW KONDUKTU POGRZEBOWEGO.

Nagłówki czwartkowe: NORMAN DANIELS MÓGŁ POPEŁNIĆ SAMOBÓJSTWO, PODEJRZEWAJĄ DOBRZE POINFORMOWANE OSOBY.

W piątek wiadomości o Normanie trafiły na drugą kolumnę. W następny piątek już się nie pojawiły.

11

Wkrótce po czwartym lipca Robbie Lefferts dał Rosie do czytania powieść skrajnie różniącą się od książek Richarda Racine'a — *A Thousand Acres* Jane Smiley. To była historia rodziny farmerów z Iowa, w rzeczywistości jednak coś zupełnie innego; Rosie przez trzy lata pełniła funkcję kostiumologa szkolnych przedstawień teatralnych i chociaż ani razu nie wystąpiła na scenie, potrafiła rozpoznać szalonego króla z szekspirowskiego dramatu. Smiley ubrała Leara w drelichy, lecz szaleniec pozostał szaleńcem.

Ponadto uczyniła go postacią aż nadto przypominającą Rosie Normana. W dniu, kiedy skończyła tę książkę („Jak do tej pory, to twoja najlepsza rola — powiedziała Rhoda — i jedna z najlepszych, jakie słyszałam”), wróciwszy do domu Rosie wyjęła z garderoby stary obraz bez ram. Stał od tamtej nocy, gdy Norman... no... zniknął. Po raz pierwszy od owej nocy spoglądała na płótno.

To, co ujrzała, zbytnio jej nie zdziwiło. Na obrazie znów był dzień. Wzgórze się nie zmieniło, zarośnięte i dzikie, świątynia pod nim wyglądała tak samo (albo prawie tak samo; Rosie odniosła wrażenie, że dziwnie zdeformowana architektura budowli uległa jakiejś zmianie, stała się normalna), a obu kobiet nie było. Rosie domyślała się, że Dorcas po raz ostatni zaprowadziła szaloną kobietę do dziecka... Potem Rose Madder wyruszy samotnie tam, dokąd podążają takie jak ona, kiedy w końcu wybije godzina ich śmierci.

Zaniosła płótno do zsypu na końcu korytarza, trzymając je ostrożnie za boki, tak jak przedtem — jakby w obawie, że przez nieostrożność jej dłoń może wślizgnąć się do tamtego świata. Prawdę mówiąc, bała się właśnie czegoś takiego.

Przed zsypem, którym śmieci spadały do znajdującej się w piwnicy spalarki, znów przystanęła, po raz ostatni spog — lądając na obraz, który przemówił do niej z zakurzonej półki lombardu, wzywając ją bezgłośnie, rozkazującym głosem, mogącym należeć do samej Rose Madder. I pewnie należał — pomyślała Rosie. Wyciągnęła rękę do drzwiczek zsypu i znieruchomiała, dostrzegając coś, czego nie zauważyła dotychczas: dwie plamy w wysokiej trawie, nieco poniżej szczytu wzgórza. Lekko dotknęła palcem olejnej farby w tym miejscu, marszcząc brwi i zastanawiając się, co to takiego. Po chwili zrozumiała. Różowa plamka to jej sweter. Czarna, obok niej, to kurtka, którą Bill pożyczył jej na przejażdżkę motocyklem po drodze numer 27. Nie dbała o sweter, tani ciuch z orlonu, ale żałowała kurtki. Skóra nie była nowa, lecz wiązały się z nią dobre wspomnienia. Ponadto Rosie lubiła zwracać ludziom to, co od nich pożyczła.

Nawet z karty kredytowej Normana skorzystała tylko raz.

Spojrzała na obraz i westchnęła. Nie było sensu zatrzymywać go; niebawem miała opuścić ten pokój znaleziony jej przez Annę i nie chciała zabierać ze sobą bagażu przeszłości. Podejrzewała, że wspomnienia związane z tym obrazem i tak tkwią w jej głowie jak odłamki pocisku, ale...

„Pamiętaj o drzewie, Rosie”, usłyszała głos i tym razem brzmiał jak głos Anny — Anny, która pomogła jej, gdy Rosie potrzebowała pomocy, kiedy nie miała do kogo się zwrócić, Anny, której nie potrafiła opłakać tak, jak by chciała... chociaż wylała morze łez po Pam ze ślicznymi niebieskimi oczami, wiecznie szukającymi „kogoś interesującego”. Teraz jednak poczuła smutek, od którego zadrżały jej usta i zapiekło w oczach.

— Anno, przepraszam — powiedziała.

Nic nie szkodzi. — Ten głos, oschły i lekko arogancki. — Nie ty stworzyłaś Normana i nie możesz brać za niego odpowiedzialności. Jesteś Rose McClendon, a nie Tyfusową Mary, więc lepiej pamiętaj o tym, gdy zaczniesz popadać w melancholię. Musisz tylko pamiętać...

— Nie, nie muszę — powiedziała i przełamała obraz, jak ktoś stanowczo zamykający książkę. Trzasnęło stare drewno, na którym było rozpięte płótno. Obraz nie tyle pękł, ile rozleciał się na kawałki, zwisające jak porwana szmata. Malowidło było pociemniałe i pozbawione szczegółów. — Nie, nie muszę. Nie muszę niczego, jeśli nie chcę, a nie chcę.

Kto zapomina o przeszłości...

— Pieprzyć przeszłość! — krzyknęła Rosie.

„Ja odpłacam”, rozległ się głos. Szeptał. Przymiłał się. Ostrzegał.

— Nie słyszę cię — rzekła Rosie. Otworzyła drzwiczki zsypu, poczuła ciepło i zapach sadzy. — Nie słyszę cię, nie słucham, już po wszystkim.

Wepchnęła podarty i zmięty obraz do zsypu, jakby wysyłała komuś list do piekieł, a potem stanęła na palcach, żeby zobaczyć, jak wpada w płomienie.

EPILOG LISICA

1

W październiku Bill znów zabiera ją na piknik nad jezioro. Tym razem jadą samochodem; jest śliczny jesienny dzień, lecz zbyt chłodny na jazdę motocyklem. Kiedy są już na miejscu i wokół nich rozpościera się zielona murawa, a drzewa płoną barwami jesieni, on pyta ją o to, o co od jakiegoś czasu spodziewała się, że ją zapyta.

— Tak — odpowiada mu. — Jak tylko dostanę urzędową decyzję.

On obejmuje ją, całuje, a gdy ona zarzuca mu ręce na szyję i zamyka oczy, słyszy dochodzący z głębi świadomości głos Rose Madder: „Teraz wszystkie rachunki zostały wyrównane... a jeśli będziesz pamiętać o drzewie, to i tak nie będzie miało żadnego znaczenia”.

O jakim drzewie?

Drzewie Życia?

Drzewie Śmierci?

Drzewie Wiadomości?

Drzewie Dobrego i Złego?

Rosie drży i jeszcze mocniej tuli się do swego przyszłego męża, a kiedy on obejmuje dłonią jej lewą pierś, dziwi się, jak mocno i szybko bije w niej serce.

2

Wzięli ślub cywilny po Święcie Dziękczynienia, a przed Bożym Narodzeniem, dziesięć dni po tym, jak uprawomocnił się rozwód Rosie z Normanem Danielsem. Podczas pierwszej nocy, po tym jak została panią Steiner, zbudził ją krzyk męża.

— Nie mogę na nią patrzeć! — wołał we śnie. — Jej wszystko jedno, kogo zabija! Jej wszystko jedno, kogo zabija! Och, proszę, czy on nie może przestać WRZESZCZEĆ?

A potem, znacznie ciszej:

— Co masz w ustach? Co to za nitki?

Śpią w nowojorskim hotelu, zatrzymawszy się po drodze do St. Thomas, gdzie wybrali się w dwutygodniową podróż poślubną. Rosie zostawiła niebieski pakiecik na dnie torebki, którą wzięła ze sobą, opuszczając „ziemię egipską”, ale zabrała w podróż poślubną tę ceramiczną buteleczkę. Jakiś instynkt — zapewne można by go nazwać kobiecą intuicją — kazał jej to zrobić. Już dwukrotnie posłużyła się nim w takich okolicznościach. Następnego ranka, kiedy Bill goli się w łazience, wlewa mu ostatnią kroplę do kawy.

To musi podziałać — myśli później, rzucając puste naczynko do toalety i spuszczaając wodę. — Musi podziałać, bo nie mam więcej.

Podróż poślubna jest wspaniała — mnóstwo słońca, mnóstwo dobrego seksu i żadnych złych snów.

3

W styczniu, kiedy na równiny i na miasto spadają tumany gnanego wiatrem śniegu,

domowy test ciążowy informuje Rosie Steiner o tym, o czym ona już wie — że będzie miała dziecko. Wie coś jeszcze, czego nie wykazała ta próba: to będzie dziewczynka.

W końcu przyjdzie na świat Caroline.

Rachunki wyrównane — szepcze do siebie nieswoim głosem, stojąc w oknie ich nowego mieszkania i patrząc na śnieg. Przypomina jej mgłę w Bryant Parku tamtej nocy, kiedy wrócili do domu, a tam czekał na nich Norman.

Tak, tak, tak — myśli, już prawie znudzona tym tematem, dręczącym ją jak natrętna melodia, wciąż kołacząca się po głowie. — Będą wyrównane, dopóki będę pamiętała o drzewie, prawda?

Nie — słyszy głos szalonej kobiety tak wyraźnie, że Rosie z sercem podchodzącym do gardła odwraca się na pięcie, przekonana, że Rose Madder jest tutaj z nią. I chociaż słyszy ten głos, pokój jest pusty. — Nie... dopóki trzymasz nerwy na wodzy. Póki jesteś w stanie to robić. Lecz rezultat jest taki sam, prawda?

— Wynoś się — mówi do pustego pokoju, a jej głos jest ochryply i drżący. — Wynoś się, ty suko. Trzymaj się ode mnie z daleka. Wynoś się z mojego życia.

4

Niemowlę waży prawie cztery kilogramy. Mimo że jego sekretnym imieniem jest i zawsze będzie Caroline, w metryce ma wpisane Pamela Gertrudę. Z początku Rosie protestuje mówiąc, że te dwa imiona tworzą aluzję literacką. Proponuje, bez wielkiego entuzjazmu, nazwać ją Pamela Anna.

— Och, daj spokój — mówi Bill — to brzmi jak nazwa deseru owocowego w jakiejś kalifornijskiej restauracji dla snobów.

— Ale...

— Nie martw się o Pamelę Gertrudę. Po pierwsze, ona nigdy nie przyzna się nawet swojej najlepszej przyjaciółce, że na drugie ma Gert. Możesz być tego pewna. A po drugie, pisarka, o której mówisz, stwierdziła, że róża to róża i jeszcze raz róża. Nie przychodzi mi do głowy lepszy powód, żeby dać te imiona małej.

Tak też robią.

5

Kiedy Pammy ma skończyć dwa latka, jej rodzice postanawiają kupić dom na przedmieściu. Do tej pory mogą już sobie na to pozwolić; oboje dobrze zarabiają. Zaczynają od sterty broszur, powoli redukując oferty do tuzina możliwości, potem do sześciu, czterech i dwóch. I wtedy zaczynają się problemy. Rosie podoba się pierwszy, Billowi drugi. Dyskusja przeradza się w spór, ich stanowiska usztywniają się i spór przechodzi w kłótnię — smutne, lecz normalne; nawet najlepszym i najzgodniejszym małżeństwom od czasu do czasu zdarza się spierać, a nawet krzyczyć na siebie.

W końcu Rosie idzie do kuchni i zaczyna przygotowywać kolację. Najpierw wkłada kurczaka do piekarnika, a potem nastawia wodę na kukurydzę, którą kupiła na straganie. Trochę później, kiedy skrobie ziemniaki na szafce przy kuchence, Bill wychodzi ze stołowego, gdzie oglądał zdjęcia dwóch domów, które stały się powodem tej niezwykle u nich różnicy zdań... Tak naprawdę to nie patrzył na nie, lecz ubolewał, że pokłócił się z Rosie.

Ona nie odwraca się, co zwykle robi, słysząc jego kroki, nawet wtedy kiedy całuje ją w

kark.

— Przepraszam, że nakrzyczałem na ciebie z powodu domu — mówi jej cicho. — W dalszym ciągu uważam, że ten w Windsorze byłby dla nas lepszy, ale bardzo mi przykro, że podniosłem na ciebie głos.

Czeka na jej odpowiedź i nie doczekawszy się, odchodzi smutny, zapewne myśląc, że ona wciąż jest zła. Tymczasem złość to nieodpowiednie określenie jej obecnego stanu ducha. Ogarnęła ją po prostu furia, niemal morderczy szal, a milczenie nie jest dziecinnym dąsaniem się, lecz rozpaczliwą próbą (pamiętaj o drzewie) opanowania wściekłości, bo ma ochotę zdjąć z kuchenki garnek z wrzącą wodą i chlusnąć mu nią w twarz. Żywy obraz, jaki widzi w wyobraźni, jest jednocześnie okropny i kuszący: Bill zataczający się i wrzeszczący, gdy jego skóra staje się ciemnoczerwona — kolor, jaki Rosie widzi jeszcze czasami w snach. Bill, chwytający się za policzki, gdy na jego dymiącej skórze wykwitają pierwsze pęcherze.

Jej lewa ręka już wyciągnęła się w stronę garnka... Tej nocy, gdy leży bezsennie w łóżku, bez przerwy słyszy te dwa słowa: „Ja odpłacam”.

6

Przez kilka następnych dni zaczyna obsesyjnie oglądać swoje dłonie, ramiona i twarz... ale głównie ręce, ponieważ od nich to się zacznie.

Co się zacznie? Właściwie nie wie... ale jest przekonana, że rozpozna (drzewo) to, kiedy przyjdzie czas.

Na zachodnim końcu miasta odkrywa miejsce o nazwie Klub Baseballowy Elma i zaczyna je regularnie odwiedzać. Większość klienteli to mężczyźni w średnim wieku, usiłujący zachować chłopięce sylwetki i skłonni wydać pięć lub więcej dolarów za możliwość udawania, że są Kenem Griffeyem Juniorem lub Bigiem Hurtem. Od czasu do czasu któraś z dziewczyn uderzy kilka razy, lecz przeważnie pozostają ozdobą, stojąc za siatką ochronną stanowisk lub trochę droższego Tunelu Pierwszej Ligi i kibicując. Bardzo mało kobiet po trzydziestce bawi się piłką i kijem baseballowym. Mało? Tak naprawdę to żadna oprócz tej pani o krótkich kasztanowych włosach i bladej, poważnej twarzy. Dlatego chłopcy żartują, kpią, poszturchują się łokciami i okręcają czapeczki daszkiem do tyłu, żeby pokazać, jacy z nich twardziele, a ona zupełnie ich ignoruje, zarówno śmiech, jak i bezczelne komentarze na temat jej ciała, które prawie wróciło do formy po porodzie. Prawie? Jak na babkę, która ma już swoje lata (mówią do siebie), jest super, istna bomba.

I po pewnym czasie przestają się śmiać. Przestają, gdyż pani w podkoszulku bez rękawów i luźnych szarych spodniach, przewyciężywszy początkową sztywność i brak wprawy (kilkakrotnie nawet oberwawszy gumową piłką wystrzeliwaną przez maszynę), zaczyna trafiać, a potem trafia wspaniale.

— Fajnie wali — mówi jeden z nich pewnego dnia, kiedy Rosie, zdyszana i zarumieniona, z wilgotnymi włosami oblepiającymi jej głowę jak mokry hełm, trzykrotnie, raz za razem, posyła piłkę na linię końcową, przez całą długość tunelu z siatki. Przy każdym uderzeniu wydaje wysoki, niesamowity okrzyk, jak Jennifer Capriati zdobywająca decydujący punkt. Zachowuje się tak, jakby piłka zrobiła jej coś złego.

— I daję maszynie popalić — mówi drugi, gdy automat na środku tunelu wypływa kolejną piłkę, lecącą z szybkością stu dwudziestu kilometrów na godzinę. Rosie wydaje swój donośny okrzyk, wciąga głowę w ramiona i robi półobrót. Piłka odbija się i leci w przeciwnym kierunku. Uderza w siatkę sześćdziesiąt metrów dalej, a potem lecąc po lekko wznoszącym się torze, odbija się kilkakrotnie i toczy do innych, posłanych tam poprzednio.

— Eee, wcale tak mocno nie bije — marudzi trzeci. Bierze papierosa, wkłada go do ust, wyjmując pudełko zapalek i zapala jedną. — Po prostu ma trochę...

Tym razem Rosie naprawdę krzyczy — jak wygłodniały ptak — i piłka śmiga tunelem po idealnie płaskim torze. Uderza w siatkę... i przechodzi przez nią. Dziura, która po niej zostaje, wygląda jak otwór po oddanym z bliskiej odległości strzale z dubeltówki.

Palacz wytrzeszcza oczy, aż zapalona zapalka parzy go w palce.

— Co mówiłeś, bracie? — pyta go łagodnie pierwszy chłopak.

7

Miesiąc później, wkrótce po zamknięciu klubu baseballowego na zimę, Rhoda Simons nagle przerywa Rosie czytającej nowy tekst Glorii Naylor i proponuje, żeby na resztę dnia zrobiła sobie wolne. Rosie protestuje mówiąc, iż jest za wcześnie. Rhoda zgadza się z tym, ale twierdzi, że Rosie traci wyczucie i lepiej niech odpocznie do jutra.

— Taak, może, ale chciałabym to skończyć dzisiaj — mówi Rosie. — Zostało mi tylko dwadzieścia stron. Chcę skończyć tę cholerną książkę, Rho.

— Wszystko, co dzisiaj zrobisz, będzie trzeba powtórzyć — stwierdza kategorycznie Rhoda. — Nie wiem, czy Pamelacita dała ci pospać tej nocy, lecz dziś zdecydowanie nie jest twój dzień.

8

Rosie wstaje i wychodzi, trzaskając drzwiami tak mocno, że prawie wrywa je z wyciszających zawiasów. Potem, w pokoju kontrolnym, łapie nagle przerażoną Rhodę Simons za kołnierz cholernej bluzki od Normy Kamali i wali jej głową o pulpit sterowniczy. Przełącznik wbija się w nos Rhody, jak widelec w *barbecue*. Krew tryska na wszystkie strony, a krople padają na szklane ściany studia i spływają jaskraworóżowymi strużkami.

— Rosie, nie! — krzyczy Curt Hamilton. — Mój Boże, co ty robisz?

Rosie wbija pazury w pulsujące gardło Rhody i rozszarpuje je, wpycha twarz w gorący strumień krwi, chce się w niej kąpać. Pragnie świętować rozpoczęcie nowego życia, przed którym tak głupio się broniła. I nie ma potrzeby odpowiadać Curtowi; ona dobrze wie, co robi — odplaca — właśnie tak, odplaca, i niech Bóg ma w opiece tych, którzy znaleźli się po złej stronie w jej księgach rachunkowych. Niech Bóg...

9

— Rosie? — woła Rhoda Simons z głośnika, przerywając jej okropną, lecz kuszącą wizję. — Nic ci nie jest?

Trzymaj nerwy na wodzy, mała Rosie.

Trzymaj nerwy na wodzy i pamiętaj o drzewie.

Patrzy w dół i widzi, że ołówek, który ma w dłoniach, jest teraz w dwóch kawałkach. Spogląda na nie przez kilka sekund, głęboko oddychając, usiłując opanować szaleńczo galopujące serce. Kiedy czuje, że może już mówić mniej więcej spokojnym głosem, odpowiada:

— Nie, nic mi nie jest. Ale masz rację, mała nie dała mi spać i jestem zmęczona. Dajmy na dziś spokój.

— Mądra dziewczyna — chwali ją Rhoda, a kobieta po drugiej stronie szklanej ściany, kobieta zdejmująca słuchawki rękami, które drżą tylko trochę, myśli: Nie. Nie mądra. Zła. Zła

dziewczyna.

„Ja odpłacam — szepcze głos z głębi jej świadomości. — Wcześniej czy później, mała Rosie, ja odpłacam. Czy tego chcesz, czy nie, odpłacam”.

10

Spodziewa się, że nie zmrzy oka przez całą noc, ale zaraz po północy zasypia i śni. To sen o drzewie, o tym drzewie, a kiedy budzi się, myśli: Nic dziwnego, że tak trudno było mi zrozumieć. Nic dziwnego. Przez cały czas myślałam o innym.

Leży obok Billa, patrząc w sufit i przypominając sobie sen. Słyszała w nim krzyki mew nad jeziorem, zawodzących bez końca, oraz głos Billa: „Nic im się nie stanie, jeśli będą zdrowe” — mówił Bill. — Jeśli będą zdrowe i nie zapomną o drzewie.

Już wie, co musi zrobić.

11

Następnego dnia telefonuje do Rhody i mówi, że nie przyjdzie. Lekka grypa — wyjaśnia. Potem jedzie drogą numer 27 na teren piknikowy, tym razem sama. Na siedzeniu obok niej leży stara torebka, ta którą zabrała ze sobą z „ziemi egipskiej”. O tej porze dnia i roku ma cały teren rekreacyjny dla siebie. Zdejmuje buty, stawia je pod drewniany stół i idzie na północ, stąpając w płytkiej wodzie przy brzegu jeziora, tak jak wtedy gdy Bill przywiózł ją tutaj pierwszy raz. Wbrew oczekiwaniom bez trudu odnajduje ścieżkę, biegnącą w górę. Idąc nią, wbijając bosc nogi w ziarnisty piach, zastanawia się, w ilu nie pamiętanych snach była tutaj, od kiedy zaczęły się te napady szału. Oczywiście nie ma pojęcia, lecz to nie ma żadnego znaczenia.

Na końcu ścieżki jest zarośnięta polanka, a na polance zwalone drzewo — to, które w końcu przypominała sobie. Nigdy nie zapominała o tym, co przydarzyło jej się w świecie obrazu, i teraz widzi, bez szczególnego zdziwienia, że to drzewo i tamto, leżące w poprzek ścieżki wiodącej do „drzewa granatu”, wskazane przez Dorcas, są identyczne.

Widzi lisie jamy pod zakurzonym wiechciem korzeni na końcu pnia, ale nory są puste i wyglądają na stare. Podchodzi do nich, a potem klęka — nie jest pewna, czy utrzymałaby się na drżących nogach. Otwiera starą torebkę i wysypuje jej zawartość na usłaną liśćmi, kompostową ziemię. Wśród zmiętych kwitów z pralni i przeterminowanych recept, pod listą zakupów ze słowami: KOTLETY WIEPRZOWE! na samej górze, podkreślonymi, napisanymi dużymi literami i opatrzonymi wykrzyknikiem (kotlety wieprzowe zawsze były ulubionym daniem Normana), leży niebieski pakiecik upstrzony czerwonopurpurowymi plamkami.

Drżąc i zaczynając płakać — częściowo dlatego, że tak przygnębiają ją wspomnienia dawnego, smutnego życia, a częściowo z obawy, że zagrożone jest to nowe — wygrzebuje dziurę w ziemi przy podstawie wywróconego drzewa. Kiedy jama ma mniej więcej dwadzieścia centymetrów głębokości, Rosie kładzie pakiecik obok i otwiera go. Nasionko wciąż tam jest, otoczone złotym krążkiem sygnetu jej pierwszego męża.

Wkłada je do dziury (nasionko zachowało swoją magiczną moc; jej palce drętwieją w tej samej chwili, gdy go dotyka), a potem znów kładzie na nim sygnet.

— Proszę — mówi, nie wiedząc, czy modli się, a jeśli tak, to do kogo. W każdym razie, otrzymuje swego rodzaju odpowiedź. Słyszy urwane, krótkie warknięcie. Nie ma w nim litości, współczucia czy delikatności. Tylko niecierpliwość. „Nie rób sobie ze mnie jaj” —

słyszy.

Rosie podnosi wzrok i na drugim końcu polanki widzi lisicę, stojącą bez ruchu i patrzącą na nią. Zwierzę ma zjeżoną sierść.

Futro płonie jak pochodnia na tle ciemnoszarego nieba.

— Proszę — powtarza Rosie cichym, niespokojnym głosem. — Proszę, nie pozwól mi stać się tym, czego się obawiam. Proszę... bardzo proszę, pomóż mi utrzymać nerwy na wodzy i pamiętać o drzewie.

Nie słyszy niczego, co mogłaby uznać za odpowiedź, nawet kolejnego niecierpliwego szczeknięcia. Lisica stoi nieruchomo. Wywiesza język i dyszy. Rosie ma wrażenie, że zwierzę się uśmiecha.

Jeszcze raz spogląda na sygnet otaczający nasionko, a potem zasypuje je wonną, żyzną ziemią.

Jedno dam pani w szkole — myśli — jedno dam mojej mamie, a jedno tej dziewczynce, co mieszka w sąsiedniej bramie. Jedno dla Rosie.

Cofa się na skraj polanki, do wylotu ścieżki, która zaprowadzi ją z powrotem na brzeg jeziora. Kiedy dochodzi tam, lisica szybko podbiega do obalonego drzewa, obwąchuje miejsce, gdzie Rosie zakopała nasionko i sygnet, a potem kładzie się na ziemi. Wciąż dyszy i szczyrzy zęby (Rosie jest teraz pewna, że się śmieje) i patrzy na Rosie tymi czarnymi ślepiami. Małe odeszły — mówią te oczy — i samiec, z którym je miałam, też odszedł. Lecz ja, Rosie... ja pozostałam. I jeśli będzie trzeba, odpłacę.

Rosie szuka w tych oczach szaleństwa lub rozsądku... i dostrzega jedno i drugie.

Potem lisica wtula śliczny pysk w gęste futro, zamyka ślepią i wydaje się zasypiać.

— Proszę — szepcze ostatni raz Rosie, a potem odchodzi. Jadąc obwodnicą, wracając do tego, co — ma nadzieję — jest jej nowym życiem, pozbywa się ostatniego śladu przeszłości. Torebka, którą zabrała ze sobą z „ziemi egipskiej”, wylatuje przez otwarte okno samochodu i wpada do Coori Bay.

12

Napady szału już się nie powtórzyły.

Dziecko, Pamela, jeszcze nie jest dorosłe, lecz dostatecznie duże, żeby mieć własne przyjaciółki, pączkujące piersi i miesiąckę. Wystarczająco duże, żeby spierać się z matką o ubiór, porę powrotu do domu oraz o to, co może robić, z kim się widywać i jak długo. Burzliwy czas dojrzewania Pam jeszcze się nie zaczął, ale Rosie wie, że nadchodzi. A jednak patrzy na to ze spokojem, ponieważ napady szału ustały.

Czupryna Billa posiwiała i przerzedziła się.

Rosie w dalszym ciągu ma kasztanowe włosy. Nosi je równo przycięte, do ramion. Czasem upina je w kok, ale nigdy nie zaplata warkocza.

Minęły lata od pikniku nad brzegiem jeziora, przy międzystanowej drodze numer 27; Bill najwyraźniej zapomniał o tym, kiedy sprzedawał swojego harleya, a sprzedał go, ponieważ, jak powiedział: „Mam już za słaby refleks, Rosie. Kiedy przyjemności stają się zbyt ryzykowne, pora z nich zrezygnować”. Nie spierała się, ale miała wrażenie, że wraz z motocyklem Bill sprzedał mnóstwo wspomnień, których jej żal. Tak, jakby w bagażniku pozostała znaczna część jego młodości, którą zapomniał wyjąć, zanim ten miły młody człowiek z Evanston wsiadł na motor i odjechał.

Już nie jeżdżą na pikniki nad jezioro, lecz raz do roku, zawsze na wiosnę, Rosie rusza tam sama. Widziała, jak nowe drzewo wyrasta w cieniu starego, zmieniając się z pędu w krzepkie drzewko o gładkim pniu i mocnych gałęziach. Patrzyła, jak rośnie, rok po roku, na polance, na której już nie baraszkują młode liski. Przesiaduje pod nim w milczeniu, czasem nawet

godzinę, z dłońmi złożonymi na podołku. Nie przychodzi tu z wyrazami czci ani z modlitwą, lecz traktuje te wizyty jako swego rodzaju rytuał, dopełnienie jakiegoś obowiązku, swoiste wyznanie wiary. A ponieważ one nie pozwalają jej nikogo skrzywdzić — Billa, Pammy, Rhody, Curta (o Roba Leffertsza nie musi się już martwić; zmarł nagle na atak serca, kiedy Pammy skończyła pięć lat) — przeto trzeba uznać, że nie są stratą czasu.

Jak pięknie rośnie to drzewo! Jego młode gałęzie już okrywa gęstwiną wąskich, ciemnozielonych liści, a przez ostatnie dwa lata oglądała w tej gęstwinie jaskrawe błyski kwiatów, z których za kilka lat będą owoce. Rosie jest przekonana, że jeśli ktoś zabłąka się na tę polankę i zje taki owoc, umrze — i to w okropnych męczarniach. Od czasu do czasu martwi się z tego powodu, lecz dopóki nie zobaczy śladów świadczących o tym, że bywają tam inni ludzie, nie martwi się za bardzo. Do tej pory nie dostrzegła ich; żadnych puszek po piwie, opakowań po papierosach czy gumie do żucia. Tak więc po prostu przychodzi tu, składa białe, czyste ręce na podołku i patrzy na drzewo swojego gniewu oraz na jaskraworożowe plamy, które z biegiem lat staną się owocami śmierci niosącymi słodkie odrętwienie.

Czasem, siedząc przed drzewkiem, śpiewa.

I'm really Rosie — nuci — and I'm Rosie Real... you bet ter believe me... I'm a great big deal...

Oczywiście wcale nie jest taka niezwykła, jedynie w oczach najbliższych, ale ponieważ liczy się tylko ich zdanie, wszystko jest w porządku. Rachunki wyrównane, jakby powiedziała kobieta w *zat*. Dotarła do bezpiecznego portu i w te wiosenne poranki nad jeziorem, siedząc z podwiniętymi nogami na zarośniętej, cichej polance, która wcale nie zmieniła się przez te wszystkie lata (co przypomina jej tamten obraz — kiczowate monidło, jakie można znaleźć w sklepiku z pamiątkami lub w lombardzie), czasem czuje głęboką wdzięczność, po prostu nie mieszczącą się w sercu. Właśnie dlatego śpiewa. Musi. Nie ma innego wyboru.

I czasami lisica — teraz już stara, dawno mająca za sobą płodne lata, z rudym futrem przetykanym nitkami siwizny — pojawia się na skraju polanki, staje i wydaje się słuchać śpiewu Rosie. Jej ślepiec nie zdradzają żadnych uczuć, a jednak trudno nie dostrzec w nich zdrowego rozsądku popartego bystrym umysłem.

10 czerwca 1993 — 28 czerwca 1994